

Krystyna Januszewska:

Ostatnia kwadra Księżyca

Mela stała w korytarzu przy oknie i bezwiednie zdrapywała farbę ze spróchniałej framugi. Czuła, jak ostre drzazgi wbijają się w skórę. Znosiła to z absolutnym spokojem. A nawet mocniej zanurzała paznokcie w deskę, raniąc się aż do krwi. Czasami celowo zadawała sobie ból. Potrzeba karania samej siebie towarzyszyła jej nieustannie. Konsekwencja, z jaką to robiła, wyprowadzała wszystkich z równowagi. Nigdy nie było wiadomo, co ją do tego skłania. Jaka myśl albo słowo, jakie wspomnienie wywołuje potrzebę cierpienia?

Za oknem szarzał coraz krótszy dzień. Gołe klony stroszyły bezwstydnie gałęzie za kolczastym płotem. Liście nawiane na sam środek betonowego dziedzińca trafiały w końcu pod okna gabinetu komendanta oraz pod ścianę wąskiej przybudówki, w której znajdowała się obecnie kaplica. Już dwudziesty raz patrzyła na te liście. Z każdym rokiem było ich więcej, drzewa rozrosły się i wybujały, a wysoki gmach więzienia, monumentalny budynek z czerwonej cegły, stał się dla tych liści zaporą. Z okna na trzecim piętrze roztaczał się monotony krajobraz ze starymi zabudowaniami gospodarczymi, z dachami pokrytymi poszarpaną papą i budynkami należącymi do dawnej cegielni. Na prawo w niskim pawilonie z betonu mieścił się obecnie biurowiec. Od lat nic tu nie cieszyło oka.

Melania czekała na swojego opiekuna, spoglądając z litością na wędną dracnę. Błede liście, poszukując światła, zniekształciły grubą łodygę. W zakładzie karnym dla kobiet z pełnym systemem ochrony, czyli o zaostrowym rygorze, brakowało miejsca na kwiaty. Opiekunem w ich bloku była kobieta, trochę męska i tyczkowata, ale dość znośna i wyrozumiała. Dostała ksywkę Zelówa. Chodziła na podbitych blachami butach.

Niektórzy twierdzili, że nosi je celowo, żeby budzić respekt. Gdy nadchodziła, słycać ją było z daleka. Przemierzała długie korytarze z wojskową werwą, a stukot obcasów rozbrzmiewał na wszystkich piętrach. Właśnie kończyła swój dyżur, przekazując obowiązki stróżującym w nocy oddziałowym. Teraz wróci do swojego gabinetu, ale przedtem przejdzie wszystkie cele, sprawdzi, zanotuje, wypyta. Co komu załatwić, czy wszystkie zdrowe, czy czegoś im nie brakuje. Potem wejdzie do dyżurki, przejrzy listy, zanim je wyda, spisze adresy nadawców na wszelki wypadek, sprawdzi grafik na następny dzień i uzgodni plan

zająć na kolejny tydzień, bo jutro sobota. Jeszcze zajrzy do świetlicy, żeby zobaczyć, co robią podopieczni, czy się czasami nie biją. Dopiero wtedy pojawi się w drzwiach na samym końcu korytarza. Spojrzy na stojącą przy oknie więźniarkę i w milczeniu pokona drogę do niej. Potem, również w milczeniu, otworzy drzwi gabinetu z żółtą, olejną lamperią do połowy ściany, wejdzie, usiądzie przy biurku, z twarzą zwróconą w stronę korytarza i dopiero wtedy powie głośno, żeby weszła. Jej ochryple głos zburzy męczącą ciszę. Mela w tym czasie myślami będzie już tam, w alei łysych klonów, po drugiej stronie krat, na wolności.

— Nie mam jeszcze decyzji — oświadcza bez wstępu, dobrze wie, o co jej chodzi, po co przyszła, dlaczego czeka cierpliwie pod drzwiami. — Obiecali, że do piątku będzie na biurku — rozkłada ręce ze smutkiem. Nie wszystkie emocje da się tu ukrywać. Jest przecież także człowiekiem, rozumie. — Wiem, Mela, wiem — patrzy ostro, ale z wyraźnym współczuciem. — Wytrzymaj jeszcze.

— Boję się — Melania ciągle stoi w progu. Jej blada twarz rozplywa się w grymasie żalu. Nie może grymasić, raczej powinna być wdzięczna.

— Obiecali podarować piątkę, a teraz zwlekają.

— Napisałam ci dobrą opinię. Dla komisji i dla sędziego. Powinni się zgodzić.

— A jeśli nie, jeśli nic z tego? — Melanii mięką kolana.

— Zostało ci przecież niewiele — Zelówa uspokaja. — Jakoś wytrzymasz.

— Zależy mi, zbliżają się święta...

— Wiem, doskonale rozumiem. Ale niewiele mogę ci pomóc. Musisz cierpliwie czekać — oznajmia jej krótko i stuka nerwowo w metalowy blat, chce pokazać Meli, że to koniec, że nic nie wskóra tym staniem w progu, z tym głodem w oczach i w ruchach. Jej spojrzenie aż boli. Zelówa znacząco chrząka, przesuwając źrenice na wiszący zegar, zatrzymuje na nim wzrok dłużej, specjalnie, żeby nie widzieć ciemnych jak studnia oczu Melanii. Milczenie pomiędzy nimi jest męką. Już nic nie można powiedzieć, regulamin zabrania zbyt dużych poufałości. I tak zrobiła wiele, więcej niż dla innych więźniarek, widać ma do niej słabość. Do tej twardej, a jednocześnie wrażliwej kobiety, która w więzieniu przesiedziała najlepsze lata i teraz czeka na obiecaną wolność.

— Nie mogę spać — Melania zmieniła temat. Robi lekkie „spocznij”, upewnia się, że to już koniec rozmowy. Chce jeszcze coś dla siebie załatwić, ugrać nieco czasu, nawiązać kontakt z osobą, która

ma dla niej sporo sympatii. — Nie mogę spać — powtarza. — Chyba z nerwów — nabiera powietrza. — Jestem niespokojna, to pewnie dlatego.

Zelówa wstaje od biurka. Krótkie, kasztanowe włosy prześwitują na tle okna. Widać kształt wąskiej czaszki z wysuniętą nieco potylicą. Przypomina teraz faraona. Prostuje się, obciąga sztywny mundur i spogląda pod nogi, na swoją skórzaną torbę i schowaną w tyle siatkę z zakupami. Przez folię widać chleb i kostkę masła, i mleko w kartonie. Popycha ją nogą, chce ukryć przed oczami Melanii swój związek ze światem zewnętrznym, swoją babskość, którą tutaj tak skrzętnie maskuje.

— Przeszłaś pozytywnie długi proces resocjalizacji, program aktywizacji pięć razy — próbuje zatuszować zmieszanie. — Odsiedziałaś trzy czwarte kary, za posłuszeństwo i zdyscyplino-

wanie wychodzisz wcześniej. Powinnaś być z siebie dumna. Do tego zdobyłaś zawód, nie jesteś stara, dasz sobie radę. Nie wiem, naprawdę nie rozumiem, czego się boisz? — Zmieniła ton na ostrzejszy. Chciała się pozbyć Melanii. Zrobiła krok w jej kierunku. Tak, zrobi to, zamknie jej teraz drzwi przed nosem, niech wreszcie wraca do celi.

Melania wie. Już nie warto zaczynać. To na nic. Rozmowy dalszej nie będzie, więc po co zbędne słowa. Zelówa ma dość.

— Dostanę coś na sen? — pyta jedynie o to.

— Zadzwońię do ambulatorium. Zgłoś się tam za chwilę — mówiąc to, spuszcza wzrok i lekko popycha drzwi. Mela widzi przed sobą białą tabliczkę z nazwiskiem. Dziwne imię, Ludmiła. Jak z takim imieniem można pracować w więzieniu? Tu jakby wszystko z jednej strony było pozbawione płci, a z drugiej tę płć podkreślające. Trzeba było specjalnej taktyki, żeby równać wszystkich pod to samo prawo, a jednocześnie traktować z wyczuciem.

Stosunek skazanych do służby więziennej z zasady był wrogi. To nic dziwnego. Nigdy pomiędzy ciemną a ciemnym nie będzie zgody. Wszystko ich dzieli, więc czuje się do nich nienawiść i złość, jakby byli sprawcami nieszczęść. Zemścić się na nich, odegrać, utrudnić życie. Szeroki wachlarz zachowań więźniów, trzeba wiedzieć jak się przed tym obronić. Pracownicy muszą być twardzi, najlepiej bez serca. Gdy są zbyt pobłażliwi, tracą poważanie, gdy nadmiernie gorliwi, sprawia się im kłopoty, celowo, tak dla hecy, żeby było weselej. Więźniowie wyczuwają też słabszych, natychmiast przejmują inicjatywę i kpią z nich i szydzą. Mela sama czasami stosowała podobne metody. Bezsilność i marazm doprowadzały ją nieraz do szału. Kąsała wtedy jak żmija. Nieraz jej się upiekło, ale czasem była karana. Zabierali jej

telewizor albo możliwość wyjścia na spacer. Pół biedy zimą, ale wiosną, gdy wszystko budziło się do życia, albo latem, ciepłym, czasami upalnym, kiedy chciało się wystawić bladą skórę do słońca, to była

ogromna strata. Dziś też czuje rozpacz, ale już inną. Już nie chce nikogo zabijać. Chce wyjść stąd i odejść, najdalej jak to możliwe.

Całe życie Melanii, poza dzieciństwem, było prawdziwym dramatem. Pasma więziennej niedoli, wyparcie ze świadomości możliwości szczęścia, czekanie na nic. Teraz jest nadzieja, ale kapryśna, mazgai się i przeraża. Wyrzutek społeczeństwa — jaka miła ksywka. Codziennie budzić się i wiedzieć, że tak już zostanie do końca. Już nic nie udowodni, nikogo nie przekona, że miało być całkiem inaczej, że powinno. Czekają na to od lat bez nadziei i nagle bach. Zdjęli z niej tę klątwę jednym krótkim orzeczeniem. Idź i nie grzesz więcej. Wspaniale, lecz ciągle nie puszczają, tylko dręczą i zwodzą — wyjdzie, nie wyjdzie, wyjdzie, nie wyjdzie. Dni jak płatki stokrotki, liczydełka, wróżby beznadziejne. Tyle ich już opadło na ziemię. Kilka wagonów kwiatów przeliczyła. Zmęczyła się. Matematyka nigdy nie była dobrą stroną Meli. Dostała dwadzieścia pięć lat, bo zabiła człowieka, ale w afekcie, więc nie dożywocie. Po latach złagodzono karę do dwudziestu. Obiecali, że wyjdzie jeszcze o rok wcześniej, więc czeka, ale chyba nic z tego.

Pierwsze lata odsiadki były koszmarnie: wyrzuty sumienia, tęsknota, łzy matki, ojca. Nie miała wątpliwości, czy słusznie zabiła. Ubolewała jedynie, że to nie ofierze zrobiła krzywdę, tylko swoim najbliższym i sobie. Świat nie jest sprawiedliwy do końca — to nie jest żadne odkrycie, to wie nawet dziecko, że świat jest do kitu.

Dali jej pół tabletki na spanie, małej kawałek wybawienia od bezsenności. Trzeba połączyć kilka minut przed wejściem do łóżka, bo szybko działa. Tylko połówka, żeby nie spać zbyt długo. To Melanii zupełnie wystarczy. Chodzi o to, żeby w łóżku nie myśleć. Cóż za piękne uczucie, gdy nagle urywa się film. Rozkosz prawdziwa, odlot w nieświadomy byt. Czy śmierć w takim razie nie jest wybawieniem? Brała pod uwagę takie rozwiązanie.

Strażniczka z trzaskiem zasunęła drzwi od jej celi, ciężkie, żelazne, jak wszystko wokół. Jak ciężka odsiadka, ciężka samotność i jeszcze cięższa tęsknota. Minęło dwadzieścia lat, a ona ciągle nie wierzy. Czy to naprawdę jej się przydarzyło? Czuje się gościem w tym dziwnym świecie, w świecie niczym, do którego nikt nie chce się przyznać, a wszyscy tkwią w nim tylko chwilowo zawieszeni. Adaptacja do miejsca, w którym przyszło jej żyć trwa nieprzerwanie i nigdy się nie dokonuje. W tym tyglu przeróżnych typów, pomiędzy desperacją a deprawacją nie było większych różnic. Dla osoby wrażliwej i delikatnej to wstrząsające doświadczenie. Musiała zapomnieć o swojej godności, o subtelności uczuć, o

współczuciu. Korytarze, cele, kraty, zgrzyt kluczy, zamków, kolor strażniczych mundurów, monotonne polecenia. Do tego zupełny brak zieleni, czerwieni. Jedynie skrawki błękitnego nieba i żółte lamperie. A przecież była taka młoda, gdy stanęła pierwszy raz obok swojej pryczy.

Zmarznięta, jak zawsze o tej porze roku, w szarym kombinezonie, który jednego dnia stał się dla niej strojem codziennym, błądzi oczami wspomnień po krajobrazach mazurskich. Wróci tam jeszcze. Milutki sweter z białej angory i ciepłe spodnie ze sztruksu zniknęły w więziennej szatni dwadzieścia lat temu. — Angorę pewnie zjadły mole, a ja wciąż żyję — myśli. — A ja wciąż zipię. — Przyzwyczajenie do luksusu, upodobania, pasje, codzienne potrzeby wrażliwego człowieka stały się kamieniem u szyi. Dlatego nigdy nie awansowała na „git człowieka”. Do końca odsiadki pozostanie „frajerem”.

Kończył się kolejny dzień, kolejny piątek. Jutro kolejna sobota, kolejna niedziela. Dwa dni, w których obowiązują nieco inne zasady i śpi się ciut dłużej. Ale więźniom na śnie nie zależy. To raczej przywilej dla służby więziennej. W niedzielę nie ma apelu. Kto chce, może iść do kaplicy. O ósmej jest msza. Czasami idzie się tam dla rozrywki. Ksiądz jest emisariuszem z innego wymiaru. Przynosi ze sobą okruchy wolności, które gdy stąpa po kamiennej posadzce, odrywają się od jego sutanny i spadają

na ziemię, i świecą w ciemności jasnym blaskiem. Mela widzi ten blask, dla tego blasku stara się być co tydzień w kościele. Kościół jest bardzo skromny i trudno w nim znaleźć ślady bo-skości. Ołtarz ginie na tle białej ściany w mrocznym pomieszczeniu. Tlą się tylko zwykłe białe świece i czerwone światełko w kryształowym sercu.

Roma, koleżanka z celi, jest niewierząca. Chwali się tym bez końca. Twierdzi, że wiara robi z ludzi niewolników. A ona dość się w życiu nasiedziała. Przyjęła wygodną postawę i myśli tylko o sobie. No, jeszcze martwi się czasami, że w domu chłop się rozpije z tęsknoty, ale tu, na bloku jakoś sobie radzi.

— Komar jutro wychodzi — oświadcza zmartwiona. Z trudnością ukrywa swój smutek. Kilka godzin milczała. Dąsała się od obiadu. Mela nie wiedziała z jakiego powodu. Czasami potrafi tak milczeć przez tydzień, innym razem gada bez końca, wtedy można oszaleć. Jest wyniszczona i chyba chora. Jej szara cera, cienie pod oczami, to znak, że już niejedno przeszła. W wąskich, skręconych artretyzmem palcach trzyma papierosa i zachłannie wciąga w siebie nikotynę. Siwe włosy, zebrane w cieniutką kitkę opadają na zgarbione plecy. Ma zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, a wygląda na siedemdziesiąt. Siedzi już trzeci raz za rozbój z bronią w ręku i nie jest łatwą towarzyszką niedoli. Szybko wpada w złość i szuka zaczepki. Już żyć bez tego nie może, musi na podporządkowaniu mieć jakąś ofiarę, choćby tylko słowami mogła ją ranić. Ale Mela odpiera ataki. Po tylu latach odsiadki zna już skuteczne sposoby na takich narwańców jak

Roma. Gdy się jest z kimś całe dnie, jak one ze sobą, trzeba się dostosować. Ale równie ważną rzeczą jest umiejętność duchowej separacji, po to, żeby zachować stan psychicznej równowagi.

Roma bez przerwy pali. Na wolności piła, ale tu rzadko uda się załatwić alkohol. Czasami ktoś sprzeda. Wtedy Roma zapija robaka i gada, i gada bez końca, dopóki nie padnie.

Komar to młoda dziewczyna. Jakaś taka cienka i wiotka, wyglądem przypomina owada. Do tego cichutko brzęczy, gdy mówi. Oskarżona o zabójstwo, ma za sobą długi proces, ale za tydzień wychodzi na wolność. Mela widzi w niej siebie sprzed dwudziestu lat. Ale Komar była jedynie bezwolnym świadkiem okrucieństwa, a Meli wina to sprawa bezsporna.

— Będzie smutno — twierdzi Mela, ziewając. W zaciśniętej dłoni trzyma połowę tabletki. Nie połknie, zanim Roma nie zaśnie. Nie chce jej dawać satysfakcji. Znowu będzie marudzić, że się ze sobą certoli.

— Denerwuje mnie tylko — Roma kłamie. — Obnosi się z tą niewinnością. Niech spada na drzewo — oświadcza, spuszczać wzrok. To tylko dla niepoznaki, bo od dawna kocha się w małej, Mela wie, platonicznie. Nie tknie jej. Niewinnych nie tyka. Poluje na wyuzdane, bo ceregieli nie lubi. Szkoda czasu na zaloty, w więzieniu nie uchodzą romanse. Zwłaszcza w wykonaniu Romy. Delikatność to nie jest jej sposób na życie. Z Melą też próbowała, ale tylko raz. Ta wykręciła jej rękę, przygniotła kolaniem do ściany.

— To jeszcze dziecko — podejmuje temat. — Dobrze, że wychodzi.

— Taaa... — Roma dodaje krótko. — Napatrzyła się i starczy. Niech spada! — Dopala i gniece niedopalek w palcach. Resztki tytoniu, tłącego się jeszcze, lecą na podłogę. Rozdeptuje to nogą i spluwa.

— Nie pluj — Mela syczy. — Już całą celę zaplutaś. Śmierdzi jak w chlewie. Obie śmierdzimy fajkami i twoim pluciem. — Odwraca się twarzą do ściany i patrzy na znajome rysunki. Ściana cała w gryzmołach. Ktoś grał sobie w kółko i krzyżyk. Wydrapał gwoździem dziesiątki krzyżykowych wzorków. Mela zna je na pamięć. Krzyżykowy wzór ma w oczach, kiedy zasypia.

— Jeszcze będziesz tęskniła za tym smrodem — warczy do niej Roma. — Jeszcze zatęsknisz. Mówię ci, a ja znam się na tym dużo lepiej. Wolność to wielkie gówno. — Roma kaszle. Usiłuje wycharczyć z siebie całą nienawiść do świata.

— Nie bój się — uspokaja Mela. — Jeszcze nie wychodzę. Sama widzisz jak jest. Zwodzą mnie już od lipca. Posiedzę do wiosny. — Zniża głos niemal do szeptu.

Roma przestaje dreptać. Spogląda w okno.

— Widać gwiazdy — dodaje tylko. — Będzie mróz — dotyka kaloryfera. — No tak, ledwo ciepły. — Wyciąga zapasową kape. — Przykryj się, będziesz chora — warczy w kierunku Meli.

— Nie trzeba. Mnie i tak wciąż gorąco. Już nie wiem, co to takiego. Jak szmata się czuję — narzeka Mela. — Pocę się niemiłosiernie i serce tak jakoś mi wali.

— To, kurwa, klima! Nacierpiałam się od tego paskudztwa.

— Jakbym się dusiła.

— O, to, to! Wydusi z ciebie całą moc. Rozflaczy. Skończysz jak ja — postukała się w klatkę piersiową. — Żyła się zrobisz i suchar. Jak ja — szybko dodała. — Jak ja. — Ostatnie słowa spłynęły z jej ust powoli, z rezygnacją. Zdjęła buty, kopnęła je nogą pod ścianę i weszła pod koc. — No, dosyć narzekań. Czas spać.

— Rozbierz się, nie śpij w ubraniu. Nie zadzieraj z dyżurną — Mela mruczy przez ramię.

— Rozbieranie i dyżurną mam w dupie. Jutro sobota. I tak wstanę wcześniej od niej.

Nie było sensu wciąż się sprzeczać z Romą. Zamilkły obydwie. Ile można gadać? Przecież w ich życiu jest tylko gadanie. Ile można wspominać i co?

Tabletkę połknęła na sucho, nawet nie poczuła — taki okruszek. Czekwała, aż zacznie działać. Lubiła ten moment wpadania w beztroski letarg. Jeszcze przez chwilę krążyła myślami wokół mętnych spraw tego świata. Ledwo zdążyła ich dotknąć, kiedy nadszedł sen. Wtedy szybko pomyślała o Norce i jej złamanym życiu, które stało się częścią jej życia. Jak spojrzą sobie w oczy po latach?

Roma zanosila się kaszlem. Wstała o świcie. Chyba czegoś szukała. Rzuciła po cichu przekleństwo. Robi to bez przerwy. Byle co i już leci wiązanka, jak na zamówienie. Zna chyba wszystkie brzydkie słowa. Repertuar ma raczej bogaty, pełna gama. Przez chwilę było ją słychać, jak tłucze się i rozbija po celi. Mela mimo wszystko zasnęła. Spała jeszcze godzinę, ale zaczęło jej dokuczać zimno. Zegar na ścianie tykał niemrawo. Przez okno sączył się listopadowy mrok. Nie chciało się wstawać, zmarzła

solidnie. Jednak szkoda, że nie wyjęła koca. Teraz nie warto, lepiej chyba wstać. Miną wieki, zanim rozrusza przemarznięte kości, ale woli to, niż zgrzytanie zębami i bezsensowne czekanie na sen.

Życie w zakładzie zaczynało się budzić z hałasem. Dźwięki, zwielokrotnione akustyką budynku niosły się po wszystkich piętrach z równym natężeniem. Mela spojrzała przez ramię. Romy nie było w celi.

Umyła zęby i z oporem wykonała kilkanaście przysiadów. Ciało się buntowało, zwiotczało, osłabło. Zmuszała się do gimnastyki. Gdyby nie ruch, czułaby się gorzej. Widziała, jak inne w jej wieku starzeją się i zmieniają w kaleki. Nie chciała tak skończyć, zwłaszcza teraz, gdy zbliżał się koniec odsiadki i trzeba będzie jakoś sobie radzić. Więc dzisiaj również, zanim ogłoszą pobudkę, zdąży chwilę poćwiczyć.

O ósmej otworzyły się drzwi. Mela wyszła na zewnątrz, żeby zabrać taboret ze swoim ubraniem. Usłyszała jak starsza składa raport. Za chwilę przyniosą śniadanie. Dzisiaj sobota, dzień odwiedzin, zazwyczaj sprawdzają czy ktoś nie przemycił w jedzeniu grypsów. Wszystko odbywa się zawsze tak samo, w ściśle ustalonej kolejności. Jest jedna zasada, której się przestrzega konsekwentnie: dwie cele nie mogą być otwarte jednocześnie. To rozprasza strażników, odwraca ich uwagę.

— Co z Romą? — pyta w czasie odbierania posiłku. Na tacy widzi porcję dla jednej osoby.

— Źle się poczuła — słyszy krótką odpowiedź.

— Miała tylko kaszel — dziwi się Mela.

— Mówiła, że coś ją dusi.

— O której wróci?

— Nie mam pojęcia. Czeka na lekarza. Roma wróciła po dziewiątej.

— Całą noc mną telepało — chrypiała. — Ledwo doczekałam rana. Zaraza jedna, oskrzela — zaczęła kaszleć, manifestując swój stan. — Lekarz mówi, że oskrzela mi siadły.

— Wczoraj nie było tak źle — Mela spojrzała na Romę z uwagą.

— Zimno tu, kurwa, jak na Syberii. Nie grzeją po ludzku, chcą nas tu wszystkich wykończyć. Najlepiej zagłodzić, wyziębnić, otruć — spojrzała na pudełko z antybiotykami. — Trzy tabletki, widział to kto? Chcą mnie tym wyleczyć? — Splunęła do zlewu.

— Nie pluj — Mela ryknęła. — Myję się w tym zlewie. Romy spojrzenie zabijało.

— A ty, co taka wrażliwa? Paniusia — podsumowała. — Będzie mi plucia zabraniać. Patrzcie, kurwa. — Wyjęła z pudełka tabletki, długo oglądała. Potem jedną z nich cisnęła ze złością przed siebie. Tabletką odbiła się od powierzchni talerza i odskoczyła pod ścianę, za łóżko.

— Lepiej poszukaj — Mela spojrzała na Romę z odrazą.

— Mam w nosie, to jakieś gówno — warknęła, wydymając wargi.

— Głupstwa opowiadasz. Dali ci antybiotyk. Zjesz, to będziesz zdrowa. Nie zjesz, to cię kaszel wykończy. Pomyśl o nocy.

Roma obrażona wzruszyła tylko ramionami. Potrzebowała czasu i kilku kolejnych przekleństw, żeby trochę okiełznać emocje. Dobry kwadrans kiwała się na krześle, patrząc na ścianę przed sobą, zanim weszła posłusznie pod łóżko w poszukiwaniu tabletki. Coś przy tym mruczała, ale Mela miała to w nosie. Spoglądała ciekawie na drzwi. W korytarzu rozległy się kroki. To do nich, czuła wyraźnie, ostatnia cela na trzecim piętrze. Chrobot zasuwki dowodził, że się nie myli.

— Idziesz na widzenie, masz gościa — ryknęła strażniczka, trzaskając z rozmachem drzwiami. — Zbieraj się!

— Ja? — Mela zdębiała. — Pomyłka — powiedziała niegrzecznie.

— Dalej, dalej, kobieto! Rusz dupsko, bo gość ci ucieknie! Wygląda mi na kogoś ważnego.

— Może to prawnik — Mela podskoczyła z radości. — Może w sprawie zwolnienia — zerwała się szybko.

Roma warknęła z pogardą.

— Zobaczysz tu prawnika, akurat się tobą przejmują.

— Może i prawnik. Sprawdź sama — strażniczka czekała za drzwiami.

Melania spojrzała w lustro. — Mój Boże, jak ja wyglądam

— zdążyła pomyśleć. Palcami przeczesła rozwichrzone włosy.

— Nic nie pomoże, jest jak jest, trudno. — Drżała, idąc przez ciemny korytarz. Wydawał się dwa razy dłuższy. Strażnik otworzył drzwi z małym szklanym okienkiem i weszła do sali odwiedzin, przedzielonej na pół metalową kratą.

Po drugiej stronie ujrzała Jakuba. Poznała go bez większych problemów, choć był tu... trzy, może cztery lata temu. Już nawet dla wygody zapomniała o jego istnieniu, podobnie jak o wielu rzeczach, które przeszkadzały dogorywać w spokoju. Takie bolesne wspomnienia psu na budę. Więc usunęła je niemal w całości, jak zbędny balast. Wtedy był u niej razem z Januszem. Potem się już nie pokazał. Pomyślała więc, że ją chyba wykreślił. Nie miała nawet ochoty, żeby teraz spojrzeć mu w oczy. Usiadła naprzeciw, zdumiona siwizną kolegi. Ludzie na wolności też się starzeją? Straszne. Czas nie oszczędza nikogo.

Patrzył z tym swoim ciepłem w oczach, jakby była dla niego wciąż ważna i bliska. Skąd tyle w nim empatii i troski? Widać nic się nie zmienił. Zawsze wrażliwy, niepoprawnie romantyczny i nieznośnie naiwny.

— Żyjesz? — zapytał zwyczajnie, jakby dla żartu.

— Żyję — uśmiechnęła się do niego serdecznie. Trema puściła. — Ale co to za życie — powtórzyła wysłużony slogan. — Liczę już dni — dodała szybko.

— Myślałem, że może już cię tu nie ma. Jak długo można mieszkać w jednym miejscu? Czas zmienić mieszkanie.

— Daj spokój. — Rozśmieszył ją. — Pierwszy byś się dowiedział.

— Mam twoje książki, płyty i zdjęcia. Czekają na ciebie.

— Trzymasz je przez cały czas? — Była zdumiona. — Wyrzuć to wszystko do śmieci.

— Nie będę się rządził, sama je wyrzucisz — powiedział z powagą.

Mela połykała tzy. Boże, gdyby wiedział. Czy ktokolwiek może pojąć jak cierpi?

— Jesteś przejazdem? — przemogła wzruszenie. Jej dłonie zostawiały na spodniach plamy potu. Tak już będzie, aż nie zostanie sama i nie przetrawi spokojnie słów, które tutaj wypowie i które od niego usłyszy. Dlatego przyjechał? Zamarła na moment. Spłoszonym wzrokiem zerknęła za siebie, jakby szukała ucieczki. Wpadła w panikę. A może... Chyba nie? Boże, daj mi dość siły! Chyba nikomu nic...?

— Nic się nie stało — Jakub dojrzał przerażenie. — Wpadłem, żeby odwiedzić starą znajomą i zapytać o zdrowie. — Patrzył na nią z troską wyławiając w jej twarzy ślady udręki. Głębokie bruzdy wzdłuż policzków, załamane pomiędzy brwiami, jakby przez te lata bez przerwy marszczyła czoło.

— Nie żartuj — złapała oddech. — Już dawno straciłam poczucie humoru. U mnie bez zmian. Kulam się jakoś. Trzymam figurę, żebyście mnie poznali, jak wrócę; ćwiczę trochę, trochę pracuję, takie tam szycie pokrowców, nuda. To wszystko, nic szczególnego. Powiedz lepiej, co u was, u ciebie. Jak Jurek, jak czuje się Norka, co z Magdą? Już do mnie nie pisze. A Janusz, co z jego firmą? Jak był ostatnio, to mówił, że dobrze. Ania podobno odzyskała córkę, czy dalej zajmuje się wnukiem? Jestem spragniona wieści — atakowała go pytaniami wymawianymi na jednym oddechu.

— Wszystko zmienia się z roku na rok — odpowiedział Jakub. — Trudno to prześledzić. Rzadko się teraz widzimy, prawie wcale. Kiedyś częściej, teraz prawie wcale. Powiem ci szczerze, że ich ostatnio bardzo zaniedbuję.

— Ty? — nie chciała uwierzyć.

— No tak, tak to wygląda. Kontakt mam tylko z Anną, wiesz przecież, że razem pracujemy. Widzimy się co dzień, ale tak tylko, służbowo. Powie do mnie dwa zdania i biegnie do domu. Ma ciągle przy sobie Julka. I chyba tak już zostanie. A z innymi rzadko się widuję, raz po raz jakiś telefon.

— To dość oględna relacja — spojrzała z wyrzutem.

— Coś do mnie dochodzi, czasami więcej, czasami mniej. Już nie siadamy razem na gałęzi — zażartował. — Pomagamy sobie, gdy trzeba, a na co dzień każdy żyje po swojemu.

— Wygląda na to, że straciłam niewiele... — Mela zmar-kotniała. Czuła, że wyidealizowała sobie życie na wolności albo że Jakub nie ma ochoty na szczerze zwierzenia. Tak mało mają już ze sobą wspólnego. Uczepiła się myśli, że gdy wróci, zastanie ich na swoich miejscach. On rozwiewał tę nadzieję bezlitośnie.

— Nie miałem tego na myśli — Jakub czuł, że nie został zrozumiany. — Nie porównuj w ten sposób. To, co dla ciebie jest bardzo istotne, dla nas to jeden z odcieni. Żyjemy jak w kotle, nieraz wszystko gotuje się na raz, żeby potem zwolnić na dłużej. Trudno za tym nadążyć, czasem lepiej nie wiedzieć.

— Au mnie jak pod sznurek. Osiem godzin snu, łóżko, pościel, trzy posiłki dziennie, herbatka przed spaniem, opieka lekarska, telewizor, radio, prasa, trochę stara, ale jakaś tam. Życie nie umierać.

— W pewnym sensie nawet ci zazdroścę.

— Nie kpij. Jakoś nie wierzę.

Złożył ręce jak do modlitwy i ponad czubkami palców spojrzął na Melanię. Była spięta, szukała zaczepki. Widać tu nie można inaczej. Obrona przez atak, to podstawa dialogu. Jakub zmienił front, postanowił się przyznać. Dalsze udawanie nie miało już sensu. Teraz, gdy zbliżał się koniec wyroku, powinna poznać prawdę. Stopniowo, nie od razu, bo prawda może ją zabić.

— O tym, że wyjdiesz, dowiedziałem się już pół roku temu. Jako jeden z pierwszych — zaczął i natychmiast zamilkł. Czekał na reakcję Melanii. Dał jej czas na nabranie powietrza. — Prawnik, który nawiązał z tobą kontakt, to dobry znajomy Marka. Jest jego doradcą w wydawnictwie. Znają się od lat. To dzięki niemu wznowiono sprawę. On poprowadził wszystko.

Mela siedziała skupiona. Słuchała jak do niej mówi, ale nie rozumiała wiele. Dwadzieścia lat izolacji, walki o przetrwanie, rola frajera, więziennego mięczaka i całkowita utrata godności. A teraz ktoś do niej mówi dawno zapomnianymi słowami, że o niej myśli, że się martwi, współczuje, pomaga? Czy powinna się tych słów uchwycić jak liny ratunkowej?

Jakub mówił powoli.

— Czy ty mnie słuchasz? — zrobił dłuższą pauzę, czuł, że jest przestraszona.

— Kobiety zwykle popełniają zbrodnię w zamroczeniu alkoholowym albo pod presją partnerów — Mela pozornie zmieniła temat. — Są przerażone, skatowane, zaszczute albo mają problemy z psychiką. Ja zrobiłam to z wyrachowaniem, zaplanowałam niemal każdy szczegół.

Jakub rozplótł dłonie i ułożył równo na kolanach.

— Przecież znamy prawdę, wszyscy. — Zajrzał jej z bliska w oczy. — Dwadzieścia lat temu nie wyznałaś jej w sądzie do końca. Zgodziliśmy się na to, bo nas prosiłaś.

Meli było to obojętne, wzruszyła tylko ramionami.

— A ona? — spojrzała na niego, przekrzywiając lekko głowę, tak, jak robiła to zawsze, w krytycznych momentach.

— Pytasz o...?

— Tak, tak. Pytam, co na to Norka?

— Zeznała jak było. Odbarwiła twoją historię.

— To są tylko odcienie, jak powiedziałeś przed chwilą. To tylko odcienie.

— Zabiłaś drania.

— Zabiłam. I dlatego siedzę.

— Nie miałaś wtedy wątpliwości.

— Teraz mam — powiedziała ciszej i dodała: — Przecież wiesz, przeszłam tu długą resocjalizację, program naprawczy, jestem po szkoleniu, jestem teraz innym człowiekiem — zakpiła. Spuściła wzrok i zaczęła płakać.

Jakub spojrzał na zegar. Za chwilę koniec widzenia. Nie zdąży jej wszystkiego powiedzieć.

— Nie chcę słuchać tych bzdur. Odpokutowałaś. Ja ci to mówię. — Nachylił się bliżej. — Niedługo wyjdiesz na wolność, wtedy pogadamy. Chcę tylko, żebyś wiedziała — podkreślił wyraźnie — że pamiętamy o tobie. Chcemy ci pomóc. Nie martw się o nic.

Mela płakała na dobre. Wycierała oczy rękawem.

— Nie płacz — uspokajał. — Wszystko się dobrze ułoży.

— Nie mam gdzie mieszkać — mówiła przez łzy. — Mój dom sprzedany, rodzice nie żyją. Mam trochę oszczędności, niewiele. Gdzie się podzieję po wyjściu. Znam wyrok, miałam wyjść teraz, ale nie ma widoków, chociaż było już wszystko nagrane. Teraz nic z tego. Gdybym zdążyła przed świętami, miałabym gdzie mieszkać. Znajoma wyjeżdża, do męża, on pracuje w Szwecji — wyjaśniała. — Wyszła przed miesiącem, obiecała pomoc. Ale jak wyjedzie, zostanę na lodzie.

— Zamieszkaś u mojej mamy. Nie martw się — pocieszał. — Na początek — zaznaczył. — Bardzo cię lubi. Ciągłe pyta o twoje zdrowie.

— Jeszcze żyje? — zdziwiła się Mela.

— Tak — uśmiechnął się Jakub. — Jest w dobrej formie.

— Pozdrów ją. I podziękuj. — Zbierała siły. — Nie wiem, co zrobię po wyjściu. — Głos jej się łamał. — Nie chcę być kulą u nogi. Dla nikogo — mocno podkreśliła. — Czegoś się tu nauczyłam. Jakoś sobie poradzę. Żeby tylko wyjść. Śni mi się po nocach, jak spaceruję po naszej ulicy. Zobaczyć dawne miejsca, domy, starych przyjaciół... Boże, jakie to będzie cudowne — głośno marzyła.

— Trochę się zmieniło.

— Oglądam telewizję. Mam jako takie pojęcie. Ale wiem, szok mnie raczej nie ominie.

— Boję się, że wielu miejsc możesz nie odnaleźć — uprzedzał.

— Ale nasz dąb chyba stoi? — upewniła się.

— Tamtego drzewa już nie ma — przyznał, nie patrząc jej w oczy.

— Po co pytam, przecież słyszałam od Magdy... Dzwoniła kiedyś. Parę lat temu — wspominała.
— Ale rośnie następne, podobno — dodała szybko.

— No tak, rośnie. Ale to już inne drzewo. Nie da się na nim siedzieć.

— Próbowateś? — spytała.

— Coś ty! Z moją nadwagą!

— Aja spróbuję. Muszę sprawdzić, czy mam jeszcze kondycję. Trochę tu ćwiczę — powtórzyła.
— Mam czas. Coś trzeba robić, żeby nie zwariować. Liznęłam trochę nauki, niewiele. Języki, komputer — po łebkach...

— No zobacz. Na coś ci się to więzienie przydało — próbował żartować.

— Nie trzeba spędzić połowy życia za kratkami, żeby się nauczyć angielskiego — zakpiła.

— Dasz radę — udawał, że tego nie słyszy. — Zawsze sobie radziłaś. Pamiętam, jak przyjechałaś z temperaturą i zapaleniem płuc do Katowic, na mistrzostwa Polski, i wróciłaś z medalem.

— Tak, ja też pamiętam — westchnęła. Poczuła, że serce mocniej jej bije. Pamiętała, a jakże. Zdawało jej się nawet, że czuje zapach tamtej bieżni i swojego potu. Często wspominała ten dzień. Wyrobiła w sobie umiejętność wiernego odtwarzania najpiękniejszych momentów życia, żeby tymi szczątkami chwytała ratować duszę. A Katowice pamięta, bo właśnie tam poznała Kostka. Od tych rozgrywek wszystko się zaczęło. I byłoby może lepiej usunąć z pamięci to zwycięstwo i turniej, lecz wtedy musiałaby przekreślić również i to, co było w jej życiu najważniejsze.

— Ale to był mój ostatni sukces. — Oplotła się ramionami. Popielate kosmyki nad czołem zadzierały w górę podmuch powietrza. Siedziała w przeciągu. Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała w sufit. Lampa, zwisająca na długim kablu, kołysała się lekko na boki. — Wiem, powtarzam to aż do znudzenia. — Przetarła ręką twarz i oczy. Grube brwi z nieznacznymi śladami siwizny zmieniły swój kształt, postarzając ją trochę. Spuściła wzrok, jakby poczuła tę zmianę na gorsze, wstydząc się jej odruchowo. — Grzebię w tym gównie przez dwadzieścia lat i jakoś mi nie przechodzi. Już się z tym nie pogodzę. Do śmierci. Nie przeboleję. Jego już nie odzyskam, ale...

Jakub zmieszał się. Poprawiał nerwowo krawat i kołnierzyk. Pomimo panującego chłodu czuł, że się poci. Koszula na plecach nasiąkała wodą. Nie znosił tego. I to jej zbolące spojrzenie. Tak chciałby jej pomóc.

Od kilku lat próbowali wywalczyć dla niej wolność, ale wszystko przeciągało się w czasie. Gdyby poznała prawdę, byłoby jej trudniej znieść oczekiwanie.

— Niczego ci nie brakuje? — zapytał szybko, bo strażnik otwierał już drzwi.

Mela skrzywiła się, lekko wzdychając. Połowę twarzy miała w cieniu, a na drugą padało jasne światło lampy. Ależ się zestarzała. Jakub czuł żal, że niczego nie da się już dla niej zrobić, poza tym niewielkim skróceniem kary. Młodość minęła dla niej

bezpowrotnie, odbierając resztki urody i wyjątkowo dotkliwie podkreślając wiek.

— Poza wolnością niczego — powiedziała spokojnie. — Ale teraz mam jakąś nadzieję. Dla tej nadziei żyję. Mogę planować, marzyć, mogę się bać. To i tak wiele w porównaniu z nicością, w której teraz jestem.

Pożegnali się trochę niezręcznie. Przerwali rozmowę w pół myśli, bojąc się rozgrzebywać wszystko na nowo i na nowo szukać odpowiedzi.

— Jakub — oparła się mocno na rękach i spojrzała skruszona.

— Dziękuję za wszystko — zabrzmiało szczerze. — Nie myśl, że jestem niewdzięczna, że przyjmuję wasze starania, jakbyście byli mi cokolwiek winni. Ja tylko już nie umiem się cieszyć. Boję się myśleć pozytywnie, boję się rozczarowań. Nie jestem przygotowana na radość. Muszę się tego od nowa nauczyć.

— Wiem, Mela, wiem. Rozumiem doskonale. Mimo wszystko bądź dobrej myśli — zdążył powiedzieć.

— Postaram się — posłała mu zza krat kwaśny uśmiech.

— I dziękuję raz jeszcze. Za to przede wszystkim, że o mnie pamiętacie. Powiedz im, że są wspaniali, to mnie tu trzyma przy życiu. Pozdrów ich, proszę.

Jakub coś sobie przypomniał. Podniósł do góry rękę. Mela spojrzała ostatni raz w jego stronę.

— Zostawiłem w depozycie paczkę.

— Dziękuję — odpowiedziała.

Od wizyty Jakuba minął długi tydzień. Jeden z najdłuższych. W życiu Meli jednak nic się nie zmieniło. Dalej czekała. Zelówa unikała jej. Widocznie nie miała dobrych wiadomości. Mela wędła z każdą godziną, wysychała jak roślina bez wody. Dzień czekania był jak miesiąc, a tydzień jak rok. Całą sobotę bolała ją głowa, a w niedzielę wstała wcześniej, bo nie mogła dospać do rana. Kolejny raz wyjęła spod łóżka paczkę od Jakuba. Przywiózł jej słodycze, kosmetyki i coś, z czego cieszyła się chyba najbardziej — zdjęcia przyjaciół i ich adresy. Boże, zobaczę ich! Przeglądała zdjęcia wzruszona. Trochę się jednak zmienili, posmutnieli, spowaźnieli. Ale nie tak bardzo jak ona. Ciekawe, jak im się wiedzie. Od Jakuba dowiedziała się niewiele. Tylko tyle, że żyją i jakoś sobie radzą. Może nie chciał opowiadać o rzeczach smutnych, a może bał się, że sprawi jej przykrość, opowiadając o sukcesach, które odnieśli.

Z kaplicy wróciła potwornie zmarznięta. Od kilku dni szalały wiatry. Przez nieszczelne okna czuło się już ostry powiew zimy.

Roma parzyła herbatę. Mętna ciecz w kolorze brązowym mieniła się opalizującym nalotem. To nic nowego. Wodę mieli okropną. Herbata była mdła i bez smaku, w najgorszym gatunku. Ale gorąca. To

musiało wystarczyć. Można się było przytulić do kubka albo do szklanki. Mela wyjęła z pudełka kawałek czekolady. Jakub pamiętał, że taką lubi najbardziej. Czekolada przyjemnie strzelała w zębach. Mela chciała się w ciszy oddać słodkiej medytacji. Lecz gdy tylko usiadła przy stole, posypały się złośliwe pytania.

— Co tam u naszego kapelana, spowiadał grzeszne duszyczki? — Roma kpiła czasami z religijności Meli. Zawsze, gdy ta wracała z kaplicy, próbowała na niej swoje zaczepki.

— Nie było chętnych do spowiedzi — wyjaśniła, gryząc dalej czekoladę. Udawała, że nie wie, o co Romie chodzi.

— No popatrz, a ostatnio widziałam kolejkę do konfesjonału.

— Był dzisiaj jakiś nowy ksiądz.

— Zmienili wam księdza?

— Może stary ma urlop — stwierdziła Mela, zanim padło kolejne pytanie.

— Ciągłe wam przysyłają innego. Pozwalacie na to?

— Chyba przesadzasz — odpowiedziała, wzruszając ra-

mionami. — Od kiedy zrobili remont kaplicy, ksiądz się nie zmienił. — Czekolada rozpuszczała się wolno na języku, pozwalając Meli zachować spokój. Przymknęła powieki, nie da się wciągnąć w dyskusję na temat wiary. Czuła instynktownie, że uczestnictwo w niedzielnej mszy i modlitwa pomagają jej przetrwać najgorsze z chwil. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Roma za to kąsała ją i drażniła. Taka już była. Lubiła dokuczać każdemu. Temat był bez znaczenia.

— Może skusisz się na czekoladę — Mela podsunęła jej rozłamana tabliczkę. — Pycha.

— Nie przepadam za słodyczami. Bołą od nich zęby i mdli. — Roma siedziała skulona na łóżku, ziewając bez przerwy. — Wolę konkrety. Takie wychowanie — podkreśliła, naciągając na siebie koc i wełnianą kapę. — W domu nie było pieniędzy na zbytki. Żeby wykarmić wszystkich, trzeba było kupować rozsądnie. Nas nikt nie rozpieszczał czekoladą. Ojciec lał matkę, jak kupowała bzdury. Czasami ciotka upiekła placek. Znikał w jednej chwili. Była nas piątka. Same głodomory.

— Ja byłam jedynaczką — Mela westchnęła. — Miałam wszystko.

— No i naiwna byłaś.

— Bo co? — Mela syknęła złowrogo.

— Bo się dałaś porobić tak głupio. Mogłaś żyć jak królowa. Kurde, jakbym ja miała takich starych i tyle kasy, za nic bym nie poszła do tych zielonych czy czerwonych. Jak ich tam nazywali? Ludzie kwiaty? Był taki film, to pamiętam, muzyczny.

— Już opowiadałaś — Melania stwierdziła ze złością.

— Jasne, że opowiadałam. I będę jeszcze wiele razy, mam dużo czasu. Ty też się powtarzasz. Mielisz swoje życie, jakby to był złoty proszek. Miałam to a to, byłam bogata, miałam wspaniałych rodziców. Ble, ble. I co z tego? Spierdoliłaś wszystko, a teraz smarkasz po nocach. Kurde, to było ćwierć wieku temu, kobieto, jesteś już innym człowiekiem. Masz więcej lat niż twoja stara, kiedy umierała

— Przeze mnie umarła — Mela syknęła. — I, kurde — warknęła — odwal się w końcu ode mnie!

— Jasne, trafił ją szlag — Roma mówiła dalej, nie zważając na Meli protesty. — Ja to rozumiem. Gdybyś miała takich starych jak ja, zahartowanych, nawet by ich nie obeszło. Jedna gęba mniej, to powód, żeby wypić. Nie wylewali za kołnierz, o nie. Tego im nie mogę zarzucić. Twój był jak z książki do nabożeństwa. Święta rodzina i tyle. Sama wiesz, co ci będę klarować. — Chrząknęła i zakaszła. Zacharczało w środku, jakby ktoś pociągał z całych sił linkę od spalinowej kosiarki. Zabułgotało i nagle ucichło. Roma pochyliła się i na chwilę zamarła. Potem coś jeszcze mruczała pod nosem. Mamrotała niezrozumiale tak długo, aż zmorzył ją sen.

Mela odpoczywała w cudownej ciszy. Coraz częściej pragnęła zatopić się w totalnym bezruchu i ogrzewać dobrymi myślami. Czasami czuła, że traci resztki zdrowego rozsądku. Potrafiła odpłynąć daleko, w odległe krainy swoich wspomnień, nadziei i marzeń tak bardzo naiwnych i prostych, że tu, w murach ciężkiego więzienia, miały bardziej duchowy charakter niż w najpiękniejszym z kościołów. Broniła się, otaczając barierą pozytywnych wspomnień. Odgradzała się murem. Czuła, jak myśli umykają pośpiesznie, a cała świadomość zlewa się w jedno miłe kołysanie. Znowu była daleko, w miejscu tak dobrze znajomym, a jednocześnie tragicznym, na zielonej łące, cudownie rozpostartej pomiędzy brzegiem jeziora a pierścieniem zalesionych wzgórz, ze starą stodołą, której zawalony dach z jednej strony ukazywał swój pochylony kręgosłup, a z drugiej resztki ciemnej, zbutwiełej słomy. A Mela w tym wszystkim szczęśliwa i totalnie beztroska siedziała nad brzegiem jeziora i moczyła nogi w mętnej wodzie, kwitnącej o tej porze rzęsą i glonami, śledząc jednocześnie powolny lot ptaka, kołującego nad głową. Był

jak ptak z jej pacyfki, tej, którą zawiesiła sobie na rzemyku, i tej wrytej w tatuażu na prawym przedramieniu.

Po drugiej stronie stodoły, służącej im w deszczowe i chłodniejsze dni za miejsce grupowych narad i spotkań towarzyskich, stała odnowiona chałupa.

Dochodziła szesnasta. Godzinę widać było z daleka. Kościelna wieża dominowała nad dachami miasteczka, a zegar z kogutem na szczycie głośno wybijał godziny. Mela czekała, aż duża wskazówka dojdzie do małej i rozkołysze się po niebie majestatyczny ton dzwonu. Uwielbiała ten moment. Ptaki zrywały się wtedy spłoszone do lotu, jakby nigdy wcześniej nie słyszały tej dziwnej muzyki, niepodobnej do ptasiego śpiewu, rozrywającej ich małe serca na strzępy. A przecież słyszały ją każdego dnia, co godzinę.

Dopóki wszyscy trzymali się zasad, było nie najgorzej. Uprawiali ziemię, hodowali kury. Za żywność pracowali często u miejscowych rolników. Jakoś sobie radzili. Nie chodzili głodni. Mieli gdzie spać i dużo czasu na rozmowy o życiu. Niestety kończyło się drugie z rzędu lato. Trzeba było znów pomyśleć o przetrwaniu zimy. Zaczęły się sprzeczki, nieporozumienia na tle finansowym. Niektórzy zaczęli chorować, inni popadli w depresję. A pewnego dnia ktoś przytargał ze sobą ten okropny kompot z maku, a kilka dni później kilkanaście fiolek z morfiną.

I wtedy wszystko zaczęło się walić. Niektórzy odmówili brania narkotyków, jakkolwiek by nazwać ten dziwny, ciemny płyn pozyskiwany z makowych główek. Ci chcieli być wolni, również od nałogu. Dość sztywno podchodzili do zasad, którymi powinni się kierować hippisi. Innym wystarczyła wódka, odrzucili ofertę niepewnego jutra na rzecz stabilizacji, wcześniej porzuconej. Postanowili wracać. W grupie dokonał się rozłam. Ujawniły się ludzkie instynkty, jak w stadzie, w którym nie zawsze wiadomo, kto rządzi. Zaczęły się pijackie burdy i zwykłe rozróby. Wtedy już nie było dla Meli odwrotu. Pozostała jej tylko ucieczka.

Ale Norkę, bez której nie chciała opuścić grupy, trudno było do tego przekonać. Norka myślała, że jeszcze wszystko się ułoży. Nie chciała wracać, czuła, że już spaliła za sobą mosty, że powrót to porażka i przyznanie do błędu. Ale pomysłu, jak dalej postąpić, nie miała żadnego. Uczepiła się złudnej nadziei, że ten, który ją zwerbował do grupy, potrafi tę grupę ocalić, przynajmniej w części. Była zaślepiona, zakochana i bardzo naiwna. Mela miała trudne zadanie, żeby jej przemówić jakoś do rozsądku. Dopiero kiedy jednego z chłopaków zabrała milicja, za burdy w miasteczku, a drugiego karetka pogotowia, bo przedawkował morfinę, dała się jakoś przekonać. Ocknęła się niespodziewanie i zrozumiała, że to koniec i

czas związać żagle. Oznajmiła pewnego dnia, że podjęła decyzję. Mela jeszcze nie miała stuprocentowej pewności. Czekala ją bowiem rozmowa z Radkiem. To on najbardziej naciskał, żeby zostawić Norkę w spokoju. Twierdził, że Lamus jej nie odpuści, bo odgrażał się parę razy. Ale Mela postawiła już wszystko na jedną kartę. Wmówiła sobie, że się nie boi. Nie mogli ich dłużej tu trzymać. Robiło się naprawdę paskudnie. Z grupy pierwotnych idealistów, którzy ją zakładali, pozostało niewielu. Głównie ci, którzy nie mieli do czego wracać. Waliło się wszystko; nic już nie funkcjonowało jak przedtem. Kilka osób wylądowało w szpitalu z powodu niedożywienia; inni, zatruci kompotem, wpadli w ramiona rodzin, które rozpiwały natychmiast parasol ochronny nad delikwentami.

Te zmiany nastąpiły prawie na jej oczach. W jakiś dla niej całkiem niezrozumiały sposób ideologia wiary, pokoju, oporu w stosunku do przymusu zmieniała się w ciągu kilku tygodni w ideologię wielu uzależnień. A przecież na początku nikt nawet nie myślał o narkotykach. Pojawiły się niespodziewanie, chyba specjalnie po to, żeby rozwalić ich wszystkich od środka. Przyszły z daleka — news, ciekawa nowinka o tym, jak grzesznie i niezdrowo żyją ludzie Zachodu, jak zjada ich robak chorób i moralnej zgnilizny Echa z za tak zwanej kurtyny donosiły o potwornym nałogu, gorszym od wódki, hazardu i seksu, który w USA dziesiątkuje ludzi, głównie młodych, w szczególności hippisów. Tego nie można było przegapić i nie spróbować. Młodzi wszak lubią ryzyko. Więc szczytem honoru społecznych outsiderów, szalonych dzieci kwiatów, było dogonić światowych liderów. I zaczęły się wyścigi, których nikt wcześniej nie przewidział.

Przecież nie tak miało być. Kiedy Mela po raz pierwszy pojawiła się w chałupie, która na dachu miała olbrzymi napis „Ali people are one” z jednej strony, a z drugiej wymalowane „Fuck hate”, chciało jej się śmiać. Dziewczyna z zasadami, dobra studentka, jedna z najlepszych sprinterek w AZS-ie, nie pojmowała tej niepraktycznej filozofii. Nie mogła się jakoś nadziwić, co w niej było tak fascynującego, że Norka, spokojna i utalentowana dziewczyna, porzuciła rodzinny dom, żeby zamieszkać w dziwnej komunie z grupą, co by nie mówić, brudasów. Melę obrzydzeniem napawały zapleśniałe pokoje, szara pościel, czasem tylko jakieś dziurawe derki do spania, muchy na brudnych talerzach, zapchane ubikacje. Nawet w akademiku w czasie sesji było czystiej, niż w domu zamieszkanym przez tych odmieńców i dziwaków. Potem, gdy wniknęła do wnętrza, gdy została już oficjalnym członkiem grupy, zrozumiała, o co im chodzi i nabrała do ruchu szacunku.

Imponował jej system wartości, którym się posługiwali, czyli: lojalność, tolerancja i przyjaźń. Nie wymagali wiele, chcieli żyć w wymyślonym przez siebie świecie, ze swoistym systemem wartości, z estetyką opartą na radosnych kolorach, psychodelicznej muzyce i totalnym luzie, któremu bliższa była

wolność w każdym pojęciu, niż jakakolwiek demagogia. Chcieli zwyczajnie być sobą. Stworzyli pewnego rodzaju duchową wspólnotę, bez politycznych podtekstów, ideologicznych haseł i walki o cokolwiek. Ich ruch miał być jedynie zaprzeczeniem wszystkiego, w czym wyrosli i w czym się wychowali. Buntując się przeciwko zastanemu porządkowi świata, próbowali na swój własny sposób wyeliminować fałsz, zawiść i wszechobecne zakłamanie, żeby dawać innym szlachetny przykład, jak powinien żyć człowiek: w zgodzie z przekonaniem, rozwijając własne zainteresowania, czytając i słuchając tego, co było ich zdaniem w dobrym smaku w literaturze i muzyce. Przymus był pierwszy na liście grzechów głównych.

Mela zachwyła się ideą niezwyklej komuny, ale nie do końca ją akceptowała. Hippisi imponowali jej konsekwencją nastawieniem na rozwój duchowy, niegroźnym mistycyzmem, takim indywidualnym i duchowym, raczej poszukującym, niż zmuszającym do czegośkolwiek, i zupełnie pozbawionym chorych ambicji. Nie chcieli zmieniać świata na siłę, chcieli się nim po prostu cieszyć. Jedynie ta radość w dogadaniu sobie raziła Mele, ponieważ według niej intelektualna przygoda hippisów, którą chcieli koniecznie przeżyć, groziła im poważnymi konsekwencjami w przyszłości, a teoria rozumowania i postępowania jakoś mocno przypominała jej zwykłe ludzkie lenistwo i rozgrzeszanie się za życiową nieudolność. Próbowła w rozmowie z Norką przedstawić jej jasno plusy i minusy życia w tej luzackiej grupie. Chciała w niej przełamać opór przeciwko zwykłej aktywności i próbowła przekonać, że „be here now” nie jest całkiem zgodne z zasadami etyki. Tym bardziej, że do ruchu coraz częściej dołączali ludzie szukający łatwej rozrywki, pozostawiający pod względem moralnym wiele do życzenia.

Hippisi znani byli wówczas na całym świecie i stali się modni. W Polsce oprócz prawdziwych hippisów istniał tak zwany wakacyjny folklor hippisowski. Część młodych Ignęła do niego ze względu na barwny wizerunek hippisa, na swobodny sposób noszenia ubrań, luz obyczajowy, fryzury i muzykę, w której pojawiły się nowe nurty i oryginalni soliści. Grupy powstawały w lipcu, a rozwiązywały się z końcem wakacji. Potem hippisi „na niby” wchodzili w swoje codzienne mundurki i stawali się podobni do zwyczajnych ludzi.

W grupie Norki było bardziej serio. Dobrali się już wcześniej, jeszcze na studiach, sami humaniści, naznaczeni czy niespełnieni?, spragnieni wrażeń albo mający ich nazbyt wiele? Nie chcieli być organizacją ani żadną konkretną strukturą polityka nie miała wpływu na ich światopogląd, nie byli również grupą religijną chociaż interesowali się religiami Wschodu i próbowali zgłębiać ich tajniki. Po prostu spotkało się ze sobą kilka osób i postanowili na wzór hippisowskich grup z USA założyć niezależną osadę na Mazurach.

Byli pozytywnie nastawieni do świata. Potrafili cieszyć się wszystkim, szczególnie wówczas, gdy udawało się im żyć w zgodzie z samymi sobą. Tymi cechami urzekli Norkę. Ona szukała wtedy własnej drogi. To był czas rewolucji obyczajowej, lekkiej odwilży moralnej. Zachciało się młodym odkrywać zakazane sfery życia i dopominać większej swobody, chcieli być sobą mimo ustroju, który ich gnębił i podpuszczał. Raz dawał im trochę swobody, raz targał za gardło.

To było istne szaleństwo, jak na tamte czasy, ale Norka poczuła wiatr wolności i zapragnęła odfrunąć. Zmieniła nagle uczesanie, ubrała drewniane korale, sandały, włożyła długą spódnicę, a potem zaczęła słuchać Janis Joplin i Jimiego Hendriksa. Pewnego dnia oświadczyła wszystkim, że wyjeżdża. Wcześniej poznała superchłopaka i ludzi, z którymi ciągle przebywał. Urzekła ją specyficzna aura tej dziwnej i sympatycznej grupy. Odkryła w niej swój świat, swoje przeznaczenie. Stwierdziła, że potrzebuje prawdziwej wolności, że już dłużej nie zgadza się żyć w zakłamaniu, w świecie pełnym hipokryzji i sztucznych konwencji. Chce żyć dniem dzisiejszym i cieszyć się chwilą. Ma dość morałów, zakazów, przymusów, dość nauki i po dziurki w nosie rodziców.

Naukę przerwała wiosną. Poczuła, że razem z przyrodą i ona budzi się do życia na nowo. Zdradziecka pora roku, co już niejednemu namieszała w głowie.

— Wiosenne kaprysy — określił Jakub. — Norka potrzebuje faceta — skwitował po męsku. — Norka musi wyjść z norki i zaszaleć. Norce zachciało się żyć.

— Nareszcie — stwierdzili wszyscy.

Pod koniec marca spakowała się w niedużą torbę, zabrała wszystkie oszczędności, rozpuściła włosy, na do widzenia zwołała spotkanie na drzewie. Wcześniej zaszła do Meli. Znały się od dziecka. Objęła ją mocno za szyję i szepnęła na ucho wzruszona:

— Napiszę do ciebie — obiecała. — Rodzicom zostawiłam list. Powiedz im, żeby się nie martwili i przekonaj, żeby mnie zostawili w spokoju. Załatwię sprawy, poszukam dla siebie wymarzonej drogi i wrócę, żeby im o tym powiedzieć. Niech mnie nie śledzą, to na nic. Sama się odezwę. Dam im znać, jak się urządzę — powtórzyła Meli kilka razy.

Co miała zrobić? Krzyknąć, tupać nogami, pukać się w czoło? Przywiązać ją do stołu i zawołać: „Ratunku!”? Norka postanowiła odejść i Mela musiała uszanować tę decyzję. Oczy Norki płonęły. Bił od nich taki blask! Pochodnia może, albo jakiś... stos?

— Mela, oni są cudowni! — jej ręce drżały. — Jadę tam.

— Przecież ich nie znasz — Mela wydukała z rozpaczą. — Pojedziesz później, bliżej wakacji. Zalicz chociaż pierwszy rok

— przetykała nerwowo ślinę.

— Ty nic nie rozumiesz, Mela. Nie masz o niczym pojęcia. Muszę teraz, koniecznie. — Dreptała nerwowo w miejscu. — Za godzinę mam pociąg. To jest mój pociąg, do życia w zgodzie z naturą, zrozumi. To hippisi — wyznała z dumą.

Mela była bezsilna. Dlaczego właśnie hippisi? I akurat ona

— cicha, nieśmiała Norka, zawsze w kąciku. Nawet przezwisko miała przez nieśmiałość. Zginie tam, zagłodzi się, uschnie z tęsknoty, da się wykorzystać, jest naiwna jak dziecko. Mela jeszcze nieśmiało chciała protestować. Uświadomić, jakie to zagrożenie, cóż to za bezsens. Ale słowa trafiały w próżnię. Norka z uśmiechem szczęścia wymalowanym na twarzy, rozmazanym bezczelnie od ucha do ucha, pomachała jej na pożegnanie chusteczką.

Najgorsze zaczęło się potem. Rodzice Norki wpadli w rozpacz. Nie pomógł list, rady psychologa, wielogodzinne rozmowy. Trudno im się było dziwić. Wiedziała, że nie zgodzą się czekać bezczynnie, że będą poszukiwać córki tak czy inaczej. Jej rodzice zrobiliby to samo. Poruszyliby niebo i ziemię, żeby ją odzyskać.

Poszukiwania trwały cały miesiąc. W końcu jakimś cudem udało się zlokalizować grupę. Rodzice Norki nie byli pierwszymi, którzy szukali dziecka. Wspólnymi siłami przeczესali kraj wzdłuż i wszerz, aż ich znaleźli. Dwadzieścia siedem osób gnieździło się w małym, wiejskim domku na Mazurach. Żyli w spartańskich warunkach, zdani na przywiezione z domu oszczędności i dorywczą pracę u pobliskich rolników. Niektórzy mieszkali tam już od roku. Zdążyli w tym czasie zagospodarować obejście, nieduży ogród z małym bajorkiem i olbrzymią stodołą.

Norka nie chciała słyszeć o powrocie. Nawet do rodziców nie wyszła. Stali pod płotem zrozpaczeni, zapłakani. Błagali bez skutku o rozmowę, jak żebracy o chwilę uwagi. Trudno im było zrozumieć. — Jak to? — pytali. — Czyżbyśmy byli aż tacy źli? — Brakowało im słów. Nie potrafili znaleźć właściwych argumentów. Zresztą ona ich nie słyszała. Stała w otwartym oknie jak posąg i tylko zaprzeczała kiwnięciem głowy. Nie, nie i nie. To było wszystko, co mogła im ofiarować w tej chwili.

Wrócili do domu sami. Potem, zamknięci w czterech ścianach oswajali ból, szukali wytłumaczenia. Nie było sposobu, żeby im pomóc. Cóż więcej można było zrobić? Norka nie chciała słuchać, uparcie i konsekwentnie zrywała z domem wszelkie więzi.

Rodzice błagali o pomoc. Chyba liczyli na przyjaźń, na solidarność całej grupy. Wydzwaniali do nich bez przerwy. Wszystkie telefony zaczynały się tym samym pytaniem — „Czy macie jakieś świeże wieści o Norce?”. Nie mieli. Pochłaniało ich życie, goniły obowiązki, z każdym dniem coraz bardziej. Sami też widywali się rzadko. Każdemu brakowało czasu. Zaczęła się nauka, zbliżała pierwsza w życiu sesja. Z dnia na dzień sprawy Norki zaczynały blednąć. Rozmowy o niej początkowo wzbudzały emocje, ale po jakimś czasie zeszły na dalszy plan. Toczyło się życie. Byli ciekawi, jak sobie radzi, czasami ktoś wspominał, zapytał, lecz mimo pozornej troski w tych rozmowach coraz częściej pobrzmiwał czas przeszły.

Nadeszła zima, potem święta, pierwszy dorosły karnawał. Byli sobą bardzo zajęci. Potem przyszła wiosna. Na wiosnę zachorował ojciec Norki. Jakub zwołał spotkanie na drzewie. Przyszła jedynie Anna. Inni nie mogli. Potem dotarło do nich pocztą pantoflową, że Norki tata miał wylew, był długo w szpitalu, ale teraz jest w domu i powoli wraca do zdrowia. Poczuli ulgę. I może na tym wszystko by się skończyło. Wymazaliby do czysta wszelki ślad po Norce, gdyby nie Mela. W maju wyjechała na turniej do Katowic i poznała tam Kostka.

Przemykała zaułkami starego miasta. Zobaczyła go, jak rozmawia z Kubą...

Kuba przemykał zaułkami starego miasta. Solidnie wiało. Spotkanie z Melą popsuło mu nastrój. Miał skrupuły, że tak ją zaniedbał. Ale jak pogodzić wszystkie obowiązki z gestami miłosierdzia? Do tego jeszcze ta pogoda. Spojrzał w pośpiechu na niebo. Miał nadzieję, że nie będzie padać. Nie znosił deszczowej pogody. Na domiar złego zostawił w pracy telefon, nie pamiętał nawet gdzie go położył. Oby tylko nie zgubił. Miał w nim całe archiwum kontaktów prywatnych i służbowych. Dobrze, że nie zapomniał zegarka. Był już solidnie spóźniony. Umówił się z Januszem, który przyjechał do stolicy w interesach. Należało więc skorzystać z okazji. Dawno się nie widzieli. Jakoś tak się złożyło. Czas płynie, lata uciekają zanim się człowiek spostrzeże, a mimo to oni zawsze mieli o czym porozmawiać. W młodości spędzali wspólnie każdą wolną chwilę, teraz tylko czasami nadarzała się stosowna okazja. Więc i tym razem zadzwonił do Kuby. Pewnie już czeka na niego. No cóż, Jakub dość dawno przestał być panem swojego czasu. Zaliczył kolejny dzień pełen niespodzianek. To się powtarzało cyklicznie, zawsze wtedy, kiedy miał coś zaplanowane.

Zostało mu kilkadziesiąt metrów. Mimo brzydkiej pogody miastem walił tłum. O tej godzinie było to całkiem normalne. W takim tłumie trzeba się poruszać dwoma strumieniami, jednym od ulicy, od budynków w kierunku przeciwnym. Ludzie zdawali się jacyś nieprzytomni, zbyt szybcy, zbyt zamyśleni.

Jakub nieczęsto używał nóg, więc trochę się gubił. Zdarzyło się, że trafiał pod prąd. Słyszał wtedy syk zniecierpliwienia tych, którym nagle wyrastał przed nosem. Zazwyczaj jeździł samochodem, to było łatwiejsze. Sporadycznie bywał przechodniem. Wtedy zawsze czuł, że bardziej wkręca się w tryby maszyny kierującej jego życiem, że jest tego życia bliższy. Na dłuższą metę mogłoby to być bardzo ciekawe doświadczenie, gdyby i jemu tak się nie spieszyło. Dołączył więc do innych i z głową wbitą w czubki własnych butów zmierzał systematycznie do celu.

Mocno się zmęczył, rozboleła go głowa. Nie miał już takiej smukłej sylwetki, zgrabnych ud i kondycji jak kiedyś. Przybyło mu kilogramów, trochę się zgarbił. Matka miała rację, mówiąc, że się starzeje i czas najwyższy na ożenek. Trochę się zaniepokoił. Tyle razy swoim pacjentom radził stosować dietę, uprawiać sport, zdrowo wypoczywać. Zalecał zmianę stylu życia, na regenerujący i bardziej aktywny, a sam teraz ledwo oddychał. Chyba będzie z tym musiał coś zrobić. Ciężyła mu torba, nosił w niej najważniejsze pieczątki, bał się zostawić wszystkie w samochodzie. Pewnie nigdy nie uwolni się od tej torby.

Umówili się z Januszem w małej knajpce, w zaułku, w dawnej spelunie, a nawet — można by rzec — mordowni, w której przed laty wspólnie zapijali młodzieńcze kłopoty. W jej miejscu powstał sympatyczny lokal. Jakub bywał w nim od czasu do czasu. Zawsze znalazł wolny stolik, miłą obsługę i dobre jedzenie. Postanowił zapomnieć w tej chwili o nadwadze i tłumacząc się koniecznością zjeść dobry obiad w towarzystwie kolegi.

O dziwo, Janusza jeszcze nie było. Zajął więc miejsce przy stoliku pod oknem. Lubił spoglądać na uliczny ruch, obserwować ludzi niezobowiązująco, zza szyby, bo na co dzień znał ich głównie z perspektywy biurka i choroby. Cieszył się z tego, że dobiegł tu pierwszy, że zdąży jeszcze ochłonąć i spokojnie pozbierać myśli. Zamówił herbatę. Wyszło mu w ustach ze zmęczenia. Jak dobrze chwilę odpocząć. Ależ miał kiepską kondycję. Czuł, że na twarzy pojawiły mu się rumieńce. Janusza ciągle nie było. Nie martwił się, miał dzisiaj czas. Był piątek, a w piątki popołudnia należały do niego. Nigdzie się nie spieszył. Żałował, że nie zdążył kupić po drodze gazety, poczytałby sobie. Lubił wiedzieć, co się dzieje na świecie.

W końcu zjawił się Janusz. Też lekko zadyszany, ale nie ze zmęczenia, raczej z nerwów. Tłumaczył się już od progu. Jego pierwsze słowa utonęły w ulicznym gwarze.

— Przepraszam, przepraszam — powtórzył dwukrotnie i opadł zmęczony na sąsiednie krzesło.

— Nic się nie stało, ja też dobiegłem z poślizgiem — przyznał się Jakub. — Zaparkowałem daleko, kawałek musiałem przebiec, a wiesz, to już nie to, co kiedyś, i mówiąc szczerze, ledwo się doczołgałem.

— A ja wziąłem taksówkę. Taksówkarze lepiej ode mnie radzą sobie w tym mieście. Samochód stoi pod hotelem.

— Myślałem, że dzisiaj przyjechałeś — zdziwił się Jakub.

— Jestem od wczoraj — wyjaśnił Janusz z uśmiechem. — Przyjechałem wieczorem, a właściwie nocą. Miałem z samego rana spotkanie w interesach, bałem się, że mogę nie zdążyć. Wiesz jak jest, tak trudno teraz dojechać na czas, wszędzie jakieś remonty. Wolałem nie ryzykować — tłumaczył się jeszcze. — Jak sam stwierdziłeś, to już nie to, co kiedyś. Zresztą powiem ci — dodał nieco ciszej — mam kaca, więc dzisiaj wszystko w zwolnionym tempie. Jak dojechałem na miejsce, musiałem się napić, cholera, zjada mnie stres, nie mogę sobie ostatnio poradzić. To chyba symptom wypalenia zawodowego — stwierdził krytycznie.

— To pewnie najpierw coś zjemy? — zaproponował Jakub.

— To czasem pomaga — próbował żartować.

— Oj, chyba tak, umieram z głodu. Do tego mam w sobie kilka mocnych kaw, więc chyba teraz pora na konkrety. Zamawiałeś już coś? — zapytał, przerzucając nerwowo kartki menu.

— Jeszcze nie, piłem tylko herbatę. Nie wiedziałem, co będziemy robić, czy zostaniemy, czy może będziesz miał inne plany. W końcu jesteś tu nie tylko dla przyjemności.

— Liczę na to, że jednak nie będziesz ze mną rozmawiał o interesach, chyba że szukasz pracy — roześmiał się szczerze.

— Kiedyś coś napomknąłeś, jeśli dobrze pamiętam — przypomniał, odkładając kartę.

— Ja już wybrałem, a ty? — zapytał Jakub, widząc, że zbliża się kelner.

— Tak, zrazy z ziemniakami i białą kapustą. Mogę to jeść bez końca. Jestem tradycjonalistą.

— Zamówię to samo — zdecydował Jakub, zamykając kartę.

— Wracam do prostych rzeczy — przyznał się szczerze. — Przejadły mi się śródziemnomorskie specjały i wyszukane przepisy. Kapuśniak, barszczyk, pierogi, mówię ci, Janusz, chyba się starzeję. .. Natomiast — spojrzał za odchodzącym kelnerem — co do interesów, a bardziej do tematu pracy, jeszcze ciągle jestem lekarzem, chociaż licho wie czemu. — Przerwał na chwilę, żeby wyjąć z kieszeni chusteczkę. Czuł, że się zaczyna pocić. Nienawidził tego. Bał się, że czasami to pocenie może coś złego oznaczać, coś gorszego niż zwykłe zmęczenie czy choćby nadmierna nerwowość. Wytał zroszone czoło i odpiął marynarkę. — Już dawno powinni mnie wylać i zatrudnić młodszego. Zrobiłem się bardzo marudny, sam widzę, i szybko się męczę — wyznał dość krytycznie. — Czasami, jak wrócę do domu, zastanawiam się, czy jeszcze żyję. Momentami mam dość wszystkiego. Może powinienem zwolnić się sam? Rozważam taką możliwość — oświadczył. — Tylko powiedz mi, Janusz, czyja się do czegoś innego nadaję?

— Zawsze można zaryzykować i zmienić coś w swoim życiu, na naukę nigdy nie jest za późno, tak twierdzą niektórzy. Podobno można się uczyć do śmierci, to nawet zdrowo, gimnastykować mózg, być zawodowo aktywnym do samego końca... Mówi się...

— Nie strasz mnie, człowieku — Jakub przerwał zgorszony.

— O śmierci jeszcze nie myślę, a co do mózgu, mam całkiem inne zamiary — przyznał się szczerze. — Najchętniej dałbym mu urlop.

— Jeśli jesteś aż tak nieszczęśliwy, chodź do mnie. U mnie praca zawsze się znajdzie — zaproponował Janusz, tym razem poważnie. — Potrzebuję do pomocy kogoś zaufanego. Dobrze zapłacę. Nie bujam i nie żartuję — zapewniał. — Poradziłbyś sobie, to nic trudnego. Trochę byś się pobrudził, ale za to jaka zmiana.

— Rozpatrzę propozycję — na słowa kolegi zareagował uśmiechem. — Tylko czy aby nie wpadnę z deszczu pod rynnę? — zapytał na wszelki wypadek.

— Pewnie tak, bo mnie też łatwo nie jest — potwierdził Janusz. — Sam gonię w piętę.

— Dzięki za ostrzeżenie — udawał, że traktuje ten żart dość poważnie. Lecz w końcu nie wytrzymał. — Oj, nie miałbyś ze mnie pożytku.

— Daj spokój, Kuba, tydzień i byłbyś majster pierwsza klasa i jeszcze byś nas przy okazji leczył. Dla mnie super, powiedz tylko kiedy.

Lokal był prawie pusty, kelner też zniknął bez śladu. Dobrze się rozmawiało, bez pośpiechu, gdyby tylko głód tak nie doskwierał. Popijali zamówioną colę, komentując miejsce i czasy, w których przyszło im żyć. Niestety, stwierdzili, że coraz częściej zaczynają rozmowę od narzekania na zdrowie. Kiedyś ten temat nie istniał, teraz stał się niemal szlagierem. Tych narzekań w miarę upływu lat wciąż przybywało. Wbrew naiwnym oczekiwaniom, że wkrótce nadejdzie czas spoczynka na laurach i korzystania z życiowego dorobku, im byli starsi, tym perspektywa rychłego odpoczynku oddalała się od nich coraz bardziej.

Po zdrowiu przyszła kolej na sprawy rodzinne, a gdy kelner postawił przed nimi pełne talerze, zaczęli wspominać. Janusz nie był zorientowany w problemach kolegów. Znał je tylko z relacji Jakuba. Pochłaniała go praca, unikał znajomych. Tylko Kuba się liczył. Może było w tym trochę wygody, ludzkiej przebiegłości, a może dobrze czuł się w jego towarzystwie. On jak nikt potrafił wysłuchać, czasem też dobrze doradzić. Dzisiaj trudno jest znaleźć przyjazną duszę, a co dopiero osobę, której można się zwierzyć bez obaw. Coraz dłuższe przerwy w spotkaniach oddalały od znajomych wątków. Po dłuższym niewidzeniu aż strach było pytać.

— Mam ostatnio wrażenie, jakby mi się wszystko w życiu rozłaziło — odezwał się Jakub tonem malkontenta. — Trudno mi to ogarnąć. Patrzę dokoła, tego już nie ma, ktoś umarł, ktoś się z kimś rozszedł, uciekł, wyjechał. Pustoszeje moje podwórko. Tylu nas było, a teraz ugór. Gdzie się podziały obiecane, szczęśliwe lata?

— Szczęśliwe? Chyba żartujesz. Nie pamiętam jakoś. Może, dawno, jak jeszcze byłem szczeniakiem.

Zmęczenie wymalowało na ich twarzach niezdrowe rumieńce. Siedzieli przy kawie. Janusz nie dał się namówić na herbatę. Wlewał w siebie kolejną smołę i twierdził, że musi, że bez tego nie da rady dojechać do domu. Tego dnia miał do zrobienia sporo kilometrów, a dzień był przecież jeszcze bardzo krótki. Zanim się pożegnali, zapytał o Melę. Głównie to ona miała być tematem spotkania, ale jak zawsze temat główny utonął w morzu innych spraw.

— Mela jest w niezłej formie. Jest mocna, nie dała się zgnębić. Myślę, że sobie poradzi.

— Daj Boże — Janusz tylko westchnął. — Najlepsze lata to dla niej był koszmar. Szkoda jej — spojrzął przed siebie. — Taka fajna dziewczyna. Wiesz już, kiedy wychodzi? Trzeba by się z nią spotkać. Sprawy do tego dojrzały. Musimy jej o wszystkim powiedzieć. — Przypomniał sobie cały ten cyrk z jej procesu i posmutniał nieco. — Dopóki nie było wiadomo, kiedy ją wypuszczą to nie miało większego znaczenia, lecz w obecnej sytuacji powinna znać prawdę.

— Oczywiście — Jakub przyznał rację. — Myślę o tym, od kiedy złagodzili jej wyrok. Wezmę urlop i po nią pojedę. Dostała nasze adresy i telefony. Obiecała się skontaktować.

— Szkoda, że tak się potoczyło jej życie, że dała się sprowokować draniowi. Widocznie inaczej nie mogła, zawsze była honorowa, pamiętasz? — wspominał Jakub. — To powszechne u sportowców, a ona była typem sportowca, jeszcze w szkole dała się poznać z tej strony.

— Tak, tak, pamiętam — potwierdził. — Zastanawiam się czasem, jak bym się zachował na jej miejscu. Człowiek jednak słabo zna siebie.

— Daliśmy się poznać dwadzieścia lat temu, umywając ręce. Skreśliliśmy ją dla wygody — przypomniał mu Kuba. — Powiedzmy, że byliśmy młodzi. Usprawiedliwiam się czasem, bo jak z Melą działo się to wszystko, sam byłem w matni. Rozstrzygało się wiele ważnych spraw w moim życiu. Mela dla mnie wtedy nie istniała. Jak się ocknąłem, było już po wszystkim.

— To fakt, spapraliśmy sprawę. Może dałoby się wtedy zapobiec tragedii, przecież ojciec Marka był znanym prawnikiem, a jego starszy brat zdaje się też skończył prawo — analizował.

— Tylko, że — z tego, co pamiętam — Marka rodzice w tym czasie byli po rozwodzie, a on w proteście uciekł za granicę i przez pół roku nie dawał znaku życia, a jak wrócił, wkręcił się w Solidarność i miał kilka lat z głowy.

— Też byliśmy wtedy pokręceni — Janusz przytaknął. — No, ale teraz...

Jakub się tylko uśmiechnął. Był najlepiej zorientowany w sprawach ich wspólnych przyjaciół.

— Teraz wcale nie jest lepiej. Nic się nie zmieniło. Porąbane to życie — krótko podsumował.

— E, jak zwykle przesadzasz. Zjedliśmy zęby na własnych błędach. Chyba, do licha, potrafimy już dmuchać na zimne? — sam siebie zapytał.

Dopili kawę, zapłacili rachunek i zbierali się powoli do wyjścia.

— Jutro jadę do Magdy — przyznał się Jakub po chwili.

— Coś takiego, no zobacz, a jak ona się czuje? — Janusz zapytał zdziwiony. Nakładał kurtkę i wyciągał z kieszeni szalik. Myślami był już zupełnie gdzie indziej.

— Jest chora. Prosiła o pomoc. Uciekła od Tadeusza — wyjął przyjacielowi. —Ale mówię ci to w sekrecie, prosiła, żeby nie rozgłaszać. Nie wiem, co tam się dzieje, pojedę, czegoś bliższego się dowiem. Magda zawsze była słaba. To przeciwieństwo Meli.

Na imię mam Magda. Zawsze byłam słaba i wstydliva, a teraz muszę sobie jakoś radzić. Ciężko mi. Wczoraj zadzwoniłam do Kuby. Tylko on wie, gdzie jestem.

Boję się wychodzić z domu, ale czasem muszę zrobić zakupy, odetchnąć nieco. Wracam do domu. Idę skupiona na krokach, na spoinach pomiędzy płytami, liczę kolejne metry. Zsuwam na czoło przydługawą grzywkę, włosy wchodzą mi do oczu, to nic, wytrzymam, jeszcze tylko kilka kroków do przejścia i po chwili jestem w tramwaju. Nie patrzę na ludzi, spoglądam przez okno na ulicę, która cofa się spod kół nieuchronnie. Nikt mi nie zagraża, odjeżdżam niezauważona i wracam, wracam do domu. To tylko kilka krótkich przystanków. A zakupy, miałam coś kupić? Dzisiaj już nie, trudno. Może obędę się jeszcze bez chleba.

Wychodząc od neurologa, zabrałam ukradkiem z biurka stary biuletyn lekarski. Na pierwszej stronie tytuł, podkreślony grubą czcionką: „Zawroty głowy”. Gnębią mnie już od dłuższego czasu, utrudniając życie, więc sięgnęłam po ten biuletyn z nadzieją że wreszcie znajdę w nim odpowiedź. Nie czuję się źle, właściwie nic mi więcej nie dolega. Może czasami bóle oczu i mdłości. No cóż, to pewnie z nerwów, i ta pogoda, krajobraz do znudzenia ten sam, zima. Nuda za oknem, tylko biel od kilku tygodni, nic więcej. Trochę się czasami podtopi i wtedy odrobina czerni wychyli się nieśmiało na skraju drogi, przy chodnikach, wzdłuż bloków na osiedlu, na którym mieszkam, ale niech tylko tej czerni za dużo, zaraz dosypie. Przyjdzie noc, a rano znowu biało, jakby wykasowano wszystkie kolory. Wyobrażam sobie czasami, że na tej bieli ktoś położył czerwoną różę, albo nie, róża to banał, więc może tulipan? Ile radości byłoby w tym kontraście, jaka przyjemność dla oczu.

Zeskakuję ze stopni tramwaju, moje nogi czują się pewnie. Po tych kilku miesiącach bezruchu mięśnie powinny osłabnąć, ale nie jest tak źle. Tylko głowa zawodzi. Szkoda, bo właśnie na niej mi najbardziej zależy.

Widzę już swoje okna, przyzwyczajam się do nowego domu. Oswoiłam już nawet brzydkie podwórko przed blokiem, zaczynam akceptować podrapane drzwi, klatkę śmierdzącą moczem i psami. Znam już niektórych sąsiadów. Kłaniamy się sobie. Lubię listonosza. Wprawdzie rzadko do mnie zagląda, ale mówi grzecznie „Pani Magdo”, jakby mnie znał już od lat. To nawet miłe.

Czuję drżenie rąk, zawsze mnie ogarnia dziwne podniecenie, kiedy przekręcę klucz w zamku. Radość rozplywa się gorącą falą. Jestem u siebie. Byle jakie jest to mieszkanie, niewiele w nim sprzętów, brakuje telewizora. Mimo wszystko jest mi tu dobrze. Okazuje się, że do szczęścia nie potrzeba wiele.

Przede mną na stole otwarty laptop. Szósty rozdział książki gotowy, myślę nad zakończeniem, jakie ono będzie? Raczej smutne. Nie lubię happy endów. Niedosyt — to moje motto. Nie da się wszystkich zadowolić.

Nie ma sprawiedliwych podziałów, ani według zasług, ani według potrzeb. Nie wiadomo kto tym wszystkim rządzi i czym się kieruje. Rzadko nagradza, a potem odbiera nagrodę, tak szybko, że się nie spostrzeżesz. Nie pomogą nawet szlachetne intencje — wiem to od dawna — ani precyzyjny plan. Wszystko na nic. Raz daje za dużo, innym razem tyle, co kot napłakał. Dlatego myślę sobie, że może ze szczęściem jest jak z księgowością w końcu gdzieś tam się bilansuje. Tylko od czego to wszystko zależy? W którym momencie los daje przydział na szczęście i co o tym decyduje? Czy garnitur chromosomów, ślepy traf, czy szerokość geograficzna? A może jakaś nadprzyrodzona siła wprowadza taki chaos? Tak trudno pogodzić się z prawdą o absolutnej przypadkowości. Uwierzyć, że wszystko zależy od starej jak świat zabawy w niebo i piekło. Tak mało wiemy o sobie.

Tli się gdzieś w środku domysł, przypuszczenie, a potem jak grom z jasnego nieba, że jednak nie jestem taka, jak myślałam, jak planowałam, nie jestem taka, jaka chciałam być, ani taka jak inni chcieli, żebym była. Tak trudno zmienić siebie. Zmiany, to tylko pozory, zwykły kompromis, wyświechtane słowo, pozostawienie duszy na pastwę kogoś innego, za cenę świętego spokoju. Dlaczego, czemu tak musi być? Czemu człowiek nie może zostać sobą do końca tylko ciągle kogoś udaje? Ten śmieszny teatr, tylko gra pozorów, wieczna przepychanka o prawo do czegoś, szkoda, że nie wiadomo do czego. Może właśnie tęsknota jest mi potrzebna? Jedynie w tym widzę jakieś wyjście. Jestem już bardzo zmęczona, trochę rozczarowana, muszę skupić się wreszcie na sobie.

Woda w czajniku przyjemnie szumi, zrobię teraz herbatę, mam jeszcze jogurt i wczorajszą zupę, to mi powinno wystarczyć. Włączam Internet, to jak rytuał, od tego zawsze zaczynam. Czekam na

wiadomości z domu, od mamy. Tylko ona wie, że bez tych wieści nie przeżyję. Szkoda, że na jakiś czas nie da się wyczyścić pamięci, pracować bez wspomnień, jak maszyna.

Tym razem list od Tadeusza, kasuję go jednym kliknięciem. Nie czytam. Wiem, czego chce. Nie poddam się. Choćby mnie to kosztowało wiele, nie poddam się. Życie wydarło mi już bezpowrotnie kilkanaście lat. Poświęciłam je innym, wysiadując cierpliwie na grzędzie, jak przykładna kura. Najważniejsza teraz jestem ja.

Czas pracuje na moją niekorzyść. Przemyka między palcami jak drobny piasek, znika i już wiem, co dostanę w zamian. Kilka zdań prawdy o mnie, niedoskonałej, niedopracowanej w szczegółach, powierzchownej. Nie wprost, a w rękawiczkach, powie mi to twoimi ustami. Najpierw „kochanie”, na początku zawsze jest słowna pieśczoła, potem to spojrzenie podcinające nogi, kamienna twarz, wzrok wbity w podłogę. Cios przychodzi później, ma zawsze długość kilku miażdżących słów. Drugi akt to dąsy, scena końcowa, ja — mizdrząca się, pokorna. Nigdy odwrotnie, męska duma na to nie pozwala, ale komu jest właściwie potrzebna? Mnie nie. Jestem już tą dumą zmęczona.

Teraz cierpię na bóle głowy i zawroty. Nie śpię, nie mam apetytu, boję się samej siebie. Może to schizofrenia, obłąd jakiś? Badania nic nie wykazują. Lekarze wmawiają mi ciągle depresję. Konowały! Jaka depresja, mnie rozsadza energia, cieszy każda godzina spędzona w samotności, każda napisana strona. Zamienię tysiąc dni kurnika na jeden dzień w tej norze. Uciekam w ułudę i chowam się w nieistniejących światach, gdzie jest czułość, gdzie ktoś mnie przytula, rozumie, podziwia, docenia. Tu jest mi cudownie. Mogę tutaj być bez limitu, jak długo chcę. Nic nie zakłóca mojego spokoju, jedynie wyrzuty sumienia, tylko one wyprowadzają mnie z równowagi. Żal mi dziewczynek i tego, że nie widzę ich i nie mogę się nimi zajmować. Robi to moja mama, biedna, stara kobieta, tak zawiedziona, rozczarowana, zdruzgotana moją postawą egoizmem i krańcową beztroską. Dzwoni codziennie, strzela do mnie esemesami i błaga, żebym wróciła. Każdego dnia mail. Listy są jak dawkowana powoli narkoza, jak tłuczek do wybijania z głowy z trudem wypracowanych przyrzeczeń.

No właśnie, moje zawroty głowy. Lekarze szukają przyczyny, ale nic we mnie nie ma, co mogłoby je usprawiedliwić. Patrzą dziwnie, z niepokojem, robią głupie miny i proponują gabinet psychiatry. „Ze względu na złożoność budowy całego układu równowagi, aby ostatecznie postawić diagnozę, konieczna jest ocena specjalistów: neurologa, okulisty, audiologa, radiologa, internisty, neurochirurga i psychiatry. Postępowanie terapeutyczne w przypadku zawrotów głowy wymaga długiej

obserwacji, częstego powtarzania badań, a postawienie ostatecznego rozpoznania bywa bardzo trudne".
Oto następny cytat z biuletynu,

Obawiam się, że zbyt szybko stracę zapał do wyjaśniania tajemniczych objawów.

Ekran komputera kłuje mnie w oczy. Litery wbijają się jak szklane szpilki. Okulary już nie pomagają. Muszę się przespać. Ciągłe przeżywanie poranny telefon Tadeusza. Skusiło mnie, żeby odebrać, sama nie wiem dlaczego. Ma coraz ostrzejszy głos. Myśli, że mnie przestraszy. Nic z tego, może się wypchać. Według niego mieszkam na innej planecie, w niedostępnych wymiarach, najdalszych galaktykach, nigdzie. Gdybym się nie ukryła, nie dałby mi teraz spokoju. On nie rozumie, jak zwykle — „kobiety nie można zrozumieć”. Uważa, że dobry tekst można napisać pomiędzy garnkami w kuchni albo przy desce do prasowania, bo „prawdziwy talent wszędzie znajdzie możliwość wyrazu i nie powinien żyć w oderwaniu od rzeczywistości”. Myśli, że poznał prawdy całego świata, uzdrowiciel. Uważa siebie za coś lepszego, mnie traktuje podrzędnie, mam być dopełnieniem szczęścia, potwierdzeniem jego najlepszych wyborów, a sam fakt, że z nim przebywam, uświęca mnie i uszlachetnia.

Między nami jest przepaść. Nie potrafimy się porozumieć. Ja jestem daleka, on ma pod skórą zaszyty smutek, jak futerko, którym się grzeje. Straszy mnie nim, zniechęca, dobija. I wszystko jest ważne, oprócz mnie. Nawet mój ból mniej mnie boli, mniejsze odczuwam zmęczenie, mniej cierpię, właściwie wcale. Nie powinnam cierpieć, mam niski próg odczuwania bólu i cierpienia, i przesadzam, jak zawsze przesadzam. Wieczory monologów o głupich ludziach, którym się za dużo wydaje, o świecie, który pędzi w przepaść, o grzechu, o ludzkiej słabości. Moja prywatna Kasandra dba o samopoczucie.

Każdy jest, jaki jest, trzeba się z tym pogodzić, tylko dlaczego pozwoliłam się tak bardzo zmienić, tak zdominować. Spłynęły już w podziemne strumienie tortury, jak krople wody, które drążą najtrwalszą skałę. Zrobiłam się twarda. Nie rozumiem już, co on do mnie mówi, jestem zbyt słaba, zbyt zwykła, za bardzo nijaka dla niego, zbyt prymitywna. Brak mi tej klasy, na którą liczył, powagi i dostojeństwa. Nie pasuję do nieskazitelnego wizerunku człowieka, którym on się sobie wydaje. Jeszcze wciąż zbyt często się śmieję, śpiewam, zwykle w nieodpowiednich momentach. Czasem się upijam i coś głośno powiem, jakiś totalny banał, którego powinnam się wstydzić. A ja tylko próbuję coś od siebie powiedzieć. Jak wiatr i jak mgła uwięziona w klatce. Mogłabym uciec, ale udaję, że nie potrafię. Wygasam i opadam, tracę bezpowrotnie całą radość życia, nie ma już we mnie spontaniczności, którą tak bardzo kochałam, wszystko jest pod kontrolą. Marzę o zrobieniu jakiegoś głupstwa, byle poczuć coś w sobie poza nudą i ciągłym strachem. Wyłączam więc receptory.

Dlaczego nie da się po prostu kochać, tylko trzeba grać w coś, co się nazywa miłością małżeńską? Wiem, powinnam jak wierny pies łaścić się, domyślać, zgadywać. To ja, kobieta, powinnam zdobywać szklaną górę bez skazy i dziękować bez końca stwórcy, że dostałam takiego zaszczytu.

Kończyłam właśnie jeść, kiedy zadzwonił telefon. Ktoś aż trzy razy wybierał mój numer. Wydzwonił chyba całą swoją moc, zanim umilkł na dobre. Po chwili przyszła wiadomość: „Szukam Cię od kilku tygodni, odbierz. Dorota”.

Dorota. Nie widziałam jej ze dwa lata. Kontakt urwał się, jakoś wczesną jesienią. Zgubiła telefon do Kuby, dlatego wtedy dzwoniła. Był jej pewnie do czegoś potrzebny. Nie pytałam. Czas wtedy nie bardzo mi sprzyjał. Ale widać zmieniła telefon, bo numer był całkiem inny; a może dzwoni z cudzego? Nie chciałam się dekonspirować. Będzie mnie wypytywać zaraz o dziewczynki. Mam kłamać albo udawać, że nic się nie stało? Numer jej poprzedniego telefonu miałam ciągle w komórce, spróbuję na ten, może odbierze.

Spomiędzy szumu ulicy dobiegło mnie czyjeś „halo”, ale to nie był wcale głos Doroty. Po drugiej stronie usłyszałam Marka. Potrzebowałam chwili, żeby zebrać myśli.

— Marek Leszczyński — przedstawił się bardzo oficjalnie, zanim zdążyłam zapytać. Nawet się nie zdziwił, że dzwonię, jakbyśmy się wczoraj widzieli. Zapytałam więc o Dorotę.

— Doroty nie ma w domu — wyjaśnił krótko. — Masz do niej sprawę? — dodał bardzo oschle.

— Przysłała mi esemes. Więc oddzwoniłam na jej komórkę.

— Ach, tak, to dziwne — powiedział, nie wiadomo dlaczego. Głos miał wyraźnie zgaszony. Widać nie był chętny do rozmowy, chociaż mógł się przecież postarać i nie traktować mnie z góry. — Teraz ja mam Doroty komórkę — wyjaśnił szybko.

W dalszym ciągu nic nie rozumiałam, ale cóż mi zostało, tylko przyjąć do wiadomości.

— A, to świetnie — dodałam. — To znaczy, że wszystko OK. Niepotrzebnie się martwiłam. Dawno nie miałam od niej wiadomości, a teraz ten numer. — Próbowałam jakoś wybrnąć z sytuacji. Nie chciałam, żeby pomyślał, że jestem koleżeńskim wywiadem.

— Przykro mi, aleja też nie mam z Dorotą kontaktu — zaczął grobowo — nie odzywa się do mnie od tygodni — wyznał.

— Nie ma sprawy — usiłowałam pohamować zdziwienie, a nie miałam odwagi zapytać. Natychmiast wyczuł w moim głosie rozterkę. Nie wiedziałam, jak się zachować. Czy wypadało mi wchodzić w ich rodzinne sprawy, czy stara przyjaźń upoważnia do wścibstwa? W końcu już nie jesteśmy ze sobą tak blisko, jak kiedyś.

— Jeśli chcesz — znowu wydusiłam. — Prześlę ci jej nowy numer. — Powiedziałam bez namysłu. — Będziesz mógł się z nią skontaktować.

— Pewnie nie wiesz — próbował mi jakoś wyjaśnić — ale Dorota odeszła. Po prostu zniknęła i tyle. Nawet nie wzięła komórki. Noszę ją bo telefon nie przestaje dzwonić. Chciałem wyłączyć, ale jakoś nie mogę. Liczę na to, że się skontaktuje.

Już nie był taki oficjalny, zdjął maskę, był bardzo smutny. Chyba liczył na słowa otuchy. Nie wiedziałam, jak mogę mu pomóc, akurat ja nie miałam prawa doradzać. Przecież zrobiłam to samo, też jak Dorota odeszłam. Przebiegło mi tylko przez głowę, że pewnie cały świat musiał zwariować, skoro rozpadają się takie małżeństwa. Nie miałam na tyle odwagi, żeby się przed Markiem otworzyć. Jeszcze bym go dobiła. Bardzo lubią się z Tadeuszem.

— Mieliśmy pewne problemy — sam zaczął zeznawać. — Odeszła — powtórzył i dostał duszącego kaszlu. Przez chwilę dochodził do siebie. Kaszel wydawał mi się nazbyt sztuczny, trochę wymuszony, a może nawet nerwowy, tak, to był napad nerwowego kaszlu. Chciał odwlec w czasie prawdę, która tkwiła pod słowem „odeszła”. Już nie mogłam dłużej milczeć.

— Jak to odeszła? — spytałam z niedowierzaniem.

— Wyobraź sobie — zawiesił głos i pomiędzy kolejnym chrząknięciem a ciągłymi nawrotami kaszlu powiedział tak cicho, jakby nie chciał, żebyśmy usłyszała. — To ja jej kazałem. Ale zrozum — podkreślił. — Zrobiła mi coś takiego!

Wstrzymałam oddech, takiego Marka nie znałam. Cóż się stało z tym mocnym facetem?

— Marek — odezwałam się wreszcie. — Powiesz, co jest? Głupio się czuję. Dukam coś do ciebie od rzeczy. A może mogłabym pomóc. Tobie albo Dorocie. Dzwoniła, może mnie potrzebuje?

Po drugiej stronie trwała jednak cisza. Słyszałam tylko jego cichy oddech.

— Daj mi ten numer — powiedział całkiem spokojnie. — Tylko tyle możesz dla mnie zrobić.

— Oczywiście — zapewniłam gorliwie. — Zaraz ci go prześlę.

— Będę wdzięczny — dodał bardzo cicho. — Odezwij się kiedyś. Może będę w lepszej formie.

— Jasne, zadzwonię — próbowałam się jakoś wycofać. Czułam, że jest na granicy. — Trzymaj się, Marek, mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży — dodałam na koniec.

- Niestety — odpowiedział mi zaledwie jednym słowem.

Pierwsze opowiadanie napisałam kilka lat temu. Nudziłam się. Zaczęły się wakacje, wyjechałam służbowo do Berlina na podpisanie umowy z nowym inwestorem. Dziewczynki zabrała do siebie moja mama. Był piękny dzień, ogród pełen ptaków, słoneczny poranek, ogarnął mnie nagle twórczy nastrój. Kilkadziesiąt kartek z komputera w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, to wszystko. Wysłałam je do wydawnictw, tak na chybił trafił. Minęły miesiące. Gdy przyszła odpowiedź, nie pamiętałam już, o czym to było. Przypadek, a może po prostu szczęście. Mały uśmiech losu.

Zaczęłam pisać i szukać wydawcy. Udało się, chyba zbyt łatwo. Jedna książka, zaraz potem druga. Zdziwienie, że robię coś dobrze, a potem radość, że znalazłam dla siebie oazę, niewielką prywatną wyspę, kawałek lądu, własny skrawek ziemi obiecanej. Odnalazłam jakiś mały strzępek świata, z zakazem wstępu dla innych.

Nie chciałam w swoim życiu zmieniać tak wiele, nie chciałam niszczyć rodziny, nie chciałam nikogo krzywdzić, ale przecież miałam prawo być sobą. Czy to tak wiele? Wahałam się długo, próbowałam jakoś pogodzić pisanie z domem i z pracą zawodową. Było mi ciężko, ale pomogłeś mi w podjęciu decyzji. Cynizm, zachłanność, a może i zazdrość, że wrywam się w świat bez przyzwolenia, bez męskiej akceptacji. A we mnie rodziła się jedna fabuła za drugą. Tworzyły się w głowie gotowe obrazy. Były sugestywne, lecz rozmywały się w pamięci, nietrwałe, trzeba je było szybko zapisywać. Topniałam cała w iluzji, maskowałam się w niej doskonale, tak łatwo jest w myślach zdradzać i wybaczać, rzucać lub nienawidzić, gdy przeżywanie tych wszystkich stanów nie wiąże się z rzeczywistością a jedynie ze snem na jawie, gdy z każdej sytuacji można znaleźć rozsądne wyjście, dorobić zgrabne zakończenie.

Więc myślałam, myślałam po nocach, zadreślałam się całymi dniami. Wiedziałam, że od decyzji, którą podejmę, zależy wiele. Nie mogliśmy się jednak dogadać. Sprawy szły w niedobrym kierunku. Zacięliśmy się wtedy oboje.

Dzisiaj wieczorem zapukała sąsiadka z mieszkania obok i przyniosła moje wyniki z przychodni. Lekarz powiedział, że nie są dobre i że powinnam się do niego zgłosić. Żarty. To tylko przeziębienie. Od kilku dni mam wysoką gorączkę i boli mnie gardło. Kończy się jedzenie, a stara lodówka rzeźi resztkami sił.

Dzwoniła Dorota. Na sekretarce nagrał się jej głos, bardzo zresztą smutny. Chyba to coś ważnego, bo pytała, czy może przyjechać. Nie może. A tego numeru Markowi nie dałam. Nie wiem, co jest między nimi, nie będę się wtrącać w ich sprawy. Dzwonił też Jakub, chce rozmawiać o Meli. Mela, moje biedactwo, jak ona to wytrzymuje. Mamy ze sobą wiele wspólnego. Obydwie siedzimy w więzieniu. Ja siedzę z wyboru.

Stoję przy oknie. W wąskiej szparze pomiędzy zasłonkami widzę kawałek chodnika i żywo płóć okalający wejście do klatki schodowej. Na wprost niego jest parking. Spodziewam się wizyty Jakuba. Postanowiłam złamać zasady konspiracji. To wyjątek, którego mogę się bezkarnie dopuścić. Potrzebuję pomocy.

Gdy wszystko się układa, obawa katastrofy wydaje się czymś nieprawdopodobnym. Monotonia codziennych czynności usypia jak nudny film. Czujność leniwie przesuwają się po bezkresnych równinach, a życie wydaje się wieczne. To takie złudne i bardzo

żałosne. Dopóki nogi mocno opierają się o ziemię, nie istnieje obawa upadku. Ululani rozkoszną stabilizacją ledwo zauważamy kogoś wokół siebie. Dopiero w obliczu zagrożenia czujemy własną nicość. Niespodziewanie okazuje się, że bez pomocy innych ginimy.

Telefon Jakuba zawsze miałam przy sobie. Jakub mi na pewno nie odmówi. Miałam wprowadzić sporo pracy przy książce, ale nie było wyjścia. Pisać będę później. Może ta skłonność do dekoncentracji wynika ze stanu zdrowia? Czyżbym się przeliczyła? Mam nadzieję na jego pomoc, muszę być sprawna. Potrzebuję jeszcze trochę czasu, ale nie mogę tu tkwić bez końca.

Wysiliłam się nawet na makijaż. Odrobina kolorów przyda się mojej twarzy, będę jak ten czerwony tulipan w zaspach śniegu. Z trudnością malowałam rzęsy i nakładałam puder na policzki. Widok w lustrze nie był budujący.

Przyjechał koło dwunastej. Odruchowo spojrział do góry i zobaczył, że stoję przy oknie. Uśmiechnął się, jak zwykle serdecznie. Czekałam z ręką na klamce. Stał potem przez chwilę w drzwiach, jakby nie dowierzał własnym oczom. Chyba coś ze mną nie tak, widocznie makijaż nie pomógł. Poza

obojętnym „cześć” nic więcej. Dopiero później poprosił o kawę. W pierwszej chwili był oficjalny, jak normalny lekarz w czasie domowej wizyty. Gdyby nie ta kawa... Zanim wystygła, zdążył mnie zbadać i zmierzyć ciśnienie. Poprosił też o wyniki badań. Przeglądał bez komentarza, opowiadał za to o warunkach podróży.

— Paskudna droga — skarżył się przy stole. — Do połowy czarna, ale potem zasy na drodze, zawiąło z pól. Mam nadzieję, że zdążą oczyścić, zanim stąd wyjadę. — Mówił jak obcy człowiek. Był jakiś dziwny, bardziej spięty niż ja.

— Jakub, co jest? — spytałam w końcu.

W oczach miał litość. Znajomym gestem przetarł policzek i dopiero później spojrzał mi w oczy.

— Magda — powiedział ciepło — źle wyglądasz, masz anemię, do tego zapalenie oskrzeli. Powinnaś się lepiej odżywiać, brać leki i koniecznie położyć do łóżka. To jest warunek. Nie wyzdrowiejesz inaczej. No i nie możesz być sama — dodał bardzo dobitnie.

Pod jego hipnotycznym wzrokiem straciłam pewność siebie. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy dobrze robię, szukając u niego pomocy. Trzeba było wezwać innego lekarza, obcego.

— Ale ja jem, jem, ile mogę. Przecież wiesz, że zawsze jadłam niewiele. Jakub, to nie jest problem jedzenia — próbowałam się jakoś bronić.

— Nie musisz mnie przekonywać. Mnie wystarczy twoja lodówka i wyniki — podniósł ze stołu kartkę. — Sama widzisz — uniósł ją w moim kierunku. — Wyniki mówią za siebie. Wyglądasz jak śmierć, blada, wychudzona. Nie przekonuj mnie, że zawsze tak wyglądałaś.

— Więc dobrze, może jem trochę mniej, może nie mam już apetytu, ale skąd te bóle głowy, skąd u mnie zawroty?

— Wiesz co? — zwątpił. — Sama sobie odpowiedz. Przecież nie jesteś dzieckiem. Jak to skąd? No stąd, właśnie stąd. Wszystko jest powiązane. Anemia, bóle głowy, zawroty — czego chcesz więcej?

Fakt, mówił prawdę i nie można było zaprzeczyć. Zachowywałam się naprawdę jak dziecko.

— Nie mam apetytu — przyznałam w końcu. — Jestem przepracowana, piszę przez całe noce. Dręcę się wszystkim, domem, Tadeuszem. Cieszę się, a jednocześnie gryzie mnie sumienie. Jedno zjada drugie. Kiedy myślę o dzieciach, mam skrupuły. Błędne koło. Nie można przecież wymazać z pamięci

całego życia i zacząć jak nową książkę, od początku. W końcu nie było takie złe. A coś muszę poświęcić. Nawet miłość do fikcji ma swoje granice — poniosło mnie. — Do cholery, jestem tylko człowiekiem.

Milczał. Chyba czekał, aż się wygadam. Potrafił słuchać, był dobrym psychologiem. Wiedział, że tego mi właśnie brakuje, nie tylko lekarza, że się chciałam przed nim otworzyć, jak przed księdzem. Ale niech mi kto powie, jak w ciągu godziny opowiedzieć komuś o wszystkim? Te nagromadzone przez lata rozczarowania i pretensje. Nie da się podsumować życia i zebrać w kilku zdaniach, jak wiersza, w postaci zagęszczonej do jakiejś krótkiej formy.

— Może po prostu wróć — zaskoczył mnie. — To dobry człowiek, porządny. Jakoś się dogadacie. Kamień spadnie ci z serca, zobaczysz. A w ogóle, to chyba źle oceniasz Tadeusza. Nie jest aniołem, znam go od lat, wiem dobrze, na co go stać, ale w końcu, kto z nas jest ideałem? Kocha cię, tylko nie umie inaczej.

Boże — pomyślałam. — On też nic nie rozumie, jasne, to w końcu facet. Szkoda, wydawało mi się, że jest trochę inny. Myśli jednak jak wszyscy. I do tego przesadził z lamentem. Może rzeczywiście schudłam. Ostatnie miesiące to nie był czas przeznaczony na właściwe odżywianie. Miałam na głowie wiele innych spraw, ważniejszych od żarcia.

— Masz rację — spojrzałam na Kubę. — Tadeusz to porządny człowiek. Szkoda, że dobroci w nim niewiele i współczucia. Tak czasem się zdarza, że można być porządnym, ale dobrym już niekoniecznie. To nie jest jednoznaczne. — Próbowałam mu jakoś przekazać, ale nie miałam tego daru, który pozwala w kilku słowach wyłuszczyć sedno problemu. — Oczywiście, że można przeżyć życie z każdym, kto się innym wydaje porządnym człowiekiem. W końcu nikt z nas nie jest bez winy. Sam to przed chwilą powiedziałaś. Tylko dziwi mnie, skąd tyle rozwodów i dlaczego ludzie odchodzą od siebie.

— Nie myślałem teraz o skrajnościach, tylko o was, a wy mieście się w średniej krajowej.

— Daj spokój, Jakub, zostawmy temat. Nie da się tego po prostu obgadać przy kawie.

— Widać go nie kochasz, skoro nie potrafisz wybaczyć — spojrzał na mnie tak jakoś ciepło, aż mi się zakręciło w głowie. Przecież znał prawdę. Ta dyskusja nie miała sensu. Skoro jednak przyjechał pomóc, musiałam go grzecznie wysłuchać.

— Nie można w imię miłości poświęcać siebie. Zanim się zorientujesz, nie ma ani jednego, ani drugiego. Tego mnie nauczyło życie — wiedział do czego piję.

Posiedział jeszcze z godzinę, wypił herbatę, trochę mnie rozśmieszył, trochę opowiadał o sobie, o Annie. Zebrało się wiele tematów. Nic o Dorocie. Nie wiedział, a może udawał. Kto wie. W końcu Jakub to nie jest centrum informacji, tylko zwyczajny człowiek, który i tak więcej czasu poświęca innym niż sobie.

Solennie obiecałam mu poprawę. Nie chciałam, żeby się martwił. Zdradziłam, że niebawem koniec konspiracji, że kończę książkę i wracam do domu. Połknęłam grzecznie tabletki i zjadłam kolację, którą przygotowaliśmy razem. Jeszcze dopilnował, żebym się położyła do łóżka. Dobry stary kumpel, gatunek na wymarcie. Sam ze swoim życiem nie może wciąż dojść do ładu, a dla innych jest jak ściana płaczu. Żyje od lat tą ślełą miłością do trupa, opętany poczuciem winy, oszukany, a ma w sobie wciąż tyle czułości. Byłam mu wdzięczna za pomoc, zresztą nie pierwszy raz zjawił się w najtrudniejszym momencie. Przypomni mi jeszcze, że Mela wreszcie wychodzi. Tylko nie znał dokładnej daty. Pytał, czy mam pieniądze, wiedziałam, że myśli o naszej umowie. Powiedziałam, żeby się nie martwił. Umowy dotrzymam, moja kolej dopiero w maju, a do tego czasu wszystko będzie OK.

W końcu jego obecność zaczęła mnie drażnić. Byłam już tą wizytą zmęczona i chyba dałam to odczuć, bo nagle wstał, pożegnał się i odjechał. Ale zanim to zrobił, musiałam mu przysiąc, że w razie potrzeby zadzwonię. I jeszcze obiecał, że nie zdradzi nikomu, gdzie mieszkam. Wierzyłam, nigdy mnie dotąd nie zawiódł.

Gdy ucichły już na schodach jego kroki, wybiegłam z łóżka. Stojąc na boso przy oknie, patrzyłam, jak sprzed domu odjeżdża jego samochód. W mieszkaniu pozostał tylko przyjemny zapach jego wody kolońskiej, niedopita herbata i kilka recept, które wylądowały po chwili w koszu. Kolację zwymiotowałam, a po chwili zaczął męczyć mnie głód.

Dorotę męczył głód. Jedna kanapka na drogę to jednak za mało. To nic, już prawie dojeżdża. Próbowала po raz kolejny skontaktować się z Magdą ale ta nie odbierała komórki. Co się z nią dzieje? Widziały się w październiku, była zakręcona, jak zawsze, gdy zaczynała pisać nową książkę. Może zadzwoni później. Odwinęła z papieru miętową gumę do żucia. Z przyjemnością wciągnęła świeży, ostry zapach. Ta odrobina słodczy rozchodząca się z białego listka była zbawieniem. — Taki mały, a ile z niego pożytku. Płaski, biały listek. Żuje się przez dziesięć minut i zaraz świat staje się lepszy. Guma do żucia — psychoanalityk, stomatolog, antidotum na głód i nałogi, poprawiacz urody, odświeżacz oddechu, zaklejacz dziur. Ten dziwny tekst powstawał w jej głowie ciurkiem, z czystej nudy. Bała się, że gdy przestanie myśleć o głupstwach, to umrze ze strachu.

Za oknem pociągu zimowy krajobraz. Jakby wszystko wymarło. Na skraju horyzontu umykał szereg rozczochranych drzew, a wokół tylko szaro-biała pustka. Dorota wpatrywała się w tę obcą krainę z przerażeniem. Jak sceny z opowiadań Kinga, tak — ta biel i ta pustka, i ten wyludniony pociąg przyprawiały Dorotę o dreszcze. Gdyby kilka miesięcy temu ktoś jej powiedział, że będzie tak podróżować, postukałaby się w czoło.

A jednak tu była. To znaczy, że w życiu wszystko jest możliwe i niczego nie da się przewidzieć. Pojęła to w chwili, gdy już nie było odwrotu. Czy wytrzyma, co zrobi sama tu, na końcu świata? Mijała rozległe równiny. Za plecami zostały błękitne rozlewiska Giżycka, Augustów, Suwałki, była tuż, tuż.

Równomierny stukot kół kołysał ją miękko do snu. Oparła głowę o wystający zagłówek i przymknęła powieki. Przedział był pusty, mogła bez skrępowania oprzeć spuchnięte nogi na sąsiednim fotelu. Z grzejników buchało gorącem. Jeszcze trochę i będzie u celu. Otwarta w połowie książka osunęła się na fotel i zamknęła. Nie dało się jej czytać. To nie była ulubiona książka Doroty. Wszystkie, które kochała, zostały w domu. W oczach miała ich grzbiety, od pierwszej po ostatnią. Już do niej nie należały. Zatęskniła okropnie. Myśl o tych książkach była bolesna, choć to tylko papier. A jednak zamknęła w nich przecież kilkanaście lat życia, nauki, ciężkiej pracy i cudownych wspomnień.

Ta, która leżała obok, była całkowicie obca. Kupiona w pośpiechu na dworcu, miała tylko uprzyjemnić podróż. Dorota czytała, próbowała polubić bohaterów, ich problemy, za wszelką cenę złapać jakiś wątek. Nie dojrzała nawet do połowy. Książka okazała się nudna, naiwna i nieprawdziwa.

Za oknem zmienił się widok. Mgła ustąpiła, pojaśniało. Zachodziło słońce, pomarańczowe, olbrzymie i pękate jak dojrzała dynia. Za pół godziny robi się ciemno, jak to w zimie. Pomiędzy zachodem słońca a mrokiem nie ma prawie różnicy. Te kilkanaście minut jej nie uratuje. A tak bardzo chciała dojechać za dnia.

Jeszcze niedawno marzyła, żeby gdzieś uciec przed życiem, przed codziennością i przymusem, żeby coś w nim zmienić. Teraz zmienia się wszystko i zacząć można, jak nowy zeszyt, ładnie i czysto. Czowała paraliżujący strach przed tą nowością i potworną samotność. Wiedziała, że już za kilka minut wyjdzie z tego pociągu i zamknie za sobą długi rozdział życia. Jakby wchodziła do innej bajki, z nową tajemnicą i nieznanym zakończeniem. Patrzyła przez okno skupiona na obawach. Co jeszcze ją czeka, co może się jeszcze wydarzyć? Wiedziała, że wszystko. Czy odnajdzie w nowych warunkach swoje przeznaczenie, czy sobie poradzi? Próbowała zachować spokój. Zamiast płakać, liczyła drzewa.

Wagon kolejowy to nie było odpowiednie miejsce na układanie planów na przyszłość. Decyzja, żeby do niego wsiąść, kojarzyła się raczej z uciekaniem niż ze stabilizacją. A jej potrzebne było dobre miejsce na ziemi. Jeszcze pełna rozpaczy, a mimo wszystko pogodzona, może raczej rozgrzeszona z lekkomyślności, z zakazem roztkliwiania się nad sobą zacięta, twarda, pragnęła odzyskać utracony honor. Mój Boże, utracony honor, jak to banalnie brzmi. A przecież tak właśnie się czuła.

Pociąg wtoczył się wolno na peron. Z lekkim postępowaniem i nieprzyjemnym zgrzytem zajechał przed budynek dworca. Zeszła powoli ze schodów, taszcząc na ramieniu sportową torbę. Spojrzała w matowe okna i pusty peron. Brud. Zgroza. Stacja widmo, odludzie, ciemność i stukot kół odjeżdżającego pociągu, a potem złowroga cisza. Dorota bała się, nie chciała obudzić miejscowych demonów, drzemiących gdzieś w zakamarkach ponurego gmachu. Może niechętnie przyjmują u siebie intruzów. Tu, prawie na końcu świata, na skrawku ojczyzny, w miejscu, do którego mało kto wracał, przyjechała obca. Pochylały się nad nią złowrogie cienie, niesło ją echo kroków, aż po mroczne sklepienie strzelistego budynku. Ściany, pełne koślawych napisów, pseudograffiti z obliczem nędznego szatana, parę brzydkich słów, plama czerwieni na ścianie imitująca krew i jedna słaba żarówka, gdzieś tam, wysoko pod sufitem, jak Gwiazda Północna pokazywała Dorocie kierunek. Szklane, wahadłowe drzwi na drugą stronę piekła rozchyliły się lekko i bezdźwięcznie.

Wyszła na zewnątrz budynku. Zobaczyła długą aleję drzew. Jeszcze wydobyła z mroku w ostatniej chwili tonący w nim zakręt ulicy. Przetarła spocone czoło i westchnęła zdumiona: Co za miejsce!

Gdzieś zaszczekały psy, unosił się nikły szum odległej ulicy i lekka poświata miejskich świateł. W prawo czy w lewo? — pytała siebie. Dokąd mam iść? Wokół żywego ducha. Czekąca na licznika z drugiego życia, jak na kuriera carskiego, który przyjechać miał po nią złotą karecie. Na tę myśl zaśmiała się cicho i spojrzała odważnie w ciemność. Po prawej stronie widać było zarysy zabudowań, przypominających garaże, a pomiędzy nimi rosta zwarta ściana krzewów. Dorotę przeszył ziąb. — To nie ze strachu — pocieszała się. — To przez wiatr, zacinający piaskiem, dość mroźny. Co dalej? — myślała. Ktoś miał tu przecież przyjechać, tak było ustalone. Kręciła się w miejscu bezradnie. Wtulała usta w kołnierz. — Co dalej, co dalej? — powtarzała w myśli. Miała w torbie adres do Romana, tylko gdzie i jak znaleźć go w takich ciemnościach? Nie miała siły, żeby szperać w bagażach. Ale przecież nie będzie tu stać w nieskończoność. Trzeba iść i szukać, nie ma wyjścia, w końcu gdzieś przecież dojdzie, może kogoś zapyta.

Ruszyła przed siebie, z obawą stawiając kroki. Ciemność powoli powszedniała, pojawiło się więcej szczegółów. Drogę oświetlała jej pochylona lampa. Dalej, zza zakrętu wyłonił się rząd następnych,

wyższych i o wiele jaśniejszych. Teraz widziała już wszystko. Dworzec znajdował się na peryferiach miasta. Tuż obok majaczyły pokryte śniegiem ogródki działkowe, po drugiej stronie pola, a może łąki. Asfaltowa droga, pokryta nową nawierzchnią i prosty chodnik wiodły ją w kierunku centrum.

Dorota przełknęła żal. — Tu też żyją ludzie. Dam sobie radę, jakoś sobie poradzę — pomyślała całkiem przytomnie. Szła równym krokiem, śmiało, słuchając, jak dudnią w ciszy obcasy jej butów. Znowu pomyślała o dzieciach i znowu ból, była zła za te chwile słabości. Nie pozwoli sobie na łyż, musi być dzielna i twarda, twarda i pewna siebie. Nikt nie może jej niczego zarzucić, nic udowodnić. Tu będzie czysta jak łąka. Uniosła wysoko głowę, o tak, tak będzie chodzić, jak dawniej, jak wtedy, gdy wszystko było oczywiste i proste. Przystanęła na moment. Ramię bolało od torby, pasek wrzynał się bezlitośnie. Chwilę odpocznie, wyprostuje plecy. A później dalej, w drogę. Już niedaleko, za kilka metrów wejdzie pomiędzy budynki, spotka kogoś, zapyta i wszystko się jakoś wyjaśni. Rozcierała zmarznięte ręce. Rękawiczki zostały chyba w pociągu, położyła je obok książki, jej też nie zabrała.

Ulica w tym miejscu była szeroka i dobrze oświetlona. Kilka metrów dalej zaczynał się rynek. Ponad dachami domów majestatycznie królowała wieża miejskiego ratusza, zakończona zegarem. Wielka tarcza podświetlona reflektorem, przesadnie ozdobiona złotymi ornamentami, nie pasowała do mrocznej atmosfery miasteczka. Pustka na ulicach, zupełny brak ludzi wydawał jej się deliryczny. Może za chwilę ocknie się z koszmaru, otworzy oczy i odetchnie, stwierdzając, że to tylko majaki. Mrok złowieszczych, wyludnionych zaułków nie mógł jej się dobrze kojarzyć. Zaskoczona była niską zabudową, całym szeregiem drewnianych domów, przykrytych puszystym śniegiem, czasem po same okna. Nie zdawała sobie wcale sprawy, że gdzieś w Polsce mieszkają w takich domkach ludzie. Nie pojedyncze zabytki dawnej architektury, ale ciągiem, cała ulica, jeden dom za drugim. Zerkała na nazwy ulic z obawą, czy aby pomiędzy nimi nie stoi dom, w którym od dzisiaj zamieszka. Gotowa była uciec gdzie pieprz rośnie i nigdy nie wracać w to upiorne miejsce. Ładowała się chyba w kłopoty i tylko patrzeć, jak zza rogu wyskoczy podejrzany cień, a nad głową zakracze wrona.

Zawsze, gdy oglądała horrory, wkurzało ją, że bohater filmu nie potrafił przewidzieć zasadzki.

— Gdzie się, ofiario, ładujesz?! Bierz nogi za pas!!! — mówiła, a Marek tłumaczył, że to film, że musiał tam wejść, bo tak przewiduje scenariusz.

— Ludzie są dziwni — mawiała wtedy. — Sami szukają guza. To tak, jakbyś wsiadł do pociągu razem z terrorystą, który ma plecak wypchany bombami, a ty widząc, jak mu wystają z plecaka, łudzisz

się, że może to jeszcze nie teraz, że to tylko atrapy, zabawki, albo że pewnie żołnierz na urlopie chce pokazać mamie, czego go uczył w wojsku.

— Teraz wszyscy wyglądają jak podejrzani — Marek uspokajał. — Wystarczy wyjść na ulicę.

Dorota nie przypuszczała, że kiedyś sama wpakuje się w taką kabałę, i że znajdzie się w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Lecz cóż miała zrobić? Wsiadła do tego pociągu, który na szczęście jeszcze nie wyleciał w powietrze, lecz za to przywiózł ją do miasta widmo.

Gdy była mała, często w myślach uciekała z domu. Nie była łatwym dzieckiem. Potrafiła postawić na swoim. Często miała rację, ale kto przejmuje się racjami dziecka? Zadzierała z każdym, także z dorosłymi. Konflikty kiedyś były jej specjalnością. Potrafiła rozniecać emocje. Świat wydawał się nazbyt stabilny, więc próbowała go zmieniać. Jakiś czas jak matador wystawiała ciało na ciosy, po to tylko, żeby udowodnić wszystkim jak powinno się żyć. Później odpuściła. Doszła do wniosku, że nie jest w stanie zrealizować wszystkiego. Zanim osiągnęła pierwszy etap, miała już połowę życia za sobą. Małżeństwo, pełne trudnych kompromisów, udane, choć nieco mdłe, bez ognia, bez mocnych wrażeń, i dzieci — słodka euforia kształtowania własnych wyobrażeń, które i tak wymykały się ciągle spod kontroli, jak ona kiedyś wymykała się swoim rodzicom. Ale nikt nie jest w stanie przewidzieć pewnych konsekwencji.

I teraz to miasto, jej własna decyzja, konieczność właściwie, poprzedzona wielką katastrofą wydawała się jedyną z możliwych. Lecz być może jednak się myli? Może to nie jest zaplanowany czyszciec, może to piekło?

Mijała kolejny dom, niski, z wejściem poniżej chodnika, z oknami rozświetlonymi żółtym, przydymionym światłem. Z uchylonego lufcika docierał do niej znajomy sygnał. Właśnie zaczynała się „Panorama”? Z tego wszystkiego nawet to wydawało się Dorocie zagadką. Ale ocknęła się, jest jednak wśród ludzi. Spojrzała w bok. Cienie za firanką były tego wyraźnym dowodem. I jeszcze coś. Jakiś hałas z tej strony, z której właśnie przyszła. Chwilę później, kilka kroków za nią zatrzymał się ciemny samochód. Nie wiedziała, cieszyć się czy bać?

— Dorota, to ty? — usłyszała zdławiony szept. Poznała głos Romana. Wyłonił się tuż przed nią nieco przestraszony.

— To ja! — odkrzyknęła radośnie.

Sen w nowym miejscu miała spokojny, jakby nareszcie wróciła do domu. Po raz pierwszy od dawna czuła się bezpieczna. Świadomość, że jest naprawdę u siebie, znieczuliła wszelkie obawy. Była pewna, że reszta jakoś się ułoży, że to już koniec tułaczki, że najgorsze ma już za sobą. Teraz tylko do przodu, z górki. Dręcząca ją dotkliwie bezsenność, paranoja kolejnych, przedrep-tanych nocy, w kolejnych hotelach, u dziwnie nieprzychylnych ludzi, chyba już nie wróci. Samej ze sobą będzie najlepiej. Było jej obojętne, jak wygląda ten dom, to mieszkanie kupione za grosze. Jakoś się dostosuje, powoli zmieni je w przytulny kącik, oswoi, nawet jeśli to będzie chatka na kurzej nóżce.

Znowu przysnęła na moment. Śnił jej się dom i dzieci w ogrodzie przed domem, kot grzejący się na kamieniu nad stawem i ona, przy oknie w swoim gabinecie, zamyślona nad treścią kolejnego wykładu. Stała i nie mogła skupić na nim myśli. Patrzyła na ogród kończący się rzędem wysokich świerków, zasłaniających widok na drogę, patrzyła na taras, znajome fotele, brudne filiżanki po kawie, na klomb pod murem, pełen kwitnących irysów. Wszystko tak blisko, wystarczyło tylko zejść, by stać się tego częścią tak normalnie, jak zawsze, jak dotychczas. Spoglądała ze łzami w oczach, ona — królowa, banita, uwięziona w szklanej wieży.

Plan na pierwszy dzień pobytu miała napięty do granic. Od rana oswajanie z miejscem, adaptacja. Dom na szczęście był murowany. Pokój z kuchnią to nie jest wiele, lecz na początek wystarczy. Do tego dość duża łazienka. Tylko strop ciut za nisko, jakby spadał na głowę. Ale i do tego można się przyzwyczaić. Trochę inwencji i stworzy sobie prawdziwe gniazdko. Byle tylko dach nie przeciekał, albo nie zapchał się komin, albo coś z takich rzeczy, na których się wcale nie znała. W pokoju podstawowe sprzęty, duży stół z czterema krzesłami, czarna szafa, komoda, dwie skrzynie drewniane, głębokie, bufet bez kredensu, niski, również czarny i olbrzymia kanapa, taka z wałkami na bokach, bez oparc. Kanapę będzie trzeba zmienić. Zdejmie jeszcze grube zastony, kupi żaluzje albo coś bardzo lekkiego, wyrzuci zjedzony przez mole dywan, zastąpi prostą wykładziną, odświeży meble, koślawe ściany oklei tapetami i jakoś to będzie.

Potrzebny jej był koniecznie odkurzacz, ponieważ spod nóg uciekały pająki. Rozpanoszyły się po całym domu. Nikt im nie przeszkadzał, więc opanowały każdy zakamarek. Nie jakieś maleństwa, mali, pracowici tkacze, ale czarne potwory o dużych, owłosionych brzuchach. Brr!!! Ze strachem pomyślała o nocy spędzonej w takim towarzystwie. Odsunęła na bok niemal wszystkie sprzęty. Pająki pryskały na wszystkie strony w panice. Niestety zbyt szybko, by można je było dopaść w odpowiednim momencie i przywalić miotłą albo butem. Dochodzący zza mebli duszący zapach stęchlizny dowodził, że gdzieś tam, pod kolorową farbą, pod kruchym tynkiem panoszy się pleśń. Dorota z kamienną twarzą, choć z lekkim

obrzydzeniem, udawała, że da się z tym żyć. Gdyby tylko to okno chciało się otworzyć. Zamalowane na amen ' klamki, ale ruchome futryny. Strach było ruszyć.

Dom, w którym spędziła noc, był typową wiejską chałupą z wejściem pośrodku i sienią. Z lewej strony mieszkanie Doroty, z prawej ruina. Zajrzała tam i szybko uciekła. Do domu wchodziło się prosto z ulicy, na szczęście spokojnej, nieco oddalonej od centrum, z rzędem drzew, na oko klonów, okaże się wiosną. Za domem stara lipa, podobno drobnolistna, wysoko sięgająca nieba. To zdrowo mieszkać pod lipą, zawsze mawiała jej babcia. Niestety nie było ogrodu, tylko mały pasek ziemi, pod płotem, ukryty w cieniu budynku. Nic tam i tak nie urośnie. Czego można oczekiwać od domu, który kupiła za grosze.

Do dwunastej sprzątała kuchnię, wyciągała z kartonów przesłane tu wcześniej bagaże — trochę książek, garderoba, pamiątki, prezenty od dzieci, laptop, ulubiony koc, dwa jaśki, parę ręczników, przenośne radio, czajnik elektryczny. Niewiele tego. Resztę musi dokupić — bieliznę, pościel itd. Dla jednej osoby nie potrzeba wiele. Najtrudniej będzie bez pralki, bo lodówka została po poprzednich mieszkańcach, wprawdzie bardzo mała, ale jeszcze całkiem do rzeczy.

Na początek zakupy, coś do jedzenia w pobliskim sklepie, kilka podstawowych naczyń, kawa, herbata, a o czternastej obiad u Romana. Zaprosił ją do siebie, żeby pogadać, naświetlić sytuację, zapoznać z rodziną. Potem rekonesans w mieście z dokładnym rozpoznaniem miejsc i ulic, którymi od dzisiaj będzie chodziła, a wieczorem wizyta towarzysko-służbowa u dyrektora szkoły, w której od poniedziałku zaczyna pracę jako nauczycielka.

Przebrała się, zrobiła makijaż. Teraz może się spokojnie pokazać. Włączyła radio. Sygnał trzeciego programu, jej ulubiony, sprawił, że poczuła się lepiej, prawie jak w domu. Zanuciła coś, poprawiła włosy. Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze. Jeszcze lubi siebie, mimo wszystko.

Tuż przed wyjściem z domu euforia opadła bez śladu. Perspektywa rozmowy z Romanem popsuła wszystko. Była mu wdzięczna za pomoc, za znalezienie taniego mieszkania, za to, że nie pytał wiele. Zdawała sobie jednak sprawę, że będzie chciał wiedzieć więcej. Wciąż tylko tłumaczyć, wyjaśniać, omawiać prywatne brudy. Ohyda.

Gdy wychodziła, wyrzało słońce. Spuściła oczy, bo tak nachalnie zaglądało w twarz. Resztki śniegu topiły się pod butami, błyszczały poruszone wiatrem powierzchnie rozległych kałuż, świeciły szyby mijanych domów. W górze kawał czystego błękitu zderzał się z grafitem. Coś z tego będzie — stwierdziła, przyspieszając kroku. Minęła rynek z kościołem, który widziała wczoraj, potem mały placyk z kilkoma

sklepami, miniaturowy park, teraz pusty, przykryty brym śniegiem ze stadem gawronów na środku, jakiś duży budynek, pewnie urząd. W końcu cmentarz. Stamtąd było już blisko. Liczyła kolejne przecznice, które według planu dzieliły ją od ulicy Polnej.

Spóźniła się trochę. Długo wycierała buty. Zwlekała z wejściem. Z ręką na klamce odliczała sekundy, kradnąc ostatnie bezbolesne chwile.

Nie mogła odnaleźć dzwonka, drzwi łatwo ustąpiły, gdy tylko nacisnęła klamkę. Przedpokój, albo ciemny przedsionek, niechlujnie obwieszony kurtkami, i ten okropny zapach. Na wycieracze pod ścianą kudłaty pies. To pewno od niego. Przeciągnął się leniwie, spoglądając na Dorotę nieufnie. Pod rudym chodnikiem zobaczyła wytarte lastriko z głębokimi odpryskami betonu. Pomyślała szybko o ucieczce.

Roman ujrzał ją przez szybę. Otworzył drzwi, a ze środka buchnęło kwasem. Jowialna twarz rozpromieniła się na widok Doroty.

— Witaj! — z rozmachem podał jej rękę. Skurczyła się, ciało próbowało ucieczki. Zrobiła krok w tył, nadeptując obcasem na kudłaty ogon. Pies nawet nie drgnął, a Roman trochę zmieszany usiłował nieporadnie rozebrać ją z płaszcza. Szarpali się chwilę. Usłyszała jego śmiech. W dużych, niebieskich oczach widać było szczerość.

— Witaj — odpowiedziała. Strach nagle ustąpił. Roman otoczył ją ramieniem.

— Wejdźmy — zapraszał. — Za chwilę obiad. Trochę tu duszno — usprawiedliwiał się, otwierając okno. — Mieszkanie jest małe — tłumaczył.

— Pachnie apetycznie — skłamała Dorota. — Uwielbiam domowe obiady — szukała słów, też była spięta. Nie widzieli się przecież od lat.

— Halina mnie rozpieszcza — poklepał się po wydatnym brzuszku. — Zobacz, jak teraz wyglądam. Niewiele zostało z dawnego chudzielca i niejadka.

— Roman, zabierz nakrycie i ustaw na stole! — rozległ się donośny głos jego żony. — Barszcz gotowy. Już odcedzam ziemniaki i możemy siadać do stołu. — Pokazała się w drzwiach. — Cześć Dorota, rozgość się, zaraz do was dołączę.

Przy długim stole siedzieli w piątkę, razem z dwójką grzecznych i milczących dzieci. Halina pytała o podróż, o zdrowie, o pracę. Roman przedstawił swoje pociechy, bliźniaki Olę i Olka. Potem dowcipkował na temat obiadu, że mięso za twarde, a kotlet za cienki, pewnie sojowy albo ziemniaczany. Halina udawała lekko nadąsaną, też żartowała, że zupa za słona. Pięć razy pytała, czy wszystko smakuje, próbowała dołożyć ziemniaków i sosu. Bardzo się starali. Atmosfera skrępowania psuła radość spotkania po latach. Jakże się różnili — porównywała Dorota. — A może to nie oni są dziwni, to ona za wiele sobie wyobraża.

Słuchała uważnie, robiła wszystko, żeby ich nie urazić. Dołożyła mięsa, buraczków, brała udział w wesołej rozmowie, chciała się dostosować. Ale męczyła ją sztuczność, współczuła sobie i im, że muszą to znosić. I tylko dlatego, że kiedyś się znali? Czuła narastający ból głowy i wielkie znużenie. A przecież to będzie teraz jej życie. Takie same spotkania, rozmowy, sprzęty, zapachy, tacy ludzie jak oni, Halina i Roman — zaniedbani, przedwcześnie postarzali, nieobcy i biedni. Spoglądała ukradkiem na skromne wnętrza, niegustowne meble i dodatki. Na tapczanach kapy, nieświeże koce, plastikowe kwiaty w wazonach, tapety jak z jurajskiego parku. Jakże to się różniło od jej domu, mebli, od tego, co straciła. Spoglądając ukradkiem, dziwiła się, że można mieszkać tak nędznie. Przetamywanie niechęci do obskurnych mebli, do brudnych i cuchnących klatek, do zaniedbanych podwórek będzie dla niej próbą. Czy zda ten trudny egzamin, czy nie ucieknie?

Jadła, choć pokarm trudno przechodził przez gardło. Słuchała z uwagą opowieści o tym, jak to się stało, że trafili tu przed wielu laty, do Radosławia. O ich pracy, o niskich dochodach i marnych perspektywach. Ciągłe mówili. Wspominali młodość, wspólnie spędzane wakacje i nie dopuszczali Doroty do głosu, jakby chcieli na wszelki wypadek zagadać czas i nie dowiedzieć się, po co tu przyjechała, co jej się przytrafiło, co zesłało ją w te nieprzychylnie strony. Bali się takich nowin. W małym miasteczku trudno jest żyć z piętnem na twarzy. A co może być warta kobieta, która pozostawiła gdzieś własną rodzinę i uciekła do obcych? Nie chcieli złych nowin. Woleli własne problemy. Ze sobą czuli się bezpiecznie. To, co miała im do powiedzenia, mogło nawet przerazić, mogło zniszczyć wiarę i ich plany na przyszłość. Bo oni ciągle marzyli, że gdzieś tam świat jest doskonalszy, że kiedyś uśmiechnie się los i wyrwą się, i odlecą, jak ptaki do ciepłych krajów, hen, za góry i lasy.

Obiad dobiegał końca. Pytania wisiły w powietrzu, lecz nikt nie miał odwagi ich zadać. Dorota przetknęła ostatni kęs, popijając kompotem z gruszek. Palce lepiły się do szklanki, a wielka plama wylanego na obrus barszczu rosła pod salaterką, zbliżając się pod talerz Doroty.

— Chciałam ci podziękować — spojrzała na zaczerwienione policzki Romana.

— Za co? — zapytał speszony.

— Za załatwienie pracy i mieszkania.

— Nie ma sprawy — machnął tylko ręką. — To nie było zbyt trudne — zapewniał, wycierając usta wierzchem dłoni. — Dom trafił się okazjnie. Właściwie miał być rozebrany. Właściciele się pobudowali w podwórzu, a babka umarła na Gwiazdkę. Ale namówiłem ich, żeby sprzedali, że i tak od ulicy przyda się osłona. To się zgodzili, nawet byli mi wdzięczni — zacierał ręce, mówiąc do Doroty. — Tylko tam chyba potrzebny jest remont?

— Przydałby się, ale nie teraz, może dopiero na wiosnę.

— No, wodę masz, sprawdzałem. Jest prąd, instalacja była zmieniana, nie powinno być większych kłopotów. Tylko mało pomieszczeń. Pokój po drugiej stronie i ta skrytka za kuchnią, co to w niej babka mieszkała — zalane. Trzeba tynki skuwać, bo odpadły, jakąś ściankę gipsową postawić, wzmocnić sufit, wiadomo, gliniane stropy. Za mało czasu mi dałaś. Twój telefon tak nas zaskoczył...

— Roman, daj spokój — Dorota była wzruszona. — I tak bardzo mi pomogłeś. Mogłam się od razu wprowadzać. Mnie to na razie wystarczy, naprawdę. Potrzebuję teraz nieco odmiany — wyjaśniła szczerze. — Może być gorzej, byle inaczej, jak mawiała moja teściowa. Potem się zobaczy. Za jakiś czas, kiedy się przekonam, że daję radę — przełknęła ślinę. — Myślę, że zagoszczę na dłużej. Nie chcę wracać. Potrzebuję nowej przestrzeni i spokoju. Chcę urządzić się w życiu na nowo — próbowała jakoś wybrnąć z sytuacji.

Roman bez przekonania pokiwał głową. Nie mógł za żadne skarby pojąć, jak to możliwe, że właśnie ona oczekuje od niego pomocy, że pojawiła się w tym zapomnianym miasteczku i jeszcze się z tego cieszy.

— Skąd wiesz, że będzie ci się podobało? To małe miasteczko, wszyscy się znają, rozmawiają o sobie, plotkują. Jeżeli przed czymś uciekasz, to tu również nie zaznasz spokoju. Ludzie wszędzie węszą.

— Muszę spróbować — wyznała. — Muszę zacząć wszystko od początku. Stworzyć nowy dom i odnaleźć siebie. Jestem w trudnej sytuacji — spojrzała mu w oczy. — Wierz mi — dodała z pokorą. Odsunęła od siebie talerz. Słowa same toczyły się z ust, już nie chciała udawać. — Nawarzyłam piwa, teraz muszę je wypić. Niczego nie da się cofnąć, zresztą — dodała — nie chcę już niczego zmieniać.

Roman i Halina, zmieszani szczerością Doroty siedzieli sztywni przy stole. Byli niemal pewni, czuli, że musiało się stać coś strasznego.

Przenieśli się do innego pokoju, żeby wypić kawę. A Dorota miękła. Gdy dzieci poszły do siebie, zaczęła mówić. Już nie chciała niczego ukrywać. Opowie wszystko, szczerze, bez owijania w bawełnę. Raz się oczyści i potem już ani słowa. Wyjaśni im, wypłuje to z siebie po raz kolejny, ostatni. Więcej już nie poruszy z nikim tych tematów. Ani swojego wyjazdu, ani utraty dzieci, pracy na uczelni, honoru i Marka oczywiście. Nie było jej łatwo, przerosta ją ta opowieść, przeraziły ją własne słowa.

— To musiało się skończyć aż tak? Nie było innego wyjścia?

— Roman wstał szybko od stołu. Nie wiedział, co z sobą zrobić, jak skomentować wyznanie Doroty. Nie chciał jej zranić słowami, ale same cisnęły się na usta. Wyjął z bufetu butelkę wina.

— Myślałem, że dorośli, wykształceni ludzie inaczej rozwiązują problemy, że tylko w filmach coś takiego się zdarza. Jestem trochę zdziwiony, głównie postawą Marka — powiedział. — Ja bym się chyba tak nie zachował jak on, no mój Boże, przecież każdemu może się coś przydarzyć, no nie? — wyrzucił z siebie.

— Czy on miał sumienie, po tylu latach małżeństwa? Nic ci nie pomóc, tylko prosto na bruk? — Odkorkował butelkę.

Halina drżącymi rękami ustawiała na stole kieliszki, patrząc niepewnie na męża.

— Tylko nie nalewaj dużo, będę miała zgagę. — Dorota spojrzała szybko na nalepkę.

— Pamiętam, że czerwone wino dobrze ci służyło.

— Dawno temu, teraz już nic mi nie służy — żartowała. Roman przełknął głośno kilka solidnych łyków i cmoknął.

— Dobrze!

— Uważam — wrócił do rozmowy — że to nie było mądre. Tak ja uważam, ale może jestem w błędzie, tylko — zawahał się — myślałem — powtórzył, patrząc na Dorotę — że jeżeli wy... to znaczy, że ja nie znam się na życiu. — Rozłożył ręce strapiiony.

— Skąd wiesz, czy nie postąpiłbyś tak samo jak Marek? Skrzywdziłam go.

— Jest jeszcze coś takiego jak miłość, przywiązanie albo zwyczajna litość — Roman nie ustępował. — Nie mówiąc o odpowiedzialności, zwykłej ludzkiej przyzwoitości i obowiązku.

Dorota próbowała go studzić. Nie chciała robić sensacji.

Przecież sama czuła, że Marek przesadził. Mógł zagrać inaczej, ale no cóż, miał chyba prawo.

— Gdy się stoi z boku, łatwiej jest oceniać. Kogo raz zmija ukąsi, ten ucieka na widok sznurka — dodała. — Zraniłam go najbardziej jak tylko można zranić mężczyznę. Czy potrafiłbyś wyobrazić sobie, że jesteś w jego sytuacji?

— Nie bardzo — przyznał. — Ale nie mógłbym żyć ze świadomością, że moja żona włóczy się po wynajętych pokojach, mieszka u obcych ludzi, gdy ja tymczasem, jak pączek w maśle,...

— Mógłbyś, wierz mi. Przynajmniej dopóki czułbyś wściekłość, którą on teraz czuje.

— Może jemu już przeszło. Próbowaliście o tym rozmawiać?

— podchwycił jej pomysł.

— Próbowaliśmy — Dorota przyznała. — To znaczy, ja próbowałam.

— I co? — dopytywał.

— Nic z tego. Marek nie wpuszcza mnie nawet do domu. Tak go to wszystko dotknęło. Nie pogodzi się nigdy, taki wstyd, tyle upokorzeń i moja kariera — posmutniała. — Poza tym, dzieci — dodała cicho. — Też nie chcą mnie znać.

— Jezu! — westchnęła Halina.

— Awantura była nielicha — mówiła Dorota. — Marek wpadł w furję, krzyczał. Dzieci wszystko słyszały, teściowa i Agata, nasza pomoc domowa. Potem wieści rozeszły się jak błyskawica. Rodzina chciała mnie zlinczować, znajomi zgorszeni przestali odbierać telefony. Musiałam się wyprowadzić, zresztą on tego zażądał. Na uczelni też szeptano za plecami. W końcu mnie wyrzucili. Co miałam robić?

— A nie byłoby lepiej tylko zmienić pracę, wynająć mieszkanie gdzieś w pobliżu domu?

— To pogrążyłoby mnie jeszcze bardziej.

— Ale miałabyś kontakt z dziećmi — powiedziała nieśmiało Halina.

— Wyobrażasz sobie, jak stoję codziennie pod zamkniętą bramą i skomlę o łaskę?

— Ja bym stała — zapewniła Halina.

— Więc jestem kiepską matką — Dorota stwierdziła spokojnie.

— Przestań — Roman skarcił żonę. — Nie nam oceniać. Zostaw.

— Tylko głośno myślę — tłumaczyła Halina. — Chyba mogę coś od siebie powiedzieć?

Roman po winie pokraśniał jeszcze bardziej. Halina wytrącona z równowagi nie odzywała się wcale, tylko w milczeniu plotła warkoczyki z frędzli obrusa. Dorota spuściła głowę i na chwilę umilkła. Pomyślała, że w rzeczywistości jest nieuczciwa, obwiniając przed nimi Marka. Przecież to nie on zdradził rodzinę.

Jak trudno było szczerze przyznać się do wszystkiego i wziąć na siebie własne grzechy. Gdyby nie była taka zacięta, może dałoby się jakoś ułagodzić sprawę. To ona narozrabiła. Nikomu nawet się nie śniło, że była do tego zdolna. A najgorsze, że nie czuła skruchy. Dlatego tak trudno było błagać o przebaczenie. Trochę, jakby się pławiła w występku. Gdyby nie dzieci, nie dałaby się tak szybko odprawić. Ale odeszła bez walki. Liczył się spokój dzieci i to, żeby nie były w centrum konfliktu. Nie chciała stwarzać dwuznacznych sytuacji. Postanowiła odejść. Tak, to jedyne wyjście. Zniknie z ich życia, da im odpocząć, żeby nie cierpiały. Nikogo nie oszczędziła, im również zrujnowała życie, wszyscy byli poobijani. Może ona najmniej, bo cały czas zdawała sobie sprawę z sytuacji. Na nich to spadło nagle. Musieli się teraz pozbierać.

Roman, wspólny przyjaciel Marka i Doroty, załatwił jej pracę i mieszkanie, a teraz zwała mu się na głowę, miała nadzieję, że nie będzie miał przez nią kłopotów. To małe miasteczko, a ludzie są dociekliwi. Czy uda jej przystosować się na tyle, że nie będą jej wytykać na ulicy?

Roman był zdolnym i bardzo przystojnym chłopakiem. Dobrze się zapowiadał, tylko brakowało mu siły przebiccia i wsparcia rodziny. Mógł zostać wielkim pisarzem, literatem, krytykiem. Teraz był redaktorem prowincjonalnej gazety i właścicielem kiosku z gazetami. Kiedyś pracował u Marka w redakcji. Potem się ożenił i nie miał gdzie mieszkać, więc wrócił w rodzinne strony.

— Dostyc narzekań — stwierdziła Dorota. — Nie będziemy już do tego wracać. Cóż to może zmienić? Najpierw sama muszę się pozbierać, przemyśleć. Może da się coś uratować. Odpoczniemy z Markiem od siebie, zatęsknimy i się zobaczy — próbowała żartować. — A teraz opowiedzcie o tym

waszym Radostawiu, tak żeby zanim minie zima, stał się także moim miastem. Od poniedziałku zaczynam pracę.

Spojrzała przez okno na bawiące się przed domem dzieci i psa, który głośno szczekając, próbował im towarzyszyć. Ostre światło ostatnich promieni zachodzącego słońca odbiło się w smutnych źrenicach Doroty. Przymknęła oczy, pod powiekami czuła piasek. Chciało jej się płakać.

Mela spojrzała przez okno. Ostre światło poranka odbiło się w jej źrenicach. Każdego dnia robiło się coraz cieplej, tylko nocami zmarznięta ziemia hamowała wczesną wegetację. Słońce wzniosło się już ponad dachy więzienia i z dnia na dzień śmielej zaglądało do celi. I jeszcze ten zapach powtarzających się co roku narodzin. Mela promieniała. Na ścianie naprzeciw łóżka pojawiły się wesołe zajęczki, oswojone pasemka światła. W mozolnej wędrówce pełzły coraz wyżej, oświetlając w końcu nędzne pomieszczenie. Śledziła z lubością, jak głaszczą bezwstydnie jej nogi, wystające poza brzeg przykrótkiego łóżka.

Jak co dzień ślęczała nad angielskim. Powtarzała pod nosem świeżo wyuczone słówka, zdumiona, że gdy jest szczęśliwsza, to one same wchodzą do głowy. Opanowała ich już wiele, ale czy kiedykolwiek będzie mogła użyć? Część koleżanek uczyła się języków z czystej nudy, ale niektóre miały w tym swój cel. Wychodziły na wolność i krótko po tym wyjeżdżały z kraju. Jedne drugim załatwiały pracę za granicą. Więzienne układy przenosiły się czasem na życie za bramą. Wspólna niedola łączyła ze sobą ludzi i wiązała na długie lata. Często nie było innych możliwości. Po dłuższej odsiadce część z nich nie miała już do czego wracać. Ale byli też tacy, którzy znikali bez śladu i jak ognia unikali kontaktów z niezbyt chwalebnią przeszłością.

Co zrobi Mela, gdy zamknie się za nią więzienna brama, u kogo znajdzie oparcie? Propozycja Jakuba była pewnie szczerą, ale nie do przyjęcia. Przecież nie zwali się komuś na głowę. Nie, tak nisko jeszcze nie upadła, sama musi sobie poradzić. Trzymała w zanadrzu kilka adresów. Jeśli deklaracje koleżanek nie były gołosłowne, któraś z nich pewnie jej pomoże. Znajdzie sobie w końcu pracę. Pracy się nie boi, jakakolwiek by była, będzie w sam raz. Sprawy ambicji już się nie liczą, w jej sytuacji chodzi jedynie o przetrwanie. Tylko to jej zostało. Przeżyć w spokoju pozostałe lata i cieszyć się wolnością. Może odzyska jeszcze kiedyś spokój ducha, może zapomni.

Zapomnieć, czyż to może się ziścić? Jak wykasować z serca wiecznie żywą miłość, ukoić smutek, wybaczyć sobie? Przestępcy po latach spędzonych w więzieniu tracą dystans do popełnionych zbrodni i z

czasem zamiast skruchy czują złość do własnych ofiar, członków ich rodziny albo do sędziów, którzy im zasądziły wyroki. Rośnie w nich poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Mela nie miała takich objawów. Jakoś udało się jej zachować trzeźwe spojrzenie na siebie i to, co jej się kiedyś przydarzyło. Niestety, nie mogła już cofnąć faktów ani im zaprzeczyć. Stało się, zrobiła to z premedytacją i dlatego swój wyrok musi odsiedzieć.

Niestety Roma ciągle chorowała. Nic ją nie cieszyło, ani wiosna, ani to, że w celi nareszcie zrobiło się ciepło. Wydawała się bardziej odległa i mniej gadatliwa. Jej ciężki kaszel przeszkadzał Meli. Brzmiał złowieszczo w nocnej ciszy, budził obawy, że tak szybko nie przejdzie. Ale Roma uparła się, żeby to przetrzymać. Powtarzała jak mantrę, że lepiej, coraz lepiej się czuje, że za kilka dni wszystkim pokaże... itd. Niestety z każdym kolejnym dniem jej stan się pogarszał. Pewnej nocy, gdy atak kaszlu nie mijał i wydawało się, że Roma w końcu się udusi, Mela wezwała lekarza. Miała dość okropnego kaszlu. Te noce bywały koszmarem, poza tym żal jej było kobiety.

W konsekwencji tego Roma znalazła się w więziennym szpitalu. Zwykły, choć dość upiorny kaszel okazał się najwidoczniej czymś bardzo poważnym, skoro wciąż nie wracała do celi. A. przecież chorymi z zakładów karnych nikt się specjalnie nie przejmował. Leczyli ich tylko doraźnie i najczęściej na wszystko brakowało leków. W przypadku osób mieszkających w niedużej odległości od zakładu sytuację ratowała rodzina. Przy lekkich przeziębieniach trzeba się było wspomagać zwykłymi sposobami, czyli na gardło woda plus sól, a na żołądek ziołowe herbatki. Dopiero jak ktoś zachorował poważnie, można było liczyć na pomoc. Dlatego tak długa nieobecność Romy budziła w Meli niepokój. Poza tym nie narzekała. Cieszyła się samotnością. Była zmęczona trudną towarzyszką. Ucichł upiorny kaszel i nic nie mąciło nocnej ciszy. Ale zrobiło się jakoś smutno. Żeby pognać Melę, w tym samym czasie na wolność wyszła Irena, jedna z najlepszych koleżanek Meli, długoletnia, choć młodsza od niej więźniarka. Jej wyjście poprzedziła spora awantura. Tutaj awantury były na porządku dziennym. Zazwyczaj pretekst był błahy. W takim nagromadzeniu temperamentów, pośród zbieraniny najróżniejszych typów idealny spokój panował rzadko. Poszło o miejsce w celi, które miała opuścić Irena. Cella była jedną z tych najlepszych, świeżo po remoncie. Jakoś tak się złożyło, że na ich piętrze zaprzestano odnawiać cele kilka lat temu. Tylko ta jedna jedyna była w dobrym stanie. Pozostałe pomieszczenia, które przecież zamieszkiwały kobiety, wołały o pomstę do nieba. Od kiedy rozeszła się wiadomość o wyjściu Ireny, zaczęto spekulować, kto dostanie miejsce po niej. Wszystkie wiedziały, że nie one będą decydować, ale już sam fakt wywołał spore zamieszanie.

Część kobiet skazanych wyrokiem sądu na karę pozbawienia wolności za czyny ciężkie znajdowała się w trudnych sytuacjach życiowych. Niektóre z nich zostawiły na pastwę losu dom pełen dzieci, czasem z ojcem pijakiem albo z dziadkami, którzy nie chcieli lub nie mogli się nimi zaopiekować, bo sami już wymagali opieki. O zapłon w takiej sytuacji nietrudno. Tym bardziej, że mieszano młode razem ze starymi, nowicjuszek z recydywistkami.

Koleżanka Meli, Irena, siedziała za zabicie męża. Miała swoje powody. Jak wynikało z relacji Ireny, był dla niej tyranem. Alkohol i narkotyki pomieszały mu w głowie. Katował ją i dzieci. Maltretował rodziców. Nie było na niego rady. Przed policją zgrywał anioła, a potem katował. Syn Irki dostał od tego padaczki, córka bała się własnego cienia. Tak dalej nie mogły żyć. Musiała go zabić. Przesiedziała swoje. To była z jej strony czysta kalkulacja. Wiedziała, w co się pakuje. Chciała uratować życie swoich dzieci, dać im szansę na normalne dorastanie i zapewnić spokój rodzicom. Po wszystkim uciekła z domu, była przerażona. Chciała nawet uciec za granicę. Gdy minął szok, sama się zgłosiła. Potem był krótki proces, obrońca z urzędu i wyrok. Karę odsiedziała z pokorą. Za dobre sprawowanie i pracę w poradni z młodocianymi przestępczyniami (była z zawodu psychologiem) zwolniono ją kilka lat wcześniej.

Teraz wracała do domu. Miała do czego. Czekali na nią szczęśliwi rodzice i dorosłe dzieci. Jakże Mela zazdrościła jej tego. Nie zdążyła sobie ułożyć życia — ani wyjść za mąż, ani urodzić dzieci. Śmierć własnych rodziców przesiedziała w zakładzie. Nawet nie potrafi wyobrazić sobie miejsca, w którym są pochowani. Podobno sąsiedzi opiekowali się grobem jakiś czas, ale teraz, po latach? Aż bała się myśleć. Prześladowały ją sny, że całymi dniami szuka ich grobu i błąka się bez końca, sprawdzając nagrobki na wszystkich cmentarzach. To były nocne udręki. Potem przychodził dzień, w którym perspektywa wolności raz budziła w niej radość, drugi raz lęk. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Czy sprosta problemom czekającym na nią za bramą?

A tymczasem oczekiwana wolność wciąż nie nadchodziła. Cierpiała więc podwójnie. Pewnie zwolnienie utknęło gdzieś w szufladzie urzędnika i ciągle nabierało mocy. Dni się dłużyły, trudno było przespać do rana, nie myśląc z nadzieją o tym, że może jutro?... Kto z żyjących na wolności potrafi ocenić miarę czasu spędzanego w zamknięciu? Co znaczy o jeden dzień dłużej w więzieniu. A Melania czekała codziennie.

W końcu do celi wróciła Roma. Była w świetnym humorze. Tryskała energią. Kaszel już minął, spadła gorączka, uznano, że jest całkiem zdrowa. Zapewniała, że nie weźmie do ust papie-rosa, że nie wypije nawet kieliszeczka. Choroba widać nieźle jej dopiekała, skoro potrafiła sobie aż tyle odmówić. Kilka

dni wcześniej otrzymała z domu wiadomość, że jej córka urodziła syna i nadzieja, że wkrótce zobaczy wnuka, dodawała jej sił. Zaczęła nawet ćwiczyć. Każdego ranka pod okiem Meli wykonywała wytrwale ćwiczenia wzmacniające mięśnie, próbując za wszelką cenę odzyskać wigor i nabrać sił przed wyjściem do domu. Był z tego niezły ubaw. Zazwyczaj kpiła, wyśmiewała Melę za jej „wygłupy”. Teraz stała się nagle zwolenniczką ruchu. Gdy poczuła się całkiem normalnie, a lekarze potwierdzili poprawę, znowu zaczęła palić. Dwa, potem trzy papieroski dziennie. Chciała pewnie przechytryć los.

Niestety, to nie był finał choroby. Wszystko zaczęło się całkiem niewinnie — wymioty po sytym obiedzie i bóle żołądka. To trwało kilka dni. Roma znosiła wszystko cierpliwie, twierdząc, że to zwykłe zatrucie. Niestety, z dnia na dzień stan się pogarszał. Wszystko jej szkodziło. Zaczęła się pocić, nie chciała jeść, pojawiły się silne bóle w klatce piersiowej. W konsekwencji zaczęła słabnąć. W sobotę po kąpeli zemdląca. Wróciła do celi sinozielona. Łała się Meli z rąk.

— Coś jest nie tak — wyszeptała. — Podle się czuję. Ten cholerny szpital wysał ze mnie duszę. Nie chcę tam wracać — patrzyła błagalnie. — Nie wzywaj strażniczeki. To minie — prosiła.

— Wyglądasz okropnie — powiedziała Mela, pomagając jej usiąść na łóżku. — Jak śmierć — zauważyła i zaraz pożałowała tych słów. Zobaczyła w oczach Romy przerażenie. Sama się przeraziła. Czyżby było tak źle? Przecież to nie średniowiecze. Jakoś chyba można pomóc człowiekowi.

— Za cztery miesiące kończy mi się wyrok — Roma przypomniła. — Myślisz, że nie dożyję? Cholera, ale pech.

— Przestań krakać, to tylko osłabienie. Długo leżałaś.

— Pieprzysz, Mela. Jak mamuśka nawijasz. Dwa miesiące w szpitalu, a ja jestem jak szmata. Zobacz, schudłam, wszystko na mnie wisi. Lagę na mnie położyli i tyle. Nie będą inwestować w złodzieja. Tak, tak, Mela. Taka jest prawda i nic na to nie poradzisz.

— Przestań palić. Nie masz apetytu, bo palisz za dużo. Nie zganiaj na innych.

— Kiedyś to ja paliłam — warknęła. — Teraz tylko puszczam dymek.

— Z tym dymkiem też musisz skończyć. Miałaś zapalenie płuc, nie możesz palić. Jak chcesz wrócić do domu i zobaczyć swojego chłopca i wnuka, weź się, kobieto, w garść. Jedz więcej i zacznij się ruszać. Cały dzień leżysz, sflaczałaś.

— Nie mogę. Robi mi się niedobrze na widok jedzenia—powiedziała zduszonym głosem. — Boję się, Mela, że to coś gorszego. Czuję, że coś mnie zjada od środka. To nie może być tylko zapalenie puc. To jakaś gorsza cholera. Mela, ja chyba zostanę w tym pierdłu do końca. Zdechnę tu, mam takie przecucie.

Dobrze przeczuwała. Po tygodniu osłabła tak, że nie miała siły wstawać z łóżka. Nie było innego wyjścia, jak o wszystkim zameldować. Mela miała wyrzuty sumienia, że tak długo czekała. Następnego dnia, tuż przed wizytą lekarza, Roma wpadła w apa-tię. Wynosili ją z celi na noszach, a potem wieźli karetką na sygnale. Następnego dnia doszły je wieści, że straciła przytomność. ()kazało się, że to nie były jedynie płuca. Kaszel tylko zatuszował źródło prawdziwej choroby. W obrazie zniszczeń, jakie dokonały się w jej organizmie przez picie i nałogowe palenie, uszły uwadze właściwe symptomy. Nic się już nie dało zrobić. Rak żołądka zjadał Romę od środka. Ocknęła się na krótko, chyba tylko po to, żeby pojąć prawdę, a dwa tygodnie po świętach umarła. Zdążyła jeszcze zobaczyć wnuka. Rodzina zabrała ją kilka dni wcześniej do domu. — Dobrze i to — pomyślała Mela. Umierała pewnie szczęśliwsza. Była prostą kobietą całe życie kradła i szkodziła innym, ale kochała swoją rodzinę i swojego chłopca. Czekala na wnuka, przeżywając jego narodziny. Miała swoją historię, jak każdy. Historię życia człowieka, której nikt nigdy nie spisze, bo po co? To przecież nic ciekawego. Takich kobiet są miliony. Po co rozczulać się nad marnym żywotem złodziejki. Żegnając się w myślach z Romą, wspominała swoje dzieciństwo. Podwórko, na którym bawiła się, kopiąc dołki do gry w korale. Pięć dziewcząt: Dorota, Zosia, Melania, Inka i Magda, z kieszeniami pełnymi szklanymi kulek, plastikowych koralików. Wszystkie miały jakieś marzenia i życiowe plany. Co teraz z nimi się stało, jak życie ma się do tych planów? Znała ich adresy, zawody, z grubsza stan rodzinny i tyle. Mogła sobie jedynie wyobrażać. W więzieniu miała dużo czasu na rozpamiętywanie.

Tego dnia miała dyżur. Przechodziła długim korytarzem w kierunku pralni. Wciągała zachłannie sączące się z lufcików powietrze. Za kilka dni obchodziła kolejne urodziny. Poprzedniego dnia przyciemniła włosy i nawinęła na wałki. Wstała wcześniej, żeby zrobić coś z twarzą. Wyschniętym tuszem pomalowała rzęsy i podkreśliła brwi. Były stanowczo za grube. Rozrosły się, dodając jej lat.

O dziewiątej dostała śniadanie. Jadła wolno. Chleb jak zawsze był twardy, a ser nieco zjełczały. Tu nikt się nie przejmował szczegółami. Subtelności diety nie były brane pod uwagę. Mela od wielu lat nie jadła świeżego chleba. Gdy trafiał na ich stoły, miał już za sobą długą drogę z piekarni przez magazyny. A od kiedy kupowano tylko krojony, skórka robiła się szybko sucha i sztywna. Mela jadła teraz w samotności. Nowa więźniarka, którą zakwaterowali, rzadko pojawiała się w celi. Była w dziewiątym miesiącu ciąży. Tylko patrzeć, aż pewnej nocy rozpocznie się poród. Mela jeszcze nie do końca okrzepla po ciężkich tygodniach z Romą a tu kolejna atrakcja. Już była za stara na te ciągłe zmiany. Marzyła o

własnej celi, w której mogłaby się czuć swobodnie. Już kilka razy pytała Zelówę, czy nie dałoby się tego załatwić. Czy nie zwolni się czasem jedynka. Za taki staż i dobre zachowanie coś się człowiekowi należy.

Koło dziesiątej zaczynały się prace w ogrodzie. Mela lubiła pracować na świeżym powietrzu. Sama się zgłosiła do pomocy. Choć była w grupie, której już nie obejmowały prace porządkowe, potrzebowała ruchu. Słyszała odgłos kroków na schodach, to po nią

— Melania Karnowska — otworzyły się drzwi i do celi zajrzała strażniczka.

— Masz się meldować u Zelówy.

Mela przełknęła ostatni kęs chleba i spojrzała zdziwiona.

— Teraz? — spytała zdziwiona.

— Już, już — ponaglała. — Wygląda na to, że przyszło zwolnienie.

Mela zamarła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Po tygodniu zmagani w szkole Dorota prawie się poddała. Któregoś dnia myślała, że zemdleje. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i prawie upadła. To było do niej niepodobne. Czyżby stres? Nie poszło jej łatwo, a taka była pewna sukcesu. Gdy po raz pierwszy stanęła przy szkolnej tablicy, nie miała obaw. Teraz mogła tylko wierzyć w cuda. Rzeczywistość ją przerosła. W pierwszej chwili zwątpiła. Z bezradności opadły jej ręce. Wypróbowane metody i sposób prowadzenia zajęć na uczelni nie dały się zastosować w tej szkole. Potrzebna była całkiem inna miara, a przede wszystkim taktyka. Tylko rok różnicy, a jakby przepaść. Brak porozumienia, zupełnie inny sposób podejścia do zajęć. Ten falstart mógł ją drogo kosztować. Od pierwszych chwil czuła, że coś jest nie tak. Zaczęła od zajęć w klasie maturalnej. Miała nadzieję, że ci, już przecież dorośli ludzie, bliscy wiekiem studentom, z którymi przez wiele lat miała do czynienia, najprędzej dadzą się oswoić. Ale młodzież tutaj była całkiem inna. Wprawdzie kiedy weszła do klasy i wszyscy wstali z ławek, nabrała otuchy, ale potem, gdy obdarowali ją zdziwionymi i nieufnymi spojrzeniami, poczuła się gorzej. Pewność siebie, którą nabyła przez lata pracy, ustąpiła miejsca obawom, że ma przed sobą trudnego przeciwnika. Do tego poziom znajomości angielskiego okazał się w klasach tragiczny. Była przerażona. Do matury zostało zaledwie kilka miesięcy. Wątpiła, czy w tym przypadku uda się cokolwiek nadrobić. Z uwagą przejrzała zeszyty, przepytowała ze słówek i z podstawowych zasad gramatyki, próbowała rozmawiać. Przed sobą miała mur niechętnych twarzy i obojętność. Zrozumiała, że

to prawdziwy ugór, wyzwanie dla tytana, a nie dla kobiety, nawet tak zdesperowanej jak ona. W zatwardziałych i podejrzliwych oczach chłopaków, lekceważących spojrzeniach dziewcząt zobaczyła wypisaną wrogość. Do końca lekcji nie dali się wciągnąć w żadną rozmowę, a tym bardziej sensowną dyskusję. Odpowiadali półśłówkami, niegrzecznie, z końca klasy dochodziły prymitywne dowcipy. Byli opryskliwi i aroganccy. Nie nawiązała z nimi żadnego kontaktu.

Gdy po lekcji opuszczali klasę, została sama przy stole. Udawała, że przegląda dziennik. Mijali ją bez słowa, szurając głośno butami. W ich sposobie chodzenia czuła lekceważenie. Myśleli, że są górą. Ale dla Doroty nie miało to większego znaczenia. Było raczej jak woda na młyn. Wiedziała jedno, to ona tu rządzi. Może nawet dobrze się stało. Gdy poczują się pewniej, łatwiej ich będzie zaskoczyć, żeby nie zwarli szyków, nim obmyśli metodę działania. Im później odkryje karty, tym dla niej lepiej. Z doświadczenia wiedziała, że właściwa strategia, dokładny program i odrobina psychologii, to jedyny sposób na sukces.

W niższych klasach, na szczęście, poszło trochę lepiej. Młodsze dzieci były bardziej otwarte. Zadawały wiele dziwnych pytań, lecz dzięki temu dało się z nimi normalnie rozmawiać. Niestety i tam znajomość języka okazała się marna, niemalże szczątkowa. Radziła się Romana, jak ma postąpić — czy wypada zaproponować współpracę dyrektorowi szkoły, czy zgodzi się na pewne zmiany?

Roman tylko rozłożył ręce i pokiwał głową niezbyt przekonany.

— Trudno mi coś doradzić. Znam Zenka, to mój szwagier, jest trochę zazdrosny i nie lubi, jak się kto miesza w jego obowiązki.

— Ale ja mam dobre intencje i świetne metody — powiedziała, choć co do metod już nie miała takiej pewności.

— Zgadza się — potwierdził Roman. — Tylko uprzedzam, jeśli przesadzisz, rodzice przyjdą do szkoły na skargę, wierz mi, znam to środowisko. Tu się nie lubi obcych.

Zdecydowała, że jednak umówi się z dyrektorem na spotkanie. Przecież jej nie zje. Był trochę dziwny, to fakt, chyba jej nawet unikał, bo trudno im było jakoś zgrać terminy, ale wcześniej był dosyć miły, nastawiony raczej przyjacielsko. Wyczuła w nim pewien dystans i skrępowanie, ale nie wrogość. Kiedy naświetlał jej sytuację szkoły, charakteryzował zasady i procedury funkcjonowania placówki, wydawał się rzeczowy i miły. Lecz gdy spotkała go znowu, na korytarzu, pomiędzy lekcjami, zobaczyła już inne oblicze. Przyzwyczajona do pewnej klasy mężczyzn, przyjęła z obawą objawy lekceważenia i

arogancji. Był bratem Haliny, z pewnością już poznał szczegóły z jej życia i teraz daje to odczuć? A może jest zaskoczony, że osoba z uniwersytecką przeszłością ma uczyć w jego szkole, że będzie się mądrzyła i na pewno wygryzie go ze stołka?

Dorota czuła przez skórę, że rozmowa z nim nie będzie łatwa ani miła. Miała zamiar trochę ponarzekać.

Dyrektor siedział za biurkiem i dłuwał dyskretnie w zębach. Widocznie nie usłyszał pukania. Zobaczył ją i spłoszony najpierw wytarł palce w nogawkę spodni, a potem zerwał się na równe nogi. Z lekkim zakłopotaniem podsunął jej drugi fotel, prosząc, by usiadła. Szarpali się przy tym przez chwilę, ponieważ Dorota nie lubiła, kiedy ktoś całował ją w rękę.

— Jak przeżyła pani pierwszy tydzień w szkole? — zapytał, poprawiając na biurku papiery.

— Dziękuję. Poszło chyba dość dobrze — dobierała uważnie słowa. — Choć wygląda na to, że łatwo nie będzie. Traktuję tę pracę jak wyzwanie — uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Postanowiła być bez zarzutu, zresztą nie miała powodu zachowywać się wrogo. Nic jej nie zrobił, za to był jej szefem i to należało przyjąć do wiadomości z właściwą pokorą. Może uda się im nawiązać całkiem miłe stosunki. Nie była źle nastawiona.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie spodziewał się takiej reakcji. Myślał, że będzie bardziej pewna siebie.

— Wiem, dałem pani trochę więcej godzin — przyznał na wstępie. — Ale cóż, nie mam wyjścia — dodał, rozkładając ręce.

— Nie chodzi o liczbę godzin. To mi nie przeszkadza. Chcę porozmawiać o metodach pracy. Chciałabym nieco je zmienić. Nauka języków obcych to nie to samo, co inne przedmioty. Mam swoją teorię i dość długą praktykę — kontynuowała. — Chciałam tylko zapytać pana, czy wyrazi pan zgodę. — Zobaczyła, że nagle spochmurniał. Obracał nerwowo zielony długopis, raz po raz uderzając nim w biurko.

— Pani Doroto, to nie jest wyższa uczelnia — powiedział do niej niegrzecznie. — Musi się pani do nas dostosować. To tylko szkoła średnia.

Dorota lekko zbladła. Zazwyczaj to ona oceniała innych. W końcu nie miała niecnych zamiarów, jedynie dobro dzieci na względzie. Przecież nie da się w ten sposób przestraszyć.

— Tylko? — zrobiła zdziwioną minę. — To raczej aż szkoła średnia, panie dyrektorze! — odgryzła się w podobnym tonie. - Prawie wszyscy idą po niej na studia.

— No tak, zgadzam się — przytaknął pośpiesznie. Na czoło wystąpił mu pot. — Jednak liczę na pani rozsądek. Są przecież pewne granice. Jak mówią— głową muru nie przebijesz.

Dorota milczeniem przyjęła dziwną sugestię.

— Te dzieciaki muszą zacząć od początku — powiedziała już całkiem spokojnie. —Ktoś je nauczył kilku słów po angielsku, resztę znają trochę z Internetu, trochę z potocznej mowy, ale to raczej slang, nie język. Nie moja rola krytykować, ale skoro pan jest ze mną szczery, to ja również mówię szczerze. Chyba możemy o tym porozmawiać. Czy spodziewał się pan, że będę teraz wszystko zachwalać? — Dorota już nie potrafiła ukryć wzburzenia. Próbowwała się jednak hamować. Czuła, jak drżają jej kolana i łamie się głos.

— Języki nie są naszą mocną stroną — Usłyszała po chwili. Spodziewała się od niego silniejszej riposty, lecz widać, nie miał ochoty dalej się spierać. Odezwał się grzeczniej i już panował nad głosem. — W szkole brakuje nauczycieli podstawowych przedmiotów, ważniejszych, bo maturalnych. Nie mamy od dawna anglisty, nikt u nas nie zdaje matury z języka. — Przysiadł bokiem na blacie biurka, spoglądając z góry. Poczuł się pewniej. — Proszę się nie dziwić — mówił dalej. — Nasze miasteczko wymiera, brakuje nauczycieli. Młodzi przyjadą na parę miesięcy, zobaczą jak jest i uciekają. Niedługo szkoła zostanie bez kadry. A młodzież, no cóż, źle myśli o przyszłości. Bardziej cieszy ich wolna lekcja niż możliwość nauczenia się czegoś. Takie czasy. — Odrzucił zamasyżycie przydługawą czuprynę. — Tak to wygląda, miła pani — dodał na koniec z przekąsem.

— Zawsze tak było — Dorota nie dała za wygraną. — To żadna nowość, panie dyrektorze, nie pamięta pan? Bo ja pamiętam. Nam też się nie chciało uczyć. Ważne jest, żeby zainteresować dzieciaki, a nie zanudzić sobą i przedmiotem, albo zastraszyć. To jeszcze gorzej. Rezultaty będą wtedy, kiedy i my wykazemy zainteresowanie tym, co dla nich robimy. One same nie zdają sobie jeszcze sprawy, jak bardzo potrzebują pomocy. Trzeba im to uświadomić. — Dorota strzelała zdaniami. Czuła, że się zrobił ciut mniejszy.

— To wie każdy pedagog, tylko nie każdy potrafi wcielać w życie tę wiedzę — wtrącił swoje, trochę jakby jednak oswojony. Albo mu zaimponowała swoim wywodem, albo się jej po prostu przestraszył.

— Ja potrafię — Dorota spojrzała poważnie. Głos miała wciąż twardy. — Chciałabym tylko, aby pan się wykazał cierpliwością i tolerancją dla moich metod. Będzie może na początku trudno, ale postaram się podciągnąć dzieciaki w angielskim. Oczywiście w klasach maturalnych, przy natłoku innych zajęć, trudno będzie dokonać cudów, lecz w miarę możliwości zrobię, co tylko się da.

— Miło to słyszeć, ale... — zawahał się. — Nie wiem jak...

— Jasne, słyszałam, ma pan na myśli rodziców. Będą protestować — Dorota cytowała Romana.

— Nie to, nie o to mi chodzi — zaprzeczył już całkiem spokojny. Wydawało się, że jakoś się dogadali.

— Więc o co? — zapytała.

— Boję się, czy pani wytrwa. Za parę miesięcy, jestem niemal pewny, pani stąd ucieknie, a ja i szkoła, nie mówiąc o dzieciach, zostaną na lodzie.

— Bez obaw. Zazwyczaj dotrzymuję słowa — zapewniła Dorota. — Gdy coś postanowię, nie rezygnuję tak łatwo.

— Jest pani profesjonalistką to oczywiste, wiem o tym. Dużo o pani słyszałem. Roman się po prostu rozplęwał. Tylko ja znam życie i wiem, że dobre chęci nie zawsze wystarczą. Ale cóż — rozłożył ręce. — Bądźmy dobrej myśli. Jedyne, co mogę obiecać, to pomoc i współpracę w zdyscyplinowaniu tych, którzy będą sprawiać najwięcej kłopotów. Reszta zależy od pani.

— A więc umowa — uśmiechnęła się z ulgą. — Sama jestem ciekawa, czy coś z tego wyjdzie.

— Jestem pewien, że wyjdzie — odwzajemnił uśmiech. Miała to za sobą. Mały sukces, a jednak cieszy. Wracała do domu, dźwigając w torbach ciężkie podręczniki. Rozmowa z dyrektorem napętniła ją pewną nadzieją i dobrze nastroiła na przyszłość. W sumie nie było tak źle. Trochę spasował, odpuścił sobie morały, jakoś się dogadali. Dzieciaki stawiały wciąż opór, więc dobrze, że choć jego ma po swojej stronie. Boczył się wcześniej dla zasady — tłumaczyła sobie. — Ważne, że się zrozumieli i obiecał pomoc. Jeszcze dzisiaj zacznie. Dlatego niesie do domu papierzyska. Przejrzy je dokładnie i oceni. To książki, którymi dysponuje szkoła. Na nich musi bazować, resztę przygotowuje sama. Całą drogę do domu myślała, od czego zacznie. Kilka pomysłów już wcześniej przyszło jej do głowy. Przyspieszyła kroku, czuła w sobie entuzjazm. Im materiał do obróbki będzie trudniejszy, tym miłszy sukces. Szła pochylona, przeklinając w

duchu wrzynające się w dłonie plastikowe uchwyty i z rozrzwinieniem wspominała sprzedany samochód. Przydałby się teraz.

Silny wiatr uderzał ją w twarz, nogi grzęzły w mokrym śniegu. Odwykła od robienia zakupów. Teraz musi się z tym oswoić. Pieniądze ze sprzedaży samochodu wpłaciła do banku, by gdy nadejdą ciężkie chwile, mieć jakieś zapasy. Na życie tutaj niewiele jej trzeba. Potrafiła jeszcze zarobić na swoje utrzymanie i w ogóle czuła, że na pewno sobie poradzi.

Nim weszła do sieni, ostukała o kant progu ośnieżone buty. Teraz sama musi zadbać o porządek. Już dawno tego nie robiła. Niemal od zawsze miała kogoś do pomocy.

Najpierw rozpakowała torby, a potem osunęła się zmęczona na krzesło. Spod brązowego szalika wypadły jej ciemne kosmyki włosów i przykleiły się do mokrego policzka. Odgarnęła je gestem, który tak bardzo lubił Marek. Patrzył z przyjemnością gdy lśniąca pasemka wymykają się niesfornie z fryzury i opadają bezładnie na czoło. Mówił, że żyją własnym życiem. Wciąż je poprawiał. Czuła jeszcze jego delikatną dłoń. Już nigdy więcej nie zechce tego zrobić z własnej woli. Brzydził się nią i pogardzał. Zdawało się Dorocie, że kara, jaką ponosi, jest słuszna, choć może nazbyt ciężka. Czy potrafi ją teraz udźwignąć, jeszcze nie wiedziała. Wszystko wokół niej tak bardzo się zmienia. Jest teraz kimś innym. Będzie musiała nauczyć się siebie, zaakceptować i jeśli się uda, zakorzenić od nowa. Byłoby źle, gdyby mogła zadzwonić do domu. Porozmawiać o wszystkim spokojnie. Ugasić pożar w duszy Marka, usprawiedliwić się jakoś, bo dotychczas nie miała ku temu szans ani okazji. Przecież potrafili rozmawiać o wszystkim. Marek miał dar rozumienia ludzi. A jej wcale nie chciał zrozumieć.

Robiła wszystko, żeby zająć myśli, zagospodarować czas, żeby nie śnić wciąż o tym samym. Teraz chciała do niego zadzwonić, ale trochę się bała. Brakowało jej kontaktu z dziećmi, nie wiedziała, jak sobie radzą. Nie miała złudzeń, Marek ich do niej w tym momencie nie dopuści. A może nie dopuści nigdy? Jest jeszcze sąd, można by się nimi podzielić, ale czy to jest rozwiązanie? Kilka dni przed wyjazdem, a potem w pociągu dzwoniła do Magdy. Magda znała dobrych prawników. Tadeusz korzystał z nich czasem. Nie, żeby chciała się z Markiem rozwodzić, broń Boże. Chodziło jej tylko o jakąś fachową poradę. Nie miała odwagi szukać jej tutaj. Dopóki się da, chciała zachować dyskrecję.

Postanowiła, że zanim coś zje, spróbuje zadzwonić do domu. Dłużej nie będzie już zwlekać. Chce się upewnić, czy z dziećmi wszystko w porządku. Inaczej nie zmobilizuje się do niczego. Poza tym miała do Marka sprawę. Wykorzysta ją jako pretekst. Trochę jednak zwlekała. Przemarznięte nogi oparła o ciepłe kafle pieca, w którym wcześniej dobrze napaliła. Powinna dołożyć węgla, bo do wieczora

ostygnie. Nawet nie myślała, że tak szybko nauczy się rozpalać ogień. Polubiła to trudne zajęcie. Było symbolem kolejnej pokonanej poprzeczki. A Dorota lubiła się sprawdzać. Odczuwała dziką satysfakcję, gdy znowu coś przestało być dla niej barierą. Dlatego najpierw chce mieć za sobą ten niemiły telefon.

Wystukując numer do domu, układała w myślach odpowiednie słowa. Pokonała strach, a mimo to czuła, że drży.

Jak na złość odebrała Agata. To nieco utrudniło sprawę. Może powinna później spróbować. Agata to gapa i słabo słyszy, ciężko się będzie dogadać.

— Halo, halo! — usłyszała jej krzyk. To było do przewidzenia. Gotowa jest postawić tym krzykiem wszystkich w domu na nogi.

— Agata, to ja, słyszysz? — próbowała się dogadać z dziewczyną. — Leszczyńska przy telefonie — powtórzyła głośniej.

— O, to pani, mój Boże, poznaję, poznaję. — Robiła wrażenie radosnej, ale to były pozory. Dorota znała ją dobrze.

— Posłuchaj mnie, ja muszę porozmawiać z mężem — sylabizowała słowa. — Zanieś mu telefon, proszę. — W słuchawce panowała cisza. — Halo, jesteś tam? — Dorota krzyknęła głośniej.

— Jestem, jestem tylko... — dziewczyna się zawahała.

— Co „tylko”? Nie ma go w domu? — spytała, czując nadciągające kłopoty.

— Jest, siedzi w gabinecie, ale zabronił mi z panią łączyć

— wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Miałam odłożyć słuchawkę, jak pani zadzwoni, dzieciakom też zabronił — dodała głośniej.

— Agata, ja muszę z nim porozmawiać — nie dała się zbyć.

— Nic ci nie zrobi — zapewniała przestraszoną dziewczynę.

— Ale nie mogę, naprawdę. Choćby nie wiem co. Tak mi powiedział kilka dni temu.

— Co znaczy: choćby nie wiem co?

— Znaczy, że nawet jakby pani płakała, czy coś takiego... no wiadomo, to mam odłożyć słuchawkę i koniec — dziewczyna była uparta.

— Zwariowałaś! — krzyknęła Dorota. — Przystań się wreszcie wygłupiać!

— To nie moja wina. Jak powiem, że pani dzwoni, będzie awantura.

— Po prostu daj mu telefon do ręki i powiedz, że nie wiesz, kto dzwoni, że się nie przedstawił. Wymyśl coś, dziewczyno, do licha. Słyszysz, co mówię, chyba możesz to dla mnie zrobić? — Dorota nie mogła uwierzyć, że nawet Agata, tak bardzo oddana i wierna, też nie chciała jej pomóc.

— Dobrze, spróbuję — ustąpiła z niechęcią. — Tylko jak się wścieknie? Ostatnio wścieka się na wszystkich, o byle co.

— Jakoś to przeżyjesz. Musisz mi pomóc, to ważne.

— Szkoda, że pani odeszła, szkoda — dodała już normalnym głosem. — To już całkiem inny dom, nie chce się przychodzić. Bez pani to nie ma tu życia.

— Wiem, mnie też bez was ciężko, ale przecież muszę żyć. Pomóż mi, proszę.

— Musi pani, to jasne. No, niech pani sobie żyje — westchnęła. — Idę zanieść ten telefon i niech pani na siebie uważa.

— A dzieci, powiedz, jak dzieci? — zdążyła jeszcze zapytać.

— Co tu mówić, chodzą smutne. Pani mąż pomstuje na panią bez przerwy, to się chowają po kątach i tyle. Trudno im, ale są grzeczne. Mały wygrał wczoraj jakiś konkurs z matematyki. Przyszedł się do mnie pochwalić. Patrzcie, no. Zrobiłam mu te placuszki z serem, które tak lubi.

— Dbaj o nie, Agata, bo ja jestem teraz daleko. Dbaj, żeby nie płakały.

— Robię im też naleśniki — mówiła dalej, idąc po schodach. Słysząc było jak sapie, jak otwiera drzwi gabinetu i oddaje Markowi telefon.

— Kto dzwoni? — usłyszała, jak pyta.

— Jakaś kobieta do pana, ale nie rozumiem, jakoś cicho mówi, niewyraźnie.

W Dorocie zamarło serce. Bała się tej rozmowy. W pierwszej chwili chciała się rozłączyć.

— Leszczyński, słucham. — Nie miała wyboru, musiała wreszcie przemówić.

— Marek, nie odkładaj — odezwała się spokojnym głosem. — Potrzebuję twojej pomocy, nie odkładaj, proszę. Nie powinieneś mi teraz odmówić — dodała. Usłyszała cichy trzask. Marek się jednak wyłączył. Wahała się tylko przez chwilę. Jak już zaczęła, jeśli odważyła się zrobić ten krok, teraz nie popuści. Jeszcze raz wystukała numer. I jeszcze raz, bo nie odbierał, i jeszcze. Bała się, że go wyłączy. Za czwartym razem dał za wygraną.

— Nie czuję się zobowiązany — powiedział lodowato, pewien, że to ona.

— Tak jest najprościej — odwzajemniła się ostrym tonem. Gra się rozpoczęła, więc nie miała wyboru. — To ci teraz najbardziej pasuje? — spytała, a po chwili stwierdziła: — Nie masz prawa tak mnie ignorować.

— Ty mnie już nie interesujesz — oświadczył krótko. — Jesteś wolna. Rób sobie, co chcesz — zawahał się chwilę. — Na nic już nie licz i daj nam spokój, do cholery!

Dorota miała tysiąc odpowiedzi, ale się powstrzymała. Nie chciała go przecież rozdrażnić. Potrzebna jej była chociaż nikła szansa na kontakt.

— Łatwo się pozbyłeś kłopotu. Może zbyt łatwo — nie podarowała sobie tej jednej uwagi. Powinien przecież wiedzieć, jakie w tej sprawie ma zdanie. Jest winna, ale poniżać się nie da. Słyszała w słuchawce szybki oddech Marka. Znała go dobrze, był wściekły.

— Pusty dom, dzieci bez matki, to nie kłopot? — powiedział po chwili. — Na to też masz gotową odpowiedź?

— Ty dokonałeś wyboru, nie odchodziłam z domu z własnej woli, wygoniłeś mnie.

— Rzeczywiście, wybór należał do mnie, tylko pomiędzy czym mi kazałaś wybierać? Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co nam zrobiłaś. Masz jeszcze czelność prosić o pomoc? Dorota, zrozum, ja już nie jestem tobą zainteresowany. Nie chcę nic wiedzieć i niczego dla ciebie nie zrobię.

— Marek, przestań. Nie dzwonię, żeby się kłócić.

— Nie dzwoń wcale. Tak będzie najlepiej. Przetnijmy to, co nas łączy, szybko i bezboleśnie. Przecież ci o to chodziło. To jedyne wyjście, żeby się nie grzebać w brudach.

— Kopnąłeś mnie jak psa — stwierdziła Dorota. — Jak psa — dodała, pełna goryczy. Wiedziała, że to jej ostatnie słowa, że już niczego więcej nie wydusi. W tym stanie niczego z nim nie załatwi. Czuła pulsowanie w skroniach. Trzymała się resztkami sił. Powinna odłożyć słuchawkę, bo dalsza rozmowa tylko może zaszkodzić.

— Na nic więcej nie zasłużyłaś — wyrzucił z siebie. — Ja chcę rozwodu — powiedział kategorycznie. — Trzeba oczyścić z brudów ten dom. Weźmiesz, co będziesz chciała. Przedmioty nic dla mnie nie znaczą. Pieniądze też. Chcesz pieniędzy?

Proszę, znasz numer konta, możesz korzystać. Jeszcze wyślę ci kartę kredytową.

— Wypchaj się — nie wytrzymała. — Mam w nosie twoje pieniądze. — Czuła, że robi jej się gorąco. Próbowwała pozbierać myśli i zakończyć rozmowę z honorem. — Nie rozmawiajmy w gniewie, to bezsensowne. Pomówmy spokojnie.

— Mój Boże! — krzyknął. — O jakim spokoju mówisz, o twoim czy moim?

— Lubisz wszystko ubarwiać, ubierać w słowa, a przecież wiem, że się teraz męczysz. Przestań grać tę komedię. Przecież to można jakoś pogodzić.

— Wolne żarty! — zaryczał złowrogo. — Czyja naprawdę wyglądam na głupca? Naprawdę myślałaś, że to się nie wyda, że będziesz mnie wodzić za nos — w jego głosie brzmiało obrzydzenie. — Nigdy ci nie wybaczę.

— Nie sposób z tobą rozmawiać—Dorota w końcu dała za wygraną. — A moglibyśmy przecież spokojnie wszystko omówić.

— Co tu jest do omawiania. Zwykle świństwo i tyle. A teraz ja mam się kajać? Wybij to sobie z głowy. Nie mogę, czuję obrzydzenie do ciebie i tego wszystkiego, co się stało. Ile razy?... — próbował zapytać. — A zresztą nic nie mów, nie jestem ciekaw. Te szczegóły już mnie nie obchodzą

— To nie było takie wulgarne, jak ci się wydaje.

— Chcesz, żebym wysłuchał spowiedzi? Po moim trupie. Zachowaj dla siebie szczegóły.

Jasne, że rozumiała jego upór. Był w podłej sytuacji. Miała tylko nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Była niemal pewna, że ich małżeństwo da się uratować, żeby tylko dał się przekonać.

— Wszystko ci wytłumaczę, proszę tylko, żebyś mnie spokojnie wysłuchał — powtarzała uparcie. Czuła, że nie ma argumentów na swoją obronę, ale chciała spróbować.

— Mam dość, skończ wreszcie! — powiedział wyraźnie zmęczony.

— Jak chcesz — dała za wygraną. — Teraz ty rozdajesz karty. Powiem, co mam do powiedzenia, i kończmy ten cyrk. — Dorota czuła, że się rozbeczy z niemocy.

— Więc słucham — powiedział wzburzony.

Słowa grzęzły jej w gardle. Żałowała tej całej rozmowy. Głupio było o cokolwiek prosić, ale nie miała wyboru. Poza tym, to była jej ostatnia szansa.

— Są mi potrzebne materiały do pracy.

— Do pracy? — w jego głosie słychać było zdziwienie.

— Tak — odpowiedziała spokojnie. — Przecież muszę z czegoś żyć. Więc pracuję. Są w moim pokoju, wiesz gdzie, w brązowych pudełkach.

— Mówisz o płytach?

— Płytach i notatkach. Są w szarych, wiązanych teczkach i w tych niebieskich, na rzepy. Na dolnej półce leżą jeszcze skrypty... Wyślij to, proszę. Podam ci adres, zapisz.

— Myślałem, że chcesz rozmawiać z dziećmi. — Chyba poczuł się głupio.

— A mogę? — zapytała szybko.

— Zwariowałaś! — znów podniósł głos. — Nie chcą o tobie słyszeć. Ostatnio, gdy próbowałaś zwabić je do samochodu, Jacek całą noc płakał.

— Dziwisz się, tęskni. Marek, rozdzieliłeś nas bezprawnie. Wiesz o tym bardzo dobrze i jeśli teraz płaczą to tylko przez ciebie.

— Wstyd was rozdzielił. Nie ja!

— Znowu zaczynasz, cóż to za dramatyczne przedstawienie, to do ciebie nie pasuje, znam cię zbyt dobrze. Nie oszukasz mnie, bawisz się w aktora, zamiast po prostu pozwolić mi wrócić. Przecież my i

tak nie umiemy bez siebie żyć. Marek! Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Zmusiłeś mnie do ucieczki, teraz się mścisz. Czy ta zemsta ma być rozwiązaniem problemu, chcesz mnie całkiem pogrzążyć?

— I wzajemnie — odpowiedział chłodno.

Trzeba to było zakończyć. Dorota poczuła ogromnie znużenie. Dłużej nie chciała się upokarzać.

— Gdzie ci to wszystko wysłać? — usłyszała spokojny głos Marka. — Podaj mi adres.

Na chwilę zamilkła, jakby się bała. Wahala się, czy nie popełni błędu. Ale musiała mieć te notatki. Bez nich sobie nie poradzi.

— Wyślij poleconym. Nie chcę, żeby zginęło — powiedziała wyraźnie i podała mu adres.

Pytał kilka razy o nazwę miasta.

— Gdzie to jest, do diabła, gdzieś ty wyjechała? Dorota, gdzie to jest? — powtórzył zdziwiony.

— Daleko — odpowiedziała spokojnie.

Jeszcze nie ochłonęła po rozmowie z Markiem, a następnego dnia, jakby za sprawą telepatii, zadzwoniła Magda. Wtargnęła tak nagle tym telefonem do nowego domu w Radosławiu, że zanim Dorota poznała jej głos i zrozumiała, o czym do niej mówi, minęła chwila. Zapomniała, że przecież niedawno sama ją ściagała telefonem. To pewnie dlatego, że tak bardzo odcięła się od wszystkiego, co było wcześniej, skasowała dawne znajomości, układy, najlepszych przyjaciół. Nastawiła się wojowniczo do rozmowy, odruchowo spodziewając się pytań i pretensji. Gdy w telefonie usłyszała cichy i delikatny głos Magdy, nie mogła uwierzyć. Poczuła dziwne ciepło i nagły poryw radości, uczucia, które od dawna nie gościło w jej sercu. Ale nie wiedziała od czego zacząć, tym bardziej, że Magda była jakaś dziwna. Jeszcze bardziej niż zwykle. Usiłowała coś tłumaczyć, wyjaśniać, mówiła o telefonie, aż w końcu Dorota wszystkiego się domyśliła.

— Tak, dzwoniłam do ciebie jakiś czas temu — pospieszyła I (i leżance z pomocą. — Miałam problem, chciałam się poradzić wyjaśniła spokojnie.

Nie wiedziała, co dalej i od czego zacząć. Była bardzo ciekawa, jak dalece Magda jest zorientowana. Nie chciała niepotrzebnie wyskakiwać z nowinami. W końcu nie miała się przecież czym chwalić. Magda, taka święta, dobra żona i matka, zawsze przejęta sprawami domu, pracą męża. Taka

uległa i milcząca, nawet wtedy, gdy powinna zabrać głos, zawsze milkła z pokorą. Jak ona wszystko oceni?

— No widzisz, nie oddzwoniłam. Przepraszam, jakoś tak wyszło. Zresztą — przypomniała sobie. — Wiesz, bo odebrał Marek. A ja — chwilę nad czymś myślała — nie byłam, prawdę mówiąc, w najlepszym nastroju, nie czułam się dobrze. On chciał numer twojej nowej komórki, sama mu zaproponowałam, powiedział też, że już z nim nie mieszkasz. — Nabrała znowu powietrza. — Dorota, ja ci teraz nie mogę pomóc — szczerze wyznała.

— Rozumiem Magda, wiem, Tadeusz pewnie by cię zabił, że się ze mną zadajesz. Przecież nie musisz się przede mną tłumaczyć. Zresztą — próbowała skończyć niewygodny temat — jakoś sobie poradziłam. Prośba jest nieaktualna.

— Nie chodzi o to, że nie chcę. Dorota, coś ty — dzielnie się tłumaczyła. — A poza tym, co ma do tego Tadeusz? Dawno go nie widziałam.

— Jak to — nie rozumiała. — Wyjechał gdzieś? Sama jesteś? — zapytała z grzeczności.

— Sama — oznajmiła Magda. — Zupełnie sama. Pracuję nad nową książką bardzo mnie pochłania. Mało teraz śpię, dużo pracuję. Wszystko się jakoś wymyka. Mam problemy z głową często mnie boli.

— Robiłaś jakieś badania? Byłaś u lekarza?

— Byłam, tak, tak — potwierdziła. — Byłam u kilku lekarzy. Nic nie znaleźli. Aha, jeszcze coś, zadzwoniłam do Kuby. Był u mnie, jakiś czas temu. Zobaczył wyniki, podobno anemia. Wiesz, ja często mam niski poziom hemoglobiny, ale potrafię z tym żyć. Myślę, że to przemęczenie.

— Pewnie ślęczysz po nocach. Pamiętam, zawsze mało spałaś. — Dorota wspominała wspólnie spędzane wakacje. — Będziesz musiała trochę odpuścić, może zrobić sobie krótką przerwę. To ci posłuży, książce też. Nieraz powtarzałaś, że to daje świeże spojrzenie na tekst.

— Tym razem nie mogę. Mam mało czasu.

— Rozumiem, chcesz wykorzystać nieobecność Tadeusza. A on co, dalej nie pozwala ci pisać?

— Znasz Tadeusza. Według niego żona powinna zawsze warować przy mężu, nawet jak tylko czyta gazetę, powinna siedzieć wpatrzona niczym w święty obrazek. Cierpieć, kiedy on cierpi, pracować na równi i zanim on coś powie, ona już powinna wiedzieć, o co mu chodzi.

— Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Powinnaś stanowczo wymagać dla siebie pewnych praw. Magda, nie bądź naiwna i weź się w garść. A Tadeusza pozdrów, jak wróci.

— Chyba nie wróci tak prędko, ale powtórzę, na pewno zapewniała. — A dzwonię, żeby ci przypomnieć o naszym rachunku, że w tym miesiącu chyba twoja kolej. Jakub płacił w grudniu, Janusz w styczniu, Zosia w lutym, na mnie wypada w maju.

— O kurczę, patrz, zapomniałam. — Dorota uderzyła się w czoło. — Dzięki, że mi przypomniałaś. Zaraz, tylko, wiesz co, Magda, a mogłabyś podać numer konta? Nie mam go przy sobie. Brakuje mi jeszcze paru ważnych rzeczy.

— Zaraz ci prześlę esemesem. Mam go przy sobie.

— Tylko nie zapomnij, proszę. Az Zosią masz jakiś kontakt? Dorota zmieniła temat. — Dawno jej nie widziałam. Zupełnie nie wiem, co się u niej dzieje.

— Też nie mam od niej żadnej wiadomości. Bardzo rzadko dzwoni. Zapytaj Inkę, wiem, że jakiś czas temu robiła Zosi testy.

— Testy... — powtórzyła Dorota. — Myślisz, że wciąż się starają? — Dorota miała na myśli nieustanne próby Zosi zajścia w ciążę.

— Nic bliższego nie wiem. Tylko tak, ogólnie — oświadczyła Magda. — Myślę, że raczej nie. Daj spokój, w jej wieku, to już chyba nie jest możliwe.

Dorota uśmiechnęła się do siebie ze smutkiem. A więc nic o mnie nie wie — pomyślała od razu. Nie powiedziałaaby tego, gdyby wiedziała. Przecież były z Zosią w tym samym wieku.

Widok znajomych przedmiotów ucieszył Dorotę i jednocześnie rozczulił. Przesiedziała cały dzień na podłodze, przeglądając wszystko z rozrzewnieniem. Były tu jej zeszyty z notatkami, książki, wszystko, co mogło się przydać i pomóc, a na płytach teksty najlepszych skryptów i ćwiczeń. To rozwiązało problem

podręczników. Laptopa przywiozła ze sobą. Potrzebna była jeszcze drukarka. Z tym nie będzie problemu. Po prostu ją kupi.

W głowie powstał gotowy plan i pomysł na szybką edukację. Książki posłużyły do wyjaśnienia podstaw języka. Materiały do bezpośredniej pracy z uczniami postanowiła opracować sama, według najnowszych i najlepiej sprawdzonych metod. Dzięki zasobom znajdującym się w pamięci komputera i na płytach opracowała intensywny kurs językowy w kilku wersjach, w zależności od wieku uczniów. Uszeregowała wszystkie klasy według poziomu wiedzy i do każdej indywidualnie przygotowała materiały.

Już dawno tak nie cieszyło ją zadanie, które miała przed sobą. Prawie nie spała. Jadła niewiele, piła głównie kawę. Na ziemi rosły sterty papieru, a w głowie układał się misterny plan działania. Zaangażować się w coś dużego i zrealizować w stu procentach, to było to! Wypieki nie znikwały z jej twarzy. Mówiła do siebie półgłosem, to przyspieszało proces myślenia. Uśmiechała się do nowych pomysłów. Skoncentrowana na pracy, zapominała o bożym świecie. Tylko praca dawała ukojenie równe cierpieniu, które przeżywała, ale czy ucieczka od problemów, w całkiem inne problemy jest dobrym wyjściem? Tego nie była pewna. Cóż, jednak decyzja zapadła. Jeżeli chce odzyskać szacunek do siebie, musi zacząć wszystko od nowa. Roboty nie brakowało i to było najważniejsze. Ale praca zawodowa to przecież nie wszystko, musi zadbać o inne sprawy niezbędne do egzystencji. Powinna w najbliższym czasie zająć się mieszkaniem. Z czasem będzie jej brakowało komfortu, do którego zdążyła się przyzwyczaić w swoim poprzednim wcieleniu. Jeszcze nie miała czasu pojąć do końca, co się z nią dzieło. Opętana nowym zadaniem, nie myślała o niczym. Na razie żyła na wulkanie, który dopiero się budził. Wszystko, co przeżywała, traktowała z powagą. Nie opuszczało jej przeczucie, że kiedy w pełni pojmie swój stan, z pewnością oszaleje z żalu.

Lata pracy ze studentami, częste wyjazdy, publikacje, tytuły dodawały jej splendoru. To, że jest jedną z najlepszych w swojej dziedzinie, stało się czymś oczywistym. Poszło tak gładko, że trudno jej było uwierzyć. A przecież była kiedyś zwykłą dziewczyną może trochę pyską i nieco bardziej przebojową od koleżanek, ale też nie wolną od wątpliwości i kompleksów. Tak jakoś ułożyła sobie życie, że nie musiała niczego się bać. Wszystko czego dotknęła nabierało sensu. Miała pewien dar, niesamowitą zdolność zjednywania ludzi, do tego ujmujący głos i postawę. Łudziła tym wiarygodność i respekt. Emanowała z niej solidność, co przyciągało najpierw koleżanki w pracy, potem szefów, a jeszcze później podwładnych. Rosła i rosła, wciąż większa, ważniejsza. Zaczynała zbierać plony, będące rezultatem długich lat pracy i nocy spędzonych nad książkami. W końcu zapominała, że właściwie najbardziej lubi uczyć, ale to już było

za nią pozostało marginesem codzienności, która już tak nie podniecała i nie stawiała wyzwań. W końcu zaczęło jej czegoś brakować.

Popadała w marazm, coraz częściej dopadały ją wątpliwości -- co dalej? Zrozumiała, że coś musi się stać. Jakby przeczuwała wielką katastrofę. Była zupełnie wyprana z emocji. Straciła zapał, zaczynała się rozmieniać na drobne. Wpadała w rutynę, brakowało jej nowych wyzwań, dusiła się we własnej skórze. Pojęła nagle, że już nic nie może się zdarzyć, nic zaskoczyć. Że jest w stanie przewidzieć kolejny dzień, każdą godzinę, i że do końca będzie tak samo, te same problemy, zmieniane jedynie naturalną kolejną rzeczą, następującą cyklicznie, jak w każdej rodzinie. Czuła się tak, jakby nie było już czego brać, czego dokonać. Czyżby w perspektywie pozostało jedynie czekanie na wnuki, emeryturę i zasłużony odpoczynek? Miała tylko jedną możliwość odmiany. Któregoś dnia pomyślała, że z miejsca, na którym stoi, można jeszcze spaść. I to była wielka pokusa. Zobaczyć siebie na nowo. Sprawdzić w innym wymiarze, potwierdzić powszechną opinię, że czegokolwiek się tknie, zawsze jej wychodzi. Zalęgła się ta myśl w niej i nie dawała spokoju. Ale nie przypuszczała, że tak szybko stanie się faktem.

I oto spadła. Utraciła naprawdę wszystko. Jeszcze jeden stopień niżej, byłaby na dnie. Właściwie już go dotknęła. Kilka dni po wszystkim sięgnęła po wódkę, zaczęła pić, łudziła się, że alkohol przyniesie ulgę. Na szczęście nigdy nie była przekonana, że zapijanie problemów cokolwiek załatwi, więc następnego dnia skończyła pić. Wódka nie dawała Dorocie żadnej odpowiedzi, tylko rozbudzała żal. A przecież nie o to chodziło, żeby się poddać. Myśląc o klęsce, marzyła o nowych wyzwaniach, więc co tu zapijać, skoro w rezultacie tragicznych wydarzeń dostała szansę, a może nawet drugie życie? Czyż to nie piękne, dwa razy żyć? Każdy o tym marzy w skrytości. Więc skoro już stało się to, co się stało, to trzeba się brać do roboty.

Wdzięczna była Markowi, że w końcu przełamał złość. W naturalnym odruchu wdzięczności postanowiła mu za ten gest podziękować. Pomyślała, że napisze list; nie zadzwoni, nie wyśle krótkiego i zdawkowego maila, lecz zwykły tradycyjny list, na białej kartce papieru. Żeby można go było przeczytać jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze, tak często, jak to będzie potrzebne, aby mąż uwierzył w jej skruchę.

.....

Teraz ciężko pracowała. Przygotowała swój własny program nauczania. Najpierw usystematyzowała całą wiedzę, wyjaśniła w logiczny sposób filozofię języka, jego strukturę i melodię, by przełamać niechęć uczniów do mówienia i myślenia po angielsku. Poświęciła kilka godzin na rozprawianie o możliwościach wykorzystania języka, przydatności w dalszym procesie kształcenia, mówiła o

korzyściach intelektualnych i gimnastyce umysłu. Potem nakreśliła wyraźnie jego zasady, porównała różnice i podobieństwa między angielskim a polskim i niemieckim. Chciała mieć pewność, że ich przekonała. Wyszła z założenia, że dopóki nie wzbudzi ich sympatii do tego, czego się mają uczyć, niczego nie osiągnie.

Szybko przełamała pierwsze opory, zaraziła młodzież swoją energią rozweseliła te dziwnie mroczne nastroje i pewnego dnia poczuła, że nareszcie ich ma. To było jak objawienie. Gdy weszła któregoś dnia do najgorszej z klas, już ją dopadli pod drzwiami, podtykając pod nos pierwsze samodzielne prace. Byli zachwyceni, jak im łatwo poszła nauka i jak dużo zostało w pamięci. Nie było lepszej nagrody. To jeszcze bardziej dodało jej skrzydeł. Pogrupowała uczniów według własnych kryteriów, opisując każdy przypadek. Wyzaczyła terminy dodatkowych zajęć, korepetycji dla chętnych i bezpłatną pomoc. Czasu miała dużo. Tylko zdrowie zaczęło nawalać. Utyła, coraz częściej dokuczały jej nogi i bolały plecy. Postanowiła zająć się sobą i rozejrzeć za odpowiednim lekarzem. Była już w czwartym miesiącu ciąży. Pomyślała o Zosi, swojej dobrej znajomej. Dlaczego nie ona? Tyle lat marzy o dziecku. Byłaby szczęśliwa. Pamięta jej rozpacz po utracie ciąży, jedynej, jaka się jej przydarzyła.

Mam na imię Zofia. Kiedyś próbowałam spisać historię rodziny. Szukałam jakiegoś zajęcia. To był trudny czas. Nic mnie nie cieszyło. Byłam w rozpacz, bo właśnie straciłam dziecko. Nic nie było mnie w stanie ukoić poza pracą. Szperałam więc w pożółkłych kronikach, wybierając kawałki może bolesne, ale bliskie mojemu sercu. Historia zaczynała się tak:

Zakopane, luty, rok 1909. W rodzinie hrabiostwa Krze-sińskich oczekiwano pierwszego potomka. Zofia Krze-sińska, z domu Bocheńska, leżała rozpostarta na haftowanych poduchach, rozmiarami przypominała największą budowlę świata. Bóle zwiastujące nadejście porodu trwały już całe dwie doby. Wprawdzie lekarz zapewniał, że to normalne u młodej pierwiastki, lecz domownicy zdjęci trwogą szeptali po kątach gorliwe zdrowaśki. W salonie zebrali się przydzielone do rodziny stare ciotki i swymi rozłożystymi zadkami rozpychały kanapy. Wy-krochmalone służące donosiły gorącą herbatkę i lukrowane ciasteczka, przynosząc świeże wieści z sypialni. Młody pan Krze-siński, spokojny i zrównoważony, stał przy oknie i wpatrując się w oślepiającą biel śniegu, palił papierosa, rozmyślając nad konsekwencjami ojcostwa.

Zofia przyjmowała cierpienia z anielskim spokojem. Po prostu przez cały czas czytała. Była osobą wielce uduchowioną kochającą literaturę i rozmiłowaną w muzyce. Obnosiła się z tym dość ostentacyjnie, lecz nie odbierało to jej pasjom ani trochę z autentyczności. Rozczytywała się w

szczegółności we współczesnej owym czasom literaturze. Głównie polskiej. Quo vadis przeczytała ukradkiem przed rodzicami, rok po jego wydaniu w Krakowie, miała wtedy zaledwie jedenaście lat. Książka wstrząsnęła i poruszyła do głębi dziewczęce serce. Gdy w 1905 roku Sienkiewicz dostał za nią nagrodę Nobla, była zachwycona. Śmierć Wyspiańskiego w 1907 poważnie odchorowała. Jego pogrzeb stał się w Krakowie wielką narodową manifestacją. Zofia koniecznie chciała w nim uczestniczyć, lecz przezorni rodzice uznali, że młodej panie tuż przed ślubem nie wypada narażać reputacji i pokazywać się publicznie w „takich miejscach”. Zofia, podobnie jak wszyscy miłośnicy talentu Wyspiańskiego, z troską śledziła ostatnie tygodnie jego życia, gdy złożony chorobą nie mogąc już mówić, zapisywał ostatnie myśli i zalecenia dotyczące rękopisów.

Teraz zmuszona kobiecą powinnością leżała w pościeli z kolejnymi tomami Chłopów Reymonta, nowego zauroczenia. Głowę miała wypełnioną losami bohaterów chłopskiej epopei, uwikłanych w poplątane perypetie rodzinne, obrazami bogatej panoramy ludzkich typów, ze wszystkimi realiami, konfliktami i problemami codziennego życia. Brakowało jej czasu na to, by skupić się na własnym ciele i na tym, co się z nim właśnie działo. Coraz częstsze fale skurczów przyjmowała spokojnie i z honorem, myśląc o młodych wiejskich kobietach, którym przychodziło rodzić w polu lub na miedzy.

Czas mijał, lecz potomek rodu nie spieszył się z przyjściem na świat. Rozczarowana rodzina w końcu zrezygnowała z czuwania i udała się na spoczynek, opróżniając wcześniej kilka butelek gęstego wina. Z ciężkimi głowami, nieco słabi w nogach, poukładali się w wygodnych łóżach, rozrzucając nie wiedzieć czemu po całym domu swoją garderobę. A Zofia czytała.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych rozeszła się po Zakopanem wiadomość o zaginięciu w Tatrach Mieczysława Karłowicza. Ten młody utalentowany człowiek, wielbiciel ciszy i majestatu Tatr, wyszedł ósmego lutego, wcześniej rano w góry i nie wrócił. Wstrząśnięte miasto rozpoczęło poszukiwania. Zofia zmożona godzinami boleści, usłyszawszy o tym, postanowiła w swojej afektacji, że jeśli urodzi syna, na cześć i ku pamięci, dostanie na imię Mieczysław. Dopytywała się ciekawie o nowe wieści, a gdy gruchnęła wieczorem wiadomość o znalezieniu ciała przysypanego lawiną pod Małym Kościelcem, w ostatnich bólach i wielkich krzykach wydała na świat dużego, zdrowego chłopca. Narodził się oczekiwany przez wszystkich niecierpliwie Mieczysław Krzesiński, potomek zamożnego i szanowanego rodu Krzesińskich.

Od tamtej zimy minęło dziewięćdziesiąt pięć lat. Świat z pozótkłych fotografii wydaje się teraz taki śmieszny. Kobiety w wielkich kapeluszach, w sukniach z wąskimi taliami, opiętymi ciasnym gorsetem,

wydatnie podkreślone piersi, bufiaste rękawy, infantylne uśmiechy na retuszowanych obrazkach. Twarze tak różne od dzisiejszych, że aż brzydkie. Ustawione w nienaturalnych pozach, trudno uwierzyć, że odległe od nas tylko o dwa pokolenia.

Zofia Krzesińska to moja babka i moja imienniczka. Dzięki wspólnym działaniom jej i dziadka Edwarda, dziewięćdziesiąt lat temu urodził się mój tata. Pojawił się na świecie i jak samotny żagiel, gnany przez kolejne wiatry historii, przepłynął mętne wody tego świata. Zofia zaopatrzyła syna na życie w oręż szczytnych ideałów i wiarę w wielkie i szczerze intencje. Wydała na świat mężczyznę, a zrobiła z niego niechcący kalekę, zdruzgotanego później latami kolejnych wojen, okaleczonego psychicznie, fizycznie, a w szczególności materialnie. Wojna światowa, rewolucja październikowa, pozbawiły ich rodzinę majątków, rozsianych szeroko i gęsto po całym kraju, a druga wojna ogołociła z nadziei i dobiła głęboką nędzą spychając z pałacowych pokoi do przybudówki dla służby.

Gdy ożenił się z moją matką najpiękniejszą córką z bogatej rodziny Mossowskich, był właścicielem czternastu pałaców. Część z nich znajdowała się na Litwie, dwa w okolicach Krakowa i jeden w Wiedniu. W Krakowie posiadał własne domy, gdzie zatrzymywał się tylko dla kaprysu.

Kiedy skończył trzydzieści pięć lat, nie miał już niczego.

Resztki świetności, kokietujące fotografiami z początku wieku, poruszyły nutę żalu, że to już nigdy nie wróci. Wychowałam się przecież w świecie z innej epoki i wśród mniej dzisiaj popularnych wartości. Rodzice wpoili mi, że kto mniej posiada, mniej straci, a nic tak bardzo nie boli, jak rozstanie. Dom rodzinny, ciemny pokój na ulicy Żelaznej, półki z książkami i szkoła. Nawet rówieśnicy byli zagrożeniem. Posiadanie przyjaciółki, a potem jej strata, to zbyt duże ryzyko. Ze szkoły wracałam sama, nigdy nie miałam znajomych, nie wiązałam się uczuciowo z żadną grupą. Wszystko wydawało mi się mało trwałe. Istniałam we własnym świecie, gdzie za nich wszystkich starczyły mi książki. Jak moja babka, Zofia Krzesińska, odpływałam w urojone krainy, przeżywając cudze losy i cudze emocje.

Ale starą panną nie jestem. Sama się dziwię. Mój mąż, Jerzy, na szczęście ulepiony jest z podobnej gliny. Pasujemy do siebie. Jest moją przysłowiową połówką niezawodnym towarzyszem i opoką. Dzięki niemu jestem teraz inna. Nagle odkryłam, że można żyć w tym bezwzględny świecie całkiem bezpiecznie, nie gwałcąc jednocześnie wierszyków o małym Polaku i Białym Orle. Wcześniej żyłam tylko przeszłością. Śmieszne sukienki, które nosiłam, długie warkocze — byłam inna. Dorastałam w samotności, nie licząc rodziców i dalszej rodziny, która spowita w pajęczynę rodowych wspomnień, pogarszała jedynie relacje z moimi rówieśnikami. Wpajano mi, że jestem kimś wyjątkowym i zniżanie się

do poziomu ulicy nie przystoi pannie z dobrego domu. Według nich, wszystko, co mieściło się poza naszymi murami było bardzo be.

Powoli kasują się w pamięci złe wspomnienia. Sama nie wiem, dlaczego właśnie dzisiaj zebrało mi się na retro. To chyba przez te albumy. Zdjęcia z dawnych lat. Małe, milczące dowody istnienia, odmierzające czas, ożywiające tych, co odeszli. Te najstarsze, pochodzące z początku wieku, w złotych kolorach świetności, pawich piórach chwały, te późniejsze, małe, bardzo szare, niewyraźne i potwornie smutne, bo ubrane w robocze drelichy, babcine poprute szale, stare ukraińskie kapy. Tych zdjęć boję się najbardziej. Ale czasem ogarnia mnie tęsknota za smutkiem i szarością, przyciąga jakaś magiczna siła, malująca tamte czasy kolorami cierpienia.

Żyliśmy wtedy w wielkiej więzi z rodziną. Pamiętam święta z dzieciństwa. Długie stoły otoczone wiankiem ukochanych głów z dostojnymi profilami, rozmowy o wielkich sprawach, etykieta przy stole, której nie sposób było lekceważyć. Jeszcze dziś nucę czasami patriotyczne pieśni swoich dziadków, stare kolędy, odmawiam zapamiętane modlitwy, robię krzyż na bochenku chleba. Schodząc do coraz głębszych jaskiń wspomnień, jak archeolog odkrywam na nowo swoją tożsamość, korzenie i swój związek z utraconą na zawsze krainą. Nie da się zapomnieć tiulowych aniołków na choince, szklanych ptaków i lekkich jak piórko owoców rumieniących się na zielonych gałązkach, ani pełnych magii opowieści o czasach i miejscach, które dziś nie istnieją, a kiedyś stanowiły kręgosłup rodziny. Widzę kształt głowy mojego ojca, zawieszony na ścianie w blasku świecy, i dokładnie przygładzone włosy. Odkąd go pamiętam, zawsze był siwy.

Po wojnie rodzice nie wrócili już do swoich rodzinnych majątków. Wszystkie stracili. Duży dom w Warszawie, w którym kiedyś mieszkali, został zasiedlony. Zamieszkali w końcu obok, w niskim budynku od podwórza, w którym dawniej mieszkała ich służba.

Lata osiemdziesiąte podzieliły rodzinę. Polityka, nowi współmałżonkowie (ludzie spoza sfery), pogoń za pieniądzem zniszczyły pokoleniowe więzy. Mój ojciec, najbardziej zatwardziały wróg systemu, wyrzekł się zdrajców, zamknął w sobie i tak zestarzał. Teraz jest bardzo stary i niewiele się zmienił. Zbyt biedny, by starać się o odebranie rodzinnych gruntów, pałaców, zbyt dumny, by szarpać się o nie.

Część rodziny lepiej to przetrwała. Pogodzili się z nowym porządkiem i nie patrząc za siebie, wykorzystali swoje atuty, by móc przenieść wszystko, co dobre, w nadchodzące lata. Nie brzydzili się czerwonych uczelni ani pierwszego maja. Zdobywali wykształcenie, stanowiska, nosząc w sercu pamięć o tym, co zostało za nimi. Szli w pochodzie pierwszomajowym z kolorowymi balonami w rękę,

podśpiewując cichutko, pod nosem „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”. Mój ojciec pierwszego maja ubierał się w roboczy drelich, brał łopatę i na oczach odświętnych sąsiadów ostentacyjnie kopał ogród. Dwa dni później, trzeciego, w białej koszuli i krawacie szedł do kościoła. Był nieugięty. Schodził coraz niżej po drabinie społecznej i podnosił coraz wyżej głowę. Dostawał batem po karku i broczył nienawiścią. Ociekały nią ściany w naszym domu, brakowało ciepła, nikt nie wyznawał sobie miłości, wieczna żałoba. Urazy spiętrzone do rozmiarów absurdu zmieniły się w rozszalałe piekło.

Ojciec nigdy nie miał czasu dla dzieci. Mój starszy brat szybko opuścił rodzinny dom, rzadko do niego wracał. Mnie ojciec omijał z daleka, jakby się bał ujrzeć istotę, którą spłodził. Odsuwał się dyskretnie, gdy podchodziłam zbyt blisko. Nigdy nie przytulił. Czuł się winny, że niczego oprócz goryczy nie może mi przekazać we wianie i uważał, że im trudniejszą szkołę życia otrzymam, tym będę lepiej zahartowana. Stało się zupełnie inaczej. Dorastałam i coraz częściej dawały mi się we znaki drakońskie metody. Rozdarta przez domowe zakazy i przepełniona posianą wrogością wiecznie samotna, zaczęłam się w końcu buntować.

Mój mąż jest dzieckiem z małej miejscowości pod Krakowem. Wychował się w starych dzielnicach, miniaturowych zaułkach, w których wszystko zatrzymało się w poprzedniej epo-ce, a ludzie żyli z dnia na dzień. Stare, odrapane kamieniczki, z oknami pół metra od ziemi i kotami na parapetach, śnią jeszcze sen lat trzydziestych i modlą się do Boga wystawionymi na parapety świętymi obrazami, lichtarzami i kwiatami z wosku. Na dachach brakuje anten satelitarnych, w oknach żaluzji. Jeszcze pod połacią dachu wiszą przegniłe ze starości rynny, na murach sterczą resztki kunsztownych rzeźbień, a przy wejściach trzymają wartę porośnięte mchem wilgotne kolumny. Wejścia do tych domów otwierają ciężkie, dębowe drzwi z kutymi klamkami i szczerbatymi resztkami kolorowych witraży. Klatki śmierdzą stęchlizną zgniłymi ziemniakami i moczem, straszą czernią rozwartą jak wrota do piekieł.

Ani ja, ani Jerzy, nie potrafiliśmy się przystosować. On również nie stał zbyt mocno na ziemi. Przebywając ze sobą coraz bardziej oddalaliśmy się od realiów. Rodzice nie przekazali nam tej mądrości, która bezboleśnie toruje drogę młodym ludziom. Wychowaliśmy się w przedwojennych domach, w których do rodziców nie mówiło się na ty, nie trzaskało drzwiami i nie oglądało komunistycznej telewizji. Mówi się — „rodzina i dom to łuk, z którego wylatuje się w przyszłe życie”, a dla mnie był to w ostateczności przygniatający ciężar.

Żyliśmy z dnia na dzień, licząc na cud, na przysłowiowy łut szczęścia i nikt nie potrafił przekonać nas do aktywności. Obrazy Jerzego i moje malowane ptaki rzadko znajdowały nabywców. Przyjęliśmy z

pokorą i wygodnictwem wyroki, w skrytości ducha chowając nadzieję, że nadejdzie dla nas jeszcze lepszy czas. I nadszedł.

Inka nie miała dzisiaj chęci do pracy. Od szesnastej czekała na pielęgniarkę, która miała odebrać wyniki badań pacjentów z oddziału onkologicznego. — Rano tak im się spieszyło, a teraz gdy są gotowe, nie ma nikogo. Badanie markerów było jej stałym obowiązkiem, którego nikomu z pracowników nie odstępowała. Wymagały wprawnej ręki i nie znosiły nonszalancji. Aparatura działała bez zarzutu, ale cóż, to tylko maszyny. Jeszcze ciągle potrzebują pomocy człowieka. Za ścianą rozlegał się jednostajny szum sprężarki. Aparat hematologiczny przeprowadzał automatyczne płukanie. Kapilary, którymi przepływała krew w trakcie badania, miały szerokość włosa. Przeciskały się przez nie pojedyncze krwinki. Tam były rozpoznawane i liczone. Zapchanie takiego włosa oznaczało blokadę aparatu.; oczyszczenie zapchanej kapilary oznaczało przerwę w pracy. Dlatego tak ważne dla urządzeń było codzienne mycie.

Inka siedziała z wyciągniętymi przed siebie nogami i patrzyła przez otwarte drzwi w świecące okienko aparatu, na którym pulsował zielony napis „Auto Rinse” i pojawiały się gwiazdki informujące o ilości przeprowadzonych cykli. Jednostajne miganie zahipnotyzowało ją i niewiele brakowało, żeby zasnęła.

Laboratorium stworzyła kilkanaście lat temu, rzucając na szalę swój los, zapożyczając się w bankach i firmach medycznych. Była wtedy młodą niewprawioną adeptką wydziału chemii i nie miała pojęcia o analityce. Wygrała wyścig z nerwami, przetrwała najtrudniejsze chwile i teraz z satysfakcją oddawała usługi ludziom z miasta oraz miejscowym szpitalom. Dziś, kiedy na rynku aż roi się od aparatury medycznej, a firmy nachodzą z korzystnymi ofertami, można być na bieżąco z postępem i zaspokoić bez trudu wymagania edukowanych pacjentów. Wystarczy tylko śledzić literaturę, jeździć na szkolenia i trzymać rękę na pulsie, no i dysponować oczywiście gotówką. Inka swojej pracy oddała duszę. Za punkt honoru postawiła sobie stworzenie profesjonalnego laboratorium. Bez nastawiania się na wielkie zyski, krok po kroku budowała imperium. Była osobą samotną bez zobowiązań. Realizowała zawodowe plany, zaniedbując życie osobiste. Wielka przygoda z analityką stała się sposobem na życie. Laboratorium było jej domem, miejscem, dla którego wiele poświęciła. Obrła drogę kariery zawodowej, trochę dlatego, by w gąszczu problemów nie rozczulać się nad swoją samotnością. Zawsze chciała mieć własną firmę. Praca u kogoś, podporządkowanie się czyjejś woli nie leżało w jej naturze. Chciała być panią siebie i tylko przed sobą wstydzić się za popełniane błędy. Marzenie licealistki spełniło się na jawie i choć dawało satysfakcję i poczucie sukcesu, nie podniecało już dziś i nie cieszyło jak kiedyś. Codzienna

praca, przebywanie w niej, czasami do samego wieczora, odebrało zrealizowanym marzeniom wiele blasku.

Przez upór, by do wszystkiego dojść w pojedynkę, popadała czasem w tarapaty. Okazało się, że nie trzeba pracować w cudzej firmie, by obrywać cięgi z powodu popełnianych błędów. Wiele razy płakała z bezradności, zgrzytała zębami, rozczarowana złośliwością rzeczy martwych i własną głupotą. Teraz, gdy z dumą patrzy na jasne gabinety, na srebrne kadłuby aparatów, już nie myśli o tym, co straciła.

Dzień był wyjątkowo smętny. Deszczowy, samotny weekend, nastroił ją bardzo ponuro. Do tego poniedziałek, wiadomo, dzień bez perspektyw. Wstała od biurka i przeciągając się, leniwie nastuchiwała suchego trzasku swoich stawów. Ten dźwięk nieodmiennie kojarzył się jej z upływem czasu.

Otworzyła okno, wdychając łąpczywie marcowe powietrze. W oddali zabrzmiały dzwony z pobliskiego kościoła. Zaczynała się niecierpliwić. Chciała już iść do domu, więc nie w smak jej było to czekanie. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer na onkologię. Chwila rozmowy z dyżurującą pielęgniarką wyjaśniła wszystko.

Jakoś nie było jej ciężko. Już nie raz musiała pofatygować się sama. Ktoś komuś zapomniał przypomnieć, a wyniki były potrzebne — stara śpiewka. Założyła płaszcz, zabrała z biurka kopertę i wyszła. Za progiem owiało ją przeszywające zimno, a w twarz uderzyły drobne ziarenka gradu. Poły odpiętego płaszcza nadęły się i rozpostarły szeroko. — A miało być cieplej — pomyślała, otulając się szczelniej kołnierzem. Po chodnikach śmigwały korkociągi piasku, jak kruche chochliki podskakiwały pomiędzy drzewami. Na szczęście do szpitala było tylko kilkadziesiąt metrów. Stara, dębowa aleja przypominała jej młodość. Taką aleją chodziła do szkoły, a potem jeździła tramwajem, ale to było dawno temu. Czas złał się w jedno. Teraz bała się uronić każdego dnia, a urodziny traktowała jak wyrok.

Bywały czasem takie popołudnia, gdy wyjątkowo dokuczała jej chandra. Jak każdy człowiek nosiła w zanadru własne problemy i potrzebowała czasu, żeby się z nimi uporać. Marcowa niepogoda pogłębiała depresję, dobijał brak perspektyw na najbliższe godziny. Potrzebna jej była adrenalina, przyptyw energii, jakiś nowy bodziec, który nakręciłby w niej przerdzewiały trybik. Widocznie nadnercza postanowiły zastrajkować właśnie w poniedziałek.

Przyspieszyła kroku. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą zanosilo się na wiosenną wichurę. Jeszcze kilka kroków i będzie u celu. Przed sobą miała wejście do budynku. Pięć wyszczerbionych schodów, ograniczonych metalową barierką szklane drzwi w aluminiowej ramie — typowy betonowy

kolos, kloc pamiętający lata sześćdziesiąte, żalosne dzieło architektów tamtych czasów, otoczony wysoką podmurówką przypominał bardziej zakład mleczarski niż szpital. Inka nie uświadamiała sobie tej brzydoty, oswoiła się z nią jak wszyscy. Jedną ręką przytrzymywała rozpięte poły płaszcza, drugą próbowała przygładzać rozwichrzone włosy. Zanim chwyciła klamkę, w drzwiach zajaśniała znajoma twarz doktora Rawicza.

— Dzień dobry — powiedziała pierwsza, czując, jak zalewa ją fala gorąca.

Mężczyzna przepuścił ją pierwszą i skinął głową uśmiechając się wystudowanym grymasem człowieka, u którego gesty powitania stanowiły jedną czwartą dnia i stały się odruchem bezwarunkowym. Mimo to, serce Inki uniosło się wysoko, pod sam przełyk, a potem spadło na przepoń, kołysząc się i rozpychając na boki. Adrenalina wytrysnęła jak ropa w szybie naftowym. To było niczym skok na bungee. Stanęła na chwilę, by zaczerpnąć tchu. Skrzypiące skrzydło zamknęło się za nią powoli, odbierając jej oczom widok na obiekt uwielbienia. Chwile uniesienia bezpowrotnie minęły, pozostały tylko schody w górę. Pomimo miękkich kolan trzeba je było pokonać.

Na wahadłowych drzwiach drugiego piętra przerażające litery obwieszczały nadchodzącym, że oto tu znajduje się oddział onkologiczny. Najzdrowszy ze zdrowych dostawał gęsiej skórki, przechodząc obok. „Obcym wstęp wzbroniony”. Inka nie była obca. Zaglądała tu kilka razy w tygodniu i patrzyła z bliska, jak w bezlitosnych diagnozach rozstrzygało się ludzkie życie i zapadały ostateczne wyroki.

Laboratorium histopatologiczne znajdowało się na końcu oddziału. Aby dostać się do celu, trzeba było przejść długim korytarzem, mijając pootwierane na oścież pokoje. Wkoło roztaczał się piekielny odór śmierci wymieszany z nerwowym potem i łagodnym podmuchem środków czystości. Panująca cisza wwiercała się w mózg jak pocisk. Wchodzącym tu towarzyszył dziwny ucisk w żołądku — podstępna kostucha rozsiewała nasienie. Jasno oświetlony korytarz wyluskiwał z łóżek kształty głów z nosami skierowanymi w sufit. Świetliste refleksy połyskujących kroplówek i monitorów wystukiwały rytm serca. Onkos — po łacinie znaczy guz. Carcinoma — rak, neoplasma — nowość, coś nietypowego, lecz nie rewelacja, a raczej destrukcja. Taka nowa destrukcja o ładnie brzmiących imionach: Melanoma malignum, Papilloma, Fibroma. Ile wdzięku w tej patologii.

Spacer po oddziale był mrocznym wspomnieniem sprzed dwóch lat, gdy odwiedzała tu kilka razy dziennie swojego ojca. Jego pobyt na onkologii zakończył się klęską ludzkich wysiłków w walce z przebrzydłym skorupiakiem galopującym do przodu na swoich odnóżach, zamiast —jak fama głosi —

cofać się. Rak źle na tym wyszedł, bo umarł w udręczonym ciele jej ukochanego taty. Zniszczył swojego żywiciela — nienasycony, pozbawiony instynktu samozachowawczego — wydał wyrok na samego siebie.

Zwykle, gdy szła korytarzem, przy pokoju numer osiem zamykała oczy, by nie przywoływać wspomnieniem bladej twarzy ojca i siwych włosów, rozłożonych jak wachlarz na szpitalnej poduszce. By nie ścisnąć w gardle rozpacz. I widok przygarbionej matki, siedzącej przy łóżku, wpatrującej się matowymi oczami w resztki urody, wryte chorobą w głębokich bruzdach poszarzałej twarzy najwierniejszego i najpiękniejszego mężczyzny jej życia. Niezłomna do końca, całymi dniami trzymała go za ręce. Trudno było oderwać ją od tej roboty. Zapomniała o śnie i odpoczynku, schudła, myśląc pragnienie i głód z bólem. Miała nadzieję, że żar bijący z jej źrenic i kilometry wyszeptanych modlitw zmienią wyroki losu. Nie zauważyła nawet, gdy umarł. Grzała go tymi rękami tak, że gdy ciało wystygło na sopel, ręce ojca też były ciepłe.

Odszedł cicho i mizernie. Nie wydał jednego dźwięku, westchnienia, bez słowa skargi i żalu. Pozostawił w szpitalnym łóżku cienkie ciało robaczka, wysuszonej kijanki. Wyglądał w nim jak ciemny przecinek na białej kartce. Inkę przerażało takie zakończenie.

Towarzysze podróży wzdłuż szpitalnego korytarza, to upiory niedające Ince spokoju. Potrząsnęła głową by odgonić od siebie wspomnienia i strach.

Za drzwiami laboratorium, do którego weszła, ten sam widok, co zawsze. Wzdłuż sinych ścian, oświetlonych jarzeniówkami, przy zastawionych szkłem stołach, z opuszczonymi nisko głowami dłubali w mięsie ludzkim skupieni histopatolodzy. Na blatach piętrzyły się stosy szkiełek, probówek, płytek, pojemników z barwnikami i fikuśnych mikroskopów sterczących długimi oczami w górę i w dół. Dziesiątki rurek, rurczek, pipet, flakoników i gładkich jak alabaster aparatów, świecących wirtualnymi ekranami — wszystko to czekało w pogotowiu na świeży „pokarm”.

Z radia rozlegał się dźwięk ochrypłych skrzypiec, po których ktoś z konwulsyjną konsekwencją pociągał smyczkiem, jakby jęczał nad martwymi tkankami. Na szklanych płytkach umieszczono mikroskopijne strzępki ludzkich ciał, komórkowy pył, stworzone przez naturę organiczne wzory, z których próbowano rozpoznać chorobę, jej przyczyny, przewidzieć objawy i określić szanse pacjenta.

Inka oddała wyniki i z ulgą opuściła oddział. Taką miała pracę. Nie zawsze było jej lekko. Dziś miała jeden z trudniejszych dni. Postanowiła się trochę przewietrzyć. Wsiadła do samochodu i pojechała

przejść się na molo, nie chciała wracać do domu. Skręciła w prawo. Po kilku minutach była już na miejscu. Zaparkowała samochód w zaułku obok hotelu, ale na molo za mocno wiało, zeszła więc prosto na plażę.

Plaża świeciła pustkami. Tylko na ławkach zadomowiły się stada ptaków. Inka czuła się wśród nich intruzem. Nie robiły wrażenia przyjaźnie usposobionych, przeraźliwie krakały, spoglądając na nią nieufnie. Po chwili uniosły swoje ciężkie skrzydła i trzepocząc, rozgarniały powietrze. Poczwała na twarzy ten powiew, a wraz z nim napływający z nad wody zapach stęchlizny. Najbliższa ławka była już pusta.

Woda miarowo biła o brzeg. Nadpływała duża fala i wyrzucała z hukiem białą pianę, a za nią nadpływała mniejsza, płaska, wciskając się milcząco pomiędzy wypłukane koleiny, kamienie i brunatne wodorosty, leżące na granicy mokrego i suchego piasku. Inka zamknęła oczy. Niespiesznie jej było do domu. Tu czuła się dobrze. Spięte mięśnie rozluźniły się nieco, wiecznie uśmiechnięte kąciki ust z ulgą opadły w dół. Musiała czasami wyrwać się z normalnego biegu spraw i pomyśleć o stanie ducha. A dzisiaj jak nigdy dotkliwie odczuwała samotność. Może to była sprawa kolejnego nieudanego związku, a może list od przyjaciółki, informujący o następnym dziecku, mającym przyjść na świat w połowie sierpnia. Przyjęła tę wiadomość całkiem naturalnie. Może tylko była zdziwiona, że w tym wieku ktoś się decyduje na dziecko. Sama nie starała się o to. Teraz czuła żal, że tak się nie stało. Przyjaciółki to nie to samo. Zresztą młodzieńcza przyjaźń już nie istniała. Odeszła w niepamięć wraz z upływem lat, a to, co pozostało, czyż można nazwać przyjaźnią— te zdawkowe telefony, kilka spotkań w roku z niektórymi, bo tylko niektórzy byli wierni ich dawnej przyjaźni. Pozostali nie mieli czasu ani ochoty. Wpadali w swoje tarapaty albo cieszyli się sukcesami już bez niej. Zresztą nie zależało jej na tym, żeby odkrywać bez końca zamierzczłą przeszłość i grzechy młodości chmurnej i durnej.

Miała tu kilku dobrych znajomych. Nie takich jak kiedyś, którym mogłaby zwierzyć się ze wszystkiego, ale na swój sposób oddanych i pomocnych w najtrudniejszych momentach. Żyła dostatnio, czasem zmieniała partnerów, ale nie ułożyła sobie życia. To jeszcze miała przed sobą

W jej stronę zbliżała się para starszych ludzi. Wiatr szarpał im płaszcze. Mężczyzna podpierał się laską a kobieta, z rękami w kieszeniach, rażno dotrzymywała mu kroku. Z plecaka strzelała jej w górę cienka bagietka i wystawała butelka wina. Szli równym krokiem, próbując głośną rozmową przekrzyczeć łoskot fal. Twarze mieli szczęśliwe, chyba czekało ich coś przy-|i-mnego. Spoglądali na siebie jak para zakochanych. Aż brała zazdrość.

Fenomen takiej wspólnoty był Ince obcy. Nie potrafiła trwale związać się z mężczyzną. Facet poza łóżkiem i wakacjami był dla niej niestrawny. Nie spotkała takiego, który potrafiłby zmienić jej

stosunek do małżeństwa. Bała się wiązać na stałe. Uważała mężczyzn za zapatrzone w siebie stworzenia, oczekujące hołdów i uległości. Każdy zbyt bliski kontakt kończył się rozczarowaniem i potwierdzał słuszność jej spostrzeżeń. To było kalectwo. Inka zdawała sobie z niego doskonale sprawę. Walczyła z tymi upiorami, wciąż pytając, czy warto za cenę bycia z kimś poświęcić święty spokój i niezależność. Słynny slogan o dawaniu i braniu, o tym, co jest przyjemniejsze, uważała za truizm. Ona chciała brać i kochała brać. Była przecież kobietą i jak każda chciała być noszona na rękach przez swojego księcia. Czuła, że zbyt mało w życiu dostała, by teraz, gdy czas ucieka, ryzykować związek z jakimś fajtlapą. Bała się, że wybierze jak jej koleżanki i oprócz troski o własne sprawy przybędzie jej drugi etat przy lichu wie kim.

Raz jedyny w życiu spotkała swoje przeznaczenie, nigdy więcej. Niestety los trafił kulą w płot, bo obiekt uwielbienia posiadał już żonę. Pech chciał, że to był właśnie ten przysłowiowy książę, którego sobie wymarzyła. Przystojny, zrównoważony, lecz niestety żonaty student medycyny. Zakochała się w nim bez szans na wzajemność i została w tym tak niezłomnie trwała, że podświadomie zrezygnowała z dalszych poszukiwań. Był jej niedoścignionym ideałem. Zamknęła w sobie to uczucie głęboko, by wspomnienie nie dokuczało zbyt dotkliwie. Ukryła je gdzieś, na dnie przyspieszonego oddechu, patrząc na niego i na obojętność, którą emanował. Przypadkowo, albo z wyrachowania, nie spuszczała go przez lata z oczu, urządzając swoje życie tak, by był zawsze obok. Prześladowała go jak myśliwy swą ofiarę, śniła. Była w stanie zebrać o każdy uśmiech, a gdy spotykali się na szpitalnym korytarzu, traciła pewność siebie i cały swój tupet nabyty latami pracy.

Ten stan utrzymywał się u niej już od dawna i narastał z kolejnym rokiem. To sprawiało, że inni mężczyźni, wolni, niezależni, do tego ubiegający się szczerze o jej względy nie mieli szans. Zresztą od dawna zaprzestała wszelkich kontaktów. Płeć przeciwna, poza jednym wyjątkiem przestała się dla niej liczyć. Tajemnicza więź z wybranym przez nią mężczyzną której on był raczej nieświadomy, przynajmniej na samym początku, z jej strony przekształciła się niemal w nieformalny związek dusz. Spotkali się pierwszy raz, dawno temu, w kolejce do okienka, przy którym wypłacano studenckie stypendia. Kończył medycynę. Stali obok siebie w długim ogonku, rozmawiając. Inka wprost połykała jego słowa, a on wolno cedził każdą myśl, ważył pytania i odpowiedzi, jakby od nich zależał los świata. Jakaś energia biła z jego słów. Emanował tajemniczą siłą. Inka czuła, jak powoli wypełnia się tą energią i grzeje w jej blasku. W trakcie rozmowy miał zwyczaj patrzenia rozmówcy w oczy. Hipnotyzował tym wzrokiem, zmuszał do słuchania. Gdy stracił kontakt ze słuchaczem, nieznacznie chwycił go za rękę albo potrząsał, chcąc za wszelką cenę skierować na siebie uwagę. Inka, zazwyczaj chłodna w obyciu, dość rozsądna i wyczulona na

nawiedzonych erudyków, niespodziewanie odnalazła w nim pokrewną duszę. To spotkanie stało się dla niej znaczącym zwrotem. Obraz tego studenta medycyny jak drogowskaz prowadził ją przez życie. Przypominało to smętną historię rodem z brazylijskiego serialu, mydlaną operę, dowcipną farsę albo żalony melodramat Czechowa, gdzie zawsze trafiają na siebie niewłaściwi ludzie, w niewłaściwym czasie i dokonują niewłaściwych wyborów.

Inka żyła w tym świecie całkiem naturalnie, nie czując dyskomfortu. Wmówiła sobie, do perfekcji trenując podświadomość, że wszystko jest możliwe, i postanowiła czekać całe życie na okazję. Zdarzało jej się czasami przeżywać rozterki i rozczarowania tym, co przynosił los. Nie brała porażek na serio. Miała przed sobą całe życie i nie zamierzała z niczego rezygnować. Realizowała plany, nie przypuszczając, że tak łatwo da się omotać bezsensownym uczuciom.

Nie zawsze starczało jej sił. Ogarniająca i wszechwładna chandra czasem dobijała. Mimowolnie otuliła się płaszczem.

Miała ochotę popłakać. Nie za czymś konkretnym, ucieleśnionym, dokładnie rozpoznanym, ale po prostu z czystej samotności, która ją tak nagle dopadła.

Niestety, czas było wracać, dać się porwać codziennym sprawom, otrząsnąć z marzeń. W drodze do domu wysłała Magdzie wyniki badań. Trzymała je już od dawna. Magda była u niej przejazdem, chyba w październiku, badała się co jakiś czas obsesyjnie, a potem bagatelizowała, tak, jakby chciała się tylko upewnić i żyć dalej z poczuciem zagrożenia. Wyglądała blado, twierdziła, że kiepsko się czuje. Wiadomo było, że ma anemię. Nawet nie zadzwoniła, żeby zapytać o wyniki. Pewnie znowu coś pisze. Trudno się z nią wtedy dogadać, na nic nie ma czasu. To już i tak musztarda po obiedzie, ale chciała być wobec niej w porządku. Zrobiła tylko krótki dopisek od siebie na odwrocie kartki, żeby dbała o siebie.

Jakub powiedział do mnie ostatnio: — Magda, pisz, ale pamiętaj o sobie. Łatwo radzić, cwaniak.

Po zamknięciu kolejnego rozdziału z trudem wracam do rzeczywistości. Książka pisze się wolno. Marzenia, że wkrótce ją skończę, stają się nierealne. I znów czuję się podle. Boli mnie głowa. Myśli kłębią się jak oszalałe. Przeżywam chwile zwątpienia. Ogarnia mnie panika, nie podołam. Jestem miernotą porywam się na zbyt wiele. Pogubiłam gdzieś swoje skrzydła, a może nie miałam ich wcale?

Szukam korzeni kompleksów, ich źródła. Cofam się myślami, jak daleko sięga pamięć i mam wrażenie, że narodziny tej ułomności tkwią głęboko i zmieniają mnie ciągle. Pytam sumienie, gdzie jest ta łagodna istota? Gdzie jest ten anioł spokoju, dobra wróżka, kucharka, kochanka, przyjaciółka? Czy tęsknię

za nią? Nie, nie żałuję niczego. To nic, że mój kochający mąż traci teraz zmysły, szalejąc z niepokoju — miał dość mojego ciała, najadł się do syta. Nie dbam o to, że matka patrzy ze zgrozą. Nie potrafiła nigdy zrozumieć duszy własnej córki, właściwie nią pokierować. Tak bardzo chciała, żebym była świętą. Teraz jest zła, twierdzi, że nie mam sumienia.

Nadszedł taki czas, że nawet myśl o dzieciach nie jest w stanie zmienić moich planów, dzieci już mnie nie potrzebują. Chcą tylko swobody i pieniędzy, tego nigdy im dość. Cóż ja je obchodzę? Już od dawna nie wołają mnie do pokoju przed spaniem, nie chcą moich bajek, uśmiechów, morałów. Zakładają na uszy słuchawki, zamykają oczy i odlot.

Zawroty głowy męczą mnie nawet w łóżku. Sufit wiruje, lampa się kołysze, plama na ścianie płynie, jakby żyła. Zegar odmierza czas. Wyczuwam przyjemny zapach wiosennego poranka. Pachnie mokrą ziemią. Przez nieszczelne okno wpływa marcowa mgła. Gdy wrócę do domu, zajmę się ogrodem. Ciekawe czy ktoś podciął jesienią róże, przykrył przed zimą azalie? Czy ktoś owinął japoński klon, tak go lubię... A jeśli nie? Czy krokusy wychodzą już z ziemi? Boże, zawaliłam tyle spraw. Moja wykoślawiona linia życia oddala się od linii miłości i urywa w połowie drogi. Powinnam znowu zadzwonić do Kuby.

Opuściłam kilka rozdziałów. Pracuję nad zakończeniem. Jakoś nie mogę pozbyć się skłonności do przelewania własnych frustracji na bohaterów książek. Wciąż się z nimi utożsamiam i przez to wydają się do siebie podobni, tacy zagubieni i niedowartościowani, obarczeni niedojrzałością. Odnajduję cząstki siebie w każdym z nich. Miotam się jak oni. Zarzucam pytaniami każdy kończący się dzień. Zasypiam z trwogą że jutro wszystko się rozleci. Te dziesiątki pytań zadawanych na każdym kroku, dwuznaczność odpowiedzi, których sobie udzielam, uniemożliwia mi normalną egzystencję. — Czy miłość, która istniała pomiędzy mną a Tadeuszem, była dobra czy zła, bezinteresowna czy przekupna, zdrowa czy toksyczna? Czy on mnie jeszcze kocha? Czy kochał kogoś bardziej niż mnie? Czy kocha mnie mocniej niż ja jego kochałam, czy byle jak? A może nie kochał mnie nigdy? Może ożenił się ze mną tylko dlatego, że zasłam w ciążę? Może myśli, że dziewczynki nie są jego, że go zdradzałam? Dlaczego jest taki chłodny, obojętny? Bo jestem głupia i nie potrafię zabierać głosu w towarzystwie? To dlatego? Może ma kochankę? Pytania lęły się we mnie jak mole. Chciałam się od nich uwolnić, a jednocześnie ujawniałam je w losach bohaterów, jakbym właśnie od nich miała otrzymać odpowiedź, jakbym życie rozumiała lepiej, pisząc, niż żyjąc.

Teraz się zmieniam, przechodzę szybką transformację. Kobiety w pewnym wieku tak chyba mają. Dosiadane przez lata, jak tyse kobyły, buntują się w końcu, mówiąc: dość! Ale na razie jestem

nieuchwytna, piszę. Zrezygnowałam z realnego życia na rzecz fabuły. Owszem, oddycham, patrzę, myślę, moje procesy fizjologiczne przebiegają prawidłowo. To jest konieczne, żeby pisać. Gdy jestem w transie ubierania w los kolejnych postaci, problemy egzystencji nie istnieją.

Nie spałam. W oczach czuję ogień. Powstaje najlepsza książka, jaką dotychczas napisałam. Wciąż się rozwijam. Każda strona wydaje się lepsza. Niedługo osiągnę mistrzostwo, a wtedy wrócę do rodziny i spróbuję się dostosować. Pewnie trudno będzie przyzwycząć się do ruchu i hałasu po tej ciszy, którą się otaczam. Teraz muszę wciąż pisać, nawet dziś, choć nie idzie mi dobrze. Zaczynam świrować. Tak łatwo przekroczyć tę linię szaleństwa.

Bohaterka mojej książki poświęca się nauce i badaniom, które on prowadzi wbrew opinii naukowego świata. On to mężczyzna jej życia. Ona idzie za nim jak samica po śladach, zamieniając ślepe pożądanie jego ciała w bezgraniczne podporządkowanie się zdobywaniu wiedzy. Daje wiarę idei biologicznego ocalenia ludzkiej duszy i choć jej życie dobiega kresu, wciąż wierzy, że zdąży zobaczyć na własne oczy efekty tej pracy. Marzy, że gdy umrze, pozostawi po sobie wielkie nazwisko. Boi się odejść bezpowrotnie, strasznie się boi. Ale przekracza tę granicę niemożności i odkrywa istnienie nowego poziomu, w którym zapisują się wszystkie procesy myślowe. Takie istnienie bez ciała. Ciało umiera, a myśl żyje w innych obszarach, dojrzewa, przechodząc kolejne przemiany, aż do idealnie czystej formy i zostaje, jak perła, umieszczona w specjalnej muszli kosmosu. Ja również w to wierzę i właśnie dlatego powstaje ta książka. Jest moją wiarą w nieśmiertelność. Wiem, to istnieje, coś podobnego przeżyłam już kiedyś. Jakąś namiastkę takiego cudu. Powraca do mnie we wspomnieniach, choć już niezbyt wyraźnie. Tak podobno czują się ludzie na haju. A więc to takie proste?

••••

Na frustracje najlepsza jest kąpiel. Moczę się w wannie, w buro-beżowej łaźience z odrapanymi lamperiami i starą pralką z której bez przerwy cieknie, mini zlewem i spuchniętym taboretom. Nic nie pomaga sprzątanie. Śmierdzi pleśnią i ziemniakami. Nie wiem dlaczego.

Leżę zanurzona w gorącej wodzie, z pianką o zapachu płatków róży, mam zamknięte oczy. Chcę się przenieść myślami w świat nieco mniej odrażający. Bez skutku. Poruszam lekko kolanami, a miękka fala kołysze moje samotne ciało. Błogie ciepło usypia, rozleniwia. Czuję się cudownie, mimo wszystko. Mogłabym tak leżeć godzinami. W takich momentach żałuję, że nie mogę zapisać swoich myśli albo nagrać na magnetofon. Są takie odkrywczyste. Gdy siądę przy komputerze, uciekają mi z głowy bez śladu. Dlaczego, czyżby były piękniejsze od słów i nie pozwalały się nimi odpowiednio wyrazić? Trudno je

przełać na papier, a jeszcze trudniej głośno wypowiedzieć. Nawet te miłe, które chcesz komuś wyznać, nie przechodzą przez gardło, grzęzną jak sucha kasza. Ze wstydu? Natura tak nas stworzyła, że nie chcemy wyjść poza pewne obszary, przekroczyć własnych granic — po prostu iść na całość. Wolimy ukrywać uczucia. Dlaczego? Po co stwarzanie barier, stosowanie psychicznego przymusu, poddaństwa, przecież każdy ma prawo być sobą.

W pokorze jest skromność, lecz w poddaństwie, oprócz strachu, nic się nie urodzi. To powolne konanie uczucia na rzecz dyscypliny. Ludzie zdyscyplinowani nie odważą się nigdy na szaleństwo. Robią w życiu tylko małe kroki, rozglądają się uważnie, by przypadkiem nie rozbić nosa o niewidzialną latarnię. Być może miłe jest poczucie bezpieczeństwa, błogiej stabilizacji, małych radości i smutków. Patrzymy sobie głęboko w oczy i recytujemy jak wyuczoną lekcję słowa kłamstw: że kochamy, podziwiamy, jesteście do zgonnie wdzięczni i zachwyceni, że dziękujemy, że było nam dobrze, że jesteś piękny i mądry, zdolny i jedyny. Słowa, słowa, a w duszy?...

Jak wyglądałby świat, gdyby ludzie wiedzieli wszystko? Niczego nie ukrywali, mówili, co czują. Trudno to sobie wyobrazić. Życie bez pozorów, tajemnic, oczekiwań, niepewności — to niemożliwe. Chyba tylko maszyny będzie można tak zaprogramować.

Woda w wannie wystygła, przelewa się górą na posadzkę, gdy kołyszę się w niej zbyt energicznie — to jakby początki choroby sierocej. Czasami tracę nad sobą kontrolę. Coraz częściej boję się każdej podjętej decyzji i tego, że nie potrafię przewidzieć jej następstw. Pewność przeplata się ze zwątpieniem. Raz czuję się bohaterem, raz zdrajcą. Jak długo będę zadawała to samo pytanie? Czy postąpiłam słusznie? A jeżeli to tylko pycha? Czy warto przekreślić wszystko dla wolności, dla prawdy wytartej jak dżinsy na kolanach? Może trzeba zapomnieć, dostosować się do naturalnego biegu życia — praca, mąż, dzieci, telewizor, wczasy na południu Europy, hormonalna terapia zastępcza, drobny lifting, operacja plastyczna, sztuczna szczęka, endoproteza, mortus? Dla zdeptanej kury to zadanie w sam raz. Wszystkie kobiety, które znam, nawet te najgłośniejsze krzyżące feministki, najbardziej samodzielne i dojrzałe, w końcu też pragną tej niewoli. Oddają się jej dobrowolnie. Tworzą tylko pozorne miraż, nie mające nic wspólnego z wolnością. Potem marzą o ucieczce.

W mieszkaniu panuje ciemność. Gdy wychodzę z łazienki, drogę pokazuje mi sączący się blade wąski promień światła. Wpada przez okno z ulicznej latarni, wzrok grzęźnie w mroku. Gdzieś pode mną dwa piętra niżej, tętni życiem ruchliwa ulica. Stoję naga i cała drzę. Staram się wytrzymać. To dobry sposób na zapobieganie złości. Przestaję roztrząsać problemy i myślę jedynie o łóżku i kołdrze. Kocham

zakopać się w niej aż po uszy, schować przed zewnętrżnością uciec od tego, czego pragnę, a jednocześnie tak bardzo się boję. Zawijam się jak krewetka, jak wążły embrion i czekam na sen.

Cenię sobie bezruch. Pozostaję w bezruchu z uwielbieniem i zupełnie bez obaw. W tej pustce nikt nie czyha na mnie i na moje ciało. Choć wymoczone, czyste i pachnące, tutaj nie kusi nikogo. Odrodzeniem szacunku dla mojego ciała jest bezruch, uśpienie i nietykalność. Na tym pustkowiu, na którym teraz mieszkam, moje ciało oddycha wolnością.

Ludzie zgadzają się w imię jakiejś niezrozumiałej miłości na zadawanie sobie gwałtu. W każdym akcie miłosnym czai się widmo przymusu. Potrzeba zespolenia się z człowiekiem rzadko napotyka na swojej drodze taką samą potrzebę. Raczej przyciągają się na zasadzie przeciwieństw, tak samo jak prawa fizyki. Na tym opiera się wszystko. Jest w gwałcie jakaś przyjemność, siła. Chciałabym kiedyś jej zaznać i zadać taki ból. Pragnę odwetu, w obojętnie jakiej będzie formie. Mieć poczucie siły i władzy. To może się spełnić. Teraz ja będę atakować. Bohaterka mojej książki zostaje pokonana. Traci wszystko, co osiągnęła. Ukochany odbiera jej prawo do nazwiska pod wynikami wspólnych badań, ogłasza jako swoje, pozbawia majątku i domu, a przede wszystkim godności. Kobieta stacza się. Tak nisko, że na jej wdzięki nie łakomi się nawet najgorsza padlina. Ona się mści. Wyfazi nocą ze swojej nory, brudna i zgłodniała. Wyczołguje się i szuka ofiary. Robi to z zemsty i nienawiści, wymierza sprawiedliwość po swojemu.

Przeszkadza mi kobiecość, instrument, na którym gra się poniżej jego możliwości i często wbrew woli. Ale o tym się raczej nie mówi. To nasza wina, że wciąż udajemy spełnienie. Szlochamy, bo natura przeznaczyła nas na intelektualny odstrzał, formując piękne opakowanie pełne złota, do czasu wypełnienia swojej biologicznej misji. Wydajemy na świat złote okazy, a gdy to się spełni, pozostaje puste pudło, z każdym rokiem starsze, głępsze i do niczego, z plasterkami nadziei przyklejonymi do tyłka, z ukrywanymi skrzętnie przed światem wąskimi bliznami, widocznymi, gdy wydymamy silikonowe, piersi, gdy tniemy powietrze sztucznymi pazurami w obronie domowego ogniska. A przecież połowa świata należy do kobiet, połowa miłości i połowa chwały. Dlaczego babskie gadanie, to paplanie o niczym, a męska rozmowa tworzy historię? Trzeba od nowa uformować wzór kobiecości, nadać jej całkiem inny sens, nowe znaczenie.

Na co dzień jestem jak ciuch od Armaniego — prosta i wygodna w noszeniu. Bez podszewki, podpinek, bez usztywnień i utwardzeń. Dlaczego więc zawsze spoglądam tak nieufnie na ludzi? Tak ostro się oceniam, tracę fason, rozciągąm. Jedynie kolor mam ciągle ten sam: neutralny, niewidoczny. Teraz chcę być czerwona, żółta, nawet fioletowa, chcę, żeby ktoś mnie zobaczył.

Tadeusz twierdzi, że życie jest zbyt krótkie, by przeprowadzać na nim ryzykowne próby. „Trzymaj się tego, czego cię nauczyli. Nie rozdrabniaj się, nie wychylaj, rób, co potrafisz”. Tak do mnie mówi. A ja nie chcę żyć przeciętnie, odcinać te same kupony do śmierci. Chcę żyć intensywnie do końca, coś tworzyć, na coś mieć wpływ i na swój sposób poprawiać. Jak więc wybrać najlepiej, żeby zdążyć, zanim życie uwikła mnie w szarość? Gdzieś, w świecie ludzi znanych i bardzo bogatych zdarzają się cuda i możliwe jest wszystko, a mnie i tak się nie uda. Tracę wiarę, mimo to piszę. Może jeszcze nie wszystko stracone. Boję się. Mam naturę płochliwego kota, wystraszonej zwierzyny. Zawsze szukam oparcia w silniejszych. Całe życie pokonuję własne słabości, a jednak czuję, jakbym stała pod rynną. Jest coraz chłodniej. Gaśnie ciepło, które w sobie miałam. Kąciki ust opadają, okrągłej plecy. Gaśnie miłość, rośnie agresja i poziom żalu. Zamykam się w sobie, zapadam coraz głębiej w swój nierealny świat z tysiąca i jednej nocy. Nie chcę niczego zawdzięczać mężczyźnie, o nic prosić. To upokarzające. Czy jest na świecie ktoś, kto chciałby dać mi wszystko? Poszłabym za nim do piekła.

Dlaczego nie jestem Zosią? Ona potrafi żyć chwilą i powietrzem. Nie ma wobec życia przyziemnych oczekiwań. Jeśli już czegoś pragnie, to sensu. Pragnie mieć dziecko.

Jestem jak moja prababka. Nie mam od życia przyziemnych oczekiwań, ale na wiosnę czekam zachłannie, bo wiosną rodzi się życie. Mróz budzi we mnie wstręt, nie znoszę śniegu. Mam węch jak pies, wiosnę wyczuwam z daleka. Krytycznego dnia obudził mnie silny ból głowy. Miałam dreszcze i łamało mnie w kościach. Jerzy przyniósł termometr. Słupek rtęci po zmierzeniu przekraczał 39 stopni Celsjusza. To oznaczało, że zostanę w łóżku. Była niedziela, piętnasty kwietnia, moje urodziny. Na popołudnie miałam przygotowany tort i ciastka z wiśniami. Wzięłam tabletkę w nadziei, że gdy się dobrze wypocę i solidnie wygrzeję, to może dam radę razem z rodziną zasiąść do urodzinowego stołu. Obudziło mnie skrzypnięcie drzwi. To Jerzy, ubrany w kurtkę, wybierał się do kościoła. Niechętnie chodził sam. Wolał, gdy byliśmy razem, wtedy czuł się pewniej. Opowiadał mi różne banialuki o tym, że jestem dla niego jak najcenniejszy skarb, jak wygrana w totka, że wszyscy ludzie oglądają się za moimi długimi nogami, i że czuje się dumny, idąc obok. Sam nie zdawał sobie sprawy, ile w tych słowach było przesady. Jemu też nie brakowało urody, tylko chodził wiecznie pochylony, z nisko opuszczoną głową i oczami wlepionymi w czubki swoich butów. Był niezawodny, naiwny i rozczulający, jakby składał się z samego serca.

Tego dnia spojrział z troską na moje niezdrowe rumieńce.

— Dasz sobie radę czy przysłać ci mamę? — zapytał wyraźnie zmartwiony.

— Poleżę spokojnie i poczekam, aż wrócisz. Tylko włącz mi przed wyjściem telewizor.

Kiedy wyszedł, w pokoju zrobiło się cicho. W telewizorze nadawali koncert, lecz Jerzy nie włączył mi głosu. Widziałam jedynie wykrzywioną twarz śpiewającego Sojki. Robił takie miny, jakby go to śpiewanie bolało. Zawsze chętnie słuchałam, jak śpiewał, ale nigdy nie zwróciłam uwagi na to cierpienie w twarzy. Patrzyłam w zbolące oczy artysty, nasłuchując odgłosów nadciągającej wichury. Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile, za oknem ciemniało. Usłyszałam, jak na aluminiowy parapet zaczęły spadać kamyczki drobniutkiego gradu i dużo lżejsze od niego, małe płatki śniegu. Poczułam na twarzy zimny podmuch. Ostre powietrze boleśnie wdarło się w mój obolały nos. Przez nieszczelne okna wpłynął do pokoju duch odchodzącej zimy. Wyobraziłam go sobie jako ptaka bezlitośnie miotanego przez wiatr. Nie chciałam na to patrzeć. Schowałam się ze strachu pod kołdrę, jak dawniej, w dzieciństwie. Na zewnątrz zostawiłam tylko wrażliwy na zapach kawałek nosa, by wyczuć nim powrót Jerzego. Coś zaiskrzyło w pokoju i usłyszałam trzask, to chyba telewizor, widocznie wyłączyli prąd.

Leżałam w półśnie, licząc głośnie uderzenia tętna, pulsującego miarowo w lewej skroni. Z każdą minutą wydawały się słabsze. Chyba było mi lepiej. Aspiryna zaczynała działać. Mimo chłodu poczułam ulgę i na chwilę przysnęłam. Śniło mi się coś bardzo dziwnego, czego nie potrafiłam nazwać. Nie zapamiętałam ani treści snu, ani postaci, które się w nim przewijały. Powracał tylko dawno zapomniany refren i natrętna piosenka z dzieciństwa: „Głupi śpi, głupiemu się głupio śni”. Kołysałam się lekko w sennych majakach, tworząc w wyobraźni kolejne dzieło życia, następnego ptaka, który nigdy, nigdzie nie poleciał. Te ptaki, gdyby je poddać psychoanalizie, byłyby prawdopodobnie symbolem wolności, która już mi się śniła po nocach, ale jeszcze nie objawiła w czynach. Pozornie pogodzona z życiem w rodzinnym getcie, buntowałam się przeciwko ograniczeniom, na razie tylko w podświadomości. Miłość do rodziców, która przekształciła się wraz z upływem czasu w dziwną niemal chorą niewolę, pętała mi skrzydła i zamydlała drogę ucieczki. Czułam się odpowiedzialna za dwoje starych ludzi, zagubionych w przeszłości, którzy odrzucili bezwzględnie teraźniejszość. Nawet fakt, że czasy znieawidzonego ustroju już dawno poszły w niepamięć, nie złagodził ich zaciętości. Atakowali postęp pod każdą postacią nie chcąc niczego słuchać ani zrozumieć. A ja, nastroszona i nieufna, pomiędzy wczoraj a dziś, bałam się każdego dnia, który się jeszcze nie zaczął.

Układałam swoje życie na nowo, w innych kombinacjach, tracąc poczucie rzeczywistości, szybując w marzeniach nieprzyzwoicie daleko. Przerzucałam kartki tych marzeń ze wstydem, jakbym oglądała nieprzyzwoite fotografie. Chciałam być bardziej odważna, wziąć się z życiem za bary. Chciałam się pomodlić jeszcze jedną żebraczą modlitwą o dziecko, kolejnym stękaniem, które jak dotąd nie przyniosło zbawionego cudu. Niebo było głuche na moje wołania, a ja straciłam już zapał.

Gdy ocknęłam się z lekkiej drzemki, usłyszałam delikatny szelest firanek, a potem ciche klapnięcie. To przewrócił się papierowy kalendarz, wsparty na tekturowej nóżce. Zdjęłam z głowy kołdrę i poczułam na twarzy dotknięcie ciepła. W zimny dzień to było prawie niemożliwe. Zaszeleściła pościel, zaskrzypiała dziwnie podłoga. Poczułam, że ktoś zbliża się do mojego łóżka. Sprawdziłam, w pokoju buszowało słońce, ale nikogo nie było. Zdziwiłam się, skąd słońce, skoro za oknem pada. To było bardzo dziwne zjawisko. Po chwili, nie wiadomo skąd, napłynęła malownicza mgła, nieco bardziej cielesna od zwykłej mgły, czułam jej dotyk na swoim policzku. Może nawet, gdybym bardzo chciała, mogłabym ją uchwycić w ręce i ugnieść jak plastelinę. Do tego mgła ciągle się zmieniała, gęstniała albo rzedła, i miała wciąż inne odcienie. Tworzyła smugi jak dym z papierosa, wiązała się w prześliczne tasiemki, zataczała seledynowe koła, coraz mniejsze, coraz bardziej gęste. Słychać też było smutną melodię, jakąś bardzo nostalgiczną płaczliwą. Zaczęłam wyróżniać pojedyncze słowa, tak jakby to śpiewał Sojka. Początkowo śpiewał delikatnie i sennie, po chwili dosyć zaczepnie. I wtedy zrozumiałam, że to ja i moja piosenka, nieprawdopodobne — „głupi śpi, głupiemu się głupio śni”. Jak to możliwe, skoro przez cały czas moje usta były zamknięte. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Trochę mnie to rozśmieszyło, nawet zaczęłam sobie cicho nucić, lecz po chwili zdrętwiałam ze strachu. Działo się coś, czego nie mogłam pojąć. Powtarzałam sobie jak mantrę, że to tylko majaki, gorączkowe zwidy, nic więcej. Miałam nadzieję, że za chwilę powróci Jerzy.

Trudno mi było ocenić upływ czasu. Kilkanaście minut, a może cała godzina? Leżałam pod kołdrą w bezruchu, raz po raz wyglądając na zewnątrz. Ciągle mgła i ta zieleń, na zmianę z błękitem. Pomyślałam, że chyba umarłam i znalazłam się w jakiejś pośmiertnej przestrzeni. Zaczynałam się niecierpliwic. Postanowiłam po prostu wstać i wyjść z pokoju. I właśnie wtedy zobaczyłam nad sobą wielkie, mgliste oczy wypełnione po brzegi łzami. Były jak żyrandole. Miały kolor szarozielony i przypominały oczy ptaka, którego widziałam w piątek na spacerze. Łabędź, zaplątał się w zwój kolczastego drutu, wyrzuconego do stawu koło starej garbarni. To odludzie, umarłby z głodu, gdyby nie Jerzy. Wszedł do wody w najlepszych spodniach i stał w niej dobrą chwilę, zanim uwolnił biedaka. Ptak natychmiast zrozumiał intencje, cały czas zachowywał spokój. Czekał cierpliwie, wpatrując się w Jerzego z miłością tymi łzawymi oczami w szarozielonym kolorze. Kiedy odpływał, wyplątany z pułapki, zatrzymywał się co chwilę i odwracał. Stał tak, kilkanaście sekund i patrzył w naszym kierunku. W końcu zniknął w przybrzeżnych szuwarach, a my zauroczeni spoglądaliśmy za śladem, który zostawił na wodzie.

To cud, że nie dostałam zawału, bo te oczy patrzyły teraz na mnie, jakby się chciały wwiercić w mój mózg. Nie mogłam krzyknąć, zmroził mnie strach. Te oczy wisiły w turkusowym powietrzu, w tej

mgle i nie-mgle, w nie wiadomo właściwie czym, a dookoła rysowały się rozmazane kontury kobiety. Opierała się na mojej pościeli. Jej twarz przypominała mglistą poświatę. Bałam się, że mnie połknie, wchłonie i też zamieni w coś zielonego. Lecz ona tylko robiła się coraz większa i te wielkie oczy koncentrowały się dokładnie na mnie. Usiłowała coś do mnie powiedzieć, a ja bałam się, że to hipnoza. Nie chciałam słuchać i próbowałam krzyżeć, ale mój krzyk był bezgłośny. Ktoś mi zakręcił głos, tak jak Sojce. Boże, to paranoja. Broniłam się, odwracając głowę z obawy, że dmuchnie na mnie zielonym oddechem. A potem dłonie, zimne jak lód, niczym dłonie śmierci, na moich, rozpalonych gorączką i słowa pełne żaru, i taka para z tych słów szła gorąca, prosto na mnie. Wtedy się rozplakałam na dobre.

Niewidzialne dłonie, ale materialne, bo z wielką siłą zacisnęły się na moich, a ostre paznokcie wbiły mi się w skórę. Zrozumiałam wtedy te słowa. Dotarły do mnie z pełną świadomością lecz znaczenie było niejasne. Dlaczego mgła mówi do mnie, żeby się nie wahać? „Nie wahaj się”, powtarzała w kółko, chyba ze sto razy. „Nie wahaj się, nie wahaj się”.

Dopiero krzyk mnie otrzeźwił, mój własny. Darłam się jak opętana, żeby odgonić od siebie nieziemską istotę.

I chyba pomogło. Obraz zaczął się stopniowo rozpląwać i ginać, aż zniknął bez śladu.

Obudził mnie wchodzący do pokoju Jerzy. Stał w progu, trzymając w rękach tacę z gorącą herbatą.

— Strasznie tu zimno — powiedział. — Otwierałaś okno? — Podeszedł i szarpnął za klamkę. Luźna rama okienna zaklekotała w objęciach starych murów, a na parapet posypały się okruchy farby i starego kitu.

— Nie wytrzymają następnej zimy — skomentował. — Rozsypią się do reszty. Wszystko jest luźne, spróchniałe. To cud, że przetrzymały tegoroczne wiatry. Gdybym je wymienił jesienią to koszt zwróciłby się w węglu już po pierwszym miesiącu. Nie będę słuchał twojego ojca. Może powtarzać bez końca, jakie te ramy są piękne i dębowe. Wyrzucę je, spalę i wstawię plastikowe! — wykrzyczał ze złością. Za chwilę jednak spojrzał w moją stronę. — Dziwnie wyglądasz — zauważył. — Gorzej się czujesz?

Patrzyłam, słuchałam, a w uszach brzmiały mi jeszcze bezsensowne słowa piosenki. Jeśli były przeznaczone dla mnie, cóż mogły oznaczać?

— Coś jest nie tak? — zapytał z troską.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Prawdę? Przecież i tak mi nie uwierzy.

— Jerzy, wiesz, coś mi się dziwnego zdarzyło, teraz, kiedy byłeś w kościele. Zupełnie nie wiem, jak ci wytłumaczyć. Wyobraź sobie — nabrałam głęboko powietrza. — Zjawił się u mnie duch. — Słowo duch wypowiedziałam jakoś dziwnie, niskim głosem, drżącym jeszcze z emocji i słysząc, pojęłam, jakie mówię głupstwa. Spojrzałam na męża i zaczęłam się śmiać, sama z siebie. On znieruchomiał, pełen niepokoju, trochę przestraszony, pochylił się nade mną i położył mi na czole skostniałą dłoń.

— Zosiu, ty masz gorączkę — oświadczył. — Majaczysz. Próbowалаm jakoś to wyjaśnić, lecz w jego oczach widziałam tylko troskę, a może raczej rozbawienie. Nie traktował moich słów poważnie.

— Nie majaczę, Jurek, mówię prawdę — nieomal krzyczałam. Tak chciałam, żeby mnie wysłuchał. — Gdybyś widział, jak na mnie patrzyła, zupełnie jak ten łabędź znad stawu, i zobacz, zobacz moje ręce — pokazałam drobne skaleczenia na skórze. — Ona mi to zrobiła. — Podsunęłam mu pod nos swoje dłonie. Czułam w gardle kluchę. Oczy Jerzego były jak pustynia. Nie chciał zrozumieć. Spojrzał z grobową miną, powtarzając:

— Zosiu, to tylko sen, tylko majaki, nic więcej. Opadłam zrezygnowana na pościel. Nie wierzy. Mówi, że

to majaki. Boże, przecież ja ją widziałam, wystarczyło dotknąć i spytać. Dlaczego jej nie spytałam? Pojęłam wreszcie. Nie było sensu cokolwiek tłumaczyć. Jeśli to się naprawdę zdarzyło, pozostanie jedynie w mojej pamięci. Jerzy obejrzał drobne zadrapania.

— Już je wczoraj widziałem — powiedział spokojnie.

Wiedziałam, że kłamie. Chciał mnie uspokoić. Nie było sensu upierać się dalej. Cokolwiek powiem, on i tak będzie wiedział swoje. Zresztą już sama zwątpiłam, może w końcu miał rację, może to z powodu gorączki.

— W głowie już mi się miesza. — Dałam za wygraną. Niech mu będzie, skoro mi nie wierzy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślałam o wódce i o tym, jak przyjemnie jeszcze niedawno rozprawiła się z moimi problemami. Zalewałam nią też swoje marzenia, aż po strop, nie miały prawa głosu. Teraz mi tego brakuje. Właśnie dziś, zawsze w takich chwilach, gdy grunt mi się usuwał spod nóg, a życie stawiało wyzwania.

Jerzy widząc, że się rozklejam, próbował mnie jakoś rozśmieszyć.

— Przestań wciąż o tym myśleć. Chcesz, to ci zaśpiewam. Opowiadał mi potem jakieś bzdury, wszystko po to, żeby rozpędzić zły nastrój, żeby oderwać myśli od niewygodnych tematów. Gdyby nie on, nie wiem, co by było. Nie wiedział, jak mi niewiele brakuje do dna. Nawet nie przypuszczał, że jestem o krok. Próbowałam się jakoś odnaleźć, zerwać z nałogiem, dla niego i dla rodziców. Ubolewali nad moim stanem. Potrzebowałam jakiegokolwiek zmiany, czegoś, co da mi nowe perspektywy. Talent mnie zawiódł, nie znalazłam sobie takiej pracy, w której mogłabym się wykazać, nie miałam dzieci, za to ciągłe problemy z pieniędzmi. Najbardziej chyba doskwierał mi brak własnego kąta. Nie wiedziałam, co dalej robić.

Mela na chwiejnych nogach przekroczyła progi więzienia. Nie wiedziała, jak dalej będzie. Wiele razy wyobrażała sobie ten moment i marzyła, żeby to było wiosną. I oto piękny dzień, jeszcze nie całkiem zielono, ale widać już słaby seledyn. — To tak na dobry początek — pomyślała. Przyda się w końcu odrobina szczęścia, więc może zacznie od właściwej pory roku i od ładnej pogody. Czuła się jak w filmie, choć przecież wiedziała, że po drugiej stronie nie będzie kamery ani czekającej z utęsknieniem rodziny, a tym bardziej wiernego kochanka. Ciągnęła za sobą torbę, cały bagaż wielu lat z więziennej celi. Zapakowała do niej swoje dokumenty, kilka mało znaczących drobiazgów, kosmetyczkę, trochę ubrań, tylko tych najlepszych, zdjęcia przyjaciół i nową piżamę. Całą resztę pozostałą po dwudziestu latach pobytu w zakładzie karnym wyrzuciła do śmieci. Im mniej będzie ją łączyć z niechlubną przeszłością, tym lepiej. Opuszczała miejsce będące jej domem i wiedziała, że nie zatęskni. Ani żalu, ani nienawiści, tylko strach przed nowym. Przecież myślała o tym z utęsknieniem. Liczyła dni, godziny, liczyła w końcu minuty do wyjścia na wolność. Więc teraz trzeba było się jedynie cieszyć. A mimo to serce zalewała fala obaw. Nie spała chyba od tygodnia. Szarpały nią wątpliwości, momentami ogarniało przerażenie. W końcu cóż mogła wiedzieć o życiu, po tylu latach spędzonych pod kloszem. Tylko z gazet, z telewizji, czasami z relacji koleżanek wracających za kratki po przepustce. Ale gdy wyjdzie, gdy się rozejrzy, czy będzie wiedziała co dalej? Ostrzegano ją, że objawy wyobcowania na wolności jeszcze długo będą jej towarzyszyć. A mimo to nawet się nie obejrzała za siebie. O nie! Nie da się nabrać na numer stary jak świat. Bała się, że gdy spojrzy do tyłu, to czar pryśnie jak w bajce i nagle ocknie się w celi, na przeraźliwie trzeszczącej pryczy, i zacznie liczyć od nowa.

Miała przed sobą spory kawałek do przystanku, ale trochę znała już drogę. Kilka razy wieźli ich do pracy, wiosną, przy obsadzaniu trawników, albo jesienią, do grabienia liści w parkach. Przećwiczyła ją też wielokrotnie z Zelówką. Potem autobusem pojedzie na dworzec. W kieszeni miała rozkład jazdy

pociągów, a te do Warszawy zakreśliła czerwonym kółeczkiem. Lekki dreszczyk smagał ją po plecach. Czuła strach, że to, co ujrzy, przytłoczy ją, bo przecież tyle się w tym czasie zmieniło.

Droga wzdłuż wysokiego muru, ta, na którą wiele razy spoglądała z okna, okazała się nie taka ładna, jak się wydawała i niezbyt obiecująca. Poza tym padał deszcz i musiała skakać przez głębokie kałuże. Kiedyś jeździły tu wielkie ciężarówki z kamieniami. W tym roku mieli kłaść nową nawierzchnię z kostki, ale teraz Mela szła i szła błotnistą drogą, przy której rósł rząd wykoślawionych klonów, a w oddali widać było barierki wzdłuż drogi szybkiego ruchu. Tam, kilkanaście metrów na prawo, powinien się znajdować przystanek. Tak jej tłumaczyła Zelówa, jeszcze dzisiaj rano. Przy pożegnaniu była dla niej dość miła i powiedziała: „Będzie mi pani brakowało”. Nigdy jej tych słów nie zapomni. Zelówa była w porządku. Dało się z nią żyć. W tym zbiorowisku mętów wszelkiego rodzaju, poczynając od służby więziennej, a skończywszy na koleżankach z celi, rzadko zdarzał się ktoś życzliwy jak Zelówa. Przecież nikt jej nie kazał uczyć Meli najróżniejszych rzeczy. Dała jej swoją starą komórkę, pokazała jak obsługiwać i kupiła kartę za trzydzieści złotych, na początek, chociaż Mela miała pieniądze. Powiedziała, że to mało, że będzie sobie musiała później dokupić. — Az kimże ja będę tyle rozmawiała, żeby ją zużyć?— pomyślała Mela i bawiła się nową zabawką. Bardzo chciała wrócić do Warszawy. Miała wprawdzie już przydział na pracę gdzie indziej i powinna się zgłosić w ciągu trzech dni, inaczej ją straci, ale na to nie miała ochoty. Chciała być niezależna i jak najszybciej odciąć się od więziennej przeszłości. Dużo nad tym myślała. Obawy, czy sobie poradzi, spędzały jej sen z powiek. Miną miesiące, zanim się przystosuje, nim zgubi ten więzienny żargon i zacznie mówić poprawnie. Nie chce, żeby ludzie odbierali ją w taki sposób, nie chce pogardy. A przecież wystarczy jej tylko posłuchać. Już zapomniała poprawnej polszczyzny. Stała się pyskata, grubiańska. Musi się z tego wyleczyć, musi mieć dość czasu na powrót, kogoś, kto będzie ją bez przerwy poprawiał i uczył życia od nowa. Pozostała tylko Irena. Tylko ona mogła jej pomóc. Kulturalna i spokojna, nigdy nie nabyła tych przykrych więziennych odzywek. Potrafiła jak nikt zachować klasę do końca. Myślała o swoich dzieciach, żyła ich życiem, pisała dzienniki, myślała jak wolny człowiek, nigdy nie przyjęła do wiadomości, że jest społecznym wyrzutkiem. Raczej ofiarą. To jej pomagało przetrwać najgorsze momenty. Poświęcenie traktowała jak misję. Zbrodnia której dokonała z rozmysłem, była jak grzech. Poniesie go ze sobą z honorem, dalej niż do końca.

Irena obiecała, że będzie na Melę czekała na Dworcu Centralnym. Zaofiarowała pomoc bez chwili wahania. To będzie dobry przystanek na najgorsze dni. Posiedzi u niej tyle, żeby ochłonąć, przypomnieć sobie miasto, poznać na nowo ulice, pojeździć tramwajem, pospacerować. Dopiero potem pójdzie do pracy. Już wie, będzie pracować w szpitalu jako salowa. Wprawdzie zupełnie się na tym nie

zna, ale to chyba nie jest wielka filozofia. Irena jednak twierdzi inaczej, że teraz są już te wszystkie urządzenia, wózki, przeróżne środki czystości, normy i procedury, których trzeba przestrzegać... No cóż, nauka nigdy nie sprawiała Meli większych problemów, więc tego, jak pucować posadzkę, dezynfekować i zamiatać podłogi pewnie się szybko nauczy. Status sprzątaczkki to i tak wiele w porównaniu z terminem „skazana”.

Rząd drzew stawał się coraz rzadszy, narastający szum sugerował Meli, że za chwilę wyłoni się przed nią całkiem inny krajobraz. Nabrała głęboko powietrza. Dopiero teraz zatrząskiwaly się za nią ciężkie, więzienne wrota. Granica pomiędzy światami znajdowała się dokładnie tu. Już nigdy więcej, tego była w stu procentach pewna, nie zobaczy tej parszywej drogi i murów z czerwonej cegły.

Tylko jeden krok dzielił ją od autentycznej wolności. Zrobiła go najszybciej, jak to było możliwe. Po prostu przeskoczyła aluminiową balustradę, zamiast iść jeszcze kilka kroków, do miejsca, gdzie zaczynał się chodnik. Pod nogami czuła już asfalt i dotarł do niej zapach spalin, nieco inny niż ten, który zapamiętała z przeszłości.

Ryk przejeżdżających pojazdów upewnił Melę, że jest już po wszystkim. Aż po horyzont tylko niebo i asfalt. Zboczyła z drogi. Po prawej zaczynał się chodnik, za nim mała wysepka z przystankiem. Tu powinna wsiąść do autobusu. Sprawdziła czas. Zostało tylko pół godziny i odjedzie na zawsze. Dopiero wtedy się odwróci, gdy widok drogi, koślawych klonów na zawsze zniknie jej z oczu. Dopiero wtedy będzie bezpieczna i dopiero wtedy uwierzy, że to nie sen, nie bajka, nie jakieś majaki.

Autobus podjechał o czasie. Takie wysokie schody, a nogi miała jak z waty.

— Dokąd? — zapytał kierowca.

Spojrzała przerażona, a po chwili przyszło otrzeźwienie. Tak, musi przecież kupić bilet.

Przechodząc niepewnie między fotelami, spoglądała ukradkiem na ludzi. Czuła na plecach ich wzrok. Śledzą jej ruchy, czegoś się domyślają? Chyba nie, było dopiero wczesne przedpołudnie, raczej snuli wzrokiem trochę zaspanym po każdym, kto zmienił pozycję albo wstał, a cóż dopiero jeśli wchodził do środka nowy pasażer. Zapłaciła za bilet nowiutkim banknotem. Prędzej ten kawałek sztywnego papieru wzbudzi w kierowcy niepokój niż jej osoba. Nie wyróżnia się chyba. Mijała kolejne fotele, brnąc krok za krokiem w kierunku miejsca przy oknie. Usiadła na samym końcu, na podwójnym fotelu. Opadła z ulgą na wytarte siedzenie, obok niej nie było nikogo. Mogła bez przeszkód oglądać widoki. Czuła jednak pulsowanie mięśni, lewa strona twarzy była jeszcze spięta, trwała w jakimś nienaturalnym grymasie,

który nie oznaczał z pewnością uśmiechu. Mela stwierdziła jednoznacznie, że trudno jest z minuty na minutę stać się wolnym człowiekiem. Dużo łatwiej było stać się przestępcą.

Zanim zdołała przyjąć względnie naturalną pozycję, autobus ruszył. Zwykłym odruchem głowy pasażerów odwróciły się w kierunku okien. Nikt nie zwracał już na nią uwagi. Jakiś chłopak tylko podniósł plecak, który przewrócił się i potoczył pod fotel, mrużąc przy tym coś niezrozumiałego, co mogło oznaczać przeprosiny.

Mijały kolejne minuty podróży. Mela bezboleśnie wtapiała się w otoczenie. Czuła, jak wymarzona przez lata rzeczywistość przyjmuje ją obojętnie. Świat się nie zawalił, autobus jechał do przodu. Na szybie ktoś wydrapał w szkle „życie jest do dupy”. Coś na kształt prawdziwego uśmiechu pojawiło się na twarzy Meli. Jeszcze nie wiedziała, czy powinna się cieszyć już, w tej chwili, czy poczekać na moment prawdziwego spełnienia. Ale czego jeszcze więcej oczekiwać? Wszak wszystko w jej rękach. Życie potoczy się tak, jak nim pokieruje. Nie będzie się spieszyć. Musi wszystko rozważyć, każdy krok, każdą decyzję. Zanim wybierze właściwą drogę, musi się zastanowić. Od tego, co postanowi, zależy reszta jej życia, a przecież nie ma tego zbyt wiele.

Poczuła się pewniej z tą decyzją. Najważniejszy w tej chwili był fakt, że obawy, które zatruwały jej sen, zostały rozwiane. Nikt z siedzących obok nie rozpoznał w niej obywatela trzeciej kategorii i nikt się nie domyślał, bo i skąd, że dopiero odzyskała wolność. Poddała się słońcu padającemu na twarz i na rozpaloną z emocji szyję i poczuła, jak opuszcza ją wszelka obawa. Zobaczyła z daleka kobietę, idącą zboczem wysokiego urwiska, być może kamieniołomu, który majaczył w oddali. Jej jaskrawa sukienka kontrastowała z miejscem, w którym się znalazła. Mela stwierdziła, że kobieta mniej tam pasowała niż ona, patrząca na to z okien autobusu.

Zapomniała, że jedzie. Odrzuciła już obawy i strach przed nieznanym. Oto teraz, mimo przeciwności losu, straconych lat i zaprzepaszczonych planów, życie daje jej szansę, to co, że spóźnioną. Czyż mało było na świecie ludzi, którzy dopiero u schyłku czuli się naprawdę szczęśliwi? Potrafi się z tego cieszyć, nie zapomniała, jak smakuje szczęście. Zatopiła twarz w dłoniach i poczuła na nich łzy. Nie dało się ich zahamować. Same płynęły po palcach. Słone strumyczki, tym razem z radości.

Droga biegła usypiskiem, powyżej rozległej równiny. Poza linią pól, pomiędzy nimi a niezbyt gęstym lasem stały rzadko rozrzucone domy.

Tereny, które przemierzała nie wydawały się szczególnie ciekawe. Tylko od czasu do czasu autobus wjeżdżał do małego miasteczka lub większej wioski. Mimo że nie pierwszy raz była poza zakładem, dopiero dzisiaj tak mocno odczuwała różnice. Trzeba to było zobaczyć w szczegółach. Dużo widziała w telewizji, zna współczesne domy, drogi, marki samochodów, firmy, które rozparły się szeroko wzdłuż tras dojazdowych do miast. Wiedziała też, że czeka ją jeszcze wiele nowego, że będzie odkrywać i poznawać wszystko przez wiele miesięcy. Nie było w tym nic niezwykłego, a jednak serce biło jak szalone. Mela spoglądała ciągle na zegarek. Jeszcze czterdzieści minut i będzie na dworcu. Pociąg do Warszawy odjeżdżał za półtorej godziny.

Teraz już się nie bała. Nikt jej nie zjadł, nikt nie obraził. Wmieszała się bezpiecznie w tłum ludzi, nieco lepiej niż kiedyś ubranych, weselszych, i nic się nie stało. Była podobna do innych, a nawet więcej, była taka sama. Słońce w jej włosach tak samo połyskiwało, miała swój cień padający na ścianę, swoją postać w dworcowej szybie. Już bez wahania weszła do środka. Znajome miejsce, tu nic się chyba nie zmieniło. Jedynie reklamy, wtedy reklam nie było. I sklepy, cała masa kiosków, barów, jak zawsze tłum ludzi.

Skierowała się w kierunku holu, a potem do kasy.

— Normalny do Warszawy proszę. Na siedemnastą czterdzieści pięć — powiedziała zdecydowanym głosem i po raz pierwszy zdobyła się na uśmiech.

Jechała wygodnie. W przedziale oprócz niej siedział młody mężczyzna i dwoje starszych ludzi. Mężczyzna pisał coś w opartym o uda laptopie, starszy pan drzemał, pochrapując, a kobieta zerkała przez okno. Mela zza szyby obserwowała krajobraz. Podmiejskie tereny miast i miasteczek, biegnące wzdłuż torów kolejowych, nie wydawały się zachęcające. Ogólnie mówiąc, śmietnik. Nie było czego podziwiać, a mimo to przyklejona do okna chłonęła każdy kilometr. Powoli zapadał zmrok. Przypomniła jej się Kostek i ostatni dzień, w którym się widzieli. Wtedy też jechali o zmroku. Pociąg mijał kolejne stacje, a oni się modlili, żeby już wracać z powrotem. Gdyby wiedzieli, co będzie później? Wtedy nikt tego nie wiedział. Ani Kostek — że nigdy jej już nie zobaczy; ani ona — że to ostateczne rozstanie. Całowali się w korytarzu. W przedziałach spali ludzie. Na całej długości korytarza byli zupełnie sami. Kostek dał jej swoją chusteczkę do nosa, żeby wytarła łzy. Ma jądo dzisiaj, nosi w kieszeni jak złotą monetę. Już się przedarła od ciągłego prania. Od tamtego czasu nie widziała się także z Norką. W pierwszych dniach nie chciała jej widzieć. Zanim się otrząsnęła z szoku minął prawie rok. Proces trwał prawie trzy lata. Widziały się kilka

razy w sądzie w czasie składania zeznań. Potem Norka wyjechała z Warszawy. Przeniosła się na studia do innego miasta. Podobno próbowała zapomnieć.

Pociąg zbliżał się do Warszawy Centralnej. Mela postanowiła, że to najwyższy czas, żeby zawiadomić Jakuba. Chciała zrobić to w ostatnim momencie. Gdy dzwonił ostatnio, obiecała. Chciała tylko być wobec niego w porządku, nie zamierzała jednak zwracać mu głowy. Wstydziła się siebie, wyglądu i wyrazu twarzy, drżących rąk na uchwycie torby i spoconych dłoni. Nie chce się tak pokazywać. A znając Jakuba, będzie ją namawiał na wizyty u wspólnych przyjaciół, zaciągnie do mamy, poczęstuje obiadem i zatrzyma u siebie. Nie czuła się jeszcze gotowa. Chciała najpierw stanąć na nogi, zrobić coś ze swoim wyglądem, ubrać się po ludzku. Musi się jeszcze uporać z myślami o nich wszystkich i odpowiednio nastawić. Bo przecież nosiła w sobie jakąś część żalu. Nie chce, żeby ten żal dał się zauważyć. Oni byli tu, wszyscy razem, a ona tam, zupełnie sama. Najbardziej tęskniła do Norki. Jakoś nie dało się tej tęsknoty ugasić, chociaż właśnie Norka była głównym sprawcą tragedii. Czasami tylko, gdy powracał w pamięci obraz ostatnich godzin, twarz Kostka i wszystko, co było potem... myślała, że nie wybaczy.

Tak czy inaczej postanowiła zadzwonić. Jakub nie wybaczyłby jej, gdyby zapomniała. Starał się jak mógł przez lata, a nie musiał. Przecież tylko on jeden nie maczał palców w koleżeńskiej zdradzie. .

Włączyła komórkę i według instrukcji odnalazła numer. Sygnał był prawidłowy, ale nikt nie odbierał. Próbowała jeszcze kilka razy.

Przez całą środę Inka próbowała znaleźć elektryka. Wysiadły jej obie wirówki. Niestety, codzienność czasami potrafiła zaskoczyć. Być może dzięki temu człowiek nie popadał w zgubną rutynę i w pewność, że nad wszystkim panuje. Jakoś w końcu wszystko dobrze się skończyło. Zjawił się elektryk, a awaria sprzętu, nie taka znowu poważna, dała się szybko usunąć. Nie wierzyła w teorię, że kłopoty chodzą parami, dlatego z błogim spokojem wróciła do domu, pewna, że następny dzień będzie zwykłym szarym dniem. Miała nazajutrz jeszcze ważne zebranie z lekarzami w sprawie podpisywania umów. Musiała zdążyć. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby się przypadkiem minęła z Rawiczem, jako ordynator oddziału powinien być na zebraniu obecny.

Ale gdy następnego dnia przyszła do pracy, zastała drzwi laboratorium otwarte na oścież, a po schodach, z pierwszego piętra lała się strumieniem woda. Pękła rura w budynku. Do samego wieczora usuwano skutki awarii.

Na zebraniu nie mogła się skupić, a Rawicza nie było, przysłał swojego zastępcę. Klęska na każdym polu. Jak tu mieć dobry humor, kiedy wszystko się wali na łeb i na szyję. Na szczęście poza bałaganem i zalaniem pewnej ilości niezbyt istotnych dokumentów nic więcej się nie zniszczyło. I wszystko dość szybko wróciłoby do normy, gdyby nie fakt, że z powodu awarii zakręcono wodę. W związku z tym wygląd pomieszczeń w laboratorium pozostawiał wiele do życzenia. Na to wszystko następnego dnia rano pojawili się bez zapowiedzi inspektorzy sanepidu. Głusi na tłumaczenia i rzeczowe argumenty, zabrali się do pisania protokołu. Był piątek, a Inka, zamiast się cieszyć z dwóch dni odpoczynku, liczyła z problemami. Kiedy już było po wszystkim i została sama, na pocieszenie zrobiła sobie kawę i zjadła zaległe śniadanie.

Pod koniec pechowego dnia zadzwoniła Elżbieta z propozycją spotkania.

— Jak zwykle histeryzujesz — skomentowała krótko i nie dała jej długo biadolić.

Spotkały się pod drzwiami apteki. Inka jechała po nią prosto z pracy. Elżbieta nie miała tego dnia dyżuru, więc cały wieczór miały dla siebie.

— Elka, to była prawdziwa trauma — zwierzała się koleżance. — Będę przez miesiąc chora. Takie upokorzenie! Jak oni mnie potraktowali, jak notorycznego przestępcę! Normalnie mam teraz doła, nie wiem kiedy go przełknę.

— Chyba żartujesz? Czasami zdarza się jakaś wpadka. Potraktuj to jako trening, od tego się nie umiera — przekonywała Elżbieta. — Zapłacisz ile trzeba i po kłopotcie. Awarie wodociągów na szczęście nie zdarzają się często.

— Upokarzają mnie takie historie. Człowiek się stara, cholera, jak tylko może, a potem głupia wpadka. Wkurzyłam się.

— To akurat rozumiem, niestety nic już nie zmienisz. Spróbuj o tym po prostu zapomnieć, wyluzuj się, kobieto. Przed nami cudowny wieczór. — Wsiadła do samochodu Inki i przytrzasnęła drzwiami dół płaszcza. — Cholera, zawsze to robię. — Szarpnęła mocno, tylko pogarszając sprawę. Jak zwykle była nabuzowana. Wydawało się, że kipi energią chociaż — podobnie jak Inka — przed chwilą skończyła pracę.

— Łatwo ci mówić. Jak mam zapomnieć? Dopiero zamknęłam za nimi drzwi. Mam mandat do zapłacenia, wpis do książki kontroli, kurczę, nie zasłużyłam sobie na to.

— A czy myślisz, że tylko ty masz kłopoty, że ja mam niby takie słodkie życie? — odpowiedziała z wyrzutem Ela. — Gdybyś była na moim miejscu i musiała codziennie dogadywać się z taką współniczką jak moja, straciłabyś chęć do życia, a zobacz, co ja na to. — Wybałuszyła oczy i zatrzepotała głupkowato rzęsami. — Ja nic, mnie to nie rusza. — Spojrzała na Inkę i kończąc definitywnie temat, zapytała. — Jedziemy, czy nie?

— Jedziemy — odpowiedziała z goryczą, widząc, że nie znajdzie w Eli współczującej duszy. Nie miała wyjścia, musiała dać za wygraną i do tematu nie wracać. Ela denerwowała ją trochę beztroską i luzem. Lecz czasem ktoś taki był w życiu człowiekowi potrzebny, żeby nie zwariować i spojrzeć na problemy z innej perspektywy...

— To w drogę i kieruj się prosto do nas. Obiecuję, że tam czeka cię niezła wyżerka — dodała, przecierając szybę. — A na kłopoty — nie ma jak dobre jedzenie. Poza tym — dodała — dzisiaj do stołu podaje Andrzej.

— Cóż to za okazja? — zdziwiła się Inka.

Ela spojrzała na nią tak, jakby miała do powiedzenia coś nadzwyczajnego.

— Powiedz już — przynaglała Inka. — To jakaś tajemnica? Robisz taką minę...

Minęła chwila, zanim koleżanka wydusiła:

— Będziemy świętować zdanie egzaminu. Andrzej zdał swój końcowy egzamin na doradcę finansowego.

— Nie żartuj — Inka nie dowierzała. — To świetnie — gratulowała szczerze. — Pewnie się cieszysz, że macie to oboje z głowy?

— Bardzo — potwierdziła Elżbieta i z nieukrywanym podziwem opowiadała, jak to jej dzielny mąż poradził sobie z trudnym zadaniem. Zapomniała niemal natychmiast o półrocznym koszmarze, który zafundował całej rodzinie w trakcie nauki i o tym, jak wtedy narzekała.

— Nie wspomniałaś mi, że to już teraz — zdziwiła się Inka.

— Nie pozwolił mi mówić nikomu, nawet tobie. Niby, że nie chciał zapeszać. Ale teraz tak sobie myślę, że bał się wstydu, bo gdyby czasami nie zdał? No wiesz... — zrobiła tajemniczą minę.

— Ach, ci chłopcy, tacy chcą być wspaniali. — Inka z politowaniem pokiwała głową i skierowała samochód na parking przed delikatesami. — Poczekaj, tylko wyskoczę po jakąś butelkę, trzeba będzie to uczcić.

— Nic nie kupuj! — zawołała Elżbieta, machając rękami. — Wszystko już jest. On zaprosił na kolację swoich kumpli z banku. Chciał, to się zgodziłam, powiedziałam: proszę, nie mam nic przeciwko, ale stać przy garach nie będę. Ty wiesz — spojrzała na Inkę — ile oni jedzą?!

— Jak to, więc nie będziemy sami? — Inka wpadła w panikę. Tego dnia nie czuła się dobrze. Owszem, chwilę u nich posiedzieć, porozmawiać, nawet posłuchać relacji Andrzeja, może trochę nastrojowej muzyki dla odprężenia, ale żeby brać udział w towarzyskim spotkaniu, nie, to było ponad jej siły. Poza tym nie była odpowiednio ubrana. No i te włosy! Przypomniała sobie, że rano miała je umyć.

— Ela, nie, proszę. Nie rób mi tego! — zaprotestowała. — Czy ty wiesz, jak ja się czuję? Gdybym mogła jeszcze skoczyć na chwilkę do domu, wykąpać się, przebrać, to co innego, ale tak? Czy wiesz, co ja mam dzisiaj na sobie, jakieś stare, tragiczne spodnie. Śmierdzą, spociłam się jak mysz.

— Coś ty—Ela zaprotestowała. — Ty nawet w podartych dresach wyglądasz świetnie. Skropię cię w domu jakimś pachnidłem i będzie OK. I tak masz w nosie facetów. Nie chcesz wychodzić za męża, nikt ci się nie podoba, więc możesz sobie śmierdzić.

— Nic nie rozumiesz. Błagam cię, jedźmy najpierw do mnie — prosiła.

— Nie ma mowy, już jesteśmy spóźnione. Mieszkasz za daleko. Zanim dojedziesz, a potem zaczniesz się szykować... już ja cię znam. — Ela spojrzała z ukosa. — O! Zobacz — pokazała palcem na okno wystawowe butik, przy którym zaparkowały samochód. — Jak chcesz ładnie wyglądać, to idź sobie kupić coś czystego — powiedziała, żeby ją rozśmieszyć.

— Niezły pomysł — podchwyciła Inka. — Chyba rzeczywiście tak zrobię. — Bez wahania wyjęła kluczyk ze stacyjki i wysiadła.

— Oszalałaś, teraz? — Ela zbaraniała.

— Nie będę długo, dziesięć minut mi zupełnie wystarczy. — Inka wykazała się niespodziewanym refleksem.

Elżbieta oburzona wyskoczyła za nią z samochodu.

— Nic z tego! — zawołała. — Nie dam się zostawić. Uwielbiam przymierzać ciuchy.

Przeglądanie wieszaków trwało kilkanaście minut. Oniemiała ekspedientka pakowała do firmowej torby stare ubrania klientek, a one paradowały już przed lustrem w nowych. Ela też nie mogła oprzeć się pokusie, inwestując w nowy, ciut przyciasny sweterek. Zadowolone, już bez oporów ze strony Inki, dojechały spokojnie pod blok. Nawet im na skrzyżowaniach światła pasowały, wyznaczając zieloną trasę prosto do celu.

— No, panowie! — rozległ się tubalny głos męża Elżbiety. — Dojechały nasze dziewczyny — zawołał z radością, otwierając im drzwi. Potem pomógł im zdjąć płaszcze i zaprowadził prosto do pokoju. Inka zdążyła jeszcze na chwilę wejść do łazienki, żeby umyć ręce i chociaż trochę poprawić włosy.

— Nareszcie! — usłyszała narzekania gości. — Andrzej nie chce zaczynać bez ciebie.

Powstało niezłe zamieszanie. W ciągu paru minut pojawiły się na stole potrawy przygotowane przez pana domu. Efekty zmagają zachwyciły wszystkich, w szczególności żonę bohatera.

— To jest sałatka z grillowanym kurczakiem — wskazał na duży talerz pośrodku stołu, przybrany posiekanym w paseczki ogórkiem. — Te śmieszne ruloniki to „Spring Rolls”, naleśniki z ciasta ryżowego i farsz z mięsa, czyli powszechnie znane sajgonki. Mamy też pizzę na jeden ząb, przepyszna — gorąco zachwalał. — Sprytne paszteciki z niespodzianką tutaj półmisek francuskich serów, a na początek — uniósł z pietzmem gorącą pokrywkę — indyk z jabłkami.

Potrawy znikwały, a goście, coraz to bardziej ociążali, szukali miejsca w zaciszu przytulnych foteli. W końcu przycichli. Oddali się spokojnemu trawieniu, słuchając cierpliwie, jak bohater wieczoru przeżywał po raz kolejny egzaminacyjne emocje.

Ten dom zawsze pełen był gości. Elżbieta i Andrzej bez towarzystwa nie mogli przeżyć tygodnia i zadziwiająco dobrze dobrali się pod tym względem. W niedużym mieszkaniu na trzecim piętrze zgromadzili sprzęt gospodarstwa domowego najwyższej klasy, by dzięki temu oddawać się skomplikowanym procesom kulinarnym. Efekty tych doświadczeń testowali na gościach. Nie jadło się u nich bigosu ani sałatki. Miłośnicy barszczu, bulionu czy zwyczajnej pomidorowej byliby rozczarowani. Za to paszteciki francuskie z farszem brandade — czemu nie?, perliczka z cykorią pasta tapenade z czarnych oliwek i anchois, gruszki zapiekane z oliwą i kozim serem, lin na niebiesko i sum w sosie chrzanowym, węgorz w sosie koperkowym... Można by wymieniać w nieskończoność. Zdarzało się czasami, że sami gospodarze gubili się we własnych przepisach i tworząc przypadkowe kompozycje, odkrywali nowe

potrawy. Miało się wrażenie, jakby rozminęli się z powołaniem. Ci, którym dane było skosztować ich specjałów, gotowi byli z ręką na sercu stwierdzić, że lepsze są niż artystyczne kolacje Marty Gessler, czy doskonałości Michaela Logozzo. Elżbieta i Andrzej gotowali wspaniale.

Lecz nie zawsze było elegancko. Zdarzały się czasem niezłe popijawy, nawet ostre balangi. Ale zawsze, obojętnie jak przebiegała impreza i kto u nich gościł, nikt nie wychodził rozczarowany. Tutaj czas zatrzymywał się w miejscu, a lata, których każdy brzydził się jak trądu, przestawały się liczyć.

Niemal każdego dnia można było tu kogoś spotkać. Najczęściej byli to wypróbowani znajomi, ale nie brakowało też nowych twarzy. Zdziwiająca umiejętność nawiązywania znajomości, skłonność do zapraszania osób świeżo poznanych, czasem dziwacznych, a nawet wyrafinowanych w swojej dziwaczności, zdumiewała Inkę. Ona, zazwyczaj samotna i zamknięta w stworzonym przez siebie świecie, i zawsze otwarta na świat Elżbieta. Jakże były różne. Otwartość jednej przeciwstawiała

się powściągliwości drugiej, pospolitość zderzała się z oryginalnością, brak barier z ich nadmiarem i chorobliwym taktem. Te przeciwieństwa jakoś nie wchodziły sobie w paradę, raczej się uzupełniały. Dlatego lubiły ze sobą przebywać. W ten sposób poznawały inne spojrzenia na te same sprawy.

Dzisiaj gospodarze postępowali zgodnie z tradycją. Okazja była tego warta, więc nie brakowało ani jedzenia, ani alkoholu. Inka trzeźwa, niezbyt chętna do picia, siedziała na uboczu i bawiąc się pustym kieliszkiem, patrzyła na roztańczonych gospodarzy. Andrzej podkreślił muzykę i poprosił Elżbietę do tańca. Nie licząc Inki, była w tym towarzystwie jedyną kobietą, powodzenie miała gwarantowane. Uwielbiała tańczyć. Wszyscy znali jąz tej słabości, a może raczej kolejnego talentu. Inka spoglądała na tańczących bez cienia zazdrości. Mocno przytuleni kołysali się w rytm melodii, szeroko i zamasyście zamiatając biodrami. Muzyka na moment zamilkła. Nagrania z lat osiemdziesiątych były w ich domu słuchane najchętniej. Czasami trafiały się starsze perełki. Właśnie teraz, po serii trzasków, zgrzytów i bełkotów, popłynęły przechowane jakimś cudem dźwięki „Kozaczka”. Najpierw wszyscy osłupieli, a potem wstąpił w nich duch dawnej epoki. Zerwali się z foteli i zaczęli ochoczo tańcować, nie bacząc na ciasnotę i to, że było dość późno. Jak na mieszkanie w bloku wypadało już skończyć zabawę.

Najwyżej podskakiwała Elżbieta. Wyglądała na totalnie szczęśliwą. Promieniała.

— Raz, dwa, Kozaczok! — pokrzykiwała z radością.

Jej wielkie piersi podnosiły się wysoko, wysoko, trwały tak, przez moment w górze, falując rozkosznie, a potem opadały z wdziękiem. Duże sutki odznaczające się pod obcisłą bluzką, jak świdrujące oczka, spoglądały raz na lewo, raz na prawo i znowu do góry. Hop, hop — cóż to był za widok. Inka jak urzeczona wpatrywała się w sterczące brodawki, niczym gałki w starym radioodbiorniku marki Pionier. Po chwili zahipnotyzowane oczy wszystkich obecnych dostrzegały już tylko to.

— Inka! — krzyknął podniecony Andrzej — bierz Szymona i poskacz z nami!

— Dzięki, wolę popatrzeć — odrzyknęła ze strachem, żeby jej czasem nie zaproponował pląsów.

Szymon też nie był chętny do tańca. Widziała, że ziewał od czasu do czasu. Był tego dnia kierowcą. Trzeźwymi aż do bólu oczami przyglądał się całej imprezie. W końcu dał znak Ince, żeby wyszła razem z nim do kuchni.

Zareagowała natychmiast. Właściwie powinna pomóc Elżbiecie posprzątać, żeby zrobić w zlewie miejsce na naczynia, które jeszcze zostały na stole, ale prawdę mówiąc, nie miała ochoty. Ponury nastrój jeszcze jej nie minął i jakoś źle się czuła w tym rozbawionym gronie. Jak nigdy dotąd drażniła ją wesołkowatość gości. Czuła się obco. Trochę żenujące wydawały się te radosne pląsy dorosłych. Może nie uchodziło już w tym wieku pajacować, a może po prostu była zbyt zgorzkniała. Chciała porozmawiać, posłuchać dobrej muzyki, może nawet pomilczeć.

— Zrobię herbatę, zgłodniałam, a ty? — zwróciła się wprost do Szymona.

— Też bym coś przegryzł. Chyba została jeszcze sałatka i sery — rozejrzał się po kuchni.

Inka nałożyła na talerzyki kilka listków sałaty, parę oliwek, grzybków w occie i po grubym plastrze ziołowego sera z majonezem. Usiedli przy stole na drewnianych taboretach i skubali w milczeniu.

— Chyba zostanę na noc u Elżbiety — pierwsza odezwała się Inka. — Prześpię się, a rano pojedę od razu do pracy. Trochę wypięłam.

— Gdzie będziesz spała? — zapytał Szymon.

— Jest wolny pokój. Dzieci zostały na noc u dziadków — wyjaśniła. — Miałam dzisiaj ciężki dzień i nie chce mi się wracać do pustego domu.

— Słyszałem coś o tym — próbował nawiązać do tematu kontroli, ale Inka zdążyła go powstrzymać.

— Błagam, Szymon, tylko mi nie przypominaj, proszę. Ledwo się z tego otrząsnęłam, jeszcze mam gęsią skórę na plecach.

— Odpuść sobie — powiedział z flegmą. Miała wrażenie, że cytuje Elżbietę, ale był zupełnie inny. Miał w sobie bowiem jakiś zadziwiający spokój, którego jej brakowało. Opowiadał o swojej pracy, znajomych. Mówił o planach naukowych. Żalił się na układy, na zawodowe rozgrywki między kolegami. Ince się zdawało, że są sami, a reszta płynie obok. Gdzieś w tyle narastała atmosfera dobrej zabawy. Odcięli się od tego, rozmawiając półgłosem.

— Ale ja coraz gorzej znoszę wszelkie stresy — tłumaczyła się Inka. — Przeżywam je potem bez końca. A gdy wracam do pustych ścian — zawahała się chwilę — zaczynam na nowo, niestety! Taki już los singli — skwitowała z uśmiechem. — Gdy patrzę na Elżbietę, jaka jest radosna, bagatelizuje zmartwienia, to zazdroszczę jej. No i ma rodzinę.

— Nie daj się zwieść tej pozornej radości—powiedział Szymon. — Wierz mi, ona też ma swoje kłopoty, nie mówi o nich i tyle.

— Mimo wszystko zazdroszczę jej pogody ducha.

— A ja zazdroszczę Andrzejowi. — Znow zaczął żartować.

— Tak — zdziwiła się Inka. — Można wiedzieć czego?

— Tych fruujących balonów oczywiście. Ach, przytulić się do nich i zasnąć — przymknął z lubością oczy. Nieco się ożywił. Zdawało się Ince, że zachichotał dosyć pożądliwie. Ten frywolny ton jakoś do niego nie pasował. Nie wiedziała, jak zareagować, postanowiła, że obróci to w żart.

— A my co? Pusty dom i zimne łóżka. I pewnie tak już zostanie — dodała od siebie. — Czasami chciałabym wszystko zacząć od początku — powiedziała. — Może dałoby się to wszystko inaczej ułożyć. Mam oczywiście na myśli, że lepiej. A ty, chciałbyś jeszcze raz spróbować? — zadała kłopotliwe pytanie. — Z obecnym doświadczeniem, z umysłem dojrzałego człowieka, który już wie, czego od życia oczekuje, jeszcze raz dokonać wyboru? — zapytała poważnie.

Chwilę się zastanawiał, gryząc korniszona.

— Nie żałuję niczego — odpowiedział beznamiętnym głosem. — Mnie bardziej by pasowała reinkarnacja. Jestem dosyć ciekawy, wolałbym odrodzić się za jakiś czas i zobaczyć, jak się to wszystko dalej potoczy. Obecne czasy już mi się znudziły.

— Nie chciałbyś być znowu młody? Zaszaleć, zobaczyć, jakie otwierają się możliwości? Świat ścieli się u stóp. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że to cię nie kręci.

— To nie jest świat u stóp. To tylko wielki magiel i tyle. A poza tym, nigdy nie byłem hedonistą.

— A ja chciałabym mieć dwadzieścia lat — powiedziała, przymrużając oczy. — Mnie by hedonizm bardzo pasował — uśmiechnęła się szczerze, rozbawiona tym, co powiedziała przed chwilą.

— O! Czy to jakaś zmiana frontu? To całkiem nowe podejście. Ty i sentymenty, marzenia, rozpusta, coś mi tu nie pasuje.

— Żadne sentymenty, ani rozpusta. To zwykłe dojrzewanie. Okazuje się, że u mnie ten proces zachodzi powoli. — Pozwoliła sobie na chwilę szczerości, której natychmiast pożałowała.

— Dla mnie zbyt skomplikowane — oświadczył z prostotą. — Kobiety już chyba na zawsze pozostaną dla mnie tajemnicą. To trudna materia. Możesz mi wyjaśnić, jak mam to rozumieć?

— Oczywiście, że mogę, to nic niezwykłego — wzruszyła ramionami, widząc, że skoro zaczęła, to musi brnąć dalej. — Każdy kto mnie zna, wie dobrze, że nie mogę się wciąż zdecydować na męża... no wiesz, o co chodzi — dodała ze śmiechem, zdziwiona, że się tak przed nim otwiera.

— Obawiam się, że zostało ci niewiele czasu i wybór coraz gorszy. — Szymon nie podjął radosnego tonu, odpowiedział raczej poważnie. — Wśród kandydatów pozostali tylko ci z drugiej ręki, mam na myśli rozwiedzionych, wdowców i takich, których nikt nie chce, takich, na przykład, jak ja — podkreślił dosadnie. Skończył jeść i odstawił na bok brudny talerz.

— Zdaje się, że ja też już należę do tej kategorii — odpowiedziała szczerze, czekając, aż zaprotestuje. Tego wymagała grzeczność.

— Wyglądasz jeszcze dość świeżo — dał jej pokrętną odpowiedź; zażartował w odpowiedzi na żart i zobaczył, że Inka nagle się czerwieni. — Ale u ciebie, z tego co wiem — natychmiast dodał, żeby jej dalej nie peszyć — jest raczej kłopot z wyborem kandydata, a nie jego brakiem. Wystarczy więc coś postanowić — stwierdził jednoznacznie.

Z tego, co mówił, wynikało, że orientuje się w sytuacji Inki. Być może wiedział coś od Elżbiety, w końcu był jej dobrym znajomym. Ale co chciał przez to powiedzieć? Zastanowiła się chwilę. Jego spojrzenie było jednak ciepłe i bardzo przyjazne.

— Mam wrażenie — powiedziała, dalej nie analizując — że biorę udział w najdłuższym w świecie polowaniu na męża. I to chyba jest błąd. Patrę z perspektywy uciekającego czasu i tylko kalkuluję. A tu potrzebna jest jakaś decyzja i nieco luzu, trochę sportu, jeszcze więcej ryzyka i może...

-- To mi pachnie tchórzostwem, a nie polowaniem — przerwał jej w pół zdania. — Może to asekuranctwo albo, jak mówisz, traktujesz wszystko zbyt serio.

— Tobie też niespieszno na ślubny kobierzec — nie była mu dłużna, czując, że zbyt śmiało wkraczają na swoje terytoria. — Jesteś trochę starszy ode mnie. Masz pewnie większe doświadczenie. Czy już spasowałeś?

— Jak powiem, to nie uwierzysz — odpowiedział pokrętnie, lecz za chwilę Wszystko jej wyjaśnił. — Kiedyś nawet chciałem się żenić — odpowiedział serio. — Marzyły mi się dzieci. Chciałem się kiedyś ożenić — powtórzył wyraźnie, targając gęstą czupryną. — Miałem nawet piękną kandydatkę. Tylko że odkładałem zbyt długo oświadczyzny...

— I co? — Spytała zdumiona.

— I wyprzedził mnie kumpel — wyznał z rozbijającą szczerością. — Pobrali się już po kilku tygodniach. Tak zaiskrzyło, że nie chcieli czekać ani dnia dłużej. Ja oczywiście zostałem na lodzie. Tłumaczyłem to sobie różnie. A to, że chciała się zemścić za moje niezdecydowanie, a to, że od dawna się w nim kochała, a mnie użyła jako narzędzie, albo że okazał się supermenem, chociaż nigdy mi się taki nie wydawał.

— Są chociaż szczęśliwi? — Inkę zaciekawiła miłosna historia Szymona.

— Rozwiedli się po roku — skwitował. — Ona uciekła z innym. Zabrała przy okazji nowy samochód i kartę kredytową. Zanim się domyślił, solidnie opróżniła mu konto. Cieszyłem się wtedy jak dziecko, że mnie to ominęło. Nawet mi go nie było żal, chociaż — dodał — powinienem być mu wdzięczny, że mnie uratował. Nie jestem bogaty. Widzisz więc, traumatyczne przeżycia odstraszyły mnie na jakiś czas, a może na zawsze. Wybiłem sobie z głowy kobiety — rozłożył wymownie ręce. — Tak jest dużo bezpieczniej.

Siedzieli teraz naprzeciwko siebie i patrzyli w puste talerze. Zrobiło się całkiem rodzinnie. Coś na kształt duchowej wspólnoty ludzi dotkniętych przez los. Zrzucali z siebie ciężary, traktowane z pozoru z przymrużeniem oka, a w rzeczywistości znaczące więcej niż się zdawało.

— Faktycznie, można się było zniechęcić po czymś takim — przyznała ze szczerym współczuciem. — Tylko że to sytuacja ekstremalna, takie kobiety nie zdarzają się często.

— Być może — zgodził się Szymon. — Też sobie tłumaczyłem, że taki pech zdarza się raz na tysiąc, że tyle pięknych kobiet na świecie i mądrych... ale jakoś tak ogólnie straciłem zapał.

— Czy to może oznaczać, że jesteśmy takie beznadziejne?

— Po prostu znam siebie. Jestem typem samotnika. Samotność to moja pasja. Lubię ją i kocham swoje przywary, a kobieta, no cóż — dodał — robi sobą duże zamieszanie. Wciąż mówi, mówi, czegoś chce, o coś się upomina, ma niespożyty apetyt na wieczne zmiany, uwielbia przygody, chce być zauważana i zapewniana o miłości, wierności, a do tego jest kosztowna, co tu dużo mówić. — Uśmiechnął się. — A mnie zawsze brakowało pieniędzy. — Obrócił w żart całą tyradę.

— Nie wszystkie są takie. Ja taka nie jestem — zaprzeczyła Inka. — I nie potrzebuję sponsora, jestem samowystarczalna.

Szymon zreflektował się szybko.

— A czyja miałbym u ciebie jakąkolwiek szansę? — zapytał półżartem.

— Nie — szybko się odcięła. — Ciebie nie brałam nigdy pod uwagę.

— No właśnie — pokiwał głową robiąc strapioną minę. — Więc nic mi po takim wyznaniu. — Zrobił gest, jakby chciał przed nią przykleknąć.

— Szymon, nie wygłupiaj się — odpowiedziała trochę przestraszona, a potem szybko dodała ze śmiechem. — Błagam, tylko nie składaj mi czasem propozycji, uprzedzam, nie przyjmę.

— A jeżeli? — uśmiechnął się chytrze.

— Przecież my się nawet nie lubimy — wyznała. — W każdym razie nie tak, żeby coś czuć do siebie, nie aż tak — spojrzała skruszona.

— Kto się lubi, ten się czubi, nie znasz tego? — znowu żartował.

— E tam. To się nie potwierdza. Nie pasujemy do siebie, wierz mi — zapewniała na wszelki wypadek. — Pokłóciłibyśmy się pierwszego dnia.

— To mnie zawsze powstrzymywało od oświadczyn. Właśnie ta skłonność kobiet do kłótni, o byle co — stwierdził natychmiast. — Szukam kobiety wyciszonej, łagodnej, miłej, nienarzucającej się i do przesady wyrozumiałej.

Usadowił się wygodnie na krześle i spojrzął jej głęboko w oczy. Speszyła się pod wpływem uśmiechu. Nie знаła Szymona z tej strony, zawsze był taki poważny, na dystans, rzadko sobie pozwalał na żarty. Tego dnia coś się w nich narodziło, jakaś specjalna nuta sympatii.

— Nie żartuj, nie ma takich ludzi. — Inka znów była zaczepna, lubiła słowne potyczki. — To przecież potwornie nudne. Nie byłbyś szczęśliwy z taką kobietą. Poza tym, jak chcesz pogodzić potulność z przedsiębiorczością?

Szymon lekko przechylił głowę.

— Chyba jesteś złośliwa. Nie mówiłem potulna, tylko wyciszona, łagodna i miła; nie znaczy, że gapa. Uważam, że to się da jakoś pogodzić. Nawet znałem jedną taką kobietę, naprawdę była ideałem — zamyślił się. — Ale nie musisz się martwić — dodał z uśmiechem. — To już przeszłość.

— A jednak, jestem chyba zazdrosna. — Teraz żartowała Inka. Spodobała jej się ta zabawa.

— Uspokój się, bez obaw, nic ci nie grozi, to tylko moja matka. To o niej mowa. Ojciec i ona to było fenomenalne zjawisko, para widmo. Drugiej takiej już potem nie znałem.

— Dlaczego widmo? — zapytała zdziwiona. — To brzmi raczej upiornie. Brr.

— On był jej mistrzem, ona jego cieniem. Prawie się nie odzywała, a jednocześnie czuło się ją zawsze w pobliżu. — Oczy Szymona nieco zmatowiały. Widać było, jak odpływa w odległe czasy, w młodzińcze wspomnienia. — Wydawało się, że wypełniała sobą cały dom, choć bez końca milczała. O nic nie pytała, wpatrywała się tylko w czarne oczy mojego taty i wyczuwała instynktownie, czego potrzebował. Dawała mu absolutną swobodę. Wystarczyła jej rola cienia. Wiedziała, kiedy jest mu potrzebna, ale gdy czuła, że chce być sam, znikąca bezdźwięcznie. Pamiętam, jak stała pod drzwiami jego pokoju i nastuchiwała, co robi. Zawsze wyczuła właściwy czas, żeby wejść.

— Czy on ją zauważał? Rozmawiali chociaż ze sobą? Bo z tego, co mówisz, to źle jakoś widzę. Być czyimś cieniem, no, mam obawy — pytała zaintrygowana.

— Potrafili przegadać całą noc, a potem ojciec zamykał się w gabinecie i pisał. Nawet nie nosiła mu jedzenia, jeśli nie zawołał.

— Matko, chyba bym tak nie mogła. Być tylko cieniem, wchodzić, gdy mi pozwolą, nasłuchiwać pod drzwiami. Rezygnuję, to nie jest rola dla mnie. — Inka była w szoku, w takiej roli jednak siebie nie widziała. — A wy, dzieci? Jaka była dla was?

— Normalna, jak to matka. Zresztą nie miała córki, tylko trzech synów. Z chłopakami jest zupełnie inaczej. Ale była OK. Przyzwalała mi decydować o sobie.

— Musieliście być genialnymi dziećmi, wybór dla dziecka to trudna sprawa.

— Nie pamiętam żadnych trudności. Robiłem to, co zawsze chciałem robić — oświadczył. — Jestem jej wdzięczny, że nauczyła mnie samodzielności. Dzięki niej zawsze jest mi dobrze, niczego nie pragnę i nigdy nie zrzędzę.

— Jednym słowem, szczęśliwy facet — trochę z niego kpiła. Wydawał jej się śmieszny z tym swoim naiwnym wyznaniem.

— Jestem minimalistą — zmienił ton. — Ale jest we mnie wielka potrzeba samowoli i wyobraź sobie — podkreślił — to jest dosyć dokuczliwe dla innych. — Zaczął znowu żartować. — Nie zniosłbym żadnych wyrzutów i zarzutów. Muszę być cały czas sobą nawet wbrew światu. Któż mógłby takie coś wytrzymać?

— Tak, to ciężki przypadek — odpowiedziała Inka. — Ale spróbuj. Nie masz nic do stracenia. Może uda się znaleźć samarytanę, gotową do poświęceń, ślepo posłuszną i do tego koniecznie zakochaną.

— Myślisz, że istnieje kobieta, która zgodziłaby się na taki układ?

Zajrzał jej w oczy, pytając, co poczytała niemal za propozycję.

— Mógłbyś spróbować. Z pewnością jest gdzieś na świecie kolejne wcielenie twojej mamy.

— Już próbowałem, szukałem, nic z tego — zmarkotniał. — Wszystkie wróżki wymarły.

— Nie trać nadziei — Inka też spoważniała. Była już zmęczona tą słowną szermierką wciągającą ale nie do końca w jej stylu. Czuła, że wypada zakończyć wymianę poglądów na tematy matrymonialne. To zmierzało w niebezpiecznie osobistym kierunku. Jeszcze powie o słowo za dużo i będzie się musiała tłumaczyć albo wycofywać z czegoś, czego nie zamierzała powiedzieć. Uśmiechnęła się blado i wstała. Cała była ścierpnięta, chyba się niepotrzebnie tak spięta. Tego dnia nie poznawała siebie.

Muzyka w pokoju już nieco ucichła. Tancerze stracili werwę. Inka zerkała ukradkiem, czy wszystko w porządku. Jeszcze sobie coś o nich pomyślała. Po co wzbudzać podejrzenia, że niby ona i on... Po Elżbiecie wszystkiego można się było spodziewać. Będzie potem zadawać pytania, drążyć bez sensu temat.

Zabrała się do sprzątnięcia ze stołu. Śmieszył ją trochę ten Szymon. Wydawał się taki nijaki i taki bardzo niemodny. Trochę ją to raziło, ale za to był w tym jakiś młodzieńczy urok, coś przyjemnego, co nie uchodziło już w dorosłym życiu. Już dawno nie przekomarzała się z nikim tak bardzo naiwnie, a jednocześnie zupełnie szczerze. — Ma śmieszny twarz — pomyślała — zbyt chłopięcą jak na faceta. Kędzierzawe włosy nijakiego koloru i rudawa broda, dziwny zestaw kolorów. Prawie nic o nim nie wiedziała, choć był dość często na imprezach u Eli. Spotykali się przy jednym stole, lecz nigdy nie zwracali na siebie uwagi. Wydawał się pospolity, nie gustowała w zwyczajnych facetach.

Elżbieta rzadko opowiadała Ince o Szymonie. Wspominała kiedyś, że należy do wymierającego gatunku. Taki niezawodny przyjaciel, porządny i niezbrukany facet. — To bzdura — pomyślała Inka. — Co to znaczy niezbrukany? Czy są jeszcze na świecie tacy ludzie? Pełno ich w książkach, w reklamach, kampaniach wyborczych i w ludzkich zapewnieniach, ale nie w życiu.

Było dość późno. Goście dogorywali w fotelach. Opustoszały talerze, a w butelkach pokazało się dno. Czas było wracać do domu. Ktoś głośno i przeciągle ziewał.

— Mają dość — Szymon klepnął się radośnie w udo.—Trzeba ich zebrać i odwieźć do domu. — Nie patrząc na Inkę, wstał szybko od stołu i poszedł ogłosić zbiórkę. W ciągu kilku sekund był już gotowy do wyjścia. W dłoni ścisnął kluczyki. — A może ciebie również odwiezę? — zaproponował. — Nie mając własne łóżko.

— Dzięki — odpowiedziała zdziwiona. — A co z samochodem? Będzie mi jutro potrzebny.

Szymon wzruszył lekko ramionami.

— To proste. Przyjedziesz tu rano taksówką—poradził krótko.

— W sumie... — spojrzała niepewnie. — Dobry pomysł. Byłoby fajnie, lecz... głupio mi — zwątpiła. — Będziesz specjalnie jechał?

— Żaden kłopot, zrobię to z ochotą — powiedział i posłał do niej jeden z tych cudownych uśmiechów. — Odwiozę ich — wskazał na kolegów. — To niedaleko. I wracam.

Przy drzwiach wyjściowych zrobił się tłok. Widok był dość żałosny, a jednocześnie rozczulający. Zalani rodacy ściskali się i żegnali z wylewnością. Szymon zgarniał wszystkich do samochodu, prowadząc dwóch pod rękę ze schodów. Za nim szedł Andrzej, holując trzeciego.

Inka z Elżbietą sprzątały ze stołu. Potem Ela układała naczynia w zmywarce. Wciąż pełna wigoru, nuciała coś żwawo pod nosem. Inka przysypiała. Oczy piekły ją od dymu, tu wszyscy palili. Spać, spać — powtarzała bez przerwy. Chciała jak najszybciej znaleźć się w pościeli, przytulić do jaśka, a przed zamknięciem oczu spojrzeć na zdjęcie mężczyzny swojego życia, schowane w szufladzie przy łóżku. Jedynie tego pragnęła w tej chwili. Rytuał spania ze zdjęciem stał się ostatnio normą. Robiła to każdego wieczoru. Lecz dziś obraz mężczyzny nieco przyszarżał. Cały dzień zaprzątnięta innymi sprawami, pogrążona w świecie tak bardzo realnym i żywym, odsuwała na margines dnia swoje marzenia. Nie pasowały tutaj. Zbyt prostacki i brudny wydawał jej się świat przy nieskalanym wizerunku mężczyzny, którego nosiła w sobie jak ikonę. Lecz jakoś ten dzień trzeba było przetrwać. Dlatego tak bardzo cieszyła ją perspektywa powrotu do domu. Marzenia w innym miejscu niż jej łóżko nie działałyby.

Trzasnęły drzwi. Wrócił Szymon i zajrzał do kuchni.

— Jestem gotowa — zawołała do niego. — Cześć, zostawiam was z całym bałaganem i uciekam do domu. — Ucałowała Elżbietę. — Jutro przyjadę taksówką po samochód, dzięki — krzyknęła przez szparę w drzwiach i z torebką w rękach, zbiegła za Szymonem po schodach. Odprowadziły ją zdziwione oczy koleżanki.

Jechali w ciszy wyludnionymi ulicami. Padał drobniutki deszczyk, taki wiosenny zwiastun, miły dla twarzy lifting, ale i sprawca upiornego błocka na ulicach. Milczeli przez drogę. Niewiele ich łączyło, niewiele tematów, które dało się podjąć w kłopotliwych momentach ciszy. To okazało się nawet przyjemne, bo czy trzeba wciąż mieć językiem? Bezsensowne paplanie bardzo Inkę męczyło, wybrała milczenie, by nie powiedzieć za dużo. I tak dzisiaj przesadziła. Polubiła Szymona, ale nie miała pewności, czy godny jest zaufania na tyle, by powierzyć mu choćby część swojego życia. Zresztą on też nie palił się

do rozmowy. Flirt, który prowadzili, był jedynie niegroźną zabawą i do niczego nie zobowiązywał. Mogli bez obaw następnego dnia potraktować siebie po staremu. Tak było wygodniej. Żadnych zobowiązań, tego Inka naprawdę nie chciała.

Jej dom znajdował się daleko od centrum, w starej dzielnicy miasta, a właściwie już na peryferiach. To był mały domek ze spadzistym dachem, stojący w zaniedbanym ogrodzie. Ginął wciśnięty pomiędzy odnowione fasady przedwojennych willi z wielkimi gankami, z półokrągłymi schodami prowadzącymi do oszklonych wejść, z długimi oknami, pionowo rysującymi kształt klatek schodowych. Maleńka chatka, z jednym niskim kominem, sześcioma oknami na dole i czterema na poddaszu, jak domek dla lalek. To było królestwo Inki.

Dochodziła pierwsza. Padało coraz mocniej. Grube krople wsiąkały w obrzękniętą ziemię. Ta ziemia w środku już rosła, pęczniała nowym życiem.

— Zima dogorywa — ocenił Szymon.

— Ja już też dogorywam — wyznała bez ceregieli. — Dziękuję za odwiezienie. Miałeś rację, dom to dom, nie majak własne łóżko. A ty gdzie mieszkasz? — zapytała przy wysiadaniu.

— Nie wiesz? Mieszkam obok Elżbiety, na tej samej klatce — odpowiedział z rozbrajającym spokojem.

Inka parsknęła zdziwiona.

— Jak to? Nic nie powiedziałaś.

— Myślałem, że wiesz.

— Może powinnam, ale tak się złożyło, jak widzisz — czuła się zmieszana. — Nie pozwoliłabym się odwieźć, gdybym wiedziała.

— Więc miałem szczęście.

— To raczej ja, bo dzięki temu jestem już w domu — zreflektowała się szybko.

— Nie miej wyrzutów sumienia, to mi sprawiło przyjemność. I wcale nie jest tak późno. Możesz spokojnie spać. Jutro mam wolne, wyśpię się i odpocznę.

Nie wiedziała, jak się zachować. Ten facet wciąż ją prowokował. Aż prosił się, żeby mu dogryźć. Ale już nie miała zamiaru więcej mu dokuczać. W sumie był miły. Zabawiał ją a potem odwiózł. Czego chcieć więcej.

— Chyba nie mogę cię wysłać do domu bez herbaty. — Jakoś jej się wyrwało. — Może wejdiesz na chwilę, zobaczysz, jak mieszkam?

Szymon spojrzał na jej skromny dom przykucnięty pomiędzy drzewami. Ciągle padało. Spojrzał na samochód, potem znowu na dom.

— Chętnie, niespieszno mi do pustego mieszkania, ale nie myśl, że wykorzystuję okazję — zaznaczył.

Udawiała, że tego nie słyszy. Szukała w torebce kluczy, jak zawsze gdzieś się zapodziały. Była trochę zdenerwowana.

— Szukanie kluczy nie wychodzi mi chyba najlepiej — próbowała żartować. Wysiedli w pośpiechu. Wciąż mżyło. Szymon spojrzał na drzwi. Odczytał z mosiężnej tabliczki: H. Jaworska.

— Duży — dotknął wizjera — wielki jak teleskop. To jakaś nowa moda?

— Samotna, atrakcyjna kobieta musi być przezorna — powiedziała, ignorując zaczepkę. A klucza ciągle nie było.

— Może wysyp to wszystko na ziemię, pomogę ci szukać — zauważył złośliwie, chociaż w oczach miał radosne ogniki. Spojrzała na niego wymownie. Prosił się o ripostę. Miał szczęście, bo właśnie znalazły się klucze.

Wnieśli do środka chłodny powiew deszczowej nocy i błoto, które przyłgnęło głównie do butów Szymona. Usiłował je wytrzeć w wycieraczkę. Kilka razy obejrzał podłogę, czy nie zostawia za sobą śladów. Z trudnością mieścili się w małym przedpokoju. Niemal wpadł na wystającą zza ściany komodę.

— Sorry za bałagan — powiedziała, stawiając na komodzie rozpiętą torebkę. — Daj, powieszę ci kurtkę. — Przechyliła się w kierunku wnęki, za którą był wieszak i lustro. — Jest mokra. Trochę się przesuszy. — Szarpali się nieco. — Przecież nie będziesz w niej siedział — Inka spojrzała zgorziona. — Poza tym, ja nie robię z mieszkania muzeum — usprawiedliwiała panujący nieład.

W półcieniu stojącej w kącie lampy widać było tylko zarys sprzętów. Z małego holu weszli wprost do centralnie położonego pokoju, pełniącego rolę salonu. Zaskoczyło Szymona to dziwne połączenie nowoczesnych foteli, jasnego stołu pomiędzy nimi i ciemnych mebli. Część z nich pochodziła zapewne z początków XX wieku. Kilka porcelanowych dodatków, jakieś obrazy w ciemnych ramach, smukłe świece na stole pod ścianą i duże okno z szerokim parapetem, który ozdabiał jedynie pękaty wazon.

Prawdę mówiąc, całkiem inaczej wyobrażał sobie jej mieszkanie. Myślał, że będzie bardziej sterylne. Rodzaj lekkiego miszmaszu tkanin, sprzętów i rozrzuconych wszędzie gazet nie pasował do niej. Może właśnie dlatego poczuł się w nim tak swojsko.

— Ładnie tu i przytulnie — zauważył szczerze. — Dużo przytulniej niż u mnie.

— Nie przykładałam się zbyt, podoba mi się jak jest, nie lubię zmian. Wszystko tu od lat stoi na tym samym miejscu. Tylko fotel sobie kupiłam, żeby w nim zasypiać przed telewizorem — żartowała znowu. — W ciągu dnia siedzę tutaj, ale na noc schodzę do piwnicy, tam urządziłam sypialnię.

— W piwnicy? — zdziwił się. — Przyjemniej śpi się na poddaszu. Zdecydowanie wolę poddasza. Piwnica źle się kojarzy. Właściwie dlaczego w piwnicy? — zapytał zdziwiony.

— Na poddaszu jest za gorąco, szczególnie latem. Nie ma czym oddychać. W piwnicy jest chłód, tam się czuję bezpiecznie. Okna są malutkie, nikt przez nie nie wejdzie.

— A niby kto ma wejść? — Szymon się lekko uśmiechnął.

— No, wiesz, może być różnie. Tyle się słyszy złego.

— Boisz się być sama w domu? — zapytał.

— Trochę — przyznała. — Takie tam wizje z dzieciństwa. Gdy nadchodzi zmrok, boję się spojrzeć na okno. Jeszcze za dnia zaciągam żaluzje, wszystko dokładnie zamykam i idę na dół.

— Jak byłem mały, też się lubiłem chować po piwnicach.

— A więc to taki dziecięcy atawizm — żartowała. Weszli do kuchni. Inka włączyła wodę, a potem wyjęła z szafki starą puszkę, w której przechowywała herbatę.

— Piękne pudełko — zauważył Szymon.

— Mnie też się podoba. — Zamknęła i obróciła ją do góry dnem. — Właściwie jest już zabytkiem. Zostało przywiezione z Holandii. Na spodzie jest data, 1908 rok. Mam wiele takich staroci — wyjaśniła. — Ciotka dużo podróżowała. Jej ojciec, a mój pradziadek był właścicielem kilku sklepów. Jeździł po świecie i zabierał ją wszędzie ze sobą. Tu zostały zgromadzone pamiątki z podróży. Znajdziesz je w każdym kącie i każda z nich ma swoją historię. Nasłuchałam się tych opowieści. Mieszkałam z ciotką przez kilka lat. W ostatnich miesiącach życia pamiętała tylko te historie. Powtarzała je wciąż od początku. Mnie już nie poznawała, ale o swoich skarbach mogła opowiadać godzinami. Zostawiła mi dom. Nikogo więcej nie miała. Była samotna, całe życie pracowała w aptece, a potem nie miał jej kto przynieść lekarstw i wezwać lekarza. Wprowadziłam się, żeby jej pomóc, a zresztą chciałam mieszkać w Sopocie.

Przenieśli się do pokoju. Siedzieli w wygodnych fotelach i sączyli herbatę. Atmosfera i światło tego domu zamknęło ich w innych wymiarach czasu, a nastrojowa muzyka przenosiła myślami w świat ciotki Cecylii. Pod ścianą nad wąskim bufetem wisiała jej fotografia, oprawiona w brązowo-pomarańczową ramę z laki, pokrytą indyjskimi wzorami. Na białym niegdyś tle, z owalu twarzy spoglądały bystre oczy.

— To ona? — spytał.

— Tak. Prawda, że piękna?

— Trochę podobna do ciebie.

— Dzięki — powiedziała z uśmiechem. Czuła się odprężona, ale bardzo zmęczona, bała się, że jeszcze chwila i zaśnie. — Mógłby już sobie pójść — marzyła skrycie. Ale cóż, sama go zaprosiła...

— Jesteś zmęczona — zauważył. — Chyba już pójdę.

— Zostań — nie wiadomo czemu nalegała. — Chyba nie musisz się śpieszyć do domu?

— Nie mam do czego, jeśli nie liczyć tych białych ścian z wielką lampą pod sufitem i sklejkowym regałem z epoki głębokiego PRL-u — szybko się usprawiedliwił. — W moim mieszkaniu czuję się jak na dworcu, wierz mi, a jedyną rzeczą jaką lubię jest radio, bo czasem coś do mnie mówi. Dom musi mieć nastrój, jak ten. — zauważył. — Tu jest naprawdę przytulnie. — Spojrzał na kilka pięknie oprawionych książek zdobiących półkę w niskiej biblioteczce. — A więc mieszkasz zupełnie sama? — zapytał ciekawie.

— Ciotka zmarła kilka lat temu.

— A rodzice, rodzeństwo?

— Ojciec już nie żyje, mama przeprowadziła się na wieś, do domu rodziców. Ma tam swój świat, swoich przyjaciół, zwierzęta. Często do niej jeżdżę, ale ona tutaj nie przyjedzie, za żadne skarby, nie lubi miasta. Rodzeństwa nie mam, jestem takim rozpieszczonym, wrednym jedynakiem.

Zamilkli. Zrobiło się sennie. Pokój widoczny w półmroku lampy kojarzył się z czymś bezpiecznym. Trudno im było uwierzyć, że za oknem hula teraz wiatr. W krótkim czasie przenieśli się oboje z małego blokowego mieszkania w miejsce tak bardzo magiczne. Zdani na siebie, przez tę ostatnią godzinę spędzoną w kuchni u Eli czuli rodzącą się więź. Oni, dwie niezależności, spotkali się na jednej niewielkiej przestrzeni i bali się zerwać tę łączność w obawie, że już nie powróci. Nie było między nimi nic. Żadnych obietnic, sugestii, żadnych planów. Więc czemu bali się własnych oddechów, by kolejny zbyt nagły, zbyt wyrazisty nie był zwiastunem odejścia albo wyproszenia? Przyjemna woń aromatycznej świecy, pachnącej chyba czeremchą a może jaśminem, działała jakoś nasennie. Inka zamarła w fotelu. Z jakąś wewnętrzną gotowością z której nawet nie zdawała sobie sprawy, wstrzymywała oddech, nasłuchując. Ledwo dosłyszalny, dochodzący z ulicy odgłos dalekich kroków kogoś, kto o tak późnej porze wracał do domu, wydawał się czystą fikcją. Szymon zrozumiał nagle, jak człowiek niewiele potrzebuje do szczęścia. Tylko takiego nastroju jak ten i kogoś jak ona, bardzo milczącego.

Było mu rozkosznie, już dawno nie czuł się taki szczęśliwy. Jakieś klapki, zamykające wejście do wspomnień z dzieciństwa nagle się otworzyły i znalazł się w zapomnianych światach. Dlaczego tak rzadko do nich zaglądał? Czy trzeba było znaleźć się w obcym domu, żeby poczuć się jak u siebie? Teraz chętnie zostałby do rana, a może na zawsze. Lecz nie wypadało przeciągać gościny. Chciał się pożegnać, ale Inka zdążyła zasnąć. Ręka trzymająca szklanek znieruchomiła na oparciu fotela, a przechylona głowa wsunęła się głęboko w narożnik.

Szymon wstał delikatnie, by jej nie zbudzić. Wyglądała tak niewinnie i pięknie. Błogi uśmiech, uchylone usta i nos, lekko rozplaszczony o skórę fotela. Wystarczyło wziąć w ramiona i przytulić. Grzywka opadła na czoło, może chociaż tę grzywkę?... Zrobił to delikatnie, ale płytki sen uleciał z niej i zmieniła pozycję. Teraz miał ją przed sobą Obrzęknięte i rozgrzane usta. Elektryzująca woń snuła się z za dekoltu, z małego wąwozu pomiędzy piersiami. Wtulił się w ten wąwóz, jak samobójca, już nie myśląc o niczym. Czekał na najgorsze. Pomyślał, że dostanie w pysk. Lecz ona nie zrobiła niczego. Zmiękła w jego ramionach. Krótki sen rozleniwił ją nieco, ale i podniecił. Ten mężczyzna wtulony w jej piersi, trwający w bezruchu, wzruszał ją bezradnością. Samotne serce, przygarnięte w tę deszczową noc przez drugiego

człowieka, zatrzepotało z nagłą radością. Westchnęła lekko, z ulgą a może to było właśnie przyzwolenie? Tego się nie spodziewał.

Obudził go ból głowy. Leżał na dywanie, między dziwacznymi poduszkami, przykryty grubym, żółtym pledem. Ona, odwrócona tyłem, przywierała pośladkami do jego brzucha, twarz zakrywała ramieniem. Spała dość mocno. Krótkie, delikatne włosy łaskotały go w szyję. Bał się poruszyć.

— „Szukałem długo pośród gwiazd takiej jedynej” — zanucił w myślach starą sentymentalną piosenkę, choć tylko tych sześć słów pozostało mu w pamięci, reszta gdzieś umknęła. Niebanalna miłość, trudne uczucie, wieczna walka — to pierwsze skojarzenia, które przysły mu teraz do głowy, dalej pustka, a kiedyś znał ją na pamięć. Czyżby dotknął właśnie tego skrawka, w którym tkwi przeznaczenie? Nigdy tego nie wiedział. Podobno ludzie instynktownie wyczuwają moment i wiedzą kiedy uchwycić koniec swojej nici. Czuje to, czy tylko marzy, wie, czy jedynie przypuszcza? Nie pierwszy raz kochał się z kobietą a jednak czuł się inaczej. Wszystko wcześniej wydawało się takie banalne, niewarte uwagi. Przychodziło i odchodziło, nie pozostając na dłużej w pamięci. I Dzień podobny do dnia, ludzie, zdarzenia. Tyle tego już było w jego zwyczajnym życiu, a on bezwiednie poddając się kolejnym zdarzeniom, bez specjalnego zaangażowania, jak posłuszny maszerował przez swoje przewidywalne krainy, niczego specjalnego w nich nie wypatrując. Ot, spokojny miarowy marsz, bez podskoków i figur tanecznych, bez wojen i potyczek, bez wielkich ideałów. Posiadał tylko jedną ekstrawagancję, mały dzwoneczek, który miał mu dać znać i w stosownym momencie zadzwonić. Nie zadzwonił dotychczas ani razu. Dopiero ta noc rozkołysała jedwabny sznureczek i powoli zaczęła wprowadzać go w łagodny ruch, lecz jeszcze zbyt słaby, by złota kuleczka, uderzając, głośno zadzwoniła. Spojrzał na śpiącą kobietę i poczuł, jak coś dziwnego, podobnego do wielkich ptasich skrzydeł, łopocze mu w piersiach, dławi go i rozrywa.

Leżał przez chwilę spokojnie, żeby uspokoić rozedrgane serce i ledwo oddychał. Bał się, że jak głębiej nabierze powietrza, to ją obudzi. Przy okazji dyskretnie zlustrował pokój. W narożniku pod ścianą stało szerokie łóżko z rozrzuconą pościelą, stół z małym radiem i telewizor. W prawym kącie lustro z szafką na kosmetyki, obok wielka szafa na ubrania, a na suficie zegar. Dziwne miejsce na zegar. Dochodziła siódma.

Inka obudziła się krótko po dziewiątej i jakby nic się nie stało poszła do kuchni zrobić sobie śniadanie. Podniosła żaluzje. Za oknem chlapa i wiatr. Ulicą przesuwaly się tylko parasole. Przy bramie stał jej samochód. W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi, przecież zawsze tam stał. Dopiero później wróciła świadomość.

Przypomniała sobie wczorajszy wieczór. —A kluczyki? Gdzie są kluczyki — próbowała kojarzyć fakty. — Włożyła je do torebki! Sprawdziła, że nie ma i wpadła w panikę. Niepotrzebnie. — Leżały na stole, razem z kluczami od domu. Podbiegła do drzwi. — Zostawił otwarty dom, wystarczyło nacisnąć na klamkę! — Przekręciła zamek. —To jakiś nieodpowiedzialny facet, do tego grzebał w torebce! — Drżała z oburzenia. Na tapczanie leżał koc, chwyciła go ze złością i owinęła dookoła ramion. Powściągliwa na pokaz, teraz dała się ponieść rozpacz, niewytłumaczalnej z pozoru i nieuzasadnionej. Rozdarła się jak wysłużone płótno, czując wstręt do wszystkich mężczyzn, kobiet, a najbardziej do siebie.

Była nieszczęśliwa. Miała do siebie żal za tę chwilę słabości, za odkrycie zbolącej duszy przed kimś zupełnie obcym. Nie uświadamiała sobie istnienia tego szczególnego instynktu, który sprawia, że dwoje ludzi łączy się ze sobą a każde z nich wypełnia pustkę w duszy drugiego. Nie zrozumiała, że może wystarczy tylko wyciągnąć rękę. Powiedział do niej w nocy, że chciałby ją uszczęśliwić, a potem dodał, że żartował. Pewnie się bał, że go odrzuci. Zrobiłaby to bez wahania. Nie miała w zwyczaju rozczulać się nad sobą bo im bardziej przeżywała, tym mocniej tęskniła do rąk, które jej nigdy nawet nie musnęły. Głośny płacz niósł się po domu, odbijał od ścian coraz bardziej żaloszny. Szlochała histerycznie, żeby wyrzucić z siebie całą złość i całą samotność. To była rozpacz i bezsilność, ukrywana przed całym światem, niedojrzałość, która tak wiele narobiła zamieszania w życiu, i jednocześnie wołanie o pomoc.

Gdyby nie telefon, nigdy nie przestałaby płakać. Zakrztusiła się łzami, czekając aż włączy się automatyczna sekretarka. A kiedy rozległ się w niej aksamitny głos doktora Rawicza, stał się prawdziwy cud — natychmiast ożyła.

— Mówi Rawicz — niosło się po pustym domu, a w sercu Inki wyrastały skrzydła. — Potrzebuję pani pomocy.

Trzy słowa były jak sole trzeźwiące. Dla tego głosu zrobiłaby wszystko. Błyskawiczny prysznic, staranny makijaż, włosy i po dwudziestu minutach była w samochodzie. W kierownicy zastała wplecioną różę, z karteczką i napisem „Dziękuję”. Odrzuciła ją na tylne siedzenie.

— Natura hamuje pracę mózgu, gdy do głosu dochodzą hormony — pomyślała o sobie i o minionej nocy, którą zmyła mydłem i wodą ze swojego ciała do czysta i tylko we włosach błędził jeszcze delikatny zapach jego wody kolońskiej. — Głowę umyję wieczorem — postanowiła. Jechała szybko przez miasto, liczył się tylko fakt, że go zobaczy. O jedenastej była na miejscu, a zaraz potem wykręciła numer oddziału. Przed oczami miała jeszcze sceny z minionej nocy, nie dały się tak łatwo usunąć z pamięci.

Dorota często myślała o tym, co się zdarzyło. Nie dało się wszystkiego usunąć z pamięci. Ma się jedno życie, chciałoby się je przeżyć godnie. Nie zawsze tak jest. Czasem rzeczywistość zaskoczy. Tak też było z nią. Czy uznać, że miała pecha, czy że straciła rozsądek? Z zaskoczeniem stwierdzała, że nie czuje wielkiego żalu do losu.

Żeby się nad sobą zbyt nie rozczulać i nie chlipać bez końca, zajęła się remontem domu. Postanowiła zaadaptować pomieszczenie znajdujące się po drugiej stronie korytarza. Potrzebowała pomocy fachowców — elektryka do naprawy instalacji, do założenia nowych gniazdek i lamp, murarza oraz zduna do naprawienia pieca. Konieczna była nowa podłoga i dwa okna. Przegniłe futryny, pęknięte w kilku miejscach szyby, tego się już nie da naprawić. Będzie trzeba poprosić o pomoc. Nie obejdzie się jednak bez mężczyzny, a tak bardzo chciała być samodzielna. Przyszło jej na myśl, że może sama poszuka jakiejś fachowej firmy, ale nie знаła miasteczka na tyle. Nie miała ochoty znowu prosić Romana. Za każdym razem, gdy się spotkali, pytał o Marka. Robił to chyba specjalnie. Przecież sam mógł zadzwonić. Odbierała to jak torturę, chyba dała o sobie znać męska solidarność. Poza tym Roman nie był wobec niej lojalny. Czuła, że pewne sprawy wychodzą poza ich dom i może to właśnie one są źródłem niechęci ludzi z miasteczka. Ograniczała więc w miarę możliwości koleżeńskie kontakty.

Tymczasem, niestety, szczerze zamiary nie pomogły w znalezieniu kogoś do pracy. Dorota ze skruchą chcąc nie chcąc, musiała zadzwonić do Romana, oczywiście nie odmówił. Zaraz po telefonie dręczyły ją wyrzuty sumienia, że tak okrutnie oceniała oddanego człowieka.

Najgorsze jednak były myszy i pająki. To draństwo zagnieździło się we wszystkich możliwych szparach. Nikt im dotychczas nie przeszkadzał zimować w pustym mieszkaniu. Broniły więc z całych sił praw lokatorskich, a Dorota traciła cierpliwość. Próbowwała jakoś przetrzymać, podzielić się z nimi miejscem, lecz gdy pewnej nocy wścibska mysz wyskoczyła jej spod kołdry, powiedziała dość. W całym domu rozstawiła pułapki i z bólem serca łąpała na skrawki boczku takome gryzonie. Nie myślała, że kiedyś będzie musiała robić takie rzeczy. Poza myszami były jeszcze ptaki w kominie, które zatkały wylot, pęknięta rura w łazience, awaria bojlera. Cały tydzień miała zajęcie.

W końcu zaczęło się z tego coś wykluwać. Brakowało jedynie mebli. Lecz i na to znalazła się rada. Dawna właścicielka domu podarowała Dorocie dębowy stół w całkiem niezłym stanie i kilka krzesel, walających się u niej na strychu. Krzesła wystarczyło umyć, stół pomalować na czarno, bo miejscami był wytarty z lakieru. Całości dopełnił fotel od Romana i wykładzina, kupiona w pobliskim sklepie. Dało się mieszkać. Już sam fakt, że był porządek, a nie schronisko dla przeróżnych stworzeń, wystarczył, żeby

poczuć się lepiej. Piec grzał całkiem nieźle. Stary zdun, zanim doprowadził go do stanu używalności, zakropił dość mocno winem. Butelki po napoju marki Rosa zabierał sumiennie na wymianę. Dorota miała ochotę upić się razem ze zdunem i o wszystkim zapomnieć. Płyn o podejrzanym składzie chemicznym i pięknym, różowym kolorze bulgotał kusząco w jego gardle. Przydałoby się zapić robaka. Miała kilka trudnych wieczorów. Gdyby nie ciąża, kto wie, jakby się to dla zduna skończyło.

Właścicielka pobliskiego domu, wzruszona samotnością swojej sąsiadki, zaproponowała pomoc w gospodarstwie, przysyłając córkę. Dziewczyna okazała się pracowita i schludna. Raz w tygodniu za niewielką opłatą wpadała, żeby posprzątać, czasem robiła zakupy. Tak więc wkrótce wszystko zaczęło nabierać sensu. Nie było czasu na zmartwienia i zgryzoty.

Któregoś dnia dostała dwa listy. Wahala się, który otworzyć pierwszy. Jeden był od córki, a drugi od męża. List od Karoliny był krótki i oschły. Przeczytała go szybko, półgłosem. Choć niczego nie obiecywał, był przyjemnością samą w sobie. List od Marka to istne gradobicie. Bezsensowny bełkot zranionego zwierza, który z nienawiści zapomniał poprawnego języka. Odłożyła go na stół z westchnieniem. Kilka obelg więcej czy mniej już nie robiło różnicy. Nie mogła kajać się bez przerwy ani się biczować. Sparzyła herbatę i przejrzała w pośpiechu gazetę. Kolejne afery, komisje, jakaś lista współpracujących z SB, pijany lekarz przy operacji, pracownica banku podprowadza forszę swoim klientom. Jedna rozpacz, żadnych pozytywów. Społeczeństwo udławi się tą nienawiścią i strachem. Spojrzała od niechcienia na wielkie litery w nagłówku. Przerzuciła oczami po tekście. Trzeba się odciąć od tego, żeby nie zwariować. Przekartkowała stronę po stronie i nic. Żadnych emocji. W domu czytała wszystko, podbierając Markowi kolejne stronicie. Złościł się, że robi bałagan. A ona lubiła rozrzucać drukowany papier po podłodze, szeleścić wielkimi płachtami. Teraz już nie ma na to ochoty.

Przygnębiona przedpołudnie ukoronowała wizytą w miejskiej przychodni. Usiadła w długiej kolejce do lekarza i pomyślała, że tak będzie już zawsze. W Łodzi nie odwiedzała lekarzy rodzinnych. Nawet nie wiedziała, czy jest do któregoś zapisana. Dzieci tak, na wszelki wypadek, ale ona i Marek? Po co? Miała przecież swoich stałych doktorów, w prywatnych klinikach, eleganckich gabinetach, obskakiwana i przyjmowana bez czekania w kolejce. Zresztą nie chorowała. Nic sobie nie robiła z drobnych niedyspozycji. Okresowe kontrole u ginekologa, badanie krwi, czasami wizyta u stomatologa, to wszystko. Ale teraz było inaczej. Teraz musiała zakosztować normalności i jak każdy obywatel poczekać grzecznie ze swoim numerkiem. Ład świata nie został naruszony tylko dlatego, że musiała stać się jedną z wielu.

Gdy wracała z przychodni do domu, przed szkołą minęła sporą grupkę dziewcząt. Paplały wesoło, spoglądając ukradkiem w kierunku boiska, na którym starsi chłopcy kopali piłkę. Z zaciekawieniem obserwowała ich roziskrzone twarze. Ileż w nich było radości, energii. Tak mało jeszcze wiedziały o życiu. Może przydałoby się napisać dla nich zawczasu obszerny podręcznik z radami, takie kompendium wiedzy. Jak żywe stanęły jej przed oczami lata dziewczęce i ta naiwność, z którą myślała, że jest już kobietą. Przypomniał jej się Janusz, kolega z podwórka, kochający się na zabój w Meli, która wówczas pałała jakąś niezrozumiałą antypatią do chłopców. Tak, Mela pod tym względem była inna. Miała swoje plany i niekoniecznie było w nich miejsce dla mężczyzn. Biedna Mela. Gdy to nieszczęście okazało się tak bardzo bezpowrotne i już nic nie można było dla niej zrobić, wszyscy myśleli, że to efekt jakiejś ukrytej obsesji do płci przeciwnej. Dopiero później, gdy poznali szczegóły i niemal całą prawdę o tamtych zdarzeniach, zdali sobie sprawę, że ona po prostu z nich wszystkich najpoważniej traktowała życie, i że jedynie ona w tej grze się sprawdziła. Dorota zaryzykowałaby nawet stwierdzenie, że niektórzy, tak jak ona sama, być może nigdy nie osiągną dorosłości, jaką miała Mela tamtego lata. Wszyscy ją wtedy zawiedli. Zostawili samą i ją i Norkę.

Teraz Dorota tego doświadczała. Samotność stała się jej własnym udziałem, a miasto, do którego przybyła, miejscem odosobnienia. Będzie teraz jak Mela goić rany i tęsknić. Przed oczami miała wciąż słowa listu od Marka. Ależ się piekli! Powtórzyła je kilka razy w myślach, zapamięta je chyba na zawsze. Teraz dominowało w nim poczucie ogromnej krzywdy. Wykrzyczał głośno swoją rozpacz. Urażony honorem wyparł się jej na zawsze. Taka była pewna, myślała, że zna go na tyle, żeby przewidzieć reakcję, że on na pewno podejdzie do tego z rozwagą. Był przecież rzeczowym i opanowanym facetem. Ależ była głupia! Ale przecież zawsze trafiały do niego mądre argumenty. Więc myślała, że ją zrozumie, że jakoś wszystko mu wyjaśni, przeprosi i będzie jak dawniej. Często dyskutowali na podobne tematy, bo przecież życie może przynieść niespodzianki. Rozmawiali, że jeśli któremuś z nich coś podobnego się zdarzy, bo każdy jest tylko człowiekiem, to sobie wybaczą, bo najważniejsi są oni i najważniejsze jest to, żeby być razem. Ale tak się nie stało. Założenia idą swoją drogą a praktyka swoją. Marek nie wytrzymał próby. Potem, gdy do całej historii dołączyły się jeszcze inne okoliczności, została bez szans. Wciąż nie potrafiła odpowiedzieć sobie na wiele innych pytań, także i na to, w jaki sposób odzyska zaufanie dzieci. Co zrobi, jeśli to się nie uda, jak będzie bez nich żyć? Co zrobi ze sobą gdy straci wszelką nadzieję? A dziecko, które się urodzi, co jemu powie?

Dorota coraz gorzej znosiła samotność. Brakowało jej drugiej osoby, kogoś, kto pomógłby przetrwać poranne mdłości i wspierał na co dzień, choćby szklanką gorącej herbaty albo aromatycznej

kawy, którą Marek zawsze przynosił jej świttem do łóżka. Ale nie narzekała. Jakoś trzeba było sobie radzić. Pochłaniały ją sprawy zawodowe, dużo czytała, nie miała zbyt wiele czasu, żeby się nad sobą rozczułać. Tylko czasami ogarniało ją wybuchające gdzieś na dnie serca porażające uczucie trwogi. Wtedy podrywała się, bez względu na miejsce i okoliczności, i drepcząc bezradnie próbowała natrętnym chodzeniem jakoś zagłuszyć echo niedawnych przeżyć. Coraz częściej bowiem stwierdzała, że dokładnie wtedy i chyba po raz pierwszy odczuła, jak wdziera się w nią prawdziwe szczęście.

Czas płynął. Zbliżała się próbna matura. Wszyscy myśleli głównie o nauce. Ci, którzy traktowali sprawę poważnie, wzięli się ostro do pracy. Postępy były widoczne. Młodzież włączała się do zajęć bez większych oporów. Czuło się napięcie. Niektórzy jakby się na nowo objawili. Paru samouków nieźle znało język, lecz z obawy przed resztą klasy ukrywało to skrętnie. Teraz mieli wreszcie pole do popisu. Nabierali błyskawicznie szlifów. Atmosfera nauki towarzysząca jej lekcjom przeniosła się na inne przedmioty, a nauczyciele zaskoczeni pilnością dzieci, podchwycili inicjatywę z ochotą. Nie brakowało Dorocie powodów do dumy. To podtrzymywało ją mocno na duchu. No i jeszcze ciąża. Ale o niej myślała dosyć oględnie. Wciąż trudno było pogodzić się z faktem, że jest. Jakby ją z siebie wyparła, jakby ta ciąża była tylko stanem przejściowym, który minie bez konsekwencji. Teraz chciała się tylko ustabilizować. Potem pomyśli o reszcie.

Poza pracą nigdzie nie bywała. Nawet Romana widywała rzadko. Czasem do niej dzwonił, żeby zapytać o zdrowie. Nikt się nie narzucił z przyjaźnią. Miała wrażenie, że od niej stronią ale nie miała tego nikomu za złe. W pokoju nauczycielskim było normalnie. Te kilka minut pomiędzy lekcjami wypełniały bieżące rozmowy o uczniach, o problemach w szkole. Istniały między nimi stosunki jedynie służbowe. Ale gdy chciała z kimś porozmawiać prywatnie, robili dziwne uniki. Czuła, że rozmówcy są wypłoszeni, jakby rozmowa z nią na osobności stanowiła karę albo ciężkie wykroczenie. Początkowo było jej przykro. Popłakała się nawet. Ale po czasie pojęła, że oni też muszą się oswoić z jej nietypową sytuacją. Poza tym bardzo się od nich różniła, sposobem mówienia, zachowaniem dystansu i pewnością siebie.

Pewnego dnia ktoś jej rozsypał sól na wycieraczkę. W pierwszej chwili myślała, że w nocy spadł spóźniony śnieg. Bardzo się zdziwiła, że leży tylko pod jej drzwiami. Dopiero później zrozumiała podtekst. Przejście przez próg tego domu jest przestępstwem, grzechem albo czymś co najmniej nagannym. A może to tylko przypadek. — Komuś pękła po prostu torebka — łudziła się w duchu. Po tym zdarzeniu zaczęła się bardzo uważnie przyglądać sąsiadom. Nie chcieli jej, była tu kimś niepożądanym?

Wieczorami rozmyślała o domu, o swoim życiu sprzed ciąży. Jeszcze miała na świeżo w pamięci ostatnie dni pobytu z dziećmi. Jak trudno o nich zapomnieć. Niemal kontemlowała każdą chwilę spędzoną w domu. Wspomnienia odżywały zawsze w obliczu stresów. Odrastały na nowo, jak wielkie smocze głowy. Ile minie lat, nim znów będzie szczęśliwa? Czy w Radosławiu jest to możliwe? A jeśli nigdy jej nie zaakceptują? Co wtedy, gdzie się podzieje z małym dzieckiem? Po raz pierwszy tak otwarcie zbliżyła się do prawdy. Myślała o tym, co doprowadziło ją do obecnego stanu i szukała skruchy. Nie znalazła jej w sobie.

Tej nocy znowu nie mogła zasnąć. Przeszywający wiatr wciskał się przez szpary do mieszkania. Metaliczny zgrzyt aluminiowych żaluzji zawieszonych pomiędzy szybami brzmiał bardzo złowieszczo. Może złe moce odprawiały nad nią sądy. Zamknęła oczy, otulając się szczelniej kołdrą ale myśli wracały. Walczyła z pamięcią bo wiedziała, że gdy podda się jej woli, zwariuje. A jednak przywoływała bez końca obrazy zdarzeń sprzed kilku miesięcy. Najgorsze było to, że zamiast skruchy w nich się taplała. Coś miłego kryło się w zakamarkach duszy, zapisało się w pamięci zniewalającą chwilą ekstazy. Jeszcze teraz zadrzała z rozkoszy zawstydzona, ale pewna, że nikt nie odkryje w niej tych emocji, ani po przyspieszonym oddechu, ani po przymkniętych powiekach. Gdzieś w ciemnościach zaświeciły źrenice kocich oczu, przedzielone wąską pionową kreską powietrze rozdzierał głośny krzyk, a na ścianie odbił się jak zjawia kształt młodego, napiętego ciała. Dorota jęknęła, opadając na wielką poduszkę, której ostre rogi zamknęły się nad nią jak trumna.

Kolejny list od Marka przyszedł Internetem. Był koniec maja. Dorota w tym czasie przechodziła kryzys. Nie było jej łatwo. Społeczność Radosławia raz po raz manifestowała swoją niechęć do nowej nauczycielki. Być może działało się to za sprawą tylko kilku osób, ale to wystarczyło, żeby atmosfera była trudna do zniesienia. Pozornie wszystko szło jak po maśle. Wyniki próbnej matury okazały się pozytywne i dyrektor kilka razy podkreślał przy innych, że Leszczyńska to prawdziwy skarb, za to była mu wdzięczna. Była jedynie smutna, bo cóż w tym przyjemnego przechodzić codziennie przez wrogie miasto i patrzeć na nieufne spojrzenia mieszkańców.

Czytała z uwagą list i wyobrażała sobie, że znowu jest w domu.

„Masz prawo wiedzieć, że dzieci wyjeżdżają na wycieczkę szkolną do Wiednia. Jadą z nimi dwie nauczycielki i kilku rodziców. Wycieczka trwa dziesięć dni. Przyda im się trochę rozrywki. Dużo ostatnio pracowały.

Agacie dałem wolne. Obiady jem w mieście, kolacje w domu, sam! Cieszy mnie ten spokój. Chętnie odpocznę od domowych hałasów. Przed chwilą dzwoniła Twoja mama. Chciała przywieźć mi pierogi z serem (tak się o mnie troszczy). Nie ukrywam, że jest mi ciężko. Ten dom mnie niestety przerasta. Jak widzisz, już opadły ze mnie emocje, nie wściekam się o byle co, ale ciągle nie mógłbym Ci wierzyć. Boli mnie jeszcze wszystko, każda myśl o Tobie. Wczoraj spaliłem w kominku Twoje papcie, na nic się tu nie przydadzą. Wiem, że to był śmieszny gest, nie szkodzi, inaczej nie mogę się zemścić. A mścić się muszę. Takie małe akty agresji przynoszą mi ulgę.

Wyrzuciłem też swoje wszystkie koszule, były okropne. Dopiero teraz widzę, jak kiepsko chodziłem ubrany i jak mizernie wygląda moja szafa. Wcale o mnie nie dbałaś. Dziurawe skarpety, przykrótkie kalesony, niemodne spodnie, poplamione krawaty. W sobotę miałem ważne spotkanie (służbowe!), nie mogłem znaleźć dosłownie niczego. W tym tygodniu wybieram się do miasta uzupełnić braki.

W szufladzie mojego biurka jeszcze do wczoraj leżało to zdjęcie... z nim. Jeszcze do wczoraj wyłem z wściekłości na widok Twoich rozanielonych oczu wbitych w tego szczeniaka. Jeszcze do wczoraj, dziś podarłem je, koniec udręki. Chcę zapomnieć, nie dzwoń i nie pisz.

Jeszcze jedno. Dzwonił Tadeusz. Szuka Magdy. Wyobraź sobie, że ona nie daje znaku życia. Co jest do cholery, co się z wami dzieje?"

Nie miała zamiaru dzwonić ani odpisywać.

Mela nie miała zamiaru do nikogo dzwonić. Pierwszą samodzielną wyprawę do miasta zaplanowała sobie następnego dnia po przyjeździe. Irka zakwaterowała ją u swojej sąsiadki. Kobieta była dużo starsza od Meli i zupełnie samotna. Cieszyło ją towarzystwo cichej lokatorki, która jak by nie było regularnie płaciła za siebie, a oprócz tego mogła się okazać przydatna. To napełniło Melę otuchą, że ten pierwszy skok w nieznaną zaczyna się dla niej dobrze. Niczego lepszego nie mogła sobie wymarzyć.

Dostała pokój z balkonem, w którym kiedyś był, tak zwany, pokój stołowy; poza tym, nieograniczony dostęp do kuchni, a rzeczą, do jakiej się zobowiązała, było utrzymywanie idealnego porządku, wynoszenie śmieci i sporadyczne (tak obiecywała właścicielka mieszkania) robienie zakupów w osiedlowym markecie. Układ był bardzo praktyczny. Dwie samotne kobiety, żadnych cudzych dzieci ani wścibskich mężów. Kobieta nie dociekała przeszłości swojej lokatorki, właściwie nawet nie pytała. Widocznie Mela budziła zaufanie. Dowód tożsamości ledwo musnęła, za to pieniądze wzięła za dwa

miesiące z góry. Meli było wszystko jedno, bo nigdzie się nie wybierała i mogłaby i za pół roku zapłacić. Niepytana o nic, zeznała jednak, na wszelki wypadek, że przybywa ze wsi, chce pracować w mieście, ale zna je bardzo słabo. Udawała bardziej nieśmiałą, niż była w rzeczywistości. Wolała na razie zachować dystans. Jak niczego na świecie potrzebowała spokoju.

Drugiego dnia wybrała się odwiedzić swoją ulicę i popatrzeć na okna domu, w którym mieszkała. To było jej największe marzenie, chociaż wmawiała sobie przez lata, że się bez tego obędzie. Nie próbowała nawet uwierzyć, że to marzenie ma szanse kiedykolwiek się spełnić. Dalsze czekanie byłoby już dla Meli katogą.

Dojechała tramwajem tylko kilka przystanków, resztę drogi chciała pokonać piechotą. Postanowiła przejść cały odcinek od miejsca, gdzie tramwaj zakręcał i dużym łukiem wjeżdżał w aleję młodych dębów, aż pod sam dom. Nie tylko okna były dla niej ważne. Jeśli ma poznać miasto od początku, to zacznie od punktu zero. Musiała doświadczyć tego cudu z pełną świadomością, odebrać całą sobą moment powrotu po latach, do swojej dzielnicy, na swoją ulicę, przejść ją i dopiero wtedy stanąć pod domem, w którym przyszła na świat. Postawić nogi tu, i od tego miejsca zacząć swoją nową wędrówkę. Robiła to z ogromnej tęsknoty, ale również dlatego, że inaczej nic nie byłoby możliwe. Nie byłoby kolejnych narodzin i nowych planów. Tu się wszystko skończyło i tu powinno zacząć się na nowo. Boże, jak bardzo za tym miejscem tęskniła.

W łuk drogi weszła spokojna. Potem zatrzymała się i ze strachem podniosła głowę. Ulica stała otworem. Mela z trudem zachowywała spokój. Chyba w życiu nie doświadczyła szczęśliwszej chwili. Ileż optymizmu trzeba było mieć, wierząc, że jeszcze tu wróci. Szczupła i wysoka, w ciemnej sukience i w szarym żakiecie, kiedyś zazwyczaj w spodniach, tak samo prosta i tak samo dumna.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i nieśmiało spojrzała pod nogi. Bała się, że już nie odnajdzie tych samych kamieni, że musiałby zdarzyć się cud, żeby i one przetrwały. Pamiętała, że tu, zaraz za zakrętem, gdzie zazwyczaj żegnała się z Kostkiem, była taka duża płyta pęknięta w poprzek. W szparze między połówkami wyrastał wiosną mech. Teraz była wiosna. Mela spojrzała pod nogi... kamienie zostały. Dwa równe kawałki betonu, w samym środku chodnika. Ten kawałek przeszłości tak ją rozczulił, że prawie przestała oddychać. Zamroczyła ją tęsknota za Kostkiem.

Była wtedy taka zakochana. Świata poza nim nie widziała. Na tym zakręcie rozchodziły się ich drogi. On jechał dalej tramwajem, ona wracała piechotą do domu. Nie mogli z Kostkiem oderwać od

siebie oczu. Stali na tych połówkach kamienia zakochani, całując się nieprzytomnie. Aż wszystko ją od tej miłości bolało. Przymknęła oczy, jak kiedyś i czuła, że jeszcze ją boli.

Aleja dębów zmieniła się nie do poznania. Drzewa wyrosły, zamknęły się wielką koroną ponad torami, którymi, jak dawniej, kursował tramwaj. Wzdłuż szerokich niegdyś chodników, po obu stronach powstały ciągnące się bez końca parkingi. Zastłaniały Meli perspektywę drogi i już nie mogła zobaczyć jak opada w dół i kończy się na samym skraju jej domem. Przeszła piechotą całe dwa przystanki. Wysepki dla pasażerów zmieniły swoje położenie. Były teraz obudowane wiatami z pleksi i oklejone kolorowymi reklamami pism. Kamienice zmieniły się niewiele. Ten sam czarnoszary tynk, stare bramy, niektóre lepiej, inne gorzej utrzymane. W suterenach, jak kiedyś, sklepy i punkty usługowe, tylko więcej ich i bardziej rzucały się w oczy.

Kiedy wreszcie stanęła pod domem, ogarnął ją absolutny spokój. Z zazdrością spojrzała do góry. Ktoś wymienił ich okna na nowe, proste, jednoczęściowe. Tylko to od salonu miało dodatkowe skrzydło, ale bardzo wąskie. W oknach były firanki, a jakże! Może nazbyt ozdobne, ale nawet podobne do tych, które kiedyś robiła jej mama. Czuła, że wreszcie wróciła do domu. Trudno jej było uwierzyć. Stała pod oknami sypialni rodziców, pod oknem, za którym była kuchnia i gabinet taty, nie mogła tam wejść, ale i tak była nieziemsko szczęśliwa. Obiecała sobie, że znowu tu przyjdzie, żeby się ogrzać w ciepłe tego domu, a raczej w jego przytulnym cieniu. Może, jeśli starczy jej kiedyś odwagi, wejdzie na podwórko, zajrzy do ogrodu, czy stoi tam ławka, na której siadała z Norką po przyjściu ze szkoły. Ale to pozostawi sobie na później. Nie wszystko na raz. Czasu jest dość, a przyjemności trzeba dozować.

Z miejsca, w którym stała, było bardzo blisko do domu Jakuba. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy. Korciło Melę, żeby choć spojrzeć w głąb bramy, czy autentycznie ich stary dąb już nie istnieje.

Ale teraz nie dało się, jak kiedyś, po prostu przebiec ulicę. Wtedy nawet nie musiała sprawdzać, czy jedzie samochód. Tamtymi ulicami sprzed lat rzadko ktokolwiek przejeżdżał. Teraz trzeba było poszukać przejścia dla pieszych, wcisnąć czerwony guzik na słupie przy przejściu i poczekać, aż zapali się zielone światło. Mela posłusznie zgrała się z tempem ulicy. Razem z pieszymi, którzy jak ona cierpliwie czekali, przeszła wolnym krokiem w kierunku kamienicy numer sześćdziesiąt. Ileż wzruszeń dostarczyła Meli ta przechadzka. W środku cała drżała. Postanowiła, że jednak nie stchórzy. Nie daruje sobie. Mury tego domu znaczyły niewiele, ale podwórze było dla niej wszystkim.

Półmrok kamienicy otoczył ją zaraz po przejściu przez bramę. Było jeszcze dość wcześnie.

O tej godzinie podwórko zazwyczaj tonęło w cieniu. Mimo bliskości ulicy Melę otoczyła cisza. Grube mury budynków, zamykające podwórko z czterech stron świata, odbijały hałasy. Myślała, że stoi gdzieś bardzo daleko i tylko patrzy na obraz. Wszystko jakby zaklęte w bezruchu. Okno na drugim piętrze było zamknięte, ale nie balkon. Mela pochyliła się nisko, żeby ominąć zwisające ze ściany dzikie wino. Opadało nad chodnikiem długimi wąsami. Żeby przejść, trzeba je było odgarniać. Zielona ściana liści lekko szeleściła. Jeszcze kilka kroków i będzie u celu. A tam mała niespodzianka. Jest dąb. Wprawdzie mniejszy od tamtego z dzieciństwa i jakiś delikatny, niemal anemiczny, ale stoi, jak tamten, w tym samym miejscu, a pod dębem ławka. Ławka jest nowa. Tamta była drewniana. Ta ma poręcze z metalu, metalowe nogi. Nikt na niej jeszcze nie wydrapał brzydkich słów, imion i serduszek. Na tej ławce usiadła. Tak, to jest widok na Meli dzieciństwo, na to, co wszyscy jej rówieśnicy dawno już utracili, lecz ona jakby utraciła podwójnie. Dlatego szuka jego śladów uparcie i tropi, bo chce w nim pobyc chociaż jeszcze przez chwilę.

Niektórzy twierdzą że wrażenia z dzieciństwa nie są zbyt trwałe. Meli się wydawało, że pamięta wszystko. Zawsze uważała, że to podwórko ma właściwości magiczne. Ciekawe, ile jest na świecie takich magicznych miejsc, do których sięga się bez przerwy pamięcią i wciąż powraca. Zmrużyła oczy i w jednej chwili ujrzała to miejsce takie, jakie zapamiętała z dzieciństwa. Przychodzili tu wszyscy po lekcjach. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej stała ich szkoła. W tym miejscu zbierali się przed ósmą i razem biegli na lekcje. Za to w drodze powrotnej zatrzymywali się wszyscy pod dębem i zanim się rozeszli do domów, długo rozmawiali. Była ich spora grupa. Czasem ktoś zniknął, czasem ktoś dochodził. W końcu po latach zostało ich zaledwie kilkoro, a i ci w końcu się rozjechali.

Mela, wspominając, patrzyła na znajome okna, na balkon, z którego mama Jakuba wołała ich często na lody albo rzucała mu na dół śniadanie, którego wciąż zapominał. Piętro wyżej było mieszkanie Doroty, a naprzeciwko Marka. Kochali się od szkoły podstawowej. Wieczorem wyznawali sobie miłość, posługując się alfabetem Morse'a. Na drugim piętrze mieszkał Janusz, a na poddaszu jego ciotka. Zaglądał do niej często, a jak był starszy, to nawet nocował, bo często kłócił się z ojcem. Mela dobrze wspominała Janusza. Był fajnym chłopakiem, tylko dosyć nerwowym. Kawalek dalej, w bocznym skrzydle budynku mieszkała później Zosia. Jurek wynajmował jedynie pokój. Ale nie wszyscy byli mieszkańcami tego domu, część z nich mieszkała po drugiej stronie ulicy.

Wspomnienia Meli zaprawione były po równo goryczą i sentymentem. Nie ma się co oszukiwać, młodość bywa naiwna, ale z czasem człowiek potrafi wszystko właściwie ocenić. Taki bilans łatwy jest do wyliczenia, szczególnie, gdy ma się za sobą trudną przeszłość, jak ona. Siedząc tak na nowej, a w rzeczywistości bardzo starej ławce, Mela dokonywała szybkich kalkulacji. Wodząc wzrokiem po piętrach i

klatkach, po obdartych z tynku starych murach i niezbyt eleganckich chodnikach, oceniała w myślach spędzone tu lata. Wiele ważnych spraw uleciało z pamięci. Wszystko zlało się w jeden obraz i jedno uczucie przepętione tęsknotą za niedocenionym wówczas szczęściem. Wydawało się Meli, jakby życie tu trwało tylko jeden dzień. I ten tu, brzydki, odrapany dom był w samym centrum tego szczęścia.

Dochodziła dziesiąta. Słońce wolno wlewało się pomiędzy dachami i za kilkanaście minut dojdzie do drugiego piętra, a potem z góry oświetli podwórko. Kusilo Melę, żeby jak dawniej stanąć pod balkonem Jakuba i głośno zawołać. Zazwyczaj pojawiał się po kilku sekundach. Odruchowo spojrzała do góry. Potem z tym samym, o dziwo, tak dokładnie zapamiętanym odruchem spojrzała w dół na charakterystyczne okno w suterenie. Schowane dawniej za gęstym krzewem berberysu, teraz już bez niego, ale z tą samą kratą, teraz pomalowaną na czarno i zasłonką, na której były od zawsze wypłowiałe do cna słoneczniki. Aż Mela musiała wstać z ławki, żeby to sprawdzić. Przykucnęła nieśmiało przy oknie. Po słonecznikach został tylko bladokremowy ślad na poszarzałym płótnie.

— Nie do wiary — wymknęło się Meli. — One ciągle tu są. Słoneczniki na zasłonce, w oknie Salomona. Mają prawie tyle lat co moja pamięć, albo jeszcze więcej. — Wprost trudno było uwierzyć. Może, gdyby jeszcze poszukała, to poza płytami chodnika i zasłonką znalazłoby się więcej takich śladów. To zdumiewające odkrycie ożywiło w pamięci kolejne szczegóły i kogoś, kto mieszkał tu w tym czasie, co ona. Dziwny człowieczek z ogoloną głową, albo po prostu łysą. Dobrze pamięta tę twarz, z wiecznie nieruchomym spojrzeniem kogoś, kogo właściwie nie ma, i dziwnie bolesny wyraz jego ust. Widzi go snującego się pomiędzy podwórkami sąsiednich kamienic, jak przysiadła z gazetą na ławeczce i zamiast czytać, miętosi tę gazetę w dłoni. Zapatrzony w niewiadomy punkt w oddali o czymś długo myśli. Niewiele osób znało go osobiście, zdaje się, że z nikim się tu nie przyjaźnił, jakby stworzony został tylko na dokładkę, do pełnego rachunku, nie w jakimś konkretnym celu.

Mela zajrzała pomiędzy fałdy zasłonki, ciekawa, czy ujrzy coś w głębi mieszkania. Kiedyś często tam zaglądała, zresztą zaglądali tam wszyscy, których intrygował dziwny mieszkaniec suterenu. Z czasem jakoś się oswoili. Opowieści z pogranicza sensacji o jego niecnym intencjach w stosunku do dzieci, matczyne przestrogi, żeby się do niego nie zbliżać, a nie daj Bóg przebywać wieczorną porą w pobliżu okna, nigdy się nie sprawdziły. Z czasem nikt już na niego nie zwracał uwagi, a on żył sobie spokojnym życiem milczka i jeśli się z rzadka odzywał, to właśnie do dzieci. Nosił w kieszeni kromki suchego chleba i karmił podwórkowe gołębie. Kobiety bardzo narzekały, bo ptaki przysiadły później na poręczach balkonów, brudząc suszącą się pościel albo głowy przechodzących mieszkańców. W miarę upływu lat gołębie, nie wiedzieć czemu, przestały odwiedzać podwórko na Szumnej. Plotki donosiły, że ktoś na nie

poluje. Znalaziono pod drzewem kilka martwych ptaków. Ale to nie była sprawka Salomona. Widziano bowiem, z jaką czułością podnosi je z ziemi i ze łzami w oczach zakopuje pod krzakiem berberysu. Właśnie za ten wzruszający gest pokochały go dzieci.

Kiedy już nie karmił gołębi, zaczął nosić w kieszeniach cukierki i przynosił pod trzepak. Rozsypywał je na niskim murku, obleganym zazwyczaj przez podwórkową dzieciarnię. Biegały tam, jak ptaki po okruchy chleba. A on przyglądał się temu z daleka, przysłuchiwał się, o czym rozmawiają. Czas mijał, a oni wyrosli w końcu z tych cukierków. Już nie wypadało im biegać pod trzepak. Zresztą podwórko ciągle pustoszało. Niektórzy przenieśli się do innej dzielnicy, inni wyjechali z miasta. Znikali, jak kiedyś gołębie. Ale Salomon pojawiał się od czasu do czasu, a światło za zastłonką w wypłowie słoneczniki paliło się do późna w nocy. Nikt nie wiedział, co on tam robi. Właśnie wtedy najczęściej chowali się za berberysem i zaglądali do środka. Chcieli rozgryźć tajemnice dziwnego człowieka z łysą głową. Jakub, najśmielszy, próbował zagadywać, przysiadając się do niego na ławce. Było w tym z ich strony trochę kpiny. Fascynował ich, a może drażnił, trudno teraz dociekać. Odpowiadał z początku nieśmiało, później się oswoił. Wieczorami prowadzili z nim dyskusje pod dębem. Miał dla nich wiele cierpliwości, potrafił słuchać, a czasem doradzać. Dziewczyny raczej mu się nie zwierzały. Z oczywistych powodów wołały zwierzać się sobie.

Potem zmieniło się wszystko, dzieciństwo tak nagle stało się przeszłością. Gdzieś ich pognało po świecie i znikali jeden po drugim. Salomon zszedł do podziemi, pozostając dla nich wieczną tajemnicą.

Salomon mieszkał w ciemnej i zaniedbanej suterenie domu przy ulicy Szumnej. Od lat był dla mieszkańców tajemnicą. Żył życiem innych ludzi, jakby nie miał własnego. Absurdalny stan człowieczeństwa, który wyklucza własne emocje i zagłębia się w cudze losy. Zagłębianie było zresztą bardzo powierzchowne, gdyż z przyczyn technicznych poznanie całej prawdy nie było jednak możliwe. Może w stanie półsnu, jakiegoś letargu, nawiedzały go prorocze i odkrywczyste myśli? To była trudna egzystencja, naznaczona symptomami obłądzenia, prorocstwem, a może objawianiem nowych światów drzemających w nim samym. Zadręczał się troską o bieg spraw toczących się dokoła niego, a nie samym sobą.

Trudno byłoby wśród ogólnie znanych chorób psychicznych znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie takiego stanu, ponieważ większość schorzeń dotyczy przypadków, w których punktem centralnym problemu jest chory i jego kłopoty. Czyli zamykanie całego świata dookoła własnych ułomności i frustracji, skłonności do wizjonerstwa i przepowiadania końca świata. Ci wszyscy ocalają

siebie i wynoszą swoją osobę na piedestał boskości, skazując innych na zagładę, wynikającą z grzechu i wszelakich teorii złoczynienia. Takie egzystowanie jest dla otoczenia dosyć kłopotliwe, przysparza problemów i skłania do izolowania tych ludzi, po to, by utrzymać w równowadze stan ducha ogółu.

Tymczasem on nie wadził nikomu i nikomu nie wchodził w paradę. Był zwykłym, spokojnym człowiekiem. W pewnym sensie istnienie kogoś takiego, to milczące i prawie niedostrzegalne dreptanie, stało się niemal obowiązkiem, a jego obecność dawała nieokreślone poczucie stałości i bezpieczeństwa, nawet wrażenia, że tu, gdzie on się pojawia, czas stoi w miejscu. Jego nieme przewijanie się wśród okolicznych domów upewniało mieszkańców, że panuje wkoło pewien stan normalności, równowagi i porządku. Jakby był podwórkowym psem, który przez cały czas ma baczenie na stan oddanego mu pod stróżowanie terenu.

Dyskretna obserwacja, taka, która nie dybie cichaczem na sensację, jedynie szuka odpowiedzi, karmiła jego umysł od samego świtu aż po zmrok, który był kresem aktywności fizycznej. Gdy dzień wygasał, a do ciemnej sutereny wpływał powoli wieczorny mrok, Salomon siadał w fotelu i wprowadzał się w stan pozornego snu. Głowę wypełniały mu wrażenia z całego dnia, które pozbierał, szwendając się po okolicznych podwórkach, sklepach, i nasłuchując, wiązał zasłyszane informacje w fakty, a potem z precyzją godną sumiennego biurokraty skrzętnie zapisywał w jednej z wielu ponumerowanych teczek, zatytułowanych „akta osobiste”.

Wykonywał pracę Syzyfa. Kierował się chęcią poznania niezwykle krętych i skomplikowanych torów, którymi przemierzają się koleje losu. Według jego teorii ludzkie decyzje ciągle się powielają. Zauważył, że ludzie ślepo siebie naśladują. Jeśli ktoś wybrał pewną drogę w obliczu podobnych trudności, ja postąpię tak samo. Przynajmniej będę wiedział, czym to się dla mnie skończy. A więc coś na kształt owczego pędu. Spisując te zachowania, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć następstwa kolejnych wydarzeń. Łudził się nadzieją że lata mozolnej pracy w końcu zaprocentują i uda mu się odnaleźć właściwy wzór i udowodnić światu, że chyba ma rację. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że to, co robi, jest kompletną bzdurą.

Informacje zbierał wiele lat. Ze względu na usposobienie i wygląd nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Traktowano go jak element dekoracji, jak posąg, który jeśli nawet usłyszy cokolwiek, to i tak nie powtórzy nikomu. Zatem bez zahamowań rozmawiano przy nim o wszystkim, dzieci, dorośli, staruszkowie. Wystarczyło ich tylko oswoić, a historie same płynęły, bez zachęcania. Ludzie lubią opowiadać o sobie i o swoich najbliższych. Komentują i analizują. Do jego uszu docierała pełna

informacja. Wystarczyło ją nieco oczyścić z przesady i fantazji, które powstawały przy okazji plotek, konfrontując je czasem u źródła, a potem została już tylko korekta w domowym zaciszu. Pogrupował ludzi ze względu na wykształcenie i wiek, a potem próbował analizować ich losy. Tworzył wielkie diagramy, zestawienia. Gdzieś, pomiędzy linijkami prawdziwych faktów, pojawiały się czynniki z lekka metafizyczne, jakby spisujący przenikał rzeczywistość. I można by się nad tym zastanowić, bo to już nie była utopia i obłąd, a raczej nadprzyrodzona zdolność albo też skutek głębokiej wiary w misję, której się podjął i pewność, że wszystko potrafi. Codziennosc dopisywała kolejne rozdziały toczących się obok niego historii, wszystko się zmieniało, a on nanosił to cierpliwie na papier.

Z przeprowadzonych porównań wywnioskował, że człowiek, mimo nieograniczonych możliwości, trzyma się stereotypów. Boi się wyjść poza pewne ramy z obawy, że to koniec wszystkiego. Nowe rozwiązania wydają się niezbadaną pustynią bez śladu ludzkich stóp, za którymi można by spokojnie maszerować. Tymczasem to dopiero początek, punkt startu w nowe możliwości, poznawanie i kształtowanie kolejnych wcieleń, ale w tym samym życiu. Niepotrzebne są jakieś tam reinkarnacje, czekanie nie wiadomo na co, wystarczy inaczej wybrać, jeśli pierwsza wersja niezbyt się udała. Uważał, że za dużo czasu kosztuje nas praca nad wyglądem, dbanie o pozory, a zbyt mało przeznaczamy go do na kierowanie własnym życiem. Potrzeba upodabniania się losami, powielanie błędów własnych przodków, podglądanie jest powszechne, a wyciąganie wniosków z cudzych doświadczeń, zamiast przestrogą stało się sposobem na życie. Żyć bezpiecznie to znaczy typowo, na ścieżkach utartych i sprawdzonych. Po co ryzykować, przeprowadzać na sobie różne doświadczenia — niech już tak zostanie, taki mój los — mawiają — inni mają podobnie albo jeszcze gorzej. Nie mógł tego pojąć. Czyżby bali się, że życie jest za krótkie na zmiany, że trzeba mu się dać wyżyć spokojnie do końca, chociaż jest byle jakie?

Okno z poziomu sutereny pokazywało świat do wysokości kolan. Nawet siedząc w głębokim fotelu, niczego nie można było zobaczyć w całości. Wzdłuż ściany budynku, obok okna, ułożono przed wielu laty, teraz mocno już zniszczony chodnik, a może raczej uliczkę, którą codziennie przemierzali tutejsi mieszkańcy w drodze do domu. Przystając pod oknem sutereny, rozprawiali bez skrępowania o zachodzących zmianach. Bawiły się tam dzieci, zimą brudny śnieg udeptywały ptaki, karmione przez mieszkańców resztkami rzucanymi z okien. Taki widok, tylko do połowy, nie rozpraszał, a wręcz przeciwnie, sprzyjał stanom skupienia, w które Salomon często popadał, śledząc w milczeniu ruch po drugiej stronie szyby. Miał takie wewnętrzne przekonanie, że nad wszystkim panuje, ale nic nie ma zamiaru zmieniać, tylko obserwować. Pewnego dnia zrozumiał, że to jednak będą zmiany. Po czym

zdecydował się na odejście od aktywnego trybu życia, by poświęcić cały swój czas na medytację, niemającą rozwiązywać problemów, ale je wyjaśniać, uzmysławiać i opisywać.

Całymi latami katalogował rodzinę po rodzinie. Interesowało go, w jakim stopniu człowiek może wpływać na swoje życie i jaką rolę odgrywa w tym przypadkowy zbieg okoliczności, a jaką wola. Poświęcił temu cały czas i obawiał się, czy zdąży wyciągnąć wnioski. Nie był już taki młody.

Zdawało się, że zawsze wyglądał poważnie. Jako dziecko budził trwogę w rodzicach, swoimi oczami. Były wprawdzie niebieskie, ale tak płowe, że nieraz trudno było znaleźć granicę, gdzie się zaczynała tęczęwka. Miał zwyczaj, mówiąc do kogoś, nieruchomo patrzeć przed siebie. Robił wrażenie ślepeca i zachowywał się często jak ślepiec.

Potem trochę się zmienił, wyładniał, zmęźniał i nabrał dobrych manier. To mu w życiu zawsze pomagało. A pomysły na życie miał dosyć rozległe. Postanowił zaplanować je ze szwajcarską dokładnością. Przyłożył się do tego bardzo solidnie, uwzględniając dni, lata i, żeby nie przesadzić, nawet godziny, biorąc również pod uwagę, że po dwudziestu ośmiu latach dni tygodnia przypadają na te same daty. Od dziecka kochał symetrię i równowagę. Zdawał się wszystko podporządkowywać pewnym szablonom i normom. Zaplanował dokładnie całe swoje życie, przewidując też czas na naukę i na zdobycie zawodu, ale oprócz tego koniecznie chciał realizować pasje.

Jednak życie nie obeszło się z nim zbyt łaskawie, a precyzyjnie wykreślony plan szybko diabli wzięli. Historia z niego zakpiła. Stracił na wojnie niemal całą rodzinę. A gdy po długiej wędrówce wrócił do kraju, był już doszczętnie ogołcony, bez planów, bez pomysłów, bez pieniędzy. Przez kilka lat wegetował. Dzień po dniu walczył o przetrwanie, ale bez hysterii. Wszystko to jakoś przeżył, pogodził się ze zmianami, ze swoim niespodziewanym ubóstwem i marnotą życia. Gdy pewnego dnia odnalazł go jakimś cudem brat ojca, nie poskarżył się nawet słowem. Tylko w głębi duszy rozmyślał nad tym, czy już pora zakreślać plan, zapasowy.

Dzięki pełnej wyrzeczeń pomocy stryja w końcu został prawnikiem i radził sobie nieźle. Im lepiej mu szło, tym częściej zaczynał snuć na nowo plany. Ten wieczny niedosyt zmian, tęsknota za zrzuceniem starego pancerza, znienawidzonej skóry nijakiej, nie dawał mu spokojnie żyć. Niestety, powojenne realia, stan finansów, warunki polityczne odebrały mu jakąkolwiek nadzieję, że jest to możliwe. Chciał już naprawdę niewiele. Pozostawił sobie w zapasie najtrudniejszy punkt z misternego planu, bo tak naprawdę nie chciał być prawnikiem.

Ciągnęło go do Afryki. Zaplanował sobie wielkie podróżowanie, w poszukiwaniu nowej filozofii, życiowej prawdy, która była niezbędna do spełnienia postawionych już dawno zamierzeń. Do tej prawdy droga wiodła tajemniczymi ścieżkami innych kultur, przez krainy, w których ludzkie życie nabierało innych wartości i z innymi ułomnościami walczyło.

Wspomnienia z dzieciństwa, z rodzinnej, jedynej jaką przeżył, podróży do Trypolis, gdzie stryj miał duży zakład włókienniczy, zaważyły na jego planach. Urzekł go bezkresny, płowy piasek pustyni, wiatr buszujący w strojach pachnących kardamonem, w ubraniach w kolorze safari i barwnych strojach tubylców. Kiedy dorósł, marzył po nocach, żeby tam wrócić, zamknąć się w kamiennych klasztorach wśród mnichów i w trakcie długich medytacji odgrzebywać z piasku filozoficzny kamień. Kiedy był mały, matka opowiedziała mu historię Antoniego Pustelnika, jednego z pierwszych chrześcijańskich mnichów. Chciał przejść podobną drogę i zakosztować życia na odludziu. Czuł w sobie jakąś niepojętą moc, umiejętność rzadko spotykaną, zdolność eksploatacji pewnej przestrzeni mózgu, nieobjętej we władanie nauki.

Misja wyjazdu w tamte strony prześladowała go przez długie lata. Przygotował się do niej wszechstronnie, ale nie dotarł tam nigdy. Inne rzeczy też mu nie wyszły. Prawnik był z niego marny. Nie zaszedł wysoko. Okazał się słabym mówcą i bardzo kiepskim prokuratorem. Zamknął się szybko w sobie, nie miał przyjaciół ani kobiet, ani rodziny.

Po wielu latach wycofał się z zawodu, ale z pracy nie zrezygnował. Został zwykłym urzędnikiem sądowym. W Naczelnym Sądzie Administracyjnym zajął się segregowaniem wpływających skarg, wniosków i odwołań. Potem został przeniesiony do Wydziału Cywilnego Sądu Rejonowego. To mu się bardziej podobało. To było coś dla niego. Odnalazł wreszcie siebie. Stosy pism procesowych: akty, prośby, załączniki, pozwy — to były dziesiątki nietuzinkowych historii, niewiarygodnych przypadków i pechowych zbiegów okoliczności. Potem wychodził na ulicę i widział na niej zwyczajnych ludzi, na których twarzach nie mógł dostrzec nawet śladów podobnych doświadczeń. Zastanawiał się więc, skąd wzięła się w sądach taka ilość patologii. To dało przyczynek do prawdziwej pasji, niewyczerpanej potrzeby zapisywania ludzkich przypadków, by dociec, co kryje się pod uprzejmym uśmiechem przeciętnego człowieka. Nie szkodził nikomu i nikt nawet nie zdawał sobie sprawy, że czyjeś losy rosną w jego teczkach do rozmiarów narodowej epepei. Wszystko umieszczał w historycznych i politycznych realiach współczesnego miasta. Miał nadzieję, że może kiedyś ktoś wykorzysta jego pracę, że ludzie nauczą się z niej, jak trzeba żyć.

Tego dnia stał sobie przy oknie. Była już wiosna. Piękna tego roku, bo sucha i bardzo słoneczna. Oczy już niestety nie dostrzegały zieleni wyłaniającej się z pomiędzy czarnych krat. Do tego przybrudzona szyba rozmazywała skutecznie kontury obrazu. Mimo to, każdego ranka rozsuwał delikatnie bladą zasłonkę w żółte słoneczniki i swoim zwyczajem nastawiał uszu. Słyszał było śpiew ptaków, bo okno było trochę uchylone. Minęła dopiero dziesiąta, za kilka minut opiekunka przyniesie mu na śniadanie bułki i kawałek białego sera, bo to sobie na dzisiaj zamówił. Może da się zaprosić na herbatę i chwilę rozmowy. Jeśli nie będzie się spieszyć, jak ostatnio, do domu. Tęsknił do ludzi. Już prawie nie wychodził. Zimą wcale, ale teraz, skoro się ociepliło, może jeszcze posiedzi na ławce przed domem. Bardzo to lubił.

Wspiął się na palce. Kurczył się. Kiedyś mógł bez problemu zobaczyć nogi przechodniów. Tego dnia zamiast nóg zobaczył głowę. Ktoś do niego zaglądał przez szybę. Czyjaś twarz pojawiła się niespodzianie pomiędzy fałdami tkaniny. Przypomniały mu się dawne czasy. Kiedyś, już dawno temu, zaglądała do niego z podwórka dzieciarnia. Ale kiedy to było? Nawet nie warto wspominać. A te oczy, znał je, widział wiele razy. Zmieniły się bardzo, ale poznałby je nawet za sto lat. Niewiarygodne! Przetarł dłonią spocone czoło i pomyślał, że albo śni, albo majaczy, albo to dzieje się naprawdę. Obojętne, co by to było, powinien natychmiast dzwonić do Jakuba.

Jakub przetarł dłonią spocone czoło. Na biurku zadzwonił telefon. Nie sprawdził kto, brakowało mu sił na prywatne rozmowy. Oddzwoni później.

— Więc jednak będę żył, panie doktorze? — Wielkie oczy, zepchnięte chorobaw głąb twarzy, spojrzwały na lekarza, próbując wyczytać w nich, niczym w księdze przeznaczenia, wyroki i odnaleźć nadzieję, która potwierdzona dobrymi wynikami badań, rozkwitła jak majowa łąka i nadała sens kolejnym dniom życia. — Myślałem, że ze mną już koniec — oblizwał wyschnięte wargi i pogłaskał wychudzoną ręką wystający podbródek. — Z tego wszystkiego, gdy przyszło na mnie zwątpienie, przyznałem się żonie jak na spowiedzi, gdzie leży forsa, którą udało mi się na boku odłożyć. To były pieniądze dla córki i zięcia. Chciałem im pomóc w kupnie samochodu — dzielił się swoimi troskami.

Lekarz z sympatią pokiwał głową.

— Tak to jest, panie Królak. Nawet twardy chłop głupieje, gdy śmierć zajrzy mu w oczy, a baby to zaraz wykorzystają takie już są. Nie ma się czym przejmować. Najważniejsze, że wraca pan szybko do zdrowia. Córka jakoś sobie poradzi. Jest młoda, życie przed nią. Jeszcze kupi ten wymarzony samochód.

W gabinecie było ich dwóch — Królak, pacjent wydarty cudem śmierci, i lekarz wyprany z chęci do życia, marzący o pustyni, o bezludnej wyspie, o zawodzie strażnika w muzeum. Przyjmował właśnie swojego ostatniego, pięćdziesiątego szóstego pacjenta. Jeden wdzięczny bez granic za odzyskane zdrowie, stawiał święte kapliczki wzdłuż drogi do swojego domu i wznosił dziękczynne modły za darowane życie, drugi dźwigał jak tornister żale i pretensje społeczeństwa chorego na nienawiść do lekarzy.

Po wyjściu Królaka zapanowała w gabinecie idealna cisza. Jakub podniósł się ociężale zza biurka i mocno przeciągnął. Spięty kark bolał jak licho, gdzieś z tyłu, pod czaszką pulsowało tętno. Pomyślał nagle o zawale, w końcu nie był już taki młody. Ilu w jego wieku dawno gryzło piach, kto mógł wiedzieć o tym lepiej od niego? Powinien zbadać swoje serce, choćby zwykłe EKG, tylko tyle. Ale wiadomo, szewc bez butów chodzi, więc dlaczego lekarz miałby się badać? Rozejrzał się, gdzieś tu leżały jego okulary, te do czytania. Ostatnio zapomniał ich zabrać i potem w domu mógł już tylko pójść spać, ani gazet, ani książki. Przydałyby się drugie, służbowe, tylko po to, żeby o nich nie musiał pamiętać. Mało to innych spraw miał na głowie, niechby choć te okulary wykasować.

Sprawdził godzinę.

— Jak późno — mruknął pod nosem. — Cholera! Pakował w pośpiechu swoje rzeczy. Często zdarzali się spóźnieni pacjenci i czasem musiał cofać się od drzwi. Dzisiaj też została na biurku jedna kartoteka. Zabrał więc swoją torbę, wieloletniego, niemego świadka zmagania z medycznym zawodem, z ciągłymi zmianami w metodach i standardach leczenia, i sprawdził, czy dobrze zamknięta. Kochał tę torbę, obciążoną książkami, aparatem do mierzenia ciśnienia i zawsze obecną apteczką, nieodzownie potrzebną w tak zwanych przypadkach nagłych. Wyszedł z gabinetu i spojrzał na pusty korytarz. Stukanie miotły o ściany było najprzyjemniejszym dźwiękiem kończącego się dnia pracy.

— Panie doktorze, niech pan nie zamyka — niski głos Reni niósł się donośnie w pustym korytarzu.

Obok również otworzyły się drzwi.

— Ja też skończyłam — potwierdziła kobieta wychodząca z gabinetu obok. Zaszumiał lekarski fartuch przewieszony przez jej ramię i jasnoniebieski szalik z cienkiej tkaniny, który przy każdym ruchu unosił się lekko w powietrze, jakby chciał rozłożyć skrzydła i odfrunąć. W dłoni trzymała książki. — Zapodziałam gdzieś klucze — powiedziała, grzebiąc w torebce. Szal zsunął się z płaszcza na ziemię.

— I znowu kończymy razem — Jakub stwierdził odkrywczo, chwytając szalik w locie.

— Wczoraj skończyłam wcześniej — spojrzała smętnie. — Sam widzisz, jak jest. Do tego od rana nie jadłam — skrzywiła się, poprawiając spódniczkę. — Schudłam, zobacz, wszystko ze mnie leci.

— Mnie też ssie, nic dziwnego — spojrzał na zegarek. — Pora na kolację. Może wstąpimy na kebab? — zapytał.

— Sorry, ale nie mogę — wyjęła z torebki komórkę. — Podpadnę niani, naprawdę nie mogę, i tak mam godzinę spóźnienia

— dodała, sprawdzając czas. — Aż boję się wracać.

— Czemu jej nie dopłacisz, może posiedzi dłużej — poradził. — Forsa chyba przyda się młodej dziewczynie, a ty — doradzał jak zawsze — przestaniesz się codziennie katować.

— Nie ma mowy. — Potrząsnęła głową. — Jej o pieniądze nie chodzi. Gdy wracam do domu, łapie w pośpiechu torebkę i znika. Zakochana chyba.

— Szkoda — rozmarzył się Jakub. — Zamiast kebabu mógłbym cię zaprosić do siebie na zupę ogórkową — próbował żartować. — Ale jeżeli mam się narazić niani...

— Na ogórkową do ciebie nie przyjdę — oznajmiła Anna, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — Ostatnio po ogórkowej zachowałeś się wobec mnie okropnie.

— To była pomidorowa — Jakub przypomniał skruszony. — I nie po zupie, tylko po szampanie. Chciałem się tylko przytulić — tłumaczył skromnie.

— Przytulić — podniosła głos. — Ty się bezczelnie do mnie przystawiałeś.

— Tylko nie bezczelnie. Przystawiałem się całkiem kulturalnie — zaprotestował. — I mów trochę ciszej, bo Renia usłyszy — zasyczał przez zęby.

— Jest kobietą, zrozumie.

— Raczej rozgada — szeptał jej do ucha.

— Jeżeli nawet, to z dobrego serca.

— Z zazdrości, i jeszcze opowie wszystkim, że to wstyd w naszym wieku robić takie rzeczy.

— Mów za siebie, mnie mój wiek nie przeszkadza, poza tym — spojrzała lekceważąco — niby czego ma mi zazdrościć?

Jakub udawał zdruzgotanego.

— Jak to czego? — oburzył się. — Mnie oczywiście.

— Chyba żartujesz?

— Ani trochę.

— Ona jest już zajęta. — Kiwnęła w stronę, skąd dochodziło donośne stukanie.

— A ja ciągle sam — podkreślił nieśmiało Jakub. — Mnie jak zwykle nikt nie kocha?

— Mamusia cię kocha — zakpiła.

— Mamusia! — zawołał zbyt głośno.

— Ona na pewno ci nie odmówi i chętnie zje z tobą tę zupę. Ale teraz — szarpnęła go lekko za rękaw — pośpiesz się, jeszcze nas ktoś dopadnie.

— Też o tym myślałem — rozejrzał się wystraszony.

— No to co? — spytała zadziornie.

— No to spadamy! — Chwyił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów. Wyglądali jak para uczniaków, uciekających z lekcji. Torby, jeszcze przed chwilą ciężkie, teraz fruwały radośnie w powietrzu.

Pchnęli z rozpędem drzwi i wybiegli na trawnik. Wydawało się, że wszystko pędzi razem z nimi i nagle stanęli zdziwieni, bo po tej drugiej stronie świat jakby spał. Dzień przetaczał się powoli przez senną dzielnicę Warszawy, przemykał cicho wzdłuż blednących żywopłotów ligustru, przeskakiwał puste uliczki i strzelał skośnymi cieniami bloków. Bezruch i cisza osadziła ich w miejscu, aż przymknęli oczy ze zdziwienia. Anna głośno westchnęła, wciągając głęboko w płuca gorące powietrze. Jej ręka w ręce Jakuba zwiotczała. Za tym progiem, wiedziała to doskonale, czeka już niecierpliwie jej własne życie, wcale nie mniej absorbujące niż to, które opuszcza, na razie. Spojrzała z boku na Jakuba i zobaczyła zmęczoną twarz. Zgaszone oczy, smutek w bruzdach wokół ust i pochylone plecy. Jej Jakub trochę się zestarzał.

— Ale gorąco — poprawiła rozchełstaną bluzkę i błękitny szal, przylegający teraz nieruchomo do skóry na szyi.

Stali ciągle, lustrując przestrzeń, a może szukając energii, siły do tego, co jeszcze przed nimi. Ten nagły zryw szalonej radości dał chwilę czasu na nabranie oddechu. Kolory, które wdarły się w miejsce bieli, oszołomiły, zmieniając w jednej chwili depresyjny świat wyroków na świat myśli o życiu. Czuli się lżejsi. Pierzchył gdzieś wszelkie obawy, problem zawału, zmęczenie. Przez moment zapomnieli o tym, że nie mają już po dwadzieścia lat.

Miły zapach skoszonej trawy, woń napływającego skądś dymu, wymieszanego z oddechem miasta, przypomniał im, że żyją, by cieszyć się każdym dniem.

Dobrze wiedzieli, że każda minuta życia powinna liczyć się potrójnie. Wszak nikt nie jest w stanie przewidzieć tego, co zdarzy się jutro, gdy jakiś niewinny z początku objaw zmieni jednego dnia ludzkie życie w koszmar.

Zatrzymani na moment, ocknęli się po chwili z zamyślenia, stali oślepieni słońcem, zdziwieni lekkomyślnym marnowaniem czasu. Zmatowiałe oczy nabrały ostrości, podobnie jak ruchy. Już niemal bez słowa, rzucając tylko pospieszne spojrzenia, rozstali się jak zwykle, podając sobie ręce. Robili to codziennie tak samo. Przez kilkanaście lat wspólnej pracy w osiedlowej przychodni podawali sobie ręce rano i czasem, kiedy razem kończyli, przy rozstaniu. Przetrwali swoje najlepsze lata, zawsze na posterunku, bez względu na czasy, na pogodę. Zawsze niezawodni i obecni, czasem sekundanci, czasem świadkowie własnych porażek, nie tylko zawodowych. Nie dyskutowali nigdy nad tym, czy jest jeszcze sens trwać, czy nie popełnili błędu, rezygnując z dalszej kariery. Może trzeba było jednak sięgnąć wyżej gwiazd, zmienić codzienną służbę na coś, co da im również satysfakcję.

Niestety, praca lekarza rodzinnego nie miała nic wspólnego z satysfakcją. Tego nie sposób było na dłuższą metę wytrzymać. Zdani na beznadziejną jednostajność, odbierali razy za wszystkie błędy reformy, byli bowiem przyczółkiem, o który rozbijały się ludzkie pretensje. Czasami ich praca przypominała bardziej pogotowie socjalne lub urząd, niż przychodnię lekarską.

Anna jakoś lepiej zniósła tę prawdę. Jakub miotał się od dłuższego czasu. Życie samotnego mężczyzny nie było łatwe. Anna miała dziecko, coś, co nadawało sens jej życiu, założyła sobie, że poświęci się jego wychowaniu i zapomni o swoich ambicjach, ale on, mężczyzna zbliżający się do pięćdziesiątki, powinien wiedzieć i planować jakieś zmiany. Nieco zagubiony, pozbawiony naturalnego

steru, jakim jest rodzina, przysiadł i nie miał już w sobie ognia. Może to jego wina, że szczęście w miłości omijało skrętnie jego progi i grało mu od dawna na nosie.

Droga do domu przedłużała się z powodu korków. Zapchane miasto witało go o tej porze sznurem samochodów. Czasem szczęśliwy traf sprawił, że udało się przemknąć bezboleśnie, ale tym razem zapowiadał się korek gigant. W radiu ciągle to samo. Taki kogel-mogel spraw jemu odległych, a przecież gdzieś — w dalszej lub bliższej perspektywie — dotyczący wszystkich. Teraz jednak, gdy dokuczało zmęczenie i głód, reszta nie miała większego znaczenia. Pierwsze, co zrobi zaraz po wejściu do domu, to wskoczy pod prysznic, a dopiero potem ogórkowa. Cekał go jeszcze codzienny obowiązek odwiedzenia matki, mieszkającej w innej dzielnicy, po drugiej stronie Wisły, w miejscu, w którym się urodził i wychował. Ale tam pojedzie dopiero wieczorem, gdy miasto nieco ochłonie.

Powrót do domu zajął mu tym razem godzinę. To i tak nie był jeszcze rekord. Zdjął z siebie przepocone ubranie i wszedł do łazienki. W radiowej Trójce usłyszał znajomy utwór. Żałował, że nie zrobił głośniej, szum wody zagłuszał słowa piosenki.

Odświeżony i rześki, podśpiewując półgłosem, wklepywał w twarz nawilżający krem. Spojrzał na szyję.

— Cholera! — zaklął pod nosem. — Zrobiła się trochę obwisła.

Poklepał kilka razy wierzchem dłoni, aż zmieniła kolor i stwierdził, że i tak już nic nie da się poprawić.

W mieszkaniu panował chłód. Dom był stary, z grubymi murami. Do tego okna od wschodu, słońce gościło w tych progach tylko rano. Kamienica w samym centrum Warszawy. W tym domu ludzie prawie się nie znali. Na dole były biura adwokackie, jakaś agencja handlu nieruchomościami, wyżej notariusz i dentysta, a w piwnicy sympatyczny, nocny bar z dobrymi drinkami.

Na tym samym piętrze, w drzwiach naprzeciwko, mieszkał emerytowany dyrektor teatru, a piętro wyżej, na samym poddaszu, wielodzietna rodzina. Jakub czuł się bezpiecznie w otoczeniu prawników, notariuszy, emerytowanych aktorów. Dom od stóp do głów naszpikowany był alarmami, wejścia do bramy pilnował nocny stróż, a każdego dnia, po południu, do starszego pana z przeciwka przychodził dorodny goryl z czarnym wilczurem. Rodzinka nad głową raz po raz dawała się solidnie we znaki, lecz dzięki temu Jakub nie czuł się pozostawiony sobie.

Nikt w tym domu nie znał jego profesji. Ukrywał to od początku. Nie chciał być wyrywany po nocach do nagłych przypadków, jak to się wcześniej zdarzało, kiedy mieszkał na Szumnej. Udawał mruka i milczka. Nie kłaniał się, czmychał szybko po schodach jak kot, który chadza własnymi drogami i prycha, gdy ktoś zbliży się do niego na niebezpiecznie bliską odległość. Gdyby można było gdzieś kupić czapkę niewidkę, nosiłby ją tutaj na co dzień.

Gdyby można było życie Doroty cofnąć jak taśmę filmową i z precyzją odszukać klatkę, w której rozpoczęła się ta historia, wybór padłby z pewnością na moment, w którym pomarańczowy motyl usiadł na wielkim kielichu bielunia.

— Hodujemy te kwiaty od lat, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jakie są trujące — Dorota wskazała palcem na olbrzymi, sterczący w górę kielich. — Co roku wyrywam każdą wychodzącą z ziemi roślinkę. A one ciągle tu są.

— Musisz to zlecić Agacie, ona zrobi porządek, a swoją drogą co ci te kwiatki przeszkadzają. Przecież nie będziemy ich konsumować — zauważył Marek.

— My nie, ale może kiedyś nasze wnuki albo dzieci od sąsiadów.

— Na wnuki jeszcze się nie zanosz, moja droga, a nasi sąsiedzi są przecież bezdzietni.

Siedzieli na tarasie, popijając kawę. Na dużym półmisku leżał podsuszony placek drożdżowy i sterta ogryzków po jabłkach. Pod stołem pies zebrał o jedzenie.

— Marek, nie dawaj mu ogryzków. W pestkach jest cyjanek, zatrujesz go.

— Coś ty, Dorota, studiujesz toksykologię? — roześmiał się szczerze.

Dorota próbowała przeglądać gazetę.

— Nie, ale mam wisielczy humor z powodu Karoliny, prawdziwy pech z tą nogą. Gdyby złamała ją w lipcu, a jeszcze lepiej w czerwcu, mielibyśmy całe wakacje w zapasie i poszłaby normalnie do szkoły, a tak będą kłopoty.

— Najlepiej, jak by jej wcale nie łamała — odpowiedział Marek, odwracając głowę. — Spójrz tylko na nią. Wygląda na zadowoloną — próbował żartować.

— Nie wątpię — potwierdziła Dorota. — Od rana stuka w klawiaturę i wszystko ma w nosie. Za to ja na niczym nie mogę się skupić — stwierdziła zgorszona, szarpiąc nerwowo gazetę. — Pewnie znów siedzi na Naszej Klasie. Spędza na tym godziny — mruzczała wściekle, patrząc w kierunku córki, która z nogą w gipsie aż za kolano, z otwartym laptopem prowadziła z kimś ożywioną korespondencję przez Internet. Wypieki na policzkach świadczyły o sporym zaangażowaniu.

— Zabroń jej albo zabierz komputer. Masz do tego prawo — zaproponował Marek.

— Twierdzi, że się uczy. Tak szybko zmienia strony, że nie mogę jej na niczym przyłapać.

— Więc może rzeczywiście się uczy? — stwierdził, po czym z flegmą nalał sobie z termosu kawy.

Dorota spojrzała z ukosa.

— Chyba żartujesz — parsknęła głośno. — Z takimi wypiekami i takim uśmiechem? Czy tak wygląda nauka?

— Nie denerwuj się — Marek podał jej talerzyk z ciastem. — Da sobie radę, ma w zapasie spory potencjał. Porozmawiam z nią jak będzie trzeba. A teraz pij swoją kawę i skończ placek, bo osy się do niego dobiorą.

Złamanie było jednak dość skomplikowane. Cztery tygodnie w gipsie nie starczą. Lekarze orzekli, że sześć to minimum. Potem jeszcze trochę o kulach, zanim zacznie normalnie chodzić. Do tego Dorota miała zaplanowany ważny wyjazd do Bristolu z wykładami. Jak to wszystko pogodzić? Mogła wprawdzie zrezygnować z wyjazdu na rzecz kolegi, który aż się do tego palił, ale było jej szkoda stracić okazję dobrego zarobku. Poza tym, obiecała, że będzie na pewno. Kolejny rok właśnie ją zapraszali, a nie kogoś innego, więc nie wypada odmówić.

— Sam z nimi nie zostanę — Marek zgadywał jej myśli. — W wydawnictwie jeszcze urlopy. Mam masę pracy, a za tydzień zamykamy numer. Prawie nie będzie mnie w domu. Agata sobie nie poradzi.

— W ubiegłym roku nie było tak źle, radziła sobie. Przecież to zaledwie tydzień, Marek, daj spokój. — Dorota twardo nalegała. Miała już przygotowane tematy, leżały jej jak nigdy dotąd.

— W ubiegłym roku Karolina była zdrowa — nie chciał ustąpić. — To głównie ona robiła zakupy. Teraz nią się trzeba opiekować, pomóc się umyć, rozebrać. Kto ma to zrobić, ja albo Jacek?

— Więc co? — Dorota zapytała z rezygnacją. Rozumiała jego argumenty, ale jeszcze próbowała znaleźć inne rozwiązanie niż odwołanie wykładów. Podświadomie broniła swoich praw do równego traktowania. Ale nie chciała napierać na oślepa. Jak zawsze krok w tył, a potem dwa kroki do przodu. Znała Marka i miała swoje metody.

— Przełóż te wykłady na październik. Mówiłaś, że to możliwe — przypomniał jej rozmowę, w której rzeczywiście brała to pod uwagę.

— Już nie. Instytut zaakceptował termin wrześniowy. Nie zmienię dla mnie grafiku.

— No to się zamień z kimś. Mówiłaś, że ktoś ma tam jechać na początku grudnia i że mu nie pasuje. Albo odstąp temu młodemu doktorantowi, jak mu tam... ? — teraz już chyba żartował. — Temu, co ci depcze po piętach i czeka, żeby wskoczyć na twoje miejsce.

- No tak, skoro uważasz, że powinnam zostać — zaczęła wdrażać swój plan — to chyba nie mam wyjścia. Jeszcze dzisiaj zadzwonię i zapytam. — Ze spokojem wyjęła z torebki komórkę i szukając numeru, wydawała dyspozycje Agacie. Marek, widząc to, podrapał się w głowę.

— A może poprosisz Magdę — zaproponował szybko. — Ma dwie córki, będzie się znała na wszystkim. Kiedyś też jej pomogłaś. Pamiętasz?

— Matko! Kiedy to było. Chyba sto lat temu. Pewnie już dawno o tym zapomniała.

— Zapomniała czy nie, jest w końcu twoją koleżanką. Była niedawno, umawialiście się razem do fryzjera.

— Miała zadzwonić, ale już się nie odezwała — przypomniała Dorota. — Chciała mnie zaprowadzić do jakiegoś cudotwórcy. Ale wiadomo, jak Magda dotrzymuje słowa. Ciągłe chodzi z głową w chmurach.

— Zawsze była trochę nieprzytomna, trochę inna niż my wszyscy, tacy twardzi, pewni siebie. Lubię ją za to. Mężczyznom podobają się takie kobiety, trochę bezbronne, zamyślane, romantyczne — Marek drażnił się z żoną. Wiedział, że zaraz zacznie się dopominać komplementów. Była o niego zazdrosna, tak mu się przynajmniej wydawało. Pilnowała go na każdym kroku. Często dzwoniła do pracy, czasami wpadała bez zapowiedzi.

Ale tym razem Dorota nie zaskoczyła. Starania Marka, żeby w niej wzbudzić uczucia zazdrości spełzły na niczym. Pojawiły się problemy, więc próbowała je jakoś rozwiązać. Teraz problem stanowiła Karolina, a właściwie sześć tygodni zwolnienia lekarskiego z powodu złamanej nogi. Znała swoją córkę, jest leniwa, wykorzystła sytuację. Trzeba zadbać o to, żeby nie miała zaległości. Największy problem stanowiła matematyka. Jak sobie odpuści, nie da rady nadrobić.

Jacek, rok młodszy, też miał problemy z liczeniem, może upiec dwie pieczenie na raz? Zapadła decyzja. Zorganizują dzieciom korepetycje. Dorota rozpuściła wici wśród znajomych, ale o odpowiednią osobę było bardzo trudno. Dzieci były trochę rozpieszczone i przyzwyczajone do samowoli. W ich domu, gdzie nigdy nie było za wiele mamy i taty, a spokojną Agatę łatwo dawało się wodzić za nos, potrzebna była osoba z odpowiednim podejściem. Powinien to być ktoś zdecydowany i wymagający, kogo dzieci zbyt szybko nie zadręczą humorami. Koleżanka z uczelni poleciła jej młodego asystenta, który prowadził u nich na pierwszym roku zajęcia z matematyki. Chwaliła go za ciekawe podejście do studentów, twardą rękę i pedagogiczny dryg. Sprawa została szybko sfinalizowana i klamka zapadła.

Wykłady jednak przepadły. Okazało się, że noga słabo się zrasta i trzeba założyć trochę wyższy gips. To uniemożliwiło Karolinie poruszanie się nawet po domu. Trudno, zdrowie dziecka było dla Doroty ważniejsze. W końcu jakoś to przeboleła, a nawet znalazła dobre strony tej sytuacji. Dzięki temu mogła nieco odpocząć.

Na początku września pojawił się w ich domu Paweł. Wszedł od strony ogrodu, przez taras i zapukał w ramę okienną. Dorota podniosła głowę znad gazety i spojrzała pod światło. Stał za firanką z twarzą ukrytą w cieniu. Wielka sylwetka odbita na ażurowej tkaninie i twarz pozbawiona rysów.

— Prawdziwy King Kong — pomyślała ze strachem. — Proszę do środka — odezwała się niepewnie, jakby w obawie przed tym, co za chwilę zobaczy. Mówiła chyba zbyt cicho, bo postać pozostała w bezruchu. Wtedy rozsunęła zasłonkę. Cień ruszył bez słowa, jednym krokiem pokonując przestrzeń. Wszedł, stanął pośrodku pokoju na szeroko rozstawionych nogach i bez słowa podał jej rękę. Miała wrażenie, że bezbarwne oczy przechodzą na drugą stronę jej ciała, jakby była powietrzem. Poczła nagłą senność i wiotkość w kolanach. — Co, do diabła? — pomyślała przestraszona. — Kto to jest? — Rozpaczliwie próbowała zrozumieć stojące przed nią zjawisko. Jego ręka była ciepła i sucha.

— Paweł! — oświadczył jednym słowem. — W sprawie korepetycji.

— Leszczyńska — wykrztusiła.

— Homer — przedstawił się i widząc zdziwienie, dodał: — To moje nazwisko.

— Aha? — Dorota wciąż była zmieszana, chociaż już mniej przestraszona. Już nie wydawał jej się taki wielki, może ciut wyższy i lepiej zbudowany niż inni. Pierwsze nieprzyjemne wrażenie minęło. To tylko światło zachodzącego słońca nadało grozy sylwetce.

— Nie spodziewałam się pana z tej strony. To znaczy, od strony ogrodu. Nieznajomi wchodzą do nas zwykle przez drzwi wejściowe — próbowała grzecznie wyjaśnić mu nietakt.

Nie jestem nieznajomy, już się przedstawiłem — Homer.

— A tak, rzeczywiście, Homer. W takim razie proszę dalej, panie Homer.

Tak się właśnie poznali. Niczego nieświadomi, zatrzymali na sobie obojętne spojrzenie, bogate w emocje o tyle, ile tego warta była sytuacja. On chciał zarobić, a ona znalazła nauczyciela dla swojego dziecka, i co tu ukrywać, zapłaciłaby niemal każdą cenę za pewność, że to nie będą pieniądze wyrzucone w błoto. Przyglądała się z dystansem młodemu człowiekowi, ciekawa, czy sobie poradzi i czy ta efektowna i nieco pretensjonalna para idzie w parze z umiejętnościami i wiedzą. A on, wytrawny znawca nastroju, specjalista od szokowania, chciał wypróbować na niej swoje metody. Skąd brała się ta pewność siebie? Żadnych zahamowań, kompleksów, zero skrępowania, totalna arogancja. Patrzył oczami sępa, mówił do niej wydatnymi, połyskującymi wargami.

— Jest brzydki — pomyślała wtedy. — Szkaradny, przestraszy dzieci.

Ale nie przestraszył. Usiadł w ich pokoju, zajmując swoim ciałem połowę tapczanu. Dyktował warunki i ustalał reguły. Dzieci zahipnotyzowane nie protestowały. Zasluchane, przejęte nową sytuacją nie miały odwagi przeszkadzać. Dorota starała się nie wchodzić Homerowi w drogę, jakby postępy dzieci były jej obojętne. Wystarczyło, że Karolina z uwagą odrabia zadania i całymi dniami ślęczy nad książką. Zresztą zaczął się już październik, a z nim nowy rok akademicki. Dorota coraz rzadziej bywała w domu. Często mijali się z Homerem w drzwiach, wymieniając krótkie pozdrowienia, a kiedy indziej spotykali w holu, ona wracała, on wychodził. Nie był skory do rozmowy. Zdawkowo odpowiadał na pytania, nie chwając podopiecznych ani się na nich nie skarżąc. Robił wrażenie gruboskórnego typu. Typ, to było najlepsze określenie na Homera. Wieczorami przy rodzinnej kolacji często opowiadano sobie o nim anegdoty. Ale jeśli chodzi o efekty pracy, niczego nie można mu było zarzucić.

Czas mijał, noga Karoliny dobrze się zrastała i w końcu można było zdjąć gips. Za kilkanaście dni wracała do szkoły. Materiał z matematyki i innych przedmiotów był na bieżąco przerobiony, więc nic nie stało na przeszkodzie, by przerwać spotkania z Homerem. Ustalono, że w razie kłopotów skontaktują się telefonicznie. Rozstanie odbyło się w rodzinnej atmosferze. Pan Homer wypił kilka piw, rozluźnił się, na ile pozwalało mu usposobienie i odszedł w ciemną otchłań październikowej nocy, zostawiając na wieszaku swoją kurtkę i zarobione u nich pieniądze. Zadzwonił po tygodniu. Miał przyjść po nie w piątek rano. Nie przyszedł.

— Coś mu wypadło — tłumaczył go Marek, pakując torbę. Zajęty był myślami o podróży. Czekali go trudne negocjacje i spotkania dotyczące finansów. Nie zauważył jej oczu, przymrużonych i rozbieganych, trochę nieprzytomnych. Nie zauważył, że zachowuje się jakoś dziwnie, całkiem inaczej niż zwykle, że prawie się nie odzywa. Myślał tylko o swoim wyjeździe. Jechał na kilka dni do Warszawy. Dzieci odwoził na weekend do dziadków, bo Dorocie potrzebny był spokój do pisania kolejnej publikacji.

Gdy dom opustoszał, zabrała się do porządków. Nie miała wiele czasu, bo wieczorem umówiona była ze swoim wydawcą. Pojechała tam pełna obaw, czy przygotowany materiał wystarczająco zainteresuje również sponsora. Zbyt mały nakład wykluczał opłacalność, więc potrzebne były dodatkowe pieniądze.

Wróciła późno, potwornie zmęczona. Wielokrotne czytanie tego samego tekstu znużyło ją i postanowiła spędzić wieczór przy lżejszej lekturze. Potrzebowała chwili odprężenia. Jakoś było jej za mało powietrza w pokoju. Chodziła nerwowo po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Światło okrągłego jak melon Księżycy wpadało przez okno. Otworzyła drzwi na taras i wyszła na zewnątrz. Chciała poodychać zapachami lata, które ukryte gdzieś w gałęziach i krzewach pod domem przywodziły na pamięć wspomnienie upalnych wieczorów czerwca i lipca. Czuła ostry zapach oszalałych turków, które o tej porze bezwstydnie panoszyły się wszędzie.

Noc mieszała ze sobą przytłumione hałasy miasta i dźwięki z przyległych ogrodów. Liście jesionów błyszcząły złotem na płycie tarasu. Usłyszała odgłos kroków dobiegających z drugiej strony domu. Pies nerwowo zaszczekał. Przestraszyła się.

Cofnęła się do mieszkania, zatraskując za sobą wejście na taras. Rozległ się dzwonek. Ktoś szarpał nerwowo za klamkę.

— To ja, Homer! — usłyszała przez drzwi.

— Paweł? O tej porze?! — odezwała się zaskoczona. — Co się stało, dlaczego tak szarpiesz? Przestraszyłeś mnie! — wściekła się. — Nie potrafisz kulturalnie zadzwonić?

Wszedł. Miał na sobie wygniecioną bluzę i golf, a w ręku butelkę wina.

— Przyszedłem się rozliczyć.

— Popisuje się czy jest pijany? — pomyślała. — Podniósł na nią wzrok i w jednej chwili zrozumiała, że on nie przyszedł po swoje pieniądze, nie to zobaczyła w jego płomiennym spojrzeniu. Butelkę wina rzucił na ziemię. Uderzyła głucho o dywan, a potem potoczyła się po parkiecie i zatrzymała na nodze od stołu. Dorota chciała ją podnieść.

— Zostaw — powiedział i podszedł zupełnie blisko. Poczwała jak podnosi ją w górę, a potem opuszcza powoli i dotyka jej suchych, beznamiętnych ust swoimi, mokrymi i gorącymi. Poczwała na policzku chłód skóry. Zamknął jajak w kokonie, otoczył bez słowa. W oczach miała jeszcze księżyc. Zapach jesieni wisiał w powietrzu. Dorota poddała się bezwolnie. Topiła się jak rozgrzana cyna. Absolutny odlot, czwarte wtajemniczenie, totalne czary-mary. Było jej cudownie. Odrętwiała i szczęśliwa pocwała pod nogami miękkość dywanu i gorący oddech na szyi. Nie opierała się zbyttnio. Czekwała, dokąd jest zdolny się posunąć, co jeszcze gotów jej zrobić? Przez szelest ubrań, szum oddechów dobiegł jej uszu niepokojący dźwięk.

Otwierały się drzwi, zadzwoniły klucze.

— Spóźniłem się na pociąg — usłyszała. — Znowu nie zamknęłaś drzwi — to był głos Marka. — Kiedyś sprowadzisz nieszczęście na dom — powiedział jak zwykle.

Dla Meli pierwsze dni na wolności były straszne. Czwała się nieszczęśliwa. Praca w szpitalu, którą jej załatwiła Irena, nie była ciężka, ale jak każda wymagała sporej dyscypliny. Pracowała już czwarty tydzień i wciąż się spóźniała. Trudno opisać, jak bardzo brakowało jej więziennej celi. Spełniły się przestrogi koleżanek, że doczeka momentu, gdy za nimi zatęskni. Bo tu, w świecie, o którym śniła, nic nie było proste i nie było takie oczywiste jak w więzieniu. Gdy się w nim żyje niemal od zawsze, można się z czasem ze wszystkim oswoić. Także z tym, że nie traktują cię jak człowieka. Zanim codzienność da się zaakceptować mijają lata, ale potem wszystko jest bardzo proste. Wystarczy tylko zrozumieć i bezwzględnie przestrzegać praw dżungli.

Społeczność więzienna, jak każda inna, miała swoje prawa i niepodważalne zasady. Po latach Mela czuła się tam jak ryba w wodzie. Unikano problemów. Tylko raz czy dwa za kimś się wstawiła i bardzo źle na tym wyszła. Ale nawet w najgorszych momentach miała swoją celę, w której mogła się schować, trzy razy dziennie dostawała posiłek, miała czas na rozmyślanie, a pracowała dla przyjemności.

A teraz, na wolności, niczego się nie dało przewidzieć. Skończyły się dobre czasy, praca stała się obowiązkiem. Nie przewidywała, że tak bardzo odczuje różnicę. Przez kilka dni musiała się mobilizować, żeby nie narobić głupot. Taka zawsze rozsądna i wyważona, teraz traciła grunt pod nogami. Życie na wolności nie okazało się wcale takie piękne. Nikt po nią nie przychodził do celi, nie otwierał ciężkich drzwi, wołając po imieniu. Nie było służby więziennej, która dbała o to, żeby wszystko było na czas gotowe.

Początkowo Mela myliła tramwaje i nie potrafiła odpowiednio zaplanować dnia. Wciąż komuś podpadała przez swój niewyparzony język i bezpośredniość. Relacje międzyludzkie były dla niej bardziej dwuznaczne i mniej czytelne niż w zakładzie. Trzeba się było wszystkiego domyślać, bo nikt nie mówił otwarcie tego, co myśli. Irka musiała Mela tłumaczyć i udowadniać, jak jest naprawdę.

Małymi kroczkami Mela pokonywała codzienność. Pierwszy uśmiech zagościł na jej twarzy, gdy w kasie odebrała swoją pensję. Pomyślała, że to bardzo przyziemne, będąc wolnym, cieszyć się z pieniędzy. W więzieniu cieszyłaby się z listu od koleżanki albo z lodów w upalne lato, pieniądze nie były jej wtedy potrzebne. Te, które teraz zarobiła, liczyła kilka razy i nie mogła uwierzyć, że to już miesiąc, jak pracuje. Przecież dopiero wczoraj przebyła swoją pierwszą drogę do wolności.

Na pierwsze zakupy wybrała się sama. Nie wiedziała nawet, co ile kosztuje. Dotychczas nosiła to samo ubranie, piorąc je wieczorem i susząc, żeby założyć rano. W masie towarów nie wiedziała, na co się zdecydować. To, co chciałaby mieć okazywało się zdecydowanie za drogie, reszta jakaś bez gustu. Błądziła samotnie po piętrach centrum handlowego, nie mając pojęcia, co będzie dla niej najlepsze. Wreszcie znalazła sklep dla kobiet w jej wieku, w którym ceny nie wydawały się szokujące, a propozycje całkiem do rzeczy. Powiedziała ekspedientce, kim jest i o co jej chodzi, wprost, nie owijając w bawełnę. Ekspedientka o nic nie pytała. Z grzecznym uśmiechem zaproponowała pomoc.

Mela przekonała się już wielokrotnie, że czasami opłaca się przyznać do swojego statusu. Ludzie bowiem chcą i lubią pomóc, szczególnie, gdy ktoś ich poprosi. Potrafią zrozumieć i docenić szczerość. Postanowiła wykorzystać ten fakt. Musiała się przecież wiele nauczyć. Przez prawie ćwierć wieku otaczała ją brzydota i ubóstwo. Liczyła się walka o przetrwanie. Z czasem walka stała się jak oddech. Brud i

brzydota były jedynie nic nieznaczącymi szczegółami. Rządziły prawa buszu, a nie styl i smak czy kolor. Tych słów nikt tam nie umiał używać. Kobiety zapominały, do czego służą mięśnie twarzy, że usta są również po to, żeby się uśmiechać, że to także jeden z elementów mimiki, z której można korzystać do woli, że oczy mogą wypełnić się łzami szczęścia, a nie tylko złością i bólem. Tego się Mela musiała nauczyć od nowa i do tego właśnie potrzebni jej byli ludzie.

Wyraz napięcia powoli zniknął z jej twarzy, brwi, wciąż uniesione do góry, wiecznie zdziwione tym, że można tak bardzo zawieść się na życiu, teraz z ulgą opadły, zrobiły się proste i płaskie. Mela czuła, że wszystko w niej, nie tylko te brwi, z każdym dniem łagodnieje. Opadły ramiona, tak że teraz wydawała się niższa, włosy nie sterczały już na wszystkie strony, ale układały się całkiem przyzwoicie. Usta też zmieniły swój kształt. Ktoś powie, że to dzieło skalpela.

Ze sklepu wyszła w nowym ubraniu, stare zapakowała do reklamówki, jeszcze się przyda na czarną godzinę. Spoglądała ukradkiem na swój cień, odbijający się w szybie. Ogólnie była zadowolona. Stwierdziła, że może być. W końcu czas się ujawnić, zadzwonić do Kuby i do innych. Trzeba przełamać żale, nie można ich o nic winić. Nie powinna obciążać kogoś czymś, co właściwie go nie dotyczy.

W drodze mijają sklepy. Ocierała się niemal o ściany budynków. Coś jej zostało z więziennych zwyczajów. Tam też często podparła ściany. Lubiła bijące od murów ciepło. Nie wiedziała dlaczego, ale fakt, że tam czuła się pewniej, dawał jej do myślenia.

Wciąż nie mogła nasycić oczu wystawami. Tyle było wokół kolorów i ich odcieni. Najbardziej jednak kusily ją ciastka. Zawsze lubiła słodczyce, ale tak się głupio złożyło, że właśnie ich zjadła w życiu najmniej. Za to teraz, każdego dnia testowała kolejno ciastko po ciastku. Te kolory! Była wciąż małą dziewczynką bezbronną wobec zapachów i barw. Zapominała o zdrowym rozsądku.

Tego dnia chciała uczcić ciastem swoje pierwsze zakupy. Każdy pretekst był dobry. W końcu to święto. Już nawet wiedziała, które dziś wybierze. Z wyborem nie miała kłopotu, szła rząd po rządzie. I to rozkoszne ciepło w żołądku, i serce, które jak motyl trzepotało, i oczy, zamiast rąk odwijaly cieniutki papier, zanim jeszcze doszła do domu.

Wracała do siebie. Delikatna pianka w reklamówce, z wisienką w środku i czekoladową polewą nic nie ważyła. Chciało jej się machać siatką ze szczęścia. Nowe buty trochę uwierały, ułożą się z czasem, to pewne, zawsze się jakoś układały. Miała to gdzieś — będzie odcisk, czy nie, cóż to mogło teraz dla niej znaczyć. Uleciały z niej lata i dręczące wspomnienia, żyła i będzie żyć. Już nic jej nie grozi, i dlatego była

szczęśliwa. Przebiegała na skos ulicę, przy której mieszkała, minęła pocztę i bank, potem chodnikiem wśród zadbanej zieleni, obok ławek z emerytami siedzącymi ciasno na ławce, jeden przy drugim, później prosto aż do kiosku, w lewo, w prawo, jeszcze w lewo. Można było dostać zawrotów. I już tylko dwa kroki dzieliły ją od wejścia na klatkę. Minęła jeszcze małą klinikę stomatologiczną której budynek ktoś przezorny umieścił w samym centrum osiedla. I nic, żadnego przecucia. A przecież wpadli na siebie. On by ją z pewnością przegapił, niczym się przecież nie wyróżniała z tłumu. Mela, jak zawsze bystra, wczepiła się w niego oczami.

— Jezu! — jęknęła tak głośno i tak dramatycznie, że aż się obejrzał za siebie. Zamiast on ją podtrzymać, ona ratowała jego, żeby jej nie upadł pod nogi. — Marek? — wypuściła powietrze z wrażenia.

— Mela!? — odpowiedział głos. — Mój Boże, Mela! Nie wierzę, to ty? — dopytywał zdumiony. Widok Meli wyprowadził go całkiem z równowagi. Wydawało się tak niedawno, jak rozmawiał o niej z Dorotą a stoi tu przed nim cała i zdrowa. Wprost trudno było uwierzyć. Tyle minęło lat, czas ją wykreślił ze świata żywych. Obecna była jedynie w wyblakłych wspomnieniach. Taka daleka, taka nierealna, a tu jest, zupełnie prawdziwa.

Stali naprzeciw siebie, zakłopotani, i nie wiedzieli, co jeszcze powiedzieć, jak rozładować cierpką ciszę. Tyle lat i całkiem inne życie, przeszłość, która przez niego już dawno została pochowana.

— Jak widzisz, ciągle wśród żywych — patrzyła na niego zachłannie. — Nic się nie zmieniłeś — stwierdziła.

— Matko! Mela. — Marek nie mógł jeszcze z tą prawdą dojść jakoś do ładu. Powtarzał jej imię bez końca, bo tylko to przyszło mu w tej chwili do głowy. — Jak dawno, od kiedy, kiedy? — cały czas próbował powiedzieć coś z sensem.

— Wyszłam miesiąc temu. — Próbowała jakoś mu pomóc.

— Jeszcze nie okrzepłam do końca, jakoś zwlekałam. — Usprawiedliwiała swoje zachowanie. — Próbuję się tutaj rozgościć, odnaleźć. — Zrobiła ręką dziwny ruch, jakby to wszystko dokoła niej było obcą planetą. — Mam duże zaległości. — Usiłowała żartować.

— Mela. — Marek szarpał ją bez przerwy za rękaw. — Usiądźmy gdzieś, proszę, przecież trzeba spokojnie pogadać.

— Panicznie się rozglądał za ławką

Uśmiechała się do niego szczęśliwa. Uprzedzenie i żal, uczucie rozczarowania wywietrzały. Cieszyła się jak dziecko ze spotkania. Jego siwe włosy na skroniach, i że to nie jest złudzeniem, mirażem, a najprawdziwszą prawdą to właśnie było wspaniałe.

— No, to co my tu robimy? — zapytała radośnie. — Trzeba jakoś uczcić spotkanie, choćby tylko kawą— dodała z uśmiechem. — Niedaleko jest mała cukiernia, byłam tam przed chwilą po ciasto. Niestety — skrzywiła się — nie mogę cię do siebie zaprosić. Wynajmuję tylko pokój w bloku — kajała się szczerze.

— Ależ rozumiem. Cukiernia będzie w sam raz — zapewniał odczo. — Chodzi o to, żeby gdzieś usiąść. — Rozłożył ręce w przeproszającym geście. — Muszę się przyznać, że twój widok zrobił na mnie wrażenie. Aż mi wstyd — tłumaczył Meli, śmiejąc się przy tym. — Zaskoczyłaś mnie.

— Nie chciałam cię przestraszyć. Ale doskonale rozumiem. To musi robić wrażenie. — Stała trochę zmieszana. — To co? — w końcu zapytała. — Idziemy?

— Idziemy, oczywiście — zreflektował się Marek, próbując wziąć od niej torbę z zakupami.

— O nie, torby nie oddam. Co bym zrobiła z rękami? — roześmiała się szczerze.

Na szczęście nie było problemu z wolnymi miejscami.

Marek poszedł zamówić kawę i przyniósł ją za chwilę do stołu. Wsypał sobie cukier, zbierając precyzyjnie rozsypane kryształki. Długo mieszał, odwołując moment, w którym będzie już musiał spojrzeć Meli w oczy.

— Nie mam odwagi zapytać, ale pewnie od tego powinienem zacząć — odezwał się w końcu.

— Wysłałam miesiąc temu — powtórzyła na wszelki wypadek. Nie miała powodu, ale poczuła coś na kształt satysfakcji, choćby z faktu, że zatrzymała wszystko w tajemnicy. Patrzyła mu prosto w oczy, nie czując zakłopotania. — Chciałam się wam zameldować — powiedziała szczerze. — Ale czas tak szybko ucieka, zanim się zadomowiłam, minął miesiąc.

Zauważyła, że Marek przygląda się jej z zainteresowaniem, delikatnie taksuje i, ocenia, przesuując wzrokiem po twarzy, spoglądając na ręce, jakby to z nich chciał wyczytać najwięcej.

— Nie tłumacz się. Najważniejsze, że jesteś, wolna i uśmiechnięta, tylko to się liczy. My poczekamy cierpliwie aż sama zatęsknisz i dojrzejesz. Wiem, co czujesz. — Pokiwał głową. — Czułbym to samo.

— Dziwnie mi — powiedziała cicho. — Nie do końca wszystko rozumiem. Rozglądam się, odkrywam miasto i w ogóle, muszę sobie wszystko przemyśleć. — Spojrzała na niego.

— Nie jest mi łatwo. Jeszcze niedawno takie mi się wydawało odległe to, że wyjdę, i nierealne. A teraz, zobacz, siedzę tu z tobą i pijemy kawę. — Oczy Meli iskrzyły.

Tematy i wątpliwości wisały w powietrzu, a żadne z nich nie miało odwagi zapytać. Mela poprawiała nerwowo kwiaty w wazoniku, a Marek patrzył przez okno.

— A jak sobie radzisz, pracujesz gdzieś? — zaczął ją wypytywać. — Może ci w czym pomóc?

— Jakoś się trzymam. — Upiła nieco kawy, głośno przełykając. Słowa ciężko przechodziły jej przez gardło. — Pracuję w szpitalu, ale dzięki za propozycję pomocy, kto wie, może jeszcze skorzystam. — Zebrała się w sobie. — Muszę nabyć pewności siebie, zaakceptować nowości, a potem pomyślę dalej. Zgłoszę się w odpowiednim czasie.

— Co robisz w szpitalu? — zapytał.

— Jestem salową— odparła bez skrępowania. — Robię, co do mnie należy, w miarę możliwości dokładnie — zaczęła się śmiać.

— Powiedz mi, proszę — powiedział poważnie. — Czegoś cię nauczyli w tym zakładzie karnym? — zadał jej to bezlitosne pytanie. — Nie gniewaj się — poprosił. — Nie pytam złośliwie. Po prostu chciałbym to wiedzieć, bo gdyby czasem coś się u mnie znalazło odpowiedniego, to dałbym ci znać.

— Wiesz, sprzątać już potrafię. Przeszłam nawet szkolenie. Więc w razie czego... — stwierdziła.

— Nie myślałem wcale o sprzątaniu — pominął zaczepkę. Patrzył na nią z powagą.

Zrozumiała przesadę, przecież to było tylko koleżeńskie pytanie.

— Znam chyba dość dobrze angielski — spieszyła się trochę. — Miałam czas, żeby się nauczyć. Obsługuję dobrze kilka programów na komputerze. Ale na to nie mam papierów. Po prostu umiem i tyle.

Nie wiem również, czy moja wiedza jest ciągle aktualna. Kurs przeszłam jakieś trzy lata temu. Pewnie od tego czasu wiele się zmieniło.

Zauważyła, że Marek spogląda z podziwem.

— Zmieniło się co nieco, ale bez przesady. Najważniejsze są jak zawsze podstawy. Resztę się uzupełni. Jeśli zechcesz, już teraz załatwię ci kurs. Kilka tygodni i będziesz śmigać. I dostaniesz na to papiery — roześmiała się szczerze. — Tylko powiedz kiedy — zachęcał, patrząc jej w oczy, i widać było, że nie żartuje.

— Jesteś kochany — czuła się skrępowana tą gotowością. — Może skorzystam, kiedyś — dodała. — Jeszcze nie czas, Marek, powinieneś to wiedzieć.

— Ale dlaczego? — nalegał. — Przecież nic nie stoi na przeszkodzie. Nie jesteś z nikim związana, póki co. Masz czas i chęci, bo w to raczej nie wątpię — namawiał gorąco. — O pieniądze na kurs się nie martw. Jest bezpłatny. Unia ci zafunduje, a ja tylko załatwię miejsce. Wystarczy, że będziesz chciała. Dam ci swój telefon, zadzwoń. Zorientuję się w sprawie terminów. — Wyjął z kieszeni komórkę i zaczął szukać w kieszeni długopisu.

— Może trochę później — Mela próbowała się bronić. — Wezmę na razie numer telefonu. To zupełnie wystarczy. — Wyjęła komórkę. — Podaj, zapiszę sobie.

Marek tylko bezsilnie rozłożył ręce. Czuł, że trafił na opór. Zrozumiał, że chyba się trochę z tą pomocą pospieszył. Był nawet zły na Melę, że nie docenia troski, ale zaraz się zreflektował. Ona przecież niedawno przybyła z innego wymiaru. Musi się najpierw oswoić. Podał jej numer bez słowa, a właściwie osobiście zapisał. Nie radziła sobie jeszcze z komórką. Pokazał kilka sztuczek, jak zapisać, jak wysłać wiadomość. Jak zrobić zdjęcie i jak doładować, kiedy skończą się już impulsy.

— Może podasz mi telefon Doroty — upomniała się Mela.

— Spróbuję teraz zapisać sama, sprawdzisz, czy robię to dobrze.

— Świetnie jej się rozmawiało z Markiem. Niepotrzebnie tak się tego bała. Pewnie z innymi też gorzej nie będzie. Przygotowała telefon, ustawiając w nim nowy kontakt. — No, jestem gotowa — spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

Marek nie odpowiadał. Czegoś szukał nerwowo w kieszeniach. Nie patrzył na nią. Dziwnie się miotał, mamrocząc do siebie półgłosem. Uśmiechnął się jakoś tak dziwnie. Otworzył teczkę, którą przyniósł ze sobą.

— Miałem gdzieś zdjęcia dzieci — tłumaczył się, przeglądając obszerny portfel. Nie szło mu to szukanie. — Chyba jednak nie znajdę. Niedawno tu były, czyżbym je wyjął? — spojrzał i znów dziwnie się do niej uśmiechnął. — Tak, zdaje się, że pytałaś mnie o Dorotę. Hm... Dorota, no cóż... — wahał się, czy powiedzieć prawdę. — Wyprowadziła się. Nie mieszkamy już razem. — Wypluł to jednym tchem i dziwił się, że to bolesne wyznanie całkiem lekko przeszło mu przez gardło. — Rozstaliśmy się jakiś czas temu, jesienią. Chyba w listopadzie. — Udawał, że nie pamięta, a przecież datę wyrył sobie głęboko w sercu. — Odeszła — brnęła dalej, czekając, co powie Mela. Przyjął obojętną pozę, pełną arogancji, po to, żeby nie miała odwagi zapytać, dlaczego jej na to pozwolił. Rozpacz w oczach aż biła od niego, łyż tuż, tuż, jeszcze słowo, a same polecą.

Mela była przerażona. Mogła już sobie darować, ale jak tu nie pytać o Dorotę, skoro rozmawia z jej mężem?

— Nic nie wiedziałam — próbowała jakoś z tego wybrnąć. — Moje informacje z wiadomych powodów nie są aktualne. Wiem tylko to, o czym powiedział mi Jakub. Oprócz niego i Janusza, nikt z was mnie nie odwiedzał. Dlatego teraz staram się nie narzucać. Sama muszę sobie poradzić. Nikt inny mi nie pomoże nauczyć się życia od nowa.

— Jesteś w błędzie — Marek protestował. — Cały czas rozmawiamy i myślimy o tobie. Przecież to też wiele w dzisiejszym, zabieganym świecie. To tylko myśli, ale dobre i przyjazne. Musisz zrozumieć. — Marek, zawsze taki pewny siebie, kajał się jakoś podejrzanie. Mela odniosła wrażenie, że gra przed nią i nie jest sobą choć nie znała go przecież zbyt dobrze, a strzępy wspomnień sprzed lat nie wystarczyły, żeby odkryć intencje.

Dopijał gorliwie resztki zimnej kawy. Na dnie białej filiżanki pozostał mętny osad i kilka okruchów ciasta, które wpadły tam zupełnie przypadkiem. Drżały mu ręce, gdy odstawiał filiżankę na talerz. Położył je powoli na lśniącem blacie. Mela poznała — takie jak dawniej, delikatne i wypiełgnowane, ale tym razem mniej pewne siebie i drżące. Zamarła, widząc, jak za wszelką cenę chce coś do niej powiedzieć. On, człowiek, który uczucia trzymał na wodzy, próbował się przed nią otworzyć. Nie miała innego wyjścia, jak tylko wszystkiego wysłuchać. Tylko to mogła zrobić w obliczu nieszczęścia, ujrzanego w jego oczach.

I popłynęły słowa, których wcale nie chciała usłyszeć. Marek nigdy nie grzeszył nadmiarem sentymentalizmu, za młodu, bo tylko takiego go znała, kojarzył się bardziej z zimną rybą niż z namiętym kochankiem, a już na pewno nie z romantycznym i ciepłym człowiekiem ani z bohaterem łzawego melodramatu. Tymczasem życie spletało mu figła. Historia, którą usłyszała, miała sto razy większe rozmiary niż przypuszczała. Była destrukcyjna dla związku z Dorotą i powalająca. Materiał w sam raz na książkę, aż by się chciało podesać Magdzie. Zrobiłaby z tego użytek.

Patrzę z rozczeniem na swoje dzieło, zrobię z niego użytek. Ta książka powie ludziom prawdę. Niech się w niej przejrzą jak w lustrze. Rozsadza mnie duma, gdyby tylko nie ta głowa, która boli mnie niemal bez przerwy. Dziwny ucisk przygniata czaszkę i sztywnieje kark. Skrzypią obrzydliwie kręgi, jakby ktoś umieścił w środku kulkę celofanu. Nie śpię od wielu godzin. Wypaliłam się przy zakończeniu. Miałam nadzieję, że narodzi się z popiołów geniusz sławy. Choć rozpadam się w pył, widzę swoje dzieło, mam je przed sobą na stole i jestem szczęśliwa. Kładę się spać, jest druga w nocy. Jak cicho... Czas na odpoczynek.

Pogrążona w iluzji odpływam z lekkością mając przed oczami sceny z napisanej książki. Przedostały się do mojej świadomości, dobrze im tam. Spoglądam w głąb, widzę siebie, uwięzioną w labiryncie pragnień i zwątpień, oszołomioną sukcesem, szczęśliwą a jednocześnie bardzo wątpiącą. Stoję na rozdrożach. Płaszczyzna, prosta jak blat olbrzymiego stołu, przytłacza bezkresem. Jestem taka samotna, ale przecież z wyboru. Gdzieś w oddali toczy się życie, czy więcej jest warte od mojego pisania? Może najbardziej owocna praca nie gasi wyrzutów sumienia, niepokoju? Czy izolacja, której wymaga pisanie, pozbawiająca kontaktu z domem, da się okupić jakimkolwiek sukcesem? Co trzeba stracić, by zyskać, czy potrafię na to odpowiedzieć?

Muszę tylko odpocząć. Jutro, gdy zadzwonią z domu — odbiorę telefon.

Znów był u mnie Jakub. Twierdzi, że jestem wycieńczona. Przywiózł mi rosół i kotlet z kurczaka. Musiałam zjeść. Tylko poskubałam. Powiedział, że znowu przyjdzie. Wkurza mnie tą troskliwością.

Spałam dwadzieścia sześć godzin. Walczę z wątpliwościami. Obiecałam sobie nie stracić wiary, lecz teraz już nie wiem, nie jestem pewna. Telefon się rozładował. Nie mam siły wstać. Jestem zbyt słaba, pewnie z głodu. Sporo schudłam. Mój stary dres wisi jak na kiju, gumka od spodni osuwa się z bioder. Nie wiem, co dziś za dzień, wtorek, środa, a może niedziela? Mam jeszcze tyle ważnych spraw do przemyślenia. Jest mi tak dobrze, jeszcze sobie poleżę.

Cieszę się wykonaną pracą to sukces, będą ze mnie ludzie. Niepotrzebnie tyle lat uważałam siebie za gorszą. To był największy błąd. Bałam się życia pod każdą postacią. Wszystko potrafiłam przemienić w strach, a dodatkowo odczuwałam strach, żeby nikt nie zauważył, że się boję.

To jest choroba, ja wiem, lecz nic na to nie poradzę. Mogę jedynie uciec. Zamknąć się w czterech ścianach, w fikcji, która jest taka miła i bezpieczna, gdzie ły są wymyślone, chociaż szczere, gdzie strach jest podniecający i prawie wszystko można zakończyć szczęśliwie. Ale muszę to zmienić. Znaleźć w sobie dość siły, żeby nie bać się ciemności i wody, wysokości, władzy, odpowiedzialności i bardzo złych ludzi. Tylu rzeczy jeszcze nie potrafię — nigdy nie nauczę się pływać i jeździć na nartach. Nie umiem zrobić mostka, gwiazdy, pocać mi się ręce, łamią paznokcie i źle prowadzę samochód. Gubię pieniądze, zegarki, parasole. Nie mogę zdążyć na czas, nie umiem planować, liczyć pieniędzy, elegancko się ubrać. Jestem rozkojarzona, rozmarzona, nieprzytomna. Wciąż bujam w obłokach i płaczę na filmach. Nie pamiętam o ważnych sprawach i przypalam obiady. Mam głowę pełną pięknych skojarzeń, wspaniałych pomysłów. Kocham fabułę i fikcję. Moja wykoślawiona linia powodzenia oddała się od linii życia i urywa w połowie drogi. Patrzę na wnętrze spoczonej dłoni, którą od dłuższego czasu trzymam zaciśniętą. Nie wiem, jak długo, bo palce nie chcą się wyprostować. Te palce napracowały się ostatnio. Skóra stwardniała od pisania, odstaje na opuszkach, odwija się do góry i zahacza o pościel. Połamane paznokcie są białe, a właściwie sine. Czy warto ratować to ciało?

Od kilku minut słyszę czyjś śmiech za ścianą. Ktoś ogląda pewnie telewizję. Być może komedię albo kabaret. Jest późna pora, więc słychać wyraźnie. Rozbrzmiewają salwy śmiechu. Mam wrażenie, że zawali się ściana. Nie pomaga, jak zatykam uszy. Chyba majaczę. Coś mi się zdaje, coś przemyka przed oczami. Może to obrazy z życia, może wspomnienia zapisane głęboko w podświadomości zaczynają dochodzić do głosu i zadawać pytania. Czy znam już prawdę o sobie?

Książka gotowa, powinnam ją dzisiaj już wysłać, ale bardzo się boję. A jeżeli napisałam chałę? Co ze mną będzie, gdy okaże się, że zmarnowałam rok życia i zniszczyłam rodzinę? Mój Boże, ratuj! Błagam, pomóż odrzucić zwątpienie. Daj znak, co robić. Wypędź ze mnie próżną istotę, której się jeszcze coś zdaje. Ukrywa się pod moją nieśmiałością i strachem, broni mnie przed światłem, w którym zbyt są widoczne wszelkie niedoskonałości. Wolę zabawę w cieniu rzucając na ścianę przez światło lampy, są takie niewyraźne, wytyczają z ledwością kontury. Może taka właśnie jest moja książka? Zbyt powierzchowna, zbyt ciemna, mało wyrazista, nieprawdziwa. Taka jak cień na ścianie, nierealna. Może jest jedynie odbiciem, ułudą czymś, co się tylko wydaje i zmienia w zależności od kąta padania światła.

Rzucam się w pościeli. Strząsam pajęczynę, w którą zaplątało się moje ciało. Czuję, jak opuszcza mnie cała odwaga. Chciałabym być teraz kimś bardzo prostym, nieskomplikowanym, kimś, kto dokładnie wie, czego chce, i żeby to nie było nic ambitnego.

Moje opus magnum leży na stole i cóż z tego? Już nie jestem dla siebie doskonała, nie jestem święta. Stan świętości to stan absolutnego spokoju, niczym niezakłóconej równowagi. A mną targa strach. Błądzą w ciemności, w poszukiwaniu drogi, nie ma we mnie pokory.

Często zastanawiałam się, jak wygląda piekło i czy wstępuje się do niego z takimi samymi trudnościami, jak w życiu. Może przeczuwałam coś i próbowałam przygotować się do tego, co mnie czeka? Bo stało się tak, że to piekło sama sobie zgotowałam. To obarczanie innych moimi ułomnościami jest podłe, ale przecież nawet najświętsza świętość nie uwalnia od aktu żalu za grzechy, a od popełniania grzechów wyzwolić nas może jedynie śmierć. Czy zachowam w piekle pamięć? Czy piekło odpowie mi na pytania, które zadaję sobie od kilku miesięcy? Stoję na rozstaju dróg. Mam przed sobą trudny wybór i nikogo, kto mógłby mi pomóc. Muszę porozmawiać z Melą. Ona zna prawdę o człowieku, takim jaki został stworzony, огоłoconym z humanitarnej oprawy, bezbronnym. My nic o sobie nie wiemy. Może ona odpowie na najtrudniejsze pytania, jak z pożytkiem zużyć kilkadziesiąt lat danych nam na własność, co zrobić z czasem, pomiędzy jednym a drugim niebytem?

Lunatykuję już od kilku nocy. To takie tylko na niby. Po prostu wstaję kilka razy, zanim się nie ocknie ze snu poranek i chodzę, jakbym wpadała w obłąd. Chyba już mi niewiele brakuje. To nic dziwnego, że czasem nie poznaję sprzętów, tych mebli nie moich, tych zasłonek, tak przesiąkniętych zapachem dawnych gospodarzy, że chociaż bardzo się staram, umieszczając wszędzie zapachowe kostki, oni tu ciągle są i gdy wstaję rano ten zapach czai się wszędzie, snuje się pod nogami, nad głową. Być może właśnie to mnie tak bardzo rozprasza. Balansuję na zbyt cienkiej linii, kręci mi się w głowie. Nie dojdę do końca, spadnę, jak tylko ruszę się z miejsca. Tak chyba wygląda przysłowiowy ciemny róg, tak właśnie się czuję. Gdy przebiegam w myślach po swoim życiu, znajduję w nim zbyt wiele luk, za dużo znaków głupio pominiętych, zlekceważonych ostrzeżeń, niespełnionych nadziei, nie mówiąc już wcale o głupich wyborach. Jakie to beznadziejne. Dlaczego postawiłam na los, a nie na własny wybór, zdałam się na ten przypadek, nie na inny, chociaż powinnam wybrać inaczej. A może wrócić tam jeszcze, przecież kto mówi, że jest już za późno? Może powinnam zmienić swoje życie, ożywić marzenia, może powinnam...

Księżyc w ostatniej kwadrze, połowę swoją oddał ciemności, a drugą na użytek ziemi. Tam nigdy w życiu nie polecę, Księżyc mi się nie marzy, ale zobaczyć dom przy Gordon Square albo Asheham w Sussex? Przespać się choć jedną noc w Monk's House w Rodmell, to moje odwieczne marzenie.

Jakie to dziwne, że marzenie w człowieku zostaje na zawsze, tkwi i nie chce odejść w zapomnienie. Jakby się to sobie było winnym, jakby się było za to rozliczanym. Może, myślę o tym czasami, spełnianie marzeń jest warunkiem stawianym przez Boga? Inaczej nie dostaniesz się do nieba, bo tam do grona świętych nie wpuszczają ludzi niespełnionych. A ja przecież nie spełniłam się jeszcze. Może więc załatwić najpierw tę sprawę, dokończyć ją właściwie, bo kiedyś, dawno temu, byłam o krok. Więc może jeszcze nie jest za późno, jeszcze mam dość sił, żeby powtórzyć podróż swego życia, żeby tam wrócić? Rozkrochmaliłam się na dobre, wspominając, co mówię, marząc raczej. Marzenia i wspomnienia w tej sprawie stanowią absolutną jedność. I znowu mam w oczach tamten Londyn. Może kiedy znów tam pojedę, skończą się bóle głowy. Pospaceruję alejkami Hyde Parku, nakarmię wiewiórki, biegające tam niemal stadami. Pójdę bez celu przed siebie, jak tamtej wiosny. Takie cudne wtedy kwitły róże na trawnikach. Nigdy ich nie zapomnę. Przy sobie miałam niewiele, akurat tyle, aby przeżyć tydzień. W marnym hotelu w pobliżu Piccadilly Circus, na trzecim piętrze, z oddali, z okna nad fontanną z figurką Anterosa spoglądałam na miasto. Pojechałam tam, miesiąc przed wyznaczonym ślubem, żeby stanąć pod domem Virginii Woolf i zapytać jej ducha, który według moich przypuszczeń krążył gdzieś nad ogrodami w Rodmell, czy postępuję słusznie, czy dobrze wybrałam. Jadąc tam, nie miałam pewności co do mojego małżeństwa. Nie wiedziałam, że będzie jak zazwyczaj despotyczne, obłudne i pozbawione skrupułów, a do tego zaborcze. Małżeństwo i wszystko pod kontrolą krok w krok, gest w gest, i ciągłe nawracanie. Jesteś zegarkiem. Nie możesz być sobą indywidualizm nie wchodzi w rachubę. Czy da się tak żyć, czy można się godzić bez walki na zestaw kilkunastu zwrotów lub gorzej, słów czasem, które tworzą związek? Pamiętaj, zrób, dopilnuj, zgaś, chodź, nie bierz, oddaj, nie masz racji, nie masz prawa, trzymaj się uzgodnień. Nie śpij, nie siedź po nocach, znowu zasnął, rób coś, na Boga!

Podświadomie czułam, że on nie zaakceptuje mojej inności, planowane małżeństwo rozleci się pewnego dnia i zmieni w związek pełen nienawiści, a mieszczkański dom, którym można by się było szczyścić, wyrośnie na dziwny kikut, jakieś pomieszanie z poplątaniem, na walkę płci i dwóch punktów widzenia, a pryncypia, którymi się tak chętnie podpira, staną się grobem miłości. Koniec zabawy, zaczyna się życie. Odpowiedzialność za to, co stworzyłeś, a w podtekście — zabić wewnętrznego człowieka, człowieka w człowieku, szczęście w oczach i śpiew zamienić w kupkę nieszczęścia niezdolnego już niczego kochać, ale za to pełnego ogłady i dostojeństwa. Piękny obrazek na ścianę. Ikona kobiety.

A pani Virginia Woolf uświadamia mi krok po kroku, jak to w swoim życiu zmienić, doradza tak kategorycznie, przekonująco. Czasy, w których żyła, tak mało łaskawe dla kobiet, odcisnęły na niej piętno, a teraz i mnie wciągają jak wiry w nurt wezbranej rzeki. Na szczęście dziś już nie trzeba przyjmować męskich pseudonimów, żeby pisać książki, i udawać faceta, żeby się kształcić. Teraz można się uczyć, zarabiać na sobie i pisać.

Lecz zdarzają się jeszcze „bite i ciskane po izbie” za to, że mają coś do powiedzenia. Chciałabym razem z nimi głośno zawołać, że chwałą kobiety nie musi być tylko uległość, a zaletą pokora, że kobieta wcale nie jest tym lepsza, im mniej się odzywa, że bierność kobiet, wpajana przez lata, i anonimowość, nie powinny być ich atrybutami, a pragnienie pozostania w cieniu, oddania wszystkiego w zamian za szczęście rodziny wcale nie ma się stać główną jej profesją. Nie po to inne ginęły na stosie, bo śmiały wiedzieć coś więcej, żebym się teraz dała przestraszyć.

Tamtego roku, wiosną w Londynie, na Oxford Street, na Trafalgar Square szukałam odpowiedzi. Próbowałam odnaleźć ślady tamtych lat i tamtych nieżyjących kobiet i właśnie wtedy, w kolejce po londyński chleb, spotkałam ciebie. Mogłam się spodziewać wszystkiego i każdy przypadek mógł być możliwy, tylko nie ten. Stałeś z gazetą w dłoni, zwiniętą w nerwowy rulonik, skręcony do możliwie najmniejszych rozmiarów, i stukąłeś nim w ladę. Ekspedientka pakowała towar. Krzyknęła do ciebie ze złością: „Come on!”. Spojrzałeś, jakbyś się nagle obudził, i po prostu wyszedłeś z kolejki, a ja bez słowa wybiegłam za tobą

Spędziliśmy razem pięć cudnych dni i cztery noce. Nigdy ich nie zapomnę. Były odpowiedzią na wszystkie pytania, na wątpliwości, rozczarowania, które od dawna leżały się w mojej głowie. Już nie pojechałam do Rodmell, nie było po co. Moje miejsce na ziemi zostało już rozczytane.

Pamiętam, że okna twojego hotelu przy ulicy Sussex Gardens wychodziły wprost na piękną aleję klonów i szereg połączonych ze sobą kamienic. Maleńkie domy, dawne mieszczańskie kamienice, przekształcone w sposób bardzo oszczędny w wąskie i dość ciasne hoteliki, stały podparte kolumnami z kunsztownie wykończonymi balkonami w stylu wiktoriańskim. Aż nie chciało się wierzyć, że mogło być w każdym z nich po trzydzieści kilka pokoi.

Lubiłam spoglądać przez szparę w ciężkich zasłonach, jak wraz z zapadającym zmrokiem ulica z dość ruchliwej zamienia się w milczącą i cichą. Mieszkańcy, jak przybysze z różnych części świata, powracali do tymczasowych domów. Pozapalali światła. Każda z kamienic jaśniała odrębnym blaskiem dyskretnie różniącym się od innych odcieniem zasłonek - fioletoów, błękitów, zieleni. Im im było ciemniej

tym wyraźniejsze były te różnice. Nocą już tylko one wyznaczały granicę pomiędzy jednym hotelem a drugim. Przez uchylone okno dochodziła muzyka londyńskiej ulicy. Gdzieś w oddali zdawało się czasem słyszeć gwar przemierzających się dyskretnie samochodów a później, nocą, kiedy spałeś mocnym snem na poduszce obok! szeleściły w absolutnej ciszy liście, które chciały nam niemal fruwać po pokoju. Te właśnie dźwięki i zapach z rozciągających się nieopodal zielonych połączy Hyde Parku otulały nas w hotelowym łóżku. Zasnęłam w twoich objęciach bezgranicznie szczęśliwa, a jednocześnie pewna niepowtarzalności cudu który się wtedy objawił. Całkiem nieświadomie bezwiednie dałeś mi wtedy to, co się już nigdy nie powtórzyło. Nie wiem wciąż, czemu nazywają to grzechem[^] skoro było czystym daniem szczęścia, do tego stopnia niezwykłego; że graniczyło ze śmiercią. Cudowne umieranie, najwspanialsza rzecz, którą przeżyłam. Poczucie absolutnej jedności. Gdyby możliwe było pełne zespolenie, nie wahałabym się nawet przez chwilę Zniknąć w tobie na wieki, a jednocześnie być zawsze razem częścią choćby tylko drobiną. Jak miałam ci wtedy powiedzieć że gdybyś tylko skinął? Nie miałam odwagi nawet głębiej ode: tchnąć. Pomyślałam, ocknie się i zobaczy, że to nie ta, którą ma w sercu. Niezwykła tajemnica czterech niepowtarzalnych nocy to miłość, którą zaniosę ze sobą do grobu, to nieugaszona namiętność.

Długo mnie nie chciałeś wypuścić, Zaciskałeś ramiona za każdym razem, kiedy je chciałam Uwolnić. Twoje cudowne ciało jak rajską kołyską unosiło mnie nocą do nieba, obiecując spokojny sen, gwarantując poczucie bezpieczeństwa. Cieniutka warstwa naszego potu, słony syrop nocy, był jedyną wspólnością, jaką dostaliśmy od losu na własność. Tylko to mieliśmy nasze, i kilka dni. Później już tylko tęsknota.

Nie widziałam domu na Gordon Square, ani tego na Sussex. Nie trafiłam do Monk's House, nie nabrałam powietrza znad rzeki, do której Virginia Woolf, z kieszeniami pełnymi kamieni pewnego dnia odbyła swój ostatni spacer. Wracalam do domu z twoimi pieszczotami w pamięci, pocałunkami na twarzy i nieutulonym żalem. W walizce wiozłam angielskie wydanie Pani Dalloway, które mi kupiłeś w ostatniej chwili na stacji metra, i z przeświadczeniem, że oto za miesiąc sama się nią stanę i że już nie ma od tego odwrotu. Przestałam się bać. Teraz już nic dla mnie nie było straszne, poza rozstaniem z tobą.

Janusz się wkurzył. Jak długo można kłócić się o słowa. Po takim soczystym dialogu nic nie mogło być straszne.

— Sprawiedliwość to piękna rzecz, szczególnie, gdy jest po naszej stronie — to były ostatnie słowa urażonego prezesa koncernu, a potem już tylko trzask odkładanej słuchawki.

— Trudno — pomyślał — czasami trzeba dać za wygraną. — Był już naprawdę zmęczony. To zmęczenie pozbawiło go ostrości i wrodzonej ciętości języka, której w takich przypadkach zazwyczaj nadużywał. Tarł palcami przekrwione oczy, czuł, że dłużej nie da już rady. Jeszcze ten potworny wiatr. Od kilku dni wiosna ze słonecznej i ciepłej zmieniła się w wietrzną i ponurą. To go dobiło. Brak słońca, kłopoty w firmie. Czy było jeszcze cokolwiek, czego mógł się Uchwycić, żeby kolejny dzień miał jakiś sens? Tylko dla tego jednego dnia, choćby już dla niczego więcej, miałby może siły wstać i cokolwiek robić. Cóż jest w życiu oprócz obowiązków, kłopotów, upływającego zbyt szybko czasu i wiecznej tęsknoty do czegoś nieokreślonego, co ludzie próbują nazywać, ale on nie potrafi? Że niby praca to skarb, ambicja, satysfakcja. A jeśli robi się coś, co już nie bawi, nie rajcuje jak dawniej, nie cieszy? A jeśli do tego nie ma się z kim tym podzielić, porozmawiać, nie ma się kogo poradzić? Praca, własność, zysk, władza, kojarząca się niesłusznie z wolnością, to wszystko miłe, ale po co? Ile można zjeść, w ilu domach mieszkać jednocześnie, ile utrzymywać żon, kochanek, jak długo podróżować, ile kupić ubrań i gdzie się w nich pokazać? Człowiek i tak kocha jeden fotel, jedno łóżko, tyje z przejedzenia, choruje z nadmiaru używek. Więc co jeszcze warto?

Przed oczami zieleniała mu ściana gabinetu, miała rozpraszać złe nastroje, a potem przeczytał gdzieś, że zielony ponoć przeszkadza w koncentracji. No i co, miał przemałować ścianę, bo wszystko być może właśnie przez nią? Ech, dobrze byłoby znaleźć szybko winowajcę nieudanego dnia, podłego tygodnia, zmarnowanych poniekąd lat. Nic mu ostatnio nie szło. Zawalał sprawę po sprawie. Jakoś nie widział przed sobą perspektyw. Trudno się dziwić. Pracował od kilku lat bez urlopu, na pełnych obrotach. Czasy były trudne, gospodarka ledwo dychała. Janusz obawiał się w firmie poważnego kryzysu. Szarpał się na wszystkie strony, niestety, ostatnio bez większych efektów, a przecież tyle lat było dobrze. Dopóki żył starszy brat, miał w nim podporę. Niby fizycznie wiele nie pomagał, raczej sekundował, był za to kimś, do kogo mógł zawsze udać się po pomoc. Działał co prawda w całkiem innej branży, ale głowę miał nie od parady i talent do rozwiązywania cudzych problemów, bo ze swoimi jakoś słabo sobie radził i pewnie dlatego zwinął się tak szybko. Naturalny sygnalizator zmęczenia nie działał u niego. Musiał paść na pysk, żeby uwierzyć. Przegapił wieńcówkę, zawał i cukrzycę. Nim się zreflektował i zauważył zmiany, był już na tamtym świecie.

Za oknem gałęzie wierzby jasnymi listkami biczowały się bez wytchnienia. Janusz patrzył na to otępiąłym wzrokiem, właściwie powinien też wysmagać się mocno po plecach. Pewnie by pomogło. Jedyne, co czuł, to silny głód. Zapomniał zjeść rano śniadania. Głęboka zmarszczka między ciemnymi brwiami, zbiegającymi się u nasady nosa, świadczyła o tym, że myślał, ale to wcale nie była prawda. Tylko

markował myślenie, był w tym momencie najmniej myślącym człowiekiem. Nauczył się zachowywać zimną krew nawet w sytuacjach wyjątkowych. Słabości chował głęboko. Otwierał się jedynie w samotności, pod warunkiem, że w tym czasie ani jemu, ani tym bardziej interesom nic już nie groziło. Momenty luzu niestety nie zdarzały się często. Czuwał bowiem i dniem, i nocą.

A dzień dopiero się zaczął. Była dziewiąta, o tej porze powinien mieć jeszcze zapał, ale nie miał. Obudził go w nocy silny deszcz, potem zerwał się wiatr i o spaniu już nie było mowy. Teraz raczył się zimną, lurowatą kawą. Stała na biurku już od pewnego czasu. Na powierzchni połyskiwał dziwny nalot, wyglądało na to, że z mleka. Spojrzał z obrzydzeniem i odstawił filiżankę na podstawek. Tego dnia na wszystko patrzył z obrzydzeniem. Dobrze, że nie miał na biurku lusterka. Miał za to cztery telefony. Jeden stacjonarny, do tego aż trzy komórki. Jakimś cudem przez chwilę milczały, bo zazwyczaj dzwoniły bez przerwy. Nienawidził tych przedmiotów z całego serca, a jednocześnie stał się ich niewolnikiem. Dawał się nimi namierzać i robił to samo innym.

Te skarby cywilizacji, ułatwiające prowadzenie interesów, umożliwiające nieustający kontakt z rodziną, stały się w rzeczywistości przekleństwem i nałogiem. Bez nich czuł się bezradny i zagubiony, z nimi nieszczęśliwy. Myśl, że nie mógłby kontrolować firmy paraliżowała i wprawiała go w zakłopotanie. Inny telefon miał dla rodziny, inny dla firmy, a jeszcze inny numer podał do użytku publicznego. Mógł sam decydować o tym, z kim będzie rozmawiał, a której rozmowy nie będzie odbierał. Taka organizacja pozwalała chronić się przed kłopotliwymi rozmówcami, a jednocześnie irytowała, powodując rozterki typu moralnego.

Martwił się o firmę. Wartość złotówki spadała na łeb, na szyję. Rosła waluta, euro osiągało swoje szczyty. Postanowił zwiększyć sprzedaż w kraju, lecz to wymagało pozyskania dodatkowych odbiorców. Zdecydował się uruchomić nową linię, która pozwoli zwiększyć asortyment i poprawić kondycję finansową. Znalazł na rynku pewną lukę, którą miał zamiar wypełnić kolejnym wyrobem, podobnym do tego, który już produkował, a jednocześnie nowym ze względu na jakość i uniwersalne wykorzystanie. Jego firma, znana od lat na polskim rynku, miała szansę wejść z nowym asortymentem bez większych problemów. Trzeba było tylko zdążyć z uruchomieniem produkcji, zanim ktoś inny nie wpadnie na podobny pomysł. Konkurencja wszak czuwa. Czuł absurdalność takich spekulacji, lecz nie potrafił się od nich uwolnić. Żył przecież w czasach, w których wszystko było możliwe, więc każdy ruch na korzyść interesów, jednocześnie dopuszczalny przez prawo, był pożądany.

Co z daleka wydaje się sukcesem, czasami z bliska okazuje się pomyłką. W pewnym momencie sprawy wymknęły się z rąk. Wyglądało na to, że dobiegł do punktu krytycznego i dalej ani rusz. Dlatego czuł się fatalnie. Najgorsze, że nie miał z kim o tym porozmawiać. Zawsze tak było, że musiał sprawę przegadać, obojętnie z kim. Wystarczyło wyjść z tym na zewnątrz i problem sam się rozwiązywał, myśl szła dalej, niż gdy zmagął się z nią samotności. Przez to nie mógł ostatnio spać i dręczyły go przecucia, że zdarzy się coś takiego, co zniweczy jego misterne plany. Podświadomość szeptała do ucha, żeby przyhamować, a instynkt rwał się do boju. Wojna pomiędzy „chce” a „musi” wisiała w powietrzu.

Stało się, chwila ciszy była złudnym zatrzymaniem czasu. Telefony rozdzwoniły się na dobre. Robiło się coraz cieplej. Na szczęście wiatr ustał, nawet przez chwilę wyjrzało słońce. Wydawało się Januszowi, że powietrze ciągle gęstnieje, ale to było tylko złudzenie. Już dawno włączyła się klimatyzacja. Dzisiejszy dzień, wczorajszy i przedwczorajszy były ciągłą pogonią za czasem i wyścigiem w nieokreślonym kierunku. Wciąż więcej, więcej, bez umiaru. Coraz częściej ogarniało go przerażenie. Już nie raz szukał pomocy lekarza, gdy ciśnienie krwi rozsadało czaszkę, palce grubiały, a zimny pot spływał wprost za kołnierz nieskazitelnie czystej koszuli. Jakub powiedziałby, że idzie śladami brata. Niewiele brakuje, a pozazdrości mu świętego spokoju i odpłynie w zaświaty. Często proponował pomoc, sugerował leczenie, odpowiednie badania, ale Janusz od lat odpowiadał to samo, czyli zwodził i wykręcał się, twierdząc uparcie, że nic mu nie jest.

Tego dnia problemy waliły się jeden za drugim. W ciemnym garniturze, w krawacie i czarnych, markowych butach kupionych za trzy średnie krajowe, czuł się jak więzień. Przekrwione oczy piekły jak lichy. Gdy je zamykał, z kącików ciurkiem popłynęły łzy. Otarł je rękawem. Powierzchnia twarzy pokryła się drobnymi kropelkami potu. Otwarte pory skóry wyrzucały na zewnątrz wodę. Zżerał go stres. Sięgnął po butelkę wody sodowej, gdy po raz kolejny zadzwonił telefon. Przez jakiś czas słuchał w milczeniu potoku słów wydobywających się ze słuchawki i choć na usta cisnęły się same przekleństwa, a zaciśnięte szczęki zgrzytały cichą melodią niemocy, postanowił dzielnie wytrwać do końca. Nadciągała kolejna burza.

— Jak to nie mają wyjeżdżać? Przecież wszystko było dograne! — zawył. — Za dwa dni zaczynamy montaż.

— Ale my nie jesteśmy gotowi. Nie możemy stąd wyjechać, brakuje dokumentów celnych. Bez nich nie przekroczymy granicy. Sprawa musi poczekać. Trzeba odwołać konsultantów i zawrócić samochody.

— Czyś ty zwariował!? — Czuł jak uchodzi z niego duch walki. — To niemożliwe! Przecież wiesz, jak trudno było ustalić z nimi terminy. Wypną się na mnie. — Janusz nabrał powietrza i wykrztusił: — Obiecałeś, że wszystkiego dopilnujesz. Miałeś dzisiaj zakończyć odbiór. Samochody wyjechały już z Warszawy.

— Szefie, to nie moja wina. My byliśmy na medal przygotowani. To Francuzi nawalili. W ostatniej chwili pomylili kontenery i wypisali nam faktury na złe części. Myśmy rozmontowali maszyny, ustawili je w skrzyniach do załadunku, a oni na rachunkach wpisali złe sygnatury. Teraz trzeba wszystko odkręcać, a dziś jest piątek i do jutra nie zdążymy. Nie ma tu z kim gadać. Wszyscy gdzieś powyjeżdżali, trzeba zostać do poniedziałku. Jeszcze próbuję coś wskórać, ale czy się uda, nie wiem.

— W takim razie rób, co trzeba — powiedział stanowczo. — A ja odwołuję kierowców. Nic więcej nie wymyślę. — Spokój — powtarzał jednocześnie w myślach — tylko spokój. — Spojrzał z obawą na zieloną ścianę. — Może jeszcze nie wszystko stracone.

Chwila zastanowienia i kolejny telefon, i następny, i następny. Popłynęły w eter polecenia, przestrogi, kolejne przekleństwa.

I właśnie tak wyglądał każdy dzień. Czy można tak żyć bezkarnie w nieskończoność? Wszystko było niby normalnie, jak to w biznesie, ale w końcu ucho się urwie, a wtedy...? Czuł, że właśnie przekracza granicę, za którą nie będzie już życia, tylko telefony, interesy, pieniądze, mocne uderzenia serca i puls walący z całej siły w ściany żył, napiętych do granic.

Włączył wentylator, wciąż było za ciepło. Przyjemny podmuch przyniósł chwilową ulgę. Rozpięta marynarka falowała z wdziękiem. Miękki materiał układał się elegancko i lekko połyskiwał. Janusz przywiózł to ubranie z Włoch. Dbał zawsze o wygląd, był przecież wizytówką firmy, jak wszystko, czym się otaczał. Cała masa martwych przedmiotów, bez których — na dobrą sprawę — można się było obyć, a jednak przy założeniu, że od nich zależy to, czy negocjacje się powiodą, czy skończą fiaskiem, warto było mieć je pod ręką. Niczego nie ułatwiały, dodawały jedynie splendoru. Te szklane stoły, krzesła, na które można było jedynie patrzeć, szalone lampy, popielniczki, wazony, czasami kłopotliwe, gdy w nerwowej wędrówce przez gabinet w tę i z powrotem wpadało się na któryś z przedmiotów. Wiele razy pod wpływem złości wystawiał je na korytarz lub kazał wyrzucić, lecz cierpliwa, a może raczej uparta Joasia, po kilku dniach wносиła je i ustawiała na właściwym miejscu.

Pogoda zmieniała się z minuty na minutę. Teraz niebo było błękitne i bezchmurne. Ten błękit pociągał go — gdyby tak znaleźć się teraz — szukał w myślach właściwego miejsca — tylko gdzie, w raju? — Nie zasłużył na raj, to było pewne. Ciekawe, jak to ocenia góra, czyjego starania mają tam jakąkolwiek wartość, czy są jak transferowe ruble, psu na budę potrzebne. Za bardzo skupił się na zdobywaniu, mniej na dawaniu. To się Panu Bogu nie spodoba. Żył na krawędzi, ogarnięty myślą pomnażania — to jeszcze ujdzie, ale żeby się w tym aż zatracić? Zapomniał o rozwoju duchowym, utracił zdolność oceny, co złe, a co dobre.

Wolna wola, wolność, cnota dana nam z góry — w popiołach. A tęsknił za nią, za wolnością w przeróżnych postaciach, głównie tej od potrzeby posiadania pieniędzy. Oceniał, że jest postacią tragiczną. — Tacy ani nie kochają, ani nienawidzą, funkcjonują na poziomie kory mózgowej — powtarzał sobie często. — Tacy jak on unikają uczuć. Uczucia są tylko zawadą, jeszcze jeden przyczynek do utraty wolności. Miłość, troskliwość, czułość — to uzależnienie. Tylko przeszkadza w budowaniu megamaszyny. Mocny facet, uczuciowo na poziomie dziecka albo małpy, albo glizdy.

Najważniejsza była firma, może jeszcze Internet. Cały świat zamknięty w szablonach, wystarczy kilka ruchów, żeby obrysować ołówkiem. Nie był wprawdzie sam, bo jemu podobnych było wielu, tłumy zamkniętych w domach, w biurach, kontaktujących się ze światem za pomocą technicznych środków przekazu, nie uczuć, realnych emocji, tylko świecącego ekranu. Załatwiał wszystko przez telefon lub za pomocą komputera. Internetowe pogawędki zastępowały towarzyskie spotkania. Wchodzenie w sieć, buszowanie w internetowej pajęczynie, maile, maile i nurzanie się w wirtualnej otchłani, w poszukiwaniu informacji, kontrahentów, banków. Wielogodzinne szperanie za ulotną myślą, nowym pomysłem, dookoła wyniszczającego uczucia bliskości martwego systemu.

— Czy zaznam takiego stanu równowagi, że oprócz bezruchu nic się nie będzie liczyć? — Po raz drugi wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa. Teraz łzawiły mu oczy. — Cóż za wrak — pomyślał o sobie. Na dnie kieszeni, pod chustką odnalazł to, co zostało z zerwanego kilka dni wcześniej bratka. Kwiatek wyglądał żałośnie. Właściwie wcale nie wyglądał. Została z niego kupka suchego nieszczęścia. Januszowi zrobiło się głupio. — To cały ja — powiedział do siebie. — Nie wystarczyło zobaczyć, musiałem go mieć. A przecież mam już wszystko. Zdobyte po kolei, jak należy. — Podeszedł do lodówki i wyjął z niej butelkę piwa. — Mam też piwo — zażartował. — Najpierw miałem mamę i ojca, potem rodzeństwo, zabawki i rower — w myślach przerzucał palce. — Zdobyłem odpowiednią wiedzę, zawód, pozycję społeczną. Potem miałem żonę i dzieci. Mam pieniądze, duży dom, dwa samochody, wielką firmę. No i — zabrakło palców. Zostawił palce w spokoju i dalej wyliczał. — Mam też swojego lekarza, swojego dentystę,

swojego fryzjera. Mam choroby, nawyki, kilku przyjaciół. Mam olej w głowie, mam problemy, mam satysfakcję. Mam miejsce na cmentarzu i gotowy sarkofag. Chociaż to jest pocieszające. Wiedzieć, gdzie się znajduje miejsce wiecznego spoczynku, toż to prawdziwy komfort, a jaki spokój w sercu, że mam dach nad głową, na wieki. Mam, mam, mam. Żałosne to wszystko.

— Przechadzał się wzdłuż gabinetu. Widział czubki swoich butów i nogawki od spodni.

Cichy monolog, który toczył ze sobą, zsynchronizował z krokami, równym rytmem, raz, dwa, trzy. Przeszkodziło mu delikatne pukanie. Z niechęcią przerwał swój marsz i odwrócił się w kierunku drzwi. Znajome stukanie obcasami oznaczało wejście sekretarki.

— Co tam znowu, Joasiu? — zapytał grzecznie, próbując odzyskać naturalny ton głosu. Joasia kicała delikatnie jak nieśmiały zajaczek, który bał się obudzić wilka. Dlaczego ona tak drobi? — nie mógł się nadziwić. — Chyba się mnie nie boi?

— Chciałam tylko zapytać, czy mogłabym dzisiaj wyjść trochę wcześniej z pracy? — Zatrzepotała przymilnie rzęsami. Popielaty kostiumik kołysał się na jej wążutkich biodrach. Wyglądała jak dziecko, a przecież miała już swoje lata. Janusz poklepał się po zaokrąglonym brzuszku.

— Joasiu, dzisiaj nie bardzo. Wszystko mi się tu wali. Sama widzisz. Nie rób mi tego, dziewczyno — spojrzał na nią błagalnym wzrokiem.

— Kurczę, szefie, sorry — trochę się przestraszyła. — Idę na ślub koleżanki, obiecałam, że będę. — Znowu zamrugwała. Janusz poczuł lekki podmuch. Wiedział, że to złudzenie, ale uległ mu mimo wszystko. — Jeszcze chwila, a wzleci w powietrze, jak elf, śmieszna dziewczyna. — Siłą powstrzymywał uśmiech.

— Jak to? — zapytał zdziwiony, przyglądając się cieniutkim nogom Joasi i drobnej szyjce, podpierającej z wdziękiem głowę. — Ślub w piątek? A cóż to za zwyczaj?

— Teraz w piątki też dają śluby — wyjaśniła pospiesznie. — Jak mały ślub i nie ma poprawin, to można i w piątek. Podobno w piątki jest taniej.

— Świat stanął na głowie — narzekał Janusz, patrząc na nią z obawą. — Joasiu, czyś ty czasem znowu nie schudła? Wyglądasz mizernie.

— Chyba nie, w tym kostiumie wyglądam tak chudo. — Obciągnęła spódniczkę. — Ale pilnuję wagi — dodała. — Muszę trzymać linię, więc za dużo nie jem. Takie czasy. Inaczej nie będę na topie.

— Na jakim topie? — teraz to już pękał ze śmiechu.

— Na normalnym — zdziwiła się, że nie wie. — Teraz kobieta musi mieć dobrą figurę. W domu, w pracy, wszędzie.

— No, niezłe — pochwalił, udając, że ją dokładnie taksuje. Przy okazji zwrócił uwagę na jej brązową skórę. — Tylko, na Boga, gdzieś ty się tak opaliła?

Joasia spojrzała zadziornie.

— Jak to gdzie? W solarium oczywiście.

Lubił tę małą. Wprawdzie częściej niż inni pracownicy potrafiła wyprowadzić go z równowagi, ale miał do niej słabość. Starła się bardzo. Tylko ta jej chudość była przerażająca. Patrząc na nią, myślał zawsze o córce, dużej, dorodnej, dobrze zbudowanej. Dawno jej już nie widział. Może ona też dba o to, żeby być jak Joasia, na topie. Jednak jakoś sobie tego nie wyobrażał. Jego córka jak on, miała zawsze wilczy apetyt.

Patrzył i ogarniała go zazdrość. Też chciałby mieć jak ona dwadzieścia lat i wszystko przed sobą. Mógłby jeszcze tyle zdziałać. Poczul się różnie. Spłynęła na niego jej radość i młodzieńczy żar. Jego młodość już dawno się skończyła. Zamyślił się znowu, tracąc poczucie czasu, a ona stała i czekała.

— No więc jak będzie? — zapytała nieśmiało.

— Z czym?

— Z moim wyjściem. Mogę czy nie?

— A kto będzie pilnował telefonów i sekretariatu?

— Kaśka obiecała posiedzieć, jak długo będzie trzeba — wyjaśniła gorliwie.

— Kaśka? — skrzywił się. — Ciągłe gdzieś wydzwania — marudził.—No, ale dobra, niech będzie — zdecydował wreszcie, widząc jej narastające niezadowolenie i ciągłe zerkanie na zegar. — Jak ślub, to ślub — dodał z ojcowską wyrozumiałością.

Zanim wyszła, zabrała z biurka popielniczkę pełną niedopałków.

— Za dużo pan pali, szefie — zauważyła. — To niezdrowo. I jakie mocne papierosy! Mój chłopak mówi, że palenie to samounicestwienie.

— Twój chłopak to rozsądny facet — pochwalił. — Nie to, co ja — żartował.

— Jest sportowcem — podkreśliła, nie wyczuwając w jego głosie kpiny. — Nie pali i nie pije. Ale jeździ bez końca na treningi. Jest lekkoatletą.

— Długo się znacie?

— Prawie rok.

— To coś poważnego? Myślisz o nim poważnie?

— Sama nie wiem — zmieszana się. — Jest taki niezdecydowany. Powiedział, że jeszcze nie czas na małżeństwo. Chce iść na studia — zrzęda jej mina. — Nie mam nic przeciwko temu, żeby się uczył, tylko... — zawiesiła głos. — Wie pan, jak to jest. Pójdzie i nie wróci.

— Chyba masz do niego zaufanie? — zapytał.

— Zaufanie to mam, tylko cóż to pomoże? Za bardzo się podoba dziewczynom. Wystarczy spuścić go z oczu, a już wokół gęsto, że aż się dopchać trudno.

— Nie zatrzymasz go, jeśli zechce się uczyć. Zresztą, w dzisiejszych czasach bez wykształcenia trudno jest cokolwiek osiągnąć. Musisz to zrozumieć. Dobrze, że jest ambitny.

— Przecież można sobie jakoś poradzić bez tego magistra czy jakiegoś tam profesora.

— Zależy, co się w życiu chce robić — Janusz próbował wyjaśniać.

— Pan przecież nie ma skończonych studiów, a proszę, ile pan już osiągnął. Studia zabierają tylko czas. Zanim je skończy, będzie za stary na robienie kariery, a ja osiwieję — powiedziała poirytowana i dziarsko przemaszerowała w kierunku drzwi. Janusz spojrział na nią z rozczuleniem. Trudno jej było mieć cokolwiek za złe.

Nic dla Doroty nie było tak trudne, jak rozstanie z rodziną. Tłumiła to w sobie w miarę możliwości. Próbowwała być twarda. Początkowo w ich życiu liczyła się tylko rodzina. Potem doszła praca, robienie kariery, ale dzieci zawsze były centrum ich uwagi. Marek chciał kiedyś adoptować dziecko. Postanowił, że skoro teraz tak dobrze im się powodzi, nadszedł najwyższy czas, żeby w ten sposób

podziękować Stwórcy. Dorota stanęła na drodze mężowskim ambicjom i nie wyraziła zgody. Była kobietą i dobrze wiedziała, co się z tym łączy. Dziecko nie jest dobrym sposobem na wyrównywanie rachunków z Panem Bogiem. Nie była gotowa do tego rodzaju poświęceń. Uważała, że to wielka przesada brać sobie na głowę taki ciężar, skoro nie ma się do końca pewności, czy się mu podoła. Przecież wiadomo, na kogo to spadnie. Podejrzewała nawet Marka o jakieś dodatkowe intencje, nie do końca uczciwe. Nie mogła jakoś uwierzyć w usilne zapewnienia, że wpadł na to z wewnętrznej potrzeby. Był redaktorem znanego w kraju pisma. Może chciał zdobyć w ten sposób większą popularność i zwrócić na siebie uwagę. Nigdy nie myślała, że to jest dla niego ważne. Postanowiła trochę odczekać, aż mu przejdzie. Tak się jednak nie stało. Broniąc się, podsuwała mężowi inne sposoby na uciszenie wyrzutów sumienia. Doradziła, że jeżeli już kogoś uszczęśliwić, to najlepiej tych, którzy wcale dzieci nie mają. Podsunęła mu szybko Zosię i Jerzego, którzy bez powodzenia usiłowali adoptować dziecko. Mieli z tym problemy, po pierwsze ze względu na wiek, po drugie na kategoryczny opór rodziców Zosi, u których mieszkali. Marek podjął się misji z ochotą, tak że Dorocie nie zostało już nic do zrobienia, jak tylko przyglądać się i czekać.

Teraz stała przy oknie z rękami na brzuchu. O ironio, los dał jej dziecko, którego kiedyś tak bardzo pragnął jej mąż. Pomyślała, że przecież mógłby je adoptować. Może znalazłby w sobie dla niego trochę miłości, tym bardziej, że przecież nie było jeszcze stuprocentowej pewności, co do ojcostwa. — Jeśli ludzie potrafią kochać cudze dzieci, może on też zechce pokochać moje. Nie będzie zupełnie obce.

Tej znajomości z Pawłem, a może dziwnej namiętności, która spadła na nią jak choroba, towarzyszyło wyjątkowe fatum. Zdrady małżeńskie zazwyczaj trwały latami, zanim—jak każde kłamstwo—wypłyną na wierzch. To, co spotkało Dorotę, było całym pasmem przedziwnych zdarzeń, jakby opatrność próbowała przeszkodzić i przerwać ich opętanie. Z jednej strony czart kusił do występku, a z drugiej anioł odślaniał światu bluźnierczy związek.

Pierwsze zbliżenie z Pawłem owej niefortunnej nocy, gdy w końcu Marek, przekonany o jego upojeniu alkoholowym i nachalności w stosunku do żony, wyprosił go, a raczej wyrzucił z domu, obudziło w Dorocie nieznaną część jej natury. Dowiedziała się wtedy, że pewien rodzaj męskości, dotychczas jej obcy, może być podniecający. Wraz z uczuciem wielkiego zdziwienia odczuwała w stosunku do niego coraz większe pożądanie. Nie potrafiła tego w żaden sposób wytłumaczyć. Gdy zestawiono się go z delikatnym i wymuskany Markiem, takim wzruszająco powściągliwym i śmiesznym w okazywaniu uczuć, niemal dziecięcym, to jakby zestawić ze sobą niebo i piekło. Ale gdyby tą drogą iść dalej, to niebo było tylko przyjemnością, a piekło ekstazą. Więc nosiła w sobie dziecko szatana? Coraz częściej kojarzyła te dwie sprawy. W samotności analizowała każdy dzień, każdą chwilę spędzoną z Pawłem. Niczego nie

żałowała. To przyszło samo i poraziło ją do tego stopnia, że bez wahania wskoczyła do wzburzonego morza i dała się ponieść falom. A przecież znała datę swoich urodzin. Różnica lat była dotkliwa. Mimo wszystko nie potrafiła nad tym zapanować, nie chciała. Ogarniało ją nieprzytomne podniecenie. Sama myśl o nim odbierała rozum. Czuła, jakby dotychczas nigdy nie kochała, w każdym razie nie w ten sposób. Bawiła się swoim stanem, miłym zawrotem głowy, euforią, lekkim obłądem odbierającym apetyt i zapaf do pracy. Zrobiła się płacziwa i nerwowa.

— Zwariowałam — myślała z rozpaczą. — Co się ze mną dzieje? — pytała, ale gdzieś w sercu otwierała się cała na nowe doznania i podsycala w sobie tęsknotę. W końcu postanowiła zadzwonić. Liczyła na to, że gdy usłyszy jego antypatyczny głos, przejdzie jej ochota.

— Byłem pewien, że zadzwonisz — oświadczył z pogardą.

— Jak to? — zapytała.

— Zawsze dzwonicie. Trzeba tylko cierpliwie poczekać.

— Cham! — odłożyła słuchawkę wzburzona. Płonęła ze złości. Czuła do siebie pogardę za ten idiotyczny stan i za to, że nawet nie próbowała się bronić. — Dobrze mi tak — pomyślała wstrząśnięta jego bezczelnością i swoją głupotą. Lecz zanim podjęła kolejną decyzję zadzwonił telefon.

— Więc gdzie się spotkamy?

Namiętność nie pozwalała jej spokojnie egzystować, a jednocześnie wyczuliła na każdy niemal szczegół. Musiała nad sobą panować, żeby się z niczym nie zdradzić, a przecież czuła, że szczęście z jej oczu bije na kilometr. Z trudnością panowała nad wymalowanym na twarzy uśmiechem i maślanym spojrzeniem. Trzeba było być ślepy, żeby nie dostrzec zmian. Kiedyś brakowało jej czasu, teraz miała go pod dostatkiem, gdy tylko w grę wchodziło spotkanie. Zaniedbała wszystkich znajomych, fryzjerkę, kosmetyczkę i jogę. Zmieniła obcasy na pantofle, żeby szybciej biegać. Miała trudności, żeby się skupić na pracy, ledwo pamiętała, gdzie mieszka, nie płaciła rachunków, zapomniała zatankować samochód i stojąc na poboczu drogi za miastem, dzwoniła do koleżanki z prośbą o pomoc, bo bała się przyznać mężowi, jaka jest nieprzytomna. Rozpadała się z każdym dniem coraz bardziej i nic na to nie mogła poradzić.

Któregoś dnia umówiła się z Pawłem w letnim domu, na działce za miastem, była stęskniona. Mieli kilka dni przerwy w spotkaniach.

Było już po sezonie. Las świecił pustkami, opuszczone posesje, zwiastuny zbliżającej się zimy, ze swoimi zaciągniętymi okiennicami, jak skamieniałe posągi lata zapadały w półroczny sen. Letnicy wyjechali. Alejki zasypane opadłymi liśćmi zamykały domy w kolorowe ramy jesiennego obrazu. Wszędzie panowała niezmacona cisza. Atmosfera tego miejsca nie pasowała zupełnie do schadzki z Homerem. Dorota musiała to miejsce dla niego oswoić, co nie przyszło jej łatwo. Dom w lesie kojarzył się raczej z rodziną. W pamięci tkwiły obrazy dni spędzonych tu z Markiem i dziećmi. Najmilsze wspomnienia związane z wakacjami stopiły się w wielką bryłę przemyślnych wrażeń, przybliżyły słodkie chwile w ramionach męża, później uroki macierzyństwa, dzieci w piasku przed domem i nocne debaty o życiu. Początkowo obecność Homera bezcześciła w jej oczach tę przestrzeń, po kilku spotkaniach zawładnęła nim całkowicie. Wiedziała, że takie już na zawsze pozostanie w pamięci.

Przyjechała pierwsza. Czekwała w samochodzie, cała drżąc z emocji. Kilka dni rozstania były dla niej dość trudne. Jakby się nagle ocknęła. Teraz, gdy od umówionej godziny dzieliły ją zaledwie minuty, przestraszyła się tego, co robi. Była zła, że okazała się stereotypową kobietą po czterdziestce. Uległa magii młodości, zapominając, gdzie jest jej miejsce. Zrozumiała nagle, jaka jest śmieszna. Dlaczego tak się poddała, nie potrafiła zachować dystansu do siebie i swojego wieku? Czy pożądanie mogło być aż tak ogłupiające? Bo przecież dopiero skończyła studia, ledwo co wypiękniała. Jest taka szczupła, zadbana, mężczyźni oglądają się za nią na ulicy. Wygląda dużo lepiej niż wtedy, gdy miała dwadzieścia pięć lat. Więc dlaczego to już nie dla niej? Zmieniające się dni w kalendarzu traktowała jak fakt oczywisty, nie wiążąc tego z przemijaniem, a jedynie zwykłą kolejną rzeczą. Dusza śpiewała w niej wciąż tak samo, a przystojni chłopcy wpadali jej w oko równie często jak kiedyś. Był jeszcze Marek, wiadomo, nie chciała go zdradzać, gdyby nie ten cholerny Homer, nic by się nie stało.

Zauroczenie nim niepodobne było do niczego. Czuła się odpowiedzialna za to, że tak daleko zabrnęła. Ta świadomość nie oznaczała niestety rezygnacji. Wciągana w namiętne podciśnienie poddawała się bezwolnie i topniała na samą myśl o jego dotyku. Nie wiedziała, co jeszcze może się zdarzyć, czy będzie musiała z nim skończyć i ponieść tego wszelakie konsekwencje, czy będzie ciągnęła to tak długo, aż uczucie się w nich nie wyczerpie. Targana z jednej strony wyrzutami sumienia, z drugiej chęcią przeżycia czegoś nowego, marzyła o tym, co przyniesie najbliższa chwila. Czuła miękkość w kolanach i przyjemny ucisk w żołądku, jak przed skokiem. Gdzieś w tyle głowy dzwonił na alarm dzwonek rozsądku. Udawała, że niczego nie słyszy.

Przyjechał dziesięć minut po niej, gdy już cała drżała. Całowali się przy samochodzie. Łapała powietrze pachnące jesienią. Nogi tonęły w szeleszczących liściach winogron. Zrobił gest, jakby ją chciał

w tych liściach położyć, nie zdążyła zaprotestować, bo w końcu zamiast tego przytulił ją mocno, śmiejąc się na całe gardło. Mocowała się z bramą. Homer już przy bramie stał się natarczywy. Nie dał jej chwili do namysłu ani szansy na rozmowę, żadnego wyboru, niepotrzebnych wstępów, zbędnej kokieterii. Uznał, że skoro zdecydowała się znowu przyjechać, to w wiadomym celu. Bez jednego słowa, bez fałszywego wstydu, zamykając butem drzwi, wepchnął ją do środka i stało się właśnie tak, jak myślała. Stali pod ścianą. Ona zwrócona plecami, on na niej, gniotąc jej kości do bólu. I rozbierał z krawiecką wprawą. — Jak w filmie — zdążyła pomyśleć. Duże, zwinne palce rozpoznawały w jednej sekundzie zakamarki bielizny i wędrowały bezbłędnie od zapięcia do zapięcia, nie myśląc się i nie szarpiąc bez potrzeby. Jak wytrawny koneser przyzwyczajony do obcowania z dziełami sztuki brał w ręce to, co miało dla niego najwyższą cenę, a potem, delikatnie, by nie uronić doznań, z zamkniętymi oczami jak niewidomy, badał opuszkami palców każdy centymetr jej ciała.

Wtulona w jego ramię, nie wiedziała, kiedy znaleźli się w łóżku. Wielki materac wypełniający sypialnię bez skargi przyjął ich w swoje ramiona. Homer wyłuskiwał ją jak ostrygę z ciasnej skorupy, a potem, nie panując nad rosnącym pożądaniem, wchłonął, śliniąc się przy tym z rozkoszy. Każdy mięsień wykonywał własny taniec. Ręce, uda, stopy, usta, język poruszały się niezależnie od siebie, a on zamykał się wokół jej drobnego ciała. Powoli traciła oddech. Pojękując z zachwytem, poddawała się wszystkiemu bezwolna i bliska omdlenia. Pot zmieszany z miodowym balsamem, którego użyła, przywodził na myśl słodką ucztę. Zaciskała powieki i zapadała się w miękką otchłań płynnych ruchów, mała, niepozorna. Zapomniała, kim jest i co robi. Jak w narkotycznym śnie wiła się i myślała o jednym: żeby to się nigdy nie skończyło. A gdy już do reszty traciła dech, on delikatnymi ruchami potrząsał nią, żeby sprawdzić czy żyje. Niebo, ziemia, światło, ciemność, świat wewnątrz nich. Mogła przekreślić całe swoje życie dla tej cudownej chwili, która jak odkrycie kosmosu zmieniała ją bezpowrotnie w kogoś innego.

Ocknęła się, gdy za oknem zrobiło się ciemno, straciła orientację. Z trwogą sprawdziła czas. — Późno — pomyślała. Oprzytomniała po chwili z niepokojem i głodem. Z trudem wracała do wnętrza swojej skóry. Czuła w sobie zmianę. Coś pękło w niej po raz kolejny, za każdym razem, kiedy się kończyło. Jakaś tłumiona przez lata eksplozja znalazła wreszcie ujście. Ból gniotący przez lata dół brzucha niespodziewanie ustąpił, a tajemnicza słodycz wypełniła po brzegi jej ciało. Otworzyła oczy, pełna obaw. Bała się spojrzeć mu w twarz. Mogła w niej zobaczyć na przykład pogardę.

— Muszę wracać. — Wpatrywała się w okno z widokiem na burą ciemność.

— Dziewiąta — spojrzął na zegarek, a potem na nią. Uniósł się na łokciu, a drugą ręką zgarnął z jej twarzy ciemne pasma włosów:

— Jesteś piękna, naprawdę — powiedział słodko.

Wiatr uderzał gałęziami drzew w okno nad ich głowami. Kotylali się zamknięci w objęciach, by choć na chwilę opóźnić moment rozstania.

Żyła jak we śnie i nie wiedziała, co dalej robić. Nie знаła swojej przyszłości, nie potrafiła niczego przewidzieć, na nic się zdecydować. Chciała tylko, żeby tak mogło być do końca. Tylko jaki miał być ten koniec? Nie potrafiła sobie wyobrazić.

Mówi się, że niewierność jest zawsze sygnałem kryzysu w związku, że wynika z braku czegoś między małżonkami i z rozczarowania. Istotnie, Dorota czuła, że coś pomiędzy nią a Markiem umarło, albo raczej wyrosło. Jakiś mur z wzajemnych pretensji do życia, że wciąż muszą siebie nawzajem znosić, akceptować i dla wspólnego dobra oddawać. Bo żeby urządzenie zwane rodziną działało bezawaryjnie, trzeba zapomnieć o sobie. Czasami powstawała w jej głowie drżąca myśl, że powinna odejść. Momentami była prawie pewna, że życie w samotności byłoby lżejsze. Już zapomniiała, jak to jest być tylko ze sobą i robić tylko to, na co ma się naprawdę ochotę. Posłuchać siebie, własnych, niczym nieograniczonych potrzeb, a nie wiecznie się dostosowywać. Od lat była zajęta rodziną, obowiązkami, pracą. Marzyła, żeby od tego odpocząć i rzucić się wreszcie w wir samej siebie. Ale wiadomo, co innego spekulacje, a co innego życie, ono rządzi się własnymi prawami. Były przecież dzieci i wiecznie potrzebne pieniądze.

Uciekła w ten dziwny trójkąt małżeński z wewnętrznego rozdarcia. Nagle poczuła, że dusi ją obecna egzystencja. Patrzyła na Pawła z zaślepieniem i z nieziemskim zachwytem, widząc jakiś niezrealizowany wymiar samej siebie. Próbowwała usprawiedliwiać się, twierdząc, że to dla stałego związku dobrze, gdy pozwolimy sobie i swojemu partnerowi na ożywcze fascynacje. Że to związek odświeży i oczyści. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że to go może też obezwładnić i zniszczyć.

Widzieli się niemal codziennie. Dzwoniła do niego pierwsza. Tak się umówili. Spotykali się ciągle w domku na działce. Wyludniony las dodawał tym spotkaniom magii. Jesień trwała w pełni. Cudowna cisza i spokój. Już bezceremonialnie podjeżdżali samochodami pod bramę, głośno trzaskając drzwiami. Aż się prosili o kłopoty.

Dorota szaleńczo tęskniła do cudu, którym było zbliżenie z Pawłem. Robiła wszystko, żeby się spotkać. Odrzucała swoją codzienną maskę i zapominała, kim jest. Liczyła się tylko intymność. Seks pomiędzy nimi był niezwykle szczery, pozbawiony barier i pruderii. Pełne zespolenie dwóch ciał i dwóch dusz. Pokonała swój wstyd. Po raz pierwszy nie trzymała się żadnych granic, po raz pierwszy przekraczała siebie. I właśnie to było fantastyczne. Żyła w stanie permanentnej euforii i trudno jej było wrócić na ziemię. Nie czuła się winna.

Coraz rzadziej myślała o Marku, którego potrafiła przejrzeć w jednej chwili. Coraz więcej było w niej ekspresji i autentyzmu, którym emanował Paweł. Nie wiedziała, że traci kontrolę. Bawiła się jak zachwycone dziecko. Myślała, że tak będzie zawsze, że łączy ich prawdziwe uczucie, mimo że oparte jedynie na seksie.

Po kilku tygodniach, gdy pierwszy czar opadł nieuchronnie, gdy pojawiły się pierwsze problemy, niedomówienia, kiedy on precyzował dość otwarcie swoje pretensje, Dorota otrzeźwiała. Zrozumiała, że na dłuższą metę nie da się żyć w ten sposób. Natura jest niezaspokojona. Chce ciągle więcej. Już seks to było za mało. Chcieli ze sobą kłaść się wieczorem, a rano wstawać. Razem, nie tylko ukradkiem pić kawę, ale jeść śniadanie, obiad i kolację, a potem na urlop do Grecji albo w Alpy na narty. On chciał mieć z nią dziecko. Ona też, ale przecież dzieci już miała. Dopiero co, kilka tygodni wcześniej, wyperswadowała mężowi adopcję, a tu mężczyzna jej życia chce zafundować jej ciążę. To było jak kubeł zimnej wody.

O tym, żeby opuścić rodzinę, nie było nawet mowy. Poczwała się podłą modliszką. Nagle zrozumiała, że nie tylko męża oszukuje. Oszukuje też Pawła i siebie, nie wspominając o dzieciach. Przestała dzwonić. Postanowiła przez kilka dni spróbować życia bez niego. Przepłakała te dni, tłumacząc się w domu bólem głowy, w pracy zarwanymi nocami.

Inka przypłaciła to wszystko bólem głowy. Noc w pewnym sensie była zarwana. Bała się, że Rawicz zauważy jej błyszczące oczy. Przyjechał samochodem. Stała w tym czasie przy oknie i obserwowała każdy jego ruch i jak pies, który po geście poznaje humor swojego pana, próbowała rozgryźć, o co chodzi. Zawiewający od tyłu wiatr rozsypał w różne strony jego proste włosy, a on bezskutecznie próbował przywołać je do porządku, przytrzymując to z jednej, to znów z drugiej strony. Porcelanowa twarz niczego nie wyrażała. Całkowity spokój, zupełna obojętność, jedynie subtelne spojrzenia, lustrujące ruch na ulicy, w prawo, w lewo, do przodu. Tego faceta w oczach Jaworskiej nic i nikt nie mógł ośmieszyć. Był ideałem. Zrównoważony, obowiązkowy, zawsze skromny i niezwykle taktowny. Nie знаła nikogo takiego, kto mógłby mu dorównać. Takim go widziała, niezaspokojona i ślepa

z miłości. Ukrywała tę miłość przed oczami innych, nikt o niej nie wiedział. Potrafiła tak skrzętnie maskować emocje, że nawet sam obiekt żył w nieświadomości. Była bardzo powściągliwa na zewnątrz, w środku niezwykle skomplikowana, trochę męska, trochę kobieca. Była jak bohaterka poezji czasów romantycznych, gdzie miłość mogła istnieć jedynie w postaci duchowej, sfera seksu stanowiła zaś jej kłopotliwą i raczej brutalną stronę, a z pewnością moralnie podejrzaną. Obcowanie seksualne bardziej wyczerpywało ją i unicestwiała, niż dawało satysfakcję. Inka po seksie czuła, jakby ją ktoś pozbawił tożsamości. Z drugiej strony jej heroiczna walka, żeby ofiary nie spuszczać z oka i iść za nią, jak samiec za swoją samicą, sugerowała ten męski pierwiastek. Wierność samcowi istniała w czystej formie, pozbawionej podtekstów moralnych, chociaż przecież nie był wolnym człowiekiem, a więc miłość do żonatego powinna być napiętnowana, a jednak nie była. Przywiązanie i psia służba, czy może obsesja i dzika fascynacja ofiarą, to cała prawda. Bezbronna i pasywna, czy może doświadczona i wrażliwa, a może po prostu najnormalniej samoniszcząca. Wybrała sobie wzór cnót. Fascynacja tym mało spontanicznym człowiekiem przechodziła granice rozsądku, bez śladu krytycyzmu, jakby jej ktoś przesłonił oczy i powiedział, że innych facetów nie ma, tylko ten jeden i tylko tego się trzymała. Widziała go najczęściej w bieli. Nosił obszerne fartuchy. Do tego biel, która sprawiała, że stawał się niemal niewidzialny i zupełnie bezpłciowy. Być może o to jej właśnie chodziło.

Lecz życie nie nagradzało Rawicza za te wielkie cnoty, wyolbrzymiane przez Inkę do granic absurdu. Wydawał się człowiekiem szczęśliwym, a przecież miał wiele powodów do zmartwień, a nawet do wiecznej zgryzoty. Rawicz ożenił się z dziewczyną chorą na SM. Niemal od początku małżeństwa przykuta była do wózka. Zdążyła jeszcze na szczęście urodzić córkę. Początkowo choroba atakowała wolno i nieznacznie, łudzili się, że przybierze raczej formę przewlekłą, nie ostrą. Stało się jednak inaczej. Po kilkunastu miesiącach od postawienia diagnozy przestała chodzić. Załamanie psychiczne i ciąża przyspieszyły ten proces. Po porodzie nastąpiły kolejne zaostrzenia objawów, było jasne, że niewiele już da się zrobić. Aż w końcu choroba do reszty odebrała jej władzę nad ciałem. Nowe możliwości w medycynie, pojawiające się w kolejnych latach, kosztowne kuracje, rujnowały ich finansowo, ale dawały jednak nieco nadziei i znacznie opóźniały postępy choroby. Niestety, rokowania nie były pomyślne i w każdej chwili mogły oznaczać pogorszenie stanu zdrowia albo i całkowite załamanie. W związku z tym, że Rawicz był lekarzem, mógł zapewnić żonie na co dzień fachową opiekę. Poza tym, wszyscy widzieli, jakim jest troskliwym mężem. Spokojnie znosił ciężki los, nikt nie słyszał, by kiedykolwiek narzekał. Inka znała jego historię po części z czasów studenckich, a potem z kontaktów zawodowych. Może dlatego zwróciła na niego uwagę, że wzruszyła się poświęceniem? Czasami, aż wstyd było się przyznać, zazdrościła chorej tego, iż mogła go mieć przy sobie. Z relacji pielęgniarki, która bywała u jego żony dość

często, wynikało, że Rawicz swoją trudną rolę wykonuje z pełnym oddaniem. Zawsze gdy wracał do domu, najpierw witał się z żoną, przynosił jej często słodycze, czasami kwiaty. Robił zakupy, gotował. Inka wsluchiwała się z otwartymi ustami, z każdym dniem bardziej wielbiąc, i robiła wszystko, żeby nie stracić go z oczu. Wiedziała, że jako chemik niewiele będzie w życiu miała wspólnego z medycyną. Odgrzała więc dawne marzenia z dzieciństwa i postanowiła zainwestować w analitykę. Niestety, jej idol w poszukiwaniu pracy wyprowadził się aż do Sopotu. Nie pozostało jej nic innego, jak pojechać za nim. Zamieszkała zatem u ciotki, a swoje laboratorium otworzyła pod samym nosem szpitala, w którym pracował.

Kontakty zawodowe dawały jej okazję do częstych wizyt na oddziale, a tym samym do spotkań. Te chwile rozmowy łudziły ją, więc czekała wciąż na jakiś znak. Byli w stosunku do siebie mili, uprzejmi, on trochę chłodny, zdystansowany, ona zbyt gadatliwa i zawsze nadmiernie pobudzona, z trudnością hamująca emocje. Od wielu lat w zdawkowych rozmowach opowiadali sobie mniej lub bardziej szczerze o problemach, głównie zawodowych. Czasami on otwierał przed nią duszę i z troską zwierzał się z kłopotów ze zdrowiem żony, nie dostrzegając zupełnie, bądź tylko udając, że nie dostrzega, jak fiołkowe oczy Inki wpatrują się w niego, jak chwyta ona każde słowo i gest, biorąc przypadkowy grymas czy uśmiech za oznakę uczucia. Nie byli nawet przyjaciółmi, ledwie znajomymi, i zbliżał ich do siebie czasem przypadek, konieczność lub interesy, nic więcej. Wciąż mylił jej nazwisko i nie pamiętał imienia, a gdy zmieniła fryzurę, wydawało się, że jej nie poznaje. — To taka poza — myślała, gdy przeszedł obok bez słowa. — Broni się — tłumaczyła go, prowokując kolejne spotkanie.

Okazało się, że i tym razem przyjechał w sprawie badań, to było jasne, gdyż wszedł z pojemnikiem do przewożenia próbek. Przepraszał, że sobota, że przeszkadza w odpoczynku, no, ale żona... itd. — Są problemy z nerkami, zaczęła się niewydolność, potrzebne są badania. Ta sama śpiewka, co zawsze, nic nowego. Inka nie wiedziała, dlaczego tym razem tak bardzo się na niego wkurzyła. Dotąd powód nigdy się nie liczył, ważne było, że przyszedł. Były dni, kiedy nawet myślała, że choroba żony jest pretekstem do spotkań, także dla niego, a badania, o które zabiegał, jedynie okazją, żeby niespodziewanie, często w najdziwniejszych porach dnia czy tygodnia, spotkać się, bo za nią tęskni tak samo, jak ona tęskniła za nim. Dlaczego teraz czuła narastającą złość? Przecież był tu, przyjechał, taki elegancki i cichy, nabożnie wnosząc swoją kamienną twarz i zapach męskich perfum, nieco zbyt mocnych.

Pomyślała, że już nie wzrusza jej cierpienie tej obcej kobiety, że to nad sobą powinna się w końcu rozpląkać. Przyfrunęła tu dla niego z iskrą kolejnej nadziei, lecz jak zwykle nie było do czego. Znowu naiwna, jak dziecko, czekała na cud, który nie miał prawa nigdy się spełnić. Zastłuchana w jego głos i stanowczość w tym głosie, przywołującym zawsze do porządku i posłuchu, stała jak głupia gęś i gapiła się

z rozdziawioną gębą, gdy mówił i opowiadał o swojej nieszczęśliwej żonie. Koniuszki palców ciągnęły ku niemu, jakby namagnesowane — do tych gadających nie o niej ust, do wąskiej szyi, do długich białych palców wypisujących w słupku na białej kartce nazwy leków, których poziom miała zbadać, elektrolitów, białek. Cała miłość do niej, to te biochemiczne nazwy, tajemnicze symbole, drobnym pismem zaznaczone litery, z których nikt na świecie nie potrafiłby ułożyć słowa „kocham”.

Spojrzała na Rawicza, próbując przypomnieć sobie cel jego wizyty.

— Gdy będzie wszystko gotowe, proszę do mnie zadzwonić, ale pod numer domowy. Teraz muszę wracać, bo zostawiłem żonę bez opieki. Córka wyjechała, opiekunka ma dzisiaj wolne, więc jesteśmy sami, a ona już prawie nie widzi. Taka się przez to zrobiła niespokojna, niecierpliwa. Najbardziej boję się, że zrezygnuje z dalszej walki. Jeżeli opuści ją chęć do życia, to wszystko może się zawalić, cała odporność, która w niej jeszcze pozostała.

— Te wyniki — próbowała z siebie wydusić. — Na którą godzinę mają być gotowe? — zapytała, po raz pierwszy myśląc o nim, że jest śmieszny. Żona, z żoną, o żonie, o żono! We wszystkich przypadkach, do znudzenia.

— To zależy tylko od pani, będziemy czekali.

— A więc dobrze — odpowiedziała, opuszczając wzrok. — Zadzwonię.

Pożegnał się, podając jej rękę, delikatnie, z troską w oczach, a ona zaraz pomyślała: — Może jednak coś we mnie zobaczył, może odkrył wreszcie, jak jestem mu wierna, może wysła choć sygnał, iskierkę nadziei?

— Źle pani dzisiaj wygląda — stwierdził jeszcze. — Taka smutna.

— To tylko z niewyspania, mam za sobą ciężką noc — bąknęła.

Zmieszał się i już bez słowa wyszedł z gabinetu.

— Skąd wzięła się we mnie ta złość? — pomyślała. — Dlaczego właśnie dzisiaj chciałam mu dokuczyć, gdy ma kłopoty, dobijam go, zamiast współczuć. Przecież bunt i tak nie rozwiąże niczego ani nie odwróci. Nigdy go nie dostanę, chyba że zabiję tę babę. Może gdybym miała pewność, że jest nieszczęśliwy, że ona jest mu strasznym ciężarem, kulą u nogi, że jej nie kocha, może mogłabym dla niego zabić. Gdybym nie bała się kary i wyrzutów sumienia, gdybym potrafiła zrobić krzywdę, może? Za

odrobinę uczucia, którego przez tak wiele lat pragnę, by mi okazał. Czy jest możliwe, że on niczego się nie domyśla i nie widzi? Cóż za absurdalne myśli dziś mnie prześladują — pomyślała, stojąc wciąż pośrodku pokoju, z rozanielonymi ustami, z głupkowatym grymasem szczęścia wymieszanym z rozpaczą. Zacisnęła zęby, obie pięści przycisnęła do uszu, jakby chciała zagłuszyć myśli, które jak sępy krążyły wokół wciąż żywego ciała pani Rawiczowej. — Przeczekam ciebie — pomyślała ze wstrętem o bezwładnym, woskowato białym ciele kobiety, tak różniącym się od jej ciała, rozpalonego żarem skrywanych przez lata pragnień. — Zwrócę ci kiedyś te stracone lata — wyszeptwała do siebie, myśląc o nim. — Odrobimy zaległości. Tylko czy zdążę, czy moje ciało nie zestarzeje się do tego czasu — zwątpiła. Chwyciła z biurka ciężki metalowy dziurkacz i rzuciła ze złością o ścianę. Upadł z hukiem na podłogę, a za nim posypały się drobiny tynku. W ścianie pozostała trójkątna i dość głęboka dziura. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął przestraszony Rawicz.

— Zostawiłem kluczyki — oświadczył krótko.

— Zosiu, już jestem — Jerzy zajrzał do pokoju. Sprawdziłam, która godzina. Zbliżała się czwarta.

— Już bardzo późno — wyraziłam swoje zdziwienie. Zmieszał się trochę.

— Byłem u Piotra — powiedział jak mógł najkrócej. — Spotkałem go w mieście. Zaprosił mnie do siebie, chciał pogadać — wytłumaczył oględnie. — Trochę się zasiedziałem, wiesz, że go lubię.

Nie przepadałam za Piotrem. Miał zły wpływ na Jerzego. Znali się jeszcze ze studiów, często spotykali. To nie był dobry kumpel. Wciąż popadał w jakieś tarapaty, wiecznie pożyczał od nas pieniądze, nigdy nie oddawał w terminie. Może byłam zazdrosna, a może się bałam.

— Zawsze się boczysz, gdy od niego wracam, nie lubisz go, wiem, ale zrozum, to mój najlepszy kumpel, jedyny, który mi został — powiedział najłagodniej jak tylko potrafił. Czułam, że coś wisi w powietrzu, że trzyma coś dla mnie w zanadrzu i tylko nie wie, od czego zacząć.

— Zastanawiam się... — zawiesił głos i nabrał głęboko powietrza. Poczułam jak czas zatrzymuje się w miejscu. Znałam ten jego ton.

— No wyduś to wreszcie — ponaglałam. — Nie trzymaj mnie w niepewności. Przecież widzę, że chcesz coś powiedzieć.

Jerzy spojrzał na mnie błagalnie.

— Piotr złożył mi propozycję pracy — wypalił szybko.

Więc jednak, stało się. Piotr wciąga Jerzego w jakieś podejrzane interesy. Tyle razy prosiłam, nie zadawaj się z nim. Pograży i siebie, i nas. To nierozważny facet.

— Jerzy, ty wiesz, jak ryzykowne są przedsięwzięcia Piotra i co może ci przynieść współpraca z nim — ostrzegałam podniesionym głosem. — Już kiedyś przez niego mieliśmy kłopoty. Zapomniałeś tę niespłaconą pożyczkę i długi u moich rodziców. Grubo się za niego musiałam tłumaczyć.

— Przesadzasz — Jerzy się obruszył. Nie cierpiał, jak krytykowałam Piotra. Uważał, że nie mam racji. — Jest wprawdzie odważny — twierdził — ale również dość przedsiębiorczy. Porywa się na wielkie rzeczy i jakoś mu idzie. Miał kilka wpadek, pamiętam, ale kiedy to było? Każdy jakoś zaczyna i nie od razu odnosi sukces. W końcu mu się udało. Niepotrzebnie się do niego uprzedziłaś.

— Tylko mi nie mów, że to było w porządku. To nie uprzedzenie, to fakty. Wtedy nie oddał pieniędzy, teraz wciąga ciebie w brudne interesy. Myślisz, że jak mu nie wyjdzie, będzie miał jakieś skrupuły?

— Wiesz co, Zosiu? — Jerzy powiedział zupełnie bezradny. — Zachowujesz się jak histeryczka. Nie znasz sprawy, a już krytykujesz.

Czułam, że się obraził, że zaraz wstanie i wyjdzie z pokoju.

— Zanim się na mnie obrazisz — zaczęłam na wszelki wypadek — powiedz najpierw, co to za praca.

Czułam, że się waha. To musiało być coś bardzo ryzykownego, w sam raz jak na fantazję Piotra.

— Dobrze, tylko nie mów „nie”, zanim nie usłyszysz wszystkiego — ostrzegał. — Nie możesz ciągle traktować mnie jak smarkacza. Mam przecież prawo decydować o sobie.

— Jasne, że masz — powiedziałam dobitnie. — Ale może najpierw mi powiedz.

— No więc, Piotr — zaczął nareszcie — wyjeżdża z kraju na kilka miesięcy. W związku z tym, że brakuje mu pracowników, poprosił, żebym go zastąpił w tym czasie. No wiesz — tłumaczył. — Mam mu poprowadzić firmę — mówił do mnie powoli, cedząc słowa tak, żebym nie dostała zawału.

— Jak to — nie dałam mu dokończyć zdania — przecież to dla ciebie czarna magia, nigdy nie pracowałeś z ludźmi, nie poradzisz sobie — nie mogłam milczeć. Znałam go przecież, nie nadawał się na szefa. Jerzy i firma, to poroniony pomysł.

Ale on aż zachnął się, urażony.

— Obrażasz mnie — wyrzucił jednym zdaniem. — Wydaje ci się, że jestem ostatnim fajtłapą. Przecież kończyłem te same studia, co Piotr, mam taki sam zawód i coś niecoś w głowie. Dlaczego nie miałbym sobie poradzić? To dobra okazja, by zacząć nowe życie, bardzo chciałbym poczuć smak ryzyka, a i dla ciebie też byłaby odmiana, mogłabyś spróbować czegoś innego, uciec od starych demonów, które nie dają ci spać, wypróbować swoje możliwości. Przecież nie wiesz, ile jesteś warta. Chcesz już do końca życia malować swoje żałosne ptaki? Może czas zabrać się naprawdę do pracy? — powiedział to wreszcie.

— Jak to do pracy? Uważasz, że nic nie robię? — aż mnie poniosło.

— Myśl sobie, co chcesz. Dla mnie to jest prawdziwe wyzwanie, jedyna szansa.

— Jakoś nie wyobrażam sobie tego — udawałam, że jego słowa spływają po mnie. — To byłaby dla nas całkowita rewolucja. Zawsze chcieliśmy jednego, niezależności. Przestaniemy być panami siebie, uzależnimy się od układów i od pieniędzy.

— Może już najwyższy czas skończyć z tym chałupnictwem. Do czego ta niezależność nas doprowadziła, już czas to zmienić, nie uważasz? — Pytanie zawisło w powietrzu, a ja zdrętwiałam z przerażenia, bo poczułam, że Jerzy stracił wiarę w słuszność tego, czego obiecaliśmy sobie strzec jak oka w głowie. Wirywa się ode mnie, chce uciec w obietnice wątpliwego sukcesu. Pomyślałam, że mam przed sobą początek kryzysu naszego związku. Odwróciłam się twarzą do ściany, jakbym chciała w ten sposób uciec od wypowiedzianych słów lub zbagatelizować ich znaczenie. Zamknęłam oczy i próbowałam jak najszybciej odnaleźć właściwą drogę do mojego znikającego za horyzontem świata. Resztkami sił zapytałam:

— Chcę wiedzieć tylko jedno — nabrałam powietrza. — Czy ty mnie pytasz o zdanie, czy oznajmiasz fakt, bo coś mi się wydaje, że już podjąłeś decyzję. — Spojrzałam w jego roziskrzone oczy i poczułam, że tryskają zapałem i chęcią działania.

— Nie dałem mu jeszcze odpowiedzi, ale jeśli chcesz znać prawdę, zapaliłem się do tego jak diabli. To ciekawa praca, z ludźmi doświadczonymi, znającymi swój fach. Dla mnie to zaszczyt, że będę mógł robić to, co oni.

Więc klamka zapadła. Coś zmieni się w naszym życiu, tylko czy aby na korzyść? Postanowiłam za wszelką cenę zachować spokój. Przestraszona pomysłem Jerzego panicznie rozglądałam się za czymś pewnym i stałym, co zawsze było, jest i będzie. Mój wzrok zatrzymał się na wiszącym od wielu lat na ścianie obrazie, przedstawiającym reprodukcję Camille'a Pissarra „Dzieci na dziedzińcu chłopskim”. Poza tym, że nawiązywał znowu do zakazanego tematu, był obiektem kultu w tym domu. Stanowił jedyną pamiątkę po talencie wuja, starszego brata mojej matki, który namalował tę reprodukcję i zaraz potem zaginął, wywieziony przez Niemców z Krakowa w listopadzie 1939 roku, razem z 183 osobami, w większości profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Obraz dostałam od rodziny w dniu swojego ślubu, jako amulet mający przynieść nam szczęście i powodzenie w pomnażaniu życiowych sukcesów. Widać ani wujowi, ani nam, nie dane było cieszyć się płodnością w naturze i malarstwie. Teraz, gdy wpatrywałam się w drobne plamki tworzące rysunek postaci siedzących na przesyconej światłem murawie, na subtelny koloryt i doskonale dobrany nastrój, poczułam, jaka niezmienna, sztywna i statyczna może być czasami sztuka i choć nieraz kojarzy się ze smutkiem tworzenia, daje poczucie stabilizacji i więzi z historią. Takich wrażeń teraz mi było trzeba, a nie złudnych miraży kariery i pieniędzy. Byłam pewna siebie, lecz już nie Jerzego. Mój mąż, zarażony szaleństwem, postanowił się sprzeniewierzyć. Tak wtedy się czułam i tak myślałam o mających nastąpić w naszym życiu zmianach. Bliższa mi wówczas była miłość do Pissarra, do natury, do smutnego losu mojego wuja, jak ja kochającego impresjonizm, niż do nowej namiętności mojego męża, który chciał ratować dobrobyt rodziny i z honorem umieszczać swoje nazwisko na plakatach, reklamach i wystawach. Nagle zdałam sobie sprawę, że zostanę chyba ostatnim bastionem tradycji.

W nastroju nowości minęło kilka następnych dni. Jerzy i Piotr całymi godzinami omawiali warunki kontraktu, przeglądali plany pracy na najbliższe dni i spotykali na „męskich” naradach. Nie miałam śmiałości zawracać im głowy, przypominając o swoim istnieniu. Tacy byli zajęci sobą pracą i wchodzeniem Jerzego do biznesu. Czułam, że go tracę, że wreszcie znalazł sobie coś, co miało bez reszty zastąpić mu przebywanie ze mną i moimi frustracjami. Może miał ich już dość? Nie wiedział, jak się uwolnić od nich i ode mnie, przynajmniej na jakiś czas, i pod pretekstem dobra wspólnego uciekał gdzie pieprz rośnie. Czułam, że odzywają się w nim ciągotki do większych wymiarów, że lata nauki w

Warszawie, gdzie kończył liceum i studia, stały się teraz dla niego znowu odnośnikami wszelkich wartości, że pragnie pofrunąć bliżej nich i osiągnąć granice, których jeszcze niedawno nie dotykał.

Widziałam, jak z każdym dniem narastało w nim podniecenie i radość z powodu rozpoczętego przedsięwzięcia. Powoli topniałam, w geście samoobrony i w obawie, że jeśli nie dołączę na czas do ogólnej euforii, pozostanę w tyle. Mimo wrogiego stosunku do samego zjawiska, zaczęłam podglądać ich w pracy. W końcu to też była sztuka i bez względu na zastosowanie pociągał mnie w niej sam proces tworzenia. Zachwycona geniuszem komputera, którego zakupem byliśmy bardzo podnieceni, jego możliwościami i nawet konkurencyjnością w stosunku do samego twórcy, zaczynałam jako wolny słuchacz poznawać „nowe”, którego tak się bałam i za wszelką cenę nie chciałam zaakceptować. Zrozumiałam także, że jest to jedyny sposób, by nie oderwać się i nie pozostać zbyt daleko od męża, bo jednak bez niego nawet najbardziej romantyczny świat stałby się pustynią. Tylko on mógł zapewnić mi poczucie bezpieczeństwa i jedynie z nim mogłam rano wstawać, a wieczorem kłaść się spokojna o następny dzień. Nikt, tylko on mógł znieść mnie i moje słabości. Więc uczepona znowu jego boku towarzyszyłam mu już nie całkiem przeciwna. Na szczęście na wielkie pieniądze z tego interesu na razie nie można było liczyć, więc nie groziły mi tymczasem daleko idące zmiany.

Mela od spotkania z Markiem nie przestawała myśleć o Dorocie. Ciekawiło ją jak sobie radzi. Oczywiście było, że nie mogła czuć się szczęśliwa, na końcu świata, z dala od dzieci i przyjaciół, z dala od męża, z którym przeżyła połowę życia. Dlaczego to sobie zrobili, czemu pozwolili, by czas zniszczył uczucie? Przyrównywała wszystko do siebie, nie pojmując jednocześnie niczego. Dla Meli Kostek był ciągle wszystkim, chociaż zniknął z jej życia już dawno. Mimo to do dziś zachowała dla niego nieskalane uczucie. Gdyby nie pamięć o nim, nie przeżyłaby tylu lat w więzieniu. A tu ludzie mają siebie na co dzień, dobrobyt i rodzinę, więc czemu się tak dzieje? Nie potrafią nad tym zapanować i odchodzą każdy w swoją stronę? Przecież to bez sensu. Atak bardzo chciała się spotkać z nimi wszystkimi, bez wyjątku. Było Meli żal, że tak się nie stanie. Na moment przytłoczyła ją perspektywa braku kogokolwiek w tym ostatecznym starciu, w konfrontacji, którą zaplanowała. Egoizm wziął przez chwilę górę nad przyzwoitością. Jednak jej sprawa zawsze stawała się najważniejsza i nie mogła sobie z tym jakoś poradzić. Nosila w sercu żal za zmarnowane życie, rozumiejąc jednocześnie, że nikt oprócz niej nie ponosi za to winy. Niestety fakt, że właśnie ją to wszystko spotkało, budził odwieczny żal i pretensje. Gdyby chociaż jakoś dali jej odczuć, że też cierpią. Tak mało ich to wszystko obchodziło. Zostawili ją samą na dwadzieścia lat, samiuteńką w okrutnym, bezlitosnym świecie, gdzie przemoc gościła pod każdą postacią i była jak chleb powszedni. Wiele musiała przecierpieć, zanim zhardziała. Taka wtedy była wrażliwa i miękka, a wkoło straszny świat,

jak z samego dnia studni z dziecięcych bajek, gdzie nie ma nic, tylko zgnilizna, zgroza i śmierć. Ludzka krzywda, której często była świadkiem, wryła w niej głębokie ślady. Tak długo cierpiała, aż sama zmieniła się w skałę. Wyczerpała cały limit łez. Chyba tylko cud sprawił, że nie umarła. I ta miłość do Kostka trzymała ją mocno przy życiu. Uczępiła się jej kurczowo, jak burty. Tylko o niej mogła myśleć bez bólu, chociaż sama była bólem i raną. Dlatego tak bardzo chciała ich wszystkich zobaczyć. Musiała im w końcu powiedzieć, jak było. Nie chce nosić tego w sobie do śmierci, chce to wykrzyknąć.

Kusiło ją żeby zadzwonić. Zapytać Dorotę, jak jest i czy jej czegoś przypadkiem nie trzeba. Nie musi być przecież taka sama, nadęta, jak oni wtedy, w sądzie — magistrowie spod igły, architekci pieprzeni, germanistki, chcieli jedynie zająć się własnym życiem, bo się dopiero zaczęło, i zapomnieć, że ktoś gdzieś tam cierpi. Przecież wiedziała, że nikt tutaj na nią nie czeka, że tylko słowa i słowa, nic więcej. Nawet nie wiedzą że wyszła na wolność, kogo to jeszcze obchodzi, choć tyle było obietnic i deklaracji.

Pamięta Katowice i maj, jaka była tego dnia pogoda — rano padało. Ulicą jeszcze spływała strumieniami woda, a na niebie świeciło już słońce. Upał. Gdy wstała, zrobiła sobie ekstra fryzurę, niewiele z niej jednak zostało. Przeglądała się zrozpaczona w wystawach w drodze na spotkanie z poznanym dzień wcześniej chłopakiem. Chciała dobrze wyglądać, bo gdy się poznali, była po ciężkim treningu, zmęczona i brudna. Tymczasem włosy sprawiły jej zawód, tracąc lekkość i piękny skręt wypracowany misternie za pomocą lokówki.

Spieszyła się na spotkanie i właśnie wtedy zobaczyła Kostka. Dziwny zbieg okoliczności. Gdyby nie to, że rozmawiał z Kubą nie zwróciłaby na niego uwagi. Kuba, a razem z nim cała ich paczka, przyjechali z Melą do Katowic. Chcieli jej kibicować, a przy okazji zwiedzić miasto. Tyle że Mela spała w hotelu, a oni w schronisku. Teraz zaspani po nocnej balandze wałęsali się znudzeni ulicami, a ona biegła na randkę. Miała nadzieję, że nie wpadną na siebie. Dlatego tylko musnęła ich wzrokiem. Wi-

działa rozłożoną mapę i plecak chłopaka, przykryty wojskową wiatrówką. Chyba przyciągnęła go wzrokiem, bo nagle spojrzął na drugą stronę ulicy.

Spóźniła się na randkę kilka minut. On czekał już na nią przy stoliku, elegancki i wyprężony. Natomiast Mela była w kłopotcie, na śmierć zapomniała, jak ma ten chłopak na imię. Za to on jej imię doskonale pamiętał, nawet wyraził podziw, że jest takie rzadkie i piękne. Mela miała jednak własne zdanie. Twierdziła, że okropne i że pasuje do starej panny, a on, że o to może być spokojna, bo staropanieństwo raczej jej nie grozi. Rozmawiali przez chwilę zmieszani banalnymi wstęпами, dopóki kelnerka nie przyniosła im lodów z kremem sułtańskim i kawy. Potem już jakoś poszło. Głównie on

mówił, a Mela słuchała. Początkowo mówił ciekawie, potem zwęził tematy, zatrzymując się głównie na sobie.

Kawa była lurowata i źle zaparzona, na wierzchu pływały fusy. Chłopak odstawił ją z niesmakiem, a Mela natychmiast wypła. Zobaczyła jego dziwny grymas, lecz było za późno. Wzruszyła tylko ramionami, obojętne, co o tym myśli. Chłopak, który okazał się w końcu Adamem, był trochę dziwny, jakby połknął kij albo miał problemy z kręgosłupem. Siedział sztywno i dziwnie gestykulował. Za bardzo się starał, to w Meli budziło niepokój, choć poza tym przedstawiał się dosyć szykownie i schludnie. Ale ona takich nie lubiła. Sama była naturalna, nie cierpiała zgrywu. Niestety, chłopak zgrywał się bez końca, próbując imponować jej za wszelką cenę. Z lekkim roztargnieniem przysłuchiwała się monologowi, jak mówi o sobie i ciągle się chwali, a to wakacjami w Bułgarii, a to nowym zegarkiem przywiezionym z Hiszpanii, który podtykał jej pod nos, tłumacząc jak działa. Raz po raz pytał, czy coś jeszcze zamówić, a ona konsekwentnie odmawiała. Zjadła już lody z kremem i czuła, że więcej nie zmieści. Była w trakcie zawodów i nie mogła się mocno opychać. Adam był niepokieszony. Właśnie opowiadał Meli, jakim jest świetnym kajakarzem, że się zajmuje szermierką że ma sukcesy, gdy otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł ten drugi chłopak z ulicy. Kupił dużą drożdżówkę posypaną kruszonką i usiadł w kącie. Dzielili ich od siebie dwa stoliki. Plecak postawił na ziemi i trzymając ciasto przez serwetkę, zjadał je z apetytem. Ich oczy znów się spotkały. Chłopak właśnie przetykał, obcierając dłonią przyklejony do policzków lukier i okruchy. Na jej widok zamarł na moment. Mela parsknęła śmiechem. Adam się spłoszył, pomyślał, że śmieje się z niego. Szybko wstał i przeprosił, twierdząc, że musi do toalety. Mela została sama. Jej oczy natychmiast powędrowały przez salę. Zobaczyła, że chłopak też się uśmiecha. Uniósł wysoko brwi, dając znak, że uśmiech jest dla niej. Potem wyjął z kieszeni portfel i zaczął przeliczać.

Adam jakoś dziwnie nie wracał. Czyżby problemy z żołądkiem? Tak go zestresowała, czy co? Mela spojrzała szybko na zegarek. Może by wyjść, uciec przed tą znajomością która według niej nie miała szans na ciąg dalszy.

— Przepraszam, czy mogę skorzystać? — usłyszała niespodziewane pytanie. — Po co ma się zmarnować. — Obok stał chłopak z plecakiem w dłoni i łakomie spoglądał na szklankę z niewypitą kawą.

Mela otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

— Proszę, oczywiście — zmieszana wzruszyła ramionami. — Tylko że kawa jest zimna, dawno wystygła — dodała, podnosząc szklankę na wysokość wzroku. — Poza tym jest trochę upita.

— Nie szkodzi, chce mi się pić — wyszeptał i odszedł do swojego stolika.

Za bordowej kotary, kryjącej wejście do męskiej toalety wynurzył się Adam. Teraz Mela siedziała sztywna jak kołek i bała się do niego odezwać. Na szczęście niczego nie zauważył. Zapłacił rachunek i zaproponował spacer. Wychodząc, Mela rzuciła w tył ostatnie spojrzenie. Chłopak zrobił tylko żalostną minę i pomachał jej znad szklanki z kawą.

Umówiła się z Adamem następnego dnia, ale dopiero późnym wieczorem. Od rana czekały ją ciężkie treningi, a za dwa dni zaczynały się mistrzostwa Polski. Nie miała pewności, czy przyjdzie, uprzedziła go, że trener może jej nie puścić. Przyjechała do Katowic z gorączką była przeziębiona. Temperatura spadła dziwnym trafem, ale nie czuła się dobrze. Zapewniał gorliwie, że jakoś ją znajdzie.

Ale wieczorem nie było go w umówionym miejscu. Zamiast niego był chłopak z plecakiem.

— Adam nie przyjdzie — oświadczył po prostu. — Widziałem, jak wsiadał do samochodu z gdańską rejestracją. To 566 kilometrów stąd i przeszło osiem godzin jazdy. Nie zdąży już wrócić — stwierdził z kamienną twarzą. Z plecaka wystawał mu bukiet polnych kwiatów, w ręku trzymał dwie butelki oranżady. Ze swojej musiał upić, bo górną wargę miał już czerwoną. — To dla ciebie — podał bez wstępu.

Jakub sprawdził godzinę. Znajomy głos skrzeczącej kukułki zawsze przyprawiał go o drżenie serca. Miał wrażenie, że ktoś kogoś obdziera ze skóry. Obiecał sobie, że nie skomentuje ptaka, bo matka znów powie mu, że się czepia. Próbował już wiele razy coś z tym dzwonkiem zrobić, lecz jego starania spotykały się z kategoriycznym oporem.

— Kto tam? — usłyszał głos matki, mocującej się ze starym łańcuchem.

— To ja — wołał spod drzwi. — Daj spokój z tym łańcuchem, to tylko ja.

Łańcuch się często zacinał. Istniało prawdopodobieństwo, że któregoś dnia po prostu będzie go trzeba rozwalić.

— To ty, Jakub? — usłyszał ponowne pytanie.

— Tak, to ja, nie zakładaj łańcucha — powtórzył na wszelki wypadek i przypomniał mu się kawał o trzeszczącym łańcuchu przy rowerze.

— Dobrze, dobrze, nie zakładam — wołała radośnie, otwierając mu drzwi. — Wchodź szybko, bo przeciąg, balkon jest otwarty. — Zanim zdążył się wcisnąć do środka, ona była już w kuchni. Jakub spojrział na znajomy korytarz, długi i wąski, wyścielony zdeptanym chodnikiem, cienkim i wiotkim jak listek ligniny, i na ściany wyłożone ciemną boazerią. Pomyślał, że przydałby się remont. Ale widok sufitu obudowanego licznymi pawlaczami jak zawsze chłodził zapały. Z powodu tego mieszkania miewał często wyrzuty sumienia. Od tylu lat nic w nim nie robił. I jeszcze ten wszędobylski zapach stęchłego teatru, starego pudru, naftaliny, który wydobywał się z rodzinnych pamiątek przechowywanych w starych walizkach, i kurz z zasłon wiszących w pokoju, pamiętających lata powojenne. Trudno mu było dogadać się z matką w tej sprawie. Było jej dobrze, nie chciała niczego zmieniać. Na propozycję odświeżenia ścian broniła się, jak tylko mogła, twierdząc, że jest na to za stara i że odświeżać tak, lecz po jej śmierci. Nie było więc sensu wracać do tematu. Sprawa była jasna. Obserwował ją kątem oka i widział, że na remont się nie zanoszą.

— Kawa? — spytała Jakuba. Zawsze, jak do niej przychodził, najpierw wypijał kawę. Mama ceremonialnie miała ją w ręcznym młynku i parzyła, gotując na gazie. Od kiedy pamiętał, tak się u nich właśnie piło kawę.

— Kawa — potwierdził jak zawsze.

— Mam dobre lody, zjesz?

— Jakie?

— Śmietankowe. — Niepoprawna była z tymi lodami.

— Nakładaj — powiedział, a potem dodał z lekką pretensją:

— Przecież wiesz, że unikam słodczy. Zawsze musisz mnie skusić.

— Więc nie chcesz? — spytała krótko.

— Poza tym mówiłem ci — ominął pytanie — że lody są dla ciebie za tłuste, szczególnie śmietankowe.

— Ale ja lubię tylko śmietankowe i nic na to nie poradzę, coś muszę jeść — starsza pani rozłożyła ręce, jakby to było takie oczywiste.

— Mamo, już rozmawialiśmy o tych lodach, pamiętasz?

— Nagle spowaźniał. — Masz za wysoki cholesterol i kłopoty z wątrobą. Do woli możesz jeść tylko chudy ser, chudy ser i... chudy ser — te słowa brzmiały okrutnie.

— Chcesz mnie wykończyć? — Broniła zawzięcie swojej małej słabości. — Cóż mi pozostało z rozkoszy poza tymi lodami? — Spojrzała na syna wymownie. — Jak ja mam żyć bez tych lodów?

Jakub objął ją ciepło ramieniem. Była jak dziecko, szczególnie w sprawie słodyczy. Walka z lodami chyba nie miała sensu. Do znudzenia o tym rozmawiali, ale lody śmietankowe zawsze były w tym domu i mimo poważnych dyskusji nic się nie zmieniło.

— Jak możesz pytać o rozkosze? — żartował, odkładając na później sprawę słodyczy. — Odpowiedź jest tylko jedna: ja, ja. Masz jeszcze mnie, pamiętasz? Samotnego, zdziwaczałego, starego kawalera, który nie ma nikogo oprócz ciebie i dla niego musisz żyć jak najdłużej — poklepał ją delikatnie po plecach.

Starsza pani pokiwała tylko głową ze smutkiem.

— Gdyby nie ty, dawno bym już sobie umarła — mruzczała pod nosem, wsypując kawę do metalowego garnuszka. — To przez ciebie muszę się męczyć. Tak, tak — narzekała. — Nie umrę, aż się nie ożenisz. To postanowione — oświadczyła całkiem poważnie, kręcąc się dość zgrabnie po kuchni. Ruchy miała pewne i dobrze radziła sobie z naczyniami.

— A więc masz przed sobą jeszcze długie lata męki. — Jakub rozsiadł się wygodnie w fotelu. — To się nie stanie zbyt prędko.

— A pewnie — przyznała mu rację. — Kto się skusi na takiego starego ramola? Jeszcze rok i nikt nawet nie spojrzy na ciebie.

— Oho ho! — zawołał urażony. — Grubo się mylisz. Wydaje ci się, że kobiety na mnie nie lecą?

— Pokaż mi chociaż jedną — prosiła, stojąc nad nim z filiżanką parującej kawy. — Nie można przez całe życie być samotnikiem — dalej narzekała. — Przyjdzie czas, że to odczujesz — mówiła już całkiem serio. — Na przykład ja — podkreśliła.

— Co bym zrobiła, gdybym ciebie nie miała? Kto by się o mnie zatroszczył?

Jakub wstał lekko zirytowany.

— No dobrze. — Rozłożył ręce w geście rezygnacji. — Jeśli chcesz, mogę sobie strzelić dzieciaka — powiedział zdecydowanie.

— Wygłupiasz się, jak zwykle, ale mnie nie jest do śmiechu.

— A cóż innego mogę odpowiedzieć na twoje zaczepki. Nie zaczynaj każdej rozmowy od tego samego. Obojętnie, jaki poruszylibyśmy temat, zawsze kończymy w tym samym miejscu.

— Kiedy to jest moje największe zmartwienie — broniła się szczerze.

— Ty lubisz mieć na podorędziu jakieś zmartwienie. Produkujesz je chyba na kopy. Może znajdź jakieś pozytywy mojej sytuacji.

— Chciałabym mieć wnuka — wyznała zawstydzona. — Nie patrz tak na mnie — dodała, bo Jakub zrobił jedną z tych swoich upiornych min. — Czy to coś dziwnego, że stara kobieta chciałaby wreszcie zostać babcią?

— O Jezu! — zajęczał.

— Gdybyś się zakręcił wokół jakiejś przystojnej pacjentki... — kontynuowała. — W odpowiednim wieku oczywiście? — Mrugnęła porozumiewawczo.

— No proszę, ty dalej swoje. Co ci się znowu zdaje. Już mówiłem, że moje pacjentki to najczęściej starsze panie, sterane mężatki, a jak się trafi jakaś lepsza sztuka, wolna, to zaraz chorowita.

— Coś by się dla ciebie znalazło. Gdybyś tylko chciał. Mógłbyś ją trochę podleczyć i wtedy...

— Ale nie chcę — wyraźnie zaznaczył. — Mój czas na żeniaczkę już minął. Nie będę zaczynał wszystkiego od początku. Zrozum to wreszcie. Człowiek czasami zamyka za sobą pewien rozdział i nie chce więcej do niego wracać. Przestań mnie dręczyć. Tematy miłosne to dla mnie przeszłość.

— Kiedyś pożałujesz, ale będzie za późno — odpowiedziała ze złością.

— A ja ci mówię, że nie masz racji. Dobrze wiesz, jak jest. Przychodzimy, odchodzimy i trzeba zrobić wszystko, by to, co jest pośrodku, było dla nas jak najmniej bolesne — zebrało mu się na filozoficzny wykład. — Teraz nadszedł czas, w którym mogę się dowoli nacieszyć sobą. Zrozum to wreszcie. Nie muszę się zmieniać, poprawiać, dostosowywać. Robię, co chcę, albo to, co podpowiada mi

męski egoizm. Nic przeciwko sobie, wszystko dla siebie. Kocham tę wolność. Mam więcej czasu i mogę go poświęcić na zachcianki. Czego można więcej pragnąć? Uszanuj to i pozwól mi spokojnie żyć.

— Jesteś samolubny — nie dawała się zbyć. — Gdy pomyślę, że za kilka lat zostaniesz sam... Dawniej miałam nadzieję, że może ożenisz się z Anną. Teraz widzę, że chyba nic z tego.

Jakub syknął ze złością.

— Myślisz, że ona chciałaby się z kimś wiązać? Anna jest moją koleżanką z pracy. Ma swoje sprawy i swoje zmartwienia, nie wtajemnicza mnie i nie prosi o pomoc. Lubimy się, ale nic poza tym. Ona wciąż czeka na swoją córkę, wychowuje jej dziecko i nie może zajmować się amatorami. A poza tym, nie pasujemy do siebie, a do tego każde z nas wciąż kocha kogoś innego.

— No tak, teraz ty wracasz do starych dziejów. Mógłbyś już przestać o tym opowiadać. Minęło wiele lat, nie można wciąż myśleć o jednej kobiecie. Ona cię zniszczyła, już zapomniałeś?

— To twoje prywatne zdanie, mamo, mnie w to nie mieszaj.

— Jakub, sam siebie okłamujesz. Wiesz dobrze, jak było. Bez skrupułów odebrała ci wszystko, na wiele lat, a ty zachowujesz się, jakbyś był winny. Obarczasz się i zdręczasz niepotrzebnie.

— Bo byłem winny. A poza tym, to ty do tego wróciłaś. Ja nie powiedziałem ani słowa o Izie — zachnął się, wyprowadzony z równowagi. — No i postaw wreszcie gdzieś tę kawę, bo mi wylejesz na głowę.

Kobieta kręciła się w kółko bezradnie. Widać i jej temat nie leżał specjalnie, a do tego zdenerwowała syna, chociaż nie miała takiego zamiaru.

— Może wypijemy na balkonie — zaproponowała, marząc o zmianie tematu. — Postaw ją na stoliku — powiedziała, wychodząc z pokoju. — Przyniosę lody — dodała i zniknęła, zamykając drzwi.

Jakub spojrział w kierunku okna. Przez chwilę siedział sam, matka jakoś długo nie wracała. Właściwie nie dziwił się jej, miał tylko pretensje, że męczy go wciąż o to samo.

— Słodzisz? — zapytała syna po powrocie. Była jeszcze ciągle przygaszona i smutna. Uleciała bez śladu radość z dzisiejszego spotkania. Tak, w sprawie żeniaczki znowu poniosła klęskę. Już traciła powoli złudzenia.

— Dziękuję — Jakub spojrział podejrzliwie na matkę. Czuł, że ta rozmowa wiele jąkosztuje. Rzadko bywa aż tak napastliwa. Za tym nastrojem musiało się jeszcze coś kryć. Nie mogła usiedzieć. Kręciła się niespokojnie, wstawiała, siadała, wychodziła, coś mamrotała półgłosem. Gdy pytał, mówiła tylko:

— Nic, nic, to tylko tak. Coś mi się przypomniało. Obserwował te zmagania ze smutkiem. Z troską przyglądał się coraz mniej sprawnym rękóm i mocno pochylonym plecóm. To prawda, że zbliżał się już kres jej drogi, ale jak na te lata była przecież dość trzeźwa. Jakub z obawą myślał o pustce, którą w jego życiu zostawi. Byli dobrymi przyjaciółmi. Zawsze potrafili się ze sobą dogadać. Spory, które towarzyszyły temu niezmiennie, były tylko strategiczną szermierką w utrzymywaniu właściwych pozycji i wynikały jedynie z wzajemnej miłości.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, rozkoszując się kawą i smakiem lodów śmietankowych. Jakub starym zwyczajem rozpuścił część z nich w kawie i popijał drobnymi łykami.

Przez poręcz balkonu, zdobionego giętą metalową kratą widać było skrawek podwórka, zamkniętego koroną kamienic. Na środku, w twardo ubitym gruncie rósł dąb, a pod nim nowa ławka i trzepak.

— Pamiętasz? — Jakub skinął ruchem głowy.

— Pamiętam — odpowiedziała. Wiedziała, o co pyta, zawsze o to samo. — Pamiętam, a jakże. Pamiętam was wszystkich. Zosię i Jerzego. Mieszkał naprzeciwko, u starego Michalaka.

Pamiętam również Dorotę i Marka! Ciekawe, co się z nimi dzieje, dawno nie dawali znaku życia. Dorota kiedyś często pisała, ale teraz milczy. Halinę i Melę już mniej pamiętam. One były trochę dziwne, a tłusty Januszek zginął całkiem z pola widzenia. To już tyle lat.

— Dwadzieścia parę, od czasu, gdyśmy się rozjechali — policzył. — Czasem się spotykamy, ale już nie potrafimy ze sobą rozmawiać, nie tak jak kiedyś, tam. — Spojrzął na drzewo. Zamyślił się i rozmarzył. To były wspaniałe lata, młodość, optymizm, gdzież się podziały? Dwadzieścia kilka lat, roztrwonionych na przeciętne życie, szara strefa—jak to do niego pasowało, aż dziw. Matce powiedział nieprawdę. Cóż miał powiedzieć starej kobiecie, która i tak dość się o niego martwiła. Czuł się pusty i bardzo zagubiony. Coraz częściej pragnął jakiejś zmiany na lepsze, na ciekawsze życie niż to, które pędził dotychczas. Tylko czy się odważy zrezygnować ze spokoju, oddać nie zawsze słodką stabilizację? Chyba nie. I jeszcze jest matka — kątem oka obserwował ją siedzącą obok w milczeniu. — Za jakiś czas będzie

wymagała troskliwej opieki. Przecież jej nie zostawi. Jest coraz starsza, słabsza. Zerkał na nią z obawą. Była jakaś dziwna tego dnia, znał dobrze wszystkie jej nastroje. Ten dzisiejszy był podejrzany. Zanim wyjdzie, musi to wyjaśnić, inaczej gotowa go zawołać, pod byle jakim pretekstem, jak tylko znajdzie się u siebie w mieszkaniu.

— Mamo — powiedział bardzo delikatnie. — Powiesz mi, czy mam się domyślać?

Matka ocknęła się z zadumy. Spojrzała jakoś bezbrinnie. Czyżby przejrzał jej myśli, wyczuł, że coś ukrywa?

— Przyszedł do ciebie list — powiedziała po prostu. Jakub odetchnął. List, tylko list, a więc nic poważnego.

— I co? — zapytał z uśmiechem. — I to cię tak zdenerwowało? Jest w nim coś niepokojącego, bo po twojej minie widzę, że bardzo. — Bagatelizował jej słowa, z nadzieją że się nie myli.

Spojrzała na niego przeciągle, odwracając nagle oczy w stronę nieba.

— Nie czytałam listu — odpowiedziała nieco urażona. — Mnie wystarczy, kto go napisał.

— Ale dlaczego tutaj? — zapytał Jakub. — Dlaczego na Szumną to nie jest mój adres, ja już tu przecież nie mieszkam.

— Kiedyś był i twój — szybko sprostowała. — Przez trzydzieści lat mieszkałeś na Szumnej. Od urodzenia.

— No tak, tak, kiedyś był mój — zreflektował się szybko. — A więc to nic dziwnego, skoro mnie tutaj znalazł. Pewnie chodzi o zjazd. Słyszałem, że klasa się zbiera. Mamy mieć zjazd w przyszłym roku. — Coś mu nie pasowało.

— Ten list jest od kogoś, kto nie zna twojego obecnego adresu.

— No, właśnie o tym mówię. Czekałem, Anna już dostała. Więc pokaż go, jeżeli jest dla mnie. — Jakub spojrzał na matkę. Jej oczy płonęły. — Czemu robisz z tego tajemnicę? Gdzie go położyłaś?

— Leży w zamrażalniku — wycedziła przez zęby.

— W zamrażalniku? — Jakub zdębiał. Czyżby z matką było aż tak źle? Najpierw przestraszył się, a potem roześmiał.

— To nie jest śmieszne — chmurny głos matki odpierał nadciągający atak ze strony syna. Była zła, że traktuje ją czasem, jakby miała problemy z pamięcią.

— W zamrażalniku! Dlaczego tam?

— Chciałam go dobrze schować — powiedziała szczerze. — Do zamrażalnika nigdy nie zaglądasz.

— Mamo! — Jakub wciąż nie pojmował. — Ja jestem dużym chłopcem, nie musisz przede mną niczego ukrywać, a już tym bardziej listów. Co jest w tym liście?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Przecież nie czytałam, ale przyszedł z Londynu, na odwrocie jest adres.

— Z Londynu? — zdziwił się Jakub. — Nie znam nikogo w Londynie — zawahał się. — Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Jak to, nie znasz, a Iza?

— Bój się Boga, mamo! — krzyknął. — Iza dawno nie żyje.

— Ale żyje jej ojciec.

— Co z tego? — zapytał zdziwiony.

— To od niego list — nadęła się. Jakub nie rozumiał.

— Co mówisz?

— Na kopercie jest jego nazwisko — powtórzyła głośno. — Jeszcze rozpoznaję litery — zaznaczyła dobitnie. — Chyba się od niego nie spodziewasz radosnych nowin?

Jakub znów się roześmiał.

— Cóż może mi zrobić w tej chwili ten zgorzkniały, stary człowiek? — zapytał.

— Sama się zastanawiam, dlatego się boję. Myślałam, że on już nie żyje — przyznała szczerze. — A tu zobacz, widocznie ma jakieś konszachty z diabłem. Wiedziałam! — Matka bliska była płaczu.

— Więc trzeba wreszcie przeczytać ten list i wtedy wszystko się wyjaśni — powiedział spokojnym głosem.

— Jakoś się boję — nagle spokorniała. — Mam złe przeczucia.

Gdy rozciął kopertę, lekko drżały mu ręce. Wciąż pamiętał człowieka, który był nadawcą listu, i ich ostatnie spotkanie, tuż przed powrotem do domu. Żał do niego jeszcze w nim nie wygasł.

— A więc zaraz się przekonamy, o co chodzi panu Twardec-kiemu — powiedział z przekąsem. Zobaczył, że matka przygasa.

To stary człowiek i przeszedł swoje — powiedziała cicho.

— Ja też po części przez niego się zestarzałem i ty także. — Szarpnął kopertę, aż się rozdarła w połowie. Ze środka wyjął małą kartkę, na której starannie wypisane było zaledwie kilka słów:

Panie Morański.

Piszę, choć nie wiem, czy list ten znajdzie Pana pod starym adresem. Minęło kilkanaście lat od naszej ostatniej rozmowy, burzliwej zresztą. Być może zapomniał Pan już te dzieje i w obecnym życiu nie znajdzie czasu dla starego człowieka. Pamiętam, jak bardzo kochał Pan moją córkę i myślę, że ze względu na to zechce Pan skontaktować się ze mną w miarę możliwości.

Będę zobowiązany. Michał Twardecki.

Pod nazwiskiem widniał jego numer telefonu.

Twarz Jakuba stężała. To było jak głos zza grobu, jak zły sen, który każdej nocy przeżywał od nowa. Zatarłe obrazy nabrały koloru.

— Czego on może chcieć? — zastanawiał się głośno. Pewność siebie ustąpiła miejsca obawie. — Nie chcę do tego wracać

— skrzywił się z niesmakiem.

— Może potrzebuje pomocy w jakiejś sprawie — uspokajała matka. — Na przykład chce wrócić z powrotem do kraju.

— I właśnie mnie musi do tego zatrudniać? — oburzył się.

— Dlaczego powołuje się na historię z Izą?

— Liczy na sentymenty. W Polsce oprócz nas nikogo nie ma. Życie go nie pieściło. Samobójstwo żony, śmierć córki, to nie wystarczy, żeby zgorzknieć?

— On zgorzkniał już dużo wcześniej. To właśnie przez jego gorycz stało się to wszystko. — Zadrzał na wspomnienie tamtych chwil. — Nie chcę do tego wracać — powtórzył. — Nie zgadzam się na spotkanie. Było, minęło. — Podniósł list na wysokość wzroku, podarł go na drobne kawałki i wyrzucił przez balustradę. Drobne płatki papieru poszybowały w powietrzu. Porwane przeciwnymi prądami, rozpląnęły się w różnych kierunkach. Czuł, że zachował się jak smarkacz, ale inaczej nie mógł.

— Myślę, że postąpiłeś pochopnie. — Matka z wyrzutem popatrzyła na syna. — Za godzinę będziesz żałował, znam cię. Będziesz jeszcze szukał tych skrawków.

— Ciekawe. Przed chwilą nie chciałaś pokazać mi listu, a teraz bawisz się w adwokata.

— Może to coś ważnego — obstawała przy swoim. — Nie dla niego, może to ważne dla ciebie?

— Co masz na myśli, cóż można jeszcze dodać na koniec w sprawie Izy?

— Nie wiem — powiedziała spokojnie. — Przekonaj się.

Jest ciepła, czerwcową noc. Z nieba spadają ostatnie krople deszczu i uderzają w soczyste liście pelargonii. Powietrze jest ostre i smaga policzki miękkim wiatrem. Morański dręczony bezsennością stoi w otwartym oknie swojego mieszkania i spogląda w ciemność. Jego myśli błądzą w czasie i kierują się zawsze ku tej samej wyspie. Patrzy w niebo i słucha. Wszechświat milczy, a on wciąż szuka w nim odpowiedzi. Wokół zwisają z donic kaskady kwiatów, niczym wiszące ogrody Babilonu zadziwiają bujnością. Zachwycające dzieła Semiramidy stworzone przed wiekami przez niewolników, są teraz cudami komputerowo sterowanych laboratoriów, tworamami perfekcyjnych biotechnologii i jak kiedyś, tak dziś cieszą ludzkie zmysły.

Jakub kolejny raz wracał z najważniejszej podróży życia wciąż i wciąż na nowo od przeszło dwudziestu lat. Był chory na swoją przeszłość. Lecz na tę chorobę nie było lekarstwa. Jedynym ratunkiem było to niebo w górze, w którym być może czeka dusza najprzewrotniejszej i najwspanialszej dziewczyny świata. Opuściła go przed osiemnastu laty, na dobre, i choćby po nią poszedł na samą górę piechotą ona nie wróci już nigdy i nie wśliźnie się w jego ramiona. Pogrzebana na zawsze w podziemiach Hadesu, bezpowrotnie.

Przeżył w jednej chwili odległość dwudziestu lat, przeczesał w pamięci rzędy krzesel, by ujrzeć ją znowu w tłumie wielbicieli Rolling Stonesów, na koncercie w Sali Kongresowej. Był wtedy spokojnym i cichym chłopakiem, o nieskrystalizowanych jeszcze poglądach, naiwnym, wiecznie pogrążonym w kompleksach. Uległ urokowi szalonej dziewczyny, która zaczepiła go tego dnia po koncercie. Była sama i bała się wracać na drugi koniec Warszawy. Widocznie budził zaufanie lub czuła, jak przez cały koncert hipnotyzuje ją wzrokiem. Poprosiła o odprowadzenie. Jakub nie grzeszył polotem. Był bardziej przestraszony niż zaszczycony. W popłochu szukał tematów do rozmowy i miotał się bezsilnie, próbując wyjść na kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

W tej walce z nieśmiałością nie zauważył nawet, kiedy narodziła się pomiędzy nimi nic porozumienia. Wędrowali pustymi ulicami miasta, rozmawiając, jakby się znali od dawna. Czuł się niebiańsko. Z każdą minutą rozmiękał jak masło na słońcu, topił się pod wpływem jej głosu, spojrzenia. Była inna, lekka i delikatna. Zastanawiał się, czy jest zjawą czy rzeczywiście stąpa obok. Podbiegała czasami, dotrzymując mu tempa, i zdawało się, że frunie, miękko i zwiewnie jak mgła. Promieniata radością trzepała bez opamiętania burzą jasnych włosów spadających na twarz. Błękitem jej oczu wypełniła się jego głowa. Nie słyszał, co mówi, choć tykał jej słowa spragniony. Nie pojmował, dlaczego drży, czując jej bliskość. Przecież się nie znali.

Dławił się własnym oddechem, pocił jak gówniarz. A ona, udając, że tego nie widzi, przysuwała się bliżej. Jak kotka, wytrawna kusicielka, doprowadzała jego zmysły do szału. Ocierała się, jakby mimochodem, dotykała biodrem, wabiła spojrzeniem. Nie poznał się na kobiecych sztuczkach, więc dał się poderwać. Gdy niespodziewanie chwyciła go za rękę, tak jakby to było całkiem naturalne, zamarł z rozkoszy. Ona maszerowała, patrząc śmiało przed siebie. W wyszukany sposób podawała mu swoje ciało, tworzyła teatralny nastrój, jakby grała najważniejszą rolę życia.

Zachwiał się jego stabilny i zdyscyplinowany byt. Wszystko nabrało innego smaku i zmieniło znaczenie. Błagał moce, by noc dała się przedłużyć na całe życie, a ranek nigdy nie nastąpił.

To właśnie ten dzień tak dokładnie pamiętał. Zapadł mu głęboko w duszę, a każdy szczegół przez lata wspomnień żył własnym życiem. To było jak wróżba i przeznaczenie, jak olśnienie, które spada na człowieka niespodziewanie i zmienia wszystko dokoła. Od zawsze pragnął spotkać dziewczynę, która nim wstrząśnie, i tak się stało. Matka uprzedzała go, że uczucie przyjdzie niespodzianie jak ból zęba i zaskoczy. Poczuł wtedy, że oto właśnie los dał mu znak, przekazał do rąk coś szczególnego i od niego samego zależy, jak będzie umiał wykorzystać szansę.

Więc gdy po kilkunastu minutach marszu z dziewczyną przez nocną Warszawę zrozumiał, że nadszedł ów moment, zebrał w sobie całą odwagę świata.

Przeszli tej nocy Warszawę w poprzek i nie poczuli się ani przez chwilę zmęczeni. To była najpiękniejsza podróż jego życia, choć przez cały czas, jedno co zwiedzał, to dno oczu, które na zawsze wryły się w pamięć. Jeszcze długo stali pod blokiem, nie mogąc się rozstać. Nie chciały się wyczerpać tematy do rozmowy, a może oni sami wyszukiwali je specjalnie, by odsunąć od siebie moment rozstania. Jakub bał się, że dziewczyna poda mu rękę, obieca, że zadzwoni, a potem odejdzie. Inicjatywa należała do niego, chociaż nie bardzo wiedział, co zrobić.

A jednak to ona zapisała mu numer swojego telefonu i nie broniła się przed kolejnym spotkaniem. Zanim zdecydował się na sposób wyrażenia uczuć, ona go pierwsza pocałowała.

Jest czerwcową noc. Po twarzy Jakuba płyną łzy i zamazują obraz nieba. Nieszczęśliwy człowiek obnażył to niebo z niezwykłości, pozbawiając siebie w ten sposób nadziei na nieśmiertelność duszy. Jak zapomnieć, że ten granat nad głową to nie przystań dla tych, co nas opuścili, lecz jedynie materialny zbiór zawieszonych gwiazd i gwiazdozbiorów? Jak żyć z wiarą na ponowne spotkanie, gdy tam w górze nie odnalazł nikt śladów nieba? Coś go w środku bolało, urażało mocno. Może to zmęczone serce, a może tęsknota, myśl, która uciekła i nieposłuszna, jak mokry zaskroniec, prześliznęła się pomiędzy kamieniami, wymknęła z rąk bezpowrotnie.

— Czy znów dziś nie zaznam spokoju? — zapytał sam siebie, trąc oczy, jakby to miało odstąpić przed nim boską tajemnicę. — Jedno spojrzenie za siebie i tyle zmienia. Czas wracać do łóżka.

Tym razem Inka już tak łatwo nie wybaczyła. Jeszcze jedno spojrzenie za siebie i kolejny zawód. Zacięła się w swojej złości na dobre. To dziwne, dotychczas nic jej nie przeszkadzało. Rawicz mógł robić wszystko, byle tylko istniał cień szansy, że kiedyś na nią spojrzy inaczej. Już dawno powinna iść z tym do psychologa, bo czuła, jak łamie się rusztowanie stawiane mozolnie przez lata i nadciągają chmury. Niewzruszona budowla pęka w najmocniejszych miejscach, a ona waha się, czy burzyć ją czy jeszcze ratować. Jakby ktoś wziął ją mocno za ramiona i kilka razy potrząsnął. Ale Inka mocno zaciska powieki, nie chce być jeszcze budzona. Sen taki był piękny, ona w tym śnie taka promienna. A gdy tylko dotyka myślami wyobrażeń o możliwym szczęściu, chwyta rozpaczliwie powietrze, aż dusi się z rozpacz, że to miałby być koniec wszystkiego, i pogrąża się w skrajnym żalu, zaczyna płakać. Na te łzy nie ma sposobu. Tak mocno kochała, jak to tylko było możliwe. Platoniczna miłość, nierealny, literacki przykład stał się rzeczywistością. Do diabła, przecież ciągle mogła wybierać. Swego czasu zmieniała partnerów bez końca,

rzucając ich potem z dziwnym okrucieństwem. Twierdziła otwarcie, że żaden nie spełniał warunków, albo jeszcze nie dorósł, albo się szybko zestarzał, był nijaki lub zbyt charakterny, mdły i nudny albo miał tysiące pomysłów, z którymi nie chciała się zmierzać. A teraz? Wszyscy się poženili, mają rodziny, niektórzy kilkoro dzieci, brzuszek, łysiny.

Inka miała w sobie wiele uroku, sporo kobiecości, a jednocześnie dystansu, ponieważ nikogo nie umiała pokochać. Może właśnie ten dystans, który wytwarzała, kusił mężczyzn tajemniczością i jak kiedyś rycerzy, tak ich teraz zmuszał do zdobywania tej lodowej skały. A ona nie dała się zdobyć nikomu tylko dlatego, że kiedyś tam, na korytarzu uczelni, stojąc po stypendium naukowe, spojrzała w pewne błękitne oczy i stwierdziła, że tylko na te oczy warto czekać, choćby i przez całe życie.

Stan Rawiczowej po okresowych załamaniach jakoś się stabilizował. Inka sama już nie wiedziała — smucić się, że jeszcze nie umarła, czy cieszyć, że dzięki niej i niemu żyje i ma się dobrze. Myślała kiedyś, że może potrzebna mu będzie kochanka. Nie miała obiekcji i brała to pod uwagę, zgodziłaby się na wszystko, gdyby zasugerował. Ale Rawicz nie odpowiadał na sugestie Inki, chociaż od lat tak się do niego łaściła. Ktoś inny pewnie już dawno dostrzegłby w jej oczach pożądanie i bezgraniczną miłość, tylko nie on. Był uprzejmy, bardzo przyjacielski, dość oficjalny dla innych, ale szczególnie dla niej chłodny i mało dostępny. Brała to za kamuflaż, nieśmiałość lub udawanie.

Ostatnie zdarzenia jakimś cudem obudziły w Ince instynkt samozachowawczy. Wpadła w dzięk złość. To był stan u niej zupełnie nowy. Czyżby miał oznaczać przesilenie? Jeszcze nigdy tak bardzo nie czuła się wykorzystana jak teraz. Przecież normalny człowiek nie zachowuje się tak egoistycznie. Przyjechała specjalnie dla niego, w sobotę rano, zrozpaczona, po nocy, w czasie której straciła nad sobą kontrolę. Stała przed nim na jedno słowo gotowa oddać życie i zrobić, o cokolwiek poprosi. Oczekiwała odrobiny wdzięczności, miłego dziękuję, skromnego przepraszam, uścisku dłoni, który by cokolwiek oznaczał poza „mam cię w nosie, kobieto”. W zamian dostała tylko kilka oficjalnych poleceń. Więc kim on właściwie był i co sobie myślał, wyciągając ją z domu w taki jak ten poranek? Zrozumiała nagle, że ludzi się nadaremnie, i zamknęła się w sobie.

Chodziła przez miesiąc z dziwnym bólem w sercu, zdekoncentrowana, zagubiona, zupełnie rozkojarzona. Sprawy firmy oddała w ręce pracowników i spacerowała godzinami po plaży, wydeptując w piachu długie i głębokie ścieżki.

Ela wciąż atakowała ją telefonami, kusiła spotkaniem i kolejnym apetycznym daniem. Bez skutku, Inka milczała. Szymon wiedział, że jest w kiepskiej formie. Dzwonił co kilka dni, sprawdzał, czy

dobrze się czuje. Czuła się podle, ale nie chciała być taka niewdzięczna, więc grzecznie odpowiadała. Skoro już się z nim wtedy przespała, konsekwentnie musi trzymać fason. Głupio jakoś przegonić jak psa człowieka, który się stara. Rozmawiała więc z nim kilka minut, nie co dzień, ale czasami, jedynie po to, żeby się oderwać od własnych smutków i posłuchać, czy jego też boli. Ale on zazwyczaj wszystko co smutne przerabiał na żart, śmiejąc się także z własnych mankamentów. Słuchała, jak opowiada o pracy, o kolegach pełnych wad i mimo tego uroczych, czasem proponował jej kino, a gdy jak zwykle nie wyrażała ochoty, opowiadał jej oglądany ostatnio film. Okazało się, że jest kinomanem i zalicza wszystkie filmy wyświetlane w ich kinie. Prowadzi z tego notatki, punktuje, wystawia własne recenzje, niektóre dość żartobliwe. Rozśmieszał ją często tymi recenzjami, trafiając w dziesiątkę, bo czego jak czego, ale śmiechu brakowało jej chyba najbardziej. Tylko raz dała się wyciągnąć na rowerową wycieczkę. Sto lat nie jeździła rowerem. Ależ to było przyjemne! Przejechali lasem dziesięć kilometrów, potem jeszcze kilka prostą wiejską drogą. Szymon znał trasę, więc prowadził bezpiecznie i tylko czuła, jak ciepły wiatr szarpie jej włosy i nadyma koszulę na plecach. Nie myślała, że sobie poradzi. Mięśnie miała leniwe, przywykłe do samochodu. Ale jakoś nie było problemu. Wróciła do domu szczęśliwa. Szymon nie chciał tym razem wejść na herbatę. Wykręcił się byle czym, a jej to nawet pasowało, bo w domu miała okropny bałagan, od kilku dni wcale nie sprzątała.

Gdy zadzwoniła do niej Mela, to w pierwszej chwili nie rozumiała, kto mówi. Zapomniała to imię na śmierć. Dzisiaj już nikt takich imion nie nosi. Melania, Boże, stare dzieje. Jakoś nie mogła pojąć, że ktoś tak mało realny może się z nią kontaktować. Melania była w jej pojęciu trupem, ikoną przeszłości, która dała się zaskoczyć życiu, a potem pokonać facetowi. Inka nigdy się nie da. Zbyt jest-mocna, żeby jakiś facet mógł zrobić jej krzywdę. Nawet Rawicz dostanie za swoje. Ale Mela, wielka, wysportowana Mela, chodzące serce, człowiek wzór, kobieta, która się zestarzała w więzieniu. Przeraziła się nie na żarty. Jeszcze tego jej brakowało. Własnego życia nie zdołała sobie ułożyć, a czeka ją weekend bezsensownie rozlewanych łez nad dawno już wykipiałym mlekiem. Kiedyś, tak, kiedyś były blisko, ale dziś, rany, o czym one będą rozmawiać? Chyba nie opowie w detalach o więziennym życiu, brr, albo o żalu, że była taka naiwna? Chyba tego z nią nie będzie ćwiczyć. Sprawy sprzed dwudziestu lat wystarczająco namieszały jej w głowie, żeby dziś do nich nie wracać i nie roztrząsać. Tymczasem, jak mówią co się odwlecze, to nie uciecze. Trudno, musiała się z tym jakoś pogodzić. Skoro już Mela dzwoniła, prosząc o spotkanie, to Inka nie miała wyboru. Koleżance nie może odmówić, szczególnie że, jak twierdzą Janusz i Jakub, koleżanka jest w całości pod ochroną.

Żeby spotkać się z Melą musiała zrezygnować z dość ciekawie zapowiadającej się kolejnej wycieczki z Szymonem, na którą jakimś cudem dała się namówić. Już wolałaby to, niż taplanie się w starych brudach. Mela zaczęła zdaniem „co u ciebie”, a później wyleje na nią beczkę goryczy z dwudziestu zmarnowanych lat. A ona, mocna i twarda jak stal, nawet nie będzie miała czym tego odpiierać. Co jej w zamian opowie o sobie, żeby uzmysłwić, ile straciła, jakie spreparuje antidotum na uspokojenie?

Szymon był trochę zmartwiony, gdy zadzwoniła w piątek wieczorem. Wyjaśniła dosyć oględnie, że nie może z nim jechać, i tyle. — Kocha, to poczeka — powiedziała do siebie. Tak kiedyś mawiała ciotka, zirytowana zachowaniem Inki, wybiegającej notorycznie bez obiadu na randkę. Ciotka już dawno nie żyje, a powiedzenie wciąż funkcjonuje.

Umówiła się z Melą na dworcu, obiecała, że ją odbierze z pociągu, a potem razem pojadą nad morze. Mela zapobiegawczo wynajęła sobie pokój w hotelu. Marzyła, żeby stał jak najbliżej plaży, ale o tej porze roku to była raczej utopia. Wprawdzie w ostatnich latach namnożyło się tych hoteli jak grzybów, lecz mimo to od pierwszych dni wiosny w żadnym już nie można było znaleźć wolnych pokoi. Inka upierała się, że może spać u niej, bez problemu. Dom cały dzień stoi pusty, do dyspozycji jest kilka wolnych pomieszczeń, ale Mela dzielnie się przed tym broniła. Życie Inki plotło się według innych schematów niż jej, po co mają sobie przeszkadzać.

Życie Doroty plotło się leniwie z dnia na dzień. Za to w kraju ciągle coś się działo. Społeczeństwo żyło polityką kondycją rynku, wysokością euro i kolejnymi aferami pieniącymi się w mediach jak złośliwy wirus. Dorota trochę odbiegła od realiów. Gazety czytała coraz rzadziej, telewizję oglądała wieczorami i mało aktywnie. Jeżeli coś włączała, to film albo kanał muzyczny. Miała dość smutków. Chciała myśleć pozytywnie.

Gdy w niedzielę rano ktoś rzucił w jej okno kamieniem, pomyślała, że to odprysk spod kół zastukał jej w szybę. Miała tuż pod oknami ulicę. Ale kamień był duży. Wpadł pod stół razem z kartką papieru. „Ubecka kurwo, wracaj skąd przyszłaś” — przeczytała zdziwiona. Odchyliła zasłonkę. Otwór w szybie był sporej wielkości.

Dziurę zakleiła folią żeby nie wiało. Ale problem pozostał. Martwiła się tym kamieniem. W dużym mieście takie zdarzenia, jeśli nie są nagminne, niczego nie oznaczają. Tu, w Radosławiu, w niewielkiej miejscinie są jak wyrok. Dorota nie wiedziała, jak się zachować. Postanowiła to spokojnie przeczekać. Zrzuciła winę na ludzką złośliwość, ewentualnie głupotę, której nie brakowało.

Za tydzień, dokładnie w następną niedzielę, na drzwiach znalazła kartkę z napisem w podobnym tonie: „Na kolanach, do kościoła, ubecka ateistko”. To ją dobiło. Wniosek był taki, że powinna chodzić do kościoła. Kto tego nie robi jest, według mieszkańców Radosławia, ubecką ateistką. Czy powinna się otwarcie bronić, czy bagatelizować obrazę? Jest nauczycielem. Co powiedzą jej uczniowie, gdy to się rozejdzie po mieście? Dotkliwa samotność dopiero teraz dała się Dorocie we znaki. To było gorsze od domowych awarii, bo na nie zawsze znajdzie się rada, a na oszczerstwa nie było lekarstwa. Jak nigdy dotąd, tak teraz była jej potrzebna na gwałt jakaś bliska i serdeczna osoba.

Następnego dnia, w poniedziałek, pełna obaw poszła do szkoły. W pokoju nauczycielskim koledzy szybko rozpierzchli się na lekcje i zostawili Dorotę samą. Bała się wejść do klasy. Stałaby pod drzwiami trzeciej „b” bez końca, gdyby nagle nie pojawił się dyrektor.

— Dzień dobry — powiedział, przechodząc. — Wszystko w porządku? — zapytał z uśmiechem.

— Oczywiście — uniosła głowę zaskoczona i dodała. — Tylko tak sobie stoję — odpowiedziała szybko i już nie kończąc, weszła do klasy.

Zerwała z Homerem w połowie października. Ocknęła się pewnego dnia, jak po głębokiej śpiączce i zrozumiała, w co się pakuje. Zadzwoiła natychmiast, żeby zakończyć tę bezsensowną znajomość. Paweł o dziwo długo nie nalegał i przyjął to dosyć spokojnie. Wprawdzie nie spodziewała się po nim, że się jej nagle rzuci na szyję i będzie błagał o kolejne spotkanie, ale było jej głupio, że tak szybko ustąpił. W końcu im obojgu chodziło tylko o seks — tłumaczyła sobie bez końca. Ot, mała fascynacja, ciekawość, tajemnica grzechu.

Żeby nie myśleć o rozstaniu, nie rozpaczać i szybciej zapomnieć, a może raczej ze strachu, że będzie ją po tym nachodził, namówiła Marka na kilkudniowy wyjazd w góry. Gryzło ją strasznie sumienie i strach, że wszystko się wyda. Bała się, że gdy sprawy zajdą za daleko, już nie będzie odwrotu.

Sprawdziło się przeświadczenie, że zdrada dodaje pikanterii w stałym związku. Dorota była dla męża słodka jak landrynka, choć czuła się jak ostatnia świnia. Kochali się prawie codziennie, jakby w nagrodę za to, co się stało. Gdy wrócili do domu, znów była zakochana w mężu. Niestety tęsknota za Homerem szybko dała znać o sobie.

Chociaż bardzo się starała, nie starczyło jej przebiegłości, by zapobiec nadciągającej burzy. Wyjazd był jedynie pretekstem, by uciec przed uczuciem. Mimo że pojawienie się Pawła, oznaczało kolejne kłopoty, cieszyła się, że znów go zobaczy. A więc nie zniknął z jej życia, tak jak obiecywał. Chyba

tęsknił, jak ona. Już po kilku dniach zaczęły się telefony. Czegoś chciał, miał problem, to się czuło, bo trzymał ją na dystans, był oschły, a jednocześnie nie dawał spokoju. Bała się jego głosu, unikała spotkań, bo gdy był obok i mówił, gdy ją nie chcąc dotykał, czuła wciąż podniecenie. Tęskniła za bliskością ale już nie miała odwagi. Prowokowanie kolejnych spotkań byłoby samobójstwem.

Pewnego dnia zadzwonił sam, oświadczając, że ma do niej sprawę. Miał dziwny głos. Już nie taki ciepły i serdeczny, taki bliski jak zawsze, gdy się umawiali.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — zaskoczona wstrzymała oddech. Jakby mówiła z kimś obcym, wrogim. Poczwała w sercu silny skurcz i dławienie w gardle. Czuła, że się rozplacze.

— Jestem w pobliżu. Mam pilną sprawę do ciebie — oświadczył, niczego nie wyjaśniając. — Będę za jakieś pięć minut.

Dorota przełknęła ślinę.

— Postaraj się być przed czternastą, potem wychodzę — odpowiedziała, starając się panować nad głosem.

Był oficjalny, niemal niegrzeczny, podobny do Homera z pierwszego spotkania. Wszedł bez pukania i bez „dzień dobry”, trzema krokami przemierzając gabinet.

— Moja siostra oblała egzamin poprawkowy — wyrzucił, patrząc jej bezczelnie w oczy.

Słowa zawisły w powietrzu, jakby nie były skierowane do niej.

— Tak? — zapytała zaskoczona dziwnym zachowaniem.

— Zdawała u ciebie.

— Naprawdę?! — Dorota zdębiała. — Nie wiedziałam, że studiuje u nas. Nie mam w swoich grupach żadnej panny Homer.

— To moja siostra przyrodnia — wycedził gładko. — Nosi inne nazwisko. Trzeba by zmienić ocenę na pracy — powiedział otwarcie. — Jest jeszcze czas. Wyniki ogłoszą dopiero za tydzień.

— Jak to zmienić ocenę? — Czuła, że blednie. — Zmienić? — powtórzyła z niedowierzaniem. — I skąd wiesz, że wyniki za tydzień? Poza tym karty z ocenami leżą w dziekanacie. Nie mam już do nich

dostępu. A nawet jeśli — spojrzała wstrząśnięta — to jest nie fair. Proponujesz mi coś takiego? — Dorocie załamał się głos. Zrozumiała, że on nie żartuje.

— Wymyśl coś — wzruszył ramionami. — W końcu to twój wydział. Nikt ci nie podskoczy.

Dorocie odjęło mowę. Jak to, jej Paweł, ktoś, dla kogo jeszcze niedawno... I teraz stoi przed nią jak ktoś całkiem obcy, wrogi i do tego bezczelny. Nie, to z pewnością pomyłka, sen, majaki i co tam jeszcze możliwe, byle się obudzić i zapomnieć słowa, które padły przed chwilą. Na całe szczęście siedziała. Mimo to biurko wydawało się od niej odpywać, trzymała je kurczowo, aż pobieleły jej palce.

— Stawiasz mnie w okropnej sytuacji — powiedziała cicho.

— Nie mogę ci pomóc.

— Chyba mi nie odmówisz? — zwątpił na chwilę. — Moja siostra też jest w okropnej sytuacji. To ostatni rok. Ostatni taki duży egzamin. Pomożesz jej i jesteście kwita — spuścił wzrok, nieco speszony.

— Kwita? — zdziwiła się, odzyskując rezon. — Jak to kwita? — rzuciła mu wściekłe spojrzenie. — Czy ja ci jestem coś winna? Mam jakiś dług u ciebie?

— No wiesz... — powiedział przeciągle.

Dorocie znowu zrobiło się słabo. A więc to tak sprawy się mają już nie można było czuć się bardziej podle. Krew odplynęła jej z twarzy, zastygła z rozpaczy. Nie wiedziała, jak się zachować. Wyrzucić go od razu za drzwi, czy uświadamiać dalej, jaki jest bezczelny i głupi? Nie miała za wiele czasu. Za chwilę się całkiem rozklei. Jak mogła doprowadzić do takiej sytuacji, dlaczego nie przewidziała zakończenia? Przecież on tylko udawał. Siostra, no tak, inne nazwisko... Jasne, to jego dziewczyna. Musiała chwilę pomyśleć. Mój Boże, więc to o to chodziło. Więc nie miłość, nie chemia, nie druga połówka, nie namiętność, lecz czysty interes?

— Widzę, że nie masz dzisiaj nastroju — skwitował. — Zastanów się jeszcze — powiedział przeciągle. — Jutro do ciebie zadzwonię.

Wyszła zaraz po nim. Ledwo zamknął za sobą drzwi, zerwała się i wybiegła z pracy. Nie chciała pokazywać się nikomu w tym stanie. Odjechała kilka przecznic i zaparkowała na stacji benzynowej. W samochodzie cały czas płakała.

Wróciła do pustego domu. Mogła spokojnie wszystko przemyśleć, mogła się uspokoić. Chyba nigdy w życiu nie czuła się tak beznadziejnie. Otworzyła butelkę wina i postanowiła utopić w nim wszystkie swoje żale.

Nie miała innego wyjścia, jak zgodzić się na ten chamski układ. Paweł dzwonił trzy razy dziennie na komórkę i pytał.

— Jesteś świnią — wypaliła ostro. — Ale zrobię to, wiesz dobrze, że nie mam wyboru. Tylko mi nie mów, że to zbieg okoliczności. Tylko mi tego nie mów.

Poprawiła ocenę pannie „nie wiadomo kto”. Przerobiła ją drżącym sercem i czuła się podle. Wmawiała sobie bez końca, żeby uciszyć sumienie, że to nic, że takie rzeczy czasem się zdarzają że w końcu nie jest jedyna. Mogła się przecież pomylić. Więc zrobiła to i kropka. Wszystko, czego się dopuściła w ostatnich tygodniach, miało jeszcze ciąg dalszy, swoje konsekwencje, co przecież powinna była przewidzieć. Jakoś musi się z tym uporać, inaczej zwariuje. Żeby się bardziej znieczulić, oderwać się od dręczących wyrzutów sumienia, od skrupułów, które nie pozwalały spać i pracować, zaczęła organizować w domu spotkania towarzyskie. Odrabiała wszystkie zaległości, traktując to jako lek na trudną sytuację.

Ale zła passa trwała dalej i nie zanosilo się na to, że wszystko utonie w otchłani czasu. Pech chciał, że kilka dni wcześniej, zanim Dorota dokonała poprawek i zmiany oceny, ktoś spisał już wszystko i przygotował listę do druku. Kiedy wywieszono listę, zawiedziona i bezmyślna panna „nie wiadomo kto” zgłosiła się z pretensjami. Sprawdzone, czy wszystko się zgadza i wtedy wyszło na jaw, że ktoś to poprawił.

Obrona nie miała sensu. Winny musiał się znaleźć. Dorota nawet nie próbowała. Wszelkie protesty i zapieranie się w oczy nie miałyby sensu i tylko bardziej by ją pograżyło. Przecież do grzechu oszustwa nie mogła jeszcze dodać oszczerstwa i pozwolić na to, że ktoś mógłby za nią zostać ukarany. Przyznała się bez chwili wahania. Na wydziale zawrzało. Wszyscy byli wstrząśnięci — szefowa oszustką, poprawia oceny. Dorota wróciła do domu całkiem załamana. Do tego jeszcze miała zawiązane usta i nie wiedziała, jak ma się bronić, jak wytłumaczyć wszystko Markowi, żeby było w miarę wiarygodne, ale nie do końca prawdziwe. Przecież nie uwierzy jej, że zeszmaciła się dla pieniędzy. Cały wieczór milczała. Nie chciała o tym rozmawiać. Może później stanie się cud i coś podsunie jej rozsądne wyjście. Ale sytuacja z rozsądkiem nie miała zbyt wiele wspólnego. Wzięła w końcu proszek nasenny, licząc na to, że rano będzie lepszym doradcą.

Wstała dość późno. Otumaniona snem snuła się po domu nieswoja. Było tak cicho, jakby wszyscy gdzieś wyszli, a przecież samochód Marka stał ciągle przed domem. Zobaczyła, jak siedzi w fotelu, a obok niego na dywanie torba z laptopem. Na stole przed nim rozrzucone zdjęcia i duża koperta. Biała koperta pełna kolorowych zdjęć z domku nad jeziorem, a na zdjęciach ona i Paweł.

Marek zamknął się w gabinecie i nie wychodził z niego do wieczora. Dorota czuła, że grunt usuwa jej się spod nóg. Nie wiedziała, co robić. Myślała o złamanej karierze, o swoim małżeństwie, którego przyszłość wisiała na włosku, bała się rozmowy z mężem i tego, co postanowi. Nawet nie mogła płakać. Jakby jakaś hardość w nią wstąpiła. Chyba chciała się bronić w ten sposób. Nie dała się ponieść hysterii, bo przy tym wszystkim postanowiła zachować honor. Wprawdzie o honorze trudno było mówić w takiej sytuacji, ale instynktownie czuła, że kajanie się da jeszcze gorsze efekty. Z chłodem rozważała sytuację, stawiając na rozum, nie na emocje.

Marek wyjechał następnej nocy i przez kilka dni nie wracał. Nie szukała go. Może to lepiej. Musi przemyśleć w spokoju i ochłonąć. Tymczasem nieświadome niczego dzieci zaproponowały Dorocie wyprawę do lasu. To była wycieczka klasowa, potrzebni byli opiekunowie. Zgodziła się, bo pozostanie w domu wydawało się ponad jej siły. Pojechała do tej leśniczówki zatopionej w dżungli, by pomyśleć o przyszłości w kategoriach gdzie iść i jak żyć. To było w piątek. Pogoda dopisywała, choć koniec października był już dość chłodny. Zajeżdżała na miejsce ostatnia. Łatwo znalazła drogę. Leśniczówka usytuowana w głębi lasu tętniła gwarem młodych głosów. Rozgościła się w pokoju dla opiekunów i poszła odnaleźć swoje pociechy. Biegały po okolicy i zbierały gałęzie na wieczorne ognisko. Dokoła pachniało grzybami. Las był stary, sosnowy, górą zielony, na dnie całkowicie zrudziały. Pomiędzy wysokimi pniami wielkie pająki rozciągnęły rozłożyste sieci. Szła, trzymając w ręku gałąź i machając nią, torowała sobie drogę pomiędzy połyskującymi w słońcu koronkowymi dziełami sztuki. Niezbyt gęste sklepienie drzew przepuszczało światło. Potrzebowała takiego odprężenia i kontaktu z przyrodą. Wierzyła jeszcze naiwnie w szczęście i w miłość Marka, a gdzieś na dnie serca świeciła nikła isierka nadziei na przebaczenie. Spojrzała na niebo, jakby w oczekiwaniu na szczęśliwe olśnienie. Lecz nad jej głowę nadciągały ze wszystkich stron raczej ciemne chmury. Liczyła chyba na cud i na to, że Marek będzie jak ona bał się rozstania.

Gdy zakończyła się część wieczoru przeznaczona dla dzieci, wszyscy rodzice i opiekunowie zebrali się przy resztkach ogniska. Ktoś przyniósł z lasu gałęzie, ktoś wyczarował dwie butelki wódki, a utalentowany nauczyciel wychowania fizycznego żałośnie zaintonował starą studencką balladę. Dorota siedziała pod drzewem owinięta w gruby koc. Było zimno i powiewał jesienny wiatr. — Za miesiąc może

być zima — pomyślała, opierając głowę o pień. Poczuła się odprężona. Poczuła działanie wódki. Gdzieś w oddali majaczyły kłopoty. Zamknęła oczy, było jej dobrze i miękko. Nawet dręczące wątpliwości stały się mniej zagmatwane i groźne. Spojrzała na siedzących obok. Wyglądali jak zahipnotyzowani urokiem miejsca, którego prawa w ich świecie tak mało znaczący. Ogarnęła ją senność. Czuła, że odpływa w krainę wspomnień, w świat, który wypadało już od dawna wykreślić z pamięci. Już trudno było rozpoznać, gdzie znajduje się jej dusza, a gdzie fruwa nieposłuszne ciało. Poczuła się wolna od skrupułów i czysta. Nagle cudze ręce chwyciły ją za ramiona. To był gest rozkazujący, posłuchała bez słowa. Znała zapach tych rąk. Bezbłędnie zrozumiała intencję i ten mocny uchwyt nadgarstka. Zrzuciła z siebie koc i bezszelestnie odeszła w ciemność.

Las tonął w absolutnej czerni. Nie widać było ziemi ani nieba. Szła na oślep, zaczepiając twarzą o sterczące gałęzie krzewów, zgarniała sobą kilometry pajęczyn, których się zawsze tak bardzo brzydziła. On ciągnął ją w ciemność jak upolowaną łanię, wykradał ze stada i włókł na stracenie. Zapiszczała z bólu, gdy noga osunęła się po śliskim pniu. Pociągnął ją bez litości i szarpnął do przodu. Wstała natychmiast i znów szła potulna i cicha.

Las powoli rzednął. Poczuła świeży powiew i to, że grunt powoli zaczął opadać. Otworzyła się przed nimi przestrzeń. Stanęli na pochyłym zboczu, a na wprost rozciągała się bezkresna łąka. Nad głowami wisało niebo i chmury, czarne jak piekło. Przytulali się, a wymawiane w pośpiechu słowa ulatywały gdzieś z wiatrem. Upadli na trawę. Wiatr łamał gałęzie krzewów i ciskał w nich z całą siłą. Pod plecami mieli skalisty grunt, a ostre trawy wbijały się w skórę. Ten ból sprawił im rozkosz. Rozbierali się w pośpiechu. Przeraził ich zimno chłostało im skórę.

Dorota nie wiedziała, czy krzyczy ze szczęścia czy z bólu. Czuła pod plecami gwoździe, a każdy z nich wchodził w nią metalowym chłodem i rozkosznie szarpał. Nie była sobą, jęczała nieswoim głosem. Była złamanym żaglem uderzającym o ostre skały na wietrze, a on unosił ją za ramiona do swojej twarzy, a potem ciskał o ziemię jak wstrętny przedmiot, aż dudniła plecami. Noc niosła ich skargi na zbliżający się nieuchronnie koniec, a oni, usiłując powstrzymać jego przyjście, zamierali na ułamek sekundy. Drobnymi deszcz siekł bezlitośnie wyiębione ciała, ranił skórę. Oklejeni mokrą trawą piaskiem, traktując ubrania toczyli się po zboczu na samo dno przytomności, od piekielnej żądzy, do spełnienia. Deszcz mieszał się ze łzami i zmywał krew z poranionej skóry. Jakby wtłoczeni w mechanizm, pchani niewidzialną mocą zbliżali się do siebie i oddalali, uderzając bez opamiętania. Ogarnięci szczęściem, falowali aż do chwili, gdy on znieruchomiał.

Wtedy niebo się rozsunęło, a zza chmur wypłynął powoli olbrzymi Księżyc. Dorota spojrzała na uśpione ciało Pawła. Pożerała oczami jego twarz, wbijała paznokcie w skórę, jeszcze szarpana spazmami szukała jego oczu. Powoli wiotczał, jakby coś się w nim popsuło.

Jeszcze nocna rosa niosła po ziemi ich krzyki, gdy w oddali rozległo się głucho dudnienie odchodzącej burzy. Niebo zajaśniało ostatnią błyskawicą. Przytulili się i wtedy on otworzył oczy. Spojrzał w roziskrzone jasnością niebo, a jej się zdawało, że w jego źrenicach zaświeciła zielona pręga, pionową linią przecinająca oko na pół. Dorota zemdląca.

O tym, że jest w ciąży, dowiedziała się na początku listopada. Nie mieszkała już w domu. Spała w mieszkaniu znajomej, która wyjechała na kilka tygodni z kraju. Niczego nie przeczuwała. Po prostu nie dostała okresu. Myślała, że to z nerwów i przeżyć. Test zrobiła tylko dla porządku. Gdy w okienku pojawiły się dwie kreski, chciało jej się śmiać. Przecież to niemożliwe, żeby w tym wieku mieć jeszcze dzieci. Okazało się, że jednak można. W pierwszej chwili pomyślała o Pawle, tylko wielka namiętność mogła sprawić ten cud. Ale na dobrą sprawę dziecko mogło być również Marka. Przeżywała koszmar. Jeszcze pracowała, ale w powietrzu wisało już widmo dymisji. Załatwiła sobie zwolnienie lekarskie i już nie poszła więcej na uczelnię. Nie mogła spojrzeć kolegom w twarz, po tym, jak się od niej odwrócili. A ciąża dopełniła reszty. Przez kilka dni ponawiała próby. Liczyła na jakąś pomyłkę, na błąd w badaniu albo na cud. Gdy już nie miała żadnych wątpliwości, podjęła natychmiastową decyzję. Nie mogła się przyznać do ciąży, nikomu. Wyjedzie i zacznie życie od początku, sama. Potrzebne jej było oczyszczenie.

List z ośrodka adopcyjnego leżał niewinnie w skrzynce — na kopercie Zofia i Jerzy Turscy. W piśmie decyzja o przyznaniu praw do adopcji. Staraliśmy się o nią od dawna, bez skutku. Czas działał na naszą niekorzyść. Dalsze starania o własne dziecko nie miały już sensu, w związku z tym, podchodząc trzeźwo do sprawy, zdecydowaliśmy się na krok ostateczny, oczywiście w tajemnicy przed rodzicami. Początkowo robiliśmy to bardzo intensywnie, później z większym dystansem, oddając sprawy w ręce losu. Nie udało się. Teraz ze względu na wiek, złe warunki mieszkaniowe i niską średnią zarobków właściwie nie mieliśmy szans. Od pewnego czasu wspomagał nas w tym Marek Leszczyński i w końcu to chyba jemu zawdzięczamy fakt, że nam się udało.

Tego dnia w tej sprawie zadzwoniła urzędniczka. Telefon zwałił mnie z nóg. Odpowiadałam beładnie na pytania jak niespełna władz umysłowych, bełkocząc coś mętnie i nieskładnie. Z ledwością przyznałam się do własnego nazwiska, myląc je z panieńskim, dawno już odstawionym do lamusa. Na propozycję spotkania wyraziłam zgodę w takim tonie, jakbym to ja, a nie oni robili mi łaskę. Wyznaczono

nam termin wizyty, a my myśleliśmy, że tam już dawno o nas zapomnieli. Tym bardziej, że od pewnego czasu straciliśmy jakiegokolwiek złudzenia. Ja przestałam wydzwaniać pięć razy w tygodniu, Jerzy stwierdził, że to utopia i mam sobie dać spokój. Tym bardziej, że rodzice trzymali ciągle twarde stanowisko, a my byliśmy od nich zależni. Wiedziałam, że mimo swojej szlachetności nie zaakceptują nikogo spoza Krzesińskich i Turskich, a na pewno nie przyjmą do swojego grona żadnego przybłądy. „Lepsza zgniła tradycja niż brudy współczesności” — tak mawiał mój ojciec. „Dziecko z przytułku może oznaczać tylko kłopoty” — to też jego słowa. Ado tego jeszcze ja, ze swoją skłonnością do alkoholu. Czy miałam szansę zostać dobrą matką i w odpowiedzialny sposób zająć się dzieckiem? Oni znali mnie dobrze, przeczuwali, że sobie z tym nie poradzę, zresztą nie chcieli już wielkich rewolucji, byli przecież bardzo starzy. Bali się, że mały terrorysta zawładnie ich domem i zniszczy ten sam, od lat niezmienny porządek. Kochali resztki swojej świetności, swoje kredensy z oszklonymi witrynami, w których stały stare, porcelanowe figurki — widma mojego dzieciństwa, zakurzone zasłony o zapachu fermentujących liści, ciasnotę wśród nagromadzonych sprzętów i duchy cierpień, które przez szczeliny w murach wypychali na ulicę, by przed sobą zachować pozory doskonałości. Jak w to wpuścić świeży zapach życia, szaleństwo nastrojów i płacz dziecka po nocach? Ich świat stwardniał jak skorupa i stracił naturalną podatność.

Teraz w myśl zmian w naszym domu wszystko się waliło na głowę. Nie wiedziałam, czy sobie poradzę z następnym kłopotem. Obawiałam się, że zbyt rozleniwiło mnie dotychczasowe życie, bym mogła sprostać zadaniu. Niestety nie miałam zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Powiedzieliśmy „a”, trzeba było wykrztusić „b”. Byliśmy przecież, o zgrozo, dorosłymi ludźmi, lecz czy na pewno?

Spotkanie odbyło się w piątek, dwa miesiące po mojej chorobie. Nie spałam przez całą noc. Rano wyglądałam upiornie. Jerzy też miał dziwną minę, chyba nic go jeszcze tak bardzo nie wyprowadziło z równowagi. Z tego wszystkiego chciał umyć zęby moim kremem do depilacji. W ostatniej chwili zdążyłam z interwencją. Ja też byłam niespokojna i rozdrażniona, w głowie miałam miliony wątpliwości. Pociły mi się ręce, w gardle czułam kluskę, byłam przerażona.

Weszliśmy bez słowa do obskurnego budynku i milcząc, patrzyliśmy w długi, przygnębiający korytarz. Pani psycholog spóźniła się, a ja łudziłam się, że może nie dotrze wcale. Krzesła, na których przyszło nam siedzieć, trzeszczały przy najmniejszym ruchu. Przed naszymi oczami, na drzwiach wisiały równo przybite tabliczki z nazwiskami dyżurujących pracowników, kowali cudzych losów. Śmierdziało lizolem i pastą do podłóg. Ogarnął mnie niewymowny smutek. W takich miejscach opuszczała człowieka nadzieja i wiara. Trudno było oczekiwać na cud. Czułam się jak w czyścicu, gdzie ważą się moje plusy i

minusy, gdzie rozstrzyga się moja przydatność. Jedyne, czego teraz pragnęłam, to uciec stąd na cztery wiatry i nigdy nie wrócić.

Byłam zagubiona, pełna lęku i obaw, czy człowiek niespodzianka, który być może czeka na mnie za drzwiami, podda się usilnym zabiegom niczego niewiedzącej o macierzyństwie kobiety i niewiele znającemu się na wychowywaniu dziecka mężczyźnie?

Kiedy paniczny strach wypełnił moje serce, gdy ostatnia nadzieja odwrócenia biegu rzeczy była już przesądzona, zanim zapadła ostateczna decyzja, spoglądałam w niebo, szukając ratunku u Stwórcy i z niemą prośbą osłupiałych oczu prosiłam: „Panie, ocal mnie przed tym, co mi przygotowałeś, nie dawaj tego, o co prosiłam, zwróć moje przyrzeczenia i obietnice, nazwij głupią i nędzną odbierz rozum i zostaw mnie w spokoju”. Podniosłam ciężką głowę znad podłogi, spoglądałam w prawo, w lewo, chciałam uciekać i właśnie w tej chwili, jakby na komendę z nieba, otworzyły się przed nami drzwi. Za małym, czarnym biurkiem siedziała uśmiechnięta kobieta. Zajmowała sobą całą jego szerokość. Gdy na sztywnych nogach wchodziliśmy do środka, wstała i ruszyła w naszym kierunku, odbierając nadzieję, że to ma być tylko nic nieznaczące spotkanie.

— Zaprosiłam państwa do nas na dzisiaj — zwróciła się bardziej do mnie niż do Jerzego — ponieważ chciałabym przedstawić państwu pewną propozycję.

Wskazała nam dwa krzesła po przeciwnej stronie i zaprosiła zdecydowanym gestem. Szarpaliśmy się z nimi przez chwilę, zanim zrozumieliśmy, że są ze sobą połączone oparciami.

Pani psycholog rozświetliła swoją twarz szerokim uśmiechem i splótła dłonie w pulchny pierożek.

— Propozycja nie jest zobowiązująca. Oczywiście decyzja należy do państwa i podejmiecie ją bez naszych nacisków. Chcę jednak zwrócić uwagę na wyjątkowe okoliczności sprawy, oraz na to, że według przeprowadzonych ankiet, właśnie państwo uzyskali najwyższe oceny.

Spojrzeliliśmy na siebie zdziwieni. Wzruszyłam ramionami, co miało oznaczać, że chyba nas z kimś pomylili. Jerzy kręcił się skonsternowany i wciąż oglądał za siebie. W efekcie tego strącił łokciem zeszyt i skaleczył czoło o róg biurka, gdy go podnosił z podłogi.

— Trochę jesteście zaskoczeni — wtrącił drżącym głosem. — Przygotowaliśmy się na dłuższe czekanie — powiedział całkiem od rzeczy.

— Ależ proszę pana, czas już jest ostateczny. W tym wieku zostaje się dziadkiem. Ta okazja się już nie powtórzy.

Jerzy odchrząknął zmieszany i głosem skrzypiącym jak styropian oświadczył:

— Jesteśmy gotowi do negocjacji.

Krwiste wargi pani psycholog rozkwitły. Poprawiła kołnierzyk zielonej bluzki i mówiła dalej:

— Sprawa jest trudna, ale godna dobrego przeciwnika, ponieważ tu nie chodzi o adopcję dziecka, lecz dzieci. Jest ich dwoje.

— Dwoje!?! — krzyknęliśmy oboje zaskoczeni.

— No właśnie. To bliźnięta, mają sześć lat, dziewczynka i chłopiec, pełne sieroty. Rodzice zginęli w wypadku. Dzieci są zdrowe, pogodne, ale bardzo zagubione. Mają tu fachową opiekę, lecz nie mogą odnaleźć się w naszej gromadzie. Utraciły własny dom z mamą i tatą potrzebują normalnej rodziny, a tu? No cóż, jest jak jest, dzieci mamy dużo, opiekunów za mało. Trudno poświęcić się jednemu dziecku, gdy czeka ich kilkanaścioro. Poza tym, one powinny pójść od września do szkoły. Byłoby dobrze zadbać o ich wykształcenie, bo to bystre dzieciaki. Sami państwo rozumieją mimo szczerych chęci nie zastąpimy im rodziców. Nie ukrywam jednocześnie, że z naszej strony ta propozycja jest w pewnym sensie wyróżnieniem i mam nadzieję, że intuicja nas nie zawiodła przy wyborze. Proszę zastanowić się spokojnie, porozmawiać i dać nam jak najszybciej odpowiedź. Będziemy mogli dzięki temu poczynić dalsze kroki — skończyła mówić i przyglądała się z ciekawością naszej reakcji, a my, sztywni i przerażeni, nie mogliśmy wydobyć z siebie głosu. — Chciałabym, żebyście je poznali. To może mieć wpływ na decyzję. Inaczej jak się wie i nie trzeba sobie wyobrażać.

Powaleni kolejnym ciosem, wciąż jeszcze myśląc, że to jakiś żart, podryfowaliśmy w kierunku drzwi. Widok dużej sali z gromadą rozwrzeszczanych dzieci był jednoznaczną zapowiedzią tego, co nas czeka. Spojrzałam przerażona, a w oczach pani psycholog ujrzałam zrozumienie.

— To rola nie dla mnie. Nie nadaję się na matkę — pomyślałam w jednej chwili, szukając drogi ucieczki. — Boże, ja nawet nie nadaję się na żonę. Mam problemy z alkoholem, trudno toleruję zmiany, grozi mi schizofrenia, nie akceptuję swoich wad ani zalet, nie poradzę sobie z macierzyństwem. Szukałam ratunku w Jerzym, ale on miał kamienną twarz. Chciałam zapaść się pod ziemię, zniknąć, wyparować,

zamienić w głuchy pień albo zimny kamień. Ale to nie robiło na nikim żadnego wrażenia. Nikt nic nie widział, wszyscy patrzyli na dzieci, dwa małe posągi przytulone do szyby okiennej.

— One czekają — usłyszałam głos opiekunki. — Stoją tak całe dnie i wypatrują powrotu rodziców. Co dzień mniej mówią coraz gorzej jedzą w nocy nie mogą zasnąć.

Na wprost, kilka metrów od nas, z rozpostartymi na szybie rękami stały dzieci, chłopiec i dziewczynka. Patrzyły przed siebie, na drogę prowadzącą w kierunku miasta. Stały w bezruchu, jak zaczarowane.

— Jeszcze ani razu nie płakały — kontynuowała. — Co z nimi będzie, jeśli nie pogodzą się ze stratą? Ktoś musi pomóc wyprowadzić je z szoku, my nie potrafimy — opiekunce załamał się głos.

Coś się ze mną stało. Uleciały gdzieś moje zwątpienia. Zapomniałam o strachu, serce podskoczyło mi z żalu do gardła i wiedziałam: muszą być moje. Jak mały, rozkapryszony bachor bezgłośnie zawylałam z bólu i pragnienia posiadania. Perfekcyjna umiejętność maskowania uczuć pozwoliła mi zachować pozory normalności, lecz wiedziałam już, jak się bardzo pomyliłam w ocenianiu samej siebie. Wystarczyło mi pokazać nieszczęśliwe dziecko, bym straciła dla niego resztki rozumu.

— Dziewczynka jest kontaktowa, chłopak zamknięty — szeptała cicho. — Rzadko dają się wciągnąć w rozmowę, ale spróbujmy.

— Kasiu — powiedziała delikatnie do dziewczynki. — Podejdiesz do nas na chwilkę? Muszę cię o coś zapytać. — Patrzyliśmy w milczeniu na nieruchome plecy dziecka, na palce aż zbielejące od obejmowania szyby. Warkoczyk lekko się zakotłosał, drgnęły małe plecy i po chwili, jak na komendę, odwrócili się oboje. Schyliłam się, by być bliżej, i zobaczyłam przed sobą migdałowe oczy, bardzo mi znajome. Patrzyłam spokojnie, chociaż powinnam zemdleć. Wróciło wspomnienie choroby. Znowu ujrzałam te zamglone oczy unoszące się w zielonym powietrzu. Ze spokojem, nie dając po sobie poznać wzruszenia, spytałam stojącej obok opiekunki:

— Kiedy był ten wypadek?

— W niedzielę, piętnastego kwietnia — odpowiedziała bez zająknięcia.

Trudno opisać rozmiary burzy, która przeszła przez nasz dom. Kilka dni krokodylich łez, godziny milczenia, całe noce dyskusji i wytaczania armatnich dział w rodzaju: „ty nigdy, ja zawsze, beze mnie, poradzę sobie, wyjadę, odejdę” itp. Jerzy przerażony, ja szczęśliwa. Drapiąc krwawiące rany rodziny, krok

po kroku dobijałam targu. Jerzy skapitulował, rodzice ustąpili, a ja przekonana o powierzonej misji postanowiłam przeskoczyć mur niemożności i stać się kariatydą. Chciałam tych dzieci dla siebie, ze względu na ich matkę i dla uratowania ostatnich okruszków życia moich rodziców, by dane im było zakosztować jeszcze takich słodyczy, o istnieniu których mogliby się nigdy nie dowiedzieć.

Poruszyłam cały dom. Swoim entuzjazmem zaraziłam w końcu wszystkich, bliższych i dalszych znajomych, o których już prawie zapomniałam. Potrząsnęłam niebem i ziemią by zorganizować się na czas i przygotować miejsce na przyjęcie nowych domowników. Skorzystałam z pomocy i porad doświadczonych w macierzyństwie kobiet. Stawałam się powoli omnibusem całkowicie zdesperowana i gotowa stawić czoła najtrudniejszym sprawom.

Jerzy patrzył z obawą na moje szaleństwa. Znał mnie i wiedział, że gdy się wypalę, będzie źle.

Gdy wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, po załatwieniu niezbędnych formalności, dwie sierotki przekroczyły próg naszego domu. Największy szok przeżyli rodzice, którzy już na mnie postawili krzyżyk. Oni mieli najwięcej wątpliwości. Spodziewałam się tego, więc dystans, jaki okazali w całej sprawie, usprawiedliwiłam bez zastrzeżeń. Mimo iż nie wykazali zachwyty, tylko chłodną obojętność, nie pozostawili spraw tak do końca samym sobie. Po krótkiej naradzie zakomunikowali nam, że posiadają okazałą sumę, przeznaczoną dla nas po ich śmierci. Chcą nam przekazać ją teraz, na budowę nowego domu. To oznaczało, że dali mi ostatnią szansę.

Janusz dał im ostatnią szansę, godząc się na opóźnienie dostawy. Ale tak nie można pracować. W interesach nie znosił opieszałości, ale już brak mu było uporu. W końcu udało się jakoś zamknąć na czas sprawy produkcji. Zmęczony, ale szczęśliwy, że znów sobie poradził, spoglądał w przeszłość z nadzieją.

Właśnie zrobił sobie krótką przerwę na obiad i zbierał się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Kobięcy głos, brzmiący znajomo, jak przybysz z odległej krainy, obudził jakieś wspomnienia.

— Janusz! Mówi Zofia, poznajesz? — usłyszał i osłupiał. Tyle imion, tyle spraw, a tu Zofia. Rozpaczliwie szperał w pamięci, jakaś Zofia była, na pewno, tylko gdzie, kiedy i dlaczego taka wesoła? Odwykł od radosnych głosów i nieznanymi kobiet. Czasem tylko żona dzwoniła, zwykle z pretensjami, że o czymś zapomniał, albo księgowa w sprawie źle wystawionych faktur, ale ona raczej grzmiała w słuchawce i z radością się nie kojarzyła. Dosłownie w ostatniej chwili spłynęło na niego olśnienie.

— Oczywiście, poznaję — odpowiedział zaskoczony, a jednocześnie szczęśliwy, że zdążył na czas, bo rozmówczyni chrząknęła dwuznacznie. — Miło cię słyszeć, Zosiu — usiłował szybko przeliczyć czas od ostatniego spotkania. — Czy coś się stało, że dzwonisz? — Zakrył dłonią oczy. Zadał głupie pytanie. Przywykł do samych kłopotów, dlatego wszystkich o nie pyta na wstępie.

— Skądże — zaprzeczyła. — U mnie wszystko w porządku. Dzwonię, żeby zapytać, co teraz porabiasz? — Usłyszał wahanie w jej głosie. — Przepraszam, Janusz, zaskoczyłam cię pewnie, tak prosto z mostu, bez sensu, ale jadę w tej chwili samochodem, więc rozumiesz...

Zamknął na moment oczy. Jakoś ten radosny ton koleżanki nie przypadł mu specjalnie do gustu. Z czego tu się cieszyć. Lato w pełni, a on zaharowany jak wół. Dlatego każdy rodzaj radości drażnił go okropnie, nawet w wykonaniu Zosi. Właściwie od kilku lat wszystko go drażniło. Spojrzał zmęczony w sufit, na którym kręcił się potężny wiatrak. Wystawił czoło, żeby osuszyć nerwowy pot, ale lekki podmuch niewiele pomógł. Rękawem koszuli obtarł spływające po skroniach strużki. Poszarpał sobie skórę przy goleniu, teraz sól piekła skaleczone miejsca. Gdyby nie przyzwoitość, której był nauczony, to najchętniej wyłączyłby ten przeklęty telefon.

— Niestety, Zosiu, pracuję. — Wystękał w miarę możliwości ciepło i przyjaźnie. — To jedyna rzecz, którą robię ostatnio.

— Siedział z twarzą wspartą na łokciu. Powoli się odprężył, nie chciał wyjść na jakiegoś gbura. Co winna jest Zosia, że ma podły nastrój.

— Ale głos masz trochę niewyraźny, mówisz jakoś przez zęby — nieco spoważniała. — Jakieś problemy? — pytała naiwnie, niezorientowana zupełnie w sytuacji.

— Zosiu, przecież dobrze wiesz, że ja mam tylko problemy.

— Machnął, odganiając natrętną muchę, którą zwabił zapach nerwowego potu. — Do tego zepsuła się klimatyzacja w moim gabinecie, rozplywam się właśnie.

— Rozumiem, to straszne, upał dziś niemiłosierny — dodała z troską. — I pewnie jesteś przemęczony? Nie gniewaj się, wiesz, ja żyję teraz w innym świecie. Przeszkadzam, wiem, ale chciałam pogadać... — Usłyszał w tle rozmowy, że karci dziecko. — Od kiedy zostałam mamą — powiedziała dosadnie, podkreślając ostatnie słowo — to straciłam resztki rozumu, wierz mi.

— Wiem, wiem, doszły do mnie wieści i bardzo się cieszę. Opowiadaj, opowiadaj, jak sobie radzisz w tej roli — udawał, że jest ciekawy. Cieszył się szczerze, ale nie teraz, na Boga, nie teraz.

— To długa historia. Nie na telefon — uspokoiła Janusza. — Właściwie dzwonię całkiem w innej sprawie, tylko krótko, żeby nie przeszkadzać. Bo wiesz, wpadłam na pomysł, żeby cię zaprosić nad morze, do nas. — W jej głosie pojawił się znowu ten radosny ton, szczęście brzmiące w każdym jej słowie. — Jesteśmy nad morzem, w przepięknym miejscu. Wynajęliśmy duży apartament, na trzy tygodnie. — Zdążyła powiedzieć.

— Zosiu, czy tobie brakuje kłopotów, chcesz się zasmucić przy mnie na śmierć? — Robił do szyby różne dziwne miny. Mój Boże, on i wyjazd, apartament nad morzem, teraz w szczytowym momencie produkcji. — Odpoczywaj sobie spokojnie, kochanie, z Jerzym i z dziećmi. Ja nie byłbym dla was wesołym kompanem. Wierz mi, a poza tym, nie mogę, po prostu nie mogę. W firmie mam piekło. — Stukał nerwowo ołówkiem o marmurową popielniczkę. Szary popiół rozsypywał się na blacie biurka i ulatywał do góry, osiadając na spoczonej szyi. Jeszcze mu tylko cudze dzieci były potrzebne, przy całym szacunku dla swoich przyjaciół. Albo może cudza teściowa.

Zosia nie pozwoliła mu jednak dokończyć.

— Janusz! — krzychała w słuchawkę, bo szum aut zagłuszał rozmowę. — Nie bój się. — W lot zrozumiała obawy — Ja ci nie proponuję pilnowania dzieci. Chcę, żebyś sobie odpoczął. Nas przez kilka dni nie będzie i właśnie dlatego dzwonię. Słyszysz mnie? — próbowała mu wytłumaczyć.

— Słyszę, Zosiu, słyszę dość dobrze.

— Musimy wyjechać stąd, na tydzień, do Warszawy, bo Jerzy próbuje odzyskać kamienicę na Szumnej, którą odziedziczył po rodzicach, wiesz tę z dębem w podwórku.

— Oczywiście, pamiętam, oczywiście — Janusz szczerze się zdziwił.

— Wrócimy za kilka dni. Mógłbyś w tym czasie tu pomieszkać. Morze jest cudowne, a apartament wygodny. Daj się namówić. — Czekala chwilę, aż się odezwie. — Słyszałam od Marka Leszczyńskiego — kontynuowała — że za dużo pracujesz i że wyglądasz niezdrowo, chciałam tylko pomóc — zamilkła na chwilę. — Ale jeżeli nie możesz, to trudno. Na wszelki wypadek zapisz sobie adres.

— A skąd Marek wie, jak ja wyglądam, nie widziałem go chyba dziesięć lat — śmiać mu się zachciało. Zosia chyba sobie wymyśliła. Chciała się pewnie usprawiedliwić.

— Marek to wie od Kuby, a Kuba, od... No, nie wiem od kogo Kuba, nieważne — podsumowała.

Janusz z westchnieniem oderwał z bloczku kartkę i zapisał. Dobrze wiedział, że robi to jedynie z grzeczności, i że na pewno nie skorzysta z Zosi propozycji. Czekąco go jeszcze tyle spraw, musi je załatwić, jeśli ma zamiar wrócić przed nocą do domu. Gdyby chciał odpocząć, taki apartament to dla niego fraszka, stać go przecież na wszystko.

— Zapisaleś?

— Zapisalem — powiedział posłusznie.

— Więc zastanów się i przyjeżdżaj. Klucz zostawimy w recepcji, dobrze?

— Zosiu, dziękuję za pamięć, ale będzie mi się trudno stąd wyrwać.

— Postaraj się, nie będziesz żałował. Czasem trzeba zaciągnąć hamulec — powiedziała na koniec rozmowy.

Odpędził od siebie kuszącą myśl o odpoczynku. Pomyślał o Zofii, biednej, pogrążonej w nałogu kobiecie, która jakimś cudem odnalazła drogę. Co jej w tym pomogło? Mógł się jedynie domyślać. Znał ją i Jerzego. Pamiętał, jak się kochali, jakąś dziwną i staroświecką miłością. — Gdyby można kupić miłość — pomyślał rozmarzony. — Kochałoby mnie tyle kobiet. Stać mnie. Ale czy można mieć miłość? Tak jak samochód, dom? Czy można kupić coś tak abstrakcyjnego? Czy poczucie posiadania można rozszerzać w nieskończoność? — poczuł pragnienie. — Chętnie zalałbym robaka, gdyby nie obowiązki. — Usiadł przy biurku i sięgnął znów po słuchawkę. Myśl o morzu, odpoczynku, marzenie o słońcu i wodzie poszybowała sobie w odległe przestworza.

— Szefie! — usłyszał za to przestraszony głos sekretarki. Spojrzał i zobaczył, że stoi wyprężona w drzwiach. — Mamy awarię, wyłączył się komputer w głównej sali i wysiadła sprężarka w lakierni. — Z opuszczonych wzdłuż ciała rąk odstawały rozczapierzone palce z długimi, niebieskimi paznokciami. — Przysłać Sawickiego, czy pójdzie szef sam?

— Powiedz mu, żeby się tym zajął — Janusz nie miał prawie siły wydobyć głosu.

— Pan nie pójdzie? — spytała zaskoczona.

— Przyjdę później — zapewnił, widząc jej zdziwioną minę, po czym machnął zniecierpliwionymi rękami. — Później, później — powtórzył.

Sekretarka wyszła, przewracając oczami na znak, że staremu znowu odbiło. Znał jej grymasy, dokładnie wiedział, który co oznacza, ale dziś miał to w nosie. Całego świata nie da się zadowolić. Szef i właściciel zawsze będzie wrogiem. Choćby się nie wiem jak starał, wszystkim nie dogodzi. Nie oczekiwał od ludzi zrozumienia, wiedział, że pracują byle do pierwszego, tak jak na cudzym. Liczył się dla nich zarobek, nie firma. Miał kilku takich pracowników, którym mógłby przekazać obowiązki. Niestety byli przed emeryturą, niedługo odejdą. Co wtedy zrobi? Myślał, że może syn przejmie po nim tę działkę, ale na to się nie zanosilo. Na dworze świeciło słońce, skwar wymiatał wszystkich z ulic do domów, do cienistych ogrodów, na wietrzne plaże. Tylko on jak zwykle warował. Spojrzał z rezygnacją na pięć połyskujących w słońcu aparatów telefonicznych, aniołów stróżów jego wolnego czasu, na stosy niepodpisanych dokumentów, pieczętki stanowiące o ich mocy i błękitne niebo za szybą. Miał już wszystkiego dość. Chciał umrzeć i przerwać ten parszywy żywot, nikomu na nic nie potrzebny. Czuł się nieszczęśliwy. Zbaraniał na widok łez, które nagle spłynęły mu po twarzy. — No, nie! Chyba zwariowałem. Rozklejam się jak smarkacz i duszno mi — rozpiął z paniką koszulę. — Czyżby to zawał — poderwał się i otworzył okno. Nie odnalazł za oknem chłodu, lecz żar jeszcze większy, bo tam, na zewnątrz, też nie było klimatyzacji. Rozpaczliwie zapragnął uwolnić się od tego, uciec, zamknąć wszystko i zwać. Wolność — oto czego było mu trzeba. Przechadzał się nerwowo, walcząc z pokusą.

— Zosiu! — mówił w przestrzeń, przed siebie. — Dlaczego właśnie dzisiaj zadzwoniłaś? Chcesz, żebym stracił resztki zdrowego rozsądku i wysadził tę budę w powietrze?

Zdecydowanym ruchem zasunął krzesło, które mu stanęło na drodze. Jednym szarpnięciem zdjął z szyi ciasny krawat i rzucił na biurko. Później to samo zrobił z marynarką. Rozejrzał się, zamyślił, wpatrując w ciemny ekran nieodłącznego laptopa i zawahał. Ręka, którą wyciągnął w kierunku telefonów, zawisała w powietrzu. Zdecydował, że zabierze jeden. Spojrzał na białą kartkę z adresem, który zapisał pod dyktando Zosi, i przymknął powieki. Zapachniało mu lasem i polem, ściętym rżyskiem i jeziorem, nad którym w dzieciństwie spędzał wakacje. Może jednak? Świat się bez niego przecież nie zawali. Może jednak?

Wziął do ręki kluczyki, portfel, wyjął z biurka butelkę wódki, rozejrzał się tępych wzrokiem po swoim więzieniu, a potem odwrócił na pięcie, zasalutował i wyszedł, rzucając przez ramię:

— A niech to wszyscy diabli!

W korytarzu minął sekretarkę. Wydawała się wystraszona. Jakoś dziwnie trzepotała rękami.

— Szefie, szefie! — wołała jeszcze rozpaczliwie. — Co się stało?!? — usłyszał, gdy zbiegał po schodach. Wypowiedział służbę swojej firmie. Chciał przetestować, czy sobie bez niego poradzi.

Inka wypowiedziała Rawiczowi służbę, na razie na próbę. Chciała przetestować, jak się zachowa, kiedy to ona będzie go unikać. Długo nie musiała czekać na reakcję. Po jakimś czasie sam się uaktywnił. Widocznie coś mu podpadło. Raz nawet czekał na nią na parkingu pod oknem. Zaparkował pod jej gabinetem, wyszedł na zewnątrz i dość długo czekał. Widziała go, opartego o maskę, jak spogląda raz po raz na drzwi od przychodni, sprawdzając co chwilę zegarek. Wiedział dobrze, o której wyjeżdża do domu. Raz nawet spojrzął w jej okna. Czuła się podle, ale wytrzymała. Jakoś przetrzymała jego nerwowe przydeptywanie z jednej nogi na drugą, i widoczne rozdrażnienie na twarzy. Nie wyszła do niego. Boże, jak ona wtedy ze sobą walczyła, jak bardzo chciała wybiec, rzucić mu się w ramiona i wypłakać całe to czekanie. Takiej okazji jak ta nigdy jeszcze nie miała. Była niemal pewna, że druga już się nie powtórzy. Jednak rozsądek podszeptował, żeby się wziąć w garść. Stała ukryta za żaluzjami, skurczona, cierpiąca i zaciskała pięści z rozpacz, a może z radości, że jednak postawiła na swoim. W pewnej chwili zadzwonił. Po raz pierwszy na jej komórkę, ale nie miała odwagi odebrać. Niech dzwoni, dobrze mu zrobi niepewność. Chyba już czuł, że zaczyna ją tracić.

Stał kilka minut obok samochodu, bawiąc się nerwowo komórką, aż w końcu spadła mu na ziemię. Schylił się, a potem wytarł w spodnie i sprawdził, czy działa. W końcu spłoszył go jakiś pacjent, który podjechał na parking i podszedł, machając do niego rentgenowskimi zdjęciami. Rawicz tylko spojrzął przelotnie, widać było w jego twarzy niechęć. Inka dobrze wiedziała, że nie lubi być zaczepiany. Pod tym względem był dość konsekwentny. Nie chciał, żeby ktokolwiek posądzał go o jakieś łapówki, czy — nie daj Bóg — układy. Dlatego niemal natychmiast odjechał, wcześniej posyłając jeszcze w stronę jej pracowni zdziwione spojrzenie.

Czuła satysfakcję, a jednocześnie ogromny żal, że zmarnowała pierwszą i pewnie jedyną okazję do prawdziwego zbliżenia. Połykała dławiące łzy i cichutko prosiła, żeby ta iskierka nadziei, która dla niej nagle zaświeciła, nie zgasła.

Mela przyjeżdżała w piątek. Myśl, że to już tak niedługo wytrącała Inkę z równowagi. Ostatnie przeżycia sprawiły, że straciła cały swój wigor. Wracła zmęczona do pustego domu, sprawdzała w komputerze pocztę i odpisywała krótko na listy, tylko tyle, ile było trzeba, bez zbędnej wylewności. Potem trochę telewizji, jakieś seriale od czasu do czasu i na tym koniec. Pozostawała jedynie książka lub gazeta. Cóż więcej może robić po pracy samotny człowiek?

Był czwartek. Od rana sprzątała mieszkanie. Miała czas do wieczora. Prać firanek nie będzie, bez przesady, to tylko koleżeńskie spotkanie.

Nazajutrz, zaraz po ósmej zadzwonił Rawicz. Chodziło mu o pacjenta, ale nie tylko. Zaznaczył bardzo tajemniczo, że to sprawa dość pilna.

— Chciałbym porozmawiać — dodał ogólnikowo. — Miałbym dla pani pewną propozycję. Musimy się spotkać, bo nie wszystko da się załatwić teraz, przez telefon.

Ince serce skoczyło do gardła.

— Chodzi o badania? — spytała znienacka. — Ma pan może jakieś zastrzeżenia?

— Tak, kilka zdań na temat interpretacji wyników przez pani pracowników, ale to jest mniej istotne — dodał ostrożnie. — Jest także do uzgodnienia forma ich dostarczania na oddział, mam na myśli nowe procedury — krótko odkaslnął i zawiesił głos w taki sposób, jakby miał jej za chwilę wyjawić wielką tajemnicę. — Ale jest jeszcze coś, co można by zakwalifikować jako prywatną część rozmowy — dodał z powagą. — O tym mogę mówić tylko osobiście. Czy odpowiada pani dzisiaj, godzina czternasta?

Inka zaniemówiła. Śmieszył ją trochę ten wymuszony ton, ale znała go, wiedziała, że jest służbistą. Więc pewnie sprawa jest trudna, dlatego robi z tym tyle ceregieli. Głos miał jednak ciepły i dość przyjacielski, mimo że słowa wymawiał bardzo oficjalnie.

- Dobrze — odpowiedziała spokojnie, choć w gruncie rzeczy ledwo panowała nad emocjami. — Pasuje mi czternasta — dodała, przeklinając, dlaczego wybrał właśnie tę godzinę.

- Może w stołówce? — padło z jego strony. — Mam trochę czasu przed dyżurem.

Stołówka nie była niestety zbyt romantycznym miejscem. Może przez moment miała wątpliwości, ale Rawicz to nie był ktoś, kto zna się na schadzках z kobietą. Jemu mogła nawet wybaczyć stołówkę. Spojrzała szybko na zegarek, czy zdąży jeszcze umyć włosy? Dla Meli nie chciała się stroić ani specjalnie malować, ale skoro ma się spotkać z Rawiczem, makijaż powinien być perfekcyjny. Na dworzec po nią już nie zdąży pojechać, pech. Wyśle jej esemesa z przeprosinami i zadzwoni później. Mela musi sobie radzić sama, nie jest malutką dziewczynką, a Sopot to nie jest Paryż.

Nawet przez moment nie czuła wyrzutów sumienia. Przyjaciółka zeszła na drugi plan w obliczu tego, co miało nastąpić. Myślała już tylko o jednym. Przysięgała przed sobą, że musi być czujna. Po

ostatnim rozczarowaniu, które przeżyła, nie da się już tak wykorzystać. Pójdzie do tej nieszczęsnej stołówki i wysłucha ze spokojem, co ma jej do powiedzenia. Uwagi o pracy przełknie bez problemu, a co potem? Inka nie spodziewała się wyznań nad talerzem zupy ani żadnych zdrożnych propozycji, ale i tak ciekawość zżerała jej duszę.

Ubrała się celowo w ten sposób, żeby z rozpiętego fartucha widać było jej piękny biust i opalony dekolt. Doskonale wiedziała, jak to działa na facetów. W końcu Rawicz chyba ma oczy i nie jest z kamienia. Po drodze zaszła jeszcze do dyżurki przekazać wyniki badań pacjentów z oddziału. Zakleiła je wszystkie w kopercie, tak jak tego wymagały procedury, żeby się już nie było do czego przyczepić. Znajoma Inki, jedna z miłszych na oddziale pielęgniarek uśmiechnęła się tajemniczo.

— Widzę, że już jesteś po rozmowie — spojrzała na zieloną kopertę.

— Nie, dopiero idę — zdziwiła się faktem, że cały oddział na ten temat mówi. — Rozmawiałam już z Rawiczem wcześniej, mają mieć różne kolory, żeby było wiadomo od razu, co jest dla kogo. Zresztą — specjalnie dodała — to są autentyczne przepisy. Chodzi o to...

— Wiem, wiem — uprzedziła Inkę pielęgniarka. — Nie wolno grzebać w kopertach, bo tajemnica lekarska. Wszyscy się z tego śmieją — zadrwiła. — Kolorowe koperty, ochrona danych osobowych, a i tak wszyscy wszystko wiedzą. To nie konfesjonał, tylko szpital. Jak leczyć człowieka, nie wiedząc, na co jest chory? — dodała wzburzona. — A ten znalazł sobie kolejnego konika — spojrzała w sufit, robiąc głupią minę. — Pieprzony pedant.

Inka była wstrząśnięta. Myślała, że wszyscy lubią Rawicza, była pewna, że jest gwiazdą na oddziale. Był przecież jednym z najlepszych lekarzy. Teraz ze zdziwieniem dostrzegła niechęć u pielęgniarki. Nie skomentowała tego, pomijając milczeniem również kilka kolejnych, niezbyt pochlebnych uwag, rzuconych przez nią — że mruk, że dziwak, że egocentryk. Jak można tak bardzo się mylić? Inka z uczuciem niesmaku wyszła szybko z dyżurki. Zostało zaledwie kilka minut do umówionego spotkania. Przyspieszyła kroku, zbiegając po schodach na parter, a właściwie do samej piwnicy, która zaadaptowana została na kuchnię i stołówkę dla personelu. Czuła lekki zawrót głowy i zmieszanie, że będzie tu na oczach wszystkich pracowników szpitala. Obawiała się plotek.

Rawicz czekał na nią przy stoliku. Był po obiedzie. Świadczyła o tym filiżanka z kawą i pusta miseczka po deserze. Inka usiadła obok, nieco tym faktem zmieszana, myślała, że zjedzą obiad razem

albo że chociaż poczeka na nią z tą nieszczęsną kawą. Stłumiła w sobie rozczarowanie. Chyba za wiele od wszystkich wymaga. To tylko pracownicza stołówka, nic więcej.

— Jestem — oznajmiła, przysuwając sobie wolne krzesło, stojące przy sąsiednim stoliku.

— Witam, witam — wstał szybko, robiąc dziwny gest w jej stronę. Ale Inka zdążyła już usiąść, odsuwając od siebie brudny talerzyk. — Jeść pani nie będzie? — zapytał ją z troską.

— Nie, dzięki, może trochę później. Skoro pan jest już po — zauważyła złośliwie.

— O! Przepraszam. — Czuł, że pije do niego. — Miałem przerwę od pierwszej, niespodziewanie skończyłem wcześniej — próbował się jakoś tłumaczyć.

— Nic się nie stało — Inka przełknęła pretensję. — Nie da się w tym fachu wszystkiego zaplanować co do minuty. Wiadomo, medycyna lubi niespodzianki — trochę żartowała, a trochę była złośliwa. Pomyślała o Meli, gdyby umówił się z nią tę godzinę wcześniej, mogłaby jeszcze zdążyć na dworzec.

— No właśnie — skwapliwie przytaknął. — Czasem dobre chęci nie wystarczą i nowe okoliczności przewrócą wszystko do góry nogami — uśmiechnął się do Inki serdecznie. Niebieskie oczy załśniły dobrocią pomieszaną z chłodem. Rawicz znowu był sobą.

— Zatem, skoro udało się nam jakoś dopasować godziny — Inka popędzała go trochę, przyjmując jego oficjalny ton — to może przejdziemy do sedna — zaproponowała, widząc, że Rawicz trochę się gubi. Jego twarz zmieniała wyraźnie odcienie. Nie wiedziała, cóż to dla niej oznacza i co w związku z tym usłyszy. Spoglądała na niego zadziornie.

— Powiedzmy, że sprawy służbowe dzisiaj pominiemy — rozpoczął, widząc jej rozdrażnienie. Wbił wzrok w brudny talerzyk. — One nie są w końcu większym problemem. To tylko retusz codziennych udogodnień, których potrzebujemy wszyscy. — Podniósł wreszcie głowę. — Przejdę więc szybko do rzeczy, bo sprawa jest skomplikowana. — Teraz z całej siły wbił wzrok w jej twarz, ale patrzył na usta, nie w oczy. To Inkę speszyło i szybko straciła pewność siebie. — Zna pani moją sytuację od dawna, jak długo, trudno policzyć. Łączą nas lata dobrej współpracy. Mam do pani duże zaufanie i podziwiam zawsze za fachowość. Dzięki niej udaje się utrzymywać w dobrej, jak na możliwości, kondycji zdrowie mojej żony i za to jestem bardzo wdzięczny. Pani pomoc jest nieoceniona — wyraźnie podkreślił.

Inka topniała. Mógł teraz mówić do niej cokolwiek. Łykała wszystko jak leci. Wzięły w tę tygodnie kuracji odwykowej, rozsądek pojechał na długą wycieczkę.

— To chyba nic nadzwyczajnego — wydukała, ledwo panując nad sobą. — To moja praca, nic więcej.

— Jak zwykle skromna — dotknął teraz jej ręki, która drgnęła pod tym dotykiem.

Inka rozejrzała się spanikowana.

— Nie jestem skromna — szybko zaprzeczyła. — To pan leczy żonę, ja tylko wykonuję polecenia.

— Ale jakże sumiennie — pospieszył z zapewnieniem.

— Nie robię różnic. Staram się wszystko robić do...

— Wiem, wiem — szybko potwierdził. — I właśnie dlatego mam dla pani pewną propozycję — zaintonował dosyć wyraźnie. Zamknął jej dłonie w swoich.

— Tak, słucham — Inka zamarła, a on puścił ją i odsunął się lekko od stołu. Potem wypił łyk zimnej kawy i delikatnie, koniuszkiem wskazującego palca obtarł sobie kąciki ust.

— Jak pani wiadomo, choroba mojej żony z roku na rok postępuje. To ciężka choroba, ale chorzy na nią żyją średnio tak samo długo jak osoby nieprzechodzące tej choroby. Jednak ich życie bywa dramatycznie ciężkie. — Twarz Rawicza zmieniła znowu wygląd. Spoglądały na nią tym razem udręczone oczy zmęczonego człowieka. Niezwykle szybko potrafił dostosowywać swój wygląd do tematu. Jeszcze nigdy przedtem nie rozmawiali tak bezpośrednio i blisko, twarzą w twarz. — Często część z objawów dotyczy też zmian psychiatrycznych. Widzę te symptomy u mojej żony — cedził powoli. — Ma ostatnio labilny charakter, coraz częściej wpada w depresje. To mnie niepokoi.

— Ale cóż ja mogę tu pomóc? — Inka czuła się zagubiona. Rawicz zmieniał się w jej oczach i sama nie wiedziała, po co to wszystko, ta cała dziwna gra i takie wstępy. Czuła, że w czymś się zanurza, z czego już nie będzie odwrotu. Gdyby tak móc się otrzeptać, jak pies otrzepuje się po wyjściu z wody.

Rawicz tylko czekał. Zauważył jej zmieszanie i panikę. Natychmiast wyjął z fartucha kartkę i rozłożył na stole przed Inką.

— Jest taki projekt, taka fundacja wspierająca chorych na SM — powiedział donośnym głosem. — Działa od niedawna. To projekt z przyszłością wspierany przez państwo i przez państwo opłacany. — Widać było, że temat bardzo go poruszył. Inka też słuchała z uwagą. Coś się zaczynało rysować i dziwne uczucie zagubienia odpływało w przeszłość. Skupiła uwagę na słowach Rawicza. — Od paru tygodni trwa kampania informacyjna w tej sprawie. Projekt dotyczy chorych, lekarzy i personelu wspierającego, czyli rehabilitantów, diagnostów i rodzin chorych na SM. Dostałem już potrzebne materiały, które dotyczą tematyki zaplanowanych szkoleń dla personelu, uwzględniają także edukację chorych w zakresie praw pacjenta, metod diagnostycznych, całego procesu leczenia oraz podniesienia ich poziomu życia. Dla nas, lekarzy, to dobry sposób na zapoznanie się z możliwościami refinansowania leczenia przez NFZ, a także okazja do podzielenia się doświadczeniami. W przyszłym miesiącu zaczynają się wszystkie szkolenia. Jadę tam razem z żoną. Mamy już potwierdzenie pobytu i plan zajęć. Dla żony to będzie dobra odskocznia od szarżyny codziennego dnia, dla mnie szansa na to, żeby poznać doświadczenia kolegów. Natomiast pani chciałbym zaproponować udział w tym programie oraz w całym szkoleniu dotyczącym diagnostyki. Wszystko jest bezpłatne, poza hotelem, a hotel chętnie opłacę, w końcu jestem zainteresowany tym osobiście. Natomiast pani uzyskałaby niezbędny certyfikat, który przyda się przecież w pracy zawodowej, a poza tym wiedzę na temat najnowszych metod diagnostycznych w przebiegu leczenia SM. — Rawicz spokojnym głosem wyłuszczał Ince jeszcze bardzo długo różne perspektywy i plusy przedsięwzięcia. Przekonywał bez końca, jak wiele skorzysta, jadąc razem z nim i jego żoną na szkolenie do Ciechocinka. Wszystko trwać będzie całe dwa tygodnie i da się połączyć również z wypoczynkiem, bo hotel jest wysokiej klasy i zaplanowano w programie liczne wycieczki.

Inka próbowała pozbierać myśli. Słuchała, rozpaczliwie szukając w tym jakiegoś podtekstu, a raczej pułapki. Każde wypowiedziane przez Rawicza słowo brzmiało w jej uszach jak szyfr, do którego spróbowała na siłę dopasować klucz i rozwiązać ukrytą zagadkę.

— Miałam już jakieś plany wakacyjne na lipiec — tłumaczyła nieśmiało. — Skoro jednak to będzie dla mnie z korzyścią, może rzeczywiście warto je poświęcić — wydukała. — Tylko co ja mam w związku z tym załatwić? Rozumiem, że to dość pilne.

— Pani zgoda w zupełności wystarczy — powiedział uradowany. — Ja zajmę się resztą. Potem uzgodnimy terminy i sposób dojazdu. Możemy jechać moim samochodem. To zależy od pani.

— Dziękuję za troskę, lubię podróżować sama. Zresztą to...

— Za tydzień wszystko dostarczę — przerwał, zanim skończyła zdanie. — Trzymam rękę na pulsie. Proszę mi wierzyć — przeszył Inkę wzrokiem. — Pani się tylko pakuje, zgoda? — posłał jej jeden ze swoich cudownych uśmiechów.

Rozstali się jak dwoje przyjaciół. Na koniec trochę żartowali, Inka rozkwitła i zajaśniała szczęściem. Trudno było nie zauważyć blasku w jej oczach. Śmiała się nawet zbyt głośno i jak na nią zbyt promieniście. Wszyscy się oglądali. Nawet nie zauważyła, jak minął czas i trzeba się było pożegnać. Nie wszystko, co do niej mówił, docierało z pełną jasnością. Szła korytarzem, ważąc każde jego słowo, i pragnęła za wszelką cenę znaleźć się w domu i ze spokojem przemyśleć szczegóły. Nie wiedziała jeszcze, cieszyć się, czy płakać. Czuła nadchodzący przełom, a jednocześnie świadomość tego była jej, współmiernie do radości, ciężarem. Czy rzeczywiście tak bardzo pragnie zbliżenia, czy woli tylko o nim marzyć? Na horyzoncie majaczyły mgliście konsekwencje i koszty, których z pewnością nie da się uniknąć. Broniła się dzielnie przed wątpliwościami. To było zbyt piękne i zbyt realne, żeby było prawdziwe.

Mela broniała się dzielnie przed propozycją Inki. To byłoby zbyt piękne, gdyby ich spotkanie okazało się prawdziwą idyllą. Kiedyś między nimi różnie bywało. Nie widziały się tyle lat, kto wie, jak na siebie zareagują. Dlatego nie chciała być od niej zależna. W kafejce internetowej na osiedlu spędziła kilka godzin i wyszła całkiem tani hotel. Może nie tak blisko morza jak chciała, ale w dość dobrej odległości od plaży, akurat żeby tam dojść piechotą.

Cieszyła się z tego wyjazdu. Zaplanowała go, chciała wreszcie zobaczyć ukochane morze. Tak bardzo za nim tęskniła. A przy okazji mogła odwiedzić Inkę. Dlatego właśnie wybrała Sopot. Zataczała coraz szersze kręgi, łapała stopniowo porwane nici z przeszłości, żeby może kiedyś stworzyć sobie na powrót świat, który dawno dla niej przestał istnieć. Nie będzie to wprawdzie świat beztróskiego dzieciństwa ani młodości, pełnej uroku i marzeń, ale świat ludzi dorosłych, doświadczonych i z pewnością spełnionych, do których się będzie teraz mogła przytulić.

Niestety, kiedy pociąg wjechał na dworzec, Inki nie było pośród czekających. Mela w pierwszej chwili pomyślała, że jej nie poznaje. Stała, aż wszyscy wyszli ze stacji, i nawet nie była zdziwiona. — Inka chyba stchórzyła — pomyślała i uśmiechnęła się do swoich myśli. Więc nie tylko ona się bała. To było pocieszające i podniosło Melę na duchu. Inka przyjdzie, była niemal pewna. Tylko się trochę pozbiera. Musi przełknąć ten chwilowy bunt. Jak oswoi się z myślą że nawet odsiadka kiedyś się kończy, to przyjdzie do hotelu albo do niej zadzwoni. Meli się nie spieszyło. Ma do dyspozycji całe cztery dni. Zdążą się jeszcze zobaczyć.

Wzięła spod dworca taksówkę, ponieważ nie знаła miasta. Nie chciała bez sensu błądzić po ulicach.

Hotel okazał się raczej małym pensjonatem, przemyślnym i czystym. W recepcji przywitał ją starszy pan w kaszkiecie, którego nie zdjął nawet, gdy weszła do holu, widocznie taki miał styl, że bez nakrycia głowy latem ani rusz. Z mozołem sprawdzał nazwisko w książce hotelowej, zakładając na nos co rusz inne okulary i cały czas coś pogwizdywał, spoglądając na nią ukradkiem. Czyżby to były miejscowe zaloty, czy styl starszego pana z czasów młodości? Mela poderwać się jednak nie dała. Z kluczem w dłoni, który po takim wstępie wydawał się niemal zdobyczny, powędrowała na drugie piętro. Dostała schludny pokój, w stylu facjatki z Zielonego Wzgórza, pościel w różowe kwiatki i różowy dywan. Trochę czuła się dziwnie w tym królestwie bajki. Ciekawe, czy są tu pokoje dla panów? Majątaki sam kolor, czy może niebieski, albo i czarny, a na pościeli samochody zamiast kwiatków? Za oknem widok na tył domu z małą piaskownicą drewnianą huśtawką i stół z parasolem. W pokoju kwiaty, cięte róże, prosto z ogrodu, każda w innym kolorze, niektóre mocno rozkwitłe, zrzucały już płatki na kremowy obrus z satyny. Ogólnie było bardzo kolorowo. Może los chciał Meli hotelowym pokojem wynagrodzić smutek celi.

Rozpakowała się w kilka minut. Pogoda była wspaniała. Szkoda siedzieć w pokoju. Najważniejszą rzeczą był w tej chwili spacer na sopockie molo. Zabrała ze sobą komórkę, na wszelki wypadek. Może zadzwoni Inka, kto wie, co ją zatrzymało. Przypadek, czy rzeczywiście stchórzyła? Dwa tygodnie wcześniej Mela zadzwoniła w końcu do Jakuba. Nasłuchiwała się od niego wyrzutów. Nie wspomniała nawet, że wiosna już dawno minęła, a przecież wiedział, że wychodzi na wiosnę. Obiecała, że jak wróci z Sopotu, to do niego zadzwoni. Tak się złożyło, że ani jej, ani jemu jakoś nie pasowało, ale obstawał bardzo przy spotkaniu. Powiedziała, że jedzie do Inki, a gdy wróci, to się umówią. Śmieszyło Melę to wszystko, te umawiania, dzdzwaniania. Każdy się chciał z nią umawiać, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Może to była jej wina, bo za mało konkretnie ustalała termin, ale to oni pierwsi proponowali spotkanie, mogłaby się jakoś do nich dostosować, tylko na razie nie było do czego. A teraz ten Sopot. Inka wydawała się uradowana, gdy się telefonicznie umawiały. Jak ma teraz rozumieć jej milczenie i nieobecność na dworcu?

Spacer w słońcu po molo pomógł jej oderwać myśli od spraw doczesnych. Kontemplowała morze i kolor nieba, patrzyła na uśmiechniętych ludzi, słuchała gwaru. Ależ tu był ruch, ile kolorów, muzyki. Tyle się przez lata zmieniło. Molo pękało w szwach, wszystkie ławki były zajęte, nie znalazła spokojnego kąta, żeby usiąść, więc stała wsparta łokciami o balustradę i wspominała. Ostatni raz była tu z Kostkiem. Miał wtedy katar, przeziębził się poprzedniej nocy, siedząc z nią prawie do rana na plaży.

Schowani za wielkim pnem spróchniałego drzewa nie mogli się sobą nacieszyć. Ich wielka miłość właśnie rozkwitała i tylko o tym potrafili mówić. Słowa „kocham bardzo i na zawsze” spadały jak dojrzałe owoce. Najpierw tylko nieśmiało wyszeptane, później gorączkowo wydzierane z ust do ust, z oczu do oczu, przeplatane jego i jej łzami szczęścia. Tyle w tym było żaru, że jeszcze dziś czuje zapach i smak pocałunków, jego z trudem panujące nad drzeniem dłonie, które omijały ostrożnie niedostępne miejsca, w obawie, żeby nie sponżyć tej cudownej chwili, tego zespolenia, chociaż ona przecież nie chciała stawiać żadnych granic. Ściskali się tak i tulili prawie do rana. Wschód słońca wygonił ich z plaży, bo razem z nim nadpłynął z północy dość zimny wiatr i zaczęło się chmurzyć. Dopiero wtedy poczuli, jacy są zziębnięci. Ona w letniej sukience i jego wojskowej bluzie, on tylko w cienkiej koszuli. Przytulał ją mocno do siebie, chroniąc przed wiatrem. Prawdziwe straty wyszły na jaw dopiero, gdy każde z nich znalazło się w swoim pokoju. Kostek miał koszulę czerwoną od krwi, a pod koszulą zdartą skórę z pleców i powbijane w nią kawałki kory. Meli za to krwawiła broda. To zarost Kostka pozostawił na niej swoje ślady. Przez kilka dni chodziła z dużym, ciemnym strupkiem. Kostka plecy długo się goiły. Kawałki kory zabrudziły ranę i wdała się infekcja. Przez cały rok nie mógł na nich nosić swojego plecaka. Później nie raz śmiali się z tego zdarzenia. Może gdyby wtedy coś przeczuwała, ale gdzie tam. Do dziś zresztą uważała, że to były najprzyjemniejsze rany w jej życiu, bo znieczulane miłością a blizny po nich pozostały dłużej, niż oni byli ze sobą. Jeszcze dziś, gdyby się dobrze przyjrzeć, w miejscu, gdzie rana była najgłębsza, pozostała na brodzie mała jasna szrama.

Z molo wypędził Melę dopiero solidny głód i zmęczenie. Postanowiła wrócić do hotelu. Po drodze zjadła porcję ryby z frytkami, wypila słodzone gęstym sokiem piwo, a potem zieloną herbatę. Przed spaniem jeszcze coś przeczyta, książkę albo gazetę, a jutro zaraz po śniadaniu pójdzie odnaleźć laboratorium Inki. Niestety, zanim zasnęła, dopadły ją znowu natrętne wspomnienia, chociaż nie było już co wspominać, bo miała dość czasu w więzieniu, żeby to dokładnie przetrawić. A mimo wszystko wracały obrazy i ludzie. Nie było więc szansy na sen.

Katowice, gdzie poznała Kostka, ten dzień, w którym pojawił się zamiast Adama na randce był początkiem wszystkiego. Potem była matura, egzamin, praktyka studencka i cudowny sierpień w Sopocie. Tam się zaczęła ich wielka miłość. Kostek był już na trzecim roku, gdy Mela zdała na AWF. Po powrocie z Sopotu rozpoczęła się nauka. Każdy zajęty był sobą, ale Mela i Kostek raczej sobą nawzajem. Nie przeszkodziło im to jednak dobrze zdać egzaminów.

W tym samym czasie, gdzieś na Mazurach, Norka już wsiąkła z kretelem w nowe środowisko i szczęśliwa jak nigdy podkochiwała się w jednym z hippisów. Beztroski żywot, okraszony wzniosłą ideą

stwarzał wyjątkowy klimat i uczuciom dodawał uroku. Dzień za dniem ich życie było niczym wieczne wakacje. Lato dopisało, złe nastroje, które zaczynały narastać od pewnego czasu, rozładował letni upał i długie ciepłe noce. Spędzali je na snuciu ambitnych planów, w których nie było miejsca na pracę ani na naukę.

Kostek wyjeżdżał w tym czasie do rodziców. Oboje byli archeologami i od kilku lat zmieniali miejsca zamieszkania, w zależności od tego, gdzie byli potrzebni. Ojciec, niczym Indiana Jones przemierzał w kapeluszu i skórzanej kurtce Peru, Brazylię, sosnowe lasy Meksyku, albo wędrował wzdłuż Rio Grandę w poszukiwaniu zaginionych kultur. A matka wiernie towarzyszyła mężowi, dbając o szczegółową dokumentację wyprawy. Dlatego Kostka wychowywali dziadkowie. Stworzyli mu dobry, ciepły dom. Rósł niczym cudowne dziecko, któremu dawano pełną swobodę, traktując dość wcześnie jak dorosłego, a on w związku z tym też czuł się bardzo dorosły.

Tego lata leciał na miesiąc odwiedzić rodziców. Obiecali mu szampańskie wakacje, na które już dawno się cieszył. Niestety jeszcze wtedy nie wiedział, że się tak bardzo zakocha. Ale nie miał odwagi im odmówić. Wyleciał zaraz po zamknięciu sesji. Następnego dnia Mela była już spakowana, a w południe z plecakiem i duszą na ramieniu jechała odebrać Norkę.

Kostek zamiast miesiąc, zabawił dwa. Rodzice wywieźli go w takie miejsca, z których nie było powrotu. Tymczasem Mela usiłowała rozgryźć hippisowską grupę, zrozumieć ich i polubić w ściśle określonym celu. Kostek wiedział niewiele. Jedynie tyle, że Mela jedzie w odwiedziny, po raz kolejny namawiać Norkę do powrotu.

Jakub wracał potwornie zmęczony, w nastroju telewizyjno-łóżkowym. Marzył o spokojnym wieczorze i głupawej komedii przed snaniem. Piątek, jak zwykle ciężki, jak zawsze podobny do poprzedniego, minął, pozostawiając w pamięci pojedyncze przypadki, zabawne sytuacje i męczące monologi hipochondrycznych pacjentów. Bywały dni, w których wydawało się, jakby wszyscy kradli od siebie pomysły na chorobę i wtedy na sześćdziesięciu pacjentów było czterdzieści angin, dziesięć uczuleń, a reszta nieżyty i rozwolnienia. Innym razem zdarzało się, że co człowiek, to inny problem i trudniejszy orzech do zgryzienia. Z balastem wielu takich przypadków trzeba było wracać do domu i gdy inni słodko spędzali czas, on gryzł się i zadręczał: czy postąpił słusznie, czy nie pokpił sprawy, jak zadziałają lekarstwa, po jakim czasie spadnie temperatura, czy wykres EKG prawidłowo określił stan pacjenta, czy może nocą przyjdzie podstępem ciężki zawał?

Była to klasyczna forma przewrażliwienia u lekarza, który miał już za sobą zadziorne lata zawodowego buntu, pewność siebie młodego gniewnego, zuchwałe perypetie z przepisami i walkę o sprawiedliwy podział pracy. Był teraz człowiekiem dbającym jedynie by to, co robi miało sens i nie wyrządzało nikomu krzywdy. Nie marzył o sukcesach, splendorach, lecz prosił o trafne diagnozy dla spokojnego snu, psychicznej równowagi i pewności, że rutyna, zawodowy niuch i zdrowy rozsądek są rekompensatą za utracone złudzenia.

Już od dawna towarzyszyło mu nieznośne uczucie zmęczenia zawodem. Usiłował znaleźć bez skutku jakąś alternatywę. Swego czasu był zagorzałym wyznawcą teorii, że człowiek powinien w życiu robić to, co potrafi najlepiej. Teraz zrewidował przekonania, bo odczuł na własnej skórze, że najlepiej wychodzi mu to, co robi z przyjemności. Kiedyś pragnął wyjechać gdzieś daleko, w góry Nepalu, gdzie lekarz za parę groszy i ludzką wdzięczność mógł wypróbować siebie i swoją wiedzę. Myślał też o pracy na statku lub o wyprawie naukowej w odległe zakątki świata. Lecz do tego potrzebna była nieprzeciętna odwaga, nie tylko w podjęciu ostatecznej decyzji, ale przede wszystkim w porzuceniu tego, co stanowiło już pewien dorobek. Zazdrościł innym oryginalnych pomysłów na życie, radości w zaczynaniu od nowa, bo on sam, zniewolony pragmatyzmem, żył w codziennym zgorzknieniu.

Teraz ubrany w piżamę czekał na film. Bał się zagłębiać zbyt mocno w problemy świata, bo czasem świadomość dość marnych perspektyw ludzkości nie pozwalała mu spokojnie zasnąć. Przez pół godziny oglądał reklamy nadawane przed filmem i lekko przysypiał w fotelu. Tak, czas reklam był momentem prawdziwego wytchnienia. Życie w różowych kolorach, gdzie wszystko było najlepsze na świecie, dawało Jakubowi pełne poczucie bezpieczeństwa.

W tym stanie można by siedzieć bez końca. Moment wyciszenia i słodkiej lekkości ciała, które już dryfowało bezpiecznie ku czystej pościeli, przerwał natarczywy dzwonek telefonu. Ręka doktora Morańskiego z precyzją wylądowała na słuchawce. Z niepokojem podniósł ją do ucha, myśląc w tym momencie o matce. Za oknem było już ciemno, no tak, dochodziła dziesiąta. Miasto powoli siadało do kolacji. To nie był dobry czas na przykre niespodzianki. To był czas w sam raz na lenistwo. W słuchawce, przez szumy zatłoczonej linii dobiegł go cichy głos Anny:

— To tylko ja. Przepraszam, pewnie ci przeszkadzam. Chciałam pogadać, masz chwilę? — spytała.

— Oczywiście — zapewnił Jakub, nieco zdziwiony. — Spokojnie, możesz mówić — zasłonił ręką usta, bo chciało mu się ziewać.

— W tej chwili stoję nad łóżkiem Julka — powiedziała cicho — i nie wiem, co robić, jest jakiś dziwny, ma podwyższoną temperaturę i przed chwilą wymiotował. Zgłupiałam, zupełnie nie wiem, jak się zachować, czy mogę z nim do ciebie przyjechać?

— Jak to? — Jakub wpadł nagle w panikę.

— Chciałam, żebyś go zobaczył — oznajmiła Anna. — Osluchałam go dokładnie, opukałam i niby nic, ale jakoś boję się nocy.

— No wiesz — Jakub się zająknął — ale to ty jesteś pediatrą.

— Oj! — zachnęła się trochę. — Przestań! Tak, tak, wiem, powiesz, że panikuję. Ale może tobie przyjdzie coś mądrego do głowy.

— Chcesz wieźć małego na drugi koniec miasta?

— Boję się, zrozum, jestem jego babcią nie mamą.

— Jesteś, do licha, lekarzem.

— Przestraszonym teraz jak czort.

Jakub czuł się zakłopotany, nie wiedział, co zrobić, jak pocieszyć koleżankę i zniechęcić ją do przyjazdu.

— Wpadnę tylko na chwilkę — Anna nalegała. — Byłabym u ciebie za jakieś pół godziny. Zgódź się, proszę.

— Daj spokój, Anna, nie o to mi chodzi — szukał wymówki. Nie chciał jej robić przykrości. — A może to ja przyjadę do ciebie? — zaproponował szczerze, natychmiast żałując tego pomysłu.

— Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu — powiedziała, nie protestując. Jakub wyczuł w jej głosie ulgę.

— Nie ma sprawy, to żaden kłopot. Przyjadę, już się ubieram.

Umył się i przebrał. Założył świeżą koszulę. Chciało mu się pić, więc nalał sobie pełną szklankę wody. Popijał małymi łykami, a płyn drapał go w podrażnione gardło. Musiał choć na chwilę odsunąć od siebie obowiązek i przedłużyć ulatującą w nieznane chwilę spokoju. Woda była zimna, szklanka pokryta

się kropelkami rosy. Patrzył, jak przezroczyste pęcherzyki powietrza z trzaskiem rozbijają się o powierzchnię cieczy. Nie ma wyjścia, będzie tam musiał pojechać. Odwlekanie nie ma najmniejszego sensu.

Anna mieszkała w małym bloku, na miniaturowym osiedlu, wkomponowanym w resztki starej zabudowy miasta. Podwórka przy blokach miały swój niepowtarzalny klimat i tajemniczy urok. Stwarzała go bujna roślinność, w dzień urocza, a nocą straszna, otoczona ciemnymi uliczkami i skąpo oświetlona. Jakub był tu wiele lat temu. Ostatnio jakoś nie miał okazji. Jeżeli gdzieś szli na kolację, to raczej do lokalu, nie licząc tych kilku razy, kiedy to Anna odwiedziła jego przy okazji imienin, czy jak ostatnio na degustacji doskonałej zupy pomidorowej, w której się specjalizował.

Zamknął dokładnie samochód. Czerwona lampka alarmu mrugała porozumiewawczo z tablicy rozdzielczej i dawała ulotne poczucie bezpieczeństwa. W oknie na drugim piętrze, przez firankę dostrzegł znajomą sylwetkę. Zanim doszedł do bramy, uruchomiła już brzęczyk domofonu.

— Widziałam cię przez okno — usprawiedliwiła swój pośpiech, gdy wchodził już do jej mieszkania. — Mam wyrzuty sumienia, że wyciągnęłam cię o tej porze z domu, a Julek jak na złość właśnie zasnął.

— To może nie będziemy go budzić? — zapytał chętny do natychmiastowego odwrotu.

— Poczekaj chwilę, na wszelki wypadek — poprosiła zmieszana, łapiąc go za ramię. Jakub z ociąganiem wszedł do pokoju. Był trochę zły.

— Usiądź — pokazała fotel. — Może coś zjesz? — Spojrzała odruchowo w kierunku kuchni.

— Jadłem już kolację — wyjaśnił krótko, patrząc na zegarek.

— Może wypiłbym herbatę.

— Chociaż kanapkę — nalegała. — Właśnie coś szykowałam dla siebie...

— Kanapkę mogę zjeść — nie protestował. — Będzie ci różnie — dodał z uśmiechem.

Anna wyszła do kuchni. Słyszał, jak nastawia czajnik i wyjmuje z szafy filiżanki. Ruchy miała niespokojne, upuściła łyżeczkę, słyszał, jak przeklina pod nosem. Nie ruszył jej jednak z pomocą. Usiadł w szerokim fotelu i spojrzał na pokój. Zauważył w nim spore zmiany. Anna chyba go odnowiła, wymieniła

okna. Meble też były nowe, proste, może trochę zbyt kanciaste, lecz eleganckie, a do tego chłodne kolory ścian, zielonkawe odcienie szkła. Na ścianach obrazy, podświetlone punktowym światłem.

Mieszkanie miało swój styl, choć dla niego zbyt ascetyczny. Poza tym, te małe pokoje działały na niego klaustrofobicznie. Wolał ciemniejsze kolory, półmrok, nastrój, w którym można się schować, ale również przestrzeń. Czuł, że na dłuższą metę nie mógłby tu mieszkać. Nawet nóg nie ma gdzie wyciągnąć, nie mówiąc o zrobieniu kilku kroków.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły dźwięki cichej muzyki. Pasowała do nastroju. Coś pomiędzy fortepianem a harfą lekkie plum, plum, szybkie tra, la, la. Trudno było rozpoznać instrument. Jakub próbował się wczuć w senny nastrój.

— Uspokajam się przy muzyce, a ten kawałek Julek traktuje jak kołysankę, dlatego puszczam go na okrągło. Przyzwyczaiałam się i chyba już tego nie słyszę. Przepraszam — tłumaczyła, wchodząc do pokoju z herbatą. — Wyłączę, jeżeli ci przeszkadza — powiedziała, ustawiając na stole filiżanki. Podążyła serwetki i cofnęła się do kuchni po cukier.

— Zostaw — Jakub protestował. Ręce założył za głowę i przyknął oczy. — Właśnie się relaksuję. — Zamyślił się. Anna nie słyszała. Szeleściła w kuchni torebkami.

— Jaki chcesz cukier, biały czy brązowy? — zapytała.

— Dziękuję, nie słodzę — zdążył odpowiedzieć, zanim napełniła całą cukierniczkę.

Stała nad nim zdezorientowana i dziwnie speszona. Widok mężczyzny, rozpartego swobodnie w fotelu wydał jej się czymś niestosownym. Tak bardzo broniła się przed kolejnym rozczarowaniem, że męska płeć kojarzyła się jedynie z zagrożeniem? A przecież kiedyś byli jak rodzeństwo. Dlaczego teraz, gdyby spojrzeć na nich ktoś z boku, mógłby pomyśleć, że ledwo się znają? Wytworzył się pomiędzy nimi dziwny dystans i nawet oni sami nie wiedzieli, jak do tego doszło.

Znali się od wielu lat. To samo miasto, kamienica, szkoła, czasem nawet wspólne wakacje. Potem studia. Razem skończyli medycynę. Kiedyś wydawało się, że wiedzą o sobie wszystko. Później, jak to bywa w życiu, wichry młodości pokoślawiły im drogi. Spotkali się po latach, każde z własnym bagażem doświadczeń. Powrócili na stare śmieci i widywali czasami, lecz brakowało już tej dawnej szczerości. Czas i przeżycia, każdy rok z dala od siebie oddzielił ich. Pozostali sami. Ona rozwiodła się kilka lat po ślubie, on nigdy się nie ożenił.

— Pomyśl—Anna z uczuciem spojrzała mu w oczy. — Znamy się już tyle lat, a nic o sobie nie wiemy. Otoczyliśmy się murem własnych problemów i tak żyjemy. Nie wydaje ci się, że to trochę dziwne?

— No cóż — Jakub się zawahał. Pomyślał chwilę, zanim odpowiedział. Kiedyś dręczył się tym, ale dawno sobie odpuścił. Nie wszystko da się tak prosto wyjaśnić. Pewne sytuacje na wieki pozostaną niewiadomą. — Nudny ze mnie facet — powiedział po chwili. — I niezbyt tajemniczy. A ty przecież też nie jesteś MatąHari — uśmiechnął się szczerze do Anny. — To, co wiem, zupełnie mi wystarczy, naprawdę. Nie chcę bez potrzeby drążyć bolesnych spraw. Cóż to w nas zmieni. Nie było ci łatwo i nie jest. To wie każdy. — Popatrzył na jej opuszczoną głowę i wąskie dłonie ułożone równolegle na oparciach fotela. — Ale to przeszłość, dajmy jej spokój — powiedział z rezerwą.

Anna zmieszana podniosła się wolno z fotela. Czowała, że głupio wypadła. Niepotrzebnie z tym wyskoczyła.

— Dajmy więc spokój — powiedziała, żeby zakończyć temat. — Pójdę coś przygotować, a ty pij, bo herbata zupełnie ostygła. — Ominęła go wzrokiem.

Jakub wyczuł w jej głosie pretensję. Chyba trochę przesadził. Odrzucił propozycję rozmowy, nieco bardziej intymnej niż zwykle. Czyżby ze strachu, że powie za dużo? Sam już nie wiedział. Nieraz zdarzyło się, że przeholował z Anną. Próbowwała się bronić wtedy dosyć nieudolnie, a jednak skutecznie. Potem zazwyczaj żałował i nie wiedział, jak się zachować. Bał się próbować, chyba nawet nie miał już ochoty.

Anna parzyła mu drugą herbatę, a już za chwilę, na małych talerzykach pojawiły się plasterki wędliny, sałatka i gotowane jajka.

— To nie będzie królewska ucztą — zaznaczyła od razu. — Ale dla nas w sam raz. Ja jestem na diecie, tobie chyba też trochę kilogramów przybyło, więc skromniutko i dietetycznie. Ale za to mam ochotę na wino — powiedziała to dość pewnym głosem. Zniknął na szczęście ton żalu. Otrząsnęła się widać z sentymentalnego nastroju wywołanego chwilą wspomnień. A jednak jej ręka wciąż drżała, gdy nalewała wina. Nie umknęło to uwadze Jakuba. Zwykle była w tym dosyć zgrabna. Można by zaryzykować stwierdzenie, że w otwieraniu win nie miała równych sobie.

— To nie jest pierwsza butelka, którą razem wypijamy — zauważył.

— Myślę, że nie ostatnia — odpowiedziała, jakby nie rozumiejąc aluzji. — Tylko sobie nic nie myśl, że to jest jakiś podstęp z mojej strony — dodała ze śmiechem.

Jakub rozłożył ręce, jakby się poddawał. Anna chyba go przeceniła. Aż taki domyślny nie był. Ale skoro zwróciła na to uwagę... Teraz on trochę upił, potem znów ona. Brakowało im słów, żeby zagadać krępującą ciszę. Myślał o powrocie do domu. Ale to wino — spojrzął z wyrzutem na pusty kieliszek. No tak, będzie musiał zamówić taksówkę. Ale wino bardzo się przydało, bo po chwili już zaczęli normalnie rozmawiać. Nagle bariera dziwnej sztuczności zniknęła bez śladu. Tematów nie brakowało — praca, polityka, wakacje, matka Jakuba, wnuk Anny. Jak bumerang powróciły sprawy osobiste, tylko już bez strachu, że skomplikują cokolwiek.

— A pamiętasz mój ślub z Robertem? Upiłeś się i płakałeś, że nie spędzisz już ze mną nocy poślubnej. Robert śmiał się z ciebie, aleja dobrze wiedziałam, że jest zazdrosny. Ty i ja byliśmy przecież nierozłączną parą i wszyscy myśleli, że ze sobą chodzimy. Do dzisiaj nie wiem, jak to możliwe, że niczego oprócz przyjaźni pomiędzy nami nie było.

— Przeznaczenie — Jakub zaczął się śmiać. — Ja marzyłem o wielkiej miłości, olśnieniu, które mnie powali. Myślałem, że inaczej nie będę szczęśliwy. Ty byłaś zawsze obok, jak siostra. Byłaś moim doradcą psychoanalitykiem i sędzią. Nawet na myśl mi nie przyszło, że mogłaś to traktować inaczej. Dopiero, gdy pojawił się Robert, poczułem się zagrożony.

— Nie wzięłaś pod uwagę, że przecież i ja czekałam na swojego księcia z bajki. To ty miałeś nim zostać, nie udało się

— Anna nagle wyznała ze smutkiem. — Nie domyśliłeś się, niestety, a ja czułam się odtrącona. Może chciałam się zemścić?

— Spojrzała mu filuternie w oczy. — Jako pierwsza z naszej paczki wyszłam za mąż. Chciałam udowodnić, chyba sama sobie, że świat się na tobie nie kończy.

Jakub był nieco zdziwiony. Pierwszy raz słyszał to wyznanie. Anna nigdy wcześniej nie dała mu odczuć, że była w nim zakochana. Myślał, że to zwykła przyjaźń albo uczucie miłości siostrzanej.

— Niestety, zemsta trochę ci nie wyszła — obrócił to w żart.

— Ale to, że zdawałaś na medycynę, dawało mi do myślenia. Przecież chciałaś studiować psychologię.

— Wystraszyłam się, że za bardzo się od siebie oddalimy — przyznała szczerze. — Ale nie było w tym żadnych miłosnych podtekstów, a przynajmniej tak mi się wydawało. Kochałam już wtedy Roberta, jak szalona. Był przecież najprzystojniejszym chłopakiem na naszym podwórku.

— Nie należał do paczki — zauważył Jakub. — Był obcy, z zewnątrz — zareagował bojowo.

— Do czasu, aż nie zaczęłam z nim kręcić. Potem zawsze był z nami.

— Nie lubiłem go. Wiecznie się zgrywał.

— Mnie imponował — broniła go Anna. — Wyglądaliście przy nim jak szczeniaki. Robert miał klasę.

— Klasę! — Jakub aż podskoczył. — Chyba żartujesz? — nastroszył się. — Dziwię się — wyduł śmiesznie wargi. — Robert był beznadziejny. Wystarczyło na niego spojrzeć. Poza tym — dodał wzburzony — nie pasowaliście do siebie. Wiedziałem, że wam nie wyjdzie. To było oczywiste. Nie pasowałaś do niego. A właściwie, to on nie był ciebie wart.

— Teraz mi to mówisz? — powiedziała z lekkim dąsem.

— Nie był materiałem na męża. Jak to, już zapomniałaś? Często powtarzałem, żebyś za niego nie wychodziła. Uparłaś się — wzruszył ramionami. — Sama wiesz, jak to się dla was skończyło.

— No tak, w końcu mnie zostawił. Ale ciebie wtedy też wywiało.

Jakub zawahał się chwilę.

— Tak — przyznał ze skruchą. — Wtedy byłem daleko. Duszą i ciałem — dodał z pokorą.

— Uganiałeś się za Izą bez sensu — chciała mu dokuczyć.

— Szukałem jej jak głupi. Mój Boże, gdzie ja wtedy nie byłem. Wodziła mnie za nos jak smarkacza, po całej Europie. Gdyby nie Marek, nigdy bym jej nie znalazł.

— Marek? — zdziwiła się Anna. — A co on miał z tym wspólnego?

— Pracował już wtedy w wydawnictwie i pomógł mi załatwić paszport i wizy. Przecież wtedy jeszcze nie było można tak beztrudno podróżować po świecie. Może szkoda, że mi się udało. Sam już nie

wiem, co było lepsze dla niej, a co dla mnie. Może gdybym ją zostawił w spokoju, żyłaby do dziś — westchnął skruszony i spojrzął na Annę, jakby w jej oczach szukał rozgrzeszenia.

— Będziesz to sobie ciągle wyrzucał? Przecież ona wtedy już i tak... — chciała coś dodać, ale tylko machnęła ręką.

— Czasami zazdrozczę Meli — Jakub nagle wypalił.

Anna spojrzała zdziwiona. Skąd nagle w ich rozmowie pojawiła się ta biedaczka? Chyba nie było na świecie człowieka, który miałby powody, żeby jej zazdrościć czegokolwiek.

— Teraz przesadziłeś — zgromiła go wzrokiem. — Zazdrościć Meli? Spędziła w więzieniu najlepsze lata. Jakub, ty się, chłopie, zastanów, co mówisz! Myślisz, że cierpi mniej od ciebie?

— Przynajmniej poniosła karę, a ja? Chciałbym być jakoś ukarany — stwierdził ze smutkiem. — Byłoby mi lżej. Iza stałaby się wtedy moim katem, a nie ofiarą.

— Jesteś głuptas — Anna tylko wzruszyła ramionami. Jakub zamilkł. Pił wino, nie myśląc wcale o powrocie. Był

nieszczęśliwy. Wino zawsze tak na niego działało, szczególnie od śmierci Izy. Nie powinien był pić — stwierdził za późno. Ale gdy Anna wlewała mu resztę z butelki, nie protestował.

— Jest w tej chwili w Sopocie.

— Kto? — zapytała Anna zdziwiona, bo właśnie myślała o Izie.

— Mela — wyjaśnił spokojnie. — Pojechała spotkać się z Inką. Aż się boję, co z tego wyniknie. Mówiła też coś o krótkim urlopie, że bardzo tęskni za morzem i za miastem. Nie wyjaśniła dlaczego.

— Może ze względu na Inkę — próbowała mu pomóc.

— Raczej nie, co ma z tym wspólnego Inka? Ona w tamtych czasach jeszcze nie mieszkała w Sopocie. To jakieś jej sprawy prywatne — stwierdził. — Nie musi się nam przecież ze wszystkiego spowiadać — wzruszył ramionami, czując, że wino uderza mu do głowy. — Biedna jest, wyobrażam sobie, co teraz przeżywa.

— Więc nie powinna już dłużej czekać.

— Wraca w przyszłym tygodniu. Musimy coś postanowić. Masz rację — Jakub przytaknął. — Nie możemy tego dłużej odwlekać. Ona wyraźnie szuka kontaktu, a ja zwodzę ją i udaję głupiego. Obiecywałem, że jej pomogę, jak wyjdzie, tymczasem została sama.

— Ale jakoś sobie radzi. Może to nawet lepiej. Jest typem sportowca. Rywalizacja i pokonywanie trudności to dla sportowca wyzwanie, a Mela zawsze lubiła wezwania. — Anna przetarła zmęczone oczy, czując na sobie spojrzenie Jakuba.

— Więc co? — zapytał. — Zwołujemy wszystkich? — Zapalał nagle chęcią działania. Był teraz bardziej rozluźniony i poczuł w sobie energię. Czemu odwlekał tę sprawę z Melą? To było przecież tak dawno, już pamięć skasowała szczegóły, tym bardziej że nie starał się ich pielęgnować. Miał własne zmartwienia, one wtedy wydawały się dużo ważniejsze niż ryzykanckie poczynania Meli. W pewnym momencie znalazł się nawet wśród tych, którzy ją potępiali. Uważał, że nie powinna była wtrącać się do cudzych spraw. Dopiero, kiedy zrozumiał, jak wiele podobieństw było w interwencji Meli w życie i zachowanie Norki z tym, co spotkało Izę i jego, zrozumiał, że miała rację. Czasem nie da się przejść obojętnie obok zdarzeń.

— Można by zwołać, tylko kogo? — zauważyła Anna. — Wszyscy się porozjeżdżali, wakacje przecież.

— Czyli co?

— Czyli, że jesteśmy sami.

— E, nie przesadzaj, a Marek, Jakub, a Salomon?

— Ale powinni być wszyscy. Taka była umowa. Nie możemy jej zmieniać, chyba że inni wyrażą zgodę. Przecież to ty najbardziej dopominałeś się bezwzględnej obecności.

Jakub się zmartwił. Nie brał pod uwagę faktu, że sprawy tak się potoczą. To miało być spotkanie po latach, z okazji powrotu Meli, a tymczasem zabrakło głównych bohaterów.

— To może chociaż takie kameralne, przy kawie, typu ona i my. Spotkamy się, porozmawiamy, a jak wszystko się pomyślnie ułoży, zwołamy całe kolegium.

Anna wahała się. Według niej to było raczej utopijne, żeby się spotkać, nie wracając wcale do przeszłości.

— Sama nie wiem — wyznała otwarcie. — Przecież nie będziemy jej kłamać. Zacznie nas wypytywać o wszystkich, o całą tę przeszłość, o rodziców, jak było z ich mieszkaniem, czy ktokolwiek z nas interesował się tym. Jak jej na te pytania odpowiemy? Zaczniemy wracać do tego, mielić na nowo, kto, komu i dlaczego... Izy już nie ma? Dlaczego? A Kostek... będzie do tego wracać. — Machnęła ręką. — Gdyby dało się przewidzieć pewne sprawy, cofnąć czas... Byłoby cudownie. Pamiętasz moją siostrę? — Anna coś sobie przypomniała.

— Jak przez mgłę, raczej tylko z opowiadań.

— Mieszka daleko ode mnie. Nie widzimy się prawie wcale. Nie jeżdżę do niej, bo mój szwagier za mną nie przepada, co ja mówię, po prostu mnie nie toleruje, udaje, że nie poznaje mnie, gdy dzwonię, czeka aż się przedstawię — dodała. — Wracając do siostry, ona jest zapracowana, jak mało kto. Ostatnio miałyśmy długą przerwę w naszych nocnych dyskusjach. Zadzwoiła dopiero wczoraj i udręczonym głosem powiedziała:

— „Nie dzwoniłam do ciebie tak długo, bo musiałabym tylko narzekać”. Pomyśl — dodała po chwili. — Jakie to znamienne, że my teraz możemy już tylko narzekać. Rozejrzyj się, czy znasz kogoś, kto mógłby bez wahania powiedzieć, że jest szczęśliwy i zadowolony?

Jakub potarł skronie. Milczał. Zastanawiał się nad swoim życiem i nad tym, co odpowiedzieć.

— Kilka szczęśliwych dni to by się może znalazło, ale życie? Trudno powiedzieć.

— Sam widzisz. A czy mogłam przypuszczać — Anna mówiła dalej — że my z Robertem powiemy sobie kiedyś po prostu „adieu” i się rozejdziemy? — dalej roztrząsała. — Na dodatek wcale nie cierpiałam, wręcz przeciwnie, byłam szczęśliwa. Odzyskałam wolność, skończyły się kłopoty. Hurra! Cieszyłam się jak dziecko. Bo wolność od Roberta oznaczała wolność od kłopotów.

— Nawet nie wiedzieliśmy, że się rozwiodłaś — Jakub podsumował. — Wprawdzie miałem swego czasu złe przecucia dotyczące waszego związku, ale w końcu stwierdziłem, że byłem w błędzie. Żyliście jak przykładne małżeństwo.

Anna spojrzała na sufit. W oczach miała łzy.

— Było mi wstyd przed wami. Uprzedzaliście mnie, a ja dałam się zwieść ładnej buzi i forsie, której miał zawsze pełne kieszenie. Podobało mi się, że jest taki zaradny i przedsiębiorczy, że potrafi na siebie zarobić, że się nie boi pracy. Myślałam, że go naprawdę kocham.

— A pomyliłaś się?

— I to jak! Ocknęłam się po pięciu latach, gdy wyszło na jaw, że handluje kradzionymi samochodami.

— Pamiętam. I do nas te wieści dotarły. Wprawdzie po czasie, ale jednak. Pierwszy dowiedział się o tym Janusz. Miał już wtedy kontakty z samochodowym biznesem. Pamiętam, że właśnie zmarł jego ojciec, więc przejął po nim całą firmę. Akurat podpisał kontrakt na produkcję części do podwozi dla którejś z polskich fabryk i zadzwonił do mnie z wiadomością, że twój mąż jest zamieszany w paserstwo i że poszukuje go policja. Chcieliśmy się wtedy z tobą spotkać, jakoś ci pomóc, ale zaszyłaś się gdzieś.

— Już ci powiedziałam, było mi wstyd i bałam się.

— Od kiedy wiedziałaś?

— Domyślałam się czegoś, takie nieokreślone przeczucie nieszczęścia. Obserwowałam go, ale nie miałam odwagi zapytać. Chowanie głowy w piach — to praktyczne, ale do czasu.

Dopiero gdy u naszego znajomego znaleziono samochód pochodzący z kradzieży, nie dało się uciec od prawdy. Bydlak! — powiedziała wzburzona. — Własnemu sąsiadowi zrobił coś takiego. A potem szok. Jednego dnia dowiadujesz się, że jesteś żoną złodzieja — Anna wstrzymała oddech. — Doszło między nami do starcia — mówiła po chwili. — Powiedziałam, że wiem wszystko i będzie najlepiej, jeśli się wyprowadzi. Byłam przerażona. Nie udawał już niczego, ani wielkiej miłości, ani niewinności. Pokłóciliśmy się strasznie. Spakował swoje manatki i się wyniósł, a po jakimś czasie zażądał rozwodu. Nie oponowałam, nawet było mi to na rękę. Już go nie kochałam i chciałam przed ewentualnymi kłopotami uchronić siebie i córkę.

— No i chyba miałaś nosa, z tego co pamiętam, niedługo potem złapali go przy granicy na gorącym uczynku.

— Tak, ale wtedy byliśmy już po rozwodzie.

— A jak wyszedł na wolność?

— Nie interesowałam się jego losem. Dostałam za to reprimendę od Pauliny, gdy już dorosła i dowiedziała się prawdy o ojcu. Miała do mnie pretensje, że opuściłam go, gdy mu się w życiu nie powiodło, i że ukryłam przed nią prawdę. To było zresztą kością niezgody między nami przez następne

lata, aż do jej wyjazdu. Nie powiedziałam jej całej prawdy o tatusiu. Trochę go wybieliłam. Po pierwsze, żeby nie wyjść na kompletną idiotkę, która jak w dym poszła za złodziejem, a po drugie, żeby uchronić dziecko przed kompleksami. To teraz mam, co chciałam. Ukarła mnie. Wyszło na to, że kłamstwo jednak nie popłaca.

— Ale potem jeszcze raz go spotkałaś. Pamiętam, bo przyjechał pod przychodnię.

Anna drgnęła zaskoczona. To było bolesne wspomnienie, odnowiło rany i dało jej do myślenia.

— Widziałeś go, poznałeś?

— Poznałem, oczywiście. Trochę się zmienił, schudł. Zobaczyłem, że wysiada z samochodu i idzie w twoim kierunku z kwiatami.

— To było kilka lat po tym, jak wyszedł z więzienia. Przyjechał do Polski na dwa tygodnie. Przypomniał sobie, że ma córkę i chciał ją koniecznie zobaczyć. Wtedy zaczęły się na serio moje problemy. Dowiedziałam się, że jest znowu żonaty i że jego obecna żona spodziewa się dziecka. Najpierw pomyślałam, że jakaś inna, naiwna dała się uwieść, jak ja. Powiedział mi, że spotkał cudowną kobietę, że dla niej postanowił się zmienić. To mnie strasznie dotknęło. — Anna ucichła. Czuł, jak przeżyła ły.

— Niepotrzebnie o tym rozmawiamy — Jakub się zreflektował. — To już lepiej pogadajmy o pracy — próbował ją jakoś rozśmieszyć.

— No właśnie — przyznała i szybko wyszła z pokoju. Annie nie było łatwo o tym wszystkim mówić. Wydawało się, że to stare dzieje, że wszystko już po niej sływa, a jednak to nieprawda. I nie było prawdą również to, że nie kochała już wtedy Roberta. Skłamała Jakubowi. Wściekała się, ale nie chciała, żeby Robert odchodził, bała się, że bez niego nie potrafi już żyć. Ale przeżyła. Później okazało się, że jedynym uczuciem była ulga i wstyd. Odsunęła się wtedy od wszystkich, ukryła w czterech ścianach i tak już zostało. Po co się żalić, rozczulać nad sobą. To w niczym nie poprawiłoby sytuacji, w której się znalazła. Nie chciała w swoim życiu niczego zmieniać. Straciła wiarę w potrzebę zabiegania o cudze uczucia. Nie szukała innego mężczyzny, a oni też nie zabiegali o względy. Może nie posiadała tego czegoś, czego szukają u kobiet mężczyźni? Kiedyś starała się o miłość Jakuba, bez skutku. Przyjaźń tak, ale miłość — nic z tego. Potem omotała namiętnością Roberta, niestety na krótko. Albo była zbyt zaborcza, albo oni nie rozpoznali w niej swojej przystani. Tak się starała zasłużyć na uczucia. Była zawsze solidna, nieskazitelna, zdyscyplinowana. I to chyba był błąd. Odrobina szaleństwa, kilka kropli gorzkości, niepewność, to bardziej podsyciłoby męskie namiętności, niż jej życiowa powaga i wrodzony takt. Bo

mężczyzna kocha toczyć boje, kocha zdobywać na nowo i odkrywać na nowo. Tak to jest od zawsze i koniec. Powinna o tym wiedzieć. Teraz jest mądrzejsza, lecz już niechętna na kolejne związki, tym bardziej że obarczona została obowiązkiem wychowania wnuka. Nie chciała komplikować sytuacji. Zrezygnowała dla niego z własnych planów. Zapomniała, że jest jeszcze atrakcyjną kobietą, decydując się bez reszty poświęcić czas i energię najważniejszemu mężczyźnie swojego życia.

Jakub siedział samotnie w fotelu. Właściwie powinien już wracać. Było późno. — Co robić? — zastanawiał się, spoglądając nerwowo na zegarek. Sytuacja wydawała się nieco komiczna. Sentymentalizm, mój Boże, z tego dawno już wyrósł, wyleczył się raz na zawsze. Po co burzyć spokój, tak jest dobrze, nawet bardzo dobrze. O niczym innym nie ma marzył, jak o świętym spokoju. Przyjaźń z Anną to zdrowy i wygodny układ. W końcu jakoś sobie radził. Czy teraz, gdy najlepsze lata ma już za sobą warto wszystko komplikować? Tyle lat nic go do niej nie ciągnęło, dlaczego teraz miałyby się zrodzić prawdziwe uczucie? Było mnóstwo okazji. Ocierali się o siebie wiele lat. Wypili morze kawy, dzielili się śniadaniem i zupą, i co z tego? To nie przypadek. Widocznie tak było sądzone. Natura wie najlepiej. Sprawdzał to na własnej skórze. Gdy poznał Iżę, natychmiast stracił dla niej głowę. Zadziałała jakaś chemia i zgłupiał, zupełnie. Tymczasem Anna? Ją darzył jedynie sympatią. Z tego nigdy nie będzie miłości.

Wróciła po chwili. Przyniosła ze sobą kilka ostatnich zdjęć Julka. Znała je na pamięć, mimo to oglądała z nieustanną czułością. Jakub nie pytał, nie próbował pocieszać. Obiecał sobie, że nie wykorzysta tej wizyty na gesty, których potem będzie żałował. Próbował rozładować sytuację, wracając do spraw zawodowych. Anna jakoś nie miała ochoty na rozmowy o pacjentach. Znów wyszła, tym razem do łazienki, a on wstał i zaczął chodzić niecierpliwie po pokoju. Najrozsądniej byłoby po prostu wyjść. Spojrzał w głąb korytarza. W lustrze wiszącym na ścianie odbijał się obraz. Brązowa, drewniana rama, ponury nastrój. Obraz przedstawiał ciemne podwórko, a w samym środku drzewo, dziwnie znajome. Coś mu ten widok przypomniał.

— To jest nasz dąb! — nie mógł opanować wzruszenia.

— Tak — potwierdziła Anna, widząc zaskoczonego Jakuba.

— I nasze podwórko.

— Skąd go masz? — Jakub jakby nie słyszał.

— To dzieło Jerzego — odpowiedziała spokojnie. — Poprosiłam go kiedyś, żeby namalował, na pamiątkę. Wpadł nawet na pomysł, żeby nam wszystkim zrobić prezenty. No, ale wiesz, pamiętasz, jak z

nimi było. Zaczęły się kłopoty z Zofią wpadła znowu w ciąg, zaczęła ostro popijać, straciła pracę, powróciły problemy finansowe. Załamka i tyle.

— Tak, tak, nie było wesoło — potwierdził to, co mówiła.

— Widziałem Jerzego jesienią. Coś przebąkiwał o adopcji, że potrzebuje wyników. Zadzwoił po miesiącu, że załatwił.

Zza ściany dobiegł nagle głośny płacz.

— Julek! — Anna poderwała się natychmiast z fotela.

Dziecko rozpalone prężyło się, uderzając nogami w drewniane szczeble łóżeczka. Nie dał się uspokoić ani niczym przekupić. Po prostu darł się wniebogłosy. Jakub spokojnie go zbadał. Po prawej stronie podbrzusza, pod wątrobą wyczuł bolesne miejsce. Zapukał w powłoki palcami. Mały wygiął się w pałąk i zapiszczał.

— Wygląda na wyrostek — ze spokojem oznajmił Jakub.

— Wyrostek!... Boże i co teraz? — zapytała przerażona Anna.

— Pakuj go w samochód, jedziemy. Bez chirurga raczej się nie uda.

— Myślisz, że aż tak?

— Myślę, że najpierw musi go obejrzeć chirurg, potem zobaczymy.

— A co jeżeli?...

— Aniu, uspokój się. Przecież wycięcie wyrostka to nie trepanacja czaszki. Jakoś to przeżyje.

— Jakub, ratuj go, on jest taki malutki.

— Uspokój się, nie czas na histerię. — Chwycił ją za nadgarstki. — Będziesz prowadziła samochód.

— Ja!!!

— Wypiłaś dużo mniej ode mnie.

— O Boże! — złapała się biedna za głowę. — Jak mogłam o nim zapomnieć. — Biegała po mieszkaniu spłoszona, szukając w popłochu torebki. — Gdzie moje kluczyki? — spojrzała pytająco.

Jakub ze spokojem wzruszył ramionami.

— Pojedziemy moim samochodem. Wszechogarniająca panika pozbawiła ją resztek rozsądku.

Stała przy drzwiach przerażona. Patrzyła jak Jakub wyciąga Julka z łóżeczka i dokładnie owija w kocyk. Opanowała ją panika, czy zdoła poprowadzić.

Wszechogarniająca panika pozbawiła Inkę resztek rozsądku. Stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem znikającą w oddali sylwetkę Meli. Prawie na siebie wpadły. Kto by pomyślał, że tutaj ją spotka. Dała jej tylko numer telefonu. Nie podawała żadnego adresu. Tymczasem Mela sobie poradziła bez tego. Wracła od Rawicza z kolejnej narady przed wyjazdem. Była przerażona, widząc Melę przy rejestracji. Gdyby nie charakterystyczne, francuskie „r”, które tak dobrze знаła, byłoby już po wszystkim. W ostatniej chwili skojarzyła ten głos i zamarła w pół kroku. Niesamowite, że ten głos wciąż w niej tkwił i po tylu latach brzmiał w uszach, jakby od wczoraj. Na szczęście udało się Ince jakoś bezdźwięcznie wycofać do holu i uciec piętro wyżej. Nie była jeszcze gotowa. Sama myśl, że musiałaby skupić uwagę na czymś innym niż to, co teraz się działo, wydawała się nie do zniesienia. Kończył się czerwiec, do Ciechocinka zostały zaledwie trzy tygodnie. To ważny etap w jej życiu, Melą zajmie się po powrocie.

Za kilka dni wyjazd. Pakowała się gorączkowo. Dlaczego zawsze zostawia to na koniec? Obiecywała sobie, że po raz ostatni zmienia zawartość walizki. Za każdym razem robi to samo. Wyjazd już jutro, a ona ciągle w rozsypce i niezdecydowana sprawdza, w czym jej najbardziej do twarzy. Poza tym pogoda miała się zmienić. Najpierw była mowa o słońcu i o upałach, teraz, że chyba jednak deszcze. Kapryśna, polska pogoda. Lipiec w Polsce to przecież pora deszczowa.

Poprzedni tydzień dużo rozmyślała. Zwaliło się wiele spraw na jej głowę. Odganiała wyrzuty sumienia. Wyjazd do Ciechocinka przestonił wszystko, spychając inne kwestie na drugi, a nawet trzeci plan. Zawiodła wszystkich, przede wszystkim Melę. Odstawiła Szymona, powiedziała mu coś niemiłego, gdy dzwonił z kolejnym, weekendowym planem. Już się do niej więcej nie odezwał, miał chyba dość kapryśnej i humorzastej baby, i tak długo znosił jej zgryźliwe przycinki. Lubiła mu czasem dokuczyć. Był taki zwykły i przewidywalny, specjalnie prowokowała. Nie było w nim tego, co lubiła najbardziej, zero tajemnicy, ani krzty zagadki. Wykładał swoje karty na dłoni, prosto i zwyczajnie, a do tego nigdy nie odmawiał. To ją denerwowało najbardziej.

Nie chciała też odebrać telefonu od Marka, który kilka razy próbował się z nią skontaktować. Podobno stracił pracę. Nie pasował do nowej opcji politycznej, która właśnie objęła władzę, i stracił swoje wydawnictwo. Spóźnił się tylko o miesiąc z wykupieniem udziałów, był pewien swojej pozycji. Naiwny Marek, został na lodzie. Do tego sprawa z Dorotą. Okropne rzeczy zdarzają się ludziom. A kiedyś jeszcze, chyba zeszłego roku jesienią obiecała, że załatwi jego synowi obóz żeglarski. Tu też się nie spisała. Co z nią takiego jest, że ciągle zawodzi, chociaż wydaje się dość dokładna i zorganizowana? Wszystko, co ustawi poza sferą zainteresowań, nudzi ją i irytuje. Czy to normalne? Czy z nią jest wszystko OK? Przecież nie da się żyć poza wszystkim, w oddali, bez tych różnych układów i zobowiązań. Nie chciała palić za sobą mostów. W końcu przecież nic nie wiadomo, bez ludzi i bez przyjaciół będzie jej trudno. Zdawała sobie z tego doskonale sprawę, a mimo to żyła jakby we śnie. Może potem, jak wróci, kiedy wyjaśni swoje sprawy, gdy się upora ze sobą, może wtedy będzie umiała jakoś to wszystko poskładać. Teraz liczy się jedno. Musi się wreszcie spakować.

Było południe. Stała bezradnie, patrząc na piętrzące się sterty ubrań. Powinna jeszcze wpaść na chwilę do pracy, przejrzeć zamówienia, podpisać wyniki i upewnić się, czy może spokojnie wyjechać. Chciała też zostawić rachunek i podać nowy numer konta bankowego, więc powinna też wpaść do szpitala. Pakowanie zostawi na później. Miała wrażenie, że świat się zawali po jej wyjeździe.

W drodze do pracy wskoczyła jeszcze do Eli. Zostawi u niej zapasowe klucze od domu. Nie miała kwiatów do podlewania, ale tak na wszelki wypadek. Pamiętała jeszcze ten kataklizm spowodowany pęknięciem rury i co z tego wszystkiego wynikło, jakie koszty i kłopoty z odzyskaniem odszkodowania od firm ubezpieczeniowych. Płaci się latami, a potem każdy umywa ręce.

Zajrzała przez okno. Ela była w aptece. Nie miała jednak czasu dla Inki. Dały sobie tylko buzi na rozstanie, a Ela dorzuciła kilka uwag i przestróg na drogę, jak zawsze na wyrost, i spytała czy nie wie, co dzieje się ostatnio z Szymonem, bo zapadł się jak kamień w wodę.

— To przecież twój sąsiad, po prostu zapukaj — rzuciła Inka przez ramię, wychodząc z apteki. Rozłożyła ręce, dając do zrozumienia, że Szymon to nie jest jej sprawa.

W pracy zrobiła szybką inspekcję, uzgodniła wszystko z personelem. Potem jeszcze wypłaciła z bankomatu pieniądze, w obawie, że w Ciechocinku mogą być z tym problemy. Wreszcie wpadła do szpitala. Rawicza nie było. Uprzedził, że nie przyjdzie z powodu ważnego spotkania. Wiedziała też, że wyjeżdża z żoną już dziś, po południu. Chcieli być trochę wcześniej na miejscu. Jeszcze wpadła na chwilę do kadr, bo szefowa robiła sobie u niej badania. Jest okazja, więc podrzuci wyniki.

W środku jednak nikogo nie było. Postanowiła zostawić kopertę na biurku, zaklejoną jak trzeba. Przypadkowo rzucił jej się w oczy jakiś dokument, a na nim znajomy rząd drobnych literek. Poznała pismo Rawicza. Nie mogła się oprzeć. To było podanie o urlop — 17-31 lipca — wyjazd na Symposium Onkologów do Wiednia.

Stała zaskoczona, w pierwszej chwili nic sobie nie myśląc. Pewnie jakaś stara sprawa. Ale zaraz, siedemnasty jest dzisiaj. Przecież jadą do Ciechocinka, więc skąd do licha ten Wiedeń? Pod podaniem był podpis dyrektora i zgoda. Przeczytała wszystko kilka razy, szukając sensownego wyjaśnienia. Nie czuła niepokoju, raczej zdziwienie, że zaszła chyba jakaś pomyłka. Przepęłniała ją całkowita ufność, dzień był taki piękny. W taki dzień wszystko musi się udać. Lekki wiatr wpadł do pokoju, zdmuchując z parapetu skrawki łuszczącej się farby. Białe żagielki frunęły w błękitną pustkę, przed siebie. Trzymała w ręku podanie Rawicza, czekając na cud, że zniknie z jej ręki, że od-frunie bezszelestnie i cicho, jak te drobiny farby.

— Pani Jaworska? — usłyszała nagle za plecami. W drzwiach stała kadrowa. Spoglądała nieufnie na Inkę. — Pani do mnie? — Od razu zauważyła kartkę. Nie wiedziała, jak się zachować.

— Przyniosłam wyniki — Inka się ocknęła, pokazując zieloną kopertę.

— Dziękuję, podskoczyłabym po nie sama. To miło z pani strony. — Wymieniły ze sobą grzeczności. — Ale widzę, że... — próbowała wybrnąć z sytuacji.

— Tak, przepraszam, spojrzałam na to przypadkiem. Dziwię się, bo przecież doktor Rawicz... — nie chciało jej przejść przez usta.

— To podanie o urlop — wyjaśniła grzecznie kadrowa. — To jest tego doktora z onkologii — szybko dodała. — Jedzie do Wiednia, pojutrze.

Inka zbierała siły. Nie była pewna, czy zdoła cokolwiek powiedzieć.

— Ten Wiedeń — tylko wydukała. — A Ciechocinek? Kadrowa delikatnie zabrała jej pismo i odłożyła na miejsce.

— Wiedeń już dawno zaklepany. A Ciechocinek? — Zrobiła wielkie oczy.

— Przecież miał jechać do Ciechocinka. Na dwa tygodnie — podkreśliła dosadnie.

— Z tego, co wiem — kadrowa dokładnie przeglądała teczkę, sprawdzając każdy dokument. — Z tego, co wiem — powtórzyła spokojnie — do Ciechocinka jedzie jego żona, no i... — zawiesiła głos, przyglądając się Ince.

— I ja? — Inka zapytała dosyć trzeźwym głosem.

— No właśnie — wolno poświadczyła. — Jego żona jedzie i pani, jako opiekunka. Tak jest tu napisane — dodała grzeczenie.

Wyszła od niej bez słowa. Potem długo spacerowała nad morzem. Po drodze wstąpiła do Eli. Musiała się przed nią wyplakać. Ela jak zwykle zabełtała drinka, żeby ją upoić i w alkoholowych oparach udusić wszelakie smutki. Inka była jednak oporna na słowa otuchy. Nie chciała teraz pić. Stwierdziła, że skoro ma cierpieć, to tylko na żywca. Nie będzie tłumić złości ani dociekać prawdy, znała ją przecież od dawna. Coś jakby z niej opadało. Poczowała dziwną ulgę, lecz mimo to całą drogę do domu przepłakała.

Janusz dodawał gazu. Coś z niego opadło, poczuł ulgę. Jechał na północ. Wybierał boczne trasy, żeby uniknąć jazdy w koleinach, wśród ryczących i bezdusznych tirów. Pogoda dopisywała, słońce grzało solidnie kark, pomimo włączonej klimatyzacji. Zapowiadali deszczowy lipiec, tymczasem niebo było błękitne i czyste. Rzepaki były już skoszone, za to zboża łagodnym seledynem przechodziły w błękit horyzontu. Kiedyś taki widok działał jak tabletki Xanaxu, ale wtedy chodził piechotą. Szwendał się po lasach, bezdrożach, podziwiał naturę, sypiał w śpiworze na leśnej darni i doił krowy na pierwsze śniadanie. Teraz mknął samochodem, ledwo muskając oczami krajobraz. Głowę miał zajętą ważnymi sprawami, dla natury nie było tam miejsca. Gdzieś z tyłu zostało jego spalone słońcem miasto, problemy i firma. Nie chciał o tym myśleć. Rozsądek szeptał mu do ucha przestrogi, próbował skusić do powrotu, więc śpiewał głośno, z nadzieją, że uda się go zagłuszyć. Powoli zaczął się koncentrować na drodze, włączył radio i jakimś cudem zaczął się odprężyć. Każdy kilometr drogi wymazywał z pamięci to, co mogłoby go zawrócić. Postawił wszystko na jedną kartę, pozostawiając losowi, by zdecydował za niego. Musiał uciec, choć na kilkanaście godzin, gdzieś, gdzie nie usłyszy ani słowa o firmie, tam gdzie będzie mógł na jakiś czas zapomnieć, jak bardzo zrujnowała mu życie.

Ta firma to było przekleństwo. Odziedziczył ją dość wcześnie po ojcu i niemal od dziecka żył jej problemami. Jak dziecko uzależnione od tytoniu przez przebywanie od urodzenia w zadymionym pokoju, tak on zatruł się oddechem rodzinnej schedy. Odebrała mu wolność wyboru i radość decydowania o swoim losie i jak choroba zakaziła jego umysł, gdy dorastał. Poświęcił dla niej wszystko, rozbudował, unowocześnił. Stała się wielka i znana, a on ginął w jej rozłożystych kształtach. Obracało się w nicość jego

życie, gdy jej w nieskończoność rośnie. Kochał i nienawidził, chwalił i przeklinał, prześcigał się w pomysłach na jej wykorzystanie i życzył nagłej śmierci, ale bezwzględnie nie wyobrażał sobie bez niej życia. To była najgorsza z miłości, bo najbardziej toksyczna i mimo sukcesów niedająca poczucia spełnienia. Zyski przestały go już bawić. Jedynie walka i poczucie dominacji dawały jakąś namiastkę szczęścia i przynosiły odrobinę satysfakcji.

Zagłębiając się w myślach stracił kontrolę nad drogą. Jechał przed siebie jak desperat, jak easy rider. Tłamsił dławiący żal z powodu straconych złudzeń i lat, które przemknęły, zlewając się ze sobą w całość. Tak bardzo chciał uwolnić głowę od tych myśli. Gwizdał coś, nucił, zaśpiewał razem z kimś, z ulubionej płyty na cały głos, żeby wykrzyczeć duszę. Nic z tego. Był jak zaciśnięta pięść. Podwyższony ruch na drodze wymuszał większą uwagę, a mimo to doganiały go natrętne myśli. Analizował bez końca swoje nieudane życie. Czy wszystko, co mu się przydarza, dzieje się przez przypadek, czy też on sam prowokuje los? Do jakiego stopnia oczekiwania mogą wpłynąć na przyszłe zdarzenia? Może jakaś wewnętrzna siła macza w tym palce. Podobno, przeczytał to w jakimś piśmie, wokół człowieka pogrążonego w żarliwej modlitwie wyzwała się niezwykle pozytywna energia, która sprawia, że modlitwy dają oczekiwane rezultaty. Jak to działa, nikt nie wie, a każdy chciałby, by było możliwe.

Te manipulacje sobą i innymi ludźmi, zmuszanie do aktywności bez wytchnienia, odpoczynku, były na dłuższą metę wyniszczające. Przypomniał sobie metody, którymi często posługiwał się w pracy i w domu. Co robił z pracownikami, by byli mu ślepo posłuszni. Jak ich wykorzystywał. — Zatraciłem się — teraz to dobrze rozumiał.

Wydawało się, że podróż nie ma końca. Miał nadzieję, że ten wyjazd nie okaże się pomyłką. Przypomniał sobie dzieciństwo, potem młodość, przyjaźnie, które miały wiecznie trwać i wielkie ideały, grono kolegów z podwórka, wielkie drzewo po środku. Przesiadali pod nim całymi godzinami, snując szalone plany. To tam wszystko się zaczęło. Do tamtego miejsca powinien wrócić, by zrozumieć, w czym tkwił błąd. Dlaczego porzucił marzenia i dał się wciągnąć w rodzinne interesy? Dziś już nie pamięta. Tak często zmieniał pamięć na użytek sumienia, że sam nie znał prawdy. Bał się wspomnień, bał się upływu czasu. A przecież nie mógł żyć w beczasowości. Jako śmiertelny nie mógł ignorować przemijania ani uciec w światy bez czasu, bez nocy, dnia, bez młodości i starości. Jeśli chciał żyć, musiał się poddać takiemu porządkowi. Przerazał go proces przemijania. Wiedział, że cała koncepcja czasu wpisana jest w ludzkie życie, i to co było, to co jest, i co będzie w przyszłości stanowi nieodwracalną całość, całkowicie niezależną od tego, jaką zostanie wypełniona treścią. Za tę treść czuł się odpowiedzialny.

A jednak w pamięci tkwiło pewne zdarzenie z przeszłości. Czasem zastanawiał się, czy było jawą, czy sennym wymysłem, a może tylko usprawiedliwieniem. Poróżnił się wtedy z rodziną. Ojciec nie pozwolił mu zdawać do szkoły teatralnej. Tak bardzo chciał być aktorem, zmieniać się pod kostiumem i grać losy do końca przewidziane i zaplanowane, biegnące torem wymyślonej przez kogoś historii, nie być ofiarą przypadku. Myślał, że w taki sposób da się uniknąć ryzyka wyboru drogi całkiem nieznaną, której przed nim nikt jeszcze nie przeszedł. Chciał uciec od odpowiedzialności i zostać beztroskim wcieleniem cudzego bytu. To mu się nie udało. Natknął się na wysoki mur ojcowskiego sprzeciwu. W tamtych czasach słowo ojca wiele znaczyło. Można było się sprzeciwić jego woli, ale to oznaczało banicję. A Janusz nie chciał być banitą. Dobrze mu było u mamy, choć nie kochał atmosfery wiecznych niepokojów o jutro, walki o przetrwanie, która towarzyszyła jego rodzicom przez wiele lat poświęconych na utrzymanie w znośnej kondycji rodzinnego warsztatu. Wtedy to był tylko warsztat ślusarski. Kilka pomieszczeń w wynajętym ogrodzie, gdzie w spartańskich warunkach powstawały metalowe śrubki i gwinty. Ojciec, człowiek o niezłomnym charakterze nie chciał w rodzinie aktora, dość miał improwizacji na co dzień. Potrzebował rzemieślnika. Z uporem uświadamiał syna, jak wiele znaczy dotrzymanie wierności rodzinnej tradycji, szczególnie w czasach tak nieprzychylnych jak te, w których przyszło im żyć. Dziadek Janusza przed wojną budował statki handlowe, miał własną stocznię. Ojcu marzyło się to samo. Wierzył, że kiedyś jego syn zrealizuje te marzenia.

Nie rozumiał wtedy ojca. Miał swoje plany, a te nijak nie przystawały do ojcowskich. Ostre starcie z ojcem doprowadziło do tego, że w środku nocy wyszedł z mieszkania i postanowił umrzeć. Gdy wszyscy spali, wdrapał się na najwyższą gałąź stojącego na podwórku drzewa i tam chciał się rozprawić ze swoim zmartwieniem. Zobaczył oświetlone okna innych mieszkań, a w środku ludzi. Zrobiło mu się żal. Obledził go strach. Zastanawiał się długo, jak z honorem przed samym sobą wybrnąć z kłopotów, żeby i wilk był syty, i owca cała. Nie dało się połączyć zawodu aktora ze ślusarzem. Poczłł śmieszność tej sytuacji. Miał dopiero osiemnaście lat i nikogo, kto pomógłby w podjęciu decyzji. Usiadł więc pod drzewem i patrzył, jak powoli gasną wszystkie światła i kamienica zasypia. Paliło się tylko na samym dole, w suterenie. Salomon czuwał, jakby specjalnie czekał na zabłąkaną duszę. Janusz podszedł i zajrzał z ciekawością przez szybę. Intrygował go ten samotny, starszy pan, który tam mieszkał. Przykleił twarz do zimnej szyby i zobaczył go, jak siedzi z założonymi na piersiach rękami, w zniszczonym fotelu i patrzy przed siebie. Przestraszył się tej nieruchomej, maskowatej twarzy i czuł, że został dostrzeżony. Odskokczył, lecz było za późno. Mężczyzna podniósł się z fotela i podszedł do okna.

— Co się stało, chłopcze, co robisz o tej porze na podwórku? — odezwał się. Głos miał ciepły i przyjazny. — Możesz wejść — zaproponował od razu. — Drzwi są otwarte.

Wszedł i został, rozmawiali niemal do rana, a potem, jak gdyby nigdy nic wrócił do domu. Zaraz potem zaczęła się nauka, wszystko się jakoś samo ułożyło i czas zatął w pamięci szczegóły spotkania, lecz jest pewien, że rozmowa ta pomogła mu zrozumieć wiele spraw, o których przedtem nie miał pojęcia. Dziś, gdy próbuje wydobyć z pamięci szczegóły, kiedy potrzebowałby znowu tej męskiej rozmowy, nie potrafi w żaden sposób odtworzyć słów, które uświadomiły mu wtedy, jak żyć.

Czas płynął. Podwórko pod dębem opustoszało. Koledzy się rozjechali, poróżniła ich trauma związana z Melą. Do zapadnięcia w tej sprawie wyroku unikali kontaktów jak ognia. Nikt nie miał czystego sumienia. On sam podkochiwał się w Meli przez lata. Gdy pojawił się Kostek, czuł złość i upokorzenie. Może ta złość zdecydowała za niego. Wyjechał z kraju na dwa miesiące, żeby mieć pretekst. Wiedział, że wszyscy będą w tej sprawie wzywani. Minęły lata, zanim to sobie wybaczył. A życie popędziło przed siebie. W końcu znalazł kobietę, miał dzieci, zamknął za sobą niechlubne rozdziały, Melę pochował w więziennej celi i żył z dnia na dzień, jak przystało. Szczęście małżeńskie przetrwało dwanaście lat. Dzieci zdążyły dorosnąć, już nie musiał ich nosić na rękach. Zresztą, nie miał dla nich czasu. W kraju ciągle coś się zmieniało, a to przepisy, a to rządy, przy-pętała się do tego Europa ze swoimi wymaganiami. Wytarносиło go w firmie na wszystkie sposoby. Niestety, małżeństwo się w tym czasie wypaliło i w końcu rozstał się z żoną. Przyczyna była dla niego niejasna. Tłumaczył sobie, że nie potrafiła dotrzymać mu tempa. Została w tyle ze swoimi zwykłymi sprawami, z pracą w szkole, z problemami dzieci i codziennymi misteriami, którym była wierna. Nie mogła patrzeć, jak on spalał się po kolejnej inwestycji, następnej modernizacji, jak oddalała się od niej, od domu, od dzieci. W ostatniej kłótni wylała cały swój żal o stracone lata u boku fanatyka, który nie tylko zapomniał, że ma rodzinę, ale przede wszystkim zapomniał o sobie. Wolała spokojne życie w umiarkowanym dobrobycie, niż z wielką forszą, która przynosiła jedynie ból.

Na początku bardzo się kochali. Oczarowanie trwało kilka lat. Na tyle starczyło im siły. Ona chciała się kształcić, rozwijać, wymagała tego również od niego. On zaangażowany w interesy i zdobywanie pieniędzy nie chciał słuchać takich argumentów. Ideały z przeszłości, które przez jakiś czas ciągnęły jak kamienie na dno, powyrzucił z kieszeni. A ona była romantyczką, wielbicielką wielkich uniesień. Tym chciała osładzać ich życie. Do wszystkiego potrzebna jej była oprawa i odświętny nastrój. Jemu się nie chciało udawać. Uważał, że to nie życie, tylko cyrk. Chciał po prostu po dniu pracy wrócić do domu i normalnie kochać się z żoną a nie ze świeczkami, kolacjami, koronkami, na ziemi, przy kominku czy pod przysnicem. Wolał uczciwy męski warsztat, mięciutką pościel i normalne łóżko.

Teraz, po dwóch latach samotności, zrozumiał swój błąd i wiedział, że jego miłość była chyba chora.

Niechętnie myśli o tamtych latach. Już drugi rok bez kobiety. Z dala od dzieci i ich problemów. Boi się spotkań, unika kontaktów, wysyła tylko pieniądze, czasami dzwoni. Tak mu wygodniej. Ma za to więcej czasu dla firmy

Długa podróż w letnim skwarze dobiegała końca. Wjeżdżał do miasta. Trafił bezbłędnie pod zapisany adres. W recepcji odebrał klucze i przez wielki, chłodny hol wszedł na pierwsze piętro. Apartament był przestronny i bardzo słoneczny. Wybrał łóżko pod skosem, słońca miał dość. Położył się i natychmiast zasnął.

Kiedy się ocknął, w pokoju panował już półmrok. Zaskoczony usiadł na łóżku. Jeszcze czuł w środku czaszki napięcie, wciąż jechał. Grafit asfaltu przesuwiał się pod powiekami.

— Chyba od razu pójść nad morze — szybko postanowił. Tak robili zawsze jego rodzice, kiedy był mały; tak robił on, gdy wyjeżdżał z przyjaciółmi na wspólne wakacje. Potarł ręką brodę i poczuł na niej całodzienny zarost. — Cholera! — zaklął. Spojrzał na łóżko, na którym leżały jedynie kluczyki do samochodu, portfel i butelka wódki. Dobrze i to, był wolny, nareszcie. Mógł sobie wypić, pójść spać albo wybrać się na spacer. Kilkoma łykami opróżnił do połowy butelkę, zamknął pokój i wyszedł z hotelu. Przed budynkiem na chwilę przystanął. Przed nim jaśniało miasto, polski nadmorski kurort, punkt, do którego z tęsknotą zawsze się chętnie wracało. Jak przez mgłę pamiętał rozkład ulic. Teraz wszystko tętniło tu życiem. Trudno było rozpoznać znajome miejsca.

Ale szybko złapał kierunek. Do morza nie było daleko. Zapach sosnowego igliwia, morskiej wody, a może lekki wiaterek, który niespodziewanie nadpłynął od strony wybrzeża, zakołysał nim jak lichą łódką. Ruszył przed siebie różnym krokiem, choć nogi coraz trudniej unosiły ociężałe ciało. Szedł instynktownie w kierunku szumu. Nieomylny tłum prowadził go prosto do celu. Wszyscy, jakby w owczym pędzie, zdążali w tę samą stronę, a on na nogach rozkołysanych wódką wtapiał się bezbłędnie. Szedł porwany ciśnieniem i jakby wypełniony helem, śmiał się do siebie, albo i z siebie, nie wiedząc zupełnie dlaczego. Płynął euforycznie, nieswój, z niezrozumiałym szczęściem, pijany zapachem wolności i potwornie głodny. Wypity alkohol wyraźnie pobudził apetyt. Dookoła zapraszały w swoje gościnne progi niezliczone pijalnie piwa, smaźalnie ryb, kawiarnie z lodami, budki, stragany, polowe kuchnie z grochówką, komfortowe restauracje. — Trochę tu się zmieniło — przypomniał sobie swój ostatni pobyt

nad Bałtykiem. Kiedy? Jakież dziesięć lat temu, piętnaście? Nie do wiary! — Odgarnął z czoła włosy i z lekka speszony wszedł pomiędzy parasole reklamujące piwo.

Spacerował bez celu, obserwował ludzi, podziwiał zmiany, wsłuchiwał się w gwar rozgrzanej w ciągu dnia ulicy. Wódka powoli wietrzała, czuł, że trzeźwieje. Nigdzie się nie spieszył i to było cudowne uczucie. Ze wszystkich stron atakował go tłum, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy coś jedli, pili. Masa ludzi bez przerwy ruszająca ustami, to pierwsza rzecz, która rzucała się w oczy. Przesuwali się, ocierali o niego, jakby był zrobiony z powietrza. Szedł niezauważany, niczyj, anonimowy gość, którym nikt się nie interesował. Wstydził się swojego nieobycia, zdziwienia i samotności w tym tłumie, gdzie każdy miał kogoś przy boku. Usiadł w kącie, przy stoliku, który ze względu na oddalenie od centralnego punktu pozostał o dziwo wolny. Za plecami miał wysokie drzewa i gęszcz rozbitych namiotów. Widok z tego miejsca był osobliwy. Dwie strefy, strefa ciszy i relaksu i ta — żyjąca pełnią pulsująca w rytm wybijanego na instrumentach rytmu, pełnego erotyzmu, okrucieństwa, bezmyślności i ekstazy. Ludzie jak w amoku, opici i rozpromienieni, wydarci z szarej codzienności łapali garściami życie takie, jakie było, jakie dało się tu przygarnąć. Oślepił ich opętańczy, urlopowy amok, namiętność do wszystkich i do wszystkiego. W powietrzu unosił się zapach piwa, smażonej cebuli i to było jak afrodyzjak. Ciała przyciskały się do siebie, łąsiły, kusiły, namawiały do grzechu, strasznie chciały grzeszyć.

Janusz przyglądał się temu w pewnym oddaleniu. Nie uczestniczył w tym, ale patrzył. Cały czas przewijali się obok niego kelnerzy z tacami pełnymi zimnych napojów. Kiwnął palcem.

— Dwa duże — zawołał do faceta w kolorowym fartuszk. Za chwilę na stoliku pojawiły się olbrzymie kufle złocistego płynu. Cieniotka pianka szybko zniknęła z powierzchni.

Pierwsze wypił jednym duszkiem. Rozkoszny chłód rozpuścił się po całym przełyku. Aż westchnął. Już dawno nic mu tak nie smakowało. Nawet nie sprawdził, jakiej jest marki. Drugie pił już wolniej, obserwował, jak w szklance odbijają się refleksy światła, rozmazywał palcem spływające po szkle kropelki wody. Czuł, jak się odpręża.

Zamówił znowu, ale żołądek nie chciał już przyjąć płynu. Zatęsknił za papierosem. Całą drogę jakoś wytrzymał, ale teraz marzył o fajce. Może zapragnął jednego dnia przeżyć wszystko na raz, nacieszyć się tym, co było mu dane. Może rano ocknie się z radosnego amoku i pogna, jak spłoszony koń, do stajni, do swojej niewoli...

Papierosy kupił w sklepie po drugiej stronie ulicy. Zatrzymał się na moment przy ulicznym bilardzie, patrząc, jak w jazgocie dzwonków i elektronicznych fanfar niektórzy przegrywają pieniądze. Gdy wrócił, przy stoliku siedział już ktoś, nie bacząc na jego kufel z piwem. Jakiś chłopak, mocno opalony, w czarnej podkoszulce rozparł się na krześle i spoglądał smętnym wzrokiem przed siebie. Janusz dojrzał go w ostatniej chwili. Skinął tylko głową i sięgnął po piwo. Było mu wszystko jedno. Od nikogo przecież nie był zależny. Nawet na chłopaka nie spojrzął. Nie miał ochoty na rozmowy o niczym z przypadkowym człowiekiem. Więc odwrócił się do niego bokiem i na wszelki wypadek groźnie zmarszczył brwi. Widać jednak, nie był zbyt przekonujący z tym swoim głupawym wyrazem twarzy, ponieważ chłopak natychmiast zagadał.

— Myślałem, że wolne, przepraszam.

— Nie szkodzi — odpowiedział krótko, gniotąc papierosy.

— Więc nie przeszkadzam? — Nie zraziła go mina Janusza.

— Nie, nie, niech pan siedzi — odsunął się, robiąc mu miejsce. Jakoś tak ruszył się przy tym niezdarne, że łokciem potracił kufel. Piwo chlusnęło niczym fala prosto na buty chłopaka. Janusz się zreflektował. Poczul, że przesadził z piciem i z dąsami, u

— Nic się nie stało — chłopak poklepał go lekko po plecach, myślał, że jest podпиты. Potraktował Janusza jak urlopowicza, który topi w piwie rodzinne kłopoty. — Zaraz wyschnie — odpowiedział spokojnie.

Januszowi zrobiło się głupio, czyżby już nie potrafił normalnie rozmawiać, tak bardzo zdziczał w swoim uporze i niechęci do ludzi, że nawet teraz, dzisiaj, gdy jest tu wyłącznie dla przyjemności, popisuje się i udaje ważniaka?

— Niby racja — zmienił szybko ton — ale i tak przepraszam, jestem dziś roztargniony, a mówiąc szczerze, raczej wstawiony — przyznał się wreszcie, określając łagodnie stan, w którym się znajdował. — Czy mogę w ramach przeprosin postawić panu kufelek?

— Czemu nie — chłopak odpowiedział niemal natychmiast, pewnie nie śmierdział gotówką.

— Dwa duże — Janusz krzyknął na kelnera. Głos miał już bardzo zadziorny.

— Niech pan nie krzyczy. Ochroniarze się wkurzą. Tu jest ich pełno. Jak tylko ktoś im podpadnie, wyrastają jak spod ziemi, biorą pod pachy i koleś wypada na ulicę.

— Ochroniarze, którzy to? — Janusz podniósł się zza stołu ochoczo.

— Mówię serio, kręcą się w cywilu. Po to się płaci im haracz, żeby pilnowali porządku, znam ich, już nie raz widziałem w akcji, więc lepiej niech pan nie zaczyna.

— Ja nikogo się nie boję — Janusz zachichotał chłopakowi, ale usiadł na wszelki wypadek. Na tyle był jeszcze trzeźwy, żeby właściwie ocenić sytuację. — Choćby niedźwiedź, to dostoję. Zna pan tę bajkę? — zapytał zadowolony z siebie. Głos mu się wyraźnie łamał.

— Niestety. To nie moja bajka, proszę pana — odpowiedział grzecznie chłopak, nieco zirytowany.

— No widzisz, szkoda — Janusz pogroził mu palcem. — A tę bajkę wszyscy znać powinni. Szczególnie takie dupki jak ja — walnął się z całej siły w pierś.

— Nie wygląda pan na dupka—zaprotestował z grzeczności chłopak. Widać było, że się nieco spłoszył. Zrobił gest, jakby chciał wstać od stołu.

— Może nie wyglądam, ale nim jestem — zapewnił Janusz, patrząc mu w oczy. — Czy widziałeś — szybko przeszedł na „ty” — żeby facet jak tur upił się trzema piwami?

— To nic nadzwyczajnego, tu, jak okiem sięgnąć, same takie przypadki. Niech pan spojrzy, przy każdym stoliku siedzą turyści i piją.

W tym momencie pojawił się kelner. Janusz od razu zapłacił.

— Jak masz na imię? — zapytał chłopaka, podsuwając mu kufel pod brodę.

— Maciek — powiedział, oblizując wargi po pierwszym łyku. Piwo było zimne i mocno spienione.

— A ja Janusz — podał mu rękę. — Sam jesteś?

— Z dziewczyną — odpowiedział, głośno przetykając. — Jest tam — wskazał rząd namiotów, skrytych za plecami, w cieniu.

— Ja sam, bez ogonka. I bardzo się cieszę — szybko skomentował. — Dobrze się czuję w pojedynkę.

— Samemu nudno — przerwał mu chłopak.

— Wciąż jestem sam, to dla mnie nic nowego. Gdyby ktoś miał paplać mi nad uchem, zadawać bezsensowne pytania, nie, tego bym chyba nie zniósł — dodał zdecydowanym głosem. Patrzyli na tańczących. Wolne kawałki przeplatały się z szybkimi. Wśród ludzi było sporo dzieci. Cały plac podrygiwał. Zmieniali się co chwilę soliści. Jakaś kobieta ustawiała mikrofon, wyglądało na to, że będzie za chwilę śpiewać. Matka karmiła dziecko jogurtem, sama popijała z butelki. Kelnerzy roznosili dymiące posiłki, ustawiali przy stołach rozrzucone w trawie krzesła. Temperatura imprezy wciąż rosła. Dwóch osiłków przy stoliku obok siłowało się na rękę. Demoniczne twarze nabiegły krwią, oczy czerwone od nadmiaru alkoholu i potężne mięśnie, wypracowane miesiącami ćwiczeń. Ręce oparte z całej siły o blat tkwiły wciąż w pionie, poorane nabrzmiętymi z wysiłku żyłami. Zapowiadał się remis. Lecz w tej dyscyplinie nie tylko siła jest ważna, ale i wytrwałość. W końcu zwyciężył ten, któremu bardziej się chciało.

Janusz obserwował z uwagą tę scenkę, nie kryjąc podziwu dla zwycięzcy.

— Mocne chłopaki — powiedział z uznaniem.

— Ale tylko w pięściach — dorzucił jego towarzysz, patrząc obojętnie na zmagania przy sąsiednim stoliku. — Normalnie, to małe mózdzki, tydzie. — Pokazał maleńką odległość pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem.

— Znasz ich? — zapytał Janusz, zmieniając przy tym ton głosu. Czuł, że zaczyna trzeźwieć. Dobrze się czuł w towarzystwie obcego człowieka, nic go nie krępowało. To dziwne, mógłby mu nawet opowiedzieć o sobie. Coś mu ulżyło, spadło z pleców i poczuł się lekki jak piórko.

— Wszyscy ich tu znają to rodzimy folklor. Jeszcze długa droga przed nimi, zanim dorosną. Żeby pan słyszał, jak rozmawiają i o czym.

— Domyślam się. Mam takich kilku w firmie.

— No, to pan wie, co się w ich życiu liczy. A pan pewnie na urlopie — zauważył nagle.

— Trudno to nazwać urlopem. Wyrwałem się na kilka godzin. Jutro wracam do pracy.

— Na kilka godzin! Czy było warto?

— Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że tak. Ale nie mam pewności.

— A kiedy będzie pan wiedział? Może warto jednak przedłużyć. Z mojej praktyki wynika, że urlopy zazwyczaj bywają udane. Szczególnie, jak dopisze pogoda — sprytnie zauważył. — A pogoda jest jak widać na medal, więc czegoż trzeba więcej?

— Jak będę wracał, to się nad tym zastanowię. Teraz próbuję ochłonąć po ciężkim tygodniu, nie mogę sobie pozwolić na długi pobyt. — Zaczął się zwierzać chłopakowi i natychmiast ugryzł się w język. Tego by jeszcze brakowało, żeby się rozplakał.

— My też jutro wracamy. Skończyły się pieniądze, koniec przyjemności. Muszę sobie poszukać pracy na resztę wakacji.

— Mnie się forsa nie kończy, ale brakuje czasu, żeby cieszyć się nimi i życiem. Nie da się tego pogodzić.

— Więc niech pan ich nie zarabia, tylko wydaje. Jak się skończą to będzie zmartwienie. Potem się pan zacznie zastanawiać, jak to wszystko odrobić.

— Niegłupie — Janusz się szczerze roześmiał. —W zasadzie mógłbym spróbować, tylko co z ludźmi? Jak zamknę firmę, wszyscy stracą pracę. Jestem egoistą ale nie aż takim. Wyobrażasz to sobie? Oni stracą pracę, moi klienci towar, dostawcy klienta i cały łańcuszek w kawałkach. To rozbujana machina, braknie jednego ogniwa, wali się całość. Nie chcę nawet o tym myśleć.

— Człowiek potrafi dużo znieść — zapewniał chłopak.

— Ale jak dużo?

— Bardzo dużo.

— Wiesz coś o tym? — Janusz spojrział na niego zdziwiony. — Nie wyglądasz na zmęczonego życiem. Opalony, dobrze zbudowany, wypoczęty.

— Coś tam wiem — zachnął się chłopak, a potem tylko pokiwał głową i dopił do końca piwo. Splótł dłonie i spojrział pod nogi.

— Wie pan — powiedział z uśmiechem. — Ostatni raz byłem nad morzem z rodzicami. Człowiek nie docenia dzieciństwa. Chce być dorosły, decydować. A ja wolałbym, żeby czas się cofnął i żeby ktoś zadecydował za mnie. Najlepiej oni, rodzice. Najlepiej ojciec.

— Masz jakieś kłopoty?

— Nie jest tak źle — uspokoił. — Po prostu nie wiem, co zrobić.

— Więc uderzaj do ojca, pewnie nie odmówi.

— Nie mam z nim dobrych układów. Coś się porobiło między nami — rozłożył ręce, a potem spojrzał na Janusza. — A pan, czy ma pan dzieci, rodzinę?

Janusz przytaknął.

— Syna i córkę — odpowiedział po chwili.

— Tak! Więc dobrze, więc niech mi pan powie, czy ojciec zawsze musi mieć rację? Czy te jego pryncypia muszą być również moimi, skoro jesteśmy zupełnie inni? Proszę mi wytłumaczyć.

Janusz bez słowa spojrzał przed siebie. Tak, to było dobre pytanie, w sam raz dla niego. Przecież jeszcze niedawno był synem, a teraz? Teraz jest ojcem, więc powinien znać właściwą odpowiedź. W zamian machnął tylko ręką.

— Pan też nie wie? No to przerypane. W końcu zamilkli oboje.

Nie mógł już pić. Resztę piwa wylał na trawę. Znowu zapalił, ale papieros też mu nie smakował, zgasił go, rozgniatając butem. — Jestem już przepalony — powiedział zrezygnowany.

— I trochę przepity — zauważył chłopak.

— Nie, picie to nie jest moja słabość, zostawiam ją innym. Mnie nigdy alkohol nie służył. Nawet za młodu — Janusz zażartował.

— Mnie też — stwierdził chłopak, sącząc swoje piwo. — Ale piwo czasem wypiję.

— Mogę wiedzieć, ile masz lat? Tak dla porządku, wyglądasz dość młodo. Nie chodzi o piwo, tak ogólnie, chciałem wiedzieć.

— Czemu nie? Dwadzieścia cztery.

— Piękny wiek — Janusz pokiwał głową. — Fajnie byłoby się trochę odmłodzić.

— Może wiek piękny, ale jaki trudny Co rusz, to trzeba decydować.

— I to już tak zostanie. Zapewniam cię, chłopcze, że na zawsze. Decyzje zawsze podejmujesz sam.

— To smutne. Myślałem, że to tylko przejściowo. Liczyłem na jakąś poprawę w przyszłości. Ale panu chyba nieźle się wiedzie, poznaję to po zegarku — spojrzał Januszowi na rękę.

— E tam, zegarek to gadżet, niczego nie zmienia, a poza tym, mów mi po imieniu — zaproponował Janusz.

— Ty mnie też — odpowiedział chłopak, a dla przyklepania stuknął swoim kuflem w pusty kufel Janusza. — A może u ciebie znalazłbym pracę? — zapytał po chwili. Zrobił to od niechcenia, właściwie tylko żartował. Miał jeszcze zaległy egzamin i kilka zaniedbanych zaliczeń.

Janusz spojrzał lekko zamroczony. Czknęło mu się dwa razy, robił wrażenie, jakby nie dosłyszał. Zamilkli. Kobieta przestała już śpiewać, teraz ktoś włączył płytę. Chłopak coś nucił pod nosem, wtórując melodii, Janusz słyszał ją po raz pierwszy w życiu. Ale nie miał o to pretensji. Za to myślał o toczącej się między nimi rozmowie. Zauważył, jak niewiele trzeba, żeby być dla siebie miłym. Jedni muszą walczyć na rękę, bo zadowolenie daje im poczucie siły, innym wystarczy jeden kufel piwa, trochę muzyki i odrobina spokoju.

Januszowi zachciało się jeść. Przypomniał sobie, że od śniadania nie miał nic w ustach. Nęciły go zapachy rozchodzące się dookoła. Zrozumiał, skąd to samopoczucie i wstręt do piwa. Po prostu był głodny.

— Zgłodniałem. Przekąsimy coś? — zaproponował.

— Nie, nie jestem głodny — chłopak odmówił pośpiesznie.

— Sam jeść nie będę, wykluczone!

— Ale ja nie jestem głodny — upierał się. — Jadłem niedawno kolację, zresztą już późno, wrócę do namiotu. Muszę się wyspać, mam rano pociąg.

— Hm... Dużo tego było? — Janusz jakby nie słyszał.

— Czego?

— Tej kolacji — męczył go dalej.

— W sam raz. Tyle, ile trzeba.

— W sam raz, to akurat tyle, żeby zjeść jeszcze. Nie jest tak późno. Jeszcze zdążysz się wyspać.

— Przykro mi, nie będę miał czym zapłacić.

— To jest zaproszenie — Janusz się zreflektował. — Cieszę się, że nie będę jadł w samotności. Tyle już wytrzymałeś, to jeszcze pół godziny starczego gderania ci nie zaszkodzi.

Chłopak miał niewyraźną minę, ale w końcu się zgodził.

— Zgoda, skoro to zaproszenie.

Poszli do najbliższego baru sprawdzić, co o tej porze można jeszcze zamówić. Wciąż było w czym wybierać. Wrócili z półmiskami pełnymi mięsiva i ryżu. Jedli ze smakiem. Potrawy były ostre, dobrze przyprawione. Januszowi już dawno nic tak nie smakowało. Chłopak zjadł tylko połowę. Drugą część zostawił nietkniętą.

Janusz zapytał zdziwiony:

— Dzielisz sobie racje?

— Dla mnie trochę za dużo — powiedział zmieszany. — Podzielę się z dziewczyną. — Odruchowo spojrzał w kierunku namiotów.

— Zwariowałeś — Janusz natychmiast zrozumiał. — Co to dla prawdziwego faceta. Zjedz do końca. Twojej dziewczynie kupimy za chwilę, nie będzie przecież jadła zimnego. Tylko musisz ją zaprosić do stołu.

Chłopak ożywił się, ale tylko na chwilę.

— Nie będzie chciała przyjść.

— Jest taka wstydliva, a może brzydka? — zażartował.

— Jest bardzo ładna, tylko — zająknął się chłopak — jest zmęczona. Beczała cały dzień.

— Jakieś kłopoty?

— Tych nam nie brakuje — szczerze odpowiedział. — Jutro musimy wyjechać. Mieszkamy daleko od siebie.

— Forsa? — zapytał. Chłopak potwierdził. — Ta dziewczyna to coś ważnego, czy tylko wakacyjna przygoda? — Janusza zżerała ciekawość.

— Jest dla mnie najważniejsza na świecie.

Poszli w kierunku baru. Wybrali jakąś przekąskę z surówkami.

— W takim razie — powiedział, podając chłopakowi talerz — będziesz się musiał pofatygować i zanieść jej kolację do łóżka.

— Na to wygląda — chłopak uśmiechnął się szczerze.

— Wróć tu jeszcze. Będę czekał.

— Dobrze, za chwilę wracam.

Jakże zazdrościł temu chłopakowi. Gdyby tak jemu życie dało szansę. Tak pokochać kogoś na zabój, żeby móc mu nosić do łóżka śniadanie albo kolację. Szkoda, że nie można wszystkiego powtórzyć raz jeszcze, może popełniłby wtedy mniej błędów. Teraz, gdy stać go na wiele, mógłby uszczęśliwić niejedną kobietę. Niby pieniądze szczęścia nie dają ale patrząc na tego chłopaka, widać, że mają znaczenie. Z kieszeni wyjął spory plik banknotów, nawet nie przeliczał, i wizytówkę. Owinął to w kilka serwetek, a potem zawiązał sznurowadłem, które wyciągnął z buta.

— Mam prośbę — zwrócił się do kelnera, trzymając w ręku papierowy zwitek. — Za chwilę podejdzie do tego stolika chłopak w czarnej podkoszulce. Proszę mu to oddać. To bardzo ważne, a ja nie mogę już czekać, bardzo się spieszę.

— Ok, nie ma sprawy — odpowiedział kelner.

Janusz przystanął za drzewem. Stąd dokładnie widział, jak kelner wręcza zdziwionemu chłopakowi paczuszkę od niego. Teraz mógł odejść spokojnie. Nawet się nie obejrzał, poczuł w ramionach żagiel. Niosło go dalej przed siebie. Czuł się jak sztubak, któremu zachciało się grandzić. Szkoda, że w

dorołym życiu proporcje w grandzeniu wypadają na niekorzyść w stosunku do obowiązków i pracy. Praca jak refren — ciągle powraca, dlatego w końcu się znudzi.

Praca jak refren, wciąż powraca i jak on, gdy jej zbyt dużo, nudzi. Jakub przetarł zmęczone oczy. Uważał, że dla zdrowia psychicznego co kilkanaście lat powinno się zmieniać zawód. Inaczej dzieje się podobnie jak z przedstawieniem granym po raz setny przez tych samych aktorów. Traci świeżość i klasę.

Mówi się, że artysta podszyty jest dzieckiem, które odkrywa w sobie wciąż na nowo. Lekarz jest chyba podszyty starcem. Gdyby opinia publiczna zażyczyła sobie, by był stary, zestarzałby się w jedną noc. Niczym bohater Conrada, nie ma nic więcej oprócz własnej godności, narażanej bez ustanku na niszczące pokusy. Jest jak maszyna, która na życzenie rozwiązuje zagadki, pluje zwolnieniami i rozrzuca bez umiaru recepty. Nikogo nie obchodzi, czy we wnętrzu tej maszyny bije czyjeś serce, byłoby lepiej, gdyby nie. To zbyt komplikuje sprawę sumienia.

Królak, ulubiony pacjent Jakuba, ma niestety przerzuty do kręgosłupa. Komórki ludzkich nowotworów uzyskały stan łaski —potencjalną nieśmiertelność. Nieśmiertelna tkanka w śmiertelnym ciele, to przepis na katastrofę. Jakub był załamany. Ostatnią iskrę nadziei rozwiały zdjęcia rentgenowskie — dwa zjedzone rakiem kręgi lędźwiowe to dobra robota. Jeszcze kilka tygodni i zaczną się bóle. Myśli, że znów zawiódł jakiegoś człowieka, dając mu bezpodstawne nadzieje, nie opuszczały Jakuba przez cały dzień. Tłum chorych taranował od rana drzwi gabinetu, a jemu chciało się wyć. Był bezradny wobec choroby i na nic zdały się starania. Nie rozczulał się nad sobą ale był wściekły, że już tak niewiele może pomóc, poza doraźnym łagodzeniem objawów choroby. Królak, człowiek, co z niejednego pieca jadł chleb, nie da się zwieść gładkimi słówkami, wystarczy, że spojrzy na opakowanie środków przeciwbólowych i będzie wiedział. Jakub bał się, że zabraknie mu odwagi, by stawić czoła pytaniom, które od niego usłyszy. Potem kilka miesięcy będą walczyli o przetrwanie jeszcze jednego tygodnia, jednego dnia, jednej godziny. Czy da się z tym żyć? W ciągu dwudziestu lat tyle już było rozstań, tyle zawodów i zwątpień w to, co się robi. Cmentarz pełen był znajomych nazwisk.

Śmierć, najwierniejszy towarzysz lekarza, spierała się z nim od wieków. Gdyby wiara w życie po śmierci mogła przynieść ulgę, Morański by z niej skorzystał. Ale był lekarzem i wiedza, jaką nabył, doświadczenie zawodowe, uświadamiały mu, że liczy się jedynie materia i nie ma mowy o cudach, bo śmierć jest powrotem do stanu chaosu, bezładu i ciszy. Wszystko się zaczyna i kończy materia, poza nią niczego nie ma. Spośród żywych istot na ziemi jedynie ludzie wiedzą, że pewnego dnia umrą to napełnia

ich grozą i fascynuje zarazem. Mógł pojąć śmierć, lecz nie potrafił zmienić prostego faktu, że ona zabiera to, co dla człowieka najdroższe; czyli zdolność myślenia, odczuwania i kochania, a to już nie była materia.

Za to Anna miała w pracy szampański humor. Zdarzało się to nieczęsto, więc wszyscy spoglądali z ciekawością podpytując dyskretnie o przyczynę. Lecz Anna była tajemnicza. Dowcipkowała, podśpiewywała i nawet długa lista wizyt domowych, które powinna jeszcze załatwić, nie wyprowadziła jej z równowagi. Wydawała się nawet młodsza z tym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Pacjenci wychodzili z jej gabinetu także radośni. Anna przekomarzała się, sypała dowcipami. Widać było, że radość rozsadza ją od środka. A zazwyczaj była poważna, niedostępna i skryta. Pacjentów załatwiała sucho i oficjalnie. Bała się bliższych kontaktów z ludźmi, plotek pod swoim adresem i domysłów. Nie miała ochoty wdawać się w rozmowy na temat swojego życia, nie lubiła, gdy ktoś wypytywał i naciągał ją na zwierzenia. Robiła swoje, tak jak potrafiła, bez niepotrzebnych spoufaleń i sympatii. Dystans, z jakim podchodziła do każdego, sprawiał, że nikt nie miał odwagi atakować jej pytaniami.

Tego dnia zrobiła dla wszystkich kawę i wyskoczyła do piekarni po ciasto. Pielęgniarki robiły miny, zdziwione jej zachowaniem. Obchodziły ją z daleka w obawie, że ta odmiana może być niebezpieczna. Jakub rozumiał wszystko bez zbędnych wyjaśnień. Był tylko jeden powód na świecie, który mógł wprawić Annę w taki nastrój. Domyślił się, że to z pewnością związane jest z Pauliną Czyżby wreszcie dogadały się, matka z córką?

Tymczasem serce Anny przepętniała stodycz. Jej źródłem była wiadomość od córki, że prawdopodobnie na wakacje przyjedzie do Polski. Fakt, że pomiędzy matką a córką pojawił się blady odcień sympatii, budził w Annie nadzieję. Paulina zapowiedziała wręcz, że zatrzyma się na dłużej, a może zostanie na stałe, jeżeli znajdzie dla siebie odpowiednią pracę. Powiedziała, że chce zobaczyć dziecko, że za nim tęskni. Trochę to Annę zdziwiło, ponieważ Paulina swojego syna prawie nie знаła, nie interesowała się jego losem, tak, jakby nie istniał. To najbardziej bolało. Anna wiedziała, że często zdarzają się sytuacje, w których córki podrzucają rodzicom swoje dzieci, ale żeby nawet nie zapytać, czy żyje, czy jest zdrowe, jak wygląda? Tego nie mogła córce wybaczyć. Z krótkich telefonicznych rozmów wiedziała niewiele. Zrozumiała jedynie, że facet, z którym ostatnio mieszka, ma być na całe życie, a nie jak dotychczasowi, na kilka miesięcy, że jest dużo starszy i ma forszę. To wszystko. Rozmawiały w styczniu, potem telefon nie odpowiadał, widocznie Paulina zmieniła komórkę albo partnera, albo miejsce zamieszkania, na przykład kontynent. Wszystko było możliwe. Ona nie grzeszyła bowiem stałością uczuć i nieznaną jej było zjawisko przywiązania do miejsc i do człowieka. Lubiała zmieniać i jedno, i drugie. Była jak sroczka: temu dała, temu dała, a innemu łeb urwała. Jednych krzywdziła ona, a inni krzywdzili ją.

Cierpiała krótko, szybko ocierała łzy, najczęściej innym facetem, i tak przez kilka lat. Była niestety nieodrodną córką swojego ojca. Kochała ryzyko i życiowy hazard. Bała się biedy i samotności, jednocześnie wpadając w coraz to nowe kłopoty. Zakochiwała się w dziwnych typach, najczęściej dużo starszych od siebie, którzy szybko wybierali wolność, uciekając od młodej, nie zrównoważonej kobiety.

— Obawiam się tego przyjazdu — Anna zwierzała się Morańskiemu. — Tęsknię i chciałabym ją zobaczyć, tylko czy znajdziemy wspólny język? Rozstałyśmy się w gniewie. Nie wiem, czy się cieszyć, czy bać. Jeżeli się nie zmieniła, nie spowaźniała, może być źle. Tyle się przez nią napłakałam. — Anna przełknęła ślinę, widać było, że przeżywa to ciągle na nowo. — Żyję nadzieją, że jednak wróci — próbowała ratować nastrój. — Ale z drugiej strony przeraża mnie myśl, że znowu zaczną się kłopoty, awantury i kolejne uciezki. Ona musi zrozumieć, że nie do mnie wraca, ale do dziecka. Dopóki nie pokocha syna, to nie mam co liczyć na jej rozsądek. Mniejsza o mnie. Najważniejszy jest Julek, to on potrzebuje matki — podkreśliła, a zaraz potem poczuła wątpliwości. — Tylko czy ona dojrzała do macierzyństwa? A jeżeli nie? Co wtedy powinnam zrobić? Przecież nie oddam dziecka komuś, kto jeszcze sam nie wyrósł z pieluch. Co o tym sądzisz? — zapytała Jakuba.

— Chciałbym, żebyś mogła spokojnie czekać na jej przyjazd, lecz nie wierzę w nawrócenie grzesznicy. — Zrobił krok w kierunku samochodu. — Nie chcę cię, Aniu, dołować, ale musisz zachować ostrożność, bo zabierze ci dzieciaka i zniknie na zawsze. A wtedy nic już nie poradzisz. — Jakub zreflektował się, że przesadził. Na twarzy Anny nie było już śladu porannej radości. Teraz była przerażona. — Nie martw się na zapas — próbował złagodzić następstwa rozmowy. — Ja zawsze widzę wszystko od tej najgorszej strony. Na moich radach nie można się dowartościować. Ale za to będę trzymał kciuki. — Machnął na pożegnanie ręką. — Do jutra — poszedł w kierunku samochodu. — Poczekaj! — zawołał do niej z daleka. — Całkiem zapomniałem. Mam dla ciebie interesującą propozycję. Dopóki Julek jest w szpitalu, może dałabyś się wyciągnąć do znajomych na imprezkę? — Zawiesił głos w oczekiwaniu.

— To na pewno znajomi? Czy kolejna zupa? - Zapytała.

Anna była zaskoczona.

— Masz coś przeciwko moim zupom? Wszyscy je chwalą.

— Wolalabym wiedzieć, co mnie czeka.

— Same przyjemności — położył rękę na sercu. — I atrakcyjne towarzystwo.

— Zatem zgoda.

— A więc jesteśmy umówieni w piątek.

— O której?

— U mnie przed osiemnastą.

Anna w pośpiechu pokonywała odległość pomiędzy przychodnią a szpitalem. Od kilku dni bywała w nim codziennie do wieczora. Mały Julek nieświadom tego, co się z nim stało, roznosił na strzępy oddział chirurgiczny. Potrzebna była codzienna obecność babci, aby go utemperować. Anna bardzo kochała malucha, chyba bardziej niż kiedyś własną córkę. Julek nie był podobny do matki. Był rozsądnym i sympatycznym dzieckiem. Wychowywał się bez rodziców, a mimo to nie było z nim specjalnych kłopotów. Dopóki wystarczały mu babcine zabawy, wychowywanie nie przysparzało Annie specjalnych problemów. Bała się, co będzie później, jak poradzi sobie z dorastającym chłopakiem, czy wytrzyma jeszcze wiele lat w napięciu i niepewności. Chciała, żeby miał kiedyś normalną rodzinę, a zamiast babci prawdziwą mamę. Tylko jak uwierzyć, by ktoś tak nieodpowiedzialny jak jej córka, mógł właściwie pokierować losem małego chłopca. Gdy przypominała sobie, jaki jej numer wycięła, zaczynała wątpić, czy kiedykolwiek będzie to możliwe.

Nigdy nie uda się Annie wymazać z pamięci dnia, gdy rok po ucieczce Pauliny, po nieprzespanych nocach i przepłakanych wieczorach, dostała od niej wiadomość, że wraca. Zadzwoiła z Okęcia z prośbą by po nią przyjechać, skruszona i cicha. Anna, naiwna matka, uszczęśliwiona powrotem córki marnotrawnej, pędziła na złamanie karku, by przytulić do piersi odzyskane dziecko. To, co zastała na miejscu, przeszło jej najśmielsze oczekiwanie. Na biurku w pomieszczeniu dla celników czekało małe płaczące zawiniątko i nic więcej, po Paulinie nie było śladu. Podrzuciła jej małego i związała.

Nie było łatwo wychowywać dziecko, nie stracić pracy i utrzymać jakiś poziom życia. Do tego potrzebna była silna wola, zdrowie i miłość do małej, niewinnej niczemu istoty. Anna musiała stworzyć dziecku taki świat, którego późniejsze wspomnienia będą źródłem najpiękniejszych wrażeń. Bo marzenia prawie zawsze odsyłają człowieka do dzieciństwa, do pierwszych najdroższych obrazów, wobec których realny świat traci swoje barwy. Co zrobić, jak przekazać małemu chłopcu istotę rzeczy, by kolor żółty, najbardziej radosny z wesołych, mógł dla niego oznaczać kwitnące pole rzepaku, słoneczne wakacje z kimś kochanym, oranżadę pstrykającą w nos, kupioną na spacerze w wesołym miasteczku?

— Co mnie czeka tym razem? — pomyślała Anna, parkując samochód. — Co planuje moja marnotrawna córka?

W środku tygodnia zawsze się najmniej chciało. Sobotnio-niedzielny wypoczynek już dawno poszedł w zapomnienie, a do następnego było jeszcze kilkadziesiąt godzin. Nie miał ochoty wracać do pustego mieszkania, więc wybrał się na zakupy. Lodówka w domu świeciła pustkami, trzeba było uzupełnić zapasy, poza tym chciał kupić jakieś dobre piwo. Gospodarz imprezy, na którą wybierał się z Anną, był smakoszem piw i wyboru trzeba było dokonywać z wielką starannością. Tylko czy w tym niepozornym sklepie znajdzie coś odpowiedniego? Wędrował wzdłuż regałów, przeglądając półki z trunkami. Jak się okazało, wybór był bardzo duży. Jakub nie znał się zbytnio na napojach wysokowych, dlatego musiał zasięgnąć rady ekspedienta. Przypomniały mu się czasy, kiedy na butelkach z piwem nie było wcale nalepek. Wtedy liczyła się zawartość, a nie papierek. Tamte czasy, lata młodości, nigdy już nie wrócą, ten okres beztroski i pogardy dla szczegółów minął bezpowrotnie.

Wielka miłość do Izy naznaczyła piętnem całe jego życie. Wybrał samotność, by przeżywanie jej wciąż na nowo nie zatruło miłości do innej kobiety. Wyidealizowany obraz prześladował go z niemalejącą siłą. Czasem był bliski obłądu. Pragnął uwolnić się od widma winy, ale bez skutku. Przekonanie, że okazał się słaby i nieporadny, że zawiódł w najważniejszym momencie, toczyło go jak rak. Jego miłość przeszła wielką próbę, a gdy dobiegła kresu, nie miał już w sercu ani jednej wolnej komórki na nową. Wrócił do domu z pustymi rękami, wypatroszonymi kieszeniami, a na końcu z poczuciem winy za jej śmierć. Jego anioł, gołębica, którą tak bardzo kochał, odeszła na wieki, nie pozostawiając mu szansy na odkupienie winy.

Gdy Iza wyznała, że jej rodzice wyjeżdżają na stałe do Londynu, nie mógł uwierzyć. Była wtedy jesień, późna, lecz słoneczna i ciepła. Spacerowali po Powązkach, bo zbliżało się Święto Zmarłych. Iza pochodziła z jakiejś zamożnej rodziny i na tym cmentarzu leżeli jej zacni przodkowie. Od tytułów przed nazwiskiem roilo się w oczach. Dla niego to były szczegóły. Nie obchodziły go specjalnie. Kochał Izę za to, że była nadzwyczajna, lecz nie kojarzył tego z pochodzeniem i nawet nie przypuszczał, jak wielkie miało ono wówczas znaczenie. A przecież mógł to przewidzieć. Ta eteryczna zjawia nie pasowała do zwyczajnego świata. Już wtedy nad jej głową unosiła się wyczuwalna aura nieziemskości, jakby nie należała nigdy do zwykłego życia. Potrafiła tak pięknie mówić, chodziła jak po wodzie i poruszała się jak duch. Długie rzęsy podnosiła powoli i spod przymkniętych powiek patrzyła, tylko muskając powietrze spojrzeniem. Każda żyła w jej ciele wypełniona była po brzegi krwią tak błękitną jak lazururowe niebo Madrytu. Gdy trzymał ją w ramionach, bał się, że jest z porcelany i pęknie.

Grała na skrzypcach i flecie. Skończyła studia muzyczne, zamierzała założyć zespół, a gdy wszystko było już na dobrej drodze, wyskoczyła ta sprawa z wyjazdem. Lecz wbrew pozorom nie ona dała początek kłopotom.

Choć uczucie rozkwitało, a każdy dzień spędzony osobno wydawał się stracony, z Izą zaczęło dziać się coś dziwnego. Jakub początkowo bagatelizował problem. Zdawał sobie sprawę, że kobiety czasami mają swoje humory. Pocieszał się, że to chwilowe. Zanim się spostrzeże, Izie wszystko minie i nastaną znowu dobre czasy, pełne miłości i zrozumienia. Akurat wtedy, w związku z jej planami artystycznymi, było dużo zamieszania. W tym chaosie problem nie wydawał się taki jaskrawy. Dopiero gdy opadły emocje i wszystkim się wydawało, że teraz będzie już z górki, zaczęło się sypać. Jakub wpadł w panikę. Początkowo zwał wszystko na nerwy. Zbliżał się pierwszy koncert w nowym składzie, więc znosił wszystko cierpliwie. Pomagał Izie w trudnych momentach i podtrzymywał na duchu, gdy traciła wiarę w sukces i w swoje możliwości. Jednak gdzieś w głębokiej podświadomości cichy dzwonek dzwonił uparcie na alarm.

Nagle Iza straciła całą ochotę do działania. Spóźniała się na próby i spotkania, do niego wpadała coraz rzadziej, aż w końcu zniknęła na dłużej, żeby się potem nagle pojawić, jakby nic się nie stało. Przychodziła zmęczona i jakaś nieprzytomna. Dzwoniła, że coś jej wypadło albo że boli ją głowa. Była opryskliwa i obca. Czuł, jakby ukazało się przed nim jej nieznane dotąd oblicze, jakby opatrność próbowała dać mu znak o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zauważył to w wymykającym się spojrzeniu, gdy zaglądał jej w oczy, w tym, jak sztywniała, gdy ją przytulał, płakała, gdy męczył pytaniami. Miał nadzieję, że to tylko rozterka przed podjęciem decyzji o zostaniu, obawy, czy poradzi sobie sama, bez rodziców. Uspokajał ją tłumaczył, że przecież są już dorośli. Mogą się pobrać i rozpocząć wspólne życie.

Zaczęła go wtedy unikać na dobre. Mówiła, że jeszcze nie jest gotowa, że przestraszył ją tą deklaracją, że jeszcze stanowczo za wcześnie na ślub, że są za młodzi. Jakub się dziwił, on nie miał takich wątpliwości, wiedział, że razem mogą przenieść góry. Tymczasem Iza wpadała w humory. Raz robiła się apatyczna i cicha, potem wybuchwała z byle powodu. Czuł się jak na huśtawce. Te przejścia z depresji w euforię stawały się nie do zniesienia. Bywały czasem takie dni, że było wspaniale. Wtedy Izę rozsadzała energia. Znowu była delikatna i lekka. Taką ją kochał najbardziej. Cieszyły go te powroty. Łudził się, że kryzys minął. Niestety. Wystarczyło spojrzeć krytycznie, żeby zobaczyć zmiany na gorsze. Im bliżej było do wyjazdu rodziców, tym ona bardziej pochmurniała.

Dopiero wtedy zaczął coś podejrzewać. Uroił sobie, że Iza zmieniła decyzję i postanowiła jednak wyjechać. Brakowało mu odwagi, żeby zapytać. Dręczył się przeczuciami. Dotychczas nie brał tego pod uwagę, nawet przez moment nie pomyślał, że byłaby zdolna go opuścić. Teraz, patrząc na jej humory, zwątpił. Przecież tak wiele razem planowali, tyle wysiłku włożyli w realizację marzeń. Czyżby już nic dla niej nie znaczyły? A szkoła dla dyrygentów, do której została przyjęta, a ich małżeństwo? Miała w Polsce dużą rodzinę, nie byłoby kłopotu z mieszkaniem. Mogłaby wszystko zostawić, tylko dlatego, by zamieszkać w kraju, z którym oprócz sympatii do Szekspira nie miała nic wspólnego?

Zaniepokoił się na dobre, gdy zaczęła chudnąć jeszcze bardziej i kiedy coraz trudniej było się z nią porozumieć. Unikała spotkań, a gdy już do nich dochodziło, milczała. Nie miał odwagi zapytać. Bał się tego, co od niej usłyszy.

Odpowiedź przyszła sama, nieproszona i bezlitosna, tak prosta, że aż śmieszna, a jednocześnie taka nieprawdopodobna. Pewnego dnia zauważył na jej szczupłych udach, tych, które tak kochał gładzić i całować, ślady ukłuc. Kilka dni bił się z myślami. Żeby zapytać wprost, brakowało mu odwagi. Zbierał w sobie siły, by zadać jej to właściwe pytanie, choć nie wierzył, że mogłaby potwierdzić obawy. Przecież była dla niego ideałem, istotą nietkniętą doskonałą. Jak można było coś takiego podejrzewać? Obawiał się, że gdy zapyta, dostanie w pysk.

Nie musiał specjalnie naciskać. Przyznała się sama. Zamiast broni, zastosowała atak. Tego się nie spodziewał, nie poznał tej ciemnej, skrzętnie ukrywanej strony. Jakby ktoś rzucił na nią czar. Jakub był przerażony i wstrząśnięty. Budził się z cudownego snu, a rzeczywistość okazała się koszmarem. Wydawało mu się, że przez cztery lata można kogoś poznać do końca. Jakże się mylił.

Wszystko rozsypało się jednego dnia. Cztery lata nadziei, wielkich obietnic, planów obróciła w pył. Przekreśliła w jednej chwili. Okazała się okrutna. Nie zadrżała nawet jedna rzęsa w jej pięknych oczach, gdy mu o tym oznajmiła. Chciała zerwać znajomość bez komentarzy i tłumaczeń.

Jakub nie mógł się z tym pogodzić. Zastanawiał się, w jaki sposób do tego doszło i kiedy? Przecież prawie się nie rozstawali. Oszukiwała cały czas, czy dopiero wpadła w nałóg? Zadawał sobie to pytanie bez końca, mając nadzieję, że jeśli to świeża sprawa, będzie można w jakiś sposób jej pomóc. Nie dał za wygraną. Za wszelką cenę próbował ratować resztki tego, co jeszcze tak niedawno nazywał szczęściem. Ileż godzin przegadali ze sobą w tej sprawie, ile próśb, wyznań, deklaracji. Wszystko na nic. Oddalała się, z każdym dniem coraz bardziej. Zaniedbała pracę, naukę. Zmieniła środowisko, znajomych, wychodziła na całe noce. Aż pewnego dnia znikła, jak mydlana bańka, a wraz z nią jego nadzieja.

Wyjechała tuż przed zimowymi świętami. Wymknęła się jak złota rybka z mokrej dłoni i odpłynęła, zostawiając go bez nadziei na spełnienie marzeń, obolałego, bez siły, by walczyć i zabiegać o cokolwiek.

Kilka dni nie wychodził z pokoju. Chciał umrzeć, razem z tym uczuciem, które odchodziło. Nikt nie mógł mu pomóc.

Teraz, gdy po latach wraca wspomnieniami, zabliznione rany już nie bolą ale jeszcze czuje na plecach zimny pot i już wie, że czas demaskuje ludzi. Łatwo jest sprawiać dobre wrażenie, gdy wszystko idzie dobrze i nie trzeba stawiać czoła ciemniejszej stronie życia. Czekał cierpliwie na jakiś znak od niej. Przecież nie był jej obojętny. To niemożliwe, by wymazać kogoś ze swojego serca jednym wyjazdem. Są przecież telefony, poczta. Może choć pusta kartka? Nawet to przyniosłoby jakąś ulgę i pewność, że żyje. A tu nic, nie było się czego uchwycić i gdzie szukać ratunku.

Odezwała się do niego po roku. Zadzwoiła z budki telefonicznej. Była druga w nocy, kiedy w domu na Szumnej zadzwonił telefon, podrywając domowników na nogi. W pierwszej chwili Jakub nie mógł jej zrozumieć. Chyba była lekko podpita. Mówiła coś, ale wyrwany ze snu szybko się pogubił. Zresztą nie dała mu szans. Słyszał, że płacze, mówiła, że bardzo przeprasza, że umarła jej mama i nie może sobie z tą śmiercią poradzić. Powiedziała też, że chciała usłyszeć jego głos i spytać, czy wszystko w porządku. Odpowiedział, że tak, ale bardzo tęskni i nie może bez niej żyć. Rozpłakała się jeszcze bardziej. Chciał porozmawiać, coś z niej jeszcze wydobyć, ale odłożyła słuchawkę.

Wracał do domu z cmentarza i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Matka lepiej się dzisiaj czuła od niego. Całą drogę w samochodzie nadawała. Nie mógł znieść tego paplania. Z ulgą odstawił ją do domu. Jechał do siebie, szczęśliwy, że za chwilę wyciągnie się w fotelu i odpocznie...

Zaparkował w małej uliczce niedaleko domu. Bolało go w krzyżu. Już dawno powinien zmienić krzesło w gabinecie. Dość się wysłużyło. Kiedyś nie odczuwał tak bardzo niewygodę. Teraz kłopoty z własnym ciałem coraz częściej zaprzątały myśli. Niby wszystko było jak dawniej, tylko ten krok jakby mniej sprężysty, grube worki pod oczami, zgaga. Nagle zobaczył, że siwieje, rano trudno mu było wstać do pracy, wieczorem coraz wcześniej zasypiał w fotelu. Niedawno odkrył, że już nie może przeczytać gazety. Więc jednak... Nie tylko inni się starzejają. Dokonał tego odkrycia z olbrzymim zdziwieniem. Był przecież wciąż taki młody. Czyżby przegapił kawałek życia? Zgubił po drodze dorastanie i dojrzałość. Co było pomiędzy?

Siedział w ciemnym pokoju i myślał o jutrzejszym spotkaniu. Patrzył na jasną tarczę Księżyca i czuł, że on i Księżyc mają ze sobą coś wspólnego. Oboje są samotni. Księżyc już tego na pewno nie zmieni, a on? Czy pragnie zmian? Tego nie był do końca pewny. Matka znów narzekała na jego upór. Dopadła ulubionego tematu, wspominając swoje udane małżeństwo i uroki życia rodzinnego. Czuł, że miała rację, powinien sobie kogoś poszukać. Jednocześnie bał się nieodwracalności tego procesu. A co się stanie, gdy nie wytrwa, bo zbyt długo był niezależny? Miał ochotę zbliżyć się nieco do Anny. Potrzebował kogoś, z kim mógłby czasami porozmawiać. To niby nie może zastąpić uczucia, ale pomaga. Krótkie pogawędki w pracy dotyczyły najczęściej pacjentów, a jemu były potrzebne czułe rozmowy. Obca kobieta nie wchodziła w rachubę. Bał się kobiet, choć poza Izą żadna mu nie zrobiła krzywdy, wręcz przeciwnie. Coś w nim umarło jednak razem z przeszłością. Może wiara w uczciwość kobiet wobec niego, wobec wszystkich mężczyzn. Anny się nie bał, ona była inna. Mieli ze sobą wiele wspólnego, znali dokładnie swoje słabostki i mankamenty. Już dawno je sobie wybaczyli. Może nie zanosilo się między nimi na wielką napiętność, ale wspólne przebywanie sprawiało im frajdę. Wybierali się jutro na umówione spotkanie. Chciał wykorzystać okazję i dać Annie do zrozumienia, że o niej myśli. Nie bał się odmowy, od niej przyjmie ją naturalnie i bez urazy. Przecież już od tak dawna prowadzili osobne życie, mają prawo do zachowania odrębności. W końcu teraz, gdy wraca Paulina, może znajdą dla siebie więcej czasu. Należy im się jeszcze coś od życia.

Następnego dnia pogoda trochę się poprawiła. Świeciło słońce, ale wiał silny wiatr. Jakub wyjrzał na ulicę. Zanim zdążył się ubrać i wypić herbatę przed wyjazdem do pracy, zadzwoniła matka z wiadomością o dziwnym telefonie. Była zdenerwowana i plątała fakty. Trudno było zrozumieć, co ją tak bardzo wyprowadziło z równowagi.

— Mamo, mów powoli. Powiedz wyraźnie, kto dzwonił i czego od ciebie chciał o tej porze? — pytał Morański, próbując poznać przyczynę całego zamieszania.

— To był telefon do ciebie, ale ja nie wiedziałam i zaczęłam odpowiadać, ale już niewiele pamiętam, więc się pogubiłam, rozumiałam tylko, że chodzi o Twardeckiego, że jest chory i że...

— Uspokój się i mów po kolei, albo lepiej poczekaj. Przyjadę jak załatwię pacjentów, to porozmawiamy.

— Ale czy nie będzie za późno, a jeżeli z tym Twardeckim jest coś nie tak?

— Twardecki mniej się dla mnie liczy niż ty. Podskoczy ci ciśnienie i będą kłopoty. O nic się nie martw, ja wszystko załatwię. Zrób sobie śniadanie, wypij kawę, obejrzyj swoje seriale, a potem zjedz obiad i spokojnie czekaj.

— A przyjedziesz na pewno?

— Jak mówię, że przyjadę, to przyjadę — powiedział stanowczo i odłożył słuchawkę. Rzucił jakieś przekleństwo i wrócił szybko do łazienki. — Nie może być za dobrze — pomyślał. — Znowu ten człowiek. Wolałby już nigdy o nim nie usłyszeć. Czuł, że to może być jakiś kaprys starego człowieka. Może przed śmiercią zapragnął się wypowiedać? Jak się zachować w takiej sytuacji?

W pracy początkowo dręczyły go niepokoje, lecz potem, gdy utonął w problemach pacjentów, przestał o nich myśleć. Umówił się z Anną wieczorem, u siebie w mieszkaniu.

Miała przyjechać swoim samochodem, a stamtąd chcieli jechać już razem taksówką. W piątek kończył przyjmować trochę wcześniej. Po czternastej zamknął gabinet i w pośpiechu opuścił przychodnię.

Matka czekała niecierpliwie przy oknie, kto wie, czy nie od rana. Już na schodach słyszał jej zaaferowany głos. Stała w szeroko otwartych drzwiach i machała kawałkiem kartki.

— Dzwonił znowu, podał mi numer telefonu — klarowała podniesionym głosem. — Masz tu oddzwonić. — Stukała wskazującym palcem w sam środek pogniecionego świstka.

— Mam oddzwonić, czy zechcę oddzwonić? To jest wyraźna różnica, przynajmniej według mnie.

— Nie czepiaj się szczegółów. Dzwonił Twardecki — powtórzyła jeszcze raz, bardzo głośno — i poprosił żebyś się skontaktował. Teraz dobrze? — zapytała złośliwie i podała mu kartkę z szeregiem koślawo zapisanych cyfr.

— Tylko tyle miał mi do powiedzenia, czy chciał coś konkretnego?

— Mówił jeszcze coś o pamięci, czy pamiątkach i o tym, że jest chory i żebyś się pośpieszył. Najlepiej zadzwoń, dowiesz się wszystkiego dokładnie.

Jakub wzruszył ramionami.

— Czego on chce? — mruzczał do siebie.

Wykręcał numer, nie patrząc na kartkę. Zapamiętał go dobrze. Wtedy po drugiej stronie słyszał z ust Twardeckiego obraźliwe słowa. Oskarżał Jakuba o to, że wciągnął Izę w nałóg. Nie przyjmował do wiadomości żadnych tłumaczeń:

— Dla Morańskiego, Izy nigdy nie będzie w domu! — krzyczał wówczas w słuchawkę. — Niech przestanie wydzwaniać!

Dziwna forma, w jakiej ten człowiek zwracał się do niego, była nie do strawienia. Uważał się za arystokratę i dawał to innym wciąż do zrozumienia, nawet nie czuł, jaki jest śmieszny. Zmieniły się czasy i wielkie tytuły nie robiły już na nikim wrażenia. Jakub też miał to w nosie. Starał się być uprzejmy w miarę możliwości, bo chodziło o Izę, a to był przecież jej ojciec. Później, gdy stracił nadzieję, a zaślepiiony tatuś kłamał i bronił dostępu do córki, przestał przebierać w środkach i też atakował. Przestał dbać o swój wizerunek, nie myślał o niczym. Liczyła się tylko ona, a nie fochy pana hrabiego.

Tamte emocje już dawno wygasły. Teraz, gdy automat bez pośpiechu wybierał londyński numer, nie czuł już niczego. Gdyby nie spokój matki, nie dzwoniłby wcale. Robił to ze względu na nią.

— Morański, dzień dobry — zaczął z absolutnym spokojem.

— Zdaje się, że chciał pan ze mną rozmawiać.

Kilka sekund ciszy, która zaległa, dała mu czas na nabranie pewności.

— Witam, panie Jakubie — usłyszał po drugiej stronie. — Mam nadzieję, że nie przestraszyłem pana swoją nachalnością i odwagą—pewnym głosem i bez cienia żenady zagadnął Twardecki. — Bardzo mi przyjemnie, że nie potraktował pan mojej prośby jak zuchwalstwa. — Zastosował na początek formy grzecznościowe. — Odszukałem pana — podkreślił wyraźnie — ponieważ chciałbym się w najbliższym czasie umówić na spotkanie.

Jakub robił do lustra dziwne miny. Zachował się jak dziecko, ale wciąż nie potrafił ukryć głębokiej niechęci. Myślał, że usłyszy schorowanego staruszka, tymczasem głos Twardeckiego wciąż brzmiał jak dzwon.

— Proszę bardzo, chętnie się spotkam, kiedy zamierza pan do mnie przyjechać? — zapytał Jakub. Werwa niedosłzłego teścia wyprowadziła go z równowagi.

— Problem tkwi w tym, że ja już niestety nie podróżuję, więc to pana chcę prosić o pofatygowanie się do mnie, do Londynu. Pewnie to pana zaskoczy albo może się nawet wydawać bezczelne. W końcu jaki w tym pana interes.

— Pan sobie ze mnie oczywiście żartuje? — zauważył Jakub.

— Uchowaj Boże — powiedział Twardecki. — To tylko prośba, a pan się unosi, jak słyszę, jakby to był rozkaz, co najmniej.

— Ale chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia. Mam przyjechać ot tak, po prostu, bo pan się za mną stęsknił?

— Panie Jakubie — powiedział wolno Twardecki. — Czuję na odległość wściekłość w pana głosie. Styl się panu wcale nie zmienił. Wciąż to uprzedzenie i niechęć. Jednakowoż muszę panu powiedzieć, że to nie jest mój kaprys i moje marzenie, żeby tu pana oglądać — zabrzmiało w znajomym tonie. — Ponieważ nie jestem w najlepszej formie i nie wiem, jak długo dane mi będzie żyć, muszę wywiązać się z obietnicy, którą dałem przed laty mojej córce. Początkowo o tym nie myślałem, chciałem nawet złamać daną jej przysięgę, ale ostatnio jednak się poddałem. Nie chcę się przed nią tłumaczyć, a nasze spotkanie już bliskie. Znając moją córkę, zapyta, jak tylko przekroczy bramy nieba.

Morańskiego przeszył dreszcz. Poczuł, jakby czas cofnął się do tamtych lat i znowu obaj stają w szranki o względy tej samej kobiety, wściekli i rozżaleni. Ich myśli nasycone bólem i tęsknotą, paląca gardło zazdrość, jak trucizna zamienia słowa na sztylety. A do tego teraz staremu marzy się raj.

Dawniej, gdy walczyli o Izę, o prawo do tego, aby ją odzyskać bez reszty, tylko dla siebie, ranili się, obwiniając bez umiaru, prześcigali w złośliwościach, zamiast współpracować. Wtedy ten bój przegrali oboje. Odeszła od jednego i drugiego, po raz kolejny rozdając karty według własnego uznania. Nieczuła i bezwzględna wymierzyła karę za ich pychę. Odebrała siebie, bo za bardzo jej pragnęli, bo byli zachłanni i samolubni, bo ich nie potrzebowała w końcu. Wołała coś, co nazywa się wolnością od wszelkich zobowiązań i konsekwencji, od drapieżności uczuć, od widma odkupienia za grzechy. Odeszła od tych, którzy ją kochali, łącząc się nierozzerwalną więzią z tymi, których kochała ona.

Wodziła ich obydwóch za nos, zmuszając, by szukali jej, gdy tymczasem ona z podejrzaną trupą muzyków wędrowała rynsztokami Europy. W krótkim czasie poświęciła uporządkowane życie dla włóczędzy po jazzowych klubach Paryża, po wypalonych słońcem plażach Hiszpanii. Zmieniała miejsca za prędko, by mogli ją dogonić, odzyskać i odebrać ludziom, którzy nie znali jej wcale, a mimo to potrafili tak

bardzo odmienić i uzależnić. Jakub miał nadzieję, że uda mu się przekonać Izę do powrotu i uratować ich związek. Chciał ją zobaczyć, dotknąć, przytulić. Był pewny, że gdy się spotkają, zapragnie tego samego i wróci. Wydawało mu się, że łączy ich ze sobą silna więź, silniejsza od odległości i czasu, mocniejsza niż jej nałóg, wieczna. Nie mógł zrozumieć, jak mogła tak lekkomyślnie rzucić porządne życie na szalę jakiejś szaleńczej utopii i zamienić siebie w potwora. Przecież była taka delikatna i piękna, taka wyniosła. Podejrzewał, że jest być może zagubiona, że potrzebuje pomocy, że ciągle czeka na ratunek, na to, że on jak rycerz zdobędzie szklaną górę, w której się zamknęła, i odbierze ją podstępnemu smokowi. Czuł, że ma do tego prawo, był przecież dla niej najważniejszy.

A Twardecki, samotny, zgorzkniały, opuszczony przez żonę, która źle znosząc wyjazd z kraju, szybko pożegnała się z życiem, połykając niezliczone ilości tabletek, liczył na to, że przy pomocy córki zdoła odbudować utracony dom. Nie chciał jej oddać innemu mężczyźnie. Potrzebował miłości Izy i czuł, że jako ojciec ma do niej większe prawa. Odprawiał nad jej duszą tajemne egzorcyzmy, miał dobre intencje, myślał, że racja jest po jego stronie. Szarpali się o nią jak wściekłe koguty i zaślepieni tą walką utracili bezpowrotnie, a wyrzuty sumienia, które przeszkadzały spokojnie żyć, zamienili na wzajemną nienawiść.

Te kilka chwil telefonicznej rozmowy wstrząsnęło Jakubem do głębi. Poczuł, że w środku aż coś zabolęło, zapiekło jak wtedy, gdy leciał do Polski samolotem, z wykupionym biletem lotniczym również dla Izy, na której wymusił wreszcie obietnicę powrotu. Lecz nie zjawiła się na lotnisku. Wtedy myślał, że go oszukała, że na nic zdały się tygodnie spędzone przy jej łóżku, gdy powracała do zdrowia, że kolejny raz wystrychnęła go na dudka, wysłała do domu, by się pozbyć intruza i bezpiecznie wrócić do życia, które wybrała.

Dopiero gdy wrócił, po kilku dniach, dostał wiadomość z Londynu. Zadzwoił zrozpaczony Twardecki, by przekazać mu tę straszną wiadomość. Iza umarła po przedawkowaniu, tego samego dnia, gdy on odlatywał do Polski. Cóż za banał. Jak w tandetnym filmie. Odeszła tragicznie i niepotrzebnie. A Jakub nie dowiedział się nigdy, czy to był pech, nieszczęśliwy przypadek, czyjej wybieg, kolejny numer Izy, ostateczna ucieczka.

Pozostał ze swoim poczuciem winy, obolały i zrozpaczony. Podnoszenie się z dna rozpacz trwało miesiącami. Opłacał to latami wyrzutów sumienia. Dręczyły go po nocach upiorne, senne koszmary. Wyrzucał sobie wszystko. Najpierw to, że jej wtedy nie zatrzymał, że pozwolił samej pojechać do domu, potem, że nie był przy niej, gdy umierała, a wreszcie, że pojechał po nią do Londynu. W

ostatnim stadium chciał dołączyć do niej na tamtym świecie. Wszystkim tym etapom towarzyszyła niezmienna i pewna nienawiść do Twardeckiego. Karmił ją i pielęgnował przez wiele lat. Usiłował ukoić nią własny ból i w najtrudniejszych chwilach, gdy sumienie nie dawało spokojnie żyć, wyjmował i uszlachetniał w coraz bardziej wyrafinowane formy. Wyćwiczył w sobie pewien nawyk. Ilekroć w życiu coś mu nie wychodziło, natychmiast przed oczami miał Twardeckiego. Utożsamiał go z krzywdą jakiej kiedyś doznał i podświadomie w nim doszukiwał się przyczyn wszystkich niepowodzeń.

Przez ułamki sekund przypomniał sobie wszystko i choć wzburzenie utrudniało mowę, postanowił, mając na względzie wiek starszego pana i jego mimo wszystko smutne życie, zachować spokój. Poza tym, rozmowie przysłuchiwała się matka. Mocniej ujął w rękę słuchawkę i powracając do przerwanej przed chwilą rozmowy, spokojnie zapytał:

— A dokładnie o co panu chodzi?

— Mam tu przy sobie pamiątki po mojej córce. Oprócz rzeczy osobistych, jest kilkanaście listów, które napisała zaraz po wyjeździe z Polski. Są bardzo piękne — chrząknął, jakby coś stanęło mu w gardle. — Pomogą panu zrozumieć jej postępowanie i wiele wyjaśnią. Tuż przed śmiercią gdy leżała w szpitalu obiecałem, że dostarczę je panu. Prosiła mnie o to. Chciała również, żeby przyjechał pan po nie osobiście i zabrał wszystko to, co będzie miało jakąś wartość — przerwał, czekając, co powie.

Jakub prawie zaniemówił. Tupet Twardeckiego był zadziwiający. Na cóż on liczył, po tylu latach? Przecież mógłby go nawet nie pamiętać. Chociażby dla zasady, dla komfortu, wymazać go z listy znajomych, na zawsze.

— Myślę, że już trochę za późno na sentymenty — chłodno odpowiedział Jakub. — Wspomnienia mogą tylko odnowić zabliznione rany. Może to nie pora na wyrzuty sumienia, z trudem udało mi się w końcu je uśpić — wyznał mu szczerze. — Niechętnie wspominam ostatnią wizytę w Londynie.

— Postąpi pan według uznania — Twardecki zrobił krótką pauzę. — Choć byłem pewien, że zechce pan zobaczyć jej rzeczy. Wiem sam, jak trudno było mi zamknąć tamten okres, że do tego potrzebna jest przysłowiowa kropka nad „i”. A pan przecież tej kropki jeszcze nie postawił. Myślałem więc, że do czegoś się przydam. Już sama rozmowa mogłaby coś pomóc. Wtedy, gdy pan wyjechał i zostałem sam z jej śmiercią, myślałem, że oszaleję. Może gdybym wtedy do pana zadzwonił, może byłoby

nam łatwiej. Więc skoro teraz, gdy jeszcze mam trochę czasu — Twardecki spokorniał — może teraz byłby pan skłonny przyjechać.

— To nie jest takie proste — Jakub też zmienił ton głosu na grzeczniej szy. — Musiałbym najpierw załatwić urlop i inne, niezbędne formalności. Nie da się tak po prostu wyjechać.

— Proszę się nie spieszyć. Mam nadzieję, że trochę pożyję. Zdam się na pana i zaczekam. Będzie potrzebny mój adres? — zawahał się. — Przepraszam, zapomniałem, pan przecież dobrze wie, gdzie mieszkam. Pod tym względem nic się w moim życiu nie zmieniło. Jednak może podam na wszelki wypadek?

— Jeszcze nie wiem, czy na pewno przyjadę. Trudno mi się tak od razu zdecydować i nie wiem, czy będę miał na ten przyjazd ochotę — znowu zabrzmiało bardzo oficjalnie. — Miłość do pana córki to przeszłość, a przeszłości już nie odmienimy. Nie widzę powodu, żeby kolejny raz rozgrzebywać te sprawy. Czyżby nie miał pan jeszcze dość naszych potyczek?

— Chyba czas najwyższy zakopać wojenny topór, jak pan myśli?

— I pan to mówi? Nie do wiary.

— Widzę, że wyprowadził pana z równowagi mój telefon. Umówmy się jednak, że gdyby podjął pan decyzję co do wyjazdu, to proszę zawiadomić mnie telefonicznie. Z hotelem nie będzie problemu, zamówię go na czas. Jeżeli chciałby pan połączyć to z urlopem, proszę zabrać również rodzinę. Z przyjemnością poznam żonę — zachęcał.

— Niestety, muszę pana rozczarować, nie jestem żonaty.

— Ach tak? — Twardecki wyczuł nietakt i trochę się zmieszał. — Przepraszam.

— Nic nie szkodzi. — Jakub szybko odłożył słuchawkę i głęboko nabrał powietrza.

Matka spoglądała ze strachem, przysłuchując się całej rozmowie.

Gdy o siódmej do drzwi zapukała Anna, on był już solidnie wstawiony. Wypił najpierw piwo przeznaczone na prezent, a potem napoczętą whiskey, stojącą od dawna w szafce koło telewizora. Była obrzydliwie ciepła, ale ciągle skuteczna. Po godzinie zapomniał o bożym świecie. Utopił swoje smutki w butelce i rozkleił się jak dzieciak.

Był podstarzałym kawalerem z własnego wyboru, uważał, że nie sprawdził się w najważniejszej chwili. Od tego momentu jakby przestał rozumieć cokolwiek. Stwierdził, że wszystko z czym się spotyka nasączone jest niepewnością. Żeby wiedzieć, zyskać pewność wyborów, musiałby być wszechwiedzący. A ponieważ nim nie był, wołał nie ryzykować. Iza, jak ikona najszcześniejszych lat, przestroniła mu przyszłość. Nie umiał przejść nad tym i zacząć sobie układać życie na nowo. To nieprawda, że się innym kobietom nie podobał albo że żadna nie podobała się jemu. Było w nim wiele namiętności, ale ze strachu ukrywał je skrętnie przed światem, udając obojętność. Był niezmiernie męski, wrażliwy i czuły. Mógłby być doskonałym mężem, kochankiem i partnerem na całe życie.

Kiedyś, gdy byli nieco młodszy, przy ognisku suto zakrapianym piwem, w dużym męskim gronie rozmawiali dość śmiało o kobietach. To się nieczęsto zdarzało. Męskie rozmowy przy piwie kobiet raczej nie dotyczą. Samochody, interesy, podróże, czasem sport. Chyba że chodzi o kobiety lekkich obyczajów albo o cudze żony. Wtedy ktoś rzucił niefrasobliwie temat, a inni podjęli z ochotą. Przechwalali się swoimi wyczynami i możliwościami, pomijając troskę o partnerkę. Jakub nie mógł pojąć, jak facet może zasnąć, zostawiając obok niezaspokojoną kobietę. Śmiali się, twierdząc, że one tak mają. Zatną się i nic nie poradzisz. Tadeusz zaczął mówić coś o Magdzie, narzekał, że ciągle przed nim ucieka, że czasem ma dość swojego małżeństwa. Dużo wtedy wypili. Inaczej nigdy by nie pozwolili sobie na takie zwierzenia. Marek też coś wtrącił na temat Doroty, że jest trochę męska i dominuje w łóżku, ale jemu się to bardzo podoba. Jerzy jak zwykle skromnie unikał tematu, inni w żartach wymieniali się doświadczeniami. Nikt chyba do końca nie był w tym szczery. Jakub okiem medyka zauważył, że w facetach jest mnóstwo kompleksów. Puszą się jak koguty, chwalą jeden przed drugim, a o tym, co ważne rozmawiają z głupawym uśmiechem. W sprawach męsko-damskich wszystko obracają w żart, nie potrafią poważnie zmierzyć się z tą kwestią.

Tym razem i on zachował się jak ostatni palant. Biedna Anna siedziała skulona w fotelu, patrząc z politowaniem. Była trochę zła, trochę zaskoczona, zdjęła płaszcz, buty i usiadła naprzeciwko w fotelu. Pogodziła się z faktem, że z imprezy raczej nic nie będzie.

— Jakub, co się stało? — zapytała z troską. — Czemu się tak urznięłeś?

Patrzył spode łba i bełkotał coś bez sensu pod nosem. W twarzy miał smutek, w jego zielonych oczach dostrzegła rezygnację. Nie dało się nawet rozmawiać. Zastanawiała się, zostać czy wyjść. W tym ciemnym mieszkaniu, pełnym książek i gazet, gdzie nie można było dostrzec nawet śladu kobiety, czuła się trochę nieswojo. Jak on mógł mieszkać w tym bezdusznym miejscu, gdzie do niczego nie można się było przytulić, niczym ogrzać. Wszystko jakies zimne, gołe, tylko podstawowe sprzęty, wygodne i

niebrzydkie, ale dlaczego tak mało przyjazne? Żadnej poduszki, koca, dywanu, chodnika. Stoły i biurka wylizane do czysta, klubowa kanapa ze skóry, obok niej metalowy stojak na sprzęt muzyczny, wypucowany jak w salonie firmowym, i szklany stolik tuż obok, i szklane półki na ścianie, i szklana ściana zaraz za plecami, a za nią chyba sypialnia. Ze strachem myślała o tej sypialni, w łóżku pewnie satynowa pościel i bielizna, brr! Anna poczuła, jak z chłodu tężeje. Jak można żyć w takim lodzie. Tortury to jakieś czy co, żeby się skazywać na wegetację w jaskini. Musi o tym porozmawiać z Jakubem. Jeśli się zgodzi, pomoże mu trochę ogrzać to miejsce, tylko trochę dodać mu życia, nieco smaku. Może podaruje mu obraz od Jurka, ten z dębem. Jest w takich ciepłych kolorach.

Ale Jakub spał zdrowo na tej skórzanej kanapie. Nie przeszkadzał mu chłód ani ciemności. Drzemał w zgięciu własnego ramienia, lekko pochrapując. Annie wydawał się rozczulający i śmieszny. Nie widziała go nigdy w takiej sytuacji. Alkoholu zazwyczaj odmawiał, bał się, że obnaży jego słabości. Ale z czego tu było obnażać kogoś tak prostoliniowego jak Jakub. Był człowiekiem ciepłym, lubianym i przyjacielskim. Trzymał lekki dystans, w pracy i prywatnie też bywał czasami ostry, ale to dla obrony przed tymi, co chcieli zbyt wiele.

Anna nigdy nie brała poważnie jego fochów. Każdy miał prawo do trudniejszych dni i on także, a może tym bardziej. Już dawno rozgryzła wszystkie natręctwa, za którymi się tak skrętnie ukrywał. Jak ktoś nie ma dobrego pomysłu, maluje cały dom na biało, jak nie ma własnego stylu, kupuje meble prosto z katalogu i ustawia jak na obrazku. Ale co z tego, przecież nie każdy musi być artystą. Cieszyła się, że ma go obok. Powodował, że przy nim czuła się pewna i spokojna. Był lojalnym kolegą i dokładnym lekarzem. Był pomocny w trudnych sytuacjach i ze względu na niezależność bardzo dyspozycyjny. Nie pałał już wielką namiętnością do medycyny, ale rzadko zawodził i z reguły można było na niego liczyć. W razie potrzeby był zawsze za ścianą, ze swoim doświadczeniem i męskim chłodem w ocenianiu podbramkowych sytuacji.

Anna kochała go na swój sposób. Nie była to miłość namiętna, już po tej fascynacji niewiele zostało, ale była miłością dojrzałą i pewną, taką na dobre i na złe. Nie myślała o poważnym związku. Miała już dość trudnych facetów. Przyzwyczajona do samodzielności, źle znosiła na co dzień czyjeś towarzystwo. Nie czekała na okazję do żeniaczki, nie polowała. Dlatego układ bez zobowiązań bardziej by jej odpowiadał. Spotkać się gdzieś, pójść razem na kolację, wyjechać na urlop, taki związek w stylu towarzyskim. Ale z Jakubem taki układ nie wchodził w rachubę. On albo był z kimś, albo nie był. Forma zażyłości musi być ściśle określona i odpowiednio do tego dograna reszta. Jakub był bowiem typem

introwertyka, ale miłego i z klasą. Taki mężczyzna odpowiadał Annie, szczególnie teraz, gdy miała już za sobą pewne doświadczenia i wiedziała dobrze, co w życiu liczy się najbardziej.

Od kilkunastu lat mieszkali osobno, każdy sam na swoich włościach. Przyzwyczała się już do tej samotności. Teraz, gdy opiekowała się wnukiem, życie pod tym względem bardzo się zmieniło. Pozostały niestety straszące pustką wieczory, spędzane do znudzenia przy książkach lub przy telewizorze. Czy będzie tak już do końca, czy może coś się jeszcze w jej życiu odmieni?

Tego wieczora na zrozumienie w sprawach uczuć Anna nie mogła już liczyć. Amant nie zdawał sobie nawet sprawy, że zaprzęta myśli swojej koleżanki.

— Jakub! — Anna poklepała go lekko po policzku i podtrzymała dłonią opadającą żałośnie brodę. — Ocknij się wreszcie, śpisz i śpisz, już godzinę czekam. Ścierpłam w tym fotelu, mam dość, chyba wrócę do domu. Nic tu po mnie, musisz się położyć, ale nie tu, tylko do łóżka, choć, pomogę ci, pościelimy razem.

Nie dostrzegł twarzy, bo Anna siedziała w ciemności, ale poznał jej głos. Próbował zrozumieć, o co jej chodzi. Coś chyba nabroił. Jak przez mgłę wróciły kolejno zdarzenia z całego dnia i przypomniał sobie nieszczęsny koniak, stał w szafie chyba dziesięć lat. Czyżby się nim upił, chyba raczej struł się tym świństwem. Czy ból, który pulsował w skroniach to kac, czy już objawy rozstroju żołądka? I jeszcze ścierpła mu ręką, na której zasnął.

— Jestem nieszczęśliwy — oznajmił półprzytomnym głosem.

Anna tylko pokiwała głową. Cały Jakub. Żali się, a powinien przeproszać.

— Raczej pijany — stwierdziła z pretensją. — I do tego nie-słowny. Zaprosiłeś mnie, wykosztowałam się na nową sukienkę, a teraz zalałeś robaka. Mogłeś chociaż zadzwonić, że nici z imprezy, zostałam w domu. A tak, wieczór zmarnowany, dziecko w szpitalu bez babci...

Jakub uniósł nieco głowę i z grymasem bólu usiłował z ciemności wydobyć kształty przedmiotów. Najbliżej stała butelka. Jak na złość jaśniała pustym dnem.

— Wszystko wypięm? — spojrzał zgorszony.

— Na to wygląda — stwierdziła Anna ze stoickim spokojem. — Mogłeś choć łyka zostawić.

— No tak — spojrzął po raz drugi. — Wszystko — powtórzył, jakby własnym oczom nie wierzył.
— Stara była, stara jak cholera. Jeszcze mi zaszkodzi — marudził.

— Stara to dobra. Nie znam się na tym, ale powinna być stara według mnie.

— Chyba się rozchoruję — żalił się dalej, nie słuchając wcale, co do niego mówi. — Już jestem chory, nawet to czuję. Minęła godzina, a już czuję się źle.

— Nie biadol tak. Może w końcu pomyśl trochę o mnie — Anna dała mu lekkiego kuksańca. — Paskudny egoisto — powiedziała dobitnie.

Jakub wciąż nie był trzeźwy. Podniósł się, otrzepał i wszedł do łazienki. Na widok odbicia w lustrze głęboko jęknął. Anna słyszała z pokoju, jak puszcza wodę, potem długo myje zęby, a na koniec odstawia głośne płukanie gardła. Chciało jej się śmiać, resztką woli utrzymała powagę. Jakub wrócił po chwili, całkiem odmieniony. Miał jeszcze mokre włosy, a na lewym policzku nieroztarte resztki białego kremu, a może pasty. Tym widokiem wzbudzał w niej jedynie matczyne instynkty.

— Sorry — powiedział ze skruchą, poprawiając odruchowo włosy. — Nieźle się wstawiłem. Nie wiem, co mi odbiło. Wróciłem od mamy i chciałem się uspokoić. Pomyślałem, że zanim przyjedziesz, będę już całkiem do rzeczy, a potem to już się samo porobiło. Nagle urwał mi się film. Sam nie wiem kiedy. — Przeprosiny miał wymalowane na twarzy. — Gniewasz się? — zapytał z pokorą.

Anna wzruszyła ramionami.

— Marne usprawiedliwienie — stwierdziła z kpiną. — Dałeś po prostu plamę. Dorosły facet raczej zna się na alkoholu.

— Przeprosiłem przecież, dorosłemu czasami mogą zdarzać się wpadki. — Chciał Annę jakoś udobruchać. — Daj spokój. Jestem tylko człowiekiem — oświadczył z niewinnym uśmiechem. — Miałem straszego doła, musiałem się upić.

— Czy zawsze muszę trafiać na facetów, którzy mają problemy? Pozornie zaradni, a bez kobiecej piersi ani rusz, muszą się w końcu na niej wyplakać.

— To tylko dziwny traf, przypadek, że właśnie dzisiaj — próbował coś do niej powiedzieć.

— Więc przez przypadek siedzę tu i więdnę?

— Aniu, wcale nie więdziesz. Naprawdę, wyglądasz pięknie — zapewnił Jakub.

— Ale czuję się podle. I mam żal, że zrobiłeś mnie w konia. Przez godzinę układałam włosy, potem staranny makijaż, przymierzanie butów, szukanie odpowiedniej torebki. Nic dziwnego, że pięknie wyglądam. Ale co z tego, skoro wszystko na darmo.

— Mogę ci za to poświęcenie postawić wino? — próbował ją jakoś rozśmieszyć — Rewanż, za różowe, które piliśmy ostatnio u ciebie.

— Nie dam się tak zbyć byle czym — udawała wciąż obrażoną.

— To nie będzie byle co — zapewnił Jakub. — A poza tym, do tego całe wino dla ciebie — zrobił skruszoną minę. — Mnie nie nalewaj — zaznaczył i chwycił się szybko za głowę.

— A gdzie jest to wino? — rozejrzała się po ciemnym pokoju.

— Wino? — pomyślał chwilę.

— Tak myślałam — westchnęła głośno, po czym wyjęła butelkę z reklamówki, z którą przyjechała do niego.

Jakub patrzył na Annę z uwagą, jak zgrabnie radzi sobie z korkiem.

— Ja nawet wina nie potrafię tak szybko otworzyć. — Rozłożył bezradnie ręce. — Niczego nie potrafię zrobić jak należy — użalał się znowu nad sobą.

— I dlatego jesteś pijany?

— Dlatego — przyznał szczerze. — Moja butelka miała tylko zakrętkę.

— Jakub, bądź już poważny, przeszła mi ochota na żarty.

— Nie dasz się udobruchać, nawet za swoje wino?

— Traktujesz mnie teraz jak dziecko. Traktuj mnie poważnie — prosiła. Nagle zrobiło się jakoś ciężkavo. Słabe światło stojącej za nimi lampy delikatnie rozprasało mrok. Anna popijała wino, zakreślając wskazującym palcem kółka na brzegu kieliszka. Jakub spochmurniał, odwrócił się, wstał i podszedł do okna. Słyszał, jak Anna odstawia kieliszek. Po chwili włączyła telewizor. Wyglądali jak przykładne małżeństwo, spędzające jeden z piątkowych wieczorów. Ona włącza telewizor, on przebiega

wzrokiem wyludnione ulice. Są po kolacji, ona pije wino i szuka na kanałach czegoś ciekawego, on jest zły, ponieważ na jednym z nich prezentują w tej chwili nowy model wymarzonego auta. W końcu on razem z nią obejrzy powtórkę serialu. Przez szczeliny drewnianych żaluzji obserwował chodnik. Wąski pasek zieleni rudział już z braku opadów, resztę dokonały spaliny i gęszcz korzeni rosnących tu drzew. Gdzieś w oddali, pomiędzy dachami sterczała w górę wieżyczka kamienicy, w której mieszkała Iza. To dlatego kupił to mieszkanie. Spoglądał rozmarzony w tę stronę, czując, jak za jego plecami inna kobieta, nie Iza, wprowadza się do jego mieszkania. Jeszcze nieśmiało siada w fotelu, jeszcze się boczy, gniewa, przekomarza, na razie tylko z wizytą, na krótko, chce tylko przejrzeć kanały, sprawdzić pogodę albo obejrzyć dziennik. Ale ten wstęp, ta mała przygrywka, zapowiadała bliski dalszy ciąg.

Czy był jakiś sens bronić się przed tym, czy, jak twierdziła matka, potrzebna jest mu rodzina? Wymazać z pamięci Izę i spróbować z inną? Bądź mądry, człowieku, jak mówią, i pisz wiersze. Nie miał odwagi spojrzeć Annie w oczy. Jeszcze przed chwilą chciał przed nią uciekać. Wyglądała tak obco, choć przecież dobrze się znali. Jakub nie mógł tego zrozumieć.

— Wiem, Kuba, wiem — Anna przerwała ciszę, widząc, jak zamyślony spogląda przed siebie. — Masz swoje powody do zmartwień, nie ty jeden, pamiętaj. — Denerwował ją trochę swoim zachowaniem. — Mnie też nie jest łatwo. Ale do licha, jak długo można roztrząsać to samo, wracać tysiące razy i myśleć, myśleć bez końca? Wiesz co, jesteś śmieszny — pokiwała głową. — I irytujący. Nawet mi się nie chce już tego słuchać. Ciągle tylko: ja i ja... Iza i Iza. Do cholery, przestań się mazać! — podniosła głos. — Znajdź sobie wreszcie kogoś i ożeń się. Gwarantuję, że zapomnisz o niej po kilku tygodniach — wyrzuciła z siebie jednym tchem. Pomyślała, że może tu potrzebna jest terapia wstrząsowa.

Morański obrócił się wolno i zobaczył, jak Anna opróżnia kieliszek. Czuł, że jest zdenerwowana. Więc jeszcze ją dobił.

— Myślisz o sobie? — zapytał z przekąsem.

Grymas bólu przebiegł po jej twarzy. Próbowwała zachować spokój. Nie miała zamiaru się wypierać, przecież powiedział prawdę. Te gesty między nimi, codzienne udawanie, ta sztuczna przyjaźń, przywiązanie, zawodowa pomoc. To wszystko lipa. Już nie miała nic do stracenia. On był obolały, chory na chorą miłość, a ona tyle lat czekała. Na niego.

— A jeśli? — powiedziała szczerze i zaraz spuściła wzrok. Jakub obracał w rękach futerał do okularów, znalazł go na parapecie. Szukał go już od dawna. Futerał w małe niebieskie kwiatuszki, już starte od ciągłego noszenia w kieszeni, za mały na jego okulary, pamiątkowy. Jeszcze nią pachniał. Kupił ten futerał u Diora, nie pamiętał gdzie, ale kosztował fortunę. To było tak dawno temu. Odruchowo, bez zastanowienia przyłożył go do ust i powiedział spokojnie do Anny:

— Chcesz, mogę ci zamówić taksówkę. I przepraszam za zepsuty wieczór.

Anna głęboko westchnęła. Będzie musiała jakoś to przełknąć. Życie widać nie chce jej oszczędzić goryczy, choć mogłoby trochę odpuścić. Trwały wakacje, ludzie powinni być dla siebie życzliwi, choćby te dwa miesiące w roku.

— Nie szkodzi — odpowiedziała z uśmiechem. — Jestem zahartowana. Nie pierwszy i nie ostatni.

Dorota nudziła się w domu. Trwały wakacje, ludzie powinni być dla siebie życzliwi, choćby te dwa miesiące w roku. Tymczasem szkoła i nauka były już tylko wspomnieniem i w jej życie wdarła się nuda. Zebrała wprawdzie liczne pochwały, ale wszystko i tak tonęło w czarnych myślach na temat porodu. W tej sytuacji prywatne problemy przesłoniły radość po udanym półroczu. Wiele spraw w ciągu ostatnich tygodni nabrało nieco innych kolorów, a może raczej odcieni, bo tylko o ton poprawiło się samopoczucie Doroty. Najważniejszą rzeczą która zadecydowała o lepszym nastroju były listy od dzieci. Chyba tęsknota za matką w codziennym życiu dała się im trochę we znaki. Nieważna przyczyna, liczył się fakt. Być może w domu wygasły na tyle zarzewia historii, że same zaczęły myśleć i decydować, a może to Marek przestał je kontrolować. Zresztą dzieci nie skarżyły się Dorocie na ojca. Wprost przeciwnie. Nigdy przedtem tak wiele dobrego na jego temat z ich ust nie słyszała. W ostatnich dniach plany wakacyjne przysłoniły nieco intensywność korespondencji, za to częściej do niej dzwoniły. Aż trudno było uwierzyć, że się przełamia do tego stopnia. Dorota obserwowała, że z każdym kolejnym telefonem ich rozmowa toczyła się w sposób bardziej naturalny. Nie wyczuwało się w ich głosie żalu ani pretensji, ale nigdy też nie padło z ich ust pytanie, gdzie jest i czy kiedykolwiek wróci. Stąd miała podejrzenie, że Marek wciąż trzymał rękę na pulsie i manipulował tym, co mówią do niej przez telefon. Mimo to była mu wdzięczna, że nie pogłębia już przepaści pomiędzy nią a dziećmi i nie utrudnia wzajemnych kontaktów.

Jemu też z pewnością nie było łatwo. Stracił niedawno pracę. Z tego, co jej regularnie donosiła Mela, przebywał w tej chwili na urlopie i po kolei odrzucał wszelkie propozycje, które oferowała mu dotychczasowa konkurencja. Dorota dobrze знаła układy, w których pracował. Wiedziała, jak rozwija

swoją gazetę, ile poświęca jej czasu i pasji. Czasami nawet była o nią zazdrosna. Początkowo bała się tych ciągłych wyjazdów za granicę. Bywał w całej Europie, w Paryżu, Londynie, w Rzymie, bo właśnie tam podpisywał korzystne kontrakty na ciekawe reportaże, mądre felietony, kupując do nich prawa za bardzo rozsądne pieniądze. Potem się oswoiła. Lubiła nawet, jak wracał do domu z wypiekami na twarzy, uszczęśliwiony kolejnym sukcesem. Gazeta się rozwijała, a Marek myślał, że tak będzie zawsze. Niestety, czas i dla niego okazał się w końcu okrutny. Zmienili starego redaktora na młodszego. Konserwatywnego w poglądach na takiego, który był bardziej liberalny, a jednocześnie politycznie „poprawny”.

Dorota doskonale rozumiała jego rozżalenie. Niełatwo pogodzić się w porę z uciekającym czasem i zrozumieć, że gdy się jest na półmetku życia, trzeba zweryfikować pewne wyobrażenia o sobie.

Dzisiejszy spacer wyprowadził ją daleko za miasto. Szła i szła, nie chciało jej się wracać do domu. Samotność ją dobijała, wołała mieć przed sobą perspektywę drogi i niepewność, co czeka ją za kolejnym zakrętem, niż samotne mieszkanie i ścianę naprzeciw. W ciasnych pokojach tylko złe myśli przychodziły do głowy. A tu tyle radości. Pogoda była przepiękna. Szła wzdłuż miedzy, w głąb niewielkiego lasu. Trawa była soczysta, po ostatnich deszczach, które u nich jakoś dopisały. Całą drogę myślała o Marku, martwiła się, że do niej nie dzwoni. Ona zresztą także milczała. Cóż mogła mu o sobie powiedzieć. Że za miesiąc urodzi dzidziusia, syna albo córeczkę, i jemu przywiezie w prezencie, jeśli ją wpuści ją do domu?

Nie robi tego przenigdy. Niech już pozostanie jak jest. Może i on ułoży sobie jeszcze z kimś życie. Nie będzie mu łatwo zapomnieć, jej też, ale to koniec nadziei na proste rozwiązania. W jej sytuacji nie będzie już niczego prostego. Wszystko pogmatwała jemu i sobie i teraz mogła tylko liczyć na cud. Tak widocznie chciał los, takie było jej przeznaczenie. Już przestała siebie obwiniać. Czasem nie ma się wpływu na to, co przyniesie chwila. Głupi są ci, którzy się zaklinają. Trzeba tego najpierw doświadczyć, żeby zabierać głos i żeby oceniać. Ona wie to najlepiej. A teraz wieczna tęsknota i dręczące nocne koszmary, to jej przyszłość, tego się może spodziewać. Czy Paweł naprawdę istniał? Coraz częściej miała wątpliwości i gdyby nie zdjęcia, namacalny dowód przestępstwa i wszystko, co za tym poszło, sama by się zaparła przed sobą. Nie chciała po raz kolejny katować się pytaniami: co by było, gdyby? Odnajdywać i zaraz porzucać argumenty. Złe myśli odganiała jak natrętne muchy, próbując skoncentrować uwagę na tym, co przed nią. Swoją komórkę zostawiła Markowi, a wraz z nią możliwość kontaktów z Pawłem. Ciekawe czy dzwonił. Przecież znał już z pewnością jej sytuację. Stara prawda —jak kocha, to znajdzie albo poczeka. Nie wyglądało na to, żeby szukał.

Idąc teraz prosto przed siebie, chłoneła zapach lasu. Droga prowadziła ją długim półkolem. Minęła las, kilka zabudowań i obok nich wąską asfaltową drogą doszła do masywnej bramy. Za bramą mieścił się klasztor. Słyszała o nim. Słyszała również o uroczym parku wokół niego, co w miejscu tak bardzo oddalonym od miasta, niemal w środku lasu, wyglądało niezwykle. Park był rzeczywiście piękny i zadbany, chociaż niezbyt duży. Otaczał niskie zabudowania klasztoru i doklejony do niego, trochę wyższy kościół. Podwórko klasztorne z jednej strony zamknięte pobielonym murem ukrywało szczegóły z życia zakonników. Wzdłuż muru rozciągał się wąskim pasem obszar pięknej zieleni. Dorota nie wiedziała jak określić to miejsce, bo oprócz regularnych alejek, altanek, pięknych ławek z kamienia, wiecznie zielonego bluszczu, były wydzielone miejsca, ukryte przed okiem przechodnia. Trzeba się było w nie zanurzyć, żeby zobaczyć zamykającą się za plecami ścianę zieleni. Obeszła to wszystko z zachwytem. Słońce cudownie podświetlało cienie drzew, ławek i dyskretnych alejek.

Teraz w parku nie było nikogo. Słyszała jednak czyjeś głosy po przeciwnej stronie muru. Potem śmiech, odgłos odbijanej piłki. Zakonnicy grali w siatkówkę. Zerała ją ciekawość, żeby tam zajrzeć, ale nie była już małą dziewczynką która się wspina po płotach. Teraz mogła jedynie uruchomić swoją wyobraźnię albo zapukać i po prostu wejść, ale to raczej nie wchodziło w rachubę. Zadowolili się więc wizytą w kościele. Zobaczyła uchylone drzwi i dość mroczne wnętrze.

W środku panował chłód. Kilka rzędów pustych ławek i wąskie przejście wytyczało drogę do ołtarza. Była sama. Przystanęła zauroczona miejscem i nieco przytłoczona ciemnością. Zawahała się, zanim usiadła. Może tu trochę odpocząć. Patrzyła na skromny, bardzo prosty ołtarz, na nim tylko białe kwiaty w przezroczystym wazonie, a obok, pod ścianą metalowy krzyż. W narożnikach paliły się lampy, dogasały krótkie świece. Rzuciły na kamienne ściany smugę słabego światła. Dorota zastygła w bezruchu. Już dawno nie była w kościele. Dlaczego przestała chodzić? Tego nie wie do końca. Po prostu przestała i tyle. Może nie czuła potrzeby, może nie oczekiwała od Boga, że rozwiąże jej problemy, a może tak było wygodniej. Ale teraz? Teraz się zawahała.

Płomyki świec drgały delikatnie w strumieniu chłodnego powietrza. Poczuła ten podmuch na plecach. W jednej chwili znikła pozytywna energia i pojawiły się dręczące przecucia. Ogarnęło Dorotę zmęczenie. Przymknęła na chwilę powieki, żeby uporządkować myśli. Spokój, spokój, powtarzała uparcie. Musi przede wszystkim zachować spokój.

Sen przyszedł niespodziewanie szybko. Nie czuła, że śpi, bo dalej była w kościele, w tym samym miejscu. Tylko ołtarz się zmienił. Tuż przed nią, na katafalku, stała ogromna trumna, cała przykryta

naręczami białych kwiatów. Długie gałęzie zwisały aż na podłogę. Wstała dławiona niepokojem, a ciekawość podszeptowała, żeby zajrzeć do środka. Wieko było zbyt ciężkie. To gałęzie dociskały tak mocno. Jednym ruchem zrzuciła wszystko na podłogę. Ciężkie konary zadudniły w kamienną posadzkę. Spod wieka coś wystawało. Jakieś żółtopomarańczowe strzępki. Ze strachem uniosła drewnianą pokrywę. Szarpnęła jeszcze raz. Ze środka posypały się na jej nogi jesienne liście. Wylatywały całymi pękami, zasypując podłogę kaplicy. Leciły bez końca na ławki, na ołtarz i na nią. Sięgały już do pasa, do ramion, do ust. Dorota zaczęła się dusić.

Zaskrzybiały drzwi — to ją obudziło. Rozejrzała się przestraszona. Przy ołtarzu pojawił się mężczyzna w szacie zakonnika. Przywitał Dorotę skinieniem głowy i postawił coś obok krzyża.

— Do spowiedzi? — zapytał, nie odwracając nawet głowy w jej stronę.

— Nie — odpowiedziała spłoszona. — Weszłam tylko, żeby odpocząć. Posiedzę i zaraz pójdę — tłumaczyła.

— Proszę zostać, odpocząć, pomodlić się ze spokojem. O tej porze rzadko kto tu zagląda — odwrócił się do niej. Zobaczyła, że jego oczy świecą. Odbijał się w nich słaby promień świecy. W tej białej szacie przypominał Dorocie anioła.

— A może chce się pani wyspowiadać? To dobra okazja na spowiedź i jaki nastrój — rozejrzał się wkoło — a ja mam czas.

— Ale ja nie chodzę do spowiedzi — odpowiedziała szybko. — To znaczy dawno nie byłam, jakieś piętnaście lat, może więcej.

— A, to w samą porę pani tu wpadła. — Uśmiechnął się i przysiadł obok na ławce. Był wysoki, przystojny, nie pasował do mrocznego miejsca, w którym rozmawiali. — Marnuje się — przeleciała jej bezsensowna myśl. Zebrała się na odwagę.

— Chce mnie ksiądz poddać psychoanalizie? — poczuła potrzebę ataku.

— Psychoanalizie? — zapytał zdziwiony. Wzruszyła ramionami, a potem spojrzała z uwagą.

— A czymże jest spowiedź? Tylko zamiast kanapy stoi konfesjonał i ksiądz zamiast psychologa.

— To ciekawe podejście. — W lot zrozumiał złośliwość, ale nie zaprzeczył. Dziwny uśmiech zagościł na jego twarzy, zawahał się. — Podoba mi się takie porównanie.

— To nie porównanie— odpowiedziała. — Tylko fakt.

— Jeśli nie ma różnicy, to dlaczego nie spróbować w kościele? Przynajmniej będzie za darmo i szczerze. Zobaczymy, co wypadnie lepiej. Jeśli zmienimy tylko określenie i grzechy nazwiemy problemami, może i pokuta będzie niepotrzebna? Więc co — zadziornie zapytał. — Spróbujemy? — zachęcał.

Zapadła cisza. Dorota walczyła z myślami.

— Gdybym opowiedziała księdzu o swoich problemach...

— Jestem gotowy wysłuchać. Uśmiechnęła się z przekąsem.

— Może innym razem — odpowiedziała lodowato.

Zakonnik wyszedł bez słowa. Zostawił ją samą. Słaby płomień dopalających się świec drżał w chłodnym półmroku. Dorota pożałowała decyzji.

Janusz zszedł po drewnianych schodach na szeroką plażę. Nie żałował dzisiejszej decyzji, cieszył się, że tu przyjechał. Gdzieś spod wydm dochodził głośny śpiew, a w oddali, na trampolinie, jakiś chłopak wykonywał akrobacje. Ludzie nagradzali oklaskami jego skoki, a on bez końca wzbijał w górę swoje drobne ciało i spadał po chwili przy wtórze oklasków. Akrobacje były zaprzeczeniem ludzkich możliwości.

— O czym on myśli, gdy spada w dół i uderza o napiętą tkaninę? — Janusz zastanawiał się, patrząc, jak ciemny punkcik, raz pojawia się, a raz znika na tle nieba. — Pewnie o niczym. Gdyby zaczął myśleć, złamałby kark. Myśli to chyba najcięższa rzecz na świecie. Znał uczucie przesyty w tym względzie. Dzisiaj wziął urlop od myśli, zostawił je innym na głowie i cieszył się chwilą wolności. Co będzie jutro i później, przestało się liczyć. Chciał razem innymi uczestniczyć w festiwalu radości.

Plaża tętniła życiem. Dzień czy noc, dla ludzi to nie miało znaczenia, najważniejsze, by wypełnić swój czas po brzegi, ile się da. Bo tutaj wszystko się liczy podwójnie, zabawa, odpoczynek i ceny. Pieniądzy nikt nie żałował. Oszczędzanie zostawili na potem. W gwarze utonął szum morza, fale biły bezdźwięcznie o brzeg, zresztą nikt ich nie słuchał. Było tyle atrakcji. I dzieci, wszędzie było ich pełno. Radosne i zbyt pobudzone, wypełniały swym szczebiotem pewien charakterystyczny zakres dźwięków, zagłuszający wszystko dookoła.

Widok tych dzieci wyjątkowo poruszył Janusza. Był wyrodnym ojcem, teraz to widział. Zawsze się wykręcał. Nie miał czasu, żeby jechać ze swoimi nad morze. Jeździły z matką. Teraz był sam, to efekt wcześniejszej przezorności. Więc skąd nagle ten żal do świata? Znow załała go fala goryczy. Otrząsnął się starym zwyczajem i poszedł w kierunku wody. Ktoś rzucił w jego stronę piłkę, odrzucił ją w gęsty tłum, nie patrząc do kogo. Mijał kobiety uprawiające jogging, faceta z psem, dwóch chłopców z latawcem i całującą się w grajdołku parę. Nie mógł zrozumieć fenomenu, który każe ludziom zbierać się w masach. Próbował odpowiedzieć na pytanie, jak człowiek mówiący wciąż o ucieczce od zgiełku i hałasu pakuje rodzinę w samochód lub coś tam innego i jedzie w miejsce takie jak to. Bawią się, cieszą, jakby o niczym innym nie marzyli. Łączą się ze sobą w niezrozumiałej jedności i radują wspólnym przebywaniem.

Nie zauważył, że na niego również spadła odrobina tego fenomenu, że jakimś niepojętym cudem dał się ponieść chwili i przyjechał tu, dołączył do innych. Stwierdził, że człowiek jest zwierzęciem stadnym i dobrze się czuje w towarzystwie, a o samotności mówi jedynie z pustej kokieterii.

Gdy tak stał i patrzył, nagle dotarło do niego, że to wszystko jest niewiarygodne. Jeszcze kilka godzin temu zgorzkniały siedział nad biurkiem, myśląc, że za chwilę zawali się świat, a świat stoi jak stał, za to on zjawia się na piaszczystej plaży i rozmyśla o istocie egzystencji. Czuł intuicyjnie, że przyjazd tutaj ma niewyjaśniony podtekst, który niebawem przyjdzie mu poznać. Jakby czekała na niego jakaś globalna transformacja, pozwalająca zrozumieć etap życia, na którym się właśnie znajdował i zapytać siebie, co dalej?

Nagle w twarz uderzył go wiatr, smagnął, aż zabolalo. Stał tuż nad wodą. Buty ugrzęzły mu w mokrym piasku, ale miał to w nosie. Poczul, że woda sięga już kolan, to nagły przypływ fal zalał mu nogi. Bawił się tym jak dziecko i cieszył. Przed sobą miał jednolitą szarość, żadnych odcieni. Cudowne zjawisko absolutnego zlania się horyzontu z linią morza. Długo by szukać granicy. Gdzieś z prawej strony powinien pojawić się Księżyc, ale utonął zapewne w szarości. Woda dotykała granicy nieba, lecz nawet o ton nie różniła się od niego kolorem. Wszystko zszarzało. Patrzył w nieskończoną otchłań. Poczul się jak rozbitek, zapędzony na ostatni skrawek ziemi, poza którym nie pozostało już nic ludzkiego. Jakby należał do tej jedynie ocalonej grupy, zebranej na resztkach świata, oczekującej na pomoc. Garstka, która pozostała po miliardach zaginionych w wielkim kataklizmie, bezradnie szukająca ratunku, pocieszała się chwilową zabawą.

Gdyby tak rzeczywiście było, wszystko, co robił dotychczas, straciłoby sens. Tak niewiele jest warte, a zabrało mu połowę życia. Jakby się ocknął z koszmaru. Nie chciał być więcej ofiarą wielkiej

machiny. Nie chciał wracać do swojego życia, tu, pomiędzy rozbitkami było mu dobrze. Poczł się wolny, jakby był po raz pierwszy wśród swoich, pomiędzy tymi, którzy umknęli jak on w krainę niczyją, nieskomplikowaną i beztroską. Patrzył przed siebie w niemy horyzont i szukał w szarozielonej mgłę jakiegoś pęknięcia bądź rysy, by dowiedzieć się, co jest tam, za nią. Wypatrywał znaku z nieba, tajnego sygnału, który miał go poprowadzić ku prawdzie. Nie słyszał hałasów dochodzących z plaży, tylko kotysał się, tańczył i patrzył. Gdzieś z wydm, ze ścieżki prowadzącej na plażę rozległ się dźwięk klarnetu. Ktoś grał „Marzenie” Schumanna. Niebiańska muzyka potoczyła się jak błękitny tiul i powoli opadała na oślepiających ludzi. Tysięczny tłum, ugiął się pod naporem muzyki. Wszyscy odwrócili się w kierunku schodów i zamarli w bezruchu. Nad ich głowami rozstąpiły się chmury, oświetlając grajka. Tuż nad horyzontem zachodzące słońce przebiło szarość i otworzyło się niebo. Muzyka płynęła łagodnie w powietrzu, robiło się coraz jaśniej.

Janusz stał i patrzył wzruszony, jak otwiera się nad nim złota droga i kładzie na wodzie, czerwony chodnik wprost pod jego nogi. Widok był niesamowity. Zrobił krok, potem drugi, zaczął iść wzdłuż strumienia światła po wodzie. Początkowo żartował, że znalazł drogę do krainy szczęścia, potem tylko szedł, nie myśląc o niczym. Przeżywał metafizyczne olśnienie, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia.

Jeszcze się wahał przez chwilę, obejrzał. Żał mu się zrobiło muzyki, która cichła z każdym jego krokiem. Jeszcze chciał rozważyć, ciągle miał wybór, iść, czy powrócić do swoich. Ciężkie fale stawiały opór, jakby mu w tym chciały przeszkodzić. A on nie czuł już ani tych fal, ani zimna. Szedł w kierunku otwartego nieba, coraz dalej i dalej. Nie oglądał się już wcale za siebie i oddalał nieuchronnie od brzegu. Nikt go nie wołał, nie próbował zawrócić, tylko jakaś mewa z bezsilnym skrzykiem trzepotała nad jego głową. W groteskowym geście wyciągnął przed siebie ramiona, chciał podskoczyć do góry, dotknąć nieba, lecz zatoczył się, a powracająca fala podcięła mu nogi, ale jakoś się w końcu wynurzył. Wyłonił się z fali, wyprostował i zawołał w stronę szybujących ptaków, do kogoś, kogo może u góry zobaczył.

— Dziękuję!

Rozłożył ręce, ostatni raz spojrział na niebo, a potem zaczął pogrążyć się w wodzie. Fala głaskała go miękko, jak niegdyś dotyk czułej dłoni. Próbował sobie przypomnieć tę dłoń. Matka, żona, kochanka? Czuł w sobie potrzebę chrztu ostatecznego, uwolnienia się z ludzkich słabości i pozbycia problemów. Kusiła go śmierć i to, co jest poza nią niespodzianka, którą być może przyniesie i nadzieja, że może dzięki niej zazna absolutnego spokoju. Poddał się temu z rozkoszą jak piesszczocie. Nic już nie miało znaczenia, tylko ten dotyk.

Nagle dogonił go dźwięk komórki. Komuś z plażowiczów zadzwonił telefon. Głupia melodyjka z bajki o Koziołku Matołku. Janusz spojrzął w kierunku brzegu i zastygł zdziwiony. Ziąb przeszył go na wskroś, zobaczył, że stoi po szyję w wodzie. Wokół panowała ciemność, był sam, tylko granatowe morze i on. Otwierał coraz szerzej oczy, wypatrując brzegu. Stał przez chwilę kołysany ruchem fal, bał się poruszyć. Grunt mu się wymykał spod stóp, czuł, że kolejna fala poniesie go w morze. Jakimś cudem odzyskał siły.

— Cóż za dziecinada — powiedział głośno, a potem powoli ruszył w kierunku lądu. Do plaży miał zaledwie kilkanaście kroków. Z radością wracał do świata żywych. Na plaży słychać było, jak sprzedawca zaprasza na pyszne bułeczki i lody malinowe.

Mela ze smakiem zjadła śniadanie, czuła, że za chwilę pęknie, dobiły ją malinowe lody. Właściciele miłego pensjonatu serwowali pyszne bułeczki, świeżą wędlinę i przeróżne owoce. To wszystko popiła trzema filiżankami kawy. Od kiedy wyszła z zakładu, przeczuciła się całkowicie na kawę. Mdlilo ją na widok herbaty. Przez dwadzieścia kilka lat herbata była jedynym łatwo dostępnym napojem. Kawę też piła, czasami, ale zazwyczaj najtańszą. Teraz mogła wybierać między gatunkami i chciała wszystkiego spróbować.

Zaraz po śniadaniu zadzwoniła do Inki. Dochodziła dziewiąta, więc liczyła się z tym, że jej pewnie przeszkodzi w pracy. Inka nie odbierała. A więc szok trwa ciągle, nie chce spotkania. Dlaczego tak nagle zmieniła decyzję? Melę gnębiły znaki zapytania. Wymyśliła sobie tę podróż głównie dla niej. Mogła wprawdzie jechać do Doroty, nawet powinna. Dorota niedługo rodzi. Albo zadzwonić do Anny, albo zajrzeć do Krakowa, do Zosi. Ale Sopot był dla niej podwójnie ważny, ze względu na Kostka. Marzyła, że wróci do miejsca, w którym narodziła się ich miłość i gdzie była taka szczęśliwa.

Zdecydowała sama. Został jej piątek, w sobotę laboratorium mogło być przecież nieczynne, znała adres domowy, ale bez zaproszenia nie pójdzie, nie jest aż taka odważna. W książce telefonicznej odnalazła potrzebne adresy, zamówiła taksówkę, a potem kazała się wozić. Za trzecim razem trafiła. Na budynku przychodni, już z okna taksówki dostrzegła tabliczkę z nazwą laboratorium i nazwiskiem Inki. Pewnym krokiem weszła do ośrodka. Od jednej z pracownic usłyszała, że pani magister jest na obiedzie, w szpitalu. Mela musiała poczekać. Wolnym krokiem, sopocką ulicą powędrowała w kierunku szpitalnej stołówki. To było tylko kilkadziesiąt metrów. Pomyślała, że może spotka Inkę po drodze. Usiadła na ławce przed wejściem, układając w myślach, co powie, gdy ją zobaczy, od czego zacznie rozmowę?

Postępowała wbrew wszystkim zasadom, których obiecała przestrzegać. Bo przecież miała się nie narzucać. Zdecydowała, że będzie samodzielna, nikomu nie chce być ciężarem i sama stanie na nogi. Tymczasem warowała pod drzwiami tej, która przed nią wyraźnie uciekała. Ludzie się zmieniają, zrywają stare kontakty, nawiązują nowe, wymazują z pamięci przeszłość, czasem się jej wstydzą a czasami boją. Więc może jednak spod tych drzwi należałoby odejść? Minęło już tyle lat. Tej przeszłości już nie ma i dobrze, trzeba ją z siebie wyprzeć w miarę możliwości.

Zanim jednak postanowiła cokolwiek, zobaczyła Inkę w drzwiach z jakimś mężczyzną. W pierwszej chwili nie miała pewności. Upewniła się dopiero po chwili. Poderwała się odruchowo z ławki, chciała podbiec. Lecz zakłopotana natychmiast usiadła. Tego, że Inka nie będzie sama, nie wzięła pod uwagę. Szli wolnym krokiem w jej stronę, zajęci rozmową. Czuła, że jest dla nich powietrzem. Nie trzeba się było specjalnie ukrywać. Nic nie musiała robić, tylko czekać, aż sytuacja sama się rozwiąże i los zdecyduje.

Minęli Melę bez słowa, Inka nawet nie spojrzała w jej stronę, w oczach miała gwiazdy, błękit nieba, zieloną trawę, odbitą twarz mężczyzny, nic więcej. Mela ujrzała przed sobą zakochaną po uszy kobietę, dla której istniał tylko obiekt pożądania, nikt i nic więcej. Twarz mężczyzny wydała się Meli znajoma, jakby gdzieś go widziała. Źle się Meli skojarzył. Lecz to nie była ta sama twarz, którą miała w tej chwili na myśli, tylko podobna, bo należąca do kogoś innego. Tamtą trudno było zapomnieć. Z części wspomnień nie można się chyba uwolnić. Poznałaby na końcu świata te zimne oczy i zawsze w dół skierowane spojrzenie. Tak patrzą źli ludzie, tacy, którzy chcą ukryć prawdziwe intencje lub swoje wrogie myśli. Tacy dostojni, w białych rękawiczkach i z kamienną twarzą ukryci w swoim słabym wnętrzu czekają, aż komuś powinie się noga. Tacy nigdy nie chwalą. Tego spojrzenia, które się tylko ślizga po człowieku, omiata go zaledwie z pogardą nie wymaże ze swojej pamięci. Czy powinna Inkę przed tym przestrzec, czy zakochana kobieta da sobie cokolwiek powiedzieć? Mela zobaczyła w jej oczach także przeznaczenie. Inka fruwała jak ćma wokół swojego ognia. Było pewne, że niebawem spłonie.

Oddalali się z każdą minutą idąc w kierunku parkingu. — Czy jest w sprawie Inki jeszcze coś do zrobienia, czy lepiej dać sobie z nią spokój? — zastanawiała się Mela. Chyba lepiej kupić wielki ręcznik w tureckie wzory, do tego różowe klapki, dobry krem do opalania z wysokim filtrem, no i jagodziankę, ale to już na plaży. Szła wolnym krokiem w powrotną stronę, da sobie spokój z tą Inką. Niech płonie, skoro taka jej wola, niech sobie płonie. Widać jej tego potrzeba. — Ja w końcu też kiedyś spłonęłam — pomyślała Mela.

Sumienie ruszyło ją dopiero w pobliżu przychodni. Jak grom z jasnego nieba przyszło otrzeźwienie. Stała i stała pod drzwiami, nie wiedząc, co dalej. Przypomniała sobie, jak kiedyś w takim ogniu byli razem z Kostkiem. Zaplątani, zupełnie bezradni, zachowali się wtedy jak dzieci. Boże, dlaczego nie byli wtedy dojrzały. Z pewnością nie stałoby się to wszystko, może byliby ciągle razem? A teraz, patrząc na Inkę, Mela zrozumiała, że wiek chyba tu nie ma wiele do rzeczy. Człowieka życie niczego nie uczy.

Długo stała zapatrzona w przestrzeń drogi. Przed sobą miała aleję starych drzew. Pójść tą drogą przed siebie czy zostać? Mela nie mogła się zdecydować. Raz powracały te zimne oczy, to znów te drugie, roziskrzzone miłością.

Decyzję podjęła natychmiast. Wraca i choćby jednym słowem przypomni Ince, jak się to dla niej skończyło. Może ją wyrzucić za drzwi, jak kiedyś, w przeszłości, a teraz tylko to słowo przypomnienia, nic więcej. Nie odejdzie bez tego.

Odeszła jednak, z kwitkiem, po niecałej godzinie. Inka już nie dotarła do pracy. Nie wróciła z obiadu, nikt nie zauważył, kiedy pojechała do domu. To Mela zupełnie wystarczyło, czas najwyższy zająć się swoimi sprawami.

Na plażę już nie poszła, nie miała nastroju. Włóczyła się bez celu po mieście. Tyle było do oglądania. Dziesiątki kolorowych straganów pełnych pamiątek, ubrań, kosmetyków, wszystko obłożone ludźmi. Każdy ogląda, przymierza. Ulice pełne samochodów, zadbanych hoteli, pensjonatów. Bardzo się wszystko zmieniło. Pamięta pojedyncze sklepy, gdzie kupowało się lody, kilka kawiarni na krzyż, wszystkie takie same, GS albo Społem, albo Gromada czy Orbis. Teraz trudno się zdecydować, w której coś zjeść, w której wypić kawę. Po prostu całkiem inne światy. Jedyne, co się od wtedy niewiele zmieniło, to siedzący przy deptaku malarze. Na to, jak szybko potrafią rysować portrety, nie mogła się nigdy napatrzeć. Te małe dzieła sztuki powstawały często w ciągu kilku minut. Kiedyś siedzieli ich tu dwóch, trzech, teraz kilkunastu. Ale rysują tak samo.

Była już bardzo zmęczona. Zjadła coś po drodze i wróciła do swojego hotelu. Marzył jej się chłodny prysznic i przyjemna pościel. Dobrze się spało w tych słodkich kwiatuśkach. Pomyślała nawet, że będzie jej tęskno do różowej łączki.

Po kąpieli szybko usnęła. Ocknęła się późnym wieczorem. Chciała coś obejrzeć jeszcze w telewizji, lecz zmieniła plany. Przez otwarte okno dobiegał gwar rozpalonej ulicy i muzyka. Dochodziła z

sąsiedztwa, gdzie rozpoczynało się na dobre nocne życie miasta. Meli zachciało się w tym uczestniczyć. Założyła przewiewną sukienkę i wzięła na wszelki wypadek lekki sweter, bo mogło się przecież ochłodzić. W recepcji powiedziano jej, że może wrócić, o której zapragnie. Co za zmiana!

Pokonała tę samą drogę nad morze. Ulica, przy której mieszkała, była zupełnie pusta. Przeszła ją i jeszcze trzy bardzo podobne, aż znalazła się w tłumie ludzi. Rozświetlone ulice, głośna muzyka. Atmosfera nieco kiczowata, urlopowy luz.

Mela czuła, jak się mimowolnie uśmiecha. Szła jakaś lekka i nawet szczęśliwa, mimo że w sercu wciąż nosiła wspomnienie niefortunnego spotkania. Szkoda, mogłyby teraz razem spacerować. Miały sobie wiele do opowiedzenia. Dwa spojrzenia na sprawy, dwa punkty widzenia. Kobiety po przejściach i kobiety sukcesu. Coraz częściej odnosiła wrażenie, że z każdym dniem inaczej ocenia przeszłość, teraz też, z pozycji wolnego człowieka zmienia swój stosunek do najdrobniejszego przestępstwa. Staje się znów, to ją zachwycało, tą samą co kiedyś Melanią Karnowską. Czy to nie dziwne, że wystarczyło pół roku bycia na wolności, żeby na dziewczynę, która ukradła w sklepie czekoladę zawołać „łapać złodzieja”, a jeszcze niedawno użalałaby się nad głodną kobietą, której żałuje się kawałka czekolady i wsadza za to do więzienia. Jak wolność szybko zmyła z niej winy i jak łatwo rozgrzeszyła! Przez dwadzieścia lat walczyła ze swoim sumieniem, by teraz, w pół roku zacząć się nad sobą rozczulać.

Spacer po mieście zakończył się wejściem na plażę. Chyba wszyscy tak kończyli swój dzień. Nie było już leżaków ani parawanów, za to wzdłuż brzegu ciągnął nieprzerwany tłum, całe rodziny z dziećmi, z dziadkami pod pachę, z psami. Ogólnie wesoło. Mela patrzyła z zachwytem, jak na dmuchanej trampolinie jakiś chłopak skacze wysoko z nieprawdopodobną zwinnością i wyczynia w powietrzu różne akrobacje. Patrzyła, jak młodzi ludzie piją piwo na podeście zamkniętej kawiarni i żartują. Słuchała ze wzruszeniem „Marzenia” Schumanna, które ktoś na moło grał na klarncie. Muzyka spływała pod nogi miękko jak welon. Stanęła przy samym brzegu z nogami w wodzie i patrzyła na czerwony horyzont, za którym w tej chwili chowało się słońce. To widok jedyny w swoim rodzaju. Dla niego warto przemierzyć Polskę. Na plaży jakby ucichło, tłum na ten moment wstrzymał chyba oddech. Większość stała wpatrzona w zjawisko. Niesamowita chwila, powtarza się przecież codziennie, a za każdym razem inaczej się ją przeżywa. Spojrzała wokół, ludzie stali jak ona z uśmiechem zachwytu na twarzy urzeczeni widokiem znikającego słońca.

— Jacy pod tym względem jesteśmy podobni — ta myśl pierwsza przyszła jej do głowy.

Płomienna łuna nad wodą stopniowo gasła. Tłum ożył. W tym samym momencie zadzwoniła Meli komórka. Zabrzmiała nad wodą głupia melodyjka z Koziołka Matołka. Szybko ją wyłączyła. Chce od wszystkich odpocząć. Nie sprawdziła nawet, kto dzwoni, nie będzie teraz z nikim rozmawiać, choćby to była Inka.

Szła razem z tłumem przed siebie. Im dalej, tym mniej było ludzi, tym zapadała w coraz większy mrok, tym było ciszej i jeszcze przyjemniej. Doszła do miejsca, gdzie słychać było tylko miękki szum fal i krzyk ptaka od czasu do czasu. Postanowiła, że tutaj odpocznie. Pod wydmą znalazła porzucony leżak, ktoś go chyba zostawił specjalnie, żeby sobie mogła wygodnie posiedzieć. Szczęśliwi czasu nie liczą a Mela w tej chwili była bardzo szczęśliwa. Przeszkadzała jej tylko samotność.

Ale nie była sama. Zza wybująłych, wydmowych traw wyłonił się wysoki mężczyzna. Szedł, mamrocząc do siebie przekleństwa. Mela pomyślała, że to w sam raz kompan dla niej, pewnie z podobnego towarzystwa. Była wolna od strachu, ktoś taki to częstka jej dawnego życia, do więzienia wszak nie idą dżentelmeni. Patrzyła ze stoickim spokojem, jak na jej widok przystaje i stawia na piasku duży, szeleszczący worek.

— Butelek tam nie ma? — zapytał, przekrzykując fale. Mela rozejrzała się w jedną potem drugą stronę.

— Nie widzę. Wszystko pozbierali — głośno odrzyknęła.

— Dmuchanych też?

— Nie, dmuchanych nie widzę, ani szklanych, czysto.

— A kartony?

— Czysto, powiedziałam! — ryknęła na całe gardło. — Jak czysto, to czysto — dodała ciszej do siebie.

Facet aż się zakrztusił. Zaskoczyła go hardość kobiety. Myślał, że ją raczej przestraszy, a to ona przestraszyła jego. Miał ochotę sprawdzić, co za jedna. Znał wszystkie koleżanki po fachu, a ta była tu obca. Wahał się, nie wiedział, co zrobić, ciekawość jednak przeważała. Udając, że czegoś szuka, zbliżał się powoli do Meli. Było dość jasno, Księżyc, choć zakryty w połowie, dawał sporo światła tej nocy. Im był bliżej Meli, tym bardziej się wydawał zdziwiony. Zobaczył bowiem normalną kobietę, całkiem zgrabną, ładną i zadbaną. Nie przypominała w niczym jego koleżanek.

— Nie boi się pani? — zapytał na wszelki wypadek. — Zaraz jedenasta. W koło żywego ducha, a pani tak zupełnie sama.

Mela spojrzała całkiem obojętnie. Wiedziała, że jej nie daruje, samotny jest, tak samo jak ona. Ludzie samotni potrafią się szybko odnaleźć. Najczęściej rozpoznająpo oczach, ale ciemno, więc oczy nie wchodzą w rachubę. Tu samotność widać jak na dłoni.

— A czego mam się bać, skoro nikogo nie ma, sam pan powiedział przed chwilą że żywego nie ma. Więc może tych duchów?

— Duchów to nie, poszły sobie gdzie indziej, za bardzo wieje. Ale mnie chociażby. Ludzie się mnie zazwyczaj boją. Łażę z workiem, zbieram śmieci, gadam do siebie, bo do kogo mam gadać, ogólnie podejrzany ze mnie facet. Pani zobaczy, jak ja wyglądam. Te butelki się kleją piwo, cola, wino marki „Wino”, wszystko słodkie, leje się po rękach, a potem brud się przyczepia. To się tak potem wygląda — zagadywał. — Pani pewnie na wczasach, sama, czy z rodziną? — Z każdym krokiem był bliżej Meli. Chciało jej się śmiać, ale trzymała powagę.

— E, widzę, że jest pan wścibski. A właściwie, cóż to za różnica. Tu jestem sama, to chyba wystarczy. A co do brudu, wstydziłby się pan wspominać. Tyle wody dokoła, wystarczy się trochę ochlapać. Do brudu przyczepia się smród, dlatego się pana boją bo jak kto przejdzie obok, to zaraz ucieka. — Mela zatkała sobie palcami nos.

Facet poczuł się urażony.

— O, co do smrodu, to nie ze mną gadka. U mnie tylko smród naturalny z dnia tylko i z pracy, nie z niemycia. A ręce umyłem przed chwilą, bo się załatwiałem w knajpianym kibelku. Czyściutki jestem jak łąza — oznajmił z dumą. Worek odstawił daleko, żeby nie było czuć tego, co w środku, i śmiało przykucnął obok. Przez chwilę milczał. Widać było, że szuka kontaktu, ale nie wie, na co może sobie pozwolić. Mela nie ułatwiała mu zadania. Milcząc, podziwiała wodę i czysty horyzont.

— Pięknie jest dzisiaj, ma się na pogodę — stwierdził, żeby złamać niebezpieczną ciszę. Wyglądało na to, że nie da się o niczym pogadać z tą milczącą turystką.

— Bardzo — potwierdziła krótko. — Chciałby się tak człowiek napatrzeć na zapas.

— A niech pani tylko spojrzysz na Księżyc, jakby go kto przeciął. Z lewej strony oświetlony, z prawej całkiem czarny, to jak jasna i ciemna strona człowieka. Niesamowite. Jaka ta natura do siebie

podobna. — Zadumał się nad tym Księżycem. Obserwował, jak drobne chmury przesuwają się wolno po tarczy, jakby go chciały pogłaskać. Tak go ten widok zachwycił, że zamilkł na chwilę. Czemu wcześniej nie zauważył tego przecięcia? Wyciągnął nogi na piasku i podparł się z tyłu rękami.

— To ostatnia kwadra Księżyca — wyjaśniła mu Mela. — Słońce oświetla tarczę tylko z lewej strony. Teraz go będzie stopniowo ubywać.

— Sama pani widzi, to jak z człowiekiem — mężczyzna dodał po chwili. — Mnie też już zaczyna ubywać. Cholera — zaklął — ależ on ten świat wymyślił. — Spojrzał z podziwem do góry. — Mądry był facet z tego Boga. Co pani myśli?

Ale Mela milczała. Patrzyła jak on w jasną połówkę Księżyca i myślała o sobie.

— Wie pani — kontynuował swój wywód — tyle razy chodzę tą plażą a nigdy nie mam czasu, żeby sobie posiedzieć. Tylko robota, pieniądze, żarcie. — Zabrzmiało filozoficznie. — Pędzi człowiek, haruje, a życie mu przecieka przez palce — wziął

głębszy oddech. — A tu, o niech pani spojrz, jaki cudowny świat. Chyba też sobie zafunduję urlop.

Meli chciało się śmiać. Miała przed sobą prawdę o kolejnym człowieku, a przynajmniej kawałek tej prawdy.

— To dla odmiany musi pan zobaczyć góry — szczerze doradziła. — Są inne, ale jeszcze piękniejsze. O horyzoncie wprawdzie nie ma tam co marzyć, za to są inne widoki, aż zapiera, kiedy się patrzy.

— Wiem, wiem — zapewniał gorliwie — byłem w Zakopanem. Dawno, jeszcze z rodzicami, pamiętam, że było pięknie. Drugi raz nie pojedę, po co, są pewnie wciąż takie same.

— Góry trzeba odkrywać na nowo. Wtedy był pan dzieckiem. Teraz zobaczy je pan z innej perspektywy. Ile można patrzeć na wodę?

— O! — mężczyzna podniósł palec do góry. — Perspektywę to ja mam dobrą — zaznaczył. — Ona się nazywa: pieniądze. Jak ich brak, musi wystarczyć morze. Góry stoją, jak stały, nic się nie zmienia, ale morze, woda, horyzont... Każdego dnia inne. Im jestem starszy, tym mi się wydają piękniejsze. Tylko czasu nie ma, żeby podziwiać.

— Ano, tak — zgodziła się Mela. Dyskusja z tym panem na temat wyższości morza nad górami wydawała się bezcelowa.

— Tak, tak, czasu ciągle za mało. A takie widoki się marnują

— Mela potwierdziła, a on tylko czekał aż skończy. Dla niego to był znak, że lody zostały przełamane. Po chwili zaszczyił ją opisem swojego życia, trudem zawodu, kłopotami codziennego dnia.

— Najwięcej roboty, wiadomo, jest latem. To sezon dla wszystkich. Trzeba się wtedy nachapać, żeby jako tako przeżyć zimę. W tym roku jest nieźle, bo ładna pogoda, w zeszłym była tragedia, całe wakacje padało, nikomu nie chciało się pić. Całą zimę potem przymierałem głodem. A pani — powiedział dobitnie — wygląda mi pani na sklepową. Coś takiego jest w twarzy, że ja zaraz rozpoznam. Mam dar, wie pani? — próbował Melę oswajać. — Spojrzę tylko i widzę, może powinienem zostać jasnowidzem?

— Wszystko możliwe — nie protestowała. — Fajnie tak poznać po twarzy — dodała. — Tego to panu zazdrościć. Może umie pan jeszcze przepowiadać przyszłość?

Mężczyzna spojrzał nieufnie. Nie wiedział, czy z niego kpi, czy mówi serio. Udawał, że nie wyczuł zaczepki.

— W moim zawodzie, powiem pani, trzeba mieć honor — zaznaczył na wszelki wypadek. — Ludzie lubią obrażać, tak sobie, bez powodu. Taki, widzi pani, jak ja, co zbiera śmieci i żyje ze sprzedaży butelek, to dla innych ktoś niebezpieczny. A ja, proszę pani, muchy bym nie skrzywdził. Jedni traktują mnie jak powietrze, inni jak śmiecia. Jestem człowiekiem piątej kategorii. Ale w końcu tacy też muszą być. Co komu pisane, jeden jest królem, drugi śmieciarzem. Ktoś przecież musi zbierać butelki. To już ryzyko zawodu. Myślę, że Bóg doceni i potraktuje mnie kiedyś uczciwie, ma przecież rozum.

Na horyzoncie pojawiły się chmury. Zastłaniały już widok na Księżyc, na jego jasną i ciemną stronę. Łuna po słońcu, które zaszło jakiś czas temu, zniknęła zupełnie. Ciekawe jaka jutro będzie pogoda. Mela poczuła na plecach chłód. Temperatura wyraźnie spadła. Zarzuciła na plecy sweter, dziękując w myślach swojej przeczności.

— Tak, ma pan rację, ludzie są czasem okrutni. — Zwróciła się do swojego rozmówcy.

Posiedzieli razem przez chwilę, lecz Mela nie była rozmowna. Znała ten ton, tę nieprzepatą chęć do zwierzeń. Wystarczyło otwarcie zapytać, a on mówiłby i mówił, i mówił. Miły człowiek, potrafi myśleć, ma swoją filozofię i chyba się stara. Ale po co jej ta historia, życie kogoś, kogo już nigdy więcej nie

spotka? To byłby wprawdzie dobry uczynek, ale wszystko ma swoje granice. Potem on zacząłby pytać, a niby czym ma się odwzajemnić? Poprawiła włosy i otrzepała zapiaszczoną sukienkę.

— Zimno, czas wracać, jeszcze się przeziębę — zmieniła ton. — Pan w ruchu, przyzwyczajony, ja jestem bardzo wrażliwa.

— E, czasem i mnie zrobi się zimno. Trzeba się odpowiednio ubrać — powiedział, podnosząc się z kucek. — Na mnie już pora, konkurencja mi wszystko pozbiera, a życie kosztuje. — Rozejrzał się okiem znawcy. — To wprawdzie mój rejon, ale teraz młodych pełno, forsa każdemu potrzebna. Będę się zbierał. Pani niech też wraca do domu, czasem może się tu jakiś obwieś przypętać i krzywdę zrobi. Miło mi było — podał jej szarmancko rękę i pocałował. Nie śmierdziało od niego, rzeczywiście. Dopiero teraz widać było twarz, całkiem przystojną i czystą.

— Może się jeszcze spotkamy — Mela chciała jakoś zagadać na koniec. — Dziękuję za towarzystwo. — Powiedziała w pustkę. Mężczyzna szedł już przed siebie i nawet się nie odwrócił. Targał swój worek, w przepisowo niebieskim kolorze i spoglądał przed siebie. Zaliczył kolejny dzień pracy, teraz czas na odpoczynek. Dopiero połowa lata, jeszcze się napracuje.

Jakub zauważył, że to już połowa lata, trzeba się spieszyć z decyzją. Podróż do Londynu zaplanował na sierpień. Bał się, ale podniósł rękawicę rzuconą przez Twardeckiego. Może ma rację z tą kropką. Nęciła go przygoda, ciekawy był tego, co zastanie na miejscu. Wprawdzie z wiekiem przedkładał metody bardziej statyczne nad bezpośrednie poznawanie świata, ale dla Londynu postanowił zrobić wyjątek. Tylko te zawiłości, bilety, rezerwacje, hotele, poza tym nie miał zbyt wiele czasu. Początkowo nie mógł się zmobilizować. Wymyślał preteksty, żeby wszystko odłożyć. Gdyby nie matka, która zarzucała go wciąż pytaniami, pewnie by zrezygnował.

— Dostałeś już urlop? — To były słowa na powitanie. Potem, jak urlop był już załatwiony, pytała o bilet. Zrobiłaby mu nawet pranie, byle w końcu coś postanowił. Jakimś cudem jednak udało mu się obudzić w sobie młodzieńczy zapał i zaczął przygotowania.

W sprawie hotelu nie zamierzał uzależniać się od Twardeckiego. Chciał sam decydować, co będzie robił. Spotka się z ojcem Izy, ale bez przesady, jedzie nie tylko z tego powodu. Połączy swój wyjazd z urlopem i mile spędzi czas przy okazji. Początkowa obawa ustąpiła teraz miejsca prawdziwej radości. Już dawno planował odwiedzić to miasto, sprawdzić, co się w nim zmieniło w ciągu tych kilkunastu lat. Myślał o tym wiele razy, ale nie miał dotychczas odwagi. Może to dobrze, że Twardecki do niego

zadzwoił. Kto wie, jak by to było. Znał siebie na tyle, żeby podejrzewać, że Londyn pozostałby na zawsze w sferze niespełnionych planów.

Postanowił skorzystać z uprzejmości Marka, który często latał do Londynu, nocował zawsze w tym samym miejscu. Hotel na cały tydzień kosztowałby sporo, a w poleconym przez przyjaciela małym, prywatnym pensjonacie było niedrogo i bardzo przytulnie. Jakub był tam już kiedyś, wiele lat temu. Z przyjemnością odwiedzi znajome miejsce, przez czysty sentyment. Poza tym, chciał wykorzystać okazję, żeby się spotkać i porozmawiać. Wiedział, że Marek ma kłopoty z pracą. Będzie dobry pretekst, żeby wyczuć sprawę. Może okaże się w czymś pomocny.

Z Markiem znali się przecież od dziecka. W potrzebie zawsze mogli na siebie liczyć, choć w paczce najbliżej trzymał z Januszem. Janusza lubił za prostotę. Za to, że nigdy się przed nim nie zgrywał. Marka za solidność i profesjonalizm, chociaż na co dzień był trudnym facetem. Tadeusza z kolei unikał, miał swoje powody. Najbardziej widywał Jerzego, pewnie z racji odległości. W końcu do Krakowa kawał drogi. Jerzy był cichy i skromny. Gdy się pojawił w Warszawie, wchodził już w dorosłość. Oni mieli swoje rodziny, on mieszkał w pokoiku dozorczy. Przyjechał z małej miejsciny pod Krakowem uczyć się w Warszawie. Tu poznał Zosię, również przyjezdną. Do paczki dołączyli później, dopiero w liceum, dlatego nie byli tak zżyci z resztą. Jakub często nad tym rozmyślał i zadawał sobie pytanie, co było tym prawdziwym lepszczem przyjaźni. Czy rzeczywiście koleżeńska solidarność? Przecież takich podwórek jak ich są tysiące. Czyżby to wcale nie przyjaźń sprawiła i nie cudownie narodzona więź? Może to wcale nie był genialny przypadek braterstwa, a tylko grupa ludzi, których połączyły wyrzuty sumienia i wspólna sprawa z przeszłości.

Marek ostatnio był w podłym nastroju. Wszyscy już wiedzieli, że stracił pracę i chwilowo żyje w zawieszeniu. Złe wieści szybko się rozchodzą. Trudno go było w tej sprawie pocieszać, nawet nie wypadało. Pytania zakrawały na niezdrową ciekawość, doradzać cokolwiek trudno. Marek był człowiekiem sukcesu. Ta koszmarna zmiana musiała go wiele kosztować. Jakub nie wiedział, jak się zachować i czuł się co nieco zmieszany. Gdyby chociaż była Dorota, wiele spraw można by jakoś załagodzić.

Dało im się życie we znaki. Najpierw ona zniknęła, teraz on stracił wydawnictwo.

Zastał Marka przy koszeniu trawy. Usiedli pod pergolami z winem.

— Napijesz się czegoś? — Marek przysunął tacę z napojami. — Pewnie jesteś samochodem. Skończy się na wodzie albo soku.

— Poproszę trochę wody. — Jakub z emocji wypił duszkiem.

— Jesteś sam? — zapytał zmieszany.

— Tak. Dzieci na wakacjach. Czasami wpada Agata. Posprząta, trochę mi ugotuje. Ale generalnie jadam na mieście — odpowiedział całkiem naturalnie.

— Słusznie, w domu można zwariować, wiem coś na ten temat.

— No tak — Marek się uśmiechnął. — Pod tym względem masz doświadczenie. Ja się dopiero uczę. Wpadłeś tak po drodze? — zapytał, zmieniając temat.

— Wpadłem, bo mam do ciebie sprawę.

Uniół do góry brwi. Chyba był zadowolony. Potraktował to pewnie jak test, że jest ciągle potrzebny.

— OK, tylko wiesz, ja teraz już niewiele mogę — asekurował się na wszelki wypadek.

— To prośba prywatna. — Jakub udawał, że tego nie słyszy.

— Jadę do Londynu. Chcę trochę pozwiedzać, ale tak sobie, na luzie — zaznaczył pospiesznie. — A przy okazji odwiedzić znajomego. Taka retrospekcja. Nie byłem tam prawie dwadzieścia lat. Nie chce się wierzyć.

— Jedziesz z kimś? — Marek spytał z ciekawości.

— Niestety, sam, a przydałby się ktoś dla osłody. Tylko wiesz, Londyn ma dla mnie specjalne znaczenie, więc — bo ja wiem — chyba wolę samotność. No i właśnie wpadłem w tej sprawie.

— Domyślam się, w jakiej — Marek uśmiechnął się szczerze.

— Ten pensjonat, w którym wtedy spałem. Istnieje jeszcze? Minęły lata, więc chciałem się upewnić.

— Istnieje i ma się dobrze. Byłem tam rok temu. Dam ci telefon, sam się umówisz.

Zostawił go w ogrodzie i wszedł do mieszkania po notes. Jakub odsapnął, najważniejsze miał z głowy. Sprawa noclegów w Londynie przestała już być problemem. Dostał adres pensjonatu, numer telefonu i obietnicę referencji u właścicieli.

Trochę u niego posiedział. Rozmowa, choć pozornie szczerą, nie kleiła im się. Marek mówił niewiele. Wydawnictwo jakoś przebolewał, twierdził, że się o pracę nie boi. Ma już nawet propozycje, ale chce trochę odpocząć. Po tygodniach zmagania z nowym właścicielem czuje się zmęczony i wrócić tam już nie chce, w żadnym wypadku.

— To była prawdziwa harówka — wspominał. — Ciągłe poza domem, czasem na granicy opłacalności. Walka o klienta, coraz częściej chamska. Człowiek w czymś siedzi i myśli, że to koniec świata, a to praca jak każda inna. Coraz trudniej się teraz sprzedaje tytuły. Mówią że to czwarta władza, ale czasy i dla niej są teraz okrutne. Przeżyłem to bardzo, przyznaję, ale już bym nie wrócił — zapewniał kategorycznie.

Jakub dyskretnie spytał o Dorotę, ale Marek niewiele wiedział. Mówił o niej z wyrazem bólu na twarzy. Powiedział tylko, że źle znosi ciążę. Wieści od niej są sporadyczne. Zazwyczaj pisze do dzieci, teraz się nie odzywa.

— Może chcesz, żebym do niej pojechał? Zobaczę, jak znosi ciążę i czy dobrze się czuje. W jej wieku może być różnie. Powinna być pod stałą opieką. A tam, gdzie jest, może być nieco gorzej.

Marek dziwnie spojrzał na Kubę. Kilka razy zamrugnął oczami.

— Jakub — spojrzał z głupią miną. — O jakiej ty ciąży mówisz?

Zapadła chwila konsternacji. Jakub swoim zwyczajem potarł ręką czoło. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie popełnił jakiejś niedyskrecji. Nie mógł już sobie przypomnieć, skąd wie o ciąży Doroty. Do licha z tajemnicami, za dużo ich dokoła, człowiek już się w tym gubi. Patrzył w oczy Marka wpatrzony w niego z napięciem i nie wiedział, jak się zachować.

— Myślałem, że wiesz — zdołał zaledwie wykrztusić. — Przecież wszyscy wiedzą. Tydzień temu dzwoniła Mela, lada dzień Dorota ma rodzić.

Marek stał osłupiały. Zrobiło mu się gorąco.

Sierpień był gorący i suchy. Dorota źle znosiła upały. Trawniki, dopiero były zielone, a już zaczęły rudzieć i usychać. Nagle przestało padać, a słońce bez deszczu szybko zrobiło swoje. Miasteczko się wyludniło. Młodzież wyjechała, opustoszały podwórka i place. Po wydeptanym boisku snuły się okoliczne psy. Upał zagonił wszystkich w okryte chłodem bramy i zaułki. Miasto zaległa śmiertelna cisza, snująca się wśród murów, przyczajona pod dachami niskich domów. Dorota nie mogła się nadziwić tym zmianom. Rano, gdy wychodziła do sklepu, wąskie ulice tonęły jeszcze w chłodzie. Słońce wędrujące poniżej dachów przeciskało się nieśmiało szczelinami zaułków, zwiastując nadchodzący upał. Pustymi chodnikami przechadzały się jedynie starsze osoby z torbami pełnymi świeżych bułek i mleka. Na stopniach schodów siedziały dzieci i patrzyły znudzone przed siebie zaspanym wzrokiem. Szwendające się przy nich psiaki obwąchiwały odbarwione narożniki bram. Samochodów prawie nie było. Wszyscy jeździli obwodnicą.

W południe całe miejskie życie przenosiło się na podwórza, pomiędzy sznury wypranej bielizny. Ludzie chowali się w kolorowych grządkach, pomiędzy drzewami albo w cieniu altanek. A gdy pionowe, ostre jak laser promienie łamały się w szybach okien i wypalały dziury w liściach pelargonii, długo można było czekać na chętnego do spaceru po rozgrzanym rynku.

Dorota niestety nie miała ogrodu. Stara chata, w której mieszkała, usytuowana przy samej ulicy nie miała nawet porządnego podwórza. Tęskniła więc za własną zielenią i ludźmi. Czasami podglądała sąsiadów, których obejście widziała wyraźnie z okna łazienki. Patrzyła z ciekawością jak żyją, co robią, kto ich odwiedza. Jej podwórko w Warszawie istniało bez niej, przesuwano się w czasie i uciekało w przeszłość z każdą minutą, coraz dalej i dalej. Bez tego czuła się potwornie samotna. Czy znajdzie dość siły, by żyć z tęsknotą za miejscem, do którego rwało się serce, do królestwa, gdzie prowadzą we śnie opuchnięte nogi? Czy polubi to życie w ciemnym domu, z wyjściem na ulicę?

A przecież było tyle innych rozwiązań. Odseparowała się zbyt daleko od ludzi, którzy ją kochali. Pognała przed siebie z rozpaczą wymalowaną na piersi, jak ze szkarłatną literą, by wzruszyć świat swoim bohaterstwem. Teraz nikt nie wie, co się z nią dzieje. A przecież za kilka dni, a może nawet godzin zostanie matką. To nieprawdopodobne, jak szybko da się wykreślić kogoś z serca i z życia. Kto by przypuszczał, że to właśnie ją kobietę nieomylną, tak potraktuje los. Tutaj nigdy nie będzie u siebie. Bo w tym wieku nie pora na nowe przyjaźnie, nie czas na życie od nowa. Ludzkie gniazda izolują się w pewnym momencie. Trudno jest przebić twarde skorupy przyzwyczajień.

Gdy ostatni uczeń opuścił mieszkanie Doroty, pozostał jej na krótko pokój pełen kwiatów i satysfakcja z dobrze wypełnionego zadania. Ale to odeszło już w przeszłość. Roman z rodziną wyjechał nad morze, nawet nie spytał, kiedy będzie rodzić. Wrócą pod koniec sierpnia. Przysłali jej miłą pocztówkę.

Siedziała przy stole, obmyślając słowa listu do domu. Chciała coś napisać do Marka, do dzieci, cokolwiek. Czuła w głowie jedynie pustkę. Wciąż wracała do wspomnień, roztrząsała wszystko na nowo i nie mogła obudzić w sobie bezwarunkowej pokuty. Chciała wszystko odzyskać i niczego nie stracić. Mieć dla siebie męża, dzieci i ocalić w pamięci to, co przeżyła z Pawłem, choć pewnie nie było warto. Najtrudniejszy dla człowieka jest wybór. Dziecinnego entliczka-pentliczka w życiu nie da się zastosować. Wstała od komputera, by nalać sobie soku z lodówki. Nie czuła się dobrze. Psychicznie była w rozsypce. Wszystko ją bolało, miała problemy z oddychaniem. Nie mogła już chodzić. Stwierdziła, że ciąża w tym wieku to wielkie wyzwanie. Prosiła niebiosy o szybkie rozwiązanie, bo każdy kolejny dzień był już udręką. Gdy nadchodził wieczór, nogi Doroty zaczynały puchnąć i boleć, była zmęczona całym dniem, bieganiną i stanem w klasie.

Poród zaczął się późnym wieczorem. Bóle nie były zbyt mocne. Może, gdyby była młodsza, przestraszona, wtedy bolałoby bardziej. Nauczyła się już cierpliwości, nie tylko w znoszeniu bólu. Wszak życie nie jest jedynie pasmem przyjemności. Zniesie wszystko, byle się obyło bez problemów. Zastanawiała się, czy nie umrze. Bała się jedynie o dziecko. Leżała spokojna w pustej porodówce. W pokoju obok ktoś oglądał głośno telewizor. Nadawali serial, w którym jak z rękawa sypały się miłosne wyznania. Słuchała bezwiednie, zadowolona, że może oderwać myśli od bólu. Zawsze cierpiała w milczeniu albo z obojętnością na twarzy. Teraz czuła się trochę inaczej — jak bezpański pies, o którego nikt nie zapyta. Mimo to była szczęśliwa. Chciało jej się śpiewać i śmiać. Czuła, że oto za chwilę znów zacznie budować swoje gniazdo, własne królestwo z małym księciem lub może księżniczką. Nie wiedziała, kto się urodzi. Teraz tylko liczyło się ono. Czas pogodzić się z faktem, że szarpiący ból i szloch, który dławiła w sobie przez dziewięć miesięcy, już nie wyrwie się tak szybko na wolność. Czas wychylić napar z wszystkich melis świata i powiedzieć głośno: znowu zaczyna się życie.

Karetka przywiozła ją pod sam dom. Wsiadła, ściskając w rękach następczynię tronu i stojąc przed wejściem, szeptała:

— Spójrz, malutka, to jest teraz twój pałac i tu będziemy wspólnie królować.

Wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi. W środku pachniało czystością. Dorota prosiła sąsiadkę, żeby zajęła się domem pod jej nieobecność. Położyła dziecko na wykrochmalonej pościeli. Rozchyliła lekko pieluszki i spojrzała z miłością.

— Jesteś moja — szepnęła czule. Rozpierała ją radość. Pokonała samą siebie, kolejna poprzeczka została zdobyta, ale to nie miało już większego znaczenia. Ostatnie miesiące czegoś ją nauczyły. Już rozumiała, co się liczy najbardziej. Da sobie radę, jakoś zniesie rozłąkę z rodziną. Teraz nie bała się pustki. Usiadła na krześle i rozejrzała się po jasnym pokoju. Ile w nim było słońca! A dookoła jej książki, sprzęty, nowe zasłony, które kupiła wcześniej, błękitna pościel w białe rumianki i dziecko. Nie była już obca, nie była już sama. Z resztą problemów jak zwykle sobie poradzi. Patrzyła na bufet, na którym ustawiła zdjęcie Marka i dzieci. Ma rodzinę, tylko daleko. Ludzie często żyją rozłączeni, a jednak myślą o sobie. Pogodziła się z faktem, że może kiedyś i oni poczują potrzebę, żeby zapytać, jak jej się wiedzie. A teraz nie będzie ich niepokoić.

Zbliżała się pora karmienia. Nie myślała, że jej piersi jeszcze się kiedyś przydadzą. Wstała, żeby się zająć dzieckiem. Była jeszcze słaba. Ale to nic, kilka dni i wszystko wróci do normy. Nabierze sił, poradzi sobie z każdym problemem, jest o tym święcie przekonana. Przymknęła jedną połowę okna, bo zrobił się przeciąg. Zaskrzyptały w korytarzu drzwi, ktoś wszedł do mieszkania. Odruchowo odwróciła się i spojrzała za siebie.

— Marek —jęknęła cicho.

Stał w drzwiach niczym zjawą. Prosty, szczupły i jak zawsze poważny. Można było pomyśleć, że spadł z nieba, jak gwiazda. Słońce wybieliło jego szarą koszulę i spodnie. Spoglądał bez słowa na nią, na łóżko, na pokój. Skrępowanie mieszało się z troską. Widać było, że nie wie, co ze sobą zrobić. Dorota usiadła przejęta. Jej również zabrakło słów.

Marek pierwszy zrobił krok do przodu. Podeszedł i spojrzał na małą. Spała na niebieskiej pościeli, nieświadoma niczego. Głód, jedyny dyskomfort, który odczuwała, liczył się póki co w jej życiu najbardziej. Resztę smartwień pozostawiła sobie na później.

— Przyjechałem zobaczyć małą—powiedział po prostu, zaglądając ciekawie. — I ciebie — dodał krótko, a potem zapytał, jakby od niechcienia: — Jak było? Znośnie?

— Jak zawsze, szybko — odpowiedziała krótko.

— A ona?

— Zdrowa. 3,80 kg. Grupa krwi AB Rh+.

— Więc czyja ona?

— Moja — Dorota odpowiedziała spokojnie.

— A potem?

— Nie wiem.

— Wygląda jak moja — odpowiedział pewnie.

Wąski pokój wypełnił się słońcem. Prześwilił ich, rzucając na ścianę dwa zgodne cienie, które po chwili wzięły się za ręce, pozostając długą chwilę w bezruchu.

Inka stała przy oknie, spoglądając na prześwilicone słońcem gałęzie akacji. Drobne listki zaczynały się zwijać z powodu suszy. Myślała o tym, co się ostatnio zdarzyło. Sprawy służbowe zdominowały całą wiosnę, a potem i lato. Po trudnych dniach w lipcu nadszedł jeszcze trudniejszy sierpień. Niefortunny urlop w Ciechocinku, miłosna farsa i wielka kompromitacja, jaka spotkała Inkę, przechodziły powoli do historii. Wprawdzie nie obyło się bez złośliwych komentarzy, pytań i szyderczych uśmiechów, ale ona zniosła je z honorem. Rawicz też nie dał za wygraną. Zadzwoił, z Wiednia oczywiście, miał żal, że zostawiła go właśnie teraz, w bardzo trudnym momencie, gdy mógł liczyć już tylko na nią bo sprawy tak mu się skomplikowały, że nie miał innego wyjścia. W końcu do Ciechocinka pojechała za Inkę dziewczyna z fizykoterapii i bardzo troskliwie zajęła się panią Rawiczową. Załatwił to już zupełnie sam, ona umyła od tego ręce. Parę dni spędziła z Elą w Kołobrzegu, specjalnie, żeby o wszystkim zapomnieć. Udawała, jak mogła, dobry humor, chociaż nie było jej wcale do śmiechu. Wróciła wcześniej do domu, pod jakimś błahym pretekstem, żeby w samotności od wszystkich odpocząć.

Na początku sierpnia los ją trochę połechtał, bo Rawicz po powrocie z Wiednia pofatygował się do niej z kwiatami. Mimo że nie spełniła jego oczekiwań, co dało Ince pewną satysfakcję, poprosił ją grzecznie o dalszą współpracę. Elżbieta, która jako jedyna była zorientowana w sytuacji, przestrzegająca co rusz przyjaciółkę przed kolejnym krokiem.

— Mnie się wydaje, że on trzyma cię celowo na dystans, aż zmięknie, aż się poddasz bez słowa. On celowo tak działa. To mu imponuje — próbowała delikatnie buntować Inkę. Nie chciała powiedzieć jej wprost, że Rawicz według niej jest zwykłym palantem.

— Nie znasz go — zaprzeczała Inka. — On jest w matni. To facet, który poświęcił żonie całe swoje życie. Nie potrafi jej zdradzić, dlatego tak się zachowuje. Nie chce mnie stracić, chociaż widzi, że się wypalam, a jednocześnie broni się przed zbliżeniem. Zdaje sobie sprawę z tego, jak mi niewiele może ofiarować. Na zasadzie: chciałbym, lecz nie mogę. Wie, że skoro czekam tak długo, to poczekam jeszcze.

— W imię tej twojej wierności i stałości wysyła cię potajemnie do Ciechocinka, żebyś mu niańczyła żonę?

— Słuchaj! — Inka podniosła głos. — Ty nie wiesz, jak on żyje. Ruszyć się nigdzie nie może ze względu na nią. Ten Wiedeń to była niesamowita okazja. Gdyby nie Ciechocinek, nie mógłby pojechać. Po prostu uciekł od niej.

— I wpakował w to ciebie?

— I dostał ode mnie po nosie. Przeprosił, przyniósł kwiaty, ja to przetknęłam. Teraz wszystko wraca do normy. Więcej się nie odważy. — Próbowała bronić Rawicza za wszelką cenę. — Żał mi go czasem. Mógłby korzystać z życia, jest taki mądry, jeździć z wykładami, dzielić się doświadczeniem, a on, zobacz, pilnuje żony.

— To może cię w końcu poprosi, żebyś się nią na stałe zajmowała. — Elżbieta nie dała się tak łatwo przekonać. — Kupi ci obok mieszkanie albo nawet dom, co zechcesz, raz czy dwa razy w tygodniu przeleci — powiedziała dosadnie. — Za to ty będziesz zmieniała pampersy jego żonie?

— Wiesz co, jesteś wulgarna — podsumowała Inka.

— Nie jestem wulgarna, tylko normalna, a ty jesteś zaślepiona, zupełnie niedojrzała, jak dziecko — oświadczyła, a zaraz potem dodała: — Nie potrafię otworzyć ci oczu i przekonać, i nie mogę dłużej słuchać tego, co mówisz. Milczałam dotychczas, ponieważ to były twoje osobiste sprawy, o których mówiłaś niechętnie, ale skoro chciałaś znać moje zdanie, to proszę. Nie przekonasz mnie do tego człowieka.

Zamilkły. Elżbiecie zabrakło w końcu argumentów i czuła, że żaden i tak niczego nie zmieni. Inka nie miała ochoty mieć wciąż tego samego. Każda z nich inaczej rozumiała problem. Elżbieta z zimnym

wyrachowaniem oceniała Rawicza jako podłego samca, Inka próbowała zrozumieć, patrząc na niego sercem, zapominając całkiem o rozumie. Zdawała sobie sprawę, że od lat nią manipuluje, nic nie dając w zamian, ale wolała to, aniżeli zimną obojętność. Obojętności bała się najbardziej.

— Szymon od miesiąca siedzi w Warszawie — powiedziała nagle Elżbieta. Próbowała przypomnieć Ince, że są na świecie jeszcze inni faceci. — Nie dzwonił do ciebie? — spytała.

— Nie, nie dzwonił. — skwitowała krótko. Czuła, że Elka na siłę chce zmienić temat. Ale o tym, co robi Szymon, nie będzie z nią teraz rozmawiać. Zapytała tylko złośliwie: — A co, przeprowadził się?

Elżbieta wyczuła w jej głosie kpinę. Nie dała się sprowokować. Znały się jak łyse konie — niby kpi, ale jest ciekawa.

— Habilituje się. Za miesiąc ma obronę.

— O, zobacz, nic nie powiedział. — Inka poczuła się nagle dotknięta.

— Mnie mówił — dodała Elżbieta.

— Pewnie, jest twoim sąsiadem, długo się znacie. Mnie nie musiał, znamy się zaledwie kilka miesięcy.

Żeby odreagować, oddała się bez reszty pracy zawodowej, to pomagało w ciągu dnia oderwać myśli od osobistych problemów. Poza tym musiała zająć się zakupem nowocześniejszych urządzeń. Stare aparaty wprawdzie sprawowały się całkiem nieźle, lecz pozostawały już nieco w tyle za wciąż doskonalszymi. To, co działo się w analityce przez ostatnie kilka lat, było rewolucją. By dogonić zmiany, potrzebna była kosztowna aparatura. Bogiem a prawdą, był w tym jeszcze jeden argument: nerki pani Rawiczowej. Okazało się, że całkowicie już zaniemogły, a ponieważ proces okazał się nieodwracalny, następstwem tego mogła być ostra niewydolność. W związku z tym, co dwa, trzy dni badano poziom elektrolitów, białek, a codziennie kreatyninę i mocznik. To był już teraz problem życia i śmierci, a nie lepszego czy gorszego samopoczucia pacjentki. Można więc powiedzieć, że życie Rawiczowej leżało w rękach kobiety, której — jak na ironię losu — najmniej zależało na tym, żeby żyła.

Starła się najlepiej jak mogła. A bywało ciężko. Czasem późnym wieczorem musiała wyjeżdżać z domu. Miała już dość, ale jemu nie potrafiła odmówić. Myślała wtedy, że jedynym dla niej rozwiązaniem jest śmierć Rawiczowej. Jakaż to byłaby ulga. Wstydziła się takich myśli, ale nie mogła się od nich uwolnić.

Z dnia na dzień z Rawiczową było coraz gorzej. Teraz już dwa razy dziennie trzeba było powtarzać analizy. Dzięki aparaturze wyniki były robione szybko i dokładnie.

Dopiero po miesiącu intensywnych zabiegów udało się lekarzom wyregulować i ustabilizować stan chorej. Teraz spotkania Inki z Rawiczem stały się rzadsze. On wszystkie wolne godziny spędzał przy żonie. Inka w tym czasie analizowała przebyte rozmowy, spotkania przy chorej, jego gesty i pochwały. Dopatrywała się w nich jakiegoś znaku, cieplejszego słowa, intymnego spojrzenia. Masochistyczne wymagania w stosunku do siebie nabierały powoli cech obłądu. Zapadała się coraz bardziej w tę dziwną chorobę i wydawało się, że zaczyna tracić kontrolę nad własnym rozsądkiem. Żyła w świecie marzeń, iluzji, czasem, gdy on milczał, ona toczyła z nim w myślach rozmowę, sympatyczny dialog kochającej się pary. Często traciła poczucie czasu i wieczorami, zamiast poczytać coś, obejrzeć film czy zająć się domem, siedziała, rozbierając na części każde wypowiedziane przez niego zdanie. Rano biegła do pracy, by być na posterunku i mieć wszystko na oku. Nie spotykała się z nikim, unikała znajomych, nie dzwoniła do matki, dziczała, jak bezpański pies. Elżbieta kilka razy próbowała wyciągnąć ją z domu, zabrać na kawę do miasta, na zakupy, bez skutku. Inka wykręcała się obowiązkami, złym samopoczuciem, porą roku — czym tylko się dało. Dzwonił także Szymon. Potraktowała go obcesowo, zbywając milczeniem jego starania. Drażnił ją jego radosny głos, pewność siebie i jak się jej wydawało nachalność. Nie czuła w zaproszeniu dobrych intencji, była nieufna. Myślała tylko o jednym. Zaszyta w czterech ścianach domu, zamknięta całe popołudnia w laboratorium, czekała tylko na wezwanie. Nowy aparat do elektrolitów pochłonął bez reszty jej czas, a wyniki pani Rawiczowej stały się clou życia. Obcowała z nimi jak z kimś najbliższym, stwarzając iluzję wielkiej misji. Kontrolowała aparat, wciąż sprawdzała dokładność badań, traciła pieniądze na kolejne odczynniki, które miały potwierdzić nieomylność i perfekcję. Z dnia na dzień pogrążała się, sprawdzając wszystko, co się dało sprawdzić, w imię dziwnej fobii, że nie poradzi sobie, że coś pomyli. Potem wracała do pustego domu i zamiast odpocząć, myślała, czy on jest z niej zadowolony.

Sądnego dnia wstała w doskonałym nastroju. Poprzedniego wieczora dzwonił Rawicz. Długo ze sobą rozmawiali. Wsączył w jej serce kolejną dawkę nadziei. Znała każdy odcień jego głosu, intonację i melodię słów, które wypowiadał. Nawet całkiem zwykła rozmowa była dla niej wyznaniem. Czuła, że jest już między nimi wspólny, nierozzerwalny most, że łączy ich nie tylko troska o życie jego żony, lecz coś na wzór przywiązania, zrodzonego w wyniku częstego przebywania ze sobą. Zrozumiała, że mniej wskórała przez lata tułaczki za nim i plątania się pod jego nogami, niż teraz, przez ten jeden miesiąc psiej wierności przy żonie.

Wczorajsza rozmowa była tego najlepszym dowodem, ukoronowaniem służby. Spojrzała na szklaną szafkę. Ujrzała w niej swoje odbicie i przestraszyła się własnej twarzy. Przypominała psa czekającego w budzie na kość, ze sterczącymi z radości uszami i jęzorem zwisającym z rozdziawionej paszczy. Spuściła oczy ze wstrętem, lecz tylko na chwilę, bo pieszczota słów płynących jeszcze w jej myślach kasowała ten obraz.

Tego przedpołudnia była w szampańskim humorze. Tak po prostu, bez konkretnej przyczyny. Może to, że miała nową fryzurę, a może dlatego, że dzień był wyjątkowo piękny. Czuła się lekka i zwiewna w nowej sukience, którą kupiła wczoraj, w nowej galerii.

Koło dwunastej przyniesiono krew Rawiczowej, o czternastej Rawicz odebrał wyniki. Następnego dnia zawalił się świat. Rawiczowa wpadła w śpiączkę. Natychmiast pobrano krew. Poziomy mocznika i kreatyniny wielokrotnie przekroczyły normę. Próby obniżenia nie przyniosły efektu. Inka była wstrząśnięta. Siedziała zamknięta w gabinecie i czekała na telefon od Rawicza. Próbowwała dociekać, skąd taka zmiana na gorsze, poprzednie wyniki wyszły całkiem dobre. W związku z poprawą odłączono Rawiczową od aparatu dializującego, tymczasem parametry poszybowały w górę. Czy popełniła gdzieś błąd? To Ince nie dawało spokoju. Czuła się winna. Czyżby myśli, które chodziły jej ostatnio po głowie, miały metafizyczną siłę wprowadzania się w życie? Rawicz milczał. Nie skomentował oficjalnie tych nagłych różnic, tylko pokątnie doszło do niej, że wściekł się okropnie i twierdził, że niemożliwy jest taki skok. Dowiedziała się także, że krew do badań odwozi teraz gdzie indziej, do laboratorium na drugim końcu miasta, bo przestał jej ufać. To Inkę zupełnie dobiło. Przecież wystarczyło przyjść i zapytać, poprosić o powtórne zbadanie. Czekala na jakiś znak, próbowała zadzwonić, ale nie odbierał od niej telefonu. Zadzwoniła więc na urologię, chciała porozmawiać z kimkolwiek. Była załamana.

— Uspokój się i nie histeryzuj — wyjaśniała znajoma lekarka. — Tak się czasami zdarza, nie ma w tym twojej winy. W takich przypadkach wystarczy nieraz parę godzin, żeby sytuacja zmieniła się o trzysta sześćdziesiąt stopni. To jest schorowana kobieta. Rawicz jest teraz zabiegany, nie ma głowy, żeby do ciebie dzwonić i wszystko wyjaśniać. Bądź cierpliwa, a najlepiej sama go spytaj.

To niestety okazało się dość kłopotliwe. Rawicz gdzieś zniknął. Nie było go nawet przy żonie. Ktoś twierdził, że pojechał na konsultację do innych urologów, szukać dla niej ratunku. Inkę spalał niepokój. Gdyby można było cofnąć czas i wszystko zrobić od początku, od momentu, w którym przywieziono tę nieszczęsną krew. Chciała się przed nim wytłumaczyć i oczyścić. Nie mogła znieść myśli,

że mógłby ją o cokolwiek posądzać. Wybierała kilka razy numer jego komórki, niestety, bez skutku. Dopiero późnym wieczorem usłyszała znajomy głos. Brzmiał dość lodowato.

— Rawicz, słucham — udawał, że jej nie poznaje.

— Jaworska — powtórzyła. — Dzwonię — zaczęła od razu — bo nie wiem, jak się zachować, a pan milczy. Nie rozumiem, z czego wynika pomyłka. Nie czuję się winna i nie miałam żadnych złych zamiarów — powiedziała mu wprost.

— Ja też nie rozumiem, jednak przypuszczam — odpowiedział oschle — że te pani ostatnie wyniki były mocno chybione. Znieczuliły moją uwagę i stało się najgorsze. Nie rozumiem, jak pani mogła — zabrzmiało jak zarzut albo oskarżenie. — Teraz żona jest w głębokiej śpiączce i nie zanoszą się na poprawę. Nie cofniemy czasu, by dojść, które z nas popełniło błąd. Fakty są takie, że zapłaciła ona. — Przy ostatnich słowach wyłączył telefon.

Już dawno tak nie bolało. Siedziała po tych słowach skulona i czekała na następny cios. W całym domu słychać było jej głęboki oddech, przechodzący powoli w szloch. To był jedyny sposób, żeby wyrzucić z siebie całą rozpacz i rozczarowanie. Już dawno czuła, że nadchodzi, w końcu zważyła ją z nóg. Dawno tak nie płakała.

W końcu się ocknęła. Jakimś cudem przejrzała na oczy. Waleczny duch, którego kiedyś w sobie odkryła, dotknął wreszcie i jego, tego jedyne, na którym nie miała siły się mścić. Już nie czuła się winna, słaba i zagubiona. Resztki wyrzutów sumienia i żalu zamieniła w bunt. Widok w lustrze powiedział jej resztę. Spojrzała po raz drugi i zobaczyła zwierzę, ale to nie był już pies z wywalonym językiem, to była raczej bestia, gotowa skoczyć do gardła.

Kilka minut przychodziła do siebie. Przeżykając ostatnie łzy, próbowała się uspokoić. Kilka głębokich wdechów, głowa do góry, proste plecy, tego zawsze pilnował ojciec i mawiał: „Nieważne kim będziesz, byleś się prosto trzymała”. Była spuchnięta od płaczu. Nie obejdzie się bez ciemnych okularów. Jeszcze musi opanować drżenie rąk, na ból głowy weźmie tabletkę. Teraz poszuka w pamięci czegoś radosnego, najlepiej z dzieciństwa, i będzie jak nowa. Za chwilę powinno być dobrze. Ze spokojem wypija herbatę. Potem sprawdziła okna, wyłączyła sprzęt. Jeszcze temperatura w lodówkach, te czynności były jak pacierz. Ostatnie spojrzenie, a potem wahanie. Na najwyższej półce zobaczyła statyw z probówkami. Siedemnaście, ostatnia w szeregu krew Rawiczowej. Zapomniała, że tutaj stoi, to właśnie ta krew,

feralna, mogłaby sprawdzić. Ale po co. Opuściła sobie. Wrzuciła ją do worka na odpady. Dowód przestępstwa czy obrony. Nie będzie już na to patrzeć. Potem zadzwoniła do mamy, bardzo ją zaniedbała.

Rozmowa z matką była w tym momencie konieczna. Powrót do stanu beztroski, jej głos, ciepły i jak zawsze czujny. Mówiła, o nic nie pytając. Już dawno przestała pytać, a Inka przestała się zwierzać. Mogła więc tylko być jej pociechą na wszelki wypadek. Wesołymi historiami o sąsiadach, psach i kotach wprowadzała odrobinę normalności, uświadamiając, że poza laboratorium jest całkiem inny świat, świat ludzi żyjących i cieszących się niemal każdą chwilą i że gdzieś istnieje równowaga między radością i smutkiem, miłością i jej zupełnym brakiem. Problemy Inki były wyszukane w obliczu zmartwień o krowę sąsiada, zalany ogródek i ciekący kran. Inka zatęskniła do takiej normalności, żeby nie szukać wciąż odpowiedzi na trudne pytania, tylko żyć dla życia i nic więcej. Chciała znać prawdę, lecz nie od matki mogła ją usłyszeć. Zbyt daleko odeszły od siebie, choć i tak rozmowa z nią to było wytchnienie, ponieważ po drugiej stronie mówił do niej ktoś naprawdę bliski i oddany.

W ciągu następnych dni stan Rawiczowej nie uległ poprawie. Leżała na intensywnej terapii pod stałą kontrolą. Uczucie gniewu i złości, które otrzeźwiło Inkę, nie znalazło ujścia. Rawicz się nie odzywał, Inka cierpiała, a życie toczyło się dalej. W tym zawieszeniu nie dało się dobrze funkcjonować, potrzebne było przesilenie, jakieś w prawo albo jakieś w lewo, byle nie stagnacja. Inka marniała w oczach. Była jakby spokojniejsza i całkiem obojętna na toczące się wokół niej sprawy, ale nie mogła się skoncentrować na pracy. Jak monotonne kapanie z dachu, tak kropla po kropli żal zalewał jej duszę. Analizowała nocami swoje postępowanie w stosunku do wszystkich wokół siebie. Powoli z tych myśli wyłaniał się smutny obraz nieszczęśliwej istoty, która tuła się po bezdrożach i nie zna drogi do domu. Schudła, straciła blask i naturalną świeżość. Nektar jej życia, napój szczęścia, obiekt miłości i pożądania, którego nie dane jej było spróbować, opuścił ją w sposób okrutny, więc więdła, usychała, zamieniała się w kamienny kwiat, a on nie zamierzał przybyć na ratunek. Chciała jeszcze zobaczyć go i porozmawiać, zanim wszystko będzie stracone, bo śmierć żony rozdzieli ich już bezpowrotnie. Chciała już tylko odzyskać twarz. Wierzyła, że słowo może bardzo wiele. Nie dawało jej to ciągle spokoju. Postanowiła ostatecznie rozprawić się z demonami i sama złożyć mu wizytę.

Znała dokładnie plan jego pracy. W czwartki, jak zawsze, miał dyżur na onkologii. Upewniła się na wszelki wypadek. Była dwudziesta pierwsza, gdy weszła na oddział. Wszystko tonęło w ciszy, tylko gdzieś ze środka korytarza, z pielęgniarskiej dyżurki słychać było grające radio. Tego dnia dyżur miała oddziałowa.

— Cześć — powiedziała do Inki. — Wejdź, siadaj, jestem dziś sama — podsunęła jej krzesło. —
Co się dzieje, jeszcze pracujesz?

Ince trudno było powstrzymać emocje, nie wiedziała jak zacząć rozmowę.

— Muszę pogadać z Rawiczem — powiedziała bez wstępu.

— To sprawa osobista, muszę coś uzgodnić, a raczej wyjaśnić — poprawiła się szybko. —
Zresztą, przecież wiesz, chodzi o jego żonę, te wyniki, słyszałaś pewnie, dlatego przyszłam, chcę to
wyjaśnić.

— Gryziesz się tym? — zapytała z ironią oddziałowa.

— Jakoś nie mogę sobie znaleźć miejsca. Nie czuję się winna, a on mnie unika — powiedziała
szczerze. — Muszę to z siebie zrzucić — westchnęła.

— Daj spokój, Inka, szkoda twoich nerwów. Wszyscy go znamy, ja zawsze mam razem z nim
dyżur, to trudny facet. Każdy wie, że bardzo się starasz. Mówią, że za bardzo — dodała dwuznacznie. —
Myślisz, że nie widać, jak za nim latasz. Dziewczyno, daj sobie spokój.

Inka usiadła na krześle, bo nagle poczuła się słabo. Więc jednak wiedzą. Myślała, że tego nie
widać.

— Teraz chodzi o coś innego — udawała, że nie chwyta sugestii. — Chcę tylko, żeby mi wyjaśnił.

— OK, nie ma sprawy — oddziałowa wzruszyła ramionami.

— Tylko teraz raczej tam nie wchodź, teraz ci nie radzę.

— Dlaczego? Już śpi? — cicho spytała. — Jest dopiero dziewiąta.

— Nie śpi, moja droga, ale ma gościa.

— Gościa! — była zaskoczona.

— No widzisz, nie tylko ty masz do niego interes — uśmiechnęła się tajemniczo. — To stały gość,
oczywiście kobieta. Odjakiegoś czasu przychodzi na jego dyżury. To już za mojej kadencji trzecia albo
czwarta. Nie pamiętam, szczerze powiedziawszy. Wygląda jak... no wiesz — mrugnęła okiem. —
Dokładnie, co tam robią, nie wiem, bo nigdy nie wchodzę, zresztą drzwi do gabinetu zamyka na klucz. Ja

mam tylko pilnować oddziału, dopóki ona nie wyjdzie, a w razie czego, dzwonię. Czasami pukam i wtedy wychodzi. Więc nie pomogę w kłopotcie, nie chcę się narazić, Rawicz to niezły gagatek. Daj sobie z nim spokój.

— Gagatek? — To słowo wydawało się Ince jakimś szyfrem.

— Ano właśnie, gagatek — potwierdziła kobieta.

Jeśli Inka myślała kiedyś o końcu świata, to był chyba właściwy moment. Całkowita apokalipsa.

— Kto to jest? — zapytała.

— Taka jedna — odpowiedziała oddziałowa, spoglądając na bladą twarz Inki. — Podobno jakaś artystka. Ale tak jak mówiłam, przed nią były inne.

— W takim razie nic tu dziś po mnie — Inka przełknęła ślinę, próbując zachować spokój. — Chciałam cię tylko prosić, gdy będzie okazja, powiedz mu, że przyszedłam porozmawiać, ale był zajęty.

— Nie ma sprawy, masz to jak w banku. Ale nie wiem, czy będzie wiedział, o co chodzi.

— Będzie wiedział, na pewno — odpowiedziała spokojnie.

— Załatwię to, ale jutro rano.

Inka jak w transie wychodziła z oddziału. Koniec korytarza majaczył w oddali — wydawał się drogą bez wyjścia.

Wzięła na spanie podwójną dawkę, coś bardzo mocnego, bo chciała się zaraz położyć. Postanowiła na długo wyłączyć świadomość. Wszystko miała w nosie, już nic nie było ważne. Zadzwoiła tylko do Eli. Chciała, żeby znała prawdę. To się jej należało. Już dawno przestrzegano ją przed Rawiczem. Powinna posłuchać koleżanki. Ela zaraz chciała przyjechać, ale Inka stanowczo odmówiła. Nikogo teraz przy sobie nie znieś. Obiecała, że zadzwoni, jak odeśpi problem.

Nawet nie zdjęła ubrania. Zasnęła po prostu na kanapie w pokoju, pod starym szalem ciotki. Zdążyła wypić zimną herbatę, która została jeszcze od śniadania, i zaczęła odpywać. Odpywanie było burzliwie, w potoku łez, z zapuchniętym nosem i mokrym kołnierzem od bluzki. Właściwie pragnęła umrzeć. Straciła sens życia, więc po co się dalej męczyć? W końcu jakoś zasnęła.

Ocknęła się w zupełnej ciemności. Ktoś przykrył ją kocem i podłożył pod głowę poduszkę. Świadomość wracała powoli. Żeby połapać wątki musiała się podnieść. Świeciło się tylko w kuchni i jeszcze ten hałas za ścianą. Dla kogoś, kto zawsze był sam, każdy obcy dźwięk był niepokojący. Usiadła na brzegu kanapy, nastuchując, ktoś się chyba kręcił po domu. Pomyślała o Eli. Dywan tłumił kroki, gdy dreptała w kierunku kuchni. Zajrzała nieśmiało i trochę ze strachem. To Szymon układał w szafce talerze i szykował kanapki. W czajniku gotowała się woda, a na stole stały obok siebie dwie filiżanki. Ten widok dziwnie ją wzruszył, dwie, a nie jedna, jak zawsze. Było w tym coś cudownego. Chyba usłyszał jej kroki, bo odwrócił się i spojrzał poważnie.

— Kawę czy herbatę? — po prostu zapytał. Stał trochę zmieszany z widelcem w ręce i patrzył na nią ze współczuciem.

— Skąd się tu wzięłeś? — powiedziała zasnana.

— Elżbieta dała mi klucze — odpowiedział cicho. Bał się żeby nie spłoszyć momentu, tej chwili, od której wiele zależało. — Była tu wczoraj, cały dzień spałaś, dzisiaj ja mam dyżur — lekko się do niej uśmiechnął.

— Jak to, przecież... — próbowała policzyć dni. Jakimś cudem potrafiła jeszcze logicznie myśleć. — A twoja habilitacja, zdaje się, że dzisiaj miałeś końcowe kolokwium.

— Jutro — poprawił ją szybko.

— A więc, co teraz tu robisz?

Wzruszył tylko ramionami i dodał poważnie:

— Teraz szykuję dla nas kolację — podniósł do góry widelec.

-- A habilitacja!? — Inka nagle odzyskała głos. Pieprzyć habilitację! — odpowiedział na to.

Zjadła posłusznie wszystko, co jej położył na talerz. Nawet smakowało. Myślała, że nigdy się już nie podniesie z żalu, a tymczasem siedziała z Szymonem w kuchni i słuchała kawałów. Wygadywał jakieś głupstwa, a ona się śmiała. Czuła, że to chyba organizm bronił się przed zupełną destrukcją. Szymon za to promieniał z radości. Sam był zdziwiony, że Inka tak łatwo poddała się wesołości. Myślał, że potrzeba wielu dni, żeby ją wyrwać z depresji. Wszystko było jednak bardzo powierzchowne: i jego radość, i jej dobry humor. Widział, a raczej wyraźnie czuł, że sprawa Rawicza to tylko czubek góry lodowej, która

kryje w sobie większe tajemnice. Stan Inki dawał mu do myślenia. Nie był psychologiem, a jednak widział, że wszystko w niej gra i że ta pozornie spokojna twarz to tylko fasada, ta część, którą chce pokazać innym. Cała reszta schowana jest w środku. I nie chodziło tu nawet o ostatnie zdarzenia. Były tylko oliwą do ognia. Według niego Inka nosiła w sobie wielką tajemnicę, skrywaną pieczołowicie, nie tylko przed innymi, a przede wszystkim przed sobą. W tych lochach pamięci część ze swojego życia musiała chyba całkiem wykasować, bo nigdy nie wracała do wspomnień z przeszłości, a gdy pytał ją o cokolwiek, o głupstwo jakieś z czasów, kiedy była dzieckiem czy dziewczyną albo choćby córką, na przykład o rodziców, to na jej twarzy pojawiał się wyraz wielkiego bólu, którego już nie umiała ukryć. Dziwił się Eli. Znały się przecież długo. Jak to możliwe, że nie dostrzegła, co się z Inką dzieje. Dla niego była zwykłą znajomą sąsiadki, chociaż nie ukrywał, że zawsze bardzo mu się podobała. Co innego jednak uroda, styl, a co innego usposobienie. Pod tym względem nie była jednak w jego guście. Zgryźliwość, którą się posługiwała w stosunku do niego, mówiła za siebie. Zresztą nawet się nie starał. Nie znosił zgryźliwych kobiet. Ale wtedy, kiedy się bliżej poznali, zobaczył ją całkiem inną. Zrozumiał, że jest wspaniałą kobietą, która tylko udaje obojętną. Kilka wspólnie spędzonych godzin, nie wspominając nocy, otworzyło mu na Inkę oczy. Kochali się, trzymał ją przecież w ramionach, spał z nią i widział, jaka jest, kiedy w miłosnym uniesieniu odkrywała całą siebie. W samym środku, pod twardą powłoką drżało coś niezwykle wrażliwego, coś, co błagało wprost o ratunek.

Szymon był w szoku. Całymi dniami nad tym myślał, bo bardzo chciał Ince pomóc. Nie wiedział, czy się zakochał, czy zadziałała wrodzona wrażliwość na cudzą krzywdę. Wzruszała go ta dojrzała kobieta, która zamiast cieszyć się życiem i sukcesami gryzła się jakimiś sprawami z przeszłości, do tego stopnia, że niezdolna była do szczęśliwego życia.

Szymon nigdy na nią nie napierał. Nie było szans, żeby z niej cokolwiek wydusić i nie miał takich ambicji, ale głowił się, co zrobić, żeby pomóc jej odzyskać wewnętrzny spokój. Mówiła, co chciała, a on udawał, że wierzy, choć widział wyraźnie, jak bardzo się męczy. Zgrywała twardą. Szukała dla siebie przyjaciół i kochanków, którym wystarczała tylko powierzchowna znajomość i nie chcieli się do niej zbliżyć.

Po kolacji zaparzył kawę i włączył nastrojową płytę. Inka siedziała w pokoju przy stole i próbowała znaleźć coś dla siebie w telewizji. Przerzucała bezmyślnie kanały, ale jej myśli szybowwały gdzie indziej. Nastrój euforii już z niej wyparował, a oczy znowu przygasty. Nie mogła się na niczym skupić. W końcu zgasła telewizor, wołała w ciemności posłuchać muzyki. Szymon w tym czasie sprzątał po kolacji. Czuł, że taka chwila jak ta już się nie powtórzy. Być może nigdy więcej nie będą ze sobą tak blisko jak

dzisiaj. Teraz, gdy ona nie ma już siły na walkę, ten jeden raz, dopóki znowu nie pokaże pazurów, mógłby spróbować. Miał kilka minut na zastanowienie, musi coś wymyślić, zanim ona nie wyprosi go z domu.

— Czy mogę wziąć z szafki te białe świece? — zapytał nagle.

Inka zasłuchana mruknięciem wyraziła zgodę. Usłyszała po chwili trzask zapałki i poczuła charakterystyczny zapach stearyny.

— Co robisz? — spojrzała nieufnie. — Dlaczego zapalasz trzy świece, jedna nie wystarczy?

— Zapalone świece mają magiczną siłę i odpędzają negatywne moce — wyjaśnił Szymon. — Nie wiedziałas o tym? — żartował.

— Wiedziałam, ale muszą być trzy?

— Im więcej, tym lepiej. Bez płonących świec szeptane zaklęcia nie przynoszą żadnych rezultatów, a poza tym, ma to swój nieodparty czar. Im więcej ognia, tym lepiej. Nie uważasz? — spojrzał jej głęboko w oczy i ustawił je pośrodku stołu. — Pięknie pachną— zauważył i zaraz wrócił do kuchni. Liczył na to, że autentycznie ciepłe płomienie podziałają na nią kojąco.

— Pięknie, chyba jaśminem. Jaśmin działa antydepresyjnie, wiesz? — zapytała. — Jest nawet taka odmiana: jaśmin lekarski.

— No popatrz — roześmiał się szczerze — a ja cię właśnie chcę zrelaksować tymi świecami i zacczarować trochę.

— Znasz się na czarach? — teraz Inka zaczęła z nim żartować.

— Jasne, że się znam, sama zobacz, już zadziałało. Uśmiechnęłaś się. — Podał Ince filiżankę. — Pij kawę, dopóki ciepła. Nasypałem ci trochę cukru.

— Nie słodzę kawy. Piję zawsze gorzką.

— To błąd. Potrzebna ci melatonina, na poprawę nastroju. Powinnaś zażywać trochę słodczy, raz po raz.

— Świece, czary, słodczy, masz dla mnie coś jeszcze w zanadrzu? — Oparła się wygodnie w fotelu i wolniutko sączyła kawę. — A kawa, na co pomaga?

— Mi pomaga na wszystko. Uwielbiam pić kawę — usiadł obok niej na krześle — z tobą mi smakuje w szczególności. — Zmienił ton głosu. — I jeszcze jaśmin do tego, czego można chcieć więcej w tej chwili...

Inka głęboko westchnęła. Spochmurniała na moment. Spojrzała ze smutkiem na drżące płomyki. Podrygiwały każdy w inną stronę. Zapach był naprawdę miły.

— Chyba działa — uśmiechnęła się smutno do Szymona. — Już lepiej się czuję.

— A widzisz, mówiłem, znam się na rzeczy. Świece czarują, jaśmin rozluźnia, kawa z cukrem dodaje energii i poprawia nastrój — powoli wyliczał. — Szkoda, że nie mam tu innych kwiatów.

— Są w ogrodzie, możemy przynieść — Inka się roześmiała. — Ale to raczej chwasty, nie miałam w tym roku czasu na ogród. Głupi był ten rok u mnie. Zupełnie nie pamiętam lata, minęło tak szybko, niepozornie. Chyba je po prostu przegapiłam. To były jedne z moich najtrudniejszych miesięcy.

— Nie muszą być jakieś szczególne — Szymon udawał, że wcale nie słyszy, i wrócił do tematu kwiatów. — Na przykład taki mniszek lekarski, zwany potocznie mleczem — powinno się go jeść garściami, pomaga dostownie na wszystko. A goździk, no cóż, zapach goździka uszczęśliwia, kto by pomyślał, a konwalii otwiera na pełnię doznań zmysłowych, chabry pobudzają zmysły i stymulują seksualnie, a dzwonki łagodzą nieśmiałość, natomiast astry...

— A więc poproszę cały bukiet takich kwiatów — uśmiechnęła się szczerze. — Rzeczywiście, potrafisz czarować. Wystarczy, że o tym mówisz, a mnie się zdaje, że działa. No, ale astrom już chyba nic nie wymyślisz. To kwiaty smutku, bo kwitną w jesieni.

— Dla ciebie mogę nawet astry zaczarować. Czytałem gdzieś, że napar z ich płatków odcina człowieka od wspomnień.

— Powiedział cicho i spojrzał uważnie na Inkę. — Podobno gdy człowiek sporo tego wypije, przestanie się oglądać za siebie, a wtedy terażniejszość będzie mogła otworzyć przed nim całe swoje piękno.

Inka spoważniała. Szymon trochę się tego przestraszył, ale brnął dalej.

— Zaparzyć ci astrów? — zapytał.

Spojrzała na niego uważnie, jakby się zastanawiała. Przełknęła ostatni łyk kawy i odstawiła filiżankę na stół.

— Mam prośbę do ciebie — odpowiedziała na to.

— Wszystko, co zechcesz — zapewnił z powagą.

— Chciałabym, żebyś jednak pojechał do tego Krakowa. Mówię szczerze. Proszę, nie poświęcaj się dla mnie — prosiła.

— Nie warto. Będę cię miała na sumieniu, a tego nie zniosę. Obiecuj, proszę.

— Obiecuję — Szymon wziął ją za rękę i powiedział. — Obronę mam jutro w Warszawie.

— Zdążysz?

— Zdążę, a powiesz mi teraz wszystko? Proszę. Jestem jak grób. Możesz być spokojna. Chcę, żebyś to z siebie wreszcie wyrzuciła. — Przynął się bliżej fotela i położył na jej kolanach swoją głowę. — Opowiadaj — dodał już ciszej.

Napisałam list do Tadeusza. To moja spowiedź. Brzmi dramatycznie, bo sytuacja jest dramatyczna. Chyba łatwiej mi napisać książkę. Rozpyliłam siebie na setkach stron. Już więcej niczego nie napiszę. Drobne literki „mnie” osiadły na nich, jak wszędobylski kurz, jak pyłek, który opadł z kwiatowych pręcików na blat czarnego stołu. Mój genotyp wśród miliardów okrucich szybujących w przestrzeni, bez większego znaczenia, wyrzucony w orbitę śmierci za pomocą ścierki. Za chwilę zniknie na zawsze. Ile za nami takich drobin, nikt nie wie. Nie róbmy więc problemu z jednej. Znikam z radością rezygnuję z praw do miejsca w historii, bo i tak pierwszy ziemski kataklizm lub potop, który przepowiadają prorocy klimatu, zmiecie mnie w ciągu sekundy. Więc po cóż cokolwiek udowadniać.

Minęło kilkanaście dni. Ile dokładnie, nie potrafię zliczyć. Przesypiam dnie i noce. Nic nie jem, jak długo można w ten sposób przeżyć? To nie boli, ale nie jest przyjemne. Marzy mi się koniec, ale wciąż spekuluję. Ostygły emocje, patrzę z dystansem na swoje dzieło. Sprawdzanie tekstu zmęczyło mnie niemiłosiernie. Kolumny liter przesuwają się, linijka po linijce, słowo po słowie. Ciągle mam wrażenie, że to nie jest genialna książka. Przestała mi się podobać. W głowie wciąż dudni słowo BANAT!!! Teraz przetacza się, jak pociąg towarowy brudny i pospolity. A przecież miało aż boleć. Nie odczuwam satysfakcji, tylko tęsknotę i... — rozczarowanie. Tyle straconych złudzeń, niespełnionych nadziei. Moja

wielka książka to tylko mdła papka, pełna sprzeczności i niekonsekwencji. Jestem błaznem bez twarzy. Muszę z kimś pogadać.

Kolejny dzień. Piję tylko wodę. Jeść mi się nie chce, ale brak mi miłości. To ostatnia myśl, która przychodzi mi teraz do głowy. Nie wiem, gdzie mam jej szukać. Cała jestem pustką. Byłam za młoda, nie wiedziałam, jak taka miłość wygląda, myślałam, że zwyczajnie —jak życie, jak ślub, jak macierzyństwo. Czekałam, kiedy przyjdzie, nie przyszła, umarła, zanim zdążyłam o niej pomyśleć. Umarła we mnie powoli, jak umierają wszystkie pasje i przyjaźnie, których się nie pielęgnuje, tylko hartuje. A przecież miłość to nie stal. Jest delikatna i wrażliwa na ciosy, i wiecznie spragniona. Nie przeżyje na pustyni.

Mój błąd polegał na tym, że udawałam szczęśliwą. Nie chciałam nikogo martwić. Ciężko pracowałeś na dom, na wakacje, na nowy samochód. Teraz nic o mnie nie wiesz. Oceniasz mnie po swojemu, stosujesz zawsze tę samą miarę — swoją. A ja jestem inna, nawet nie wiesz jak bardzo różna od ciebie. Może gdybyś wcześniej chciał poznać tę inność, byłbyś zadowolony, bo inne nie znaczy złe, ani nawet gorsze, inne może być niewyobraźalnie ciekawe. Ciekawsze od ciebie. Inne też może być mądre, na własny, inny sposób. Cała sztuka, żeby się nim w porę zachwycić. Wtedy każdy będzie szczęśliwy, razem i z osobna. Nikt nie musi już więcej udawać, że jest kimś, kim wcale nie jest. A ja przed tobą udaję, bo chcę, żebyś był szczęśliwy. Odeszłam, bo zabrałeś mi całe powietrze, nie mam już czym oddychać. Już nie pomaga pisanie. Zżerają je wyrzuty sumienia. Już nie pomaga oddychanie powietrzem bohaterów. Oni ode mnie odchodzą i zostają sama. Jak teraz. Chciałabym się od ciebie uwolnić, ale nie potrafię. Przywiązałam się do wizerunku, który mi stworzyłeś.

Chcesz, oddam ci moje książki, wszystkich bohaterów, każdą moją pasję. W zamian ty oddaj mi siebie, żebym wreszcie miała kogo kochać.

.....

Telefon wciąż milczy. Nie doczekam się jego dźwięku. Pewnie się rozładował, a przecież chciałam zadzwonić. Nie mam siły wstać z łóżka. Mogę tylko pisać. Coś dziwnego dzieje się ze mną. Opuściła mnie wściekłość. Uczucie, które było napędem i natchnieniem. Żałuję, że się jednak nie zdobyłam na tę podróż do Londynu. Zabrakło mi sił, choć byłam tego bardzo bliska. Może tym razem pani Woolf dałaby mi dobrą odpowiedź. Tyle w niej było mądrości, a jednak za mało, żeby dotrzeć do końca. Czy mogę się na nią powołać w niebie? Może więc choć podziękuję za pięć cudnych dni i cztery rozkoszne noce. W tych dziewięciu wymiarach musi się zmieścić całe moje życie.

Jest pewna poprawa. Przeszła mnie boleć głowa. Cóż za ulga. Osiągnęłam mistrzostwo w bezruchu i w niemyśleniu o niczym. Coraz gorzej widzę. Ale jest mi dobrze i ciepło, i błogo. Zaczynam sobie nucić, coś mi się nagle przypomniało, jakaś piosenka.

„Nie, nie możesz teraz odejść

Popatrz listki takie młode

Nim jesieni rdza i śmierć

Bądź — proszę cię na rozstań moście

Nie daj umrzeć tej miłości..."

Boże, co ja tu robię?!!

W ciszy sierpniowego poranka dudnią na schodach czyjeś kroki. Ktoś kilka razy puka do drzwi. Słychać dwóch mężczyzn. Poznają ich głosy. Kocham obydwu, jednego z powodu przysięgi „i że cię nie opuszczę aż do śmierci”, drugiego miłością bezkresną, choć beznadziejną. Ale oni próbują. Chcą mnie uratować. Krótka narada, będą wyważać drzwi. Słyszę, jak pękają futryny. Bohaterowie mojego melodramatu wkraczają do akcji. Na moment zapada cisza, chyba się tej ciszy przerazili, słychać tylko tykanie zegara. Mieszkanie stoi otworem. Wchodzą do środka. Kuchnia, łazienka, pokój, łóżko, pościel. Widzą mnie, nieduży kształt, skulony w kłębuszek, leży pod kołdrą w bezruchu, to ja. Na stole egzemplarz napisanej książki, spakowana walizka i bilet na samolot do Londynu. Na podłodze zapisana kartka. Zielony tusz w szarości jak dysonans. Roztrzęsione dłonie Tadeusza podnoszą tę kartkę, a Jakub patrzy na egzemplarz Pani Dalloway wystający z torebki i jakoś się trzyma.

„Jestem w jakimś mieście, bardzo dziwnym. Pod nogami kamienie, białe, duże. Lśnią w słońcu, jak droga do nieba. Przede mną brama, wykuta z kamienia. Wysokie filary zakończone rzeźbą. Postacie świętych wyłobione w białej skale, nieskazitelne, doskonałe, wskazują rękami niebo. Nie pasują do gotyckiego kościoła. Surowe ściany, w środku całkiem gołe, wykończone czerwoną cegłą gładkie sklepienie, skromny ołtarz, zapach kredowej farby, świeżego tynku. Msza bez wiernych. Msza tylko dla mnie, ja na jednym z nielicznych krzesel. Ksiądz wygłasza płomienne kazanie. Mam nad głową białe niebo, jestem oczarowana. Ta pustka mnie wzywa".

Ludzka pamięć jest chyba przekleństwem, powinno się zrobić z nią coś pożytecznego, jak z melodią, pisać na różne głosy, z wariacjami i zmieniać, kiedy się znudzi, na coraz weselszą.

Ludzka pamięć jest chyba przekleństwem. Podróż Jakuba w zakamarki przeszłości, do miasta z koszmarnych snów, rozpoczęła się w połowie sierpnia. Ale o mało włos byłby ją przełożył z powodu Magdy. Zdążyli w ostatnim momencie. Musiał ją z Tadeuszem zawieźć do szpitala. Była wycieńczona z głodu i skrajnie odwodniona. Przez kilka dni połykała tylko środki nasenne, nic nie jadła ani nie piła. Na szczęście zdążyli. Przeleżała dwa dni pod kroplówką, dlatego szybko przyszła do siebie. Tylko psychicznie jest słaba, miną tygodnie, zanim odzyska równowagę. Był u niej dzień przed odlotem, uśmiechała się, więc chyba dobrze. Gdyby nie to, pewnie by odłożył Londyn. Magda od Londynu ważniejsza. Dziwny ten sierpień, tyle spraw się nagle nałożyło, powinien się z nimi wcześniej uporać, ale skoro już podjął decyzję, kupić bilet, to trzeba je będzie odłożyć. Zostawiał Annę, oczekującą z obawą na przyjazd Pauliny, a jak wróci z Londynu, to odwiedzi Dorotę. Urodziła córkę i na szczęście wróciła do domu. Mela już po urlopie, czekała na znak od niego. Umówili się, na sto procent, spotkają się po jego powrocie, wszyscy razem, tak, jak obiecał. Wyglądało na to, że uda się zrealizować plany, bo nawet Inka skruszona zgłosiła swój udział w spotkaniu.

Przed samym wyjazdem przeprowadził rozmowę z Anną. Poniekąd czuł się za nią odpowiedzialny. Ostatnio różnie im się układało. Bronili własnych pozycji, każdy miał inne problemy. On matkę, której nie chciał zaniedbać, ona dzieciaka. Musieliby to jakoś pogodzić. Lubił małego Julka, lecz wobec nieśmiały planów, jakie miał w stosunku do Anny, wolałby rolę męża przy samotnej kobiecie niż funkcję dochodzącego dziadka. Niech się nacieszą sobą, nie będzie im wchodził w paradę. Liczył na to, że Paulina zmądrzała. Wyjazd był mu na rękę. Gdy wróci do domu, sprawy się jakoś uklepią. Po ostatnim, niefortunnym spotkaniu, zapanowała pomiędzy nimi pora lekkiego chłodu. Na szczęście nie doszło do ostatecznych rozstrzygnięć. Jakub nie deklarował niczego i daleko mu było do tego. Anna dotknięta jego zachowaniem czuła, że myliła się co do intencji, nie doceniła też pośmiertnej roli Izy. Po ostatniej konfrontacji z nieżyjącą rywalką na jakiś czas dała sobie spokój. Pomyślała, że jeszcze za wcześnie. Nie chciała go płoszyć. Bardzo się dla niej liczył jako przyjaciel, nie miała zamiaru zrażać go do siebie.

Był zajęty wyjazdem, przeżywał wszystko jak dziecko. Ostatnie dni przed odlotem zmieniły się w niezły kocioł. Gubił się w labiryncie formalności. Tydzień urlopu i tyle załatwiania. Jakby wyjeżdżał co najmniej na rok. Opieka dla matki, żeby nie była sama, zakupy, braki garderoby, nie miał nawet porządnej torby, żeby się spakować. Nie wiedział, jak ma się ubrać, czy nie zmarznie bez płaszcza, czy nie spoci się w ocieplanej kurtce. A buty — sportowe, czy oficjalne? Jedna para za mało, dwie to wielki bagaż. Te przyziemne sprawy wyprowadzały go całkiem z równowagi.

Wyleciał w poniedziałek rano. Bał się, że zaśpi. Zamówił dzwonienie, nastawił budzik, komórkę, ale to nie pomogło. Czuwał do samego rana. Na lotnisko przyjechał za wcześnie. Chciał mieć to z głowy, był na miejscu i spokojnie czekał na odlot.

Jak urzeczony z okien samolotu spoglądał na zalaną deszczem stolicę, a potem aż po granicę Francji padało. A nad Londynem świeciło słońce. Samolot nim wylądował, okrążył miasto, przelatając dwukrotnie nad srebrną jak metalowa struna Tamizą. Z okien samolotu można było dojrzeć, lub raczej musnąć okiem pejzaż budzącej się ze snu metropolii. Rzeka wiła się śmiesznie, jak wstążka porzucona na plaży, wśród zabudowań, ułożonych według ustalonego porządku w wyznaczonych sektorach, i dzieliła miasto na połowę. W miarę jak samolot przybliżał się do ziemi, wszystko stawało się coraz wyraźniejsze. Pojawiały się zarysy ulic i budynków. Linie rzeki, szeroką na wschodzie i zwężającą się ku zachodowi, przecinały w poprzek szczeble mostów, tworząc z niej na płaskiej ziemi drabinę. Teraz można było rozpoznać strzeliste, zakończone iglastymi dachami wierzchołki najwyższych budynków, charakterystycznych dla lewobrzeżnego Londynu, bardzo gęsto zabudowanego i bardziej efektownego, w kremowobeżowym odcieniu. Na prawym brzegu przeważały tereny zielone i dzielnice mieszkalne, upstrzone siecią gęstych i krótkich uliczek, małych okrągłych placików, miniaturowych kościołów.

Pensjonat, w którym miał zamieszkać Jakub, mieścił się w dzielnicy West End, przy ulicze w pobliżu Hyde Parku. W okolicy mieściły się ulice pełne hoteli, sklepów, dobrych lokali, największe skupisko teatrów, kin i muzeów. Będzie miał co oglądać i podziwiać w trakcie pobytu. Zaplanował wszystko szczegółowo. Humor psuła mu jedynie perspektywa spotkania z Twardeckim. Do tego nie było mu spieszno. Chciał najpierw zanurzyć się w miasto, poczuć w piersiach jego oddech i nasycić się wielkomiejskim gwarem. Znał trochę centrum i jeżeli przez te lata nie zmieniło się wiele, na pewno bez problemu będzie się po nim poruszał. Obiecał sobie, że teraz z szeroko otwartymi oczami, nie mając na głowie żadnych obowiązków, nacieszy się wolnością napatrzy i nasłucha. Poprzednio nie dbał o rozrywki. Wtedy, gdy szukał Izy, widział tylko ciemne puby i muzyczne kluby. Penetrował niebezpieczne ulice East Endu, gdzie w małych portowych spelunkach nad Tamizą zbierała się tamtejsza młodzież.

Taksówka wiozła go przez miasto, a on nie potrafił zrozumieć, dlaczego w minionych latach, przez zwykłe tchórzostwo, pozbawił się przyjemności podróżowania po świecie. Pozwolił na to, by żal za niespełnioną miłością i smutek, będący wynikiem nieustannych wyrzutów sumienia, odebrał mu wszelką radość życia i najzwyczajniejszy rozsądek.

Przez trzy dni nie myślał o Twardeckim. Spacerował po mieście i podziwiał, jak się zmieniło i wypiękniało. Podróżował metrem i poznawał zakątki, do których przedtem nie dotarł, miejsca słynne z urody i wszystkie sztandarowe obiekty.

Chodził i chodził. Był wszędzie tam, gdzie mógł dojść lub dojechać, gdzie chciał być lub być powinien i okazało się, że to tylko kropla w morzu tego, co jeszcze miał do zobaczenia.

Samo centrum, serce Londynu, Trafalgar Square, Mansion House, potem Bank Anglii z giełdą handlową. Na południowy wschód twierdza Tower, na zachód same urzędy. Chciał wszystko zobaczyć. Westminster z opactwem, katedrą, z pałacem Buckingham, potem Scotland Yard, a za nimi luksusowe hotele, jeden przy drugim. Schodził się tego dnia okrutnie, ale był szczęśliwy. Cały czas robił zdjęcia. Chciał się podzielić wrażeniami z Anną. Jakimś trafem myślał właśnie o niej, a przecież przyjechał tu tylko dla Izy. Zamiast obiadu zjadł wielkiego hot doga w przejściu podziemnym i wypił kawę z automatu.

Następnego dnia Oxford Street, Regent Street, aż do Piccadilly i dalej wielkie centra handlowe. Stracił na to pół dnia, chociaż wyszedł wcześniej. Po południu Soho, nocne bary, muzyczne puby, spelunki, ciemne zaułki z ich czarownym urokiem ozdobnych latarni, starych samochodów, seksrajów i sklepów porno. Wracał do pensjonatu szczęśliwy. Tyle wrażeń. Przez to, że był sam, mógł skupić się na wszystkim, wybierać trasę według chwilowego impulsu. Nic go nie goniło, nikt nie popędzał. Gdy coś wydawało mu się tego warte, zatrzymywał się na dłużej. Był w szampańskim humorze. Oswajał sobie nowy Londyn, na plan dalszy odsuwając ten, sprzed lat, który jak zadra tkwił uporczywie pod czaszką.

W środę zwiedzał dzielnicę Westminster, a potem urocze Green Park i Park Świętego Jakuba, otaczające królewską posiadłość. ^

Wieczorem miał dość. Zwalił się na łóżko bez sił. Uświadomił sobie, że to tylko lizanie placka. Oglądał wszystko zbyt powierzchownie, zbyt łąpczywie, jedynie oceniając niezwykłą urodę miejsc, inność i wielką różnorodność, a jednocześnie elegancję, której nie dało się określić słowami i opisać. Szczególnie bogate dzielnice Londynu robiły na nim ogromne wrażenie, ale i te biedniejsze próbowały dotrzymać im kroku. To był ten rodzaj dobrego smaku, który dociera do serca nie tylko przez obraz. Być może stereotyp angielskiego stylu, często lansowany, utrwalił się dobrze przez lata i teraz zadziałał, a może była to najświętsza prawda. W każdym razie Jakub był oczarowany.

Do Twardeckiego zadzwonił wieczorem. Już był najwyższy czas na spotkanie. Chciał mieć za sobą przykry obowiązek, bo perspektywa wiszącej nad głową rozmowy psuła mu radość z urlopu. Miał nadzieję, że jak załatwi sprawę, to pozbędzie się psychicznego balastu.

Telefon odebrała kobieta. Mówiła bardzo poprawnie po polsku, była miła, choć chłodna i nieco wyniosła. Odczekał kilka minut i już po chwili rozmawiał z Twardeckim. Niestety umówili się dopiero na piątek. A więc następny dzień miał jeszcze wolny. Chciał odwiedzić niektóre muzea, te najważniejsze, ale tym razem z uwagą a wcześniej przygotować się teoretycznie. Zaraz po przyjeździe kupił sobie przewodnik i postanowił poczytać. Bez tego wyjazd do Londynu mijałby się z celem. A więc British Museum, National Gallery, Madame Tussauds, a na koniec oczywiście Harrods i widokowe koło London Eye. Naczytał się wszystkiego do syta.

Kusiło go, żeby zboczyć z polecanych tras i zobaczyć coś wyjątkowego. Za namową Marka postanowił odwiedzić dzielnicę muzułmańską. Miał trochę obaw, ale ciekawość wzięła górę. Pamiętał, że kiedyś chodziło się oglądać Chińczyków, teraz z uwagi na sytuację polityczną podglądało się muzułmanów. W przewodniku przeczytał, że dzielnica jest w miarę bezpieczna, jeśli turysta trzyma się wyznaczonych ulic i zachowuje poprawnie.

Jakub wybrał polecaną dzielnicę Brick Lane, w pobliżu stacji metra Aldgate East. Miał tremę przed tą wyprawą ale uważał, że oglądanie Londynu tylko z wizytówek byłoby powierzchowne. Przecież chyba na każdej ulicy nie czeka tam banda muzułmańskich oprychów.

Wybrał się zaraz po śniadaniu, które zjadł, jak co dzień, w małym, nieco obskurnym barze po drugiej stronie ulicy. Tam otrzymał wskazówki, w jaki sposób najkrótszą trasą dotrzeć na miejsce. Nikt go nie zniechęcał, nikt nie odradzał, wszyscy chętnie pokazywali drogę. Widocznie nie było tak źle.

Na Brick Lane dotarł około dziesiątej. Nie zdziwił się i nie rozczarował. Zawstydził się tylko własnej ignorancji i uprzedzeń. Ta położona w samym centrum wschodniego Londynu dzielnica pełna była pachliwych targów, sklepów z używaną odzieżą, sklepów orientalnych, mniejszych i większych restauracji, serwujących kuchnię żydowską, indyjską, turecką. Niektórzy sprzedawali ją dosłownie z ulicy. Ludzie ubrani przeróżnie — widział wiele kobiet z zasłoniętymi twarzami, a obok nich dziewczyny niemal w bikini, facetów w eleganckich ubraniach, robotników w kombinezonach, brudne i żebrzące dzieci. Oszołomiła Jakuba różnorodność. Zastanawiał się, czy w Polsce coś takiego byłoby możliwe. Czuł się nieco dziwnie, jakby siedział przed telewizorem. Nie mógł uwierzyć, że jest tu rzeczywiście, że na moment stał się częścią innego świata, w którym żyją normalni, choć bardzo odmienni ludzie. Gdyby

musiał, gdyby los jakimś cudem doprowadził go w podobne miejsce, nie miałby obiekcji, żeby w nim żyć. Jak inne to było, niż wyobrażenie, które miał zawsze, ile razy pomyślał o podobnych dzielnicach, o ulicach takich jak ta. Strach ma wielkie oczy, sprawdził to na własnym przykładzie, przekonał się, że ludzie wszędzie mogą być szczęśliwi.

Szwendał się bez celu, raz po raz spoglądając na sklepowe wystawy. Był głodny, ale bał się ryzykować. Obawy co do higieny w tej części miasta były uzasadnione. Do tego najtrudniej byłoby się przyzwyczaić. Wszystko tu lepiło się dziwnie do rąk, miało swój zapach, ostry i nachalny, czosnkowo-cebulowy, aż mdlący. Więc zjedzenia nici, ale chciał coś sobie kupić na pamiątkę, na dowód, że tu był, że nie stchórzył. Podobały mu się różne rzeczy, piękne drewniane rzeźby, obrazy w kolorach Orientu, porcelana z Bangladeszu. Niestety samolotem mógł zabrać niewiele, zaledwie jakiś drobiazg. Długo stał przy wystawie. Jego uwagę przykuła biała skrzyneczka. Myślał, że jest z drewniana, tylko malowana. Dopiero z bliska zobaczył, że to porcelana. Śnieżna porcelana, pomalowana w niebieskie kwiatuszki, drobne niezapominajki, identyczne jak te, które zdobiły pamiątkowy futerał, który mu został jako pamiątka po Izie. Pamiętał, jak go kupował dla niej w Peweksie, za oszczędzone dolary. Stał zaskoczony tym dziwnym zjawiskiem. Pudełko „Diora” w sklepie z muzułmańskimi pamiątkami? Nie mógł oderwać oczu. Niewinne pudełeczko przypomniało mu nagle Izę. Dopiero teraz poczuł tak wyraźnie jej obecność. Zapach jej perfum, słyszał szept słów za plecami. Bał się, że gdy spojrzy w odbicie wystawy, zobaczy ją i usłyszy, jak mówi cichutko: „Kup mi to małe pudełko”.

Chwycił za klamkę, lepką i nagrzaną. Zamknięte drzwi nawet nie drgnęły. Szarpał się z nimi jeszcze przez chwilę, zanim ochłonął. Na szybie, z drugiej strony zobaczył napis. Spojrzał na żółtą kartkę, krzywą, wydartą z jakiegoś zeszytu. Otwarcie sklepu dwudziestego, godzina dziewiąta.

Jakiś zwarzony wracał do domu. Odechciało mu się jeść, zapomniał o kawie. Dobiła go perspektywa jutrzejszego dnia i wspomnienie Izy. Postanowił, że trochę odpocznie, że kupi coś do jedzenia w markecie i popije puszką zimnego piwa. Wieczór spędził w pokoju, oglądając angielską telewizję. Położył się wcześniej spać, liczył, że noc przyniesie ukojenie.

Ranek przywitał Jakuba deszczem, w sam raz do nastroju. Długo stał przed hotelowym lustrem i wybierał koszule. A jednak ciągle czuł respekt przed Twardeckim, tacy ludzie potrafią stworzyć wokół siebie atmosferę. Wypili to chyba z krwią matki, tę maskę wyższości, wymalowaną na twarzy. Jakub założył letni płaszcz i najlepszy garnitur. Chciał się czuć godny rywala. Z Twardeckim umówił się dokładnie

w południe, w jego domu. Znał ten dom jeszcze z przeszłości. Droga, którą wówczas pokonywał tak często, wryła się w pamięć.

Twardecki mieszkał po drugiej stronie Tamizy, w dawnej dzielnicy robotniczej, przerobionej w ramach powojennej przebudowy z zaniedbanych slumsów i ruder na nowoczesne dzielnice mieszkaniowe, w większej części zbudowane z małych, pięknych i zadbanej domków, usytuowanych w miniaturowych ogródkach. Dzielnicę tę w dużej mierze zamieszkiwali Polacy, teraz w wielu domach mieszkali polscy emigranci, którzy przybyli tu w poszukiwaniu pracy. Z dawnych właścicieli pozostało niewielu. Wszystko przemieszało się i wtopiło w tutejszy krajobraz i w kulturę, lecz mimo to drobne elementy polskości, jak wtedy, tak i dziś wciąż stały na straży narodowych tradycji.

Jakub zobaczył jego dom z daleka i poznał wciąż tę samą kamienną bramę, z metalową kratą broniącą wejścia do domu i do ogrodu. W tej dzielnicy tylko Polacy ogradzali niezmiennie swoje domy parkanami. Trudno im było wyzbyć się tej odrobiny odrębności i poczucia spójności z własnością jakby bronili jej przed okupantem. Na co dzień wtapiali się w społeczeństwo, w którym żyli, pracowali, nie zawsze z ochotą przyznając się do polskości. Gdy przekraczali próg własnej bramy, mogli zdjąć z twarzy maskę Europejczyków. Morański nigdy nie pragnął mieszkać poza krajem. Utrata swobody bycia sobą nie mieściła się w obszarach jego wewnętrznej estetyki. Chciał czuć się zawsze u siebie i nie zastanawiać, czy to się komuś podoba, czy nie.

Patrzył w zamyśleniu na znajome miejsce. Zdawał sobie sprawę z czasu[^] jaki upłynął, gdy ostatni raz stał pod tą bramą a jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to się zdarzyło wczoraj. Nie należał do ludzi posiadających zdolność kasowania pamięci. Zamiast uwolnić się od wspomnień i bez uprzedzeń, a tym bardziej wyrzutów sumienia przekroczyć te nieprzychylne progi, rozbudził w sobie niepotrzebne skrupuły. Kolejny raz zastanawiał się nad tym, jak to będzie, gdy stanie twarzą w twarz z osobą, o której przez lata wyrobił sobie najgorsze mniemanie. Powtarzał, że należy z honorem wyjść z tego domu i nie dać się ponieść emocjom, jak wtedy, gdy był tu po raz ostatni. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chciałby koniecznie udowodnić winę, powinien na powrót wytoczyć wszystkie działa, a na to nie miał ochoty. Każdy z nich nosił w sercu inny obraz Izzy i niech tak pozostanie.

Bramę otworzyła mu starsza kobieta. Pół kroku za nią wyszedł na próg duży owczarek niemiecki. Kobieta zapytała po polsku:

— Czy pan Morański? — Stała, czekając na potwierdzenie, i po chwili otworzyła automatyczny zamek przy furtce.

Jakub bez skrępowania przekroczył próg, licząc na to, że nic mu się nie stanie. Chyba że pies darzy go takim samym uczuciem, jak jego pan — wtedy może być niewesoło. Owczarek bardzo dokładnie obwąchał nogawki, buty i płaszcz intruza, po czym spokojnie wrócił do legowiska w kącie korytarza. Jakub czuł na sobie jego uważny wzrok.

— Przyszedłem chyba trochę za wcześnie — tłumaczył się zmieszany kobiecie. Dopiero teraz opanowała go trema. Poczł zapach pomieszczeń, w których dawno temu rozegrały się ostatnie sceny dramatu. Pamiętał go, dreszcz przeszedł mu po plecach, zrobiło się zimno.

— To nic nie szkodzi. Pan Twardecki już czeka — kobieta wskazała wewnątrz domu. — Proszę zdjąć płaszcz. Powieszę go przy kominku, może trochę przeschnie, bo widzę, że pan przyszedł w ten deszcz piechotą. — Potem bez słowa poprowadziła go przez hol do gabinetu, znajdującego się na samym końcu rozległego domu. Wyglądało to tak, jakby strażnik więzienny prowadził skazańca na ścięcie.

Pokój, w którym oczekiwano gościa z Polski, był ciemny i skąpo umeblowany, bez wyraźnego stylu. Z mroku wyłaniały się masywne kształty szaf wypełnionych książkami, ciężkie biurko z wysokim krzesłem, a w kącie, przy wygaszonym kominku stał okrągły stolik. Zawiewało chłodem i wilgocią. — Cóż za miejsce — pomyślał Jakub. Człł jak cały pokrywa się gęsią skórką. Nie wiedział tylko: z zimna, czy może ze strachu? Drżała mu broda i zmiękły kolana. Już nie zdążył niczego pomyśleć. Spocone dłonie wytarł odruchowo w miękkie poły marynarki i stanął niemal na baczność.

Twardecki nie wstał z inwalidzkiego fotela. Siedział w nim jak posąg, wyprostowany, dumny i jakby martwy. Swoje dostojeństwo zachował mimo upływu lat i faktu, że o świetności pochodzenia nikt już nie pamiętał. Spoglądał na Jakuba z ukrycia, jak drapieźnik obserwujący ofiarę. Próbował wyczuć, czego może się za chwilę spodziewać. Ale nie miał złych zamiarów, pragnął pojednania. Jakub patrzył zdziwiony na dawnego przeciwnika i nagle zrozumiał, że ma przed sobą staruszkę. Przygarbione plecy, drobne ramiona, olbrzymia chmura białych włosów i drobna, wysuszona twarz — żalorny obraz przemijania. I jeszcze oczy, wciąż te same — zmierzył go od głowy po same czubki butów i z powrotem jednakowo świdrującym i krótkim spojrzeniem. Tego nie mógł sobie darować. Jakub wciąż nieufny, zastanawiał się, czy jest już rzeczywiście taki słaby, czy tylko manifestuje, żeby wzbudzić w nim litość. Uprzedzenia do tego człowieka miał głęboko zakorzenione. Mimo dobrych chęci, z jakimi przyjechał, nie potrafił uwierzyć w jego szczere intencje.

— Przepraszam, że nie wstanę — Twardecki zaczął pierwszy. — Siły mnie opuszczają — powiedział powoli.

Jakub podszedł i podał mu rękę.

— A więc jestem — przemógł drżenie głosu. — Jakoś do pana trafiłem. Tylko pogoda nieciekawa, choć to przecież lato. W Polsce też pada — stwierdził. Potrzebował tych kilku banałów, żeby jakoś rozpocząć i przełamać starą urazę i strach. To magiczne uczucie paraliżowało go zawsze, gdy znalazł się w pobliżu Twardeckiego, ni to pana, ni to tyrana, ni to troskliwego i kochającego ojca. Nigdy nie zrozumiał jego metod postępowania i sposobów zdobywania sympatii. Był tak niepodobny do swej córki, tak inny niż jej zagubienie i rozdarcie. Zawsze pewny siebie i tego, co planował. Nieustępliwy, nieprzejednany i antypatyczny.

— A podróż? Dobrze minęła? — zapytał Twardecki. — Ja zawsze bardzo źle znosiłem podróże.

— Dużo emocji, ale lot przyjemny — odpowiedział Jakub.

— Londyn piękny, szczególnie teraz. Miasto całe w kwiatach.

— Kiedy pan przyjechał?

— Jestem w Londynie czwarty dzień — wyjaśnił. — Trochę zwiedzałem.

— Jakie wrażenia? Jak odnajduje pan Londyn po latach, bo ja, panie Jakubie — zniżył głos — nie widziałem Londynu już bardzo dawno. Chociaż w nim mieszkam — dodał. — Wyobraża Pan sobie?

— Tak, to trudno sobie wyobrazić — przyznał.

— A jednak tak jest. Nie opuszczam wózka od pięciu lat.

— Zawiesił głos, jakby czekał na słowo współczucia. — Kilka razy wieźli mnie do lekarza, parę razy do kościoła, na cmentarz i to wszystko — kontynuował. — Z okna samochodu niewiele widać. A żeby poczuć Londyn, trzeba się po nim powłóczyć. Tak, panie Jakubie, tak. To już niestety nie dla mnie. Zresztą, czy ja kiedyś umiałem się włóczyć? — przyznał ze skrucą.

— Ale dlaczego pan stoi? Proszę usiąść tu obok mnie, przy stole — wskazał na wolne krzesło. — Zawołam Krystynę, włączy kominek i przyniesie ciepły koc, bo mi pan zmarznie i zachoruje.

Jakub usiadł nienaturalnie sztywny i bardzo zmieszany. Spodziewał się, że ich spotkanie będzie pełne ognia. Tymczasem poczuł się jak na herbatce u cici. Mięśnie karku lekko puściły, mógł ruszać głową. Jaka ulga!

— Trochę tu zimno, rzeczywiście — otwarcie przyznał. — Czy londyńcy nie lubią ciepła? — zapytał, pocierając zgrabiące dłonie.

— W ciepłe ciało szybciej się rozkłada, a mnie się nie spieszy — żartował Twardecki. — Ale przyznam, że w tym pokoju rzadko się pali, dom jest ciemny, stoi pod drzewami, jak pada, robi się w nim bardzo zimno.

— To pewnie specjalnie, żeby goście nie siedzieli zbyt długo — Jakub zażartował.

— Tak. Coś w tym jest — odpowiedział gospodarz, przeciągając samogłoski. — Ale pana, panie Jakubie, ten angielski zwyczaj nie dotyczy — powiedział to i jak na komendę do pokoju weszła kobieta z tacą. Niosła czajnik z herbatą, przykryty ciepłą czapeczką z wełny, polską wódkę i likier w szerokiej, ciemnej butelce. Jednym ruchem włączyła kominek. Już po chwili za plecami Jakuba rozżarzyły się sztuczne węgle i zasyczały resztki wilgoci wiszące na metalowej konstrukcji.

— A ja jestem wiernym miłośnikiem polskiej wódki — Twardecki bardzo się ożywił, gdy gospodyni robiła w kryształowej karafce rozgrzewający napój, precyzyjnie odmierzając na cztery kieliszki wódki jeden naparstek pomarańczowego likieru.

Mocna herbata przyjemnie rozgrzała przemarznięte trzewia Jakuba. W ciągu kilku minut zaczął odyskiwać fason, przestał drżeć.

Rozmawiali długo o Londynie. Mimo że, jak twierdził Twardecki, nie bywał w mieście dawno, znał dokładnie wszystkie ploteczki, wiedział o przebudowach, o nowych przepisach parkowania, o cenach biletów. Tematów było wiele. Obaj omijali skrzętnie ten, dla którego Jakub tutaj się zjawił. Niestety temat wisiał w powietrzu i prędzej czy później trzeba było przejść do sedna sprawy.

— Czuję, że pan mi nie odmówi i przyjedzie — powiedział w końcu Twardecki. — Chociaż ten gest pojednania powinien wyjść ode mnie i to ja do pana powinienem przyjechać

— oświadczył ku zdziwieniu Jakuba. — Miałem nadzieję, że panu też na nim zależy. Skrzywdziłem kiedyś pana i swoją córkę — padło niespodziewanie. — Przykro mi, ale muszę przyznać, że słowa skruchy ciążyły mi okrutnie przez te wszystkie lata — powiedział to prosto i szczerze. Jakub oniemiał. Nawet huk dział nie pogmatwałby bardziej jego myśli. Jednocześnie fala buntu, stare, zapiekłe uprzedzenie kolejny raz dało o sobie znać. Przełknął kęs herbatnika i poczuł powracające napięcie.

— Więc dlaczego nie odezwał się pan wcześniej? — zapytał.

— Dlaczego czekał pan tak długo?

— Myślałem o tym — powiedział Twardecki. — Lecz cóż przyszłoby panu z moich przeprosin. Może rozbudziłoby to jeszcze większy żal i pretensje? — Zapanowała chwila krępującej ciszy. Jakub czuł, że męczyzna w fotelu walczy ze łzami.

— Nawet pan nie zdaje sobie sprawy, jak były mi potrzebne przez te lata pańskie słowa, i jak to, co się stało, zaważyło na moim życiu — powiedział do gospodarza z żalem.

Twardecki trzymał się prosto. Nie było wyjścia. Rękawice zostały rzucone.

— Te zdarzenia odmieniły i pana życie, i moje. Nikt teraz już nie rozstrzygnie, czyja strata była większa. — Przezroczyście dłonie starca wygładzały nerwowo fałdy koca. — Pan sobie z pewnością jakoś to życie ułożył. Ja pokutowałem. Teraz z utęsknieniem czekam na obiecane niebo, bo czyściec odbyłem za życia.

— Człowiek jest tak genialnie skonstruowany, że gdy mu się powie, że boli go głowa, choć go nie boli, to mniej się zdenerwuje, niż gdy będzie mu się udowadniało, że jest w błędzie.

— Jakub patrzył Twardeckiemu prosto w oczy — Nie przyjechałem po to, żeby opowiadać o moim życiu i byśmy mogli potargować się, po czyjej stronie była prawda i który z nas dłużej nosił w sobie żal i bardziej cierpiał. Iza była pańską córką. To oznacza, że miał pan do tych cierpień większe prawo. Jeśli zaś chodzi o mnie, mogę jedynie powiedzieć, że nigdy jej nie zapomniałem i nigdy nie zapomnę. To było wielkie doświadczenie, za wielkie jak na mnie. Uważam, że nie rozumieliśmy jej oboje i tak naprawdę nie kochała żadnego z nas. — Musiał to z siebie wyrzucić.

— Jej matka była taka sama — dodał Twardecki. — Ona mnie też nie kochała. Obydwie miały mnie w nosie i obydwie odeszły. Zastanawiałem się przez lata, co we mnie jest? Dlaczego zrażam do siebie? Czym ranie, że wszyscy ode mnie odchodzą?

— Ja panu powiem — Jakub spiął mięśnie ramion i wylał z siebie te bolesne słowa: — Stwarza pan pozory uczuć i obarcza innych winą za ich brak. Gdy się kogoś potrzebuje, trzeba mu o tym wciąż mówić, powtarzać, umacniać. Pan jedynie oskarżał. Pana kobiety były zbyt słabe. Mnie pan też oskarżał. Najpierw, że wpędziłem Izę w nałóg, potem, że chcę ją odebrać rodzinie, a jeszcze później, że zbyt nisko się urodziłem, by po nią sięgać. Na koniec, gdy już jej nie było, obarczył mnie pan odpowiedzialnością za

jej śmierć, oskarżając, że gdybym jej nie zmuszał do wyjazdu, nigdy by nie zginęła. Że zabiła się, bo po nią przyjechałem.

Rozmawiali dość długo i wraz z upływem czasu, znikwały między nimi bariery. Już nie było o co się spierać. Wyglądało na to, że czas jednak jakoś zasklepił rany, w każdym razie nie dokuczały tak mocno. W krótkim czasie udało się nawiązać nić sympatii i robiło się coraz serdeczniej. To, co przed laty ich poróżniło, teraz stało się przyczyną porozumienia. Opowiadali o sobie, o sprawach polskich i angielskich, śmiali się z uprzedzeń, z różnic i podobieństw. Popijali spokojnie herbatę i zagryzali angielskie ciasteczka. Późnym wieczorem gospodyni podała kolację, a po niej Twardecki i Jakub przebaczyli sobie prawie wszystko.

Gdy starszy pan wydawał się już wyraźnie zmęczony, Morański, powołując się na właściwy powód swojego przyjazdu, zapytał o listy i pamiątki obiecanie w rozmowie telefonicznej.

— Dobrze się nam razem gawędzi, ale czas wreszcie przejść do celu mojego przyjazdu. — Jakub spojrział na rozanieloną twarz Twardeckiego. Nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy, że ten widok sprawi mu przyjemność. Nie żałował podróży, wprost przeciwnie, był zadowolony. Oczyszczenie było im nawzajem potrzebne. Ten dzień dowiódł, że wszystko jest możliwe. — Jestem pewien — kontynuował — że pana córka celowo wymusiła na nas to spotkanie. Znała nas lepiej niż my sami.

— A to — Twardecki przysunął do siebie drewnianą skrzynkę, stojącą przez cały czas obok niego — należy do pana. Proszę zabrać ją ze sobą do Polski. Tam jest jej miejsce. To pamiątka rodzinna. Została wykonana z tekowego drewna i jest bardzo stara. Należała kiedyś do mojej matki. Niech choć ten przedmiot wróci do ojczyzny, bo mnie nie będzie już dane, a tęsknię za nią okrutnie. W Polsce została duża część mnie, strzępy lzy i cała dusza mojej zmarłej żony.

Rozstawali się niechętnie, obiecując sobie ponowne spotkanie. Morański zwierzył się z zamiaru przyjazdu do Londynu w przyszłym roku, na wiosnę, i zaznaczył, że z pewnością nie omieszka i wstąpi. Na koniec poprosił o adres cmentarza, na którym leży Iza, bo chciał ją tam jeszcze odwiedzić.

— Kto wie, czy będę jeszcze wtedy żył, kto wie? — powiedział na pożegnanie Twardecki.

Jakub przesiedział nad skrzynką do rana. To, co z niej wygrzebał, było zbiorem pozostałości po czterech latach kochania. Jego miłość do lzy w postaci „instant” i jej wspomnienia przepełnione goryczą nietrafionego uczucia. Spisane na kilkudziesięciu stronach zeszytu w kratkę, były jak doskonały materiał na scenariusz. Jakoś bezboleśnie spłynęły po nim te wspomnienia, jakby dotyczyły kogoś innego. Może

były spisany rozgrzeszeniem, na które czekał wiele lat, może dopiero teraz, w miejscu gdzie wszystko się skończyło, odnalazł na powrót siebie. To dziwne, ale w miarę czytania tych zaskakujących zwierzeń, nabierał przekonania, że już od dawna znał ich treść i znaczenie i tylko nie chciał wcześniej przyznać się przed sobą. Wiedział, kim był dla Izy, a w szczególności kim chciał być —jedynym, bezkonkurencyjnym autorytetem. Wrodzone kompleksy chciał pokryć monopolem na wiedzę, jak żyć. Dlatego nie brał pod uwagę żadnej zmiany. Wypalał się, trwając w swoim dziele i gdy nie udało się go zrealizować, a główny cel wymknął się z rąk, wpadł w rozpacz. Lecz dlaczego cierpiał tak długo, jeżeli to, co przeżywał, było jedynie fikcją? Czyżby przesadził z wielkością uczucia, które zawładnęło nim bez reszty i w wyidealizowanej formie przetrwało niczym epos? Co sprawiło, że nagle tak odległe i nierealne wydały mu się tamte lata? Gdzie podział się ten żar, męskość, dlaczego odmawiał sobie cały czas, jak pokutnik, zwyczajnych, przyziemnych rozkoszy? Dlaczego wtedy zrezygnował z tej, która mu sama wpadła w ramiona, zakochana bez reszty, oniemiała z miłości, jak kolorowy ptak, który zabłąkał się w szarej krainie? Wpadli na siebie niespodziewanie w Londynie, ona rozdarta, pełna wątpliwości czy kocha tego, którego niebawem poślubi, on w matni, z poczuciem misji, przepełniony złością, że aż tak został oszukany przez Izę. Gdyby potrafił się wtedy otrząsnąć i pomyśleć logicznie, może do dziś byłby szczęśliwym i spełnionym człowiekiem. Tym czasem zmarnował życie sobie, odrzucając szczerze kochającą kobietę i oddając ją bez żalu innemu. Teraz oboje są nieszczęśliwi. Nie wracają ani słowem do tych kilku wspólnych dni w Londynie. Tego nie da się cofnąć ani zmienić. Ale czuje, że te dwie sprawy łączą się ściśle ze sobą i stąd u niego tyle żalu i wyrzutów sumienia.

Ze spokojem przewracał w palcach listy od Izy. Pisała dziwnym stylem, nieco delirycznym, z pogranicza alkoholowego upojenia i narkotycznego odlotu, niby do siebie, niby do niego, a może całkiem do kogoś innego. Może chciała usprawiedliwić swoje postępowanie, a może jego chciała uspokoić?

Pisała: „Nie kocham go i chyba nigdy nie kochałam. Ujął mnie tylko dobrocią i ślepym uwielbieniem. Potrzebowałam tego, ale on nie rozumiał mojej natury. Chciał mnie wpasować w ramki, na które nie miałam ochoty.

Wolność, ryzyko, niepewność jutra i muzyka, wydarta z kanonów i rygorów sztuki. Nie dla wielkiej sceny i pisków publiki. Muzyka dla muzyki, gra dla małej garstki ludzi, którzy potrafią słuchać i odlecieć.

To ja namówiłam rodziców na wyjazd do Londynu. Zdziwisz się, może nawet krzykniesz swoje »no wiesz!«. Szukałam pretekstu by uciec, udowodnić tobie jak niewiele można zrobić z ludzką naturą. Że

poprawić można źle uszytą sukienkę lub błędy w wypracowaniu. Nie da się poprawić człowieka tak, by pozwolił się do końca wymodelować jak glina. Nikt nie jest w stanie wnikać w czyjeś myśli, choćby nie wiadomo jak mocno kochał. Oczy i usta mówią jedno, a w środku wielka tajemnica. To najtrudniejsza rzecz na świecie: spotkać kogoś, kto nie będzie chciał od ciebie więcej, niż możesz mu dać.

Według obyczajowej mitologii, kobiety lubią się poświęcać, a mężczyźni lubią je wykorzystywać. Mówi się też, że tożsamość córek zależy od ich matek. Ja jestem przeciwieństwem takich mitów. Słyszałam też, że ideałem współczesnej kobiety jest taka, która ma do zaoferowania mężczyźnie niezależność intelektualną i finansową. U mnie nic nie pasuje do statystyk, wszystko się rozłązi.

Słodki obraz życia, który przede mną roztaczałeś, nie mieścił się w granicach moich marzeń. Moje wędrówki do wnętrza, w nieznanne, stawały się coraz częstsze i bardziej odległe. Matka i ja — to było iście wyrafinowane zestawienie, a ja i ty, to jak dwa odległe punkty na niebie.

Żyjemy wszyscy wyobraźnią tak różnorodną jak my sami. Mój świat jest inny od twojego i nic tego nigdy nie zmieni. Nie nauczysz ślepego rozróżniania kolorów, nie wykujesz mu w kamieniu, by dotykem poznał barwy, nie ulepisz nawet z najlepszego tworzywa, nie wytoczysz na precyzyjnej maszynie żadnego koloru. Właśnie ja jestem takim ślepcem i nie pojmuję wyrafinowanych prawd tego świata. Ja chcę robić życie po swojemu i zapłacić za nie nawet najwyższą cenę. Wlokłam się u twojego boku zmęczona, czekając na upragnioną okazję, by uciec.

Straciłam matkę, wiesz dobrze, co się wtedy czuje, bo straciłeś ojca. Jest jednak w tym jakaś różnica. Twój ojciec odszedł, bo tak postanowił los. Moja matka odeszła, bo tak postanowiłam ja. Nie potrafię z tym żyć. Namawiałam ją do wyjazdu z Polski. Szantażowałam, biorąc narkotyki, głodując całymi dniami. Tak bardzo chciała zostać w kraju, płakała po nocach przed wyjazdem. Marniała w oczach, a ja zacierałam ręce, mając już na wiele tygodni przed wyjazdem przygotowany plan. Byłam okrutna i bezwzględna, z nikim się nie liczyłam. A tych, którzy chcieli mi przeszkodzić, wykreślałam z życia. Ona nie wytrzymała rozłąki z krajem i moich wybryków. Nafaszerowała się tabletkami i wróciła do Polski w dębowej skrzyni. Też postawiła na swoim.

Wiem, że chcesz mnie namówić do powrotu. Masz zamiar wyleczyć mnie i uratować. Jak rycerz na białym koniu, jak Don Kichot z La Manchy. Wierzysz w to, że uda ci się po raz drugi przywiązać mnie do siebie i wychować. Lecz czego można oczekiwać od osoby, która tyle poświęciła dla wolności? Może następnych ofiar?

Jeśli jeszcze kiedyś przyjedziesz do Londynu, w co nie wątpię, znając twój upór, wstąp do nocnej knajpki „Feature” na Trafalgar Square, niedaleko kolumny Nelsona, jeśli jeszcze będzie istniała, i posłuchaj, jak tam grają zobacz, jak tam żyją a dowiesz się, do czego wzywają mnie dzisiaj marzenia”.

Obudził się późno. Odzyskiwał powoli świadomość minionej nocy i próbował odtworzyć wrażenia, jakie w nim pozostawiła.

Spojrzał w lustro nad umywalką i zobaczył w nim swoją twarz, wykrzywioną grymasem bólu i zdziwienia. Jeszcze nie tak dawno miał swoją wielką tajemnicę i cikliwy melodramat, teraz pozostała mu świadomość zmarnowanych lat i straconych złudzeń. Radość, która przepełniała go w pierwszych dniach pobytu w Londynie, teraz uleciała bez śladu. Twardecki wiedział, co robi. Ta jego skrucha, to szczere wzruszenie, ten żal i sympatia, którą mu okazał, miała być czystym oszustwem, wyrachowanym gestem. Więc jednak się zemścił? Dał mu tę skrzynkę pełną pamiątek po Izie, jej drobiazgów, zdjęć. I przemycił w niej to, co było najbardziej bolesne — gołą prawdę o jego klęsce. A więc nie mylił się, miał rację, czuł w kościach, że to zaproszenie nie było pojednaniem, tylko rozliczeniem.

Nie kochała go. Więc dlaczego byli ze sobą tak długo? Co ich przy sobie trzymało: jego zawziętość, czyjej uległość? A może jednak miłość, którą potem odmieniło życie, codzienne problemy? Może to one wygasily w nich żar, pozostawiając zaledwie poczucie obowiązku i przyzwoitości? Niech wszyscy diabli wezmą tę ludzką słabość! Założył płaszcz i wyszedł na ulicę, wprost w ramiona zamglonego miasta. Szedł przed siebie, patrząc pod nogi, a jego długie ręce, jak połamane patyki kołysały się bezwolne wzdłuż ciała. Ulica szumiała niczym wodospad, a on głuchy i niemy szedł wciąż bezmyślnie przed siebie. Zawieszony między przeszłością a dniem dzisiejszym, próbował się jakoś pozbierać. Jeszcze to jedno chciał sprawdzić, zanim wyjedzie.

Zaczął przechodniów i pytał o nocny klub „Feature”. Wybierał się tam, żeby sprawdzić, co chciała mu w ten sposób o sobie powiedzieć.

Wejście do lokalu usytuowane było wewnątrz pasażu, prowadzącego do nocnego kina. Rzęsiste oświetlenie raziło w oczy, pstrokate reklamy zapraszały do środka, oferując miłą atmosferę i nastrojową muzykę. Wzdłuż korytarza, pod ścianami tłoczyły się hałaśliwe grupki młodych ludzi. W drzwiach, nad którymi widniał napis „Feature”, stał wysoki mężczyzna i gestykulując, mówił coś głośno w kierunku wchodzących. Wysoka, bardzo szczupła dziewczyna, o zbyt wysuniętej szczęce, podeszła i uwiesiła się na jego muskularnej szyi, druga spoglądała do środka, do lokalu, skąd dochodził ogłuszający gwar i rozbrzmiewały rześkie latynoskie rytmy. Morański przemoczony i zziębnięty, wszedł, nie patrząc na nic.

Nie obejrzał się nawet na goryla, który przy drzwiach pilnował porządku. Chciał się ogrzać, napić ciepłej kawy i posłuchać. Przywoływał w pamięci ostatnie słowa z listu Izy i czuł się zawiedziony. Chyba nie o taką muzykę chodziło. Rytmy skocznej salsy jeszcze wtedy nie były jej znane. Więc raczej nic z tego, raczej się nie dowie, co miała na myśli, tyle lat w końcu minęło, wszystko tu mogło się zmienić.

Usiadł przy wolnym stoliku. Lokal nie był jeszcze pełen, ale wyglądało na to, że wieczór dopiero się zaczął. Zamówił u kelnera kawę i kilka ciepłych, serowych ciastek, wystawionych w oszklonej szafie, kuszących rumianą skórką i przyjemnym maślanym zapachem. Były pyszne, jadł je powoli, zdejmując zębami poszczególne warstwy ciasta, nawinięte na kawałek jabłka. Takie ciastka jadł w dzieciństwie. Robiło się je z mąki pomieszczonej z białym serem, a w środku zapiekało owoc. Już dawno nic tak bardzo mu nie smakowało, a może po prostu był głodny?

Ludzie powoli wypełniali salę. Robiło się tłoczno. Stoliki stojące bliżej baru i małej sceny były zajęte, te z tyłu, znajdujące się pod ścianami — jeszcze wolne. Morański siedział w zacisznym kącie i obserwował. Powoli wygaszano światła, cichły gwary. Wyłączono latynoskie kawałki i na scenę zaczęli wchodzić muzycy. Przy fortepianie rozparł się szpakowaty facet koło pięćdziesiątki, tuż za nim weszło dwóch młodszych saksofonistów, a przy niedużej perkusji majstrował od kilku minut wychudzony, ciemnowłosy mężczyzna z obfitymi brakami w przednim uzębieniu. Bez żenady rozsyłał wkoło przyjazne uśmiechy i witał siedzących przy stolikach znajomych. Muzycy długo przymierzali się do instrumentów, niespiesznie pobrzękując. Nikt oprócz Morańskiego nie zwracał na nich uwagi. Widocznie taki był tu zwyczaj i rytuał, by dostatecznie mocno pobudzić emocje i wydłużyć moment oczekiwania. W końcu zabrzmiały pierwsze takty i ludzie natychmiast umilkli. Rozległy się oklaski. Zaszleściły miotełki, uderzając o złote talerze i za chwilę delikatny, matowy dźwięk saksofonu, stopniując napięcie rozpułnął się po sali. Jakub słuchał oczarowany. Gdzieś w pamięci majaczyły mu światła ulicy, widoki zamglonego Londynu, pejzaż miasta oglądany z samolotu. Odpływały w dal dręczące niepokoje.

— Jak długo można iść do przodu z twarzą wciąż skierowaną za siebie? — pomyślał, gdy muzyka wypełniała go już po brzegi. — Jak można oddać dwadzieścia lat życia za uczucie, które nie istniało?

Wstał piękny, sierpniowy poranek. Słońce wdarło się bezczelnie do pokoju i obudziło Jakuba. Czuł się wypoczęty. Odespał już noc w jazzowym klubie, kaca i tylko głód dawał się we znaki.

Do powrotu zostały dwa dni. Co z nimi zrobić? Nie zamierzał więcej rozprawiać się z przeszłością. Miał dość, ale ochota na zwiedzanie jakoś mu minęła. Przewracał się z boku na bok, nie myśląc o niczym. Wiele by dał, żeby już wreszcie być w domu. Euforia pierwszych dni w Londynie dawno

minęła, pozostał tylko niesmak, a raczej gorycz. Spoglądał ze zdziwieniem na kilka firmowych reklamówek z prezentami, które miał zabrać ze sobą i zastanawiał się, komu je kupić. Miniaturowa kopia rolls-royce'a, którym jeździ królowa angielska, angielskie przysmaki z czekolady, piękny szal od Harrodsa, koszule, stara angielska brandy w pudełku z różanego drewna, książka w wersji angielskiej w pięknej torbie. Dla kogo to wszystko? Tak nierealne było jego życie tam, tak nierzeczywiste było tutaj. Nie wiedział już, do kogo należy.

Nagle jakieś olśnienie, chwila powracająca z niedalekiej przeszłości, impuls, że coś jeszcze ma do załatwienia. Ach, tak, to oczywiste, porcelanowa kasetka. Teraz jej kupno nie miało najmniejszego sensu. Odtrącił tę myśl i na chwilę znów przysnął. Lecz myśl powróciła, natrętna, jak mucha. A może jednak? Chciał, zanim wyjedzie, zamknąć każdy z rozdziałów, szczególnie rozdział pod tytułem Iza.

Zerwał się z łóżka, tak nagle, że aż go zabolalo w plecach. Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo się spieszy. Chciał być tam przed otwarciem sklepu, koniecznie, bo może ktoś mu ją sprzątnie sprzed nosa. — Paranoja — powtarzał bez przerwy. Zakładał szybko spodnie, mył zęby i zapinał koszulę. Zamiast płaszcza, który jeszcze dosychał, założył kurtkę, wziął portfel i wybiegł z pokoju. Stanął na moment przed barem. Zastanowił się, czy zjeść śniadanie. Rozmyślił się. Potem bez wahania, szybkim krokiem poszedł w kierunku najbliższej stacji metra. Dochodziła dziewiąta.

Tłum wlewał się schodami w dół. Każdy się spieszył na dziewiątą do pracy. Jak obywatel tego miasta, jak prawdziwy londyńczyk, obeznany z metrem, szedł bez wahania w wyznaczonym kolorem kierunku. To było nawet przyjemne. Z każdym krokiem szerzej się uśmiechał, głośniejsze stukał butami. Wessało go do środka wagonu razem z innymi, metro było pełne.

Stanął w drzwiach, przy samym oknie. Przed oczami miał nazwę przystanku — Aldgate — migwały kolorowe litery reklam, plakaty, a potem tylko ciemna ściana tunelu. Spojrzał na zegarek, czy zdąży? Była ósma pięćdziesiąt jeden. Kątem oka zobaczył chłopaka z plecakiem, który beczelnie przeciska się do tyłu. W szybie odbiła się jego przerażona twarz. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy w tym szklanym odbiciu, chłopak spuścił oczy zmieszany. Zanim Jakub pomyślał cokolwiek, chłopak odszedł do następnego wagonu. Zamknęły się za nim rozsuwane drzwi i tylko zamajaczył w oddali jego plecak.

Jakub nie zdążył nawet pomyśleć, coś go ścisnęło za gardło. Przeraźliwy strach. W jednej chwili zrozumiał, chciał wysiąść, ale już było za późno. Tylko skulił się odruchowo, odskoczył, jakby to miało uratować go przed przeznaczeniem.

Coś zatrzęśło w jednej sekundzie wagonem, rozstąpiła się pod nim podłoga, usłyszał potworny wybuch, krzyk, niemiłosierny łomot, tłum wokół niego zawył i zobaczył, jak spada na niego olbrzymia tafla szkła.

To ja, Zofia, i mój nowy dom. Przez olbrzymią taflę szkła patrzę przed siebie. Dom stoi na skraju lasu. Mury pachną jeszcze świeżą farbą, a parkiety lśnią świeżutkim lakierem. Ostatni promień słońca wpadający przez okno tworzy na podłodze zbity krąg światła.

Choć zbliża się wieczór, panuje tu przejrzysta jasność. Ascetyczny styl daje odczucie przestrzeni, a kremowy kolor podłóg na parterze promieniuje ciepłem. Na piętro prowadzą ażurowe schody, a nad głową wiszą okna, przez które w dzień widać płynące chmury, a nocą roziskrzone gwiazdy. Trudno uwierzyć, że jedna decyzja Jerzego, przed którą broniłam się niczym dzikuska, otworzyła drzwi pokoju na poddaszu. Malowane ptaki wreszcie pofrunęły, prostując połamane skrzydła.

Patrzę na zachodzące słońce. Niedługo jesień. Czas nie odpuszcza, a chciałoby się przystanąć na kilka lat, żeby złapać oddech na tę drugą połowę życia, zanim się zacznie. Ogród przysypia przed zimą. Nowych plonów już nie da. Ale, jak mówią byle do wiosny. Ogródu nie znam zbyt dobrze, wprowadziliśmy się kilka dni temu. Dom jest niewielki, ale ładnie położony. Stoi w ostatnim szeregu identycznych, na podmiejskim osiedlu. Miasto aż tu się rozrosło, pochłonęło dawne peryferie. Dwa lata temu były tu pola uprawne, a teraz wyrosły domy, jak grzyby po deszczu. W oddali widać las. Będzie można chodzić na spacerki albo jeździć z dziećmi rowerami. To rodzinna miejscowość Jerzego. Kilometr dalej stoi stary dom. Całe życie marzył, żeby wrócić. Mówi, że tu krążą dobre fluidy. Szczęśliwi są ci, którzy czują się spójni z miejscem urodzenia. Mnie było wszystko jedno, gdzie zacznę od nowa. Ufam Jerzemu, a teraz jeszcze podziwiam. Bardzo się zmienił, zmężniał, ma w sobie więcej energii, jest całkiem innym człowiekiem. Nawet nie pytam dlaczego, bo boję się odpowiedzi. Ja też zaczynam od zera, nowy dom i nowi ludzie. Ale nic się nie dzieje samo, historia ciągle depta mi po piętach, nowy dom, za stare pieniądze. Bo choćbym się wypierała bez końca przeszłości, to schowane przed laty w szufladach znienawidzonych kredensów i komód brylantowe broszki, złote kolie, rodowe perły mojej mamy i nietknięte w najgorszych czasach dolary dziadka Krzesińskiego czekały na mnie.

Okna mojego nowego domu są jak ekran w panoramicznym kinie. Chcę przez nie ogarnąć naturę od pierwszych promieni wiosennego słońca, po fioletowe zachody zimowych wieczorów. Chcę widzieć, jak blednące niebo opada na wierzchołki drzew, a jego monotonna wstęga zapowiada nadchodzący wieczór. Kocham ten dom, najpiękniejszy zakątek na ziemi. Od chwili gdy w nim

zamieszkałam znów rozpoznaję zagubione smaki i zapachy. Tutaj panuje zawsze rozkoszna cisza. Można się roztopić bezkarnie w marzeniach.

Czekam przy oknie na Jerzego i na dzieci. Patrę, kiedy zza zakrętu drogi wyjedzie samochód. Nie bywam z nimi w starym domu na Żelaznej. Tam straszą mnie żelazne duchy. Wprawdzie czuję się przez to wyrodną córką i wyrzucam sobie wymuszoną troskliwość w stosunku do rodziców, lecz trudno mi przełamać strach przed przekraczaniem rodzinnego progu. Ten dom wywarł piętno na moim życiu. Wiążą się z nim okropne wspomnienia związane z alkoholem i niespełnionym macierzyństwem.

Teraz czuję się silna, wtedy byłam wrakiem człowieka. Najtrudniejsze dla mnie były noce. Nie potrafię być sama. W ciągu dnia mogłam funkcjonować, noce były koszmarne. Noce na ulicy Żelaznej prześladować mnie będą do śmierci. Jeszcze wciąż czuję ten strach, widzę siebie w łóżku, walczącą z wolą kruchą jak lód. Pod powiekami mam piach, ręce drżą w febrze i zaciskają się rytmicznie, jakby pompowały krew. Tak się to zaczynało. Pomagał tylko środek nasenny, ale ile można go brać? Od czubka stopy po ostatni włos bolała mnie każda komórka. Ból był nie do zniesienia, wszystko było nie tak, nawet kołdra parzyła. Myślałam, że śpię na kamieniach, a pod głową mam kolczasty drut. Jerzy trzymał mnie za koszulę, pilnował, żebym nie wstała. Drgnęłam, a on już otwierał oczy i pytał, czy wszystko OK. Nie rozumiał mojego cierpienia, ale chciał pomóc. Płakałam z bezradności, cichutko, żeby nie słyszał, czekałam aż mocno zaśnie. Potem niczym poczwarka z kokonu wysuwałam się delikatnie z koszuli (opanowałam tę czynność do perfekcji) i naga biegłam do piwnicy. Otwierałam drzwi ukrytym w garnku kluczem i byłam w muzeum. To była moja świątynia i kolekcja dwudziestu lat życia. Dokoła ścian w równym rzędzie stały puste butelki. Zbierałam je na pamiątkę, żeby je kiedyś przeliczyć. Piękna kolekcja, ogród ziemskich rozkoszy, laboratorium niespełnionych obietnic. Siadałam przy świeczce, bo mi specjalnie wyłączyli prąd. Małe światełko tańczyło w powietrzu, odbijające się od szkła, dziesiątki świec, a między nimi moja twarz, zdeformowana krzywizną butelek.

Teraz żyję inaczej. Wyrzuciłam krzywe zwierciadła. Czuję się oczyszczona. Ale nie wszystko w moim życiu napawa mnie dumą. Żebym zdołała wybaczyć sobie niefortunną decyzję musiało minąć dwadzieścia lat. Człowiek nie może niczego przewidzieć. Co w danej chwili wydaje się dobre, w rzeczywistości może okazać się błędem. Tamtego lata, kiedy w drzwiach pojawiła się Norka, nie mogłam przecież odmówić. Zaprowadziłam ją do pokoju na strychu. Miała być krótko, tylko żeby wyleczyć rany. Potem chciała wrócić do domu. Została na miesiąc. Nie wiedziałam dokładnie, co się stało. Były z nią jakieś afery, bo pamiętam telefony Meli, prosiła, żeby im pomóc, że mają straszne kłopoty. Aleja byłam w Krakowie, cóż mogłam zrobić. Jerzy miał plener w tym czasie, wyjechał z grupą nad morze. Bałam się

jakichkolwiek problemów. Hippisi, mój Boże, nie mogłam się z tym utożsamiać. Byłam z dobrego domu. A Norka milczała. Przemówiła do mnie po tygodniu, opowiadać zaczęła po miesiącu. Poznałam prawdę z drugiej strony i byłam zgorszona. Opowiedziała mi o swojej miłości. Zakochała się w którymś z hippisów. Mieli cudowne plany, chcieli razem wyjechać i zacząć wspólne życie. Gdyby nie wtrącała się do tego Mela, byłoby cudownie. Pokrzyżowała im plany, razem z Kostkiem, a potem, jak już nie było czego ratować, wezwali policję. Narobili jej ogromnych kłopotów. Chłopaka aresztowali, Kostek trafił do szpitala, Mela wróciła do domu, a ona uciekła. Bała się, że będą jej szukać. Zanim trafiła do mnie, mieszkała w górskim schronisku. Ale straciła pieniądze i nie miała wyjścia. Prosiła, żebym się nie przyznała, że mieszka u mnie, nie chce tego wywlekać na komisariacie. Już dość przeżyła. Błagała, żebym ją kryła. Uwierzyłam, dlaczego miałam nie wierzyć. Wyglądała okropnie, miała wybity ząb, dzięki spojrzeniu, całe noce płakała. Gdy dzwonił telefon, wpadała w panikę. Każdy dzwonek do drzwi wprawiał ją w przerażenie. Znałam ówczesną milicję. Według mojego ojca, to był pierwszy i najgorszy wróg narodu. Człowiek honoru nie trzyma z milicją. Więc kiedy zadzwonił ojciec Meli, a potem porucznik MO, skłamałam, twierdząc, że nie wiem, gdzie się podziewa Norka. Potem dzwonił jeszcze raz, potwierdziłam kłamstwo.

Początkowo myślałam, że jest w ciąży. Czuła się okropnie, miała mdłości, wciąż mdlała, krzyczała po nocach. Pomogły środki uspakajające. Ginekolog rozwiął wątpliwości, Norka wolno wracała do życia. Nie wiedziałam, jak mam jej pomóc, nie mogłam utrzymywać bez końca. Była u mnie przez miesiąc, dopóki nie wrócił Jerzy. Zniknęła kilka dni wcześniej, widać bała się kolejnej rozmowy.

Odcięłam się od warszawskich kłopotów, od starych znajomych ze szkoły. Uznałam, że tamto to przeszłość, każdy musi iść w swoją stronę. Zresztą, po wyjeździe Norki już nikt nas nie niepokoił. Norka zadzwoniła po roku, że studiuje, że dziękuje za pomoc i kiedyś wpadnie na kawę. To mnie upewniło, że wszystko jest w najlepszym porządku i sprawę uznałam za skończoną.

Zajęliśmy się swoimi sprawami, żyjąc w kompletnej niewiedzy. Po dwóch latach przeczytaliśmy o wszystkim w gazecie. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam.

Każdy dom zaczyna się od okien, takich otworów w ścianach, które są po to, żeby mieć przed oczami przestrzeń. Na moich oknach nie ma zasłon ani firanek, nie chcę, żeby cokolwiek mąciło krystaliczną ostrość obrazu. Dość miałam ciemności. Przespałam kawałek życia częściowo ze strachu, resztę z zaniedbania. Nie czułam jak pachnie i smakuje. Zalałam je morzem alkoholu i to niewiele pomogło. Taka jest właśnie prawda o mnie, do której jeszcze wciąż tak trudno się przyznać.

Pomiędzy pniami potężnych kasztanów błyska biała plamka samochodu. To wraca Jerzy z zakupami i wiezie ze sobą dzieci. Obok mnie, na sztalugach stoi zagruntowany blejtram i pędzle gotowe do drogi. Popłyną ze mną w świat zapomnianych wzruszeń, do miasta, które zapisało się w mojej pamięci, na ulicę ze starą kamienicą, z ciemnym podwórkiem i rozłożystym dębem pośrodku. To był jeden z moich domów, był nim zaledwie przez chwilę, ale zaciążył na lata świetlne. Tamtych wakacji, Norki, wszystkiego, co było potem, nigdy nie zapomnę.

Tamte wakacje bez Kostka, które w całości spędziła z Norką uświadomiły Meli z całą stanowczością powagę sytuacji. Grupa była w całkowitej rozsypce. Drugi rok życia w hippisowskiej wiosce zaowocował kilkoma tragediami typu szpital, jakaś cięża nie wiadomo z kim, interwencje milicji, awantury z rozwścieczonymi rodzicami, kilka razy pogotowie, bo niektórym odbijała szajba. Deszcz zmył już z dachu „Ali people are one”, zostało tylko „Fuck hate”. Już rzadko mówiło się o wolności, szlachetnych przykładach, o tym jak ważny jest indywidualizm i swoboda myśli. Życie ich po prostu przerosło. Trudne warunki niektórym dały się we znaki, zaczęli się łamać, tęsknić za stabilizacją i domem.

W pełnym składzie zachowała się jedynie grupa założycielska. Wśród nich byli fanatycy ruchu, ludzie, którzy się nie poddali. Kontynuowali, ciągle tylko w założeniach, program na życie, bo poza założeniami nie mieli konkretnego pomysłu. Życie w tym stadle było jedynie dogorywaniem. Najgorsze wcale nie były nałogi. Pomiędzy kilkoma osobami, dla których hippisowska filozofia była sposobem na wewnętrzny rozwój, byli także nawiedzeni przywódcy, którzy w wyrachowany sposób wykorzystywali najstabszych. Tak więc z tych samych korzeni wyrosła zmutowana roślina. Norka dostała się niestety w łapy twardego Lamusa. Od dawna nieoficjalnie trzymał w grupie stery. Zawsze potrafił wybrnąć z sytuacji, jak było źle, to wszyscy szli do Lamusa. Umiał rozstrzygnąć spór, a jak potrzeba, załatwić pieniądze. Norka ufnie pracowała dla grupy, sprzątała w miarę możliwości, a z tego, co się udało zarobić albo wyżebrać, robiła posiłki. Nie była świadoma groźnej sytuacji i — o dziwo — w roli służącej wydawała się całkiem szczęśliwa. Co do innych spraw, Mela niestety miała pewne podejrzenia. Zaraz po przyjeździe rozmawiały o tym. Norka przyznała się, że jest z Radkiem, ale ma głowę na karku i wszystko OK. Mela stwierdziła, że tłumaczenie jej czegokolwiek nie ma najmniejszego sensu. Musiała jej po prostu pilnować. Nawet oczywiste dla wszystkich zniewolenie, poddaństwo jej w stosunku do grupy, niczego nie zmieniało w jej przekonaniach.

Lamus jako jedyny wiedział, co trzeba robić, żeby przetrwać najgorsze. To Melę najbardziej wkurzało. Lamus miał na Norkę największy wpływ, podsycając w niej bunt i postawę roszczeniową. Była niby z Radkiem, ale w rzeczywistości kochała Lamusa. Głupi by zauważył.

Dni uciekały jeden za drugim, a rozwiązania nie było widać. Niedługo koniec wakacji, czas było wracać do domu. Mela początkowo nie miała nadziei, chciała już zrezygnować. Jej czas na wakacje się kończył. Zmianę zauważyła w połowie miesiąca. Postanowiła wykorzystać chwilę, żeby poważnie porozmawiać. Czuła, że może coś wskóra, bo od pewnego czasu zauważyła w oczach Norki irytację. Pomyślała, że uzależnienie chyba nie jest tak głębokie. Nawet skłonna była przypuszczać, że Norka nareszcie ma dość. Czekala z tym na odpowiednią chwilę.

Pod koniec sierpnia w domu została już tylko grupa najbardziej wytrwałych. Niemal wszyscy się rozjechali. Lamus zwołał spotkanie. Zostało ich razem dziewięciu. Meli nikt nie traktował poważnie. Mieszkała z nimi, ale żyła na własny rachunek. Po tym zebraniu Norka przybiegła z wypiekami na twarzy, oświadczając, że wkrótce wyjeżdża. Prawdopodobnie do Austrii. Wszystko jest załatwione, najpierw wyjadą z wycieczką na Węgry, a tam ktoś ich przerzuci do Austrii. Na wieść o tym Mela skamieniała. A więc koniec walki o Norkę, cały trud na nic? To przecież nie jest w jej stylu, ona zawsze kończy na mecie. Coś się w niej wtedy zacięło, zagryzła zęby ze złości. Dopóki jest jakaś nadzieja, pierwsza stąd nie wyjedzie.

Do dzisiaj pozostaje dla niej tajemnicą po co dała się wciągnąć w cudze sprawy aż do tego stopnia? Gdyby sobie odpuściła Norkę i wróciła spokojnie do domu, zupełnie inaczej potoczyłoby się całe jej życie. Tamta chwila zadecydowała o wszystkim.

Dzisiaj pewnie machnęłaby ręką niech jedzie do jasnej cholery. Ale wtedy, wtedy jeszcze nie lubiła przegrywać.

W wyścigu każdy biegnie inaczej. Jeden po trupach, inny się wlecze, jeszcze inny co chwilę przeprasza, a są jeszcze tacy, co biegną, a na plecach niosą tych, którzy po drodze zesłabli. Wtedy, gdy sprawy toczyły się w przyspieszonym tempie, nie było czasu na gdybanie. Trzeba było po prostu działać. Ponieważ nie wszyscy zdecydowali się na ryzykowny wyjazd, grupa po krótkiej naradzie skurczyła się do pięciu osób. Norka jak opoka trwała przy swoim i nie dała się namówić na powrót do domu. Jeszcze tylko potrzebne były pieniądze. Każdy miał za zadanie załatwić je dla samego siebie. Lamus nie miał już wejść, wyczerpał dotychczasowe kontakty, właściwie je spalił, bo brał, lecz nie oddawał. Norka podjęła się negocjacji z rodzicami. Dotychczas tylko do nich pisała. Teraz postanowiła zadzwonić. To była dla niej ostateczność, ale nie miała wyjścia. Lamus ją o to poprosił, a ona zrobiłaby dla niego wszystko. Zmyśliła więc koszmarną historię, że się wplątała w kłopoty, że wróci na pewno, ale muszą jej przysłać pieniądze.

Telefon odebrała mama, prawie przy tym zemdląca. Słyszając, o jaką sumę chodzi, zwątpiła, ale obiecała, że jej pomoże i załatwi potrzebne pieniądze.

Ktoś miał w imieniu Norki po te pieniądze przyjechać. Pojechał Radek, ale w domu nikogo nie zastał i wrócił z kwitkiem. Zrobiła się niezła afera. Wyszło na to, że to miała być podstawa, pierwsza wpłata na wyjazd. Lamus się wkurzył na Norkę, twierdząc, że ich wykiwała. Zadzwoiła ponownie, ale telefon nie odpowiadał. Zadzwoiła wtedy do sąsiadów, oni też nic nie wiedzieli. Norka się przestraszyła, przez cały dzień chodziła zapłakana. Z jednej strony bała się stracić Lamusa, z drugiej czuła, że straciła już oparcie w rodzicach. Nie chcieli, a może nie mogli już dłużej jej utrzymywać. Przyznała się do tego dopiero wieczorem, dając Meli bezcenny argument. Norka dotychczas głucha na rozsądne prośby koleżanki, zaczęła wpadać w panikę. Mela tłumaczyła jej, co ryzykuje, że w razie wpadki skończy w więzieniu, zmarnuje sobie życie, a rodziców wpędzi do grobu. Norka płakała rozdarta, ale uczucie do Lamusa było silniejsze. Zdradziła, że Radek to tylko przykrywka, że się z Lamusem kochają i chcą razem uciec. Nie słuchała argumentów Meli, że w takim razie po co wciągać w to innych. Czy nie można otwarcie wszystkiego wyjaśnić i wyjechać bez tego cyrku? Okazało się jednak, że wyjazd załatwia Radek, że to dzięki jego kontaktom dostali tę szansę. Nie pomoże im, jeśli powiedzą prawdę. A dwaj pozostali już mają przygotowaną metę w Wiedniu, więc nie są w tę sprawę wmieszani.

Przegadały noc. Mela chciała jakoś Norce pomóc, ale była bezradna. Mimo zapewnień nie mogła uwierzyć w uczucie Lamusa. Coś jej w tym wszystkim śmierdziało. Czuła się dezorientowana i nie miała się kogo poradzić. Postanowiła dać spokój rodzicom, była dorosła, nie chciała ich niepokoić i psuć urlopu nad morzem. Rodzice Norki zapadli się tymczasem pod ziemię, Kostek właśnie wracał do kraju. Trudno go było zlokalizować. Została sama. Czuła, że jeszcze jeden taki wyskok Lamusa, a Norka przejrzy na oczy. Tym bardziej, że Radek zaczął już coś podejrzewać. Pretensje Lamusa do Norki brzmiały zbyt osobiście, żeby nie wyczuć, że coś ich łączy. Zaczęły się kłótnie. Radek ponaglał, potrzebne były pieniądze.

Następnego dnia zaczęło się piekło. Norka ciągle płakała, Lamus na nią wrzeszczał, Mela zdesperowana szukała ratunku, dzwoniąc do każdego, kto mógłby jej pomóc wyciągnąć koleżankę z kłopotu. Pora nie była najlepsza i chętnych niewielu, a ci, co wcześniej zgłosili gotowość, tłumaczyli się pilnym wyjazdem lub egzaminami. Każdy przekonywał Melę, żeby się nie wtrącała, bo Norka jest dorosła i nie potrzebuje niańki. Nie można jej ciągle prowadzić za rękę. Marek odmówił kategorycznie. Oświadczył, że nie ma czasu, bo się pakuje i leci na stypendium do Londynu, a musi jeszcze zaliczyć poprawkę z filozofii. Przez ten wyjazd pokłócił się strasznie z Dorotą. Doroty nie ma, pojechała do pracy nad morze, sprzedawać kurczaki z różną. Jakuba nie było, matka powiedziała, że wyjechał szukać Izy, a

Tadeusz szykował się do wesela. Był zły, bo Magda wyjechała gdzieś, nie wiedział gdzie, a wesele za dziesięć dni. Poradził Meli, żeby wracała do domu i nie wpuszczala innych w maliny.

— Dałabyś sobie spokój z tą Norką. Ma prawo decydować — próbował Meli tłumaczyć. — Ona jest z tych, co muszą wszystko przećwiczyć na sobie. Wiesz o tym dobrze. Lepiej będzie dla niej, jak ją zostawisz w spokoju. Wracaj do domu, dziewczyno.

Ale na powrót do domu było stanowczo za późno. Nie mogła w takim stanie zostawić Norki, bo ta była kłębkim nieszczęścia. Zakochana, sponiewierana i zaślepiona.

— On nie jest z tobą szczerzy — Mela próbowała tę okrutną prawdę zaszcześcić w jej mózgu. — Przecież widzisz, że chodzi mu tylko o forszę. Norka, obudź się wreszcie.

— Nic nie rozumiesz, Melka, jest inaczej, niż myślisz. — Broniła go zażarcie, odpierając ataki. — On już wszystko dla nas opłacił, załatwił sobie pracę, a ja obiecałam pieniądze na wyjazd. Powiedziałam, że załatwię, żeby się o to nie martwił, zapewniałam, byłam pewna, że rodzice pomogą. To nie on, to ja zawiniłam, to ja zawałam sprawę. Wszystko było zaplanowane. On tylko tak na mnie krzyczy, żeby się Radek nie domyślił niczego. Wszystko na pokaz, dla zmylenia, tylko dlatego tak na mnie krzyczy. On jest całkiem inny, niż myślisz — zapewniała. — My bez siebie nie możemy żyć.

Mela już nie wiedziała, czego się trzymać. Zwątpiła nagle, czy to, co robi ma jakikolwiek sens. Może wszyscy oprócz niej mają rację. Do tego wieczorem zobaczyła, jak Lamus tuli do siebie Norkę i jak ją uspokaja. Zrobiło jej się głupio. Pomyślała o sobie i Kostku, o tym jak bardzo go kocha i że żadna siła nie byłaby w stanie nastawić jej przeciwko niemu. Wierzyła mu w stu procentach i tak bardzo była stęskniona. Dwa miesiące dłużyły się niemiłosiernie. Spędziła je w tym dziwnym miejscu, zaabsorbowana i zaangażowana w sprawę, ale przez cały czas potwornie tęskniła. Nocami wspominała niemal każdą chwilę sprzed jego wyjazdu. Stwierdziła nawet, że gdyby została na wakacje w domu albo pojechała gdzieś z rodzicami, czas dłużyłby się jeszcze bardziej. Tu, zajęta troskami grupy, a raczej jej niedobitków, lepiej znosiła rozstanie i czas upływał szybciej. A teraz już tylko dwa dni pozostały do jego przyjazdu. Mela nie mogła się tego doczekać. Myśl o powrocie Kostka uspokoiła ją nieco, tym bardziej, że Norka z Lamusem i Radkiem nie wszczynali więcej awantur. Pomyślała, że pewnie udało się załatwić pieniądze, a teraz siedzą i radzą, co dalej. Wyglądało na to, że nie jest już nikomu potrzebna. Myśl o Kostku, ich miłość i to, co usłyszała od Norki, rzuciło na sprawę całkiem inne światło. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z popełnionego błędu. Ona rzeczywiście nie była im wcale potrzebna. Norka dokonała wyboru i trzeba to uszanować. Też poszłyby za Kostkiem, gdyby było trzeba, na koniec świata. A teraz Norce chciała

zabronić wyjazdu do Austrii. Nie miała prawa. Wieczorem spakowała plecak, posprzątała w kuchni i w pokoju, a potem z rozrzewnieniem obeszła dom. Jeszcze niedawno wszystko tętniło tu życiem. Ileż hałasu, muzyki, śmiechu, ile ciekawych rozmów, wieczorów pełnych powagi. Jakie się tu czasem toczyły dyskusje. A teraz puste materace. Co się stanie z domem, gdy wszyscy go jutro opuszczą? Zrobiło się Meli żal. Założenia ruchu hippisowskiego były całkiem słuszne, mogło się udać, gdyby lepiej to zorganizować, poprowadzić, gdyby tak znaleźć w tej pozytywnej formie bytu sposób na propagowanie wolności słowa i wyboru, jakiejś alternatywy dla tych, którzy chcieli inaczej. Aj ednak grupie nie udało się zaistnieć na dłużej; jak każda utopia, tak samo ta przechodziła z wolna do historii.

Przed dwunastą do pokoju przyszła Norka. Mela czytała książkę. Chciała ją jeszcze skończyć przed wyjazdem. Zostało niewiele, zaledwie parę stron.

— Spakowałaś się? — zauważyła plecak na krześle i pusty wieszak przy drzwiach.

Mela spojrzała zmieszana. Było jej żal odchodzić, przyzwyczaiała się do tej dziwnej istoty, takiej ślepo oddanej, bez zastrzeżeń i stawiania warunków.

— Chyba czas, żebym dała ci spokój. Byłam w błędzie, licząc na to, że wrócisz do domu. Obiecałam to kiedyś twoim rodzicom. Wygląda na to, że nie dotrzymam obietnicy, cóż, czasem tak bywa.

— Nie mam już do czego wracać — powiedziała Norka z goryczą. — Sama widzisz, już ich nie obchodzę, wszystko im jedno, co się ze mną stanie. Tu był mój dom przez dwa lata, teraz będzie gdzie indziej. Zdecydowałam tak i nie ma odwrotu. Chyba bym umarła, gdybym musiała wrócić. Jestem już innym człowiekiem. — Spojrzała dorośle. — Niestety, Mela, szczęście czasami trzeba drogo kupić. Jednego się wyrzec, żeby zyskać drugie. Wierz mi, to były dwa najszczęśliwsze lata mojego życia. Ani jednego dnia nie żałuję. Szkoda tylko, że nic nie wyjdzie z tej Austrii.

— Jak to, dlaczego? — Mela była zdziwiona. — Myślałam, że jednak udało się Lamusowi zdobyć pieniądze. Był dzisiaj w dobrym nastroju.

— Niestety. Już nie mamy od kogo pożyczyć. Wychodzi na to, że wszystko przepadnie.

— Jak to przepadnie? — Melka nie mogła zrozumieć. — A tutaj nie możecie żyć? Skoro się tak bardzo kochacie.

— Tu Lamus jest spalony. Ze studiów go wyrzucili, nie ma gdzie mieszkać, ojciec nie chce go znać. Między nami jest OK. Tylko, żeby zdobyć pieniądze. — Norka spojrzała błagalnie.

— Możecie pójść przecież do pracy, uczyć się zaocznie, niektórzy tak żyją.

— A mieszkanie? Nie zarobimy na wszystko. To Polska, nie żadna Kanada ani Australia. Zobacz, jak jest, masz tu namacalne dowody. Przetrwaliśmy zaledwie dwa lata.

Mela spojrzała ze złością. Brakowało jej słów.

— A wcześniej nie rozumiałaś, że życie bez pracy jest niemożliwe? Musiałaś się aż tak zaplątać? Zobacz, widzisz, jak to wszystko wygląda?

— Wiem, to było nierealne marzenie. Szkoda, że nam nie wyszło. Myślałam, że wyjdzie. Pomysł był dobry, tylko praktyka zawiodła. Byliśmy mało dojrzały, brakowało ludzi odpowiedzialnych.

— No właśnie. Wszyscy chcieli korzystać, a nikt nie chciał pracować. — Mela dała wreszcie upust swojej złości. — Pakuj się lepiej, dziewczyno, i wracaj do domu. Nic tu po tobie. — Mela z energią poklepała swój plecak. — Za godzinę jest autobus do Warszawy.

Norka spuściła oczy. Nad czymś intensywnie myślała. Mela czekała cierpliwie na podjęcie konkretnej decyzji.

— A ty, Melka, może ty byś nam jakoś pomogła? Oddamy, Lamus ma tam załatwioną pracę, jest też mieszkanie, podobno dość ładne, umeblowane. Tylko żeby dojechać. To nie jest taka olbrzymia suma, tylko na dojazd — powiedziała, jakby przedtem nie było rozmowy. — Ja nie pojedę nigdzie bez niego.

Mela w jednej chwili zdębiała. Propozycja Norki była strumieniem zimnej wody. Zamknęła książkę i odłożyła na stolik. Miała ochotę głośno zakląć, najgorszymi ze znanych przekleństw. Wyszła na chwilę z pokoju. Zrobiła kilka kótek wokół korytarza, a potem wróciła. Stała przed nią rozwścieczona. Chciała wreszcie wypluć z siebie całe rozżalenie, miała wrażenie, że też się za chwilę rozpłaczę.

— Jak możesz! — Puściły jej nerwy, poczuła bezsilność i żal. Nie mogła pojąć, jak można być aż tak ślepy. Stała przed nią gotowa jej to wszystko wykrzyzczyć, ale patrząc na zboląłą twarz koleżanki, nie miała sumienia. — Norka, aleja nie mam pieniędzy — powiedziała spokojnie. — Przecież wiesz, że wszystkie wydałam. Podzieliłam się z wami każdym groszem. Teraz wracam do domu, najwyższy czas, i mogę ci jedynie zaproponować to samo. Wróc ze mną. Dość tej włóczęgi!

Norka zerwała się na równe nogi.

— Mela, musisz mi pomóc, ja tam nie wrócę, wiesz o tym lepiej ode mnie. Tu jest mój dom — chwilę się zawahała. — Mój dom jest przy nim. Dla niego tu jestem. Muszę mieć te pieniądze, muszę jechać z Lamusem. Jeśli ich nie załatwię, pojedzie beze mnie, a tego nie przeżyję. Proszę cię, pomóż.

Stały naprzeciw siebie. Mela nie mogła uwierzyć.

— Norka, to nie jest facet dla ciebie, czy tego nie widzisz? Zostawi cię. Nie znasz języka, nie masz zawodu, nie masz pieniędzy.

— Wtedy wrócę do domu. Austria to nie koniec świata, a ja nie jestem ostatnia łamaga. Kocham go bardzo, ale mam swój honor i potrafię zadbać o siebie.

— Wyjedziesz nielegalnie i wrócisz? Czy ty słyszysz, co mówisz? Zamkną cię od razu. Prosto z Austrii trafisz do więzienia. A co z rodzicami, komu ich zostawisz, nam? — Mela widziała wszystko w czarnych kolorach. Podchodziła do tego racjonalnie, nie była zaślepiona uczuciem, tylko chłodna i już bardzo tym wszystkim zmęczona. Pragnęła jak najprędzej uciec, nie patrzeć, jak ćma płonie w ogniu.

— Nie martw się o rodziców, jakoś się oswoją jak z tą moją ucieczką. Jak będę na miejscu, kiedy się urządzę, dam im znać, przyjadą zobaczą... — Próbowwała obrócić to w żart. — Tylko mi pomóż, spróbuj przynajmniej. Ja już wyczerpałam wszystkie możliwości.

Mela była absolutnie bezradna. Na nic dwa miesiące gadania, szeptania na ucho, namawiania. Norka robiła swoje, tak jak postanowiła na samym początku. Widać stwierdziła, że to właściwa droga, Mela zaś była pewna, że to droga do zguby. Trzeba było pojechać z rodzicami nad morze, zostawić Norkę w spokoju. Wszyscy mieli rację. Ale cóż, czy tę niezwykłą historię powinna teraz zakończyć ucieczką podwinąć pod siebie ogon i zwiąć, jak ostatni tchórz? Powinna wyjechać bez słowa, jak inni odwrócić się tyłem i postawić krzyżyk na Norce, na zasadzie, że czego oczy nie widzą... Czy może robić ten ostatni uczynek, choćby i wbrew sobie?

— Do kiedy musisz mieć te pieniądze? — zapytała zrezygnowana.

— Do wczoraj — odpowiedziała Norka, a w jej oczach zabłysła nadzieja. — Ale jeszcze nie wszystko stracone, poczekają jeszcze dwa, może nawet trzy dni.

Mela najbliższym autobusem wróciła do domu. A potem rozpoczęła się od nowa cała wędrówka. Chodziła prosić o pożyczkę dla Norki, tyle ile kto może, myślała, że złoży z mniejszych sum jedną większą, że jak każdy z nich trochę wysupta, to da się przeskoczyć problem. Niestety, podobnie jak

poprzednim razem, nikt nie chciał do tego przyłożyć ręki i wszyscy odprawili ją z kwitkiem. Mela nie mogła uwierzyć. Zresztą już jej niewielu zostało, wszystkich nagle wywiało. Nawet rodzice, do których zadzwoniła, byli oburzeni. Ojciec był wściekły, że miesza się w śliskie sprawy. Zażądał kategorycznie, żeby wróciła do domu. Dopiero teraz wygłosił dawno skrywany sąd na temat postępowania Norki. Mela została więc sama z problemem. Nie miała już kogo prosić. Zajrzała do rodziców Norki, drzwi były niestety zamknięte. Zapukała dla porządku do sąsiadów, żeby zapytać, czy czegoś nie wiedzą.

— Podobno on jest w szpitalu — szeptała sąsiadka do Meli. Przez wąską szparę widziała tylko jej długi nos i wymalowane na czerwono usta. — Mówią, że wylew czy coś. Ona chyba jest z nim, bo w domu już czwarty dzień nie ma nikogo.

Tego jeszcze brakowało. A więc ofiar przybywa. Norka się załamie.

Wieczór zastał ją w Warszawie. Nic nie załatwiła. Było za późno, żeby wracać, nie miała zresztą z czym. Postanowiła, że prześpi się w domu. Rano zabrała swoje oszczędności, odłożone na czarną godzinę, było tego niewiele. Norka musi zrozumieć. Już wychodziła z mieszkania, gdy nagle zadzwonił telefon

Kiedy usłyszała w słuchawce Kostka, ze szczęścia się rozplakała. Wrócił, jak księżę z bajki, w najgorszym momencie. Myślała wtedy: wrócił, żeby mnie uratować. Potem przeklinała tę chwilę. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć poprzez łyzy, wylała z siebie całe przerażenie, skrywane dotychczas z wielką troskliwością. Nie była już sama, jest ktoś, kto jej doradzi. Ojciec był zaślepiony rodzicielską miłością według której dobierał priorytety, Kostek był zawsze bezstronny i nie pozwolił na podjęcie błędnej decyzji.

— Nic nie rób, zostań w domu. Wezmę z lotniska taksówkę, żeby odwieźć bagaże, i za godzinę, a może wcześniej będę u ciebie. Nic mi teraz nie tłumacz, szkoda czasu. Usiądź i spokojnie czekaj.

Rzeczywiście niedługo przyjechał. Opalony i piękny. Zapuścił włosy, ładnie mu się układały nad czołem. Mela nie mogła się napatrzeć. Przez dwa długie miesiące na dnie duszy czał się niepokój, że już go nigdy więcej nie zobaczy. Dlatego teraz, kiedy wrócił, nie potrafiła walczyć ze łzami. On scałował te łzy, ale ona wciąż produkowała nowe. Tryskały jak fontanny, kiedy tylko próbował coś do niej powiedzieć. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jaka wielka była w niej tęsknota, ile upiornych myśli zebrało się w głowie, że nie wróci, że kogoś tam pozna, że będzie wolał zostać z rodzicami, albo, co było najgorsze, coś mu się stanie. Z listów, z jego relacji można się było domyślać, w jakich trudnych i niebezpiecznych miejscach przebywał. Teraz wrócił, cały i zdrowy, taki sam, a może jeszcze kochańszy. Zapomniała w tej chwili o wszystkim. Tłumiony strach wreszcie ją opuścił i nagle zdała sobie sprawę z napięcia, w którym

żyła dotychczas. Było oczywiste, że osamotniona i pełna obaw o Kostka nie mogła się racjonalnie zachować, skoro w tym samym czasie szarpał nią strach. Dwa miesiące nie tylko tęsknoty, lecz ogromnego napięcia, a w tym jeszcze Norka, Lamus i cała ferajna z domu na Mazurach.

Zapatrzona w ukochane oczy zapomniała o wszelkich zgryzotach. W tym momencie nic się nie liczyło. Nikt nie był teraz ważniejszy niż oni. Leżeli w łóżku rodziców, jak małżeństwo. Kostek opowiadał pokrótce swoje wrażenia. Widziała jego zachwyconą twarz i oczy jeszcze iskrzące wspomnieniami i dziękowała Bogu, że zrezygnował z tych piękności świata i wrócił.

W końcu zasnęli oboje, on zmęczony długim lotem, Mela przeżyciami. Krótki sen dobrze im zrobił. Ochłonęli nieco i już ze spokojem zaczęli o wszystkim rozmawiać. Kostek dopytywał się o szczegóły, więc starała się naświetlać wszystko po kolei. Na koniec poprosiła o radę. Nawet dla niego sprawa była dość trudna. Nie dał jednoznacznej odpowiedzi. Początkowo ciągle przytakiwał, potem jednak zamilkł. Sprawy nabrały nieco innych kolorów, w innym świetle stawały Lamusa i Norkę. Przeżywał te same, co Mela rozterki, najpierw jąpotępił, później próbował zrozumieć. Dyskutowali dość długo. Z dyskusji wynikało, że Kostek jest za tym, żeby pomóc im dwojgu w wyjeździe. Jeszcze nie miał śmiałości głośno tego powiedzieć, ale uważał, że Norka powinna wyjechać.

— Zatrzymasz ją to do końca życia będzie sobie wyrzucać. A jak jej się nie ułoży w życiu, to Lamus urośnie do mitu. Jeżeli mają już wszystko załatwione, trzeba im pomóc w zdobyciu pieniędzy. Niechaj spróbują tego szczęścia, skoro tak im się marzy.

— Ja nie bardzo w to wierzę. Byłam z nią w tym domu, znam sytuację. Lamus jest zaradny, ma tysiące pomysłów, ale to nie jest facet dla Norki, widziałam go w różnych sytuacjach, jakoś nie było widać po nim wielkiej miłości — powiedziała mocno zatroskana. — Poza tym, Kostek, skąd ja wezmę pieniądze? To dla mnie zawrotna suma. Nawet jak od kogoś pożyczę, zakładając tylko hipotetycznie, to w jaki sposób oddam?

Kostek spojrzął z czułością. Odpowiedź miał już prawie gotową. Widziała to w jego cudownych oczach. Tylko się lekko uśmiechnął.

— Nie chcę, żebyś to ty musiał robić. Nie chcę i nie pozwalam — zaprotestowała od razu, czując, co zamierza.

— Dlaczego? Przecież skoro je mam i jeżeli chcę, to cóż masz przeciwko?

— Bo to tak, jakbyś już te pieniądze stracił. Nie wierzę w uczciwość Lamusa i w to, że je kiedykolwiek odda. Po prostu nie zgadzam się i tyle.

Kostek nie spieszył się z odpowiedzią. Dał się Meli wygadać, wytłumaczyć i wypłakać. Dopiero wtedy można było z nią rozsądnie rozmawiać.

— Tak się dobrze składa — zaczął jej powoli wyjaśniać — że właśnie na moje konto wpłynęły pieniądze od rodziców. Mam do nich nieograniczony dostęp. To pieniądze na naukę, na życie, na wszelakie kaprysy. Rodzice są hojni, chcą w ten sposób zagłuszyć sumienie. Łatwiej jest przysłać pieniądze, niż sprawować opiekę. To zostawili dziadkom. Ja bez tych pieniędzy mogę się obejść — stwierdził już bardzo poważnie. — Po prostu zacisnę pasa. Nie będę sobie dogadzał. Mam u dziadków pełne utrzymanie, przeżyję bez tych pieniędzy. Chyba nawet trochę ich jeszcze zostanie — mówił wyraźnie i Mela widziała, że nie żartuje. — Nie dam ich Lamusowi, tylko Norce. Norka jest chyba słowna?

— Może raczej była. — Mela dalej widziała wszystko czarno. — Coraz mniej ją znam, jest inna niż moja, a raczej nasza Norka. Widzisz sam, oprócz mnie wszyscy się jej wyrzekli. Nikt nie chciał pomóc, postawili krzyżyk i koniec.

— Nie wszyscy — podkreślił, a potem od razu dodał: — Chcę, żebyś odzyskała spokój. Niedługo koniec wakacji, zaczniesz kolejny rok z wyrzutami sumienia. Zamiast się skoncentrować na mojej osobie — próbował żartować — będziesz myślała o Norce i o tym, że jej w końcu wcale nie pomogłaś, ani swoją obecnością ani teraz, gdy jest w prawdziwej potrzebie. Nie wierz w to, że wróci do domu. Będzie się włóczył dalej za Lamusem, po różnych spelunach. Już lepiej niech jedzie, może tam dadzą im lepszą szansę. Będą zdani na siebie, to ich zbliży, nawet jeśli według ciebie to podejrzana znajomość.

W końcu stanęło na tym, że Kostek wypłaci z banku potrzebną sumę i pojedą z pieniędzmi razem na Mazury. Nie tracili czasu. Pod nieobecność Kostka Mela ugotowała obiad, coś szybkiego, bo czasu miała niewiele, a lodówka świeciła pustkami. Rodzice przed wyjazdem dokładnie ją opróżnili. Został tylko żurek z paczki i trzy parówki, które pokutowały od dawna w zamrażalniku. W końcu wyszło z tego jakieś dziwne danie, ale w smaku do wytrzymania. Cały czas sprawdzała zegarek. Powinni wyjechać wczesnym popołudniem, jeśli mają zdążyć przed zmrokiem. Teraz żałowała, że została w domu, mogliby od razu jechać na dworzec i wiedziałyby, czy wszystko idzie według planu. Przez cały czas gryzło ją sumienie, że wciąga Kostka w swoje sprawy. Nie przypuszczała, że tak mocno się zaangażuje. Z jednej strony był to prawdziwy akt oddania, a z drugiej pewna lekkomyślność, którą ona tak chętnie zaaprobowała.

Kostek wrócił w ostatnim momencie. Zjedli pospiesznie zupę, parząc się, bo przez to ciągle podgrzewanie była za gorąca. Naczynia brudne pozostawili w zlewie.

— Mama miałyby powód do gderania — powiedziała do Kostka.

— Jutro będziemy z powrotem, sprzątniesz sto razy, zanim wrócą znad morza — uspokajał ją, zapinając plecak.

— Jak poszło? — zdążyła zapytać.

— Teraz szkoda czasu, opowiem ci wszystko po drodze.

Jakimś cudem zdążyli. Autobus był trochę spóźniony, a dobra dusza wpuściła ich przed siebie w kolejkę po bilety. Ludzie psioczyli, lecz nie było już czasu na grzeczności. Do odjazdu zostały sekundy. Udało im się nawet usiąść obok siebie. Mogli się teraz trochę wyciszyć i nacieszyć sobą. Na miejsce dotarli przed dziewiętnastą. Upał był wciąż niemiłosierny. Mela zdążyła się jedynie dowiedzieć od Kostka, że ma przy sobie pieniądze, nic więcej. Cały czas trzymał jej rękę w swojej dłoni i mocno zaciskał.

Ale Norki nie zastali w domu, nie było także jej rzeczy. Pokój był dokładnie wysprzątnany, podobnie jak dom. Wszystkie pokoje świeciły pustkami. Nie było Lamusa, Radka i dwóch pozostałych chłopaków, którzy zajmowali łóżka na parterze. Wyglądało na to, że się wyprowadzili. Słuchała kroków Kostka, które dudniły głucho na schodach, i poczuła ogromny smutek.

— Szkoda, że im nie wyszło — powiedziała i wyszła na zewnątrz. Było tak pięknie. Nieskoszona łąka pełna firletek i wybujałej koniczyny, pomiędzy tym coś białego, pewnie marge-rytki. Położyłaby się w tym i zasnęła. Marzył jej się cudowny spokój. Teraz, kiedy miała już Kostka, nic więcej się nie liczyło. Zabierze go stąd i wrócą natychmiast do domu. Ma dość tego koszmaru i walki nie wiadomo o co. Poczucia się nagle wolna, aż jej się ze szczęścia zakręciło w głowie. Teraz już z górki, zostało im jeszcze trochę wakacji, gdzieś się wybiorą razem. Obojętnie gdzie, byle się tylko nie musieli rozstawać. Niczego bardziej nie pragnęła, niż bliskości z Kostkiem. Po tej aferze z Norką, jego ramiona będą jak bezpieczna przystań, w której o wszystkim zapomni. Jak dobrze, że go miała przy sobie.

— Sprawdziłem cały dom, pusto. Wszyscy się wynieśli — potwierdził Kostek. — Co teraz robimy?

— Myślę, że powinniśmy wracać do Warszawy. Nic tu po nas — powiedziała bez zastanowienia. — Niepotrzebnie cię tu wlokłam. Nie zdążyłeś się nawet rozpakować. Przepraszam, Kostek — spojrzęła

skruszona. — Jestem okropna. Ale to bezsens szukać kogokolwiek. Nie zdążyłam, no trudno. Widać tak miało być. Ten pomysł z wyjazdem od początku był bezsensowny. I jeszcze ciebie w to wszystko wciągnęłam. Wracajmy, proszę — Mela wyglądała na zdruzgotaną. — Już się tu nasie-działam.

— Trochę się dziwię, że nie czeka na ciebie, tak jej zależało — Kostek jakby nie słyszał. — Poza tym — zerknął na zegarek — nie wiem, czy jeszcze warto. Chyba nic się nie stanie, jak się tutaj prześpimy? Nie chcesz jej naprawdę poszukać? — pytał po raz drugi i stwierdził na koniec: — Mnie się tu nawet podoba.

— Mogła chociaż zostawić kartkę.

— Może się gdzieś przenieśli? Tu obok jest przecież wioska, pójdziemy zapytać. Nie martw się — pocieszał, patrząc na jej minę.

— Znam dobrze tę wioskę. Jest tam jeden sklep spożywczy i wędzarnia ryb. Poza tym trochę gospodarstw, raczej skromnych domów, zniszczony park popegeerowski, kapliczka i przystanek.

— Ale możemy zapytać, coś będą wiedzieli — próbował ją jednak zachęcić. — Skoro już tu jesteście...

— Ale jak się nie uda, to zaraz wracamy do domu — naciskała na Kostka. — Obiecujesz?

— Obiecuję — uśmiechnął się do niej promiennie. Wyglądał tak, jakby go to wszystko wkręciło. Nieodrodny synek rodziców. Przygoda go ciągnie.

Poszli z boczem w górę, znad jeziora. Z daleka widać było dach z wyblakłym napisem „Fuck hate”, a po drugiej stronie wieżę kościoła z zegarem. W połowie drogi Mela się ocknęła.

— Wracamy. — Złapała Kostka za rękaw. — Tam jest jeszcze stodoła. Zupełnie zapomniałam. Zbieraliśmy się w niej w niepogodę, może tam kogoś zastaniemy.

No i wrócili. Stodoła stała jakieś pięćdziesiąt metrów od domu, nieco bliżej jeziora i wsi. Zarosła krzewami, dzikim winem, nikt jej od lat nie używał, więc niszczała z roku na rok. W czasie pierwszego pobytu w obozie, dwa lata wcześniej, gdy wszystko zaczynało się dopiero tworzyć, wokół była wykoszona łąka i wszystko było widać jak na dłoni. Teraz dach nieco pochylony zapadał się w dziczkach, dorodnych pokrzywach i rdestach, które tak się rozpanoszyły po całym terenie, że się trzeba było do niej przedzierać. Trawy spalone słońcem stwardniały, wysokie chwasty całkiem zarosły ścieżkę.

Obeszli ją dookoła, zanim weszli do środka. Trawa przy wejściu była lekko zdeptana, w trawie jakieś śmieci. Zatrzymali się przed drzwiami, nasłuchując. Poza głosami ptaków, szumem suchych traw i liści na rosnącym obok krzaku dzikiej róży nic nie zwróciło ich uwagi. Najgłośniejszy był zgrzyt starych zawiasów. Mela i Kostek weszli na palcach do środka. Ta zrujnowana stodoła robiła wrażenie przybytku. Może dlatego, że w środku, mimo upływu czasu była wciąż nieskazitelnie biała, a w szczytowej ścianie miała okrągłe okienko, przez które wpadało światło prosto pod nogi wchodzącym. Podłoga zasypana była sianem. Przez szczeliny i dziury w dachu przebiegały w różnych kierunkach wąskie strumienie światła. Zrobiło się po prostu bajkowo. Drobiny kurzu lśniły w powietrzu jak opiłki złota.

W złotym kurzu, na słomianym łóżku spała sobie Norka. Musiała być bardzo zmęczona, bo ich kroki nie zrobiły na niej wrażenia. W pierwszej chwili nic im nie podpadło, dopiero z bliska stwierdzili, że ma spuchniętą twarz i skaleczoną skórę na skroni. Przestraszyli się, wyglądała jak martwa. Mela nawet wpadła w panikę. Zaczęli ją budzić i dopiero wtedy otworzyła oczy. Rozpłakała się na widok Meli, ale nie chciała nic mówić ani niczego tłumaczyć. Miała ze sobą plecak, który przyciskała kurczowo do siebie i powtarzała w kółko, żeby ją zabrać do domu.

— Przywieźliśmy pieniądze — Kostek próbował ją sprowokować, licząc, że może coś powie. — Mela mówi, że chciałaś wyjechać. Więc jesteśmy, żeby ci pomóc.

Ale Norka milczała, choć próbowali na różne sposoby coś z niej wydobyć. W końcu stwierdzili, że dalej nie ma sensu jej dręczyć.

— Choć, pójdziemy do domu. Umyjesz się, przebierzesz, trochę odpoczniemy, a później, to się zobaczy. Dom jest zupełnie pusty, nikogo w nim nie ma. Tylko już nie płacz. Jesteśmy razem, teraz nic ci nie grozi.

Udało się ją uspokoić. Dała się w końcu zaciągnąć z powrotem do domu i jak dziecko obsłużyć. Była bezwolna. Nie wyglądała na mocno pobitą tylko na spuchniętą od płaczu, jedynie ta rysa na skroni i przecięta warga... Nie stało się na szczęście najgorsze, tego się Mela bardzo obawiała. Skończyło się widać na mocnym policzku. Wieczorem udało się jedynie wydobyć z niej, że Lamus z Radkiem wyjechali rano, a ona została. Mela zapytała, czy zdobyli pieniądze na wyjazd, odpowiedziała, że nie.

Wieczorem dokładnie zamknęli dom i położyli się spać. Mela spała z Norką, bała się zostawić ją samą. Kostek w pokoju obok. Zanim zasnęli, zjedli kilka jabłek, które spadały z drzew rosnących za domem. Wszystkie były robaczywe. Kostek przy pomocy nożyka oczyszczał je z cierpliwością i układał na

kawałku gazety. Norka została w łóżku, nie chciała nic jeść. Zacięła się w swoim nieszczęściu i nie można było do niej w żaden sposób dotrzeć. Bez przerwy płakała.

Siedzieli razem w ciszy. Powinni się cieszyć ze spotkania, ale problemy Norki zdominowały i przyćmiły wszystko.

— Co jutro robimy? — zapytała Mela. — Będziemy dociekać i szukać winnych, czy wracamy rano do Warszawy?

— Oczywiście, że wracamy. Nie ma sensu tu siedzieć. Trzeba ją szybko odstawić do domu. Może będzie potrzebny psycholog — odpowiedział bez wahania Kostek. — Im szybciej wymaże sobie to miejsce z pamięci, tym lepiej. Znasz rozkład autobusów?

— Znam. Jest kilka, najwcześniejszy koło dziewiątej.

— Ten będzie dobry. I tak nie będę mógł zasnąć do rana. Za dużo wrażeń. No i mam te pieniądze przy sobie. Wolałbym je odłożyć na miejsce. — Spojrzał wymownie na Melę. — To forsa dziadka.

Mela struchlała. A jednak, czuła, że coś poszło nie po myśli Kostka. Po powrocie z banku był dziwny. Znała go, ta mina, którą miał, gdy otwierała mu drzwi, zapowiadała kłopoty, ale dusił to, a ona bała się pytać.

— Matko! Kostek, jak to dziadka? — szepnęła wstrząśnięta. — A bank?

— Nie chcieli wypłacić, nie miałem przy sobie upoważnienia. To nowe konto, myślałem, że jest jak w poprzednim. Nie chciałem ci mówić, ale teraz, kiedy już nie są potrzebne, chciałbym je bezpiecznie odłożyć na miejsce — wyjaśnił zdenerwowany.

Mela zakryła dłonią usta. Milczała, bała się nawet oddychać, jakby jej oddech miał czemukolwiek zaszkodzić.

— Spokojnie — uśmiechnął się do niej. — Forsa jest w moim plecaku, pilnuję jej jak oka w głowie.

— A dziadek — szepnęła przestraszona — nie zauważy braku tych pieniędzy?

— Chyba nie. To pieniądze z sejfu. Nie zagląda tam często. Jeszcze bardziej była przerażona.

— Znam kod — szybko wytłumaczył. — Mam tam dokumenty. Oni nie robią przede mną tajemnic. Jutro, jak wrócę, odłożę je szybko na miejsce.

— Kostek, ale przecież — Mela zdrętwiała — przecież te pieniądze były...

— Jakoś bym wytłumaczył — odpowiedział, zanim skończyła pytać, ale wyglądał blado.

— Matko — Mela chwyciła się prawą ręką za serce. — Chyba opatrność nad nami czuwała.

Kostek głęboko odetchnął. Ten kamień ciążył mu, gdy wyjeżdżali z Warszawy. Teraz się uspokoił. Nie było tragedii. Wróci i wszystko im powie, tak będzie najlepiej. Normalnie coś takiego nie przyszłoby mu nawet do głowy. Dzisiaj się przekonał, do czego jest zdolny dla Meli.

W końcu poszli spać. Nie dało się już dłużej siedzieć. Zmęczenie wzięło górę. Dla bezpieczeństwa kolejny raz sprawdzili wszystkie okna i zamki. Mela leżała w ciemnym pokoju, nasłuchując oddechu Norki. Na zewnątrz zerwał się lekki wietrzyk, poza tym panowała absolutna cisza. Po raz pierwszy zarejestrowała ciszę w tym miejscu, chociaż przespała tu niejedną noc. Mela odpływała powoli w krainę snu. Było jej żal, że nie ma obok niej Kostka. Tak chętnie by się przytuliła. Marzyły się jej mięciutkie usta, zawsze chętne do pocałunku. Tak długo na nie czekała, a teraz, gdy jest tak blisko, musi zasypiać sama. Rozsadzała ją miłość i zmieniała się wraz z upływem czasu. Dojrzewała z każdym dniem i to dojrzewanie przechodziło z etapu w etap, w coraz to nowe doznania.

Obudził ją hałas. W pierwszej chwili myślała, że śni. Ocknęła się z przecuciem, że coś jest nie tak. Za oknem było już szaro, wstawał świt, słychać było narastający śpiew ptaków. Pomyślała, że to właśnie one, że pewnie któryś z nich uderzył znów w locie o szybę. Znała to miękkie pacnięcie i ślad drobnych piórek na szkle. Zawsze to w niej budziło grozę, z obawy, że ptaszek się zabił. Teraz otworzyła oczy i chwilę czekała. Poza głośnym świergotem niczego nie było słychać. Odruchowo usiadła. Łóżko Norki było puste. Przez kilka sekund zbierała myśli. Zanim dokładnie odtworzyła zdarzenia, minęła chwila. W pierwszym odruchu chciała jej szukać. Potem pomyślała, że pewnie siedzi w łazience. Ale gdy Norka dalej nie wracała, Mela wybiegła przed dom. Drzwi na zewnątrz były otwarte. Po Norce ani śladu. Dopiero wtedy pobiegła po Kostka. Jego też coś zbudziło, więc spojrzął przez okno i zobaczył biegającą Melę.

— Nigdzie jej nie ma. Obiegłam wszystko dokoła — powiedziała zdyszana.

— Może się poszła przewietrzyć, może chce побыć sama. Nie panikujmy — doradził Kostek. — Poczekajmy trochę, może się znajdzie. A co z jej rzeczami?

Wszystkie bagaże Norki zniknęły. Stali jak skamieniali.

— Matko! — Mela wpadła w panikę. — Chyba uciekła.

— Na to wygląda — potwierdził nieco spokojniej Kostek. — Widocznie chce zostać sama. Nie potrzebuje już naszej pomocy. Tą ucieczką daje nam znać, że mamy się od niej odczepić — dodał zdecydowanym głosem. Stał jeszcze chwilę, a potem oparł się plecami o ścianę. — Więc chyba damy jej spokój. Co o tym sądzisz? — zapytał.

— Jasne, czas wracać — powiedziała z przejęciem, chociaż dławili ją łzy goryczy. Przywiązała się bardzo do Norki. Teraz czuła dziwny strach, jakby jej ucieczka była zapowiedzią czegoś jeszcze gorszego. Czuła się jak w grypie. Bolała ją każda kosteczka i każdy staw.

— Dobra, zbieramy się, Mela, czas wracać do domu. — Lekko ją do siebie przygarnął.—To była krótka przygoda, ale już starczy. Posiedzimy do ósmej nad wodą potem na autobus i do domu.

— Nie chcę tu zostać ani chwili, tu ani nad jeziorem — powiedziała Mela. — Wolę czekać na przystanku — spojrzała na dom ze wstrętem.

Pozbierali swoje drobiazgi, sprawdzili plecaki i usiedli jeszcze na chwilę przed domem. Kostek chciał koniecznie zobaczyć, jak zza wyschniętych traw wychodzi olbrzymie słońce. Rozproszyło się po chwili nad wodą rażącym światłem, przenikając niemal każdy szczegół. Dotarło w końcu i do nich, skulonych pod progiem niczyjego domu. Trzymali się mocno za ręce, on z przekonaniem, że kłopoty mają już za sobą ona zaś pewna, że to jeszcze nie koniec. Wstawał kolejny dzień i trzeba się było z nim zmierzyć. Dach spróchniałej stodoły wyłonił się niczym duch, nie dał o sobie zapomnieć.

— Zajrzemy, na wszelki wypadek?—zapytał niespodziewanie Kostek. — Może znowu się przed nami schowała w tej szopie.

Mela skurczyła się w sobie.

— Nie, po co? Przecież drugi raz nie robiłaby tego. Lepiej już chodźmy.

— Tylko zajrzemy. Będziesz przynajmniej spokojna, że jej tu samej nie zostawiłaś. To prawie po drodze, sprawdzimy, a potem w górę, na przystanek.

Upart się, więc szła, ale bardzo opornie. Musiał ją niemal ciągnąć za sobą.

— Mela, co z tobą czemu idziesz w przeciwną stronę, boisz się? To tylko stara stodoła.

Mela szła posłuszna i cicha, ale z każdym krokiem była coraz słabsza. Bała się spojrzeć przed siebie, więc wbiła wzrok we własne stopy, tak, jakby to miało pomóc. Nic się przecież nie działo. Nie było nikogo poza ptactwem i małym kotkiem, który czmychnął radośnie spod nóg drobnymi susami i niczym jednorożec prowadził ich pod drzwi stodoły. Ale kot nie był biały, tylko zwykły, pręgowany.

Stodoła była otwarta na oścież, a w środku żywego ducha. Usiedli na belce pod ścianą.

— Fajnie tu — Kostek szepnął Meli do ucha. — Może zostaniemy na trochę.

— Coś ty — zaprotestowała. — W takiej ruinie? Nawet spać nie ma gdzie, co dopiero inne wygody — myślała, że mówi poważnie.

— Żebyś widziała, w jakich ja warunkach mieszkałem przez ostatnie tygodnie. Podziwiam rodziców, że przez tyle lat znoszą wieczną włóczęgę i nie mają stałego miejsca. Co kilka dni zmieniają hotel, czasami za dom służy im zwykły szałas, a nawet jaskinia. Pół biedy, jak to trwa dzień albo dwa, gorzej, jak cały tydzień myją się w strumyku. Taka stodoła byłaby dla nich pałacem.

— Trudno to sobie wyobrazić. W ciągłej podróży donikąd. Bo przecież ta podróż nie ma końca, zmieniają miejsca i nie wiedzą, gdzie będą jutro.

— No — zawahał się. — Mają ogólny plan, obowiązują ich pewne zasady, sprawozdawczość, finanse itd. Co jakiś czas mieszkają w tych samych pensjonatach, w niektórych mają swoje stałe pokoje, w których zostawiają rzeczy. Niestety, to wszystko jest tylko przejściowe.

Rozmawiali kilkanaście minut. Odprężeni, wyzwoleni ze stresu, szczęśliwi, mimo niemiłych okoliczności, bo byli jakby cudem ocaleni. Dobrze im było ze sobą. Mieli sporo czasu. Dochodziła siódma, wieś już się budziła, ale daleko od nich, bo tam, gdzie siedzieli, nie było innych zabudowań. Czuli się jak na bezludnej wyspie. Dlatego, gdy nagle odezwały się stare zawiasy, bardzo się zdziwili. W drzwiach stanęła Norka. Jej postać tonęła w cieniu, oślepiło ich światło wpadające do wnętrza stodoły. Być może spodziewali się tego powrotu i specjalnie odwlekali wyjście. To było jak przeznaczenie, bo przecież mogli tylko tu zajrzeć i pójść dalej, po co się zatrzymywali, co im kazało siedzieć tak i czekać? Gdy wspominała to setny, tysięczny raz, powtarzała sobie, że widać tak miało być, nie inaczej. Ale wtedy jeszcze nie znali przyszłości, ich losy się dopiero wykuwały w upływającym czasie.

— Norka! — krzyknęły jednocześnie, widząc ją stojącą w świetlistych wrotach. Wydawała się zjawą duchem tych rozbuchanych łąk i suchych ściernisk. Nie spodziewali się żadnej odpowiedzi. Dlatego tak bardzo zdziwił ich jej głos, zachrypnięty, spłoszony. Nie była sama.

— Proszę, musicie mi pomóc — powiedziała do nich, ale ani jej oczy, ani usta nie były widoczne. Dopiero gdy przeszła granicę rażącego światła, wszystko było wiadome. Zobaczyli, jak stoi zgarbiona. — Oni chcą te pieniądze. — Obejrzała się lekko za siebie. Pilnował jej Radek, nie wyglądała na taką która ma jeszcze siły uciekać. Po chwili wyłonił się Lamus. Wszedł jak oficer gestapo. Znajoma twarz zmieniła się w zimną i złowrogą. Zrobił krok w przód i zasłonił Norkę. Zniknęła za barczystymi ramionami oprawcy, jak zawsze, gdy kryła się w jego cieniu nieśmiała i oddana bez granic. Lamus nie wyglądał raczej na wdzięcznego. W jego oczach czaiła się wściekłość, jakaś desperacja, która nie mogła znaleźć sobie ujścia, ale znalazła ofiarę, a może nawet trzy. Stali dwóch, a właściwie jeden przeciwko trzem i ten jeden chyba miał przewagę, czuli to wszyscy. Radek był tylko pionkiem w grze, szkoda, że po przeciwnej stronie. Skatowana Norka, która wciąż jeszcze tkwiła w pułapce uczucia, próbowała przeróżnych wykrętów, które choć trochę usprawiedliwiłyby błąd ukochanego. Z chęcią przypudrowałaby policzki, zakryła sińce, wprawiła sobie górną dwójkę, byle się wszystko okazało pomyłką. Nie była partnerem w tej grze, a tylko ofiarą.

— Masz ponoć dla mnie forszę, frajerze — zwrócił się prowokacyjnie do Kostka. — I miło z twojej strony, że się tak uwinąłeś, bo mnie się cholernie spieszy. — Zbliżył się do nich o krok, stali już obok siebie. Mela zagryzła wargi. Nie czuła strachu. Znała Lamusa, nie mógł być aż taki zły, ale pobicie Norki dawało jej do myślenia. Niewiele sobie z niej robił, widziała, jak ją czasami poniża, ale żeby bić! Musiał być w niezłej opresji albo tak dobrze udawać. — Dasz czy mam zabrać sam? — Jego olbrzymia ręka chwyciła Kostka za sweter. W oczach Kostka pojawił się błysk, z którego Mela wyczuła, że zaraz zaatakuje. Według niej nie miał szans. Chciała mu pomóc. Wystarczył moment, żeby skoczyć Lamusowi do gardła. Lamus ryknął, czując pod skórą ostre paznokcie Meli, a potem mała dłoń wymierzyła mu silny policzek. Teraz on był zaskoczony, na moment stracił oddech i zakrztusił się śliną. Kostek wykorzystał chwilę i zadał mu cios w żołądek. To Lamusa tylko rozwścieczyło do reszty i zaczęła się regularna walka. Kostek o głowę wyższy raz po raz przyjmował ciosy, ale nie był też dłużny. Mela mu pomagała, okładając Lamusa plecakiem. Norka z przerażenia wyrwała się nagle Radkowi i zaczęła uciekać. Dopadł ją w drzwiach i przewrócił. Jęk, który się z niej wydobył, przeraził Melę i rozwścieczył do końca. Wpadła w szal, kopała, gryzła i drapała Lamusa, dopóki nie poczuła ciosu. Wielka pięść powaliła ją w jednej chwili na ziemię. Już

nikt nie mógł pomóc Kostkowi, został sam w walce z Lamusem, który przez wiele miesięcy, żyjąc na koszt kolegów, trenował bicepsy. Wtedy Radek zostawił jęczącą Norkę i przyszedł Lamusowi z pomocą.

Mela leżała na ziemi. Powalił ją cios w głowę i uderzenie plecami o klepisko. Nie mogła złapać oddechu, miała chyba połamane żebra. Wciągała powietrze ze świstem, a mimo to jeszcze miała siłę, żeby głośno krzyżeć. Z przerażeniem patrzyła, jak przywiązują Kostka do drewnianej belki podpierającej strop stodoły. Widziała, jak krwawi. Miał skaleczone czoło i coś z buzią, bo krew ciekła mu kącikiem ust. Wyglądał strasznie.

Takiej nienawiści jeszcze nigdy nie czuła. Cała nią była przepętniona. Wściekła się jeszcze na siebie, że jej wysportowane ciało dało się tak zaskoczyć i zbyt łatwo pokonać. Zaczęła z bezsilności płakać, widząc, jak przywiązują go grubym sznurem, zadając kolejne ciosy. Wystarczyło przecież przywiązać, po co się jeszcze znęcać. Mieli już swoje pieniądze, cały plecak Kostka leżał przed nimi na ziemi. Radek podniósł go jedną ręką i założył sobie na plecy. Mela ujrzała w oczach Kostka nienawiść. Skatowany nie mógł wydobyć słowa, tylko patrzył tak, że Meli pękało serce.

Tymczasem tamci zacierali ślady. Nie mieli po co się spieszyć, skoro wróg pokonany, teraz można się napawać widokiem, szydzić i obrażać. Mela udawała, że niczego nie słyszy. Nie chciała za wszelką cenę zostać bohaterką. Chciała po prostu przeżyć i modliła się o to samo dla Kostka. Patrzyła bez słowa, jak Radek podnosi Norkę z podłogi i szarpie ją, a ona płacze bez końca, skowyczy jakoś dziwnie, więc on krzyże, żeby przestała. Im on głośniej krzyże, tym ona mocniej płacze. W końcu wstała na nogi i nie oglądając się, po prostu wybiegła na zewnątrz.

Ostatni wychodził Lamus. Poprawiał rozwichrzone włosy, długie, zapuszczone bardzo troskliwie, zapiął rozerwaną koszulę i schował w spodnie, żeby się nie rzucała w oczy. Zatrzymał się, lustrując pomieszczenie. Zniknął za drzwiami, ale wrócił po chwili. W rękę trzymał butelkę. Odkręcił ją i chlusnął czymś na podłogę. Ciecz wąskim strumieniem dopłynęła do siana.

— A to, żebyście mieli co robić przez chwilę i módlcie się, żebym was więcej nie spotkał. — Powiedział to, a potem wyjął z kieszeni zapalniczkę. Mela wstrzymała oddech, Kostek jęknął. Tylko tyle mógł zrobić.

Kiedy od ognia zajęła się podłoga, nie wyglądało to jeszcze tak groźnie. Słaby, błękitny płomień ledwie ją polizał. Meli przypominało to lody z podpaloną kostką cukru nasączonego wcześniej spirytusem. Przez chwilę patrzyła bezmyślnie, jak ogień tylko muska podłogę, a małe płomyczki zawijają

się na niej zalotnie. Dopiero jak zajęło się siano, zerwała się na równe nogi. Żółte płomyki zajmowały suche źdźbła trawy, zbliżając się do nich nieuchronnie. Kostek zaczął się szarpać przerażony. Widział, jak ogień biegnie mu na spotkanie i przenosi się szybko, aż dopadł do końcówki sznura leżącego pod jego nogami. Nawet nie mógł zawołać, bo szeroki plaster, który miał na ustach, tłumiał jego krzyki, zmieniając je w gardłowy bełkot. Mela jeszcze wciąż nie pojmowała. Ostrożnie zdjęła mu plaster i zaczęła pytać, czy nic go nie boli.

— Mela, Jezu, zgaś to i rozwiąż mnie — zdołał zawołać i zaczął rozpaczliwie tupać nogami, żeby zdusić tłące się nogawki od spodni. Dopiero wtedy otrzeźwiała, ten tupot i tworzący się dym uświadomił jej grozę sytuacji. Rozpaczliwie szukała supła w nadziei, że da się łatwo rozwiązać. Najpierw spokojnie, z rozmysłem, bo supeł był spory i mocno zaciągnięty, potem w panice, bo okazał się od niej silniejszy.

— Kostek, nóż mi potrzebny, nie mogę rozwiązać, cholera! — zaklęła — nie mogę. Jest zaciągnięty na siłę! — krzyczała w popłochu. — Spróbuj, może się uda, ja będę ciągnęła w dół, a ty się spróbuj wysunąć. — Szarpali się ze sznurem oboje, a sznur, zamiast poluzować zaciągnął się jeszcze bardziej. Kostek zaczął wyc z bólu, bo płomyki ognia smagały mu tydki.

— Nie mogę! — krzyczała Mela. — Nie mogę! — Obserwowała kątem oka zachowanie płomieni. Palce zsuwały się po sznurze bez skutku.

— Mela, Jezu, ja się już palę!

Jej krzyk i jego uniósł się nad głowy wysoko. Wzywali na zmianę bez końca wszystkie możliwe cuda na ratunek. Ona próbowała gasić ogień rękami, plecakiem, tłumić go swoim ciałem, ale w jednym miejscu przygasał, a wybuchał w drugim. Spodnie z anilany płonęły błyskawicznie, dookoła nich płonęło już siano.

— Boże, jak mnie to strasznie boli, Mela! Jezu, Boże! — Kostek krzyczał przerażony, czując, że słabnie. Wokół pełno było dymu, zaczęli się oboje dusić.

— Kostek, proszę cię nie krzycz — błagała, szarpiąc się ze sznurem bez skutku i wzywając na zmianę Boga, matkę, Jezusa. A Kostek milkł z każdą chwilą, widząc, że się coś nieuchronnie zbliża, a on nic na to nie może poradzić. Przestał się szarpać. Widział, że pali się sweter, a Mela poparzonymi palcami, bo ogień dopadł już rękawów, próbuje go jeszcze uwolnić.

Płonęły drewniane słupy. Ogień przenosił się nimi w górę do stropu, biegnąc wzdłuż pęknięć w drewnie, aż na samą górę, pod spróchniały dach. Mela nie patrzyła na Kostka. Stała z kawałkiem sznura i dopalała go w ogniu jego swetra, ale sweter płonął szybciej. W końcu się jednak udało. Sznur się przepalił i opadł na płonąca podłogę. Kostek ledwo się trzymał na nogach. Ubranie miał w czarnych strzępach, prawą stronę włosów spaloną i cały prawy bok. Ale nie było czasu, trzeba było uciekać.

Wyszli na zewnątrz o własnych siłach, Kostek pojękiwał i kulejąc, a właściwie ciągnąc za sobą prawą nogę, próbował iść. Stodoła płonęła. Musieli szybko wydostać się poza gęste trawy, sterczące na suchych patykach przerośnięte zboże, żeby na dobre uciec od ognia. Ciągle jeszcze byli w pułapce. Nie patrząc na siebie, szli szybko, jedno za drugim. Nie było czasu na słowa, czas liczył się teraz potrójnie. Trzeba było wyjść za wszelką cenę na otwartą przestrzeń, gdzie już nic nie będzie im grozić. Mela słyszała Kostka za plecami i czuła, że słabnie, ale bała się dotknąć jego ciała. Zdążyła tylko zauważyć, że ma poparzoną szyję i twarz, cały był czarny. Podziwiała go, że zdobył się na taki wysiłek. Bała się myśleć, co z resztą ciała, spodnie miał spalone do kolan, z nóg ciekła krew. Sam zgasił na sobie tłące się ubranie, krzycząc przy tym niemiłosiernie, a teraz pokaleczył się trawą w czasie ucieczki. Nie spodziewała się niczego dobrego. Ponad wszystko liczyło się życie. Za ich plecami rozległo się głośnie dudnienie. Nadciągnęła burza. Po chwili usłyszeli potworny grzmot i niebo rozdarła błyskawica.

Salomon spodziewałby się wszystkiego, tylko nie takiej wizyty. Zjawili się u niego jak zbłąkane zjawy. Cała dziesiątka, w jego małym mieszkaniu. Nie miał ich gdzie posadzić, więc usiedli w kucki, na ziemi. Zazwyczaj przychodzili osobno, kryjąc się jeden przed drugim. Wstydzili się tych chwil słabości i tego, że życie ich zmusza do zwierzeń.

Pierwszy pojawił się Janusz, od niego się wszystko zaczęło. Mieszkał jeszcze wtedy w kamienicy, na ostatnim piętrze. Jego ojciec miał warsztat ślusarski, który potem się rozrósł jakimś cudem, jeszcze w czasach, kiedy się gnębiło prywatnych. Chłopak nie mógł się dogadać z ojcem. Przesiedział całą noc na drzewie, a nad ranem, zmarznięty trafił do suterenu. Miał problem i chciał się wyzalić, a Samolon słuchać potrafił. Urodził się z takim talentem. Przy tym niewiele mówił. Tylko słuchał i patrzył, a odpowiedzi na wszystkie pytania czytało się w jego oczach. Przetwarzał odpowiedzi w spojrzenia. Oczami aprobował i oczami potępiał albo odradzał. Jakby przetwarzał słowa mówiącego w powracające do niego myśli. Trudno to było sprecyzować, ale właśnie takie się odnosiło wrażenie i pozostało do końca tajemnicą, dlaczego właśnie jego wybrano na powiernika.

Salomon nie starał się w żaden sposób wpływać na ich decyzje. Przychodzili ze wszystkim. Czasem były to głupstwa, zwykłe wątpliwości. Czasem powierzali mu swoje tajemnice, dzielili się problemami, szukając wsparcia. Akceptował bez słów wszystkie wady rozmówców, ułomności i błędy. Nie potępiał, nie karał, nie sądził. Po prostu słuchał ich uważnie i miał intuicję, wewnętrzny głos, który mu podpowiadał, więc otwierał przed nimi drzwi, kiedy byli w potrzebie, robił miętową herbatę i sadzał na krześle.

Tego dnia po raz pierwszy przyszli razem. Brakowało tylko Meli i Norki. Mela nie przyszła, bo przyjść już nie mogła. Po roku zmagani dostała w końcu 25 lat. Norka mieszkała w Krakowie, wymigała się od spotkania. Podobno to już nie była ta Norka. Cała reszta zebrała się tutaj, żeby z nim porozmawiać. Tylko że teraz jego rola miała być nieco trudniejsza. Zanim przeszli do sprawy, każdy z nich opowiadał, co robi. Byli otwarci, nie wstydzili się mówić. Widocznie nabrali ogłady, wiary i pewności siebie. Mieli się czym pochwalić, chociaż nie to było celem spotkania. Trzy dzbanki miętowej herbaty przełamały lody.

— No, proszę, prawie w komplecie — żartował, patrząc, jak się sadowią na jego podłodze. Nic miłszego nie mogło go spotkać. Po trosze byli jego dziećmi, dziećmi ze starego podwórka. Byli wyjątkowi, drugich takich już się nie doczekał. —Niestety, poza herbatą nic tym razem nie mam — usprawiedliwił się z braku cukierków. — Teraz sam jestem jak dziecko. Najbardziej lubię te z likierem. Mało w życiu wypilem, więc cukierkami uzupełniam straty — żartował.

— A więc to my powinniśmy je przynieść ze sobą — odezwał się Jakub. — Tylko na te z likierem to trzeba mieć chody

— A więc zostaw to mnie, mam swoje sposoby. Gdybym wiedział wcześniej, kto wie, może bym zorganizował. No, ale przejdźmy do rzeczy, po waszych minach widzę, że macie do mnie interes.

Grupa się rozgadała. Widać nie ustalili, kto będzie mówić. Jak zwykle w końcu padło na Kubę. Nie czuł się do końca kompetentny, ale przyzwyczał się już do niepisanej roli prezesa, więc wstał i zaczął mówić.

— Pewnie dotarli już do pana wieści o Meli? To, że dostała wyrok i wczoraj przewieźli ją do zakładu karnego dla kobiet. Jesteśmy zszokowani tym faktem. Uważamy, że proces nie był uczciwy.

— Słyszałem. Szkoda dziewczyny, pamiętam ją, była u mnie dwa razy. Chodziło o jakiś drobiazg, ale ją gryzło sumienie i przyszła po radę.

— No właśnie, cała Mela, tym bardziej trudno się pogodzić z wyrokiem. Teraz nas gryzie sumienie, że tak niewiele mogliśmy jej pomóc.

— Trudno was o to winić — Salomon zdziwił się szczerze.

— Nic się już nie da zrobić. Czytałem o tym w prasie. Są fakty, jest przecież ofiara i koniec. Zresztą teraz to już musztarda po obiedzie.

— No właśnie, dlatego nam przykro.

— A macie sobie coś do zarzucenia? — Spojrzał na nich trochę zaskoczony. Siedzieli z posępnymi twarzami, jakby rzeczywiście gryzło ich sumienie. — A więc już ich dopadło życie, ze swoimi ciemnymi sprawami — pomyślał. Przyjrzał się im ze smutkiem i nie wiedział czy ich pocieszać. — Miny coś macie nietęgie.

— No właśnie — powiedziała Dorota. — Daliśmy plamę.

— Nikt z nas się za nią nie ujął, a Norka zupełnie stchórzyła — dodała Magda. — W sądzie nie powiedziała wszystkiego. Nie chciała obciążać ofiary. To był okropny proces. Mela jak pokutnik przyjęła wszystko na siebie.

— Powiedziała, że miała swój cel, tym celem było wyrównanie rachunków i za to odpokutuje. Ale przecież miała powody

— Dorota próbowała ją bronić.

— Ale żeby zabijać — protestował Marek. — Mogła poczekać, aż zajmie się tym milicja. Naciskać, żeby przymknęli sprawcę.

— No, słyszałeś, jak było. Mądry już jesteś po fakcie — zachnął się na to Jakub. — Nawet ich nie zatrzymali, tylko prosili kilka razy na rozmowę, a ci się wszystkiego wyparli poza tym, że napadli, przywiązali i zabrali pieniądze. Pieniądze oddali i czyste ręce, a Kostek za to zapłacił. W końcu nic im milicja nie zrobiła, bo nie mieli świadków, a Norka zeznała, że nie widziała, jak podpalali.

— Może i nie widziała, kto ją tam wie — stwierdził spokojnie Janusz. — Była w okropnym stanie. Zosia potwierdzi.

Zosia podniosła wzrok znad podłogi. Była zdruzgotana. Nie miała ochoty wspominać, a co dopiero mówić. Czuła się winna.

— Gdybym powiedziała prawdę, że Norka jest u mnie, można było dopaść ich wcześniej, zanim nie okrzepli i nie zwrócili kasy — odezwała się jednak. — Od tego momentu już wszystko było nie tak. I Lamus pozostał bezkarny. Nie mogę sobie teraz darować. Czuję się winna w całej tej sprawie, po części także za wyrok. Gdyby ich od razu zamknęli, Mela by nie zabiła.

— Każdy z nas ma coś na sumieniu — dodał zrezygnowany Jakub. — Nawet ja, chociaż w tym czasie podróżowałem, lecz mimo to nie rozumiałem Meli. Odwróciłem się od niej i od tego, w co się wplątała. Janusz w tym czasie specjalnie wyjechał, żeby się nie angażować, Marek skłamał, bo Londyn był wcześniej i wtedy, kiedy dzwoniła, wrócił właśnie do domu, a Dorota słyszała od mamy, że wydzwania Mela, i się nie odezwała do niej ani razu. Tadeusz pokazał jej drzwi, Anna uciekła do Roberta. Każdy z nas myślał o sobie, zostawiliśmy ją samą.

Salomon słuchał z uwagą, nieco szokowany. Rozumiał ich doskonale. Gnębią się, bo wszyscy stchórzyli, to przykra sprawa, to zostawi w nich ślady na zawsze. Trudno tu cokolwiek poradzić, a pewnie po to przyszli. Zastanawiał się, czy chcą tylko oczyścić sumienie, wygadać się, jak na spowiedzi, jak u psychoterapeuty, żeby wyjść z podniesioną głową i czystym sercem, czy próbują w jakiś sposób jeszcze jej pomóc.

— No i w związku z tą sytuacją podjęliśmy pewną decyzję. — Znów odezwała się Magda. Była błada i przygnębiona. Spoglądała na Tadeusza ukradkiem, czy nie odbierze jej głosu. Często to robił. Ona zaczynała myśleć, a on jej nie dawał dokończyć. Tym razem nie miał nic do powiedzenia. Siedział trochę nieobecny. To ośmieliło Magdę. — Coś musimy dla niej zrobić — spojrzała przenikliwie na wszystkich. — Bez względu, gdzie nas poniesie życie, nie możemy zerwać kontaktu. Czas szybko płynie. Chodzi o to, żebyśmy za dwadzieścia pięć lat potrafili się szybko odnaleźć.

— Poza tym — dorzucił Jakub. — Miesiąc temu zmarł ojciec Meli, ktoś się musi zaopiekować jej matką. Ktoś, kto mieszka najbliżej. W tej chwili to będę ja, a później zobaczymy. Postaram się pogadać z mamą. Może się zaprzyjaźnią to mi ułatwi sprawę. Zadbam też o kontakt z Melą przez pierwsze pięć lat, potem zastąpi mnie Janusz.

— A jeśli umrę do tego czasu? — zapytał. — Trzeba wyznaczyć od razu następcę.

Zrobił się nagle harmider. Krzyczeli jeden przez drugiego, każdy miał własne pomysły i rady. Salomon próbował przedrzeć się przez wszystkie te głosy, bez skutku. Odczekał chwilę.

— Kochani — uniósł do góry ręce i jak dyrygent nakazał ciszę. — Skoro już tutaj przyszliście, pozwólcie, że zabiorę głos. — Odczekał, aż Jakub i Marek przestaną sobie dogadywać, a Dorota skończy plotkować z Zosią, która uparcie jej wyjaśniała zdarzenia sprzed wielu miesięcy. Wpadła już w jakąś mantrę, próbując kolejny raz w łaskawym świetle przedstawić argumenty na swoją obronę. — Kochani — powtórzył raz jeszcze, żeby zaznaczyć, że teraz zabiera głos. Był już najwyższy czas, żeby to podsumować. — Powiedzcie mi najpierw, jaką rolę wybraliście dla mnie. Widzę, że każdy ma coś do zrobienia, a ja? W końcu do mnie przyszliście, to znaczy, że do czegoś jestem potrzebny. A ty — zwrócił się do Jakuba — powoli mi wszystko wyjaśnisz. Ale proszę, mówi jedna osoba. Reszta, jak w szkole, prosi grzecznie o głos, podnosząc do góry dwa palce.

Sytuacja wyglądała tragicznie, poznał to po ich oczach.

— Wymyśliliśmy coś takiego... — odezwał się Jakub.

Sytuacja wyglądała tragicznie. Pożar stodoły ściągnął na łąkę najpierw straż pożarną a dopiero potem karetkę. Dopalały się resztki. Do tego od pioruna zapaliło się suche drzewo stojące tuż obok, pożar strawił połowę łąki, aż do strumienia. Do tego czasu Kostek już stracił przytomność, a Mela zemdląła. Jak przez mgłę pamięta swój płacz i krzyki lekarza. Zajmowali się głównie Kostkiem. To z nim najpierw jechali do szpitala. Ostatnie, co pamięta, to jego poparzona ręka, która opadła bezwładna kiedy go kładli na noszach. Mela wiała się z rozpacz. Bezduszni lekarze nie dali jej nawet go dotknąć. Nie wiedzieli przecież, że widzi go po raz ostatni. Nawet go nie mogła przeprosić. Choć słowa skargi i przeprosin wykrzyczała już w niebo wiele razy, nic nie mogło ukoić rozpacz w jej sercu. Z rąk sączyła się dziwna ciecz, część ran zapryskali jej pianą. Kazali trzymać ręce w górze, dali coś przeciwbólowego, myślała, że znowu zemdleje. Siedziała na krześle i bez przerwy wołała Kostka, prosiła Boga o ratunek dla niego i patrzyła, jak w oddali dopalają się resztki stodoły. Uplęnęło tak niewiele czasu, a stało się wszystko. Całe jej życie leżało w tych gruzach.

Przyjechali po nią inną karetką. Była u kresu wytrzymałości, myślała, że umrze. Karetka odwiozła ją do tego samego szpitala. Całą drogę pytała o Kostka. Dowiedziała się, że leży na oddziale ciężkich oparzeń, przygotowują go do operacji. Ale żył, to dla niej było najważniejsze. Ta wiadomość dodała jej sił. Teraz płakała z radości. Jak w tragedii można znaleźć odrobinę szczęścia, to było zadziwiające. Powtarzała bez końca: „Żyje, mój Boże, dzięki ci, żyje, żyje”.

Ocknęła się z głębokiego snu po dwóch dniach. Spojrzała na zegar na ścianie w jakimś obcym domu. Chciała odrzucić kołdrę, ale ręce miała zabandażowane po łokcie. Świadomość wracała stopniowo. Suche oczy znów zapełniły się łzami. Lepiej się było nie budzić. Znowu miała ochotę umrzeć. Słodka chwila po obudzeniu przemknęła, ulotna jak obłoczek pary. Prawda dotarła do Meli z całą swoją siłą i znów pogrążyła dziewczynę w rozpacz. Zdarzenia nieco już odległe chwilami wydawały się Meli całkiem nierealne. Gdyby nie ręce, kilka plastrów na twarzy, pomyślałaby, że to był sen. Wyłaniał się przed nią cały absurd tamtej sytuacji, wydawała się sobie mądrzejsza o prawie sto lat. Nie mogła pojąć swojej głupoty, zrozumieć siebie sprzed zaledwie dwóch dni. Co będzie za tydzień, za miesiąc, za kilka lat. Jak zdoła to wszystko unieść? W głowie miała tylko Kostka, nie istniał dla niej inny świat. Nic więcej nie miało znaczenia. Żyje, rodzice zadowoleni, o nich już się martwić nie będzie. Pozostał tylko on, cudowny, kochany, na całe życie, aż do śmierci. Tak chciałaby go teraz zobaczyć. Nie myślała o Norce, o Radku ani Lamusie. Ich zostawiła sobie na później. Gardziła całą trójką może jedynie Norka budziła współczucie. Ciekawe, czy w końcu uciekła draniom. Dobrze jej tak, naiwna, zakochana i ślepa. Ale Kostek, on przecież nic nie zawinił. W tej sprawie był dla nich nikim. Mogli wziąć sobie te głupie pieniądze, dlaczego mu to zrobili?

Jak ciężko było tak leżeć. Poduszka zalana łzami, nie miała nawet jak wytrzeć nosa. Poprosi o proszek nasenny, chce znowu spać, tak będzie najlepiej, przespać się tak długo, aż się na niej wszystko wygoi. Znalazła na kołdrze końcówkę od dzwonka, tylko czym go przycisnąć. W końcu udało się łokciem. Najpierw zapyta o Kostka, jak on się czuje, to teraz jest najważniejsze.

Pielęgniarka, niemal w jej wieku, weszła do pokoju z kubkiem ciepłej herbaty.

— Jeszcze przyniosę coś do jedzenia. Nie jadła pani dwa dni. Zalecenie, że ma być coś bardzo lekkiego, więc chyba kaszkę na mleku z owocami. To było dzisiaj na obiad.

— Nie chce mi się jeść — powiedziała Mela. — I nie mam jak. — Podniosła w górę obie ręce.

— To nic — uśmiechnęła się. — Nakarmimy panią, bez obaw. Trzeba nabierać sił. Stres był ogromny, organizm się wypalił od tego. Potrzeba pani nowych sił, żeby się wszystko goiło jak trzeba. Lekarze mówią, że rany są czyste.

— A co z moim chłopakiem? — Mela wbiła w nią swoje ciemne oczy. — Miał wtedy operację. Jak mnie przywieźli, to on był na sali.

— Nic nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem Meli. — Jestem dziś pierwszy dzień w pracy. Dopiero wróciłam z urlopu. Ale zapytam koleżanek.

— To dla mnie jest bardzo ważne, on był bardzo poparzony. Strasznie się o niego martwię. — Meli drżały wargi, kiedy mówiła te słowa.

Pielęgniarka przysłała po chwili z obiecaną kaszką. Karmiła ją cierpliwie, a Mela posłusznie jadła. Czuła się bardzo śmiesznie, jak małe dziecko. Kaszka raz po raz nie trafiała do ust, tylko rozmazywała się Meli na policzku. Wtedy obie się z siebie śmiały. Herbatę wypija sama. Chwyliła kubek pomiędzy ręce i popijała po tyku.

— Za chwilę przyjdzie lekarz, proszę go zapytać o chłopaka. Powinien coś wiedzieć. Nie jest chirurgiem, ale miał wczoraj dyżur.

Zanim pojawił się lekarz, do szpitala wpadli rodzice. Dostali wiadomość, że Mela już nie śpi. Wrócili właśnie z urlopu, kiedy dopadła ich ta straszna wiadomość. Mela nie chciała ich widzieć. Bała się pytań. Kochała ich, ale teraz, gdy liczył się tylko Kostek, byli dla niej ciężarem. Jednak to właśnie oni przywieźli jej wyczekiwane, chociaż niezbyt pocieszające wieści.

— Nie ma go tutaj — usłyszała od ojca. — Jest w Katowicach. To szpital, który się specjalizuje w takich oparzeniach. Tutaj nie było warunków. Ma rozległe poparzenia nóg i nie tylko. Cały jest poparzony — powiedział, nie owijając w bawełnę.

I już chciał przejść do zadawania konkretnych pytań, ale Mela powiedziała stanowczo, zanim otworzył usta:

— Nie teraz, teraz wam nic nie powiem.

W szpitalu była przez miesiąc, ręce goiły się długo. W kilku miejscach rany sączyły, ale w końcu jakoś się zasklepiło. Dłonie wyglądały okropnie, strach było na nie spojrzeć, lekarze twierdzili, że z każdym dniem ich stan będzie ulegał poprawie. Zostały jej blizny na buzi, kilka różowych plam, powoli zmieniały odcień. Spalone brwi odrosły, wszystko zaczynało wracać do normy. W szpitalu wciąż coś się działo, czas szybko mijał między ludźmi. W domu Mela się dusiła. Tylko rodzice i ona. Mielenie wciąż tego samego. Żyła od telefonu do telefonu. Codziennie dzwoniła do Katowic, a właściwie do Siemianowic, bo tam dokładnie mieściło się Centrum Oparzeń. Z Kostkiem było źle, ale stabilnie, jak mówili lekarze. Miał jakąś dziwną wadę, że nowa skóra natychmiast pękała i gojenie zaczynało się od początku. I ciągłe stany

zapalne, które trudno było opanować. Jednego dnia było lepiej, a jak dzwoniła nazajutrz, lekarze załamywali ręce. Początkowo jej troska skupiała się tylko na tym, później z każdym dniem pojawiała się dziwna agresja. Przez ciągłe rozpamiętywanie wpadała w depresję. Dopiero wtedy zaczęła się interesować postępiami w śledztwie. Od rodziców wiedziała jedynie, że Lamus i Radek zapadli się jak kamień w wodę. Zniknęła też Norka. Szukano ich wszędzie. Mela była pewna, że w końcu zwiali za granicę. Miała tylko wątpliwości co do Norki. Nie mogła wierzyć, że po tym wszystkim byłaby zdolna z nim wyjechać i normalnie egzystować. Czy miłość może zaślepić do tego stopnia, że nic oprócz niej się nie liczy? Wiedziała po sobie, że dla Kostka zrobiłaby wiele, ale gdyby był taki jak Lamus? Nie, chyba jednak wszystko ma swoje granice.

Strasznie się miotła. Nie odchodziła od telefonu. W końcu ojciec się zdenerwował. Stwierdził, że jest już zdrowa i może wracać na studia. Rok już się zaczął na dobre, odwlekanie tylko jej zaszkodzi. Ale Mela nie mogła myśleć o nauce. Czekwała tylko na sposobność, żeby się wymknąć do Kostka. Pierwszego dnia, zamiast jechać na uczelnię, prosto z domu pojechała taksówką na dworzec. Pociąg do Katowic odjeżdżał koło jedenastej. O godzinie czternastej powinna być już na miejscu, jeszcze zdąży przed zmrokiem wrócić do domu. Wspomnienia sprzed kilku tygodni jak żywe tkwiły w pamięci. Bała się, co zastanie na miejscu i czy ją wpuszczą do Kostka, a jeśli tak, czy będzie chciał jeszcze ją widzieć? Musiał niezwykle cierpieć. Wie, jak to boli, a przecież bolały ją tylko ręce, on cały był poraniony. Rodzice ogłędnie rozmawiali z nią o tym, temat Kostka omijali bezpiecznie. Nie znała więc całkowitej prawdy, z tego zdawała sobie sprawę. Dlatego ten wyjazd był dla niej konieczny, nie może tkwić w niewiedzy. To przecież za jej sprawą Kostek teraz tam leży i nikt nie wie, jak to się dla niego skończy. Ból i tęsknota nie dawały jej ani na moment spokoju. Powoli z tęsknoty wyłaniać się zaczęła wściekłość do oprawcy. W naturalnym odruchu chronienia siebie i żeby się nie zdręzczać wyrzutami sumienia, zaczęła myśleć o zemście. Uczucie zemsty pojawiało się z każdym upływającym dniem. Czuła swoją bezsilność. Skoro działania milicji nie dały żadnych efektów, cóż ona mogłaby zdziałać? Jedynie naciskać, dzwonić i wypytywać, czy są już jakieś postępy w śledztwie. Zanim dojechała na miejsce, miała już w głowie skrzętny plan działania. Nie popuści draniowi, a Norce nigdy nie wybaczy. Wszystko ma przecież swoje granice. Dotychczas jej myśli płynęły całkiem innym torem, skupiała się na swojej winie, a przede wszystkim na zdrowiu Kostka, i to nadal zostanie dla niej priorytetem, ale jak mogła w tym wszystkim zapomnieć o sprawcy?

Do Siemianowic dostała się autobusem. Potem musiała odnaleźć szpital. Tam już tylko odpowiedni oddział i zobaczy Kostka.

— Przykro mi — odpowiedziała sympatyczna siostra. — Dzisiaj rano został przetransportowany specjalnym samolotem do innego szpitala. Rodzice zabrali go na leczenie do Teksasu, do Houston, tam jest podobno najlepszy na świecie ośrodek leczenia oparzeń.

Mela, słuchając, połykała łzy, ale nie chciała uronić ani słowa. Pielęgniarka była gadatliwa.

— Nie jest z nim dobrze, powiem pani szczerze, lekarze rozkładali ręce. Całe ciało ma w ranach — rozczulała się nad byłym pacjentem. — Ażeby pani zobaczyła twarz! Po prostu tragedia. Nie wiem, czy on się z tego wylize. A pani kim jest dla niego? — zreflektowała się nagle, widząc, że dziewczyna płacze.

Mela nie mogła wydobyć z siebie głosu. Prawda ją zdruzgotała. Nie myślała, że jest z nim tak źle. I to rozczarowanie, że się spóźniła, zaledwie kilka godzin. Opuścili ją siły, napięcie i radosne oczekiwanie, że się za chwilę zobaczą, że będzie go mogła do siebie przytulić i jeszcze raz wykrzyknąć mu w twarz przeprosiny, które w sobie dławi od tygodni. Cały świat rozsypał się Meli jak pałac z piasku, już nie mogło być gorzej.

Została sama na szpitalnym korytarzu. Pielęgniarka wołała nie mieć z nią nic wspólnego, bała się, że powiedziała za dużo całkiem obcej osobie i pod pretekstem dyżuru czym prędzej odeszła. Pomogła jej tylko znaleźć wolne krzesło. Potem z daleka patrzyła, jak siedzi skulona pod ścianą. Modliła się, żeby tylko odeszła. Nie chciała mieć nieprzyjemności.

Mela wróciła do domu. Jakimś cudem zdołała dojechać na dworzec, a potem wsiąść do pociągu. Niemiłosierny ból rozsadał jej piersi, myślała, że się udusi. Nie chciała bez przerwy płakać, więc dławiła w sobie łzy, ale wewnętrzny szloch raz po raz całą nią wstrząsał. Dopiero we własnym pokoju dała upust rozpaczy. Nie mogli jej uspokoić. Pomógł silny środek nasenny. Ocknęła się w nocy, obolała. Rodzice już spali, zmęczeni czuwaniem nad córką i rozmowami, jak mogą jej pomóc. Nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, co dzieje się w jej zbolącej duszy, co lęgnie się w skołowanej głowie. Postanowili poczekać do rana. Noc czasem przynosi ulgę.

W ciemności wróciły do Meli żywe wspomnienia ostatnich tygodni i tego, co zastała w szpitalu. Przeważała tylko jedna myśl, żeby umrzeć. Nie przeżyje ani dnia z tym smutkiem i bez Kostka też nie przeżyje. Zabrali go i już pewnie na zawsze, byle dalej od niej i od miejsca, w którym wszystko się stało. Nigdy go już nie zobaczy.

Po tym zdarzeniu długo chorowała. Kilka tygodni przeleżała w łóżku, patrząc apatycznie w sufit. Trudno z nią było nawiązać kontakt. W tym czasie zamknięto dochodzenie w sprawie wypadku. Podobno

Lamus oddał pieniądze, przysłał je pocztą a w liście podziękował grzecznie za pożyczkę, ale nie było adresu zwrotnego.

Mela wychodziła z depresji. Na temat Kostka nawet nie wspomniała. Schudła dwanaście kilo, zrobiła się szara na twarzy, zaniedbała treningi, oświadczyła, że zrywa ze sportem i bierze dziekanę. Nie będzie niczego nadrabiać, nie jest w stanie się uczyć, pójdzie do jakiejś pracy, potem się jeszcze zobaczy. Może wyjedzie. Na co dzień była nieznośna, nocami często płakała, któregoś dnia przysłała prosić rodziców o pomoc.

— Pomóżcie mi skontaktować się z Kostkiem albo z jego rodzicami. Nie potrafię tak żyć w niepewności. Nie chodzi o to, żebym z nim mogła się spotkać, wiem, to już nierealne, chcę tylko wiedzieć, jak on się czuje.

To okazało się prawie niemożliwe. Nikogo już w Polsce nie było, bo dziadkowie wyjechali w ślad za Kostkiem. Ojciec przechodził sam siebie. Odgrzebał stare kontakty z daleką rodziną za granicą, szukał przez uczelnię, potem nawiązał kontakt z lekarzem, który robił Kostkowi wypis. I dopiero ten lekarz zdobył dla nich adres i telefon szpitala, w którym był prawdopodobnie leczony.

Dzwoniła mama, ona lepiej znała angielski, a Mela siedziała wpatrzona w jej oczy, czekając na to, co powie. Łączyli ją kilkakrotnie, zanim trafiła na właściwy oddział. Niewiele mówiła, zapytała tylko, a potem ktoś długo jej coś klarował. Oczy mamy zmieniały się z jednej chwili na drugą. Raz spoglądała na Melę, raz na ojca. Potem spuściła oczy i tylko potwierdzała, że słyszy. Na koniec szybko chwyciła długopis i coś zawzięcie pisała, wyglądało na to, że notuje numer telefonu. Zawahała się, jakby się chciała rozmyślić, ale dokończyła pisanie i odłożyła wolniutko słuchawkę. Zanim podniosła oczy, minęły tysiące lat świetlnych.

— Lekarz mi powiedział, że Kostek już wyszedł — patrzyła im w oczy ze sztucznym uśmiechem, była zestresowana, zanim usiadła, głęboko westchnęła i spojrzała na ojca z przerażeniem. — Początkowo nic nie mogłam zrozumieć — powiedziała, trąc nerwowo czoło. — Zabrali go już do domu. Nie jest z nim tak źle, rozumiałam, że jest w dobrej kondycji. Dał mi do nich numer telefonu — spojrzała na leżącą obok niej kartkę.

Po tych słowach Mela wybiegła z kuchni. Zamknęła się na dwa dni w pokoju. Rodzice znowu nerwowo dreptali po domu, szeptali do siebie załamani. Nie wiedzieli, jak się zachować. To już trwało zbyt długo.

A Mela po prostu czekała. Ucieszyła się z wieści, a potem zdała sobie sprawę, że jeśli jest w domu i nie zadzwonił, to znaczy, że nie chce jej znać. To był kolejny cios w jej zranione serce. Nie mogła się z tego podnieść. Z każdym dniem było gorzej, a ona ciągle czekała. Po dwóch miesiącach znowu wpadła w depresję. Brakło jej motywacji do życia i nie chciała pomocy psychiatry. Rodzice byli bezradni. Ciężkie fatum zawisło nad domem.

Już poprzedniego dnia wszyscy byli w szoku, ponieważ Jakub nie wrócił do pracy. Anna wpadła w histerię. Chyba jakieś fatum. Przeklęty Londyn, czy będzie się czekał aż do śmierci? Potem zadzwoniła zdenerwowana Morańska.

Pierwsza dowiedziała się Anna. Zadzwonił lekarz ze szpitala Świętego Tomasza w Londynie. Była pod „A” na liście w komórce Jakuba. Zamurowało ją. Ranny w zamachu na metro? Coś na ten temat czytała w Internecie. Jakiś chłopak wysadził w powietrze jeden z wagonów. Było dużo huku, ale straty niewielkie, bo pociąg dopiero ruszał ze stacji. Kilkunastu rannych odwieziono do miejskiego szpitala. Zamachowiec zginął. Miał zaledwie 19 lat. Anna nie mogła uwierzyć.

Lekarz informował, że stan pacjenta jest dobry. Ma złamaną rękę i poranione dłonie, bronił się przed spadającą szybą. Za kilka dni zdejmą mu opatrunki i dalej może się kurować w domu. Wyraził chęć powrotu.

Wieść o tym obiegła wszystkich lotem błyskawicy i natychmiast postawiła w stan gotowości. Janusz zadeklarował, że poleci po Kubę do Londynu. Anna nie mogła, lada dzień miała przyjechać córka. Dokładnie nie wiedziała kiedy, zresztą, co zrobi z Julkiem? Z radością przyjęła propozycję Janusza. Zjawił się u niej Tadeusz. Przepraszał, że nie może pomóc. Magda jeszcze nie całkiem przyszła do siebie, nie chce jej teraz zostawiać samej, a poza tym, jest zavalony pracą. Wszystko idzie nie tak, ale jest dobrej myśli, najważniejsze, żeby tylko Magda wyzdrowiała. Chyba jej nie powie, to by ją dobiło. Ma do Jakuba słabość, okazał jej wiele troski w ciągu ostatnich tygodni. Jest bardzo przewrażliwiona, trzeba uważać na każde słowo. Wszystko odbiera jak atak.

Anna obiecała, że zajrzy do Magdy, jeszcze przed powrotem Jakuba, babska rozmowa dobrze robi na zmartwienia.

— Prawie codziennie jest u niej Mela. Dobrze się dogadują, lepiej niż kiedyś. Dla mnie to wybawienie, mam wtedy wolną rękę. Mogę wyjść popołudniami, załatwiać swoje sprawy. Rano jest przy niej teściowa, więc przedpołudnia nie są problemem.

— Najważniejsze, że się odnalazła — Anna pocieszała. — Kto wie, jakby się to dla niej skończyło.

— To, że jeszcze żyje, jest tylko zasługą Jakuba. Zaglądał do niej od czasu do czasu. W końcu mnie zawiadomił. Stwierdził, że Magdzie się pogarsza, że potrzebuje pomocy, a nie jego sporadycznych wizyt.

— A teraz, biedak, sam jest w kłopotcie.

— Dlatego mi przykro, że nie mogę po niego polecieć.

— Janusz sobie poradzi, on uwielbia wyzwania. Jest specjalistą od efektownych gestów. Zawsze lubił szokować, powinien jednak zostać aktorem. Szkoda, że mu nie wyszło, marzył o tym od dziecka.

— Taa... — potwierdził przeciągle Tadeusz. — Wiem coś na temat marzeń. Marzyciele to trudny gatunek ludzi. Na szczęście są tacy, którzy mocno stoją na ziemi. Dzięki nim świat trwa we względnym porządku. Ja zawsze wiedziałem, co będę robić. Ale Janusz, to chyba zupełna pomyłka, jak Magda, która nigdy nie będzie dobrym architektem. Nie lubi projektować, nie wiem, dlaczego skończyła te studia.

— To też humanistyka — zauważyła Anna — tylko w przestrzeni. Architekt to taki człowiek renesansu. Potrafi i to, i tamto, może też pisać powieści — zauważyła. — Ale słyszałam, że owocem wyjazdu Magdy jest nowa książka? — spytała. — Więc spędziła ten czas raczej z pożytkiem — podkreśliła specjalnie.

— Napisała — potwierdził Tadeusz. — Ale nie chce jej wydać.

— Dlaczego?

— Twierdzi, że książka jest tendencyjna, napisana z goryczą i bez polotu. Chciała ją nawet zniszczyć. Udało się jakoś ocalić pliki w komputerze, bo zaraz po powrocie postanowiła wszystko usunąć. Ale zdążyłem. Zanim to zrobiła, wszystko skopiowałem do siebie. To prawie rok pracy, może zwrócą się koszty życia. Chociaż — machnął zniechęcony ręką. — Mówiąc szczerze, na tych książkach to ona nic nie zarabia.

— Biedna, widać musiała być tam bardzo nieszczęśliwa. Tadeusz się chwilę zastanowił.

— Trudno powiedzieć — stwierdził. — Nie rozmawia ze mną o tym. Jak pytam, czy coś jeszcze napisze, odpowiada, że nie.

— Napisze, jestem pewna. Ona już żyć bez pisania nie może.

— Niestety — Tadeusz spojrział zmartwiony. — Wolałbym, żeby dała sobie z tym spokój. Już lepiej, jakby była zwykłą kobietą, bez tych talentów i pomysłów na życie. Tylko z tym kłopoty. Czasem zazdrozczę kolegom, którzy mają normalne żony.

Anna nie chciała drążyć tematu. Bała się, że zaraz coś powie i zrobi się ciężka atmosfera, ale obiecała sobie, że jak już odzyska Jakuba, poświęci Magdzie więcej czasu. Tak rzadko się spotykają. To błąd, kobiety powinny trzymać się razem.

Mela wpadała co kilka dni do Magdy. Uważała, że w trudnych momentach kobiety powinny trzymać się razem. Z Magdy zostały okruszki. Schudła potwornie i bardzo wolno wracała do zdrowia. Twierdziła, że to u niej normalne, bo każdą książkę kończy jakąś chorobą. Praca nad tekstem, zamykanie wątków, cała ta męka twórcza bardzo ją wypala. Traci wtedy odporność i łapie coś. Jak skończy, jest ledwo żywa. Tym razem było najgorzej. Doszedł jeszcze strach, że utraci rodzinę. Zapłaciła tym razem słono, za coś, co nigdy nie ujrzy półek w księgarni.

— Nie wiem, czy jeszcze będę coś pisać. To mnie kosztuje zbyt wiele. A życie ucieka. Nie wiem, kiedy mija rok, gdzie się podziała wiosna, jakie było lato i zima. Nic nie rejestruję. Żyję w innym świecie, nie swoim.

— Ale w tamtym świecie też są pory roku — uświadamiała jej Mela.

— Wiem, ale to jednak jest coś innego — Magda próbowała to jakoś wyjaśnić.

Te niemal codzienne rozmowy były dla Magdy zbawienne. Ale nie tylko dla niej. Obie szukały kontaktu z drugim człowiekiem. Dziewięć miesięcy trudno porównać do dwudziestu lat, ale w pewnym sensie obie zaznały zamknięcia. Mogły się teraz dzielić wrażeniami.

— Widziałaś się z Norką? — zapytała któregoś dnia Magda. Nic sobie nie myślała, pytając. Ot tak, z czystej ciekawości. Rozmawiały na różne tematy. Wspominały, jedna drugiej przybliżały własne problemy. To działało jak psychoterapia, jak miting „AA”. Mela już okrzepła, coraz spokojniej wracała do trudnych tematów.

— Poniekąd — odpowiedziała spokojnie.

— Masz do niej żal, uważasz, że to wszystko przez nią? — Magda próbowała coś z Meli wyciągnąć. Nie chciała jej ranić, była po prostu ciekawa. — Muszę ci się przyznać, że nie znam tej sprawy z Norką zbyt dokładnie. Jak to się stało, byłam w Londynie. Pojechałam na spotkanie z przeznaczeniem i tak mi zawróciło w głowie, że historia z Norką i Kostkiem przeszła gdzieś obok. Sama przeżywałam tragedię. Odcięłam się wtedy i jak we śnie wyszłam za mąż. Niepotrzebnie — próbowała się usprawiedliwić. — Czy to źle, że tak mało się interesowałam, uważasz, że to spore świństwo z mojej strony? — zapytała, nie zdając sobie sprawy, że porusza niechcący jeden z najboleśniejszych dla Meli tematów.

— Już nie mam żalu do nikogo. Ale miałam, wielki. Do Norcki chyba najmniejszy. Byłyśmy w to równo wplątane. Ona odeszła w spokoju, ja czułam potrzebę zemsty. To przecież nie jej wina, że zabiłam Lamusa. Ona mu wybaczyła. Ja z nienawiści straciłam głowę.

— Nie bałaś się? — Magda aż się skuliła. Sama myśl, że można kogoś zabić, była jej wstrętna, a cóż dopiero czyn.

— Nie czułam strachu. Strasznie wtedy cierpiałam. Przez dwa lata czekałam na znak od Kostka. Rodzice go zabrali do Stanów. Moi zdobyli do niego telefon, ale nie miałam odwagi. Odrzucił mnie, tylko to wtedy czułam i już się nie chciałam narzucać. On milczał, a ja umierałam z rozpacz. Już sama nie wiem, co było gorsze, strach o jego życie, czy porzucenie. Krótco po tym milicja zamknęła śledztwo, Norka zniknęła, każdy zajął się sobą, a ja ciągle miałam nadzieję, że może jeszcze zadzwoni. Któregoś dnia znalazłam w szufladzie adres jego dziadków.

— Zapomniałaś o tym? — Magda zapytała zdziwiona. — Ja bym poszła tam w pierwszej kolejności.

— Byłam, ale ich nie zastałam, wyjechali w ślad za Kostkiem. Potem chodziłam często w tym kierunku, siedziałam pod domem z jakąś naiwną nadzieją, że nagle się zjawią. Ale to było bez sensu. Sąsiedzi już mnie znali. Z daleka pytali: „A pani znów tutaj?”. Któregoś dnia spotkał mnie dozorca i oświadczył, że mieszkanie ma być sprzedane. Więcej już tam nie poszłam.

— Ale wtedy poszłaś?

— Tak, pomyślałam, że pójdę z czystej tęsknoty do miejsca. Nie wiem, na co liczyłam. Może, że ożyją tam miłe wspomnienia, że jakiś cień miłości muśnie mnie, pocieszy. Była wiosna, wybrałam się w tę stronę na spacer.

— I spotkałaś ich — domyśliła się Magda.

Mela pokiwała głową. Musiała zebrać siły, żeby dokończyć zdanie.

— Wracali z zakupami. Poznałam z daleka dziadka, babcię zobaczyłam wtedy po raz pierwszy. Minęli mnie bez słowa. Skąd mogli przypuszczać, że będę warować pod blokiem. Zresztą ich widok wyprowadził mnie z równowagi. Siedziałam tak do wieczora. Gdy się trochę ściemniło, zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do drzwi. W drzwiach stali oboje, jak na komendę. On gdzieś wychodził, więc pewnie dlatego. Zakładał kurtkę, ona stała obok z parasolem w ręku. Spojrzeli na mnie zaskoczeni. Spytałam o Kostka. Babcia zakryła dłonią usta, a dziadek spojrzął z udręką i powiedział tylko trzy słowa:

— Kostek nie żyje. —A potem dodał: — Drogie dziecko. Po tych słowach Mela ucichła.

— Tak było — dodała już nieco spokojniej.

Magda była wstrząśnięta. Nie знаła szczegółów i czuła, że to było trudne wyznanie. Prawie nikt z nich nie był w sądzie, kiedy toczyła się sprawa. Zanim zaczął się proces, minęły całe trzy lata. Magda była już w drugiej ciąży. Gdy zapadał wyrok, właśnie zmieniali mieszkanie. Dowiedzieli się od Morańskiej. Przyszła pewnego dnia, żeby im przekazać wieści od Kuby. Prawda ich zszokowała. Nie mogli w to wszystko uwierzyć. Dopiero wtedy zmobilizowali się do spotkania pod dębem, a po krótkiej naradzie poszli do Salomona. Zjawili się wszyscy, tylko nie Norka. Odnalazła się później, dzięki Zosi.

Dzięki Bogu już niedługo będzie po wszystkim. Jestem sama, Jerzy od rana coś załatwia, wróci pewnie wieczorem.

— Zosiu, wracam wieczorem. — Woła tak teraz prawie codziennie, a ja muszę się z tym pogodzić.

Po powrocie Jakuba z Londynu, w ciągu kilku dni udało się zebrać całą naszą grupę.

Trzeba było dwudziestu lat i wolności dla Meli, żeby jak dawniej usiąść na ławce i porozmawiać o wspólnych problemach. Wiele się zdarzyło w ciągu tych kilku miesięcy. Kto by pomyślał, półmetek życia za nami, powinno się już tylko odcinać kupony, a my jeszcze chcemy zmieniać wokół świat. Czy tak już będzie do końca?

Do Warszawy wyjeżdżamy w czwartek, z samego rana. Jerzy ma jeszcze kilka ważnych spraw, które dotyczą kamienicy, a w sobotę o szesnastej zbieramy się na podwórku pod dębem. Cieszę się na to spotkanie. Tyle jest spraw do obgadania, dnia nam nie starczy zapewne.

Pada, od rana szaro i mokro. Dzień bardzo się skrócił. Lato odeszło cztery dni temu, ale podobno ma wrócić pogoda. Mam nadzieję, że dopisze w sobotę. Dzieci zostawiam rodzicom. Dziadkowie już się nie mogą doczekać. To też cud, który się dokonał tego lata, aż trudno w to wszystko uwierzyć. Ojciec trenuje na Jasiu patriotyczne wierszyki, mama piecze z Kasią ciastka, ja w tym czasie mogę spokojnie malować obrazy. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale na wiosnę szykuje się jakiś wernisaż, wystawiają koledzy z mojego roku, mnie też zaprosili do projektu. Nie wiem, czy podołam, Jerzy twierdzi, że bez problemu.

Okno, przy którym stoję, wychodzi na naszą ulicę. Widzę perspektywę drogi i zakręt. Wciąż nie mogę ochłonąć po dzisiejszej wizycie. Jerzego nie ma jeszcze w domu, dzieci bawią się w swoich pokojach, a ja odprowadziłam przed chwilą niespodziewanego gościa i spoglądając, jak odjeżdża taksówką na dworzec, wspomiinałam dzień sprzed dwudziestu czterech lat i widok wychudzonej Norki na schodach przed domem, przy ulicy Żelaznej. Potem widziałam ją jeszcze kilka razy w czasie studiów, a później zajrzała do mnie, oświadczając, że skończyła i wyjeżdża. Na krótko wraca do rodziców, ma już dalsze plany, ale nie są związane z Warszawą.

Piliśmy z Jerzym kawę, kiedy przyjechała. Wysiadła z taksówki pod domem. Nie poznałam jej. Tyle lat, to nic dziwnego. Nie przypominała mi Norki, którą znałam wcześniej. Ta była inna, dużo wyższa, w obcisłej spódnicy, na wysokich obcasach, obcięta po męsku, wyprostowana. Może wyobrażenie o niej było inne, dlatego wizerunek wydawał się obcy. Patrzyłam na nią poprzez tamte zdarzenia. Jeszcze do dzisiaj słyszę, jak całe noce płacze na poddaszu. Wtedy mi nie wyjaśniła wszystkiego. Właściwie głównie kłamała. Przedstawiła własną wersję zdarzeń, taką, która jej pasowała. A ja uwierzyłam we wszystko. Teraz czuję się winna, bo przez to skrzywdziłam Melę. Czasem myślę nawet, że jestem głównym sprawcą zbrodni, której się dopuściła. Zdaję sobie sprawę, że to była reakcja łańcuchowa i wiele się na nią złożyło, a jednak początkiem było moje kłamstwo i za to czuję się odpowiedzialna.

Norka przyjechała właśnie w tej sprawie. Wiadomość o spotkaniu w Warszawie dopadła ją na krótkim wypoczynku w górach. Po drodze odwiedziła Kraków, ale nie była sama. Nieco tajemniczo określała osobę, z którą zdobywała zakopiańskie szczyty, a ja natychmiast wyczułam, że to był mężczyzna.

Wracali razem do Sopotu, tam teraz mieszkała. W końcu została analitykiem. Skąd ten wybór, nikt chyba nie wie, zapewne przypadek, pamiętałam, że skończyła chemię.

Jerzy siedział z nami bardzo krótko, czuł, że powietrze gęstnieje z emocji, więc wymówił się ważnymi sprawami. Zostałyśmy same. Zaparzyłam kawę i zaprosiłam Norkę do pokoju. Z okna widać było jak na dłoni niebo, które schodziło nisko, aż po wierzchołki drzew. To nic, że było pochmurne, nawet w taki dzień patrzenie w tamtym kierunku sprawiało mi prawdziwą przyjemność. Norka zignorowała ten widok, zajęta myślami i pewnie sprawą, z którą przyjechała. Miała skupiony wyraz twarzy, jakby słowa, które chciała wypowiedzieć, same cisnęły się do ust, a ona próbowała je za wszelką cenę zatrzymać w sobie.

— Wybieram się w sobotę do Warszawy, jestem tu, bo chciałam pogadać — oświadczyła na jednym oddechu. — Dostałam wiadomość od Doroty, że się spotykacie.

Zrobiło się dziwnie, „spotykacie” w jej ustach zabrzmiało jak pretensja kogoś, kto jest z zewnątrz, a przecież to ona była jedną z głównych postaci dramatu. Nie wiedziałam, jak zareagować.

— Tak, my też będziemy — potwierdziłam spokojnie, ale nie omieszkałam natychmiast zapytać: — Ty będziesz tym razem?

Spojrzała na mnie spod powiek, wiedziała, do czego piję.

— Jak myślisz, chyba powinnam? — zapytała z pokorą. Przeczucie mnie nie zawiodło. Wiedziała, że jestem współwinna, więc mogła szczerze zapytać.

— To okazja jedyna w swoim rodzaju. Nie omieszkać z niej skorzystać — przyznałam się bez owijania w bawełnę.

— Ja odpokutowałam wszystkie swoje grzechy — mówiła dalej, idąc tokiem moich myśli. — Nie mam się już czego wstydzić, więc również przyjadę. Zresztą, jestem to winna Meli. Przez dwadzieścia lat czekała na moje przeprosiny i podziękowanie, więc powinna to w końcu usłyszeć. Ciebie też chciałam przeprosić. — Spojrzała śmiało i zrobiła gest, jakby chciała się do mnie przytulić. Siedziałam obok, na tapczanie, tylko się nieznacznie przysunęła i dotknęła lekko mojego ramienia. Coś ją powstrzymało przed dalszym zbliżeniem. — Grzech ciągnie się za mną jak całun. — Spuściła wzrok na podłogę i przez chwilę przyglądała się wzorkom na dywanie. — Nie potrafię sobie przez to ułożyć życia. Czuję się niegodna szczęścia. Jak tylko zacznę coś dobrego, to zaraz schrzanię. Tylko złe dobrze się przy mnie trzyma. —

Wstała i podeszła do okna. Z tej chwilowej spontaniczności już nic nie zostało. Opuściła ręce i stała przez chwilę nieruchomo. Chyba ją to chmurne niebo wciągało. Jej wąskie biodra, jeszcze węższe niż te sprzed lat, uderzały miarowo w parapet.

— Już na studiach obciąłam włosy i zmieniłam zupełnie styl życia. Żeby stawić czoła depresji musiałam pewne sprawy skrzętnie wykasować, wymieść za próg, jak śmieci. Także Melę. To było z mojej strony świństwo, ale tylko w ten sposób mogłam zacząć wszystko od nowa. Byłam długo na prochach, pod opieką psychiatry. Inaczej bym nie wytrzymała. Zresztą — mimochodem dodała — miałam z nim później romans. Był żonaty, a ja mściłam się na nim za swoją przeszłość. On mnie leczył, a ja go pogrążałam. Zaangażował się, mogłam go bezkarnie ranić, to było mi w tamtym czasie potrzebne, taki rodzaj terapii. Byłam bez serca. W końcu się poddał, odeszłam od niego, nie chciałam już dalej niszczyć. Odreagowałam złość na niewinnym człowieku, którego jedyną wadą było to, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie, a drugą, że miał już rodzinę. Być może, gdyby nie ta druga przyczyna, może bym przy nim została. — Zamyśliła się, patrząc przed siebie. — Był dla mnie cudowny, mimo mojej podłości. Ale czas i jego wykasował z pamięci — szybko dodała, poprawiając pasek przy spódnicy. Znałam ten jej ruch. Zawsze, kiedy była zmieszana, coś u siebie musiała poprawiać. Najczęściej włosy, ale teraz były króciutkie, nie mogła zaciągać odruchowo gumki ani podpiąć opadających kosmyków włosów, które wtedy upinała w gruby kok powyżej szyi.

Czekałam cierpliwie. Z własnego doświadczenia wiedziałam, że lepiej nie przeszkadzać, gdy rodzi się z trudem jakaś myśl albo zamiar.

— Wiesz, mój ojciec wtedy zachorował — powiedziała niespodziewanie. — Wtedy, kiedy były mi potrzebne pieniądze na wyjazd. Dlatego mi nie pomogli. Dostał drugiego wylewu. Mama przy nim czuwała, zapomniała o Bożym świecie, liczył się tylko on. Wyszedł z tego. Nie jeździłam jeszcze do domu, czasem dzwoniłam. Myślę, że ten wylew był przeze mnie i pocieszam się, że mój powrót na studia i do życia uzdrowił go wtedy. Ale nigdy już nie przyszedł do siebie. Ciągle chorował, w końcu — powiedziała ciszej, ledwo usłyszałam, co mówi — umarł na raka. Szkaradna śmierć, mówię ci. Tak jest, jak już choroba zasiedli się w kimś, to nie odpuści. Jedno ciągnie za sobą drugie. Przez ostatnie lata życia ciągle zmieniał szpitale. Umarł w Sopocie, zabrałam ich wtedy do siebie, byłam u niego kilka razy dziennie. Mama nawet na noc nie odchodziła od łóżka. Chciała mu przekazać część swojej siły. Mimo to umarł.

— Pamiętam — uspokoiłam Norkę. — Mówiłaś o tym na procesie.

— No tak — przypomniała sobie. — Słyszałam, że masz dwójkę dzieci? — powiedziała do szyby, szybko zmieniając temat. Głos odbijał się i dobiegał do mnie z lekkim drżeniem. — Jak sobie radzisz? — spytała, ale jakoś tak całkiem bez emocji. Zdawało się, że odpowiedź jej już nie interesuje. Ale nie mogłam zignorować pytania. Z piętra dochodziły wyraźnie odgłosy ich bytności w domu.

— Jak słyszysz — wzniosłam oczy w kierunku sufitu, chociaż ona na mnie nie patrzyła.

— Ja poroniłam dwa razy — przyznała się niepytana. — Nic mi, jak widać, nie wychodzi. Zresztą — słyhać było, że się uśmiecha z przekąsem — nie chciałam ich. Ojcowie byli przypadkowi, a na tym mi nie zależało.

— To ja jestem w gorszej sytuacji — przerwałam. — Wcale nie znam ich ojca.

— Tak, wiem. — Zreflektowała się. — Podziwiam cię. To chyba jest dość trudne. Wiem, że nie nadaję się do roli matki. Nie potrafię rozmawiać z dziećmi. Chyba się ich po prostu boję. Przeraża mnie ich zaborczość i ta nieodwracalność, że jak już je masz, to do końca życia. Nie da się oddać ani zamienić na inne.

— To fakt — stwierdziłam nieco zbulwersowana postawą Norki. — To nie samochód, że można wziąć w leasing, a potem zmienić na lepszy.

— Upiorne porównanie, aleja niestety tak to odczuwam. Boleję okropnie nad własnym kalectwem, życie dało mi popalić i absorbuje wystarczająco. Gdzie tu myśleć o dzieciach. — Wolnym krokiem wróciła na tapczan. Usiadła wygodnie, wyciągając przed siebie zgrabne nogi. Nie było po nich znać lat, żadnych wybroczyn, żyłaków. Buty na wysokich obcasach, cieniutkie rajstopy, wąskie kostki, ani śladu obrzęków. Nie da się porównać do moich grubawych łydek i stóp o rozmiarze 41. Jak ona to robi, że jest wciąż taka piękna?

Wyznanie Norki i jej zachowanie bardzo mnie zaskoczyło. Przez całe lata źle ją chyba oceniałam. Pewnie sobie na to zasłużyła. Bez względu na okoliczności brnęła w swym kłamstwie i wciągnęła w to mnie, a ja potem na lekarstwo duszy znalazłam alkohol. Nie wiem, w jaki sposób leczyła się Norka, jak widać facetami, była zawsze bardzo ładna i nie znosiła nałogów.

— Wracając do Meli — szybko zmieniła temat. — Jadę do Warszawy, żeby się z nią spotkać. Nie wiem, czy zechce ze mną rozmawiać. Gardzi mną już od dawna, od wtedy.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Daj spokój, Zośka! — uniósł lekko głos i spojrzała na mnie zgorziona. — Byłam wtedy totalną kretynką. Zresztą... — teraz się uśmiechnęła —jestem nią nadal. Wiesz, człowiek się wcale nie zmienia, tylko udaje, próbuje przetrwać, więc się dostosowuje do życia. Ale to lipa. Wpadasz na byle przeszkodzie.

— W końcu powiedziałaś w sądzie prawdę. Złagodlili Meli wyrok i dzięki temu wcześniej wyszła. — Jakoś głupio mi było wyznać, co czuję. Minęło już tyle czasu. — Powiedziałaś w końcu że to Lamus podpalił stodołę.

— E tam, wyszłaby bez tego — przerwała mi Norka. — Znając Melę, można sądzić, że była wzorową więźniarką. A mówiąc szczerze, skłamałam wtedy. Ja rzeczywiście nie widziałam, jak Lamus podpala stodołę. Załatwiłam mu pieniądze i byłam niepotrzebna. Na do widzenia powiedział mi „Zmykaj mała, było fajno”. To jego ostatnie słowa. Bolały bardziej niż uderzenia w twarz, których mi w końcu nie skąpił. Nawet nie wiesz, jak się wtedy czułam. Myślałam tylko o sobie, pragnęłam jedynie umrzeć. Miałam ich w nosie, i Kostka, i Melę. Chciałam, żeby wszyscy dali mi spokój. Nawet się nie obejrzałam za siebie.

— To znaczy, że skłamałaś w czasie ostatniego zeznania? — zapytałam z trwogą.

— Lamus już nie żył, nie musiałam go bronić, mogłam go nawet oskarżyć. Nigdy mu nie zależało na mnie, a ja odchodziłam dla niego od zmysłów. Następnym uczuciem mogła być tylko nienawiść. Ale wtedy, gdy Mela do niego strzeliła, wpadłam w potworną rozpacz. Zamiast niego znienawidziłam ją, bo mi go odebrała do końca. Rachunek został wyrównany. Wpakowała w niego pięć kulek z pistoletu startowego. Gdyby się nie zaciął, wpakowałaby osiem. Musiała być w niezłym szoku.

Pamiętałam dobrze fakty z ostatniej rozprawy. Norka mówiła prawdę. Przypomniałam sobie niemal każde słowo. Nie mogłam uwierzyć, że dwie najłagodniejsze pod słońcem dziewczyny zgotowały sobie wzajemnie taki los. Trudno usprawiedliwić zbrodnię, ale dla Meli byłam gotowa to zrobić.

— Dowiedziała się, że Kostek umarł — weszłam Norce w słowo. — Bardzo cierpiała z tego powodu. Nie mogła pogodzić się z faktem, że ją odtrącił, oskarżając w ten sposób za wszystko, i pozostawił tak, z poczuciem winy, bez słowa otuchy. Nie była sobą. Od wielu miesięcy żyła w potwornym napięciu.

— I dlatego przerzuciła wszystko na Lamusa. Zresztą słusznie. Zobaczyła go kiedyś na ulicy. — Teraz Norka odkrywała przede mną kulisy sprawy. — Podobno stał na Centralnym. Wpadli na siebie,

śmiała jej się w nos, kiedy stanęła przed nim jak wryta. Ciekawe — spojrzała na mnie — czy to właśnie wtedy postanowiła go zabić? Czy przez to chciała jakoś zaznaczyć swoje istnienie i ponieść w związku z tym karę, taką widowiskową, żeby odkupić swoje winy na oczach wszystkich?

Dałyśmy się ponieść wspomnieniom. Ten temat ciągle bulwersował.

— Mimo to nie rozumiem, jak mogła strzelić do człowieka?

— Próbowałam się jednak doszukać w tym jawnego bezsensu.

— Dla mnie morderstwo to rzecz, która nie ma ceny. Nie wiem, co mógłby mi zrobić drugi człowiek, żebym się zdecydowała chwycić do ręki pistolet.

— Nie dziw się. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak taka myśl szybko się rodzi. Może być i miłość powodem do tego, i zemsta. Nie widzisz przed sobą perspektyw, reszta życia już nie ma znaczenia, cierpisz. Wtedy niektórzy robią ostateczne ruchy — dodała spokojnie. — Wiem to z własnego doświadczenia. Takiej Norki nie znałam, skupionej i refleksyjnej.

— A jednak ja bym nie mogła.

— Ludzie czasem kochają za mocno — próbowała mnie jeszcze przekonać. — Taka miłość sprowadza nieszczęścia. Zbyt wielka namiętność zbiera zawsze żniwa. Mela bardzo kochała i nie potrafiła zapomnieć o zemście. Dwie namiętności w jednym człowieku.

— A skąd ten pistolet?

— Z klubu sportowego. Zabrała także naboje.

— Musiała być zdesperowana.

— Oświadczyła, że jeśli milicja nie wznowi śledztwa, to ona sama zajmie się Lamusem. — Norcka już ledwo mówiła. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Zgadza się — potwierdziłam fakty. — Zanim się zdecydowała na ostateczność, spędziła kilkanaście dni na oddziale psychiatrycznym, bo zaczęła już gadać od rzeczy. Jak wróciła do domu, to odwiedziłam ją razem z Magdą. Wyglądała całkiem normalnie. Jej mama upiekła rogalce, rozmawialiśmy o wszystkim, ale głównie o jej powrocie na studia. Miała do nadrobienia aż trzy semestry. Ale o Lamusie, Kostku ani o tobie nawet nie wspomniała. Jakby się nic nie zdarzyło. Zresztą— dodałam ze skruchą. —

Myśmy się nie pytały. Magda, jak zawsze, coś napomknęła nieprzytomnie, że chyba jest w ciąży, potem, że nie może się dogadać z Tadeuszem, a ja zaczęłam już w tym czasie popijać, więc raczej rozglądałam się za kieliszkiem, który tata Meli napełnił dla nas winem porzeczkowym. Wieść o moim picu już się po znajomych rozeszła, lecz ojciec Meli nie był wtajemniczony. Ubzdryngoliłam się wtedy niemiłosiernie. Magda mnie musiała holować. Potem sama wpadła w panikę, bo też piła, zapomniała o swojej ciąży. Ale nikt nie podejrzewał, że tego wieczora w głowie Meli już się rysował plan zbrodni, a następnego dnia wcieliła go w życie.

— Jak można było mieć nawet cień podejrzenia? Mela i morderstwo? — Oczy Norki wydawały się martwe. — Wykreśliłam Lamusa z życia, ale nigdy z serca. Zranił mnie, ale krzywdy bym mu nie zrobiła. To nieprawda, że mnie nie kochał — stwierdziła niespodziewanie. — Po prostu nie mógł inaczej. Czasem myślę, że może chciał mnie uratować przed marnym życiem. Widział, że jestem słaba, za słaba na emocje, które mnie przy nim czekały.

Norka mnie zaskoczyła. Nikt nie wie, jakimi torami chodzi myśl ludzka. Co dla jednego jest zbrodnią, dla innego ratunkiem od zguby.

— Myślisz, że ludzie czerpią z życia mądrość? — zadałam jej trudne pytanie. — Sama często próbuję znaleźć na nie odpowiedź.

— Chyba nie — odpowiedziała z uśmiechem. — Gdyby tak było, już dawno miałabym piątkę dzieci. Masz ładny widok. Na las — znów zmieniła temat. — Ja wolę patrzeć na drogę. To mnie uspokaja. Może to klaustrofobia — stwierdziła z uśmiechem i wysączyła ostatnie kropelki kawy. — Pyszna ta kawa — spojrzała w głąb filiżanki. — Chyba waniliowa?

— Tak, z odrobiną cytrynowej skórki. Wypróbuj, tylko trzeba dobrze wymyć cytrynę.

— Świetna, wypróbuję w domu. I bardzo słodka, a ja nigdy nie słodzę.

— To błąd, kawa musi być słodka, jak kobieta, ponoć — żartowałam.

— Gdzieś to słyszałam. Ale skąd wziąć w sobie tę słodycz, kiedy życie nie cukier — stwierdziła refleksyjnie.

Posiedziała u mnie jeszcze chwilę, ale gdy z piętra rozległo się wołanie Jasia, stwierdziła, że musi już wracać.

— Zasiedziałam się — oświadczyła nagle. — Zadzwońię po taksówkę — wyjęła z torebki telefon.
— To co — zapytała, przeglądając niecierpliwie numery. — Zobaczmy się za kilka dni?

— No, tak — potwierdziłam. U góry odbywały się szalone harce. Chciałam jak najszybciej sprawdzić, co się tam dzieje. — Dostałaś namiary, wiesz gdzie?

— Tak, to jakaś knajpka. Jakub ją wyszukał?

— Dokładnie — potwierdziłam krótko. — Mieści się w jego kamienicy, w suterenie. Trafię, jeszcze nie zapomniałam Warszawy.

— Ja chyba też sobie poradzę. — Norka pokiwała głową. Przerzuciła przez ramię torebkę i skierowała się szybko do wyjścia.

Odprowadziłam ją na chodnik, przed dom. Czekaliśmy razem kilka minut. Zauważyłam, że jej mroczne oblicze trochę złagodniało. Widocznie rozmowa przyniosła jej ulgę. Ja też czułam się lepiej.

— Boję się tej soboty — Norka stwierdziła na koniec.

— Chyba nie ma czego — próbowałam grać bohaterkę.

— Mam jeszcze zdjęcie dla niej, zabiorę ze sobą, i listy — powiedziała bardzo poruszona. — Jak myślisz, czy to dobry pomysł?

Wiedziałam o listach, miałam wątpliwości, ale nie mogłam zabierać głosu. Mela powinna znać prawdę, bez względu na konsekwencje. Zanim odpowiedziałam, pod dom podjechała taksówka. Pożegnaliśmy się pośpiesznie.

— Mam jeszcze prośbę — powiedziała do mnie na koniec.

— Chciałam was prosić, wszystkich, bez wyjątku — dodała bardzo poważnie. — Przestańcie mówić na mnie Norka i spróbujcie przypomnieć sobie, jak mam na imię.

— Nie ma sprawy — uśmiechnęłam się do niej szczęśliwa.

— Przecież Norka już nie istnieje.

— Mam taką nadzieję — zawołała w moim kierunku. — Aha

— wyjrzała z taksówki — zapomniałam powiedzieć, za miesiąc wychodzę za mąż.

— No wiesz, zostawiłaś to na koniec, specjalnie, żeby zrobić większe wrażenie? — przekrzykiwałam warkot samochodu. — Za tego doktora, o którym kiedyś słyszałam?

— Nie, doktor to przeszłość — powiedziała z uśmiechem.

— Daj spokój, nie bądź tajemnicza.

— I tak go nie znasz. To taki jeden, co w jednej kurtce chodzi szósty rok.

Zaczęła się jesień. Pierwsza jesień Meli na wolności. Nie do wiary. Więc nie będzie tym razem patrzyła na sterty liści zbierających się pod murami więzienia, nie zobaczy rzędu tysiąch klonów, zatopionych w błotnistych kałużach i nie obudzi się rano zziębnięta, bo jeszcze nie zaczęli grzać, gdyż komendant oszczędza na gazie.

Wracała do domu. Tego dnia pożegnała się z koleżankami w szpitalu, ostatni raz była w pracy. Miała trzy dni wolnego, od poniedziałku zaczyna się nowy etap. Będzie pracować w drukarni. To zasługa Marka. Obiecał, że coś jej znajdzie i teraz nadarzyła się świetna okazja na społeczny awans, a poza tym więcej zarobi. Może nawet wynajmie małe mieszkanie. Nie mając własny kąt. Teraz nie było najgorzej, ale czuła się skrępowana tym, że nie mogła nikogo do siebie zaprosić i musiała nieustannie przepraszać za korzystanie ze wspólnej kuchni. Starszej pani czasami zmieniał się nastrój i stroiła fochy.

Tymczasem w drukarni ktoś odchodził na emeryturę i zwolniło się miejsce, praca była w sam raz dla Meli, trochę w papierach, trochę przy komputerze. Cieszyła się jak dziecko. Czuła, że sobie poradzi, została już wstępnie przeszkolona i spoglądała w przyszłość z nadzieją.

Minęła bramę cmentarza. Drogę do grobu rodziców znała na pamięć. Często ich odwiedzała. Adres dostała w zarządzie cmentarza. Grób nawet nie był zbyt zaniedbany. Jakieś służby trzymają tam względny porządek, obiecała wpłacać coroczną należność. Wiosną posadzi na grobie kwiaty, na nic więcej na razie jej nie stać, ale powoli wyjdzie na prostą. Miała przed sobą przecież perspektywy, wszystko się w końcu ułoży. Była pełna energii, a częste wizyty u Magdy sprawiły, że czuła się komuś potrzebna.

Magda początkowo była nieufna. Nie widziały się dwadzieścia lat. Trudno się było otworzyć przed kimś, kogo się prawie nie znało. Lecz po kilku wizytach stopniała. Wolno przychodziła do siebie, czerpiąc przyjemność z codziennych rozmów. Tadeusz starał się, żeby im niczego nie brakowało, ale jak tylko mógł, to uciekał z domu, ciągle miał jakieś ważne sprawy na głowie. A im to pasowało. Mogły

swobodnie rozmawiać. Ta bliskość przydała się im nawzajem. Mela miała się przed kim wyżalić, a i Magda znalazła w niej dobrą powierniczkę. Każda miała inne doświadczenia i inne podejście do życia, świetnie się uzupełniały. Główny temat rozmowy, napisana przez Magdę książka, powracał w ich rozmowach bez końca. Mela namawiała, żeby dać szansę tej książce, ale Magda była innego zdania. Uważała, że książka jest zbyt osobista, a więc według niej tendencyjna.

Nie wszystko jednak mogła Mela wyjawić. Poruszały się jedynie po tych tematach, które nie mogły nikomu zaszkodzić. Mela również panowała nad tym, co mówi. Najbardziej bolesne wspomnienia pozostawiła sobie. To, co miało w końcu ujrzeć światło dzienne, ujrzało. Nie będzie wyjawiać najskrytszych doświadczeń, należą tylko do Kostka i do niej. Kto mógłby zrozumieć pobudki jej czynu? Nikt, tylko on.

Dzień, w którym usłyszała, że Kostek nie żyje, był ostateczną granicą. Od tego momentu wszystko się dla niej skończyło. Jednego dnia zestarzała się o dwadzieścia lat. Wróciła do domu ślepa i głucha i nikt nie miał do niej dostępu. Wstała po tygodniu i natychmiast pojechała pod blok, w którym kiedyś mieszkała. Chciała spróbować, a może to tylko sen. Ale tak się nie stało. Zobaczyła w drzwiach tę samą zatroskaną twarz starej kobiety, jej współczujący wzrok, którym chciała podkreślić, jak cierpi i jak bardzo jej przykro, a potem ostry krzyk z pokoju, który był głosem zranionego starca.

— Przegoń w końcu spod drzwi tę złodziejkę. Niech da nam spokój.

Ale Mela drążyła sprawę, słowa ją zabolaly i pobudziły do czynu. Postanowiła sama dowieść prawdy. Myśl o tym stała się jej idée fixe.

Najpierw odnalazła Lamusa. Nie miała z tym większych problemów. Znali go dobrze w szemranym świątku. Widocznie charyzma przywódcy ciągle budziła podziw w kręgach, w których się poruszał. Żył sobie spokojnie na jednej z ulic w samym centrum Warszawy i chyba był dosyć zamożny. Wystarczyło wejść nocą do odpowiednich lokali i o niego zapytać. Spotkali się nawet, stał przed nocnym klubem z grupą znajomych i obserwował wchodzących. Melę poznał natychmiast. Zobaczyła szyderczy uśmiech, arogancką postawę i pychę w spojrzeniu. Odwróciła od niego wzrok, czuła jedynie pogardę. Ale to upewniło ją w przekonaniu, że nie puści mu płazem Kostka. Już wtedy pomyślała: „śmierć, za śmierć”, choć to nie miało być takie dosłowne. Myślała raczej o tym, że sama zbierze dowody zbrodniczego podpalenia stodoły i nakłoni Norkę, żeby zeznała, jak było naprawdę. Nie wiedziała od czego zacząć. Coś gnało ją jednak do Katowic. Wciąż czuła niedosyt, że tak mało wie o Kostku z tamtego czasu. Może ktoś

jej przybliży całą sytuację, opowie o nim. Tak bardzo pragnęła jakichkolwiek wieści. Nie mogła być przy nim, chociaż powinna modlić się każdego dnia i czuwać. Ale być może komuś się jednak zwierzała.

Pojechała. Cały dzień spędziła w szpitalu, poszukując świadków. Minęły przecież dwa lata. Pielęgniarka, z którą wtedy rozmawiała, już nie pracowała, a lekarz, który go prowadził, nie był człowiekiem rozmownym. Potraktował Melę jak natręta i zbył na korytarzu dość chłodno. Błądziła więc, zaczepiając inne pielęgniarki i salowe, ale każdy patrzył na nią nieufnie i omijał z daleka. Po całym dniu szukania okrucich wspomnień postanowiła dać za wygraną. Zrozumiała, że wyprawa była daremna. Nikt już nie pamiętał Kostka. Zresztą oddział ciężkich oparzeń był i tak niedostępny ze względu na bezpieczeństwo pacjentów, więc szanse, że trafi na kogoś kompetentnego, a jednocześnie skłonnego do rozmowy były bliskie zeru. Przy wyjściu zagadnęła portiera, chciała znaleźć gdzieś tani nocleg w pobliżu szpitala. Postanowiła, że zajrzy tu jutro z samego rana, tak na wszelki wypadek. Przy okazji wdała się z portierem w rozmowę i o dziwo właśnie on zapamiętał Kostka i dzień, w którym zabierali go na lotnisko karetką. Wieźli go na noszach windą, zakrytego namiotem ochronnym. Nie wolno się było zbliżyć.

— Kilka dni wcześniej jakiś dziennikarz dostał się na oddział. Przeszło do prasy, że chorego będą zabierać od nas do Ameryki i zrobiła się z tego sensacja. Poderwał jedną z pielęgniarek. Odwiedził ją na nocnym dyżurze, a przy okazji zrobił kilka zdjęć. Niezła potem była afera. Dziewczyna wyleciała na bruk, ale on zdjęć nie oddał. Tyle że mu nie pozwolili wydać artykułu. Takie to były czasy.

— A pamięta pan tytuł gazety albo nazwisko dziennikarza?

— To był „Dziennik Zachodni”, o ile pamiętam, a dziennikarz był młody, jeszcze tam pracuje. Widuję czasem jego zdjęcie przy artykule.

Następnego dnia z samego rana Mela szturmowała gazetę. Żeby wejść, musiała podczepić się pod grupę wchodzących pracowników. Potem poszło jak z płatka. Gazeta to nie to, co szpital. Tam wszyscy chętnie udzielali Meli informacji. Dziennikarz jeszcze pracował. Udało się nawet z nim umówić. Wyglądało na to, że kolejny dzień będzie musiała spędzić w Katowicach, ale warto było poczekać. Powiedziała mu, że próbuje wyjaśnić sprawę podpalenia i tylko zbiera dowody. Nakłamała, że jest studentką dziennikarstwa i szuka materiałów do pracy.

Dziennikarz był dość otwarty. Już odpuścił sobie tę sprawę, więc bez problemu zgodził się na udostępnienie jej zdjęć. Miał tylko kłopoty, żeby je zlokalizować. Stwierdził, że chyba ma w domu. Umówili się rano przed redakcją. Obiecał, że przywiezie odbitki. Tak też się stało. Czekala kilka minut na

schodach w sążnistym deszczu. Nie miała ze sobą parasola. Ukryta pod daszkiem wyczekiwała w absolutnym spokoju. Miała już bilet na pociąg, który odchodził do Warszawy o dziesiątej trzydzieści.

Po dziesięciu minutach trzymała w ręku kopertę ze zdjęciami.

— Jak Pani skończy ten artykuł, chciałbym go dostać na pamiątkę, proszę nie zapomnieć, że on powstanie tylko dzięki mojej brawurze i kosztem biednej dziewczyny.

Obiecała mu odesłać zdjęcia, ale nie chciał. Miał przecież oryginały.

— Tylko niech się pani nie przerazi, zdjęcia są drastyczne. Bała się otworzyć kopertę. Zrobiła to dopiero pod koniec podróży, kiedy przedział prawie opustoszał. Obraz na zdjęciu przerósł jej wyobrażenia. Zobaczyła drobne ciało ukochanego pokryte ranami, a zamiast twarzy bezkształtną skorupę.

Kilka dni żyła jak w transie, ale decyzję podjęła od razu. Wybrała się na trening, a po nim poszła do magazynu broni. Znała tam miłego chłopaka, który miał klucze od gablot z pistoletami. Skłamała, że z polecenia trenera, że się zaczęły zawody. Wydał jej, a ona podpisała, że odbiera, do tego magazynek z ośmioma kulami. Wiedziała, że wszystko się wyda, ale miała to w nosie. Musiała coś zrobić. Nie da się żyć z obrazem poparzonego Kostka.

Po południu wpadła do niej Zosia i Magda. Mama upiekła rogalce, ojciec rozweselał je kieliszkami jakiegoś wina. Nie dała po sobie poznać. Bawiła się świetnie. Trzy tygodnie w szpitalu dla nerwowo chorych były usprawiedliwieniem. Rodzice cieszyli się, że ich córka wraca do zdrowia. A pistolet, który nosiła przy sobie, odliczał jej czas. W każdej chwili mogła się zrobić afera, że nie wrócił do magazynu. Mela miała najwyżej dobę.

Następnego dnia była sobota. Wieczorem ładnie się ubrała i oświadczyła, że idzie na randkę. Rodzice byli zdziwieni, ale udawali, że wierzą.

— To lekarz — skłamała. — Poznałam go, jak byłam w szpitalu.

Lamusa znalazła pod stałym adresem, sobota wieczór, więc warował pod „Ulem”, taką popularną knajpą blisko dworca. Mela nie weszła do środka. Czekwała na zewnątrz, dopóki nie zmałał ruch i przy wejściu nie zniknęła kolejka wchodzących. Jakiś chłopak zauważył ją i podszedł.

— Czekasz na kogoś? — zapytał wprost.

— Tak — odpowiedziała Mela. — Na tego w skórzanej kurtce. A ty? — spojrzała mu w oczy.

— Z tym w skórze nie chciałbym mieć do czynienia, to skurwiel jak żaden inny. Jest dilerem, sprzedaje ludziom straszne gówno za dużą kasę. Daj sobie z nim spokój. Już niejeden przekręcił się przez niego — dorzucił i odszedł na wszelki wypadek, jakby się bał własnych słów.

Została sama. Chłopak zniknął po chwili za rogiem budynku, a ona ruszyła przed siebie. Lamusa miała na wyciągnięcie ręki. Zanim się zorientował, stała już przed nim. Dzielił ją jeden krok. Zobaczyła tylko, że się wyprężył z godnością i otworzył usta. Nie zdążył nawet jęknąć. Przyłożyła mu lufę do piersi i bez mrugnięcia pięć razy nacisnęła spust. Na tyle starczyło jej siły i odwagi. Zobaczyła, jak Lamus chwytając się w tym miejscu obiema rękami, a spomiędzy palców wycieka mu krew. Spojrzał bardzo zdziwiony, najpierw na nią, potem na swoją rękę, a zanim upadł, zdążył jeszcze zawołać „cholera”. Stała chwilę nad ciałem, jakby się syciła widokiem, ale nie widać było na jej twarzy tryumfu, raczej smutek i zaskoczenie, że to jakoś wszystko za szybko jej poszło. Kilku ciekawskich wybiegło przed lokal, a ona jakby nic nie zrobiła, odwróciła się i z pistoletem skierowanym w ziemię odeszła. Zgarnęli ją z ulicy po kilku minutach, widocznie ktoś dzwonił na policję. Od razu trafiła do aresztu, jak normalny przestępca. To był jej ostatni dzień na wolności. Dopiero nazajutrz dotarło do niej to, co zrobiła.

Sprawa dla sądu była prosta, bo Mela przyznała się od razu do winy. Dostała obrońcę z urzędu. Nie chciała wzywania świadków. Pamiętała, jak bardzo bronili się wtedy, kiedy chodziło o prawdę w sprawie podpalenia i okoliczności zbierania pieniędzy, a potem desperackiej pożyczki z sejfu w domu Kostka. Teraz ich pomoc nie miała już dla Meli znaczenia. Nikt się zresztą nie pchał z pomocą. Każdy był przerażony tym, co zrobiła. Nie chcieli jej znać, nie chcieli niszczyć swojej kariery. Musiała przejść przez to sama. I była dzielna. Nawet przez moment nie czuła skruchy. Widok rodziców Lamusa nie zrobił na niej wrażenia. Zresztą nie wyglądali na zrozpaczonych. Prokurator szybko udowodnił, że stodoła spłonęła w wyniku uderzenia piorunem, a Kostek był tego główną ofiarą, że to Mela namówiła go do kradzieży, a teraz próbowała się bronić i wybielić. Lamus, owszem, zabrał te pieniądze, lecz szybko je zwrócił i z podpaleniem stodoły nie miał nic wspólnego. Nie dostała dożywocia tylko dlatego, że wyłudzeniem pieniędzy chciała pomóc swojej koleżance, a nie zdobyć je dla siebie. Okolicznością łagodzącą był też stan częściowego afektu spowodowany skutkami pożaru.

Melę rozsadzała duma. Nie miało znaczenia uzasadnienie wyroku. Liczyła, że będzie mocny, chciała się połączyć z Kostkiem. Razem tę sprawę zaczęli i muszą ją razem zakończyć, bez względu na ofiary. Zaślepienie zemstą nie ustępowało. Dopiero kiedy na kolejnej rozprawie na świadka wezwano

starszego pana, zrobiło jej się po raz pierwszy słabo. Dziadek Kostka przyniósł do sądu kluczową wiadomość. Oświadczył przy wszystkich zgromadzonych, że okłamał Melę w sprawie śmierci wnuka. Powiedział w sądzie, że Kostek jest chory i z ledwością przeżył. Miną lata, zanim odzyska zdrowie i będzie mógł sam funkcjonować. Postanowili, że kłamstwo będzie najlepszym sposobem na to, żeby się pozbyć natrętnej dziewczyny. Przykro im, ale nie spodziewali się aż takiej reakcji.

A więc ofiara była daremna. Zabiła bez powodu, z czystej zemsty, bez usprawiedliwienia. Myślała, że nie przeżyje procesu, a jeśli nawet, to zginie w więzieniu z rozpacz. Dostała dwadzieścia pięć lat za zaplanowane z zimną krwią zabójstwo. Sama siebie ukarała, już nic więcej nie trzeba.

Przez dwadzieścia lat miała dość czasu, żeby to wszystko przemyśleć, lecz nie znalazła odpowiedzi na najważniejsze pytania. Wiedziała jedno, że zemsta to zgubne uczucie, ale miłość ma większą siłę rażenia. Połowę życia ma już za sobą, ćwiartkę zmarnowała, ale trochę jej jeszcze zostało. Wybiera się w sobotę na spotkanie pod dębem, a potem na wspólną kolację. Cieszy się z tego spotkania jak dziecko. Kilka miesięcy dzielących ją od życia w zakładzie pozwoliło wiele zrozumieć. Już nie nosi w sobie urazy. Czasem nawet przez myśl jej przeleci coś bardzo głupiego, pewnego razu stwierdziła bowiem, że wolność nie jest wcale tak słodka, jak myślała, że w gruncie rzeczy nie wie, gdzie trudniej się żyje. Mijający rok dał jej do myślenia.

Salomon miał sporo roboty. Mijający rok na ulicy Szumnej, jak żaden inny obfitował w zmiany i spowodował wrzawę wśród lokatorów kamienicy. Na horyzoncie pojawił się potomek byłego właściciela. Stary pan Turski zmarł przed laty, nie doczekawszy się historycznych zmian, i nawet nie śnił, że przyjdzie kiedyś taki czas i jego syn odzyska rodzinny majątek. Wielka czteropiętrowa kamienica przeszła po wojnie na własność państwa, a on zamieszkał z rodziną w małym miasteczku pod Krakowem. Syn pana Turskiego, gdy studiował w Warszawie, mieszkał tu jako sublokator, w wynajętym od starego dozorczy pokoju przy kuchni. Teraz, gdy odzyskał zgodnie z prawem cały dom, zasiał niepokój wśród wszystkich mieszkańców. Bali się, że wprowadzi nowe przepisy, wyższe czynsze i wyeksmituje biednych emerytów, którzy nie zawsze mieli w porę opłacone dzierżawy. W kamienicy nie było już młodych, nikt nie chciał spoglądać z okna na malutkie, okrągłe podwórko, gdzie odchody gołębi stanowiły główną ozdobę ławek i chodników. Starzy odchodzili w przeszłość, nowy właściciel wprowadzi nowoczesne zasady. W kamienicy na gwałt potrzebny był remont, a starzy remontu nie chcieli. Trzeba im było długo tłumaczyć, że nowe okna to tylko zysk i oszczędność, że dach już przecieka, siada elektryka.

Salomon czuł już swój koniec, że nadchodził, nie miał wątpliwości. Nacieszył się życiem, czas było odpocząć. Zakończył swoje ziemskie zadanie. Historie rodzin, ich dzieje i różne przypadki czekały skrzętnie spisane w ciężkich teczkach, na półkach zagraconego mieszkania — kronika kamienicy numer 11 przy ulicy Szumnej była gotowa do druku.

W półmroku ciemnego mieszkania słychać stukot ciężkiej łyżki. Zupa raz po raz wylewała się poza granicę talerza. Postępujący parkinsonizm utrudniał mu życie i sprawiał, że proste czynności stawały się wyczynami. Siedział teraz przy stole i jadł wolno kolację. W porcelanowej cukiernicy, na stwardniałym cukrze spała wysuszona ćma. Na talerzu piętrzyły się grube kromki chleba, a w słoiku obok lśnił otwarty przed chwilą dżem. Mieszkanie, niegdyś czyste i zadbane, wyglądało teraz jak nora. Od lat nikt nie malował ścian, nie mył okien, podłóg. Za jedyną gospodynię służyła stara, wyskubana miotła, która niezgrabnymi rękami starca, zamiast zmiatać rozrzucała tylko dookoła kurz i pozostawiała po sobie jeszcze większy bałagan. Czarny, obtłuczony zlewozmywak, zionął stęchłą czeluścią. Stare meble, przedwojenne kredensy, w oknach wypłowiałe zasłonki, zniszczone naczynia— przygnębiający obraz odchodzenia. Lecz Salomon nie dostrzegał już tych zmian, dobrze się czuł w swoich ciemnych zaułkach. Czasami, gdy z grubsza pozbierał śmieci i sprawił sobie nową ceratę na stół, spoglądał z podziwem i mówił:

— Jak na starego człowieka nie jest tak źle.

Od czasu do czasu odwiedzała go pani Grażyna. Robiła zakupy, czasem posprzątała. Lubił te odwiedziny. Miał wtedy z kim porozmawiać, podyskutować o polityce i o tym, co słychać ostatnio w stolicy. Był skrajnym minimalistą, ale sprawy obywatelskie miał na uwadze. Liczył się dla niego duch i wewnętrzna siła charakteru. Choć sam był skromny i powściągliwy, to swoją misją której się podjął, próbował zasłużyć na chwałę. Było bardziej niż pewne, że jego zapiski nie ujrzą nigdy światła dziennego, choć czuł, że mogłyby się przydać ludzkości. Myślał o tym czasami, co stanie się z pracą, której tyle poświęcił czasu i uwagi.

Zbliżała się dziewiętnasta, za chwilę włączy telewizor, żeby obejrzeć wiadomości, raz o dziewiętnastej, drugi raz o dziewiętnastej trzydzieści. Tego przestrzegał od lat. Znajomość faktów, które go otaczały, i zachodzące zmiany, musiały być uwzględnione w jego relacjach i dokładnych zapiskach.

Później siadał w ukochanym fotelu i myślał. Przymykał powieki i snuł medytacje nad upływającym czasem. Przez szparę pomiędzy rzęsami, w półmroku pokoju przewijały się zdarzenia i fakty z przeszłości. Jak zjawy powracały obrazy. Przymykały w swoich niezmienionych twarzach i mówiły do

niego. Przędły mozolnie swoje losy. A on zbierał to wszystko w głowie, by potem wystukać ciemną nocą na starej maszynie.

Stary człowiek, przekładając zniedołężniałymi rękami grube teczki akt, patrzył jednocześnie w lustro wiszące na ścianie. Widział żółte plamy szpecące mu twarz, pomarszczoną skórę i zdawał sobie sprawę z nadchodzącego kresu i z tego, że po jego śmierci myszy zjedzą pracę wielu lat i nikt nie dowie się o tym, jakich dokonał odkryć. Nie pragnął wynagrodzenia, nie wyolbrzymiał zasług. Chciał jedynie przydać się człowiekowi w jakiś sposób, ujawniając nieodkryte dotychczas możliwości ludzkiego umysłu. Był już zmęczony życiem, pragnął odpoczynku. Chciał wypłynąć na błękitne niebo i jak biały obłok szybować w bezkresie, spoglądając z góry na obiekt swoich zmartwień, wreszcie uwolniony od misji, spełniony. Czekał każdego dnia na wyzwolenie.

Za oknem hulał wiatr, deszcz hojnie wynagradzał ziemi tygodnie letnich upałów, wystukiwał na szybach niezapisane takty deszczowych rapsodii, myszy powracały w zimowe pielesze. A więc kolejna jesień i zima, niezbyt przez niego lubiana.

Nieśmiałe pukanie wytrąciło z zamyślenia starego człowieka. Długo myślał, nasłuchując, czy to nie złudzenie. Był zaskoczony, bo nie miewał gości o tej porze, a świat pełen zjaw często go mamił dźwiękami. Bez pośpiechu podszedł do drzwi i bez obawy otworzył. Na progu stał mężczyzna w szarym garniturze. Mokre włosy, przyklejone do głowy, ociekające ubranie i te oczy, znajome. Stary człowiek utkwiał w nich spojrzenie. Stali przez chwilę w milczeniu, oboje zmieszani. Jeden czekał na słowa wyjaśnienia, a drugi szukał ich pośpiesznie w własnej głowie.

— Pan mnie nie poznaje? — zapytał mężczyzna. Na pomarszczonej twarzy zakwitło zdumienie.

— Chyba poznaję — odpowiedział głośno. — Proszę — cofnął się w głąb mieszkania. — Proszę, panie Januszu, co pana do mnie sprowadza?

Janusz podał mu mokrą dłoń, po przejściu przez próg.

— Ja dosłownie na chwilę. Dziś jestem tylko emisariuszem — zaznaczył króciutko. — Pan się domyśla, po co przyszedłem?

— A jakże — Salomon westchnął głęboko. — Już czas, żebyście mnie uwolnili od obowiązku. Nie dają już rady. Moje życie dobiega kresu.

— A więc w sobotę przyjdziemy po pana. Niech się pan ciepło ubierze, ma padać.

W świetle latarni, jak martwe ptaki przefruwały w pokracznym locie dębowe liście. Przyklejały się do ścian budynku, wciskały w szpary, tonęły w błotnistych kałużach. Dopiero co wystrzeliły z wiosennych pędów a już, zanim poznały smak życia, ginęły w konsekwentnym cyklu.

Prognoza pogody nie była tym razem trafiona, najpierw miało być ciepło, potem deszczowo, a skończyło się nie wiadomo czym. Rano padało, potem wyrzało słońce, a w momencie, kiedy wszyscy zaczęli się zbierać pod dębem, nadciągnęły ponure chmury. Ławka pod drzewem była brudna, królowały na niej gołębie. Brakowało tu dzieci, one zazwyczaj swoją obecnością i hałasem płoszyły wszystko, co żywe. Kamienica się postarzała. Nie tylko ludzie. Wiosną albo latem w słońcu prezentowała się jeszcze nie najgorzej. Ale nadeszła jesień, a ta, bezlitośnie odsłoniła skutki upływającego czasu. Dla mieszkańców był to normalny widok. Nie dostrzegali niczego. Przywykli do strupów na murze, do zacieków, do poniszczonych chodników. Oswoili w sobie te oznaki starości tak, jak pogodzili się z własną. Ale dla tych, którzy tu wrócili po latach, żeby w cieniu murów odnaleźć jeszcze młodość, widok był przygnębiający.

Dawne dzieci tego podwórka schodziły się wolno, nadciągały kolejno, jak przybysze z daleka, sporo starsi, odmienieni, skrępowani nieco sytuacją. Z ciekawością przechodzili przez bramę i zatrzymywali się zdziwieni tym, co widzą. Dopiero po chwili, z bliska odnajdywali ukochane miejsca, znajome murki, schodki prowadzące do ich klatek schodowych. Niektórym udało się nawet odszukać napisy, które przed laty wydłubali, serduszka z inicjałami, podwórkowe przezwiska, nazwy ulubionych drużyn. To ich niezmiernie wzruszyło. Byli gotowi zabrać te pamiątki ze sobą. Niektórzy robili zdjęcia.

Czekali tylko na Melę. W końcu i ona przyszła. Spóźniła się trochę, wysiadła za późno z tramwaju, pomyliła przystanki. Stanęła w bramie, spoglądając na wszystkich, wzruszona. Było ich jakby więcej. Chyba w swojej masie utyli, bo zasłaniali cały widok podwórka, a kiedyś trzeba ich było szukać. Była ciekawa, czy wszystkich bez problemu rozpozna. Niektórych przecież zobaczy po raz pierwszy po latach. Oczami szukała Norki. Nie zdążyła, bo wszyscy już do niej podeszli. Zrobił się hałas nie z tej ziemi. Teraz widziała ich z bliska. Dwadzieścia kilka lat zmieniło ich nieco. Szczególnie widać to było po Zosi, ale ona nigdy nie dbała o swój wizerunek. Była naturalna jak zwykle, nie pomalowana, za to włosy miała jak kiedyś czarne i długie, a oczy jak studnie. Dorota nic się nie zmieniła, jak zawsze trochę zadziorna, dowcipkowała z Januszem. Norka stała ukryta w cieniu, rozmawiała z Anną. Rozmowy z nią Mela bała się najbardziej. No i musi skończyć z tym starym przezwiskiem. Spoglądała zmieszana, nie miała odwagi podejść. Norka podeszła pierwsza. Przywitały się, raczej chłodno.

Jeszcze przez chwilę trwał ogólny rozgardiasz. Nie mogli się sobą nacieszyć. Za to na balkonie, jak zawsze czuwała pani Morańska, ze swoim nieodłącznym uśmiechem. Na pozostałych balkonach zebrali się dawni sąsiedzi. Niektórzy nie wytrzymali i dołączyli do nich na podwórku. Wspominkom nie było końca. Dla Meli to był widok, o który się modliła po nocach. Widocznie robiła to bardzo sumiennie.

— Słuchajcie — zawołał Jakub, próbując ich wszystkich przekrzyczeć. — Czas się zbierać. Zaraz będzie padać, wszyscy zmokniemy.

— Zawsze możemy wstąpić do ciebie na lody — któryś z nich zawołał. A pani Morańska potwierdziła radośnie z balkonu, że wystarczy dla wszystkich.

— Kochani — próbował przywołać ich do porządku. — Samochody stoją na parkingu po drugiej stronie ulicy. Już kropi, nie możemy tu stać bez końca. Wsiadajcie, proszę.

Było im żal opuszczać znajome podwórko i ludzi, przy których dorastali. Sąsiedzi żegnali się z balkonów i ze smutkiem odprowadzali wzrokiem do bramy. A Jakub popędział. Zerwał się wiatr, trzeba się było pospieszyć.

Jechali samochodami przez zatłoczoną Warszawę. Robiło się ciemno. Zmrok teraz zapadał coraz szybciej. Z powodu korków wszystko się jeszcze przedłużyło. Ale to już nie miało znaczenia, skoro wreszcie byli razem.

Weszli do przytulnego wnętrza oświetlonego świecami. Szatniarz odebrał płaszcze i kurtki, a kelner zaprosił na salę. Okazało się, że muszą zejść do piwnicy. Tam dla nich przygotowano miejsce. Z nieustającym gwarem, posłusznie zeszli po schodach. Stół już czekał, nakryty ciemnym obrusem. Na jednej ze ścian wisiał płaski ekran imitujący kominek. Płonący ogień był tak sugestywny, że wszystkim się zrobiło gorąco. Pewnie nie tylko z powodu płomieni liżących kamienną ścianę, a bardziej z emocji. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Chcieli do końca wykorzystać moment, zanim nie zacznie się część najważniejsza.

Jakub patrzył wzruszony i cieszył się, że jakoś to poszło. Jeszcze nie czuł się zupełnie zdrowy. Bolała go złamana ręka i kilka blizn na twarzy gorzej się goiło, ale żył i to było najważniejsze. Cieszył się, że wreszcie zamknie tę sprawę z Melą. Za długo trwało to wszystko. W planach miało być jednak inaczej, a wyszło, jak wyszło, cóż zrobić, życie samo pisze scenariusze.

Teraz ważniejsi byli oni. Biedna Mela, trochę się naczekała. Może i dobrze, pewne sprawy dojrzały w tym czasie, emocje lekko przygasły. Łatwiej będzie sobie wszystko wyjaśnić. Ta zwłoka wyszła chyba niektórym na dobre. Każdy na swój własny sposób dojrzał do dzisiejszej rozmowy. Może właśnie tak było trzeba, zmierzyć się ze wszystkim powoli, bo pośpiech w tej sprawie nie był doprawdy wskazany.

Dał im jeszcze chwilkę, żeby zdążyli się sobą nacieszyć. Kątem oka spoglądał na Inkę. Siedziała daleko od Meli, na uboczu, nie wiadomo, czy odważą się do siebie podejść. Rozmawiał z nią telefonicznie, chciał się upewnić, czy będzie. Wyczuwał ogromną różnicę pomiędzy Inką szefową i Inką koleżanką z dawnych lat. To były inne kobiety. Przeszłość dla niej była częścią życia, o której chciała zapomnieć, teraźniejszość wypracowała latami. Wydawało się, że to dwie różne kobiety, a to ta sama Inka, tylko w innych skórkach, jednej wrażliwej, czułej i zranionej, drugiej twardej i niepokonanej.

Kelner podał dla wszystkich kawę i jakieś desery, ale kawa stygła nieszczęsna, a lody topniały w pucharach. Koło dziewiętnastej w drzwiach pojawił się Janusz, nie zauważyli nawet, że wcześniej gdzieś się zawieruszył. Dopiero widok Salomona, którego ze sobą prowadził, wzbudził we wszystkich prawdziwy entuzjazm. Radości nie było końca. Salomon czuł się zaszczycony. Usiadł przy osobnym stoliku, razem z Januszem. Już nie trzeba było nikogo uciszać. Wpatrywali się z podziwem w oblicze starego człowieka, bardzo wzruszeni. Nie widzieli go dawno, a przecież to on od lat kontrolował ich projekt i pomysł, na który wpadli dwadzieścia lat temu. Aż trudno było uwierzyć, że tak dobrze sobie z tym poradził. Zdali się na jego pomoc, nie myśląc o upływającym czasie. Dwadzieścia lat dla nich, nie było tym samym dla niego. Zanim go poprosili o pomoc był już przecież starym człowiekiem.

Salomon siedział skulony, trochę go przeraziła ta ciemność. Sam mieszkał w suterenie, ale tu, jakby był w piekle. Na stołach i w szklanych lichtarzach paliły się świece, co dawało bardzo ciepły nastrój, ale czułby się na pewno lepiej w porządnym świetle. Chciał sobie przecież na nich popatrzeć. Teraz widział zaledwie plamy ich twarzy i kształty sylwetek. Nie wiedział, czy to wypada mieć wymagania, ale zanim pozwolił im dojść do głosu, najpierw poprosił:

— Czy mógłby tu ktoś włączyć światło? Rozległy się śmiechy. Rozbroił ich tym pytaniem. Stwierdzili, że chyba ma rację. Jakub wstał pierwszy, jak zwykle, poczuwał się zresztą do obowiązków gospodarza, i poszedł poszukać kontaktu. Po chwili pomieszczenie rozświetliło światłami. Wszyscy spojrzeli na siebie. Teraz widoczni byli jak na dłoni. Mela promieniała, i patrzyła szczęśliwa na Inkę. W końcu ją ocaliła.

Teraz już się koszty nie liczyły. Potem, kiwając głową, pokazała, że obok stoi wolne krzesło. Inka bez wahania wstała i przeciskając się pomiędzy innymi, usiadła obok Meli. Oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę. Zapanowała absolutna cisza. Wtedy odezwał się Jakub.

— Kochani — zaczął. — Minęło dwadzieścia lat z kawałkiem.

— Prawie dwadzieścia cztery — poprawił go Janusz.

— Tak czy siak, jesteśmy w komplecie. — Ogarnął wszystkich troskliwym wzrokiem. — Wiodły nas tu przeróżne drogi, ale jakoś doszliśmy. Musimy wreszcie zakończyć historię, która zaczęła się już dawno temu. Byliśmy wtedy jeszcze bardzo młodzi, a młodym trzeba wiele wybaczyć. Teraz z pewnym doświadczeniem, próbujemy pozbierać zagubione ślady i wymazać czarne plamy na honorze. Cieszy mnie, że udało się czas oczekiwania skrócić o pięć lat. Kto wie, co by nam te lata przyniosły. Nikt przecież nie zna swojej przyszłości. Za to, co było, tylko my jesteśmy odpowiedzialni i za to chcemy teraz przeprosić. Za wydarzenia sprzed wielu lat nie da się zrzucić odpowiedzialności ani na czasy, ani na świętego Mikołaja. Mówiąc językiem młodych, daliśmy po prostu plamę. Nie będę wam robił wykładu, każdy dostał swoją lekcję życia. Najważniejsze, że wszystko, jak w bajce, dobrze się skończyło. Może brzmi to bardzo oficjalnie, ale muszę to jakoś elegancko wyrazić. Wybaczcie więc ten pompatyczny ton, za którym nie przepadam i przejdźmy wreszcie do sedna.

Jakub na chwilę zamilkł. Zrobił się lekki szum przy stole. Wszyscy spojrzeli na Salomona. A Salomon wzruszył ramionami.

— Dlaczego wszyscy patrzą na mnie? — powiedział zdumiony. — Ja nie mam wobec was żadnych długów wdzięczności ani czarnych plam na honorze.

Na sali rozległy się śmiechy. Każdy jakoś to komentował, a kelnerzy nalewali wino. Robiło się coraz przyjemniej. Teraz Jerzy wstał i poprosił w imieniu wszystkich:

— Właśnie dlatego pan to musi powiedzieć.

Chór głosów poparł Jerzego. Wszyscy byli bardzo ożywieni, nawet Inka klaskała z innymi. Mela siedziała zdumiona. Coś tu się działo poza jej wiedzą. To coś, pewnie z nią było związane, bo czuła na sobie spojrzenia ogółu. Milczała więc, czekając na dalszy ciąg wypadków.

— No więc powiem króciutko — oznajmił Salomon, którego wreszcie dopuścili do głosu. — Chodzi o to, że jesteśmy tu z powodu Meli. — Spojrzał na wszystkich znacząco.

Mela odruchowo wstała, jak uczennica wywołana do odpowiedzi, ale szybko zmieszana usiadła.

— Siadaj, Mela, i napij się wina — powiedziała przez stół Dorota, podstawiając jej pod rękę kieliszek. Mela upiła łyček, a potem, na wszelki wypadek przechyliła kieliszek do dna. Nie wiedziała, co może ją jeszcze czekać.

— Dokładnie dwadzieścia lat temu — kontynuował Salomon, patrząc już tylko na Melę — następnego dnia po tym, jak został w twojej sprawie wydany wyrok — mówił wolno i wyraźnie — oni wszyscy — spojrzął na salę — przyszli do mnie z prośbą. Ustalili, że skoro nie potrafili pomóc wtedy, kiedy ich pomoc była najbardziej potrzebna, to spróbują w jakimś stopniu się zrehabilitować. Ustanowili więc pewien fundusz, założyli w banku konto i na tym koncie zbierali pieniądze. Początkowo — spojrzął znacząco — początkowo szło jakoś opornie, widać nie byli jeszcze przy kasie. Już nawet myślałem, że nic z tego nie wyjdzie. Ale za to sprawdzili się w innych dziedzinach. Opiekowali się na zmianę pani rodzicami — spojrzął poważnie na Melę. — Po śmierci ojca zaś tylko mamą. Nie ukrywam, że pomagała im również pani Morańska. Czasami mnie też wykorzystali — uśmiechnął się szczerze. — Ale to się zdarzyło tylko kilka razy, raczej się przyglądałem i niewielki miałem udział w tej sprawie. Moje zadanie polegało na pilnowaniu wpływów do banku. Nikt nie chciał się tego podjąć, potrzebowali kogoś jak ja, bezstronnego.

Salomon musiał na chwilę przerwać, bo Mela zaczęła płakać. Trudno jej było zachować spokój. Szczególnie wyczulona na sprawę rodziców nie mogła się opanować. Dorota znowu oddała jej wino.

— Pij, Mela, pij, to ci dobrze zrobi. Mela więc posłusznie wypiła.

— Po śmierci ojca pani mama wpadła w obsesję na punkcie mieszkania — Salomon kontynuował. — Przerażała ją myśl, że zostawi panią z niczym. Postanowiła to mieszkanie wykupić. Ale dwadzieścia pięć lat to szmat czasu, bała się, że nie dożyje. Ustalili z Morańską że trzeba je na panią przepisać, na wszelki wypadek. Jakub sprowadził notariusza, który przyszedł do domu i załatwił wszystko jak trzeba. Mama zmarła dokładnie po roku od tego zdarzenia. Mieszkanie zostało, ale nie miał kto płacić czynszu i różnych niezbędnych opłat. Trzeba było towarzystwo przycisnąć.

Sala zaprotestowała.

— No dobrze, sami się zmobilizowali — złagodził poprzednią wypowiedź. — W tym czasie każdy z nich już stanął na nogi. Pierwsze opłaty poszły z uzbieranego funduszu, potem płacili oni, każdego miesiąca ktoś inny. Za resztę opłacało się Agatę, gosposię Doroty, ona chodziła tam czasami posprzątać i przewietrzyć pokoje. Trzy lata temu w całym budynku wymieniali okna. Byłem jeszcze ciut młodszy,

przeniostem się na kilka dni do tego mieszkania, żeby przeczekać najgorsze. Udało się wszystko bezbłędnie. Agata ładnie posprzątała, nie było śladu po bałaganie.

Wino nie pomagało. Mela ryczała już wniebogłosy. Chyba chciała całe dwadzieścia lat teraz wyrzyceć. Inka ją do siebie przytuliła, ale wtedy było jeszcze gorzej.

— Skoro pani płacze, to będę już kończył. Bo to już koniec historii. Wyszło więc tak, że ma pani w tej chwili gdzie mieszkać i o to właśnie chodziło, żeby się pani po wyjściu na wolność miała gdzie podziąć. Właściwie to dzięki mamusi, to ona była na tyle przezorna, żeby o wszystkim pomyśleć, oni — spojrzal na salę — tylko w tym pomogli. A oto są klucze. — Salomon podał jej skórzany futerał. Wewnątrz Mela znalazła znajomy pęk, razem z kluczami od skrzynki i od piwnicy, był przy nich jeszcze stary breloczek z kolorową kulą ziemską który dostała przed laty od Kostka. — Mieszkanie jest regularnie opłacane od siedemnastu lat. Każdy z nich — spojrzal na zgromadzonych przy stole — płacił 25 razy, no może ciut więcej, bo pani Halina trochę się początkowo ociągała, ale mniejsza z tym — mówił to, myśląc o Ince. — Na koncie jest trochę pieniędzy, jakieś oszczędności rodziców i część pochówku, który nie został wykorzystany. Nad tym wszystkim trzymałem pieczę i to jest w zasadzie tylko moja zasługa. — Salomon zakończył przemówienie bardzo z siebie dumny. Mela już nie płakała, trzymała w ręku klucze, myśląc, że śni, a Inka ścisnęła ją mocno za rękę i szeptała bez przerwy: — Przepraszam, Mela, przepraszam, - stała przed swoim mieszkaniem z dużą walizką i sporą torbą na kółkach. Po prostu nie mogła uwierzyć. Kilka miesięcy temu zastanawiała się, kto mieszka w jej starym mieszkaniu, teraz bała się przekręcić klucz. Z opowiadań kolegów wynikało, że w środku niczego nie ruszali, więc znajdzie swój pokój niemal w takim stanie, w jakim zostawiła. Będzie ciężko spoglądać na wszystkie pamiątki, szczególnie po rodzicach. A przecież musi w końcu to zrobić. Mój Boże, wraca na swoje, do rodzinnego domu, po dwudziestu latach.

Rzeczywiście, wszystko było takie jak dawniej, nawet zapach pozostał ten sam, mimo że mieszkanie zostało odmalowane. Miała wrażenie, jakby nigdy go nie opuszczała, albo wyszła kilka dni temu. Nie do wiary, minęło już tyle lat. Oglądała wszystko dokładnie, przedmiot po przedmiocie. Rodzice niewiele zdążyli zmienić. Żyli zaledwie kilka lat po tym, jak ją zamknęli. Widywali się sporadycznie, początkowo ją odwiedzali, potem coraz rzadziej i rzadziej. Odpywała z ich życia nieuchronnie. Po śmierci ojca mama nie już nie przyjechała do niej ani razu. Mela często o tym myślała. Czy zrobiłaby to samo swemu dziecku. Czuła się wyparta z ich życia, opuszczona. Nie wiedziała, czy o niej myślą. Mama regularnie pisała. Listy przychodziły co miesiąc, ale były pobieżne, takie o niczym. Cóż można pisać dziecku, które i tak już nigdy nie wróci za ich życia do domu, o czym opowiadać? Co z tego, że córka

sąsiadki jest w ciąży, i tak nigdy nie pozna jej dziecka, co ją może obchodzić nowy sklep po drugiej stronie ulicy, lampy przed domem, wizyta kuzyna. Czytała nie widząc, że coraz częściej bywały o niczym. Wtedy myślała, że przeznaczyci ją na stracenie. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że myślała do ostatnich chwil nad jej losem.

Czuła ogromne wzruszenie. Tyle żyło tu wspomnień, czy kiedyś się z nimi upora?

Bagażę wstawiła do sypialni rodziców, teraz tutaj będzie sobie mieszkać i spać. Tu ostatni raz kochali się z Kostkiem. Gdyby wtedy wiedziała. Spojrzała na ścianę. Będzie się głupio czuła ze ślubnym obrazem rodziców nad głową. Coś jednak trzeba zmienić, a niektóre rzeczy wyrzucić. Czeka ją niezła robota. Cieszyła się na nią ogromnie.

Swój pokój zostawiła na koniec. Bała się do niego wchodzić. Były w nim jeszcze ślady Kostka. Pocztówki z wakacji, maskotki, zasuszone płatki róż od niego. Musi to w końcu przełknąć, ale nie dzisiaj. Ten pokój zostawi na jutro.

Wstała dość wcześnie, była sobota. Nie musiała się spieszyć. Po śniadaniu jak zwykle kawa, kilka minut na balkonie. Ależ była w tej chwili szczęśliwa. Znajome widoki, ulice, musi się znów z tym oswoić. Stała tak przez chwilę, ciesząc się tym, co widzi. Chłodny wiatr zagonił ją jednak do domu. Z resztką kawy weszła do swojego pokoju. Jaki on malutki. Kiedyś tego nie dostrzegła. A biurko, jakie wąziutkie. Jak mogła się na nim pomieścić z książkami? Wszystko było jakieś lilipucie. Na biurku zobaczyła sporą kopertę. Była zaklejona. Na kopercie jej imię i nazwisko, na odwrocie Halina Jaworska. A więc to list od Inki. Czyżby nie wszystko jeszcze sobie wyjaśniły? Przecież tamtego wieczora omówiły niemal każdy szczegół z przeszłości. Potem się upiły.

W kopercie znalazła na kawałku kartki kilka słów od Inki, oraz drugą kopertę, nieco mniejszą.

„Te listy przysły do ciebie wiele lat temu — wyjaśniała Inka. — Nie wiem, ile są warte w tej chwili. Nie pokazaliśmy ci wcześniej, nie mając pewności, kiedy wyjdiesz. Nie było sensu budzić nadziei. Poza tym, pod tym adresem nie ma już nikogo, zapadł się pod ziemię. Próbowaliśmy nawiązać z nim kontakt. Sama osądź, co zrobić dalej. Do ciebie należy decyzja”.

Mela z drzeniem rąk otworzyła kopertę. To były listy od Kostka i jego zdjęcie. W listach pisał, że szuka jej i przeprasza, że robi to dopiero teraz. Wcześniej nie miał się czym pochwalić. Długo chorował, uzależniony był od rodziców, ale w końcu stanął na nogi. Słabo idzie mu jeszcze chodzenie. Lekarze twierdzą, że najgorsze ma już za sobą. Jak będzie ćwiczył sumiennie, to może nawet odstawi kule. Od

niedawna jest samodzielny na tyle, żeby do niej napisać, ale pisze na komputerze, bo ręce są mało sprawne. Jest bardzo ciekawy, jak jej się układa życie, czy wyszła za mąż i czy ciągle mieszka w Warszawie. Wcześniej nie miał śmiałości napisać, bo wyglądał okropnie, bał się, żeby jej nie krępować swoim wyglądem i do niczego nie obligować. Ale teraz już można spojrzeć na niego bez wstrętu. Pisał też, że chętnie by się z nią spotkał, bo ma zamiar wrócić do Polski.

Spojrzała z czułością na zdjęcie. Patrzyły na nią piękne oczy Kostka. Rysy twarzy mocno zniekształcone, kilka blizn, które zmniejszyły mu prawą część twarzy i chyba brakowało po tej stronie włosów. Dla Meli jednak ciągle był piękny. Stała z tym zdjęciem w dłoni i pomyślała, że dla tej chwili mogłaby umrzeć.

Odnalazła go po tygodniu dzięki Januszowi, a właściwie przez jego kolegę, który od lat pracował na Okęciu. Ubłagała, żeby przejrzeć listy pasażerów z ostatnich sześciu lat. Na początku facet złapał się za głowę. Później okazało się, że to bardzo proste. Wystarczyło wpisać dane pasażera, żeby system wyszukał wszystkich o tym samym imieniu i nazwisku. Na szczęście Konstany to rzadkie imię. Z danych, które Mela otrzymała, wynikało, że był w Polsce w tym czasie trzy razy. Dwa razy wracał z powrotem do Stanów, a za trzecim razem został. Potem poszło jak z płatka.

Okazało się, że Kostek mieszka w Poznaniu, jest informatykiem i pracuje w biurze Międzynarodowych Targów Poznańskich. Wszystko wydawało się tak nieprawdopodobnie proste. Mela widziała w tym rękę opatrności. Może los zlitował się nad nią po latach i postanowił nagrodzić w przyspieszonym tempie. Jak niezwykle są ludzkie przypadki. Myślisz, że wiesz już wszystko, że nic cię już nie może zaskoczyć, a tymczasem wszystko nagle staje do góry nogami i nie wiesz, co się z tobą dzieje. Jest taka stara, chińska przypowieść, z której wynika, że nigdy nie wiadomo, co jest dla ciebie dobre, bo wszystko płynie i zanim się spostrzeżesz rzeka zmienia koryto.

Nie mogła już dłużej czekać. Wzięła w drukarni dwie nocki, żeby odrobić piątek, i pierwszym rannym pociągiem wybrała się do Poznania. Nie chciała Kostka uprzedzać. Chciała go najpierw zobaczyć. Tylko spojrzeć. A potem może mu się pokaże, tylko czy zechce ją znać, taką starą i zmarnowaną, takiego ludzkiego wraka, kobietę po przejściach?

Szła oszklonym holem. Po jednej stronie widać było ulicę, po drugiej gęstą zabudowę terenów targowych. Potem znalazła się w długim korytarzu. Po obu stronach otwierały się przed nią pokoje, a w nich coraz to inne twarze. Była rozczarowana. Nie znajdzie go nigdy w tym tłumie. Najpierw zaglądała

dyskretnie, przecież nie chce się wpraszać niechciana. Później już nie miała wyjścia, musiała kogoś zapytać. Niespodziewanie usłyszała tylko, jak ktoś zawołał:

— Konstanty, jakaś pani do ciebie.

Stała jak skamieniała i bała się do niego odwrócić. Szedł w jej kierunku, słyszała, jak stuka laską. Patrzyła pod nogi, powtarzając bez końca: — Boże, Boże, Boże. — Odwróciła się w ostatniej chwili. Spojrzał na nią.

— Mela?

— Kostek! — krzyknęła głośno. Podbiegła do niego, radość nie miała granic.

— Mela, nie wierzę — głaskał ją po głowie, przytulał. — Słońce moje, dlaczego tak długo? Czemu mi kazałaś tak czekać na siebie?

Zmarła mama Jakuba. Umarła we śnie. Miała tego dnia pójść do lekarza. Jakub jej obiecał wizytę u okulisty. Konieczna była operacja usunięcia zaćmy. Męczyła się od jakiegoś czasu. Nie mogła nic czytać, coraz gorzej było z oglądaniem telewizji. Zastał ją w łóżku. Po prostu zasnęła. Ani śladu śmierci na twarzy. Myślał, że wzięła na sen i teraz nie chce się obudzić. Czekał przy łóżku dość długo, zanim zbadał puls. Po prostu nie mógł uwierzyć. Miał wrażenie, że zawali się świat z powodu tej jednej śmierci, że nie może istnieć bez niej. A przecież niczym się nie wyróżniała, była zwykłą kobietą żyła z dnia na dzień z pogodą ducha i wiecznym uśmiechem, nikomu nie zrobiła krzywdy. Życie miało dla niej smak słońca i lodów śmietankowych. Ponad wszystko kochała syna. Tylko tyle i aż tak wiele. Jakub nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Gdyby przyjrzeć się z uwagą drzewom rosnącym wzdłuż drogi, można z łatwością porównać ich kształty do ludzkich postaci. Stoją każde na swój sposób piękne, każde niepowtarzalne. Niektóre mocne i rozłożyste — sięgają daleko i wysoko, inne wąskie i giętkie, przeciskają się zwinnie do światła. Są wśród nich drzewa liche i słabe, ukryte w cieniu innych, są niskie i krępe, bez skrupułów dopominające się o miejsce w przyrodzie. Niektóre mają pnie proste i gładkie, inne pokręcone i chore. Rosną pojedynczo, parami, pionowo, czasem pochylone, czasem zupełnie zgięte szorują nosem po ziemi i nigdy nie spojrzą ku słońcu.

Jakim ona była drzewem? Jaką zapamiętają ją ci, którzy stoją w zimny poranek i dziwią się, że już jej nie ma, a przecież powinna być zawsze?

Zmarznięty, skromny tłumek spogląda w milczeniu w głąb ciemnego grobu, na biały wianek upleciony z róż, leżący jak laur na wieku ciemnej trumny. Garść ziemi rzucona na dno mogiły osypuje się z szumem. Kilka brązowych kuleczek wrzuconych czyjąś ręką spada na wieko trumny, odbija się z hałasem, podskakuje i zapada w listopadowy piach. Jakież dziewczynka zdziwiona głośno pyta matki:

— Mamo, dlaczego ten pan sadi w grobie żołądzie?

— Żeby jego mama nie została sama, córeńko.

Magda stała w blasku jupiterów szczęśliwa i bardzo speszona. Niczym Kopciuszek na sali balowej skromnie spuszczała wzrok. To, co działo się dookoła, było prawdziwym spełnieniem. Nawet cienia wątpliwości, że coś jest nie tak, że może szczęście i sukces to tylko gra. Na jej twarzy nie było dwuznaczności. Czysty obraz człowieka szczęśliwego, pozbawiony najmniejszej skazy, jaśniał i oświetlał wpatrzone w nią oczy. Stała w swojej zielonej sukni, nieco zbyt jaskrawej, niepasującej do białych policzków, ale symbolizującej niezmiennie nadzieję. Wielki bukiet, szerszy od jej ramion, sięgający brody, zamykał ją w zielonej koronie liści, jakby wyrastała z samego środka rośliny.

Wydawało się, że owacja trwa wiecznie. Oklaski, flesze, walka pod sceną o lepsze ujęcie. Przed chwilą padły ostatnie słowa, najlepsza książka roku, niezaprzeczalny sukces, wyjątkowa pozycja, prawdziwe odkrycie. Nagroda literacka o wielkim prestiżu, za najlepszą powieść, taka, o której marzy każdy autor. Statuetkę otwartej książki trzymała przed sobą.

To dla niej tu przyszli. Setki ludzi odświętnie ubranych oklaskiwało jej sukces. Za plecami scena, za chwilę rozpocznie się spektakl z muzyką. Ktoś będzie czytał urywki książki, aktorzy i piosenkarze. Cała ta machina ruszy za chwilę, żeby uświetnić zdarzenie. Patrzyła przed siebie, w ciemność. Wzrok sięgał pierwszych rzędów krzeseł. Dalej otwierała się otchłań niewidzialnego tłumu. Setki oczu przyglądające się drobnej sylwetce. Nad głową miała wielki ekran. Zawieszony z tyłu, jak szpieg podpatrywał i powtarzał jej ruchy, przekazując spektakl w najdalszy zakątek kraju, może i za granicę. Czy to wszystko się dzieje naprawdę? Jak to możliwe, że przemogła wewnętrzny strach bycia osobą publiczną? Czyżby to książka, twór jej własny, jak własne dziecko, za które oddaje się życie, zapomina o bólu i wstydzie? Tak broni się dzieła stworzonego przez siebie?

Jak przedłużyć w nieskończoność ten wieczór, by odsunąć od siebie pytanie: co dalej? Co będzie, gdy odejdą widzowie, kiedy ona wyjdzie z tej sali, gdy wsiądzie do samochodu, a potem wejdzie

do swojego domu i usłyszy znajome słowa: „nie mam już czystych skarpet i żadnej koszuli do brązowego garnituru”. Jak się odnajdzie na powrót w tej roli? Bała się myśleć. Czas wypełniony po brzegi pracą nad książką zabiegł, żeby dotarła na półki, potem dni oczekiwań na pierwsze opinie, telefony od znajomych, może gratulacje, może obojętność. To wszystko oddala od niej pytania, które wrócą po przekroczeniu progu ich domu.

Tadeusz stał za kurtyną. Czarny garnitur, nieco przyciasny pił go pod pachami. Miał spocone dłonie. Bał się, że Magda nie wytrzyma napięcia tych dni, przygotowań do uroczystości, prób, przymiarek. Uparła się przy zielonej sukni, zrobiła się bardzo uparta, nie wie, jak to poskromić. Uważał, że do niej bardziej pasują brązy. Byłaby skromna i elegancka. A teraz stoi taka blada, zgarbiona, zlewa się tym bukietem. Nigdy nie miała gustu. Mimo to osiągnęła sukces, to musiał jej przyznać. Pracowała ciężko, ale jakie to dla niego wyrzeczenie. Cieszył się, że ma zdolną żonę, pochwalił się przed kolegami, tylko czy musi na tym cierpieć rodzina? Książki jeszcze nie czytał. Wie, o czym jest, ale dotychczas nie miał czasu zagłębić się w treść. Teraz ma dużo pracy, ani chwili wytchnienia — takie jest życie, cóż zrobić.

Sprawdzał co chwilę godzinę. Na szczęście oklaski już się skończyły. Teraz Magda odbiera jeszcze kwiaty. — Jak ona to wytrzymuje — pomyślał. — Ja stoję z boku i cały się trzęsę. No tak, ale to przecież nie ja otrzymałem czek na okrągłą sumę. Pewnie się cieszy z tych pieniędzy, wreszcie kupi wymarzony samochód. Już o tym rozmawiała z Kubą, obiecał, że coś jej fajnego poszuka, tylko dlaczego on, co on ma z tym wszystkim wspólnego. Widział, jak dzisiaj rozmawiali. Stali z boku, myśleli, że ich nie widzi. Jakub przywiózł jej znowu jakąś książkę. Coś sobie długo szeptali. A ona chciała go zjeść oczami, dotknęła ręką policzka? Mnie nigdy tak nie dotyka — trochę się zdenerwował. — Coś mi ten Jakub podpada — stwierdził wzburzony.

Drugi i trzeci rząd pod sceną zajęła rodzina, przyjaciele, znajomi. Przyszli prawie wszyscy. W końcu to oni wypełnili stronicę tej książki. Zasyfrowani, żyją w niej swoim życiem. Zmieniono im zawody, nazwiska, przeniesiono do innych miast. Ale to oni, ci sami. Pozostały im tylko imiona — Jakub i Marek, Inka i Szymon, Anna, Dorota, Janusz i nieśmiała Zofia.

— Czuję się trochę zmieszana — powiedziała Dorota. — W końcu to nasze życie opisała. Mogła chociaż zapytać, czy chcemy tam być — szeptała Markowi do ucha. — Poza tym i tak trochę przekręciła fakty.

— Bo ja wiem? — Marek wzruszył ramionami. — Mnie się podoba. W książce padły słowa, których nigdy bym się nie odważył powiedzieć, a tobie się należały.

— Nie przesadzaj!

— Przecież wszystko się zgadza.

— Nie wszystko — nabrała powietrza, chciała protestować. Poczuela, jak Marek bierze ją za rękę.

— Lepiej nic nie mów. Czasem lepiej pomilczeć, niż powiedzieć za dużo. I nie komentuj głośno.

— Pokazał na sąsiednie krzesło. — Zobacz, jaki Janusz szczęśliwy. Widać zadowolony z przydzielonej roli.

Rzeczywiście, Janusz promieniał. Spoglądał na Magdę i cieszył się jej sukcesem. Wiedział, jak to jest, gdy się spełniają marzenia, a Magda zawsze wyglądała na niespełnioną. Była cicha, nieśmiała, a może przytłamszona. Pamiętał jej oczy, piękne, wyraziste, a jednak gdzieś w samym środku zawsze czaił się strach. Teraz już się nie bała. Jeszcze w tej chwili mogła głęboko oddychać. Jeszcze nie wie, nawet nie przeczuwa, jaki ciężar wzięła na barki. Ciężar sławy, jest większy niż wszystkie, które dotychczas nosiła. Rozdziobią ją, rozerwą na strzępy, wejdą w każdy zakamarek duszy, by zdobyć materiał na wywiad, reportaż, felieton. Może nawet nie brała tego pod uwagę, a przecież to jest nieodłączny element życia człowieka publicznego.

Zachciało mu się palić. Nieznośny nałóg, nawet tutaj go dopadł. Wyszedłby, gdyby wypadało. Myślał też o kilkunastu opasłych teczkach, które dostał od Salomona. Nie wiedział, co z nimi zrobi, ale obiecał przechować w sejfach. Salomon pozwolił mu czytać, może znajdzie się dla nich jakieś miejsce w historii. Trochę go tym rozśmieszył, ale odmówić nie miał odwagi.

— Jak to długo potrwa? — zapytał Zofię, kręcąc się nerwowo na krześle. Siedziała obok i miętoliła z emocji skórzaną torebkę. — Cholera, muszę zapalić.

— Jeszcze trochę poczekaj — pochyliła się w jego stronę. — Za chwilę będzie przerwa.

— Ale to już dwie godziny bez fajki — zasyczał.

— Trzeba ćwiczyć siłę woli — kpiła z niego. — Zadbaj o siebie. Masz prawie pięćdziesiąt lat, a sapiesz jak starzec. Najlepiej, jak rzucisz to świństwo.

— Mam zamiar, ale jak? Próbowałem najróżniejszych metod. Może mi doradzisz.

— Najlepszy sposób, to powiedzieć: koniec, i wystarczy być konsekwentnym.

— Chyba żartujesz — spojrzał z ukosa. — A jakaś motywacja, zachęta, powód?

— Spójrz po prostu w lustro, znajdziesz tam zachętę, motywację i wiele ważnych powodów.

— Zrobiłaś się, Zosiu, zasadnicza. Widzę, że zmieniło cię macierzyństwo?

— Raczej wskrzesiło — odpowiedziała z uśmiechem.

— A Jerzy, jak on się czuje w roli tatusia?

— Jerzy? — Zofia spoważniała. — Nigdy nie ma go w domu. Jest zaabsorbowany pracą. Straciłam go. To inny facet. — Zamrugła oczami. — Ale kochamy go nadal. Teraz jest nam cudownie. Mamy swój dom. Nawet nie marzyłam o takim. No i dzieci. Są dla nas najważniejsze. Jerzy ma rodzinę i musi się starać. Ja to rozumiem. Ostatnio dużo czasu zabierają mu kłopoty z prawnikami. Odzyskał już kamienicę swojego ojca. Nie wiem, po co mu ten dom? Same z tym problemy. Do tego jeszcze choruje, ma problemy z żołądkiem. Boję się, jego tata miał raka. Powinien sobie zrobić badania.

— Pogadaj z Jakubem, może coś wam doradzi — zaproponował.

— Już to zrobiłam.

— No i?

— W tym cały ambaras. Jakub wyjeżdża do Londynu. Zaskoczyła go.

— Znowu, mało miał tam kłopotów?! Dałby już spokój Izie.

— Niestety — zaprzeczyła. — Podobno wyjeżdża na stałe.

— A co na to Anna? Gdy widziałem ją ostatnio, napomknęła o ślubie?

— No właśnie — Zosia szeptała, bo jakiś pan za nimi zaczął złowrogo spoglądać. — Jedzie do Anny.

— Nie rozumiem.

— Anny córka uciekła z dzieckiem do Londynu, do jakiegoś faceta. Anna wyjeżdża za nią, a właściwie za wnukiem. A za Anną jedzie Jakub.

— Nonsens. Gdy się to wszystko skończy, muszę z nim pogadać.

— Nic nie wskórasz.

— Wybiję mu z głowy ten wyjazd.

— Daj spokój. To jego życie.

— No właśnie. Jak go znam, wplątał się w kolejny melodramat. A matka? — nagle sobie przypomniał. — Chyba jej nie zostawi samej?

— Matka Jakuba umarła miesiąc temu. Nic go już tutaj nie trzyma.

— Nie do wiary. Anna i Jakub. — Pokiwał głową. — A więc coś ich łączy?

— No jasne — potwierdziła Zofia. — Oni się zawsze kochali. Całe życie deptali sobie po piętach.

— No tak — Janusz pogładził się po szerokich zakolach. — Co komu przeznaczone... A swoją drogą ten Londyn to jakieś przekleństwo. Nigdy nie lubiłem tam jeździć. — Rozejrzył się. Kilka krzeseł od nich siedziała Inka z Szymonem. Nie znał faceta. — A ci? — szturchnął Zofię.

— Cicho — syknęła speszona. — Nie widzisz? Zakochani.

Janusz spojrział ukradkiem.

— To kolejna ofiara Inki? — złośliwie zapytał.

— Tym razem nie. Są już po ślubie.

— Chyba żartujesz? Powariowali z tymi ślubami.

— No, coś ty! To było wiadomo od dawna, a ty wciąż nieprzytomny.

Spojrzął przed siebie. Na scenie zrobiło się tłoczno. Obok Magdy stała rodzinka. Dziewczynki wyrosły, Tadeusz utył. Prężą się dzielnie do kamery, pchają do mikrofonu. Część dzisiejszych splendorów przypadnie im także w udziale.

— I wszystko pędzi dalej. Pogubimy się znów na dwadzieścia lat. Ilu nas po tym zostanie? — zmarkotniał. — Tylko teraz nie będzie już powodu do kolejnego spotkania. Mela na wolności, pracuje, radzi sobie. Gdyby nie ta historia z więzieniem, zrobiłaby pewnie karierę.

— No tak, przeszłość dyskwalifikuje ją dość poważnie. Ale ma za to swojego Kostka. Był całym jej szczęściem.

— A gdzie oni, nie widzę ich nigdzie.

— Ona trochę od nas stroni. Żyje swoim życiem, nie lubi zbiegowisk. Kostek też nie lubi się pokazywać publicznie. Zostali w domu. Oglądają wszystko w telewizji.

— Szkoda, trochę mi tu brakuje głównej bohaterki. Przecież to Mela zainspirowała Magdę.

— Tak, to prawda. Rozmawiały o tym wiele razy. Potem Magda wyjechała się leczyć, bo konsekwencje depresji jeszcze się dawały we znaki. A jak wróciła, miała już napisany pierwszy rozdział książki. Materiał był gotowy, napisało go życie. Wystarczyło to wszystko zebrać ładnie w całość. I zobacz — spojrzała na scenę. — Jaki efekt. Okazuje się, że wszyscy, jak tu siedzimy, nadajemy się do literackiej nagrody.

— Nie czuję się bohaterem, ale skoro mam swój udział w sukcesie Magdy, to cała przyjemność po mojej stronie. Szczerze mówiąc, chciałem z tym Kostkiem pogadać. Podobno jest informatykiem. Jakub coś mówił ostatnio, że zmienia pracę i przeprowadza się do Warszawy. Ściągnęła go jakaś firma, że niby jest w tym dość dobry.

— Chcesz go u siebie zatrudnić? — zdziwiła się Zofia.

— Raczej szukam korepetytora — powiedział tajemniczo.

— No właśnie — Zofia zajrzała mu w oczy. — Podobno zacząłeś studiować?

— No tak, jednak się rozeszło — zaczerwienił się trochę. — Nie można liczyć na niczyją dyskrecję — udawał zmartwionego.

— Słyszałam od Marka — wyjaśniła.

— Odbiło mi na stare lata — Janusz przyznał speszony.

— Potrzebne ci te studia do czegoś? Masz już przecież wszystko?

— No właśnie — spojrzał na Zosię. — Mam wszystko oprócz studiów. Brakuje mi tego do szczęścia. Też chciałbym sobie spełnić marzenie.

KONIEC Rogoźno, 15 września 2009 roku

